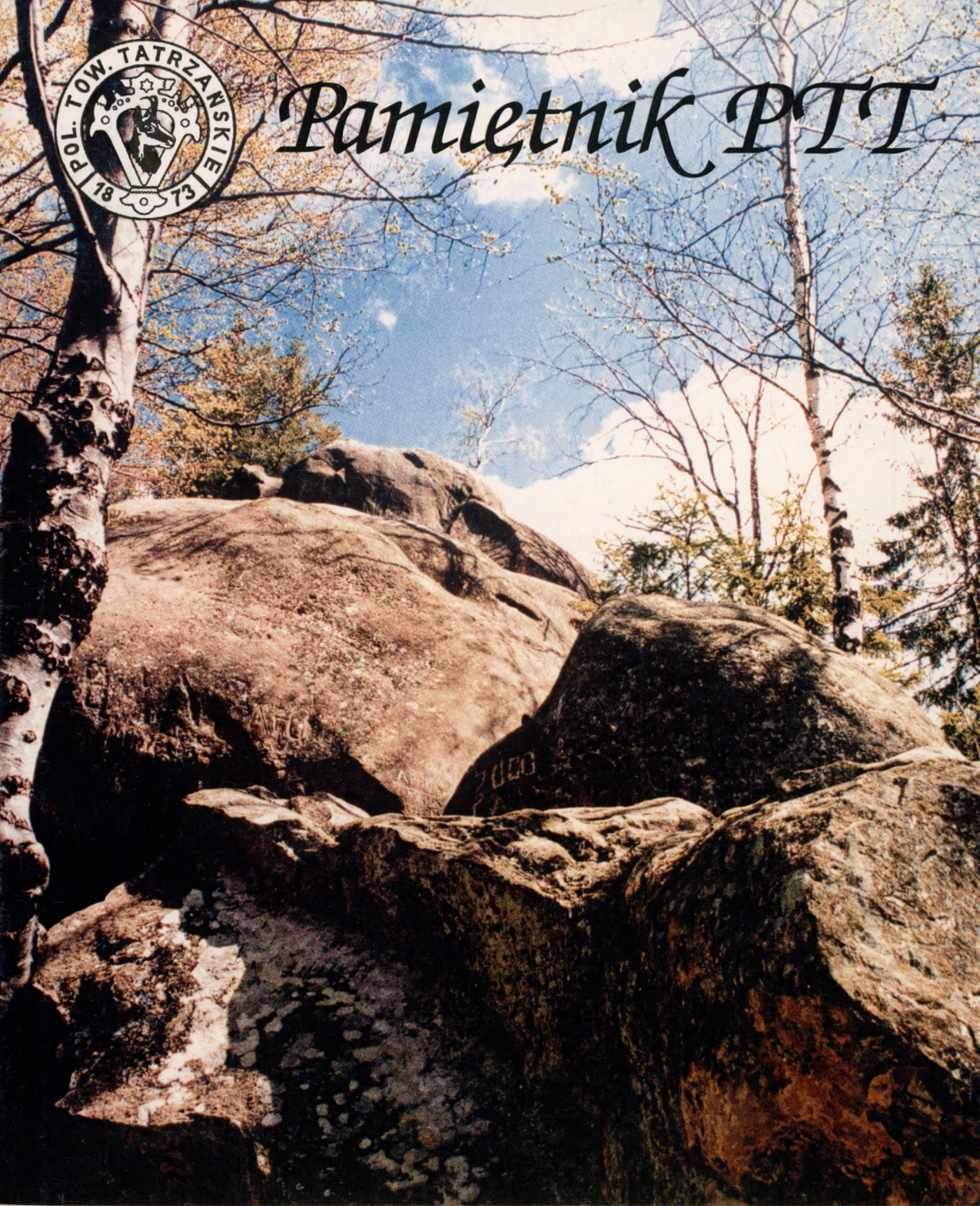




Pamiętnik PTT



Bukowina i górale czadeccy

BUKOWINA



Na początku XIX wieku wśród przybyszów na teren Bukowiny Północnej znaleźli się również górale z obecnego pogranicza polsko-słowacko-czeskiego z obszaru dorzecza Kysucy. W tamtym czasie były to ziemie gdzie już znacznie wcześniej osiedlili się uciekinierzy przed pańszczyzną zarówno ze śląskiej jak i polskiej strony Beskidów, oraz osadnicy słowaccy z południa. Ludność ta wzajemnie na siebie oddziaływująca przez około dwieście lat, ukształtowała już do połowy XVIII wieku specyficzną kulturę z elementami śląskimi i małopolskimi. Również późniejsze jej losy migracyjne trwające do dzisiaj decydują o tym, że jest to jeden z kulturowych fenomenów karpackich.

Bukowina to był styk świata zachodniego i wschodniego, słowiańskiego i romańskiego i tutaj właśnie w tej "Szwajcarii Wschodu" czy "Europie w miniaturze" jak często nazywany jest ten region, w okolicach Czerniowiec i Seretu osiedlili się nasi górale z nad Kysucy, wnosząc w różnorodną bukowińską mozaikę kultur swoją odrębność kulturową. Żyją tutaj do dzisiaj obok innych nacji, takich jak: Rumuni, Ukraińcy, Węgrzy, Niemcy, Ormianie, Żydzi. Kulturowy i religijny konglomerat Bukowiny nie był powodem do nieporozumień, wręcz przeciwnie, istniała tutaj harmonijna i zgodna egzystencja mogąca być przykładem dla innych regionów. Wspomnieć jedynie należy, że w pewnym okresie około roku 1899-1902 pojawiły się publikacje autorów niemieckich i pewne działania propagandowe mające na celu osłabienie elementu polskiego na Bukovinie.

Pamiętnik Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego

Tom 10



Kraków 2001

Wydawca: Polskie Towarzystwo Tatrzańskie
Zarząd Główny
30-049 Kraków
ul. Konarskiego 21/5

Tatrzański Park Narodowy

Redakcja: Adam Liberak, Barbara Morawska-Nowak,
Michał Ronikier, Stanisław Janocha

Skład komputerowy: Beata Kreiner
Obwoluta: Zofia Nowak

Dziękujemy Józefowi Durdenowi
za opracowanie kart działowych i grafiki

ISSN 1230-2880

Druk: Wydawnictwo PiT

Druk ukończono we wrześniu 2002

Drodzy Czytelnicy,

W 1876 roku, na zebraniu Zarządu Towarzystwa Tatrzańskiego, podjęto następującą uchwałę: *Wydział T.T. uchwalił na jednym z posiedzeń wydanie w roku bieżącym Pamiętnika T.T. jako jednego ze środków do osiągnięcia celów w statucie Towarzystwa wymienionych (...) Czyń każdy w swoim kółku co każe duch boży a całość sama się ułoży.*

Takim wstępem zaczyna się pierwszy tom Pamiętnika T.T., który ukazywał się od 1876 do 1920 roku (wyszło 38 tomów).

W 1992 roku, kiedy odrodzone PTT postanowiło wydawać swój rocznik, powróciliśmy do tytułu sprzed 116 lat. Dlaczego? Bo *ten dawny rocznik, prawie familijny, a z drugiej strony pełen troski o sprawy ogólne, bardzo nam odpowiada* – napisaliśmy w przedmowie do I tomu Pamiętnika. Minęło dziesięć lat i oto wychodzi 10 tom Pamiętnika PTT, który przyjął się wśród turystów i czytają go często nie tylko członkowie PTT, a niektóre tomy są już nie do zdobycia.

Mamy nadzieję, że tak się stanie również z tomem dziesiątym, jako że jego zakres tematyczny jest bardzo szeroki. Bardzo ciekawe artykuły otwierają tom. Wielu zainteresuje na pewno spojrzenie na współczesne pasterstwo tatrzańskie, o którym napisała dla nas Maria Gąsienica-Chmiel z TPN. Swoją wielką górsko-naukową przygodę wspomina profesor Zbigniew Jaworowski. Rewelacyjne wyniki badań skażenia naszej ziemi w przeszłości, które przeprowadzili Polacy w wielu miejscach świata badając zanieczyszczenia w warstwach lodowców nawet sprzed 500 lat, przeplatają się z historią ich zdobywania na wyprawach w lodowcowe góry całego świata. Niestety, musieliśmy podzielić obszerne opracowanie profesora na dwie części. Drugą część będzie można przeczytać już w tomie 11.

Wiodący dział regionalny poświęciliśmy trudnym losom Bukowiny i górali czadeckich. Obok historycznej i geograficznej analizy terenu i problematyki migracji polskich górali, znajdziecie tam kilka krótkich „bukowińskich portretów” – przez pryzmat życia ludzi pokazujące bardzo złożone losy całej tamtejszej ziemi i społeczności.

Drugi z geograficznych działów dotyczy Bieszczadów. Były one tematem II Dni Gór PTT, które odbyły się w Jarosławiu i Heluszu, w dniach 13–16 września 2001 roku. Prezentujemy referaty towarzyszącej tej imprezie sesji popularno-naukowej, poczynawszy od wystąpienia Dyrektora Parku Narodowego, a kończąc na prezentacji periodyku „Bieszczad”.

Oprócz wspomnianych tematów, jak zwykle można znaleźć artykuły o współczesnych i historycznych górskich wydarzeniach, o działalności człowieka w górach. W związku z setną rocznicą sporu o Morskie Oko, Józef Durden przybliży historyczne podłoże tego najsłynniejszego tatrzańskiego konfliktu. Porcję górskiej beletrystyki najwyższej próby zapewniają dwaj inni nasi wierni autorzy: Sta-

nisław Worwa – wspominający swoje wspinaczki swojskie i egzotyczne – i Waldemar Betlejewski snujący opowieść o swojej „wyprawie życia” w Hindukusz Afgański. A Tadeusz Kiełbasiński chce ocalić od zapomnienia twórcę polskiej turystyki i krajoznawstwa, Mieczysława Orłowicza. Znajdziemy też kolejny odcinek alpejskich wspomnień naszego honorowego Prezesa, Macieja Mischke.

W Dziale – Kronika – obszernie relacje ze Zjazdu Delegatów PTT oraz sylwetki nowych członków honorowych. Dowiedziecie się jeszcze jak wiele się dzieje w niektórych Oddziałach, niestety są takie, które nie chcą się pochwalić swoją działalnością, lub co gorzej, nie mają o czym pisać.

Zapraszamy do lektury wierząc, że 10 tom Pamiętnika PTT jest ciekawy i godny domowej biblioteki.

Redakcja

Tomy I – IX Pamiętnika PTT
można nabyć w Redakcji
bezpośrednio
lub za zaliczeniem pocztowym.

(Uwaga! Tomy I–V na wyczerpaniu)

Adres Redakcji:

Barbara Morawska-Nowak
ul. Konarskiego 21/5
30-049 Kraków
tel. (012) 634-05-89



Baca z Rusinowej Polany. Fot. J. Chmiel

TRADYCJE PASTERSKIE W TATRACH I NA PODHALU

**Maria
Gaśienica-Chmiel**

Pasterstwo odcisnęło niewątpliwie piętno na całej kulturze tego regionu. Dlatego postanowiliśmy przedstawić czytelnikom artykuł córki jednego z zakopiańskich baców, Stanisława Gaśienicy-Byrcyna.

Z HISTORII PASTERSTWA TATRZAŃSKIEGO

Pierwsi mieszkańcy Podhala

Niezwykłe trudne warunki glebowe i klimatyczne, które nie sprzyjały gospodarce rolnej, a także peryferyjne położenie w stosunku do głównych ośrodków gospodarczych i kulturalnych Polski spowodowały, że obszar kotlin podkarpaccich został zasiedlony stosunkowo późno. Ale, jak pisze Maria Cabalska w Dziejach Miasta Nowego Targu [2], w dolinie nowotarskiej ślady pobytu pierwszych mieszkańców sięgają aż 23 tysiące lat przed naszą erą. Wtedy to grupa ludzi zamieszkiwała jaskinię Obłazową nad rzeką Białką. Archeolodzy odkryli tam obudowane okraglakami z rzeki ślady paleniska, oszlifowane ciosy mamuta, które były używane na wzór australijskiego bumerangu oraz wyroby z krzemienia i rogowie szydła.

Wiele stuleci później nastąpiło ocieplenie. W Kotlinie Nowotarskiej powstał wówczas wielki zbiornik wodny, a dzisiejszy Czarny Dunajec, który dotychczas płynął na Orawę, przedarł się przez dział wodny i połączył z rzeką płynącą na wschód czyli dzisiejszym Białym Dunajcem.

Następne odkryte ślady ludzi – myśliwych – pochodziły z IX tysiąclecia p.n.e. Myśliwi ci wykonywali narzędzia z pienińskiego radiolarytu, groty do strzał i drapacze do obróbki skór.

Po kolejnej zmianie klimatu myśliwi migrowali z południa na północ. Całe Podhale pokrywały mieszane lasy. Grupy ludzi wędrowały przeważnie przez przełęcze, ale nie osiedlały się na Podhalu.

Królewskie decyzje osadnicze

Całe Karpaty i Podhale zostały objęte osadnictwem dopiero w okresie od XI do XIII wieku naszej ery. Tę akcję kolonizacyjną rozpoczął król Bolesław Chrobry, który dążył do zapewnienia stałej ochrony na pograniczu węgierskim i ruskim.

Madziarzy, którzy na stepy nad Donem przybyli z okolic Kaukazu, napadli na Pieczyngów. Zepchnięci przez nich zajęli tereny w rejonie Dniestru, Prutu i Sere-tu. Tu znów starli się z Pieczyngami, którzy wypchnęli ich przez Karpaty na tere-ny obecnych Węgier. Tam zorganizowali się i po przyjęciu chrześcijaństwa pró-bowali poszerzyć swoje wpływy. Tego właśnie król polski chciał uniknąć zasied-lając Podhale.

Osadnictwo w pierwszym okresie, tj. w XIII–XIV wieku, obejmowało Kotlinę Nowotarską, którą można było wykorzystać rolniczo. Falę osadniczą stanowiła ludność chłopska, etnicznie polska, opuszczająca przeludnione niziny i migrująca w kierunku Tatr. Henryk Brodaty nadał prawo kolonizowania obszaru Kotliny Nowotarskiej Teodorowi Cedro z rycerskiego rodu wojewodów krakowskich – Gryfitów Małopolskich. Sprowadził on zakon Cystersów, który dał początek wsi Ludźmierz i w 1234 r. założył tam pierwszą parafię. Cystersi wnieśli duży wkład w zagospodarowanie tego terenu. Zakładali oni wsie na prawie magdeburskim (niemieckim), prowadzili działalność misyjną, uczyli gospodarki trójpolewej. Wkrótce jednak opuścili Podhale i przenieśli się do Szczyrzyca [20].

Kotlinę Zakopiańską i Tatry porastały w całości lasy królewskie. Przywilejem Bolesława V Wstydlwego z 1255 r. opactwo szczyrzyckie otrzymało tam prawo łowów [11].

Najazdy tatarskie i niepokoje wewnętrzne państwa w XIII w. spowodowały zahamowanie, a niekiedy cofnięcie procesów osadniczych.

W XIV w. nastąpił rozwój osadnictwa niemieckiego postępującego od Spisza, który został zasiedlony sto lat wcześniej przez osadników ściągniętych z głębi Niemiec. Koloniści niemieccy osiedlali się we wsiach, które dotąd noszą nazwy takie jak: Harklowa, Waksmund, Szaflary. Stopniowo ulegali polonizacji.

Od wschodu przyszli Wołosi

Jednocześnie, w wiekach XIII–XV wzdłuż Karpat przenikało na obszar Polski z Bałkanów i Siedmiogrodu osadnictwo wołoskie przynosząc ze sobą wędrowną gospodarkę pasterską. Pozostałością osadnictwa wołoskiego, a także wpływów z drugiej strony Karpat jest zachowana do dziś pewna odmienność antropogenicz-na górali.

Skąd się wzięli Wołosi? Prawdopodobnie ich przodkowie wędrowali kiedyś ze swymi stadami po Bałkanach i dzisiejszej Albanii. Według zapisów, w całym otoczeniu Morza Śródziemnego – w Albanii, na Bałkanach, w Grecji, Libanie

i w Atlasie panował nomadyzm. Była to prosta forma gospodarki pozwalająca wykorzystać przyrodę i zmiany klimatyczne. Pewne grupy nomadów dotarły do Siedmiogrodu, a stamtąd, w poszukiwaniu pokarmu dla swoich stad owiec i kóz, ruszyły na zachód wzdłuż Karpat. Pierwsze nadania ziemi Wołochom po południowej stronie Karpat zapisano w pierwszej połowie XIV w., a po północnej stronie w drugiej połowie tegoż wieku. Jednak prof. Kazimierz Dobrowolski [4] zwraca uwagę, że nazwy *Beskid* i *Bieszczad* pochodzące z języka albańskiego pojawiły się już w 1269 r. Sprawą, która wywołuje dyskusje wśród uczonych jest pytanie, czy nomadzi, którzy dotarli w Beskidy i Tatry, to byli jeszcze Wołosi czy już Rusini, którzy przejęli ich zwyczaje i metody hodowli. Zdaniem Dobrowolskiego, byli to na pewno Wołosi. Tak wiele elementów życia codziennego jak wyposażenie pasterskie, budownictwo, przetwórstwo mleka, technika wypasu, a w kulturze ludowej stroje, taniec, muzyka, nazwy sprzętu, stare nazwy zwierząt, co więcej pochodzenie wielu nazwisk, mógł przekazać bezpośrednio jeden naród drugiemu.

Wędrowną hodowlą zwierząt oparta całkowicie o naturalną wydajność przyrody wymagała dużych wolnych obszarów. Kiedy tereny podgórskie zaczęły się zaludniać stałymi mieszkańcami – rolnikami, którzy przybywali z północy, ta forma nomadyzmu musiała zanikać. Wielu Wołochów osiadało w istniejących wsiach lub tworzyli nowe. Właścicielom terenów czy starostom zależało na osadzaniu przybyszy, bo osiadły płacił podatki.

Wsie te, zasadniczo osadzone na prawie niemieckim, otrzymywały w nadaniu dodatkowo tereny pastwiskowe. Początkowo w pobliżu osad, potem coraz wyżej z biegiem rzek. Była to już okresowa wędrownka ze stałego miejsca zamieszkania. Mieszkańcy starali się powiększać tereny wypasowe wycinając polany w lasach, a władze próbowały to opanować. Kiedy ludności przybywało, kończył się zwyczaj wędrowania z domu do niżej położonych polan, a potem na hale. Niżej położone polany zamieniały się w stałe osady.

Jest w tym wszystkim jeszcze jedna ciekawa sprawa, chyba już dziś niemożliwa do zbadania. Wołosi osiedlali się na Podhalu od XIV do XVII wieku, ale byli mniejszością, która szybko się polonizowała. Samodzielnych osad wołoskich było tylko kilka. Przeważnie grupy, które schodziły z gór, wiązały się z już istniejącymi rodowymi osadami. Jednak wołoskie zwyczaje, tradycje, stroje, jako bardzo atrakcyjne, przejęli wszyscy mieszkańcy Podhala, zarówno rolnicy jak i uciekinierzy z północy osadzeni w Waksmundzie, Białce, Szaflarach czy Czarnym Dunajcu i innych wsiach.

W następnych wiekach wszystkie fale osadnicze zlały się ze sobą i wytworzyły wspólną kulturę górali podhalańskich opartą na wielu tradycjach wołoskich.

Poszukiwacze skarbów

Od XVI w. obszar Tatr, będący wówczas królewsczyzną, zaczął być penetrowany w związku z możliwością pozyskiwania kruszców: srebra, złota, żelaza oraz miedzi.

W roku 1502 w Tatrach odkryto srebro, a w czasie panowania Zygmunta Starego około roku 1506 istniał „młyn złoty”, tj. płuczkarnia złota, nad dzisiejszym potokiem Pyszna. Król Zygmunt III przywilejem z 20 maja 1619 r. zezwolił na tworzenie gwarectwa, celem eksploatacji kruszców w starostwie nowotarskim i czorsztyńskim. Dodatkowo, zezwolił on na wolny wyrąb w lasach królewskich na budowę domów dla górników. Królowie Władysław IV i Stanisław August byli także zainteresowani poszukiwaniem kruszców w Tatrach, dotyczyło to głównie żelaza i miedzi [12]. Był to okres rozwoju górnictwa i hutnictwa oraz czas wycinania lasów i karczowania polan.

W tym okresie nasiliło się osadnictwo na Podtatrzu. W 1552 roku został lokowany Czarny Dunajec, a następnie Chochółów, Ciche, Wróblówka, Podczerwone, Dzianisz, a w inwentarzu starostwa nowotarskiego z 1638 roku odnotowano zasiedlenie wsi Witów [1]. W dokumencie króla Stefana Batorego z 1578 roku po raz pierwszy występuje Zakopane, o którym następnie jest mowa w dokumencie króla Michała Korybuta Wiśniowieckiego. W tym czasie powstają także wsie: Bukowina, Brzegi, Murzasichle.

Do czasu przejścia Tatr i dużej części Małopolski przez Austrię teren ten był królewszczyzną, rządzoną przez starostów nowotarskich. Sposób użytkowania i opłaty zależały od pozwolenia starosty, który także rozstrzygał sprawy sporne dotyczące uprawnień np. do poboru drewna, wypasu polan, wyznaczania „cerkli państwiskowych” czy ustalenia służebności [12].

Austriacka licytacja

W 1773 r. nowotarszczyzna i sądeckzczyzna zostały wcielone do Austrii jako własność cesarza, czyli „króla Galicji i Lodomerji”. Zajęte ziemie weszły w skład austriackich dóbr kameralnych i poddane zostały austriackim władzom skarbowym. Ostatnim dzierżawcą królewszczyzny nowotarskiej i polskim starostą był podstoli krakowski Franciszek Rychter, który pełnił tę funkcję w latach 1767–1773.

W latach 1780–1810 starano się uregulować prawa własności i prawa do służebności. Przeprowadzono pierwsze zalesienia. Problemy w zarządzaniu oraz plany komasacji lasów nowotarszczyzny doprowadziły do wykonania dokładnych pomiarów lasów, hal i polan, na podstawie których wykonano „mapy kameralne” wraz z „tabelą geometryczną”. W następnych latach – w 1846 r. i 1900 r. – w całej Austrii dokonano pomiarów, na podstawie których sporządzono mapy katastralne [14].

Dokonano także szacunku terenu, który został podzielony na cztery sekcje: białczańską, szaflarską, zakopiańską i witowską. Skarb austriacki, czyli Kamera, miał po 1815 roku spore kłopoty finansowe. Postanowiono sprzedać byłe dobra królewskie, które nie przynosiły zysku. Kolejno sprzedano na licytacji: w roku 1819 – sekcję szaflarską (Uznańskiemu) i sekcję witowską (Pajączkowskiemu), a w roku 1824 – sekcję białczańską i zakopiańską wraz z sekcją ostrowską (Hommolacsowi).

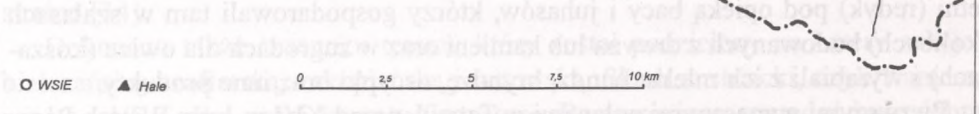
Kiedy nowy właściciel Jan Pajączkowski (płacąc 11.501 złr) zorientował się na miejscu, że nie potrafi na tej ziemi szybko zarobić pieniędzy, zaproponował chłopom odkupienie całości, ale już za 17.750 złr. Chłopi chcieli nabyć majątek, bo nie tylko zyskiwali ponad 4000 ha lasów, ale zmieniała się dzięki temu ich pozycja społeczna – przestawali być chłopami pańszczyźnianymi. Gospodarze 7 wsi zdecydowali się na ten olbrzymi wysiłek finansowy. Tym większy, że z transakcji wycofali się sołtysi, polaniarze, poddani plebejscy i chłopci wójtostwa dzianiskiego. W zbiorce pieniędzy wzięło udział 1100 rodzin z Czarnego Dunajca, Chochołowa, Witowa, Cichego, Podczerwonego, Wróblówki i Dzianisza. Pieniądze zebrano w dwa miesiące. Okazało się jednak, że bezpośredni zakup przez chłopów jest niemożliwy. Poproszono więc księdza Józefa Szczurkowskiego, rodem z Czarnego Dunajca, by był ich plenipotentem. Miał on dokonać zakupu oficjalnie na siebie. Ksiądz kupił i od razu poczuł się właścicielem. Zaczął domagać się świadczeń od prawowitych, ale nieoficjalnych właścicieli. To naturalnie wywołało szereg nieporozumień i skarg chłopów, które trafiły do biskupa. Ksiądz przekazał majątek swojemu bratankowi, prawnikowi, licząc, że poradzi on sobie z domagającymi się swojego majątku chłopami. Ucisk był jeszcze większy i część chłopów szukała ratunku u barona Kajetana Borowskiego, właściciela Dzianisza. Ten zawarł z nimi umowę, po czym zaczął także domagać się świadczeń należnych dziedzicowi. Ostre starcia doprowadziły do tego, że baron postanowił nie wpuszczać owiec, kóz i krów na letni wypas w Tatrach. 12 czerwca 1830 r. doszło do krwawego starcia między chłopami a hajdukami barona. Były ofiary śmiertelne. Ostatecznie owce poszły na hale.

Kompleksy zakupione niegdyś przez Homolacsów zmieniały właścicieli by ostatecznie, na życzenie ostatniego właściciela hr. Władysława Zamoyskiego, ustawą „O Zakładach Kórnickich” z dn. 30 sierpnia 1925 r., stać się własnością Narodu Polskiego. W 1934 roku fundacja „Zakłady Kórnickie” na skutek złej gospodarki przeszła na własność Skarbu Państwa, a rok później wykupiono także tatrzańską część majątku Szaflary. Dzięki temu ponad połowa Tatr znalazła się w rękach jednego właściciela (Skarbu Państwa), który zgodnie z życzeniem wielu obywateli zamierzał utworzyć w Tatrach park narodowy.

Wypas owiec

Niezależnie od tego, kto zarządzał obszarem Tatr i Podtatrza, miała tam miejsce gospodarka pasterska. Z różnych wsi stada wędrowały wysoko w góry na okres letni (redyk) pod opieką bacy i juhasów, którzy gospodarowali tam w szałasach (kolibach) budowanych z drewna lub kamieni oraz w zagrodach dla owiec (koszarach) i wyrabiali z ich mleka: bundz, bryndzę, oscypki oraz inne produkty.

Pierwszymi wypasanymi polanami w Tatrach przed XVI w. były Wierch Poroniec i Kira Miętusia [9]. Pod koniec XVII w. wypasano już w Chochołowskiej, w Starej Robocie, na Hali Pysznej, w Małej Łące, w Strążyskiej, na Kondratowej, a w Tatrach Wysokich na Polanie Rusinowej i Hali Waksmundzkiej. W wieku XVIII pasterstwo wkroczyło w rejony Morskiego Oka, Pięciu Stawów Polskich,



Wsie, z których pochodziły owce wypasane w Tatrach.
Wg B. Kopczyńskiej-Jaworskiej [9].

Hali Gąsienicowej, Hali Królowej Wyżniej, dolin Goryczkowej i Jarząbczej. Na przełomie XVIII i XIX w. powstały polany – Łysa, Palenica Białczańska i Kiczora Niżnia.

Ten proces powiększania pastwisk kosztem lasów i kosodrzewiny oraz intensywny rozwój pasterstwa trwał do połowy XIX wieku. Można przyjąć, że z początkiem XIX wieku wypasano już na terenie całych Tatr Polskich [7]. Wypasem objęte były lasy, polany śródleśne, kosodrzewina i halizny aż po turnie.

Z początkiem XX w. górale korzystali ze swej własności o pow. 5559,36 ha, z nie wydzielonych na halach współwłasności państwowej, Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego i Polskiego Związku Narciarskiego (PZN) o pow. 2333,34 ha, oraz serwitutu wypasowego w Lasach Państwowych i Siedmiu Gromad o pow. 4440,97 ha. To wszystko stanowiło obszar 12 333,67 ha objęty wypasem [19].

W latach trzydziestych na Hali Tomanowej prowadzony był wypas ok. 500 owiec pod opieką nadleśnictwa. Przebudowano szałas tak, by łatwiej było utrzymać w nich czystość. W szałasie gdzie robiono sery położono betonową podłogę. Naturalnie watra paliła się normalnie. Prowadzono także próby hodowlane poprawienia rasy owcy górskiej. Działania te przerwała wojna.

Przedwojenne poglądy na pasterstwo w Tatrach

Przed rokiem 1939 spojrzenie ludzi zainteresowanych ochroną przyrody na wypas w Tatrach było inne niż po roku 1945. W 1936 r. prof. Władysław Szafer, Przewodniczący Komisji Organizacyjnej Tatrzańskiego Parku Narodowego, tak pisał: *Pragniemy, aby baca-i juhas pozostali na halach pierwszymi i najważniejszymi gospodarzami i aby nie znikły z hal ich szałas, ich starodawny strój, obyczaj i gościnność. Kierdel owiec, zbyszających po wierchach i upłazach, poganianych przez psa – owczarka, należy tak nieodłącznie i ściśle do krajobrazu tatrzańskiego, jak limba, kozica i świstak. Dlatego też rozwijająca się w Parku Narodowym turystyka uszanuje wszystko to, co jest jego treścią, pięknem i urokiem, a zwłaszcza górala, z tym wszystkim, co on do Tatr wniósł i czym się z nimi na zawsze złączył.*

Niektórzy jednak dostrzegali, że interesy pasterstwa i leśnictwa są sprzeczne, tym bardziej, że w Tatrach poza ochroną lasu chodzi jeszcze o całkowitą ochronę specyficznej roślinności. W związku z tym wielu świątłych ludzi wypowiadało się za prawie całkowitym zlikwidowaniem wypasu w Tatrach [14, 17, 18].

Działania PTT

Działacze PTT także zwrócili uwagę na problem zniszczenia terenów na skutek zbyt intensywnego wypasu. Dlatego PTT wykupywało od chłopów uprawnienia pasterskie. Początkowo zakupy robione były z pieniędzy organizacji, ale po dwóch latach rząd zaczął wspomagać tę akcję subwencjami. Przykładem skuteczności działania PTT było wykupienie od wsi Białka prawa wypasu na Hali Morskie Oko i w Dolinie za Mnichem, a następnie zalesienie przez leśników z Fundacji Kórnickiej sypiącej się moreny zniszczonej przez wypasane owce.

W okresie międzywojennym szacowano, że w Tatrach pasie się ok. 6000 owiec i już wtedy uważano tę liczbę za górną granicę możliwości wypasu.

Wojna i lata powojenne

Szczególne znaczenie gospodarcze dla ludności miał chów owiec w okresie drugiej wojny światowej. Miała na to wpływ polityka okupanta, który nie obejmował owiec restrykcjami kontygentowymi. Doprowadziło to do znacznego wzrostu pogłowia owiec na Podhalu i dało początek najbardziej intensywnemu rozwojowi owczarstwa na tym terenie [3].

Bezpośrednio po drugiej wojnie światowej na Podhalu wypasano 18 650 owiec i 1115 sztuk bydła, a w roku następnym 1946 już 22 402 owce i 1394 sztuki bydła, co w przeliczeniu na owce daje liczbę 26 074 sztuki. Tak wielka liczba zwierząt w sposób widoczny wpływała ujemnie na przyrodę Tatr. Aby temu przeciwdziałać, w 1948 r. wyprowadzono część inwentarza do Jaworek w Małych Pieninach (tzw. Wielki Redyk), gdzie powstały pierwsze zespoły wypasowe. Terenami kolejnych migracji pasterskich stały się pustacie Beskidu Niskiego i połoniny Bieszczadów [8].

Na halach tatrzańskich, w pierwszym rządzie na halach państwowych (Tomanowa, Kondratowa), próbowano zorganizować zespoły wypasowe. Na halach chłopskich było je trudno organizować, gdyż współwłaściciele hali zamieszkiwali różne wsie, nieraz bardzo od siebie oddalone [9].

TATRZAŃSKI PARK NARODOWY A PASTERSTWO

Utworzenie Tatrzańskiego Parku Narodowego na mocy rozporządzenia Rady Ministrów z dnia 30 października 1954 r., a następnie realizacja uchwały nr 415 Rady Ministrów z dnia 8 grudnia 1960 r. o uregulowaniu stosunków własnościowych w TPN, zmieniły stosunki prawne i społeczno-gospodarcze w Tatrach. Przeprowadzona w latach 1961–1980 akcja wykupu i wywłaszczeń gruntów umożliwiła objęcie ochroną rezerwatową również hal i polan, użytkowanych dotychczas przez prywatnych właścicieli jako tereny wypasowe.

Ostatecznie w roku 1978 zaprzestano całkowicie wypasu owiec na terenie Tatrzańskiego Parku Narodowego. Wywołało to gwałtowny protest miejscowej ludności, która traktowała uprawnienia pasterskie nie tylko jako sprawę materialną, ale i obyczajową związaną z wieloletnią tradycją. Hasło: *Owce muszą wrócić w Tatry* ułatwiło bardzo karierę ówczesnym kandydatom na posłów. Do głosu doszedł także Związek Podhalań podkreślając znaczenie tradycji i zwyczajów, które przed wiekami przynieśli tu pasterze wołoscy.

Równocześnie przyrodnicy zauważyli duże zmiany we florze, zarastanie niektórych niespasanych hal, zanik pewnych gatunków roślin, które przed wiekami wprowadził stały wypas owiec i innych zwierząt.

Na wniosek Rady Naukowej TPN pracownicy Polskiej Akademii Nauk dokonali oceny polan pod względem wartości przyrodniczej. Pozwoliła ona wytypować miejsca dla ograniczonego wypasu, który mógł pogodzić interesy ochrony przyrody i ludności.

Przyjęto następujące założenia:

- wypasu nie powinno się prowadzić powyżej górnej granicy regła dolnego;
- wypas nie może być prowadzony w obszarach objętych ochroną ścisłą i w terenach do nich przyległych;
- skrajnie zachodnie i wschodnie skrzydła TPN, ze względu na ich bardzo ważną rolę jako terenów ostojowych, lęgowych oraz migracyjnych, a także unikatowy charakter przyrodniczy (nagromadzenie szczególnie cennych gatunków flory i fauny) należy maksymalnie wyłączyć z wszelkiej penetracji, w tym także spod wypasu [15].

Owce wracają

W wyniku waloryzacji polan, a także konsultacji społecznych, postanowiono przywrócić w Tatrach ograniczony wypas owiec, który nazwano wypasem kulturowym. Określono możliwość prowadzenia takiego regulowanego wypasu kulturowego na 25 polanach o łącznej powierzchni ok. 135 ha. Dodatkowo, aby ochronić polany przed wypasem nadmiernie intensywnym, zobowiązano baców do posiadania tzw. przepaski, tj. dodatkowego pastwiska poza terenem Parku. Stado przebywałoby tam w okresie braku paszy na polanach (początek wegetacji, susza



Wypas na Polanie Chocholowskiej. Fot. J. Chmiel

itp.) Przepaski dały możliwość zwiększenia liczebności stad wypasanych na polanach TPN.

Obecnie prowadzonych jest 7 bacówek na polanach: Rusinowej, Kopieniec, Kalatówki, Wyżnia Kira Miętusia, Huty Lejowe i Chochołowska. Jedna bacówka znajduje się w sąsiedztwie TPN, jednak owce okresowo wypasane są w granicach Parku. Łącznie na terenach parku wypasa się ponad 1200 szt. owiec.

Obiekty związane z pasterstwem

Obok wykorzystywanych aktualnie polan istnieją bardzo liczne miejsca gdzie zachowało się bogactwo kulturowe związane z pasterstwem, np. rejon Doliny Pięciu Stawów Polskich, Hali Gąsienicowej, Hali Stoły.

Z pasterstwem łączą się różnorodne obiekty służące przebywaniu pasterzy (szałasy) bądź stanowiące zagrody dla wypasanych na polanach owiec i krów. Do obiektów pasterskich zalicza się także drogi pasterskie, wały kamienne wokół polan, mrażnice czyli skalne koszary, źródła wody, obiekty związane z kulturą duchową przebywających poza miejscem zamieszkania (kapliczki, drzewa rodzinne).

Często nie doceniamy roli ludzi, którzy przez kilkaset lat paśli w Tatrach owce. Obok trwałych obiektów, dzięki nim zachowały się także taniec, śpiew, ubiór oraz nazewnictwo tatrzańskie. To pasterze wymyślali zwyczajowe nazwy określające miejsca gdzie wypasane były kierdle owiec, które po wielu latach stawały się ogólnie przyjętymi, np. Hala Stoły, Mała Łąka, Wrótko. Od nazwisk baców, juhasów pochodzi szereg nazw szczytów, hal, dolin, przełęczy. Na podstawie przeprowadzonych z bacami rozmów dr Witold H. Paryski gromadził latami dane do nazewnictwa tatrzańskiego. Spuścizna ta oczekuje w TPN na ostateczne opracowanie i wydanie.

Szałasy

Głównym obiektem pasterskim na polanie był szałas. Był to zwykle kamienno-drewniany lub drewniany prymitywny budynek, który w okresie wypasu zamieszkiwali pasterze (baca, juhasi, honielnicy).

W okresie zasiedlania Tatr następowała także ewolucja szałasu pasterskiego. Najprymitywniejszym pomieszczeniem występującym na terenie Tatr były koliby naturalne. Były to większe, przewieszane skały bądź wnęki skalne. Dawały one pasterzom schronienie przed deszczem. Cała obróbka związana z przetwórstwem otrzymanego mleka przebiegała na wolnym powietrzu. Trzód pasterze pilnowali pod gołym niebem grzejąc się przy ognisku (watrze). Taka naturalna koliba jest w dolinie Pańszczycy. Budowano także szałasy (koliby) z wykorzystaniem naturalnych, skalnych ścian, do których dobudowywano pozostałe ściany i obiekt przykrywano deskami. Przykładem niech będzie jedyny istniejący do dziś szałas w dolinie Pięciu Stawów Polskich.

Ewolucja form tatrzańskich szałasów szła dwiema zasadniczymi drogami:

1. od kamiennej koliby nakrytej płaskim dachem z desek obciążonym od góry kamieniami do szałasu wysokogórskiego typu „tatrzańskiego”. Zmiana kon-

strukcji sochowej na krokiew, a co za tym idzie stromsze nachylenie połaci deskowego dachu, przyczyniło się do wprowadzenia sztywnego jarzma, na którym bez trudu można założyć balast kamienny.

2. od namiotowego dachu sochowego, którego połacie wykonane z desek opierają się bezpośrednio na ziemi, a później na niskich ściankach zrębowych. Spadek dachu jest tu od początku dość stromy. Nie ma tu połaci obciążonych kamieniami, gdyż wobec bardzo niskich ścian podrywające działanie wiatru staje się mniej niebezpieczne. Ten cykl rozwojowy jest charakterystyczny dla Tatr Zachodnich.

Obecnie na terenie Tatrzańskiego Parku Narodowego występuje wciąż ogromne bogactwo architektonicznych form szałaśniczych – od form półskalnych, poprzez tworzenie różnych form przejściowych, do form zupełnie podobnych do stałych siedzib.

Zróżnicowany był także sposób zabudowy polan i pastwisk w zależności od ich położenia. W strefie hal wysokogórskich (ponad 1700 m n.p.m.) występowały pojedyncze baczki (koliby) kamienne. Były one najczęściej jednoizbowe. Tam wypas był prowadzony bezładnie. Koszary stanowiły mraźnice. Za przykład może służyć Hala za Mnichem. Nieco poniżej (1400–1700 m n.p.m.), gdzie prowadzony był także wypas, szałas budowane z drewna rozrzucone były bezładnie, jak to widać na przykładzie Hali Gąsienicowej. Inaczej wyglądała zabudowa polan położonych jeszcze niżej (900–1400 m n.p.m.), użytkowanych kośno-pastwiskowo. Tutaj zabudowa stała się planowa, a zgrupowanie szałasów możemy po-



Te zabytkowe szałas są stale konserwowane przez TPN. Fot. J. Chmiel

dzielić na kilka typów: uliczny, szeregowy, rzędowy, grupowy, okólny oraz na szałas rozrzucone pojedynczo jak na Rusinowej Polanie, Kalatówkach, Kominiarskiej Niżniej. Odmienny typ zabudowy mają polany, na których znajdują się tzw. wsie letnie, np. Chochołowska.

Na terenie Tatrzańskiego Parku Narodowego istnieje obecnie 78 szałasów, z czego 13 (8 bacówek, 5 stajni) jest użytkowanych przez baców prowadzących wypas kulturowy. Inne, nie wykorzystywane obecnie szałas, zrosnięte z krajobrazem, są przedmiotem troski TPN, który w ramach operatów ochrony bogactwa kulturowego prowadzi ich renowację.

Szałas, jako wielka wartość kulturowa, zostały wpisane do rejestru zabytków. Decyzje w tej sprawie wydał w latach 1978–1979 Wojewódzki Konserwator Zabytków ówczesnego Urzędu Wojewódzkiego w Nowym Sączu. W latach 1995–2001, pod nadzorem Głównego Konserwatora Zabytków, Tatrzański Park Narodowy wyremontował 36 szałasów.

Inne budowle i obiekty pasterskie

Obok szałasów (bacówek) na polanach znajdują się inne budowle pasterskie stanowiące także swoiste zasoby kulturowe związane z wypasem. Są to:

- **szopy** na siano (fenile) – występują tam, gdzie prowadzona była gospodarka łąkowa (kośna);
- **stajnie** dla bydła i koni – występują tam, gdzie prowadzony był wypas bydła;
- **dojarnik** – dobudówka z dwóch lub trzech stron do szałas lub stajni służąca za schron dla owiec i użytkowana w czasie udoju owiec;
- **komornik** – daszek obok szałas-bacówki, pod którym suszyło się ser;
- inne przybudówki do szałasów jak budy dla psów, chorych jagniąt i owiec, jaty;
- **budki**, w których przebywają (śpią) juhasi, którzy w nocy pilnują stada owiec;
- **koszary** – stałe lub ruchome ogrodzenia dla owiec najczęściej wykonane z żerdzi. Owce przebywając w tych „ogrodzeniach” nawożą polanę (koszarowanie);
- **mrażnice** – stałe koszary, wykonywane z kamieni i gałęzi kosówki, charakterystyczne dla pastwisk gdzie trudno o drewno. Obecnie ślady mrażnic można znaleźć w dolinie Pięciu Stawów Polskich czy w dolinie Za Mnichem;
- **strągi** – ogrodzenia wykorzystywane w czasie dojenia owiec. Są z reguły dwudzielne. Mają w jednej ścianie tzw. okna, przez które owce wychodzą do dojenia. Często nad oknami jest jednospadowy daszek o konstrukcji sochowej.

Wały kamienne wokół polan

Wokół polan nie stanowiących współwłasności i głównie koszonych lub wypasanych przez bydło tworzyły się wały kamienne z kamieni usuwanych z ich powierzchni. Często była to też forma zaznaczenia granic wokół polany lub – jak na Polanie Chochołowskiej – także wzdłuż własności (miedze). Są one widoczne do chwili obecnej i stanowią widoczny ślad sposobu użytkowania terenu.

Drogi pasterskie

Dokładny przebieg szlaków najstarszych wędrówek pasterskich z Podhala w Tatry nie jest znany. Naturalnymi szlakami komunikacyjnymi były doliny rzek podhalańskich – Czarnego i Białego Dunajca oraz Białki. Nie były to jednak szlaki pasterskie. Ze względu na brak mostów, drogi te wiodły przez rozlewiska i kamieńce nadrzeczne i nie były odpowiednie dla przepędzania stad owiec, które wędrując na hale tatrzańskie musiały paść się po drodze. Właściwe szlaki pasterskie bieły grzbietami wzgórz podhalańskich do podnóża Tatr. Na terenie Tatr tworzyły sieć z krzyżującymi się lub częściowo pokrywającymi szlakami wędrówek dzikich zwierząt czy myśliwych, późniejszymi drogami hawiańskimi lub innymi.

Inny rodzaj szlaków stanowiła sieć dróg dojazdowych do szałasów, inny zaś sieć perci pasterskich w obrębie samych hal i powyżej. Szlaki powyżej szałasów powstawały najczęściej na skutek wydeptywania terenu przez stada i pasterzy w czasie przechodzenia na pastwiska. Pasterze tworzyli także szlaki poprzez przecinanie kosodrzewiny, budowanie mostków nad strumieniami, usuwanie kamieni, kucie stopni w skale, budowę sztucznych przejść progów skalnych i w poprzek zbyt urwistych lub osypujących się odcinków zboczy górskich. W Tatrach jest wiele przykładów na istnienie w przeszłości tego rodzaju szlaków. Często pasterskie ścieżki i pyrcie zostawały wykorzystane przy wytyczaniu szlaków turystycznych. Paryski ujął to tak: *Dziś pasterstwo w niektórych częściach Tatr przestało już istnieć, ale pozostały w użyciu wiodące przez Tatry szlaki, wytyczone setki lat temu kierpcami juhasów* [16].

Dowodem na istnienie stałych szlaków pasterskich są ludowe nazwy geograficzne: np. w Dolinie Jaworzynki – Siodłowa Droga, Siodłowa Perć, Turniowa Droga, Wyżniowa Droga; w Dolinie Małej Łąki – Perć popod Wielką Turnię, Schodki i wiele innych.

Świątki, kapliczki, kaplice

Z pasterstwem wiązały się niezwykle interesująca religijność i obrzędowość. Niemal każda ważna chwila, zdarzenie, czynność związana z gospodarowaniem na hali poprzedzone były specjalnym powiedzeniem (*dość u Boga wiac* – po udoju), wykonaniem stosownego gestu bądź mówieniem modlitwy. Ważne było aby *odcynić złe* oraz by maksymalnie obłaskawić duchy dobre. Za okazaną przychylność należało wyrazić wdzięczność.

Taki był początek kultu Matki Boskiej Jaworzyńskiej. Podobno w 1860 roku na Rusinowej Polanie pała owce 14-letnia dziewczynka, Marysia Murzańska, która zgubiła stado. Przestraszona pasterka z różańcem w ręku szukając owiec wołała: *Matko Bosko ka moje owiycy*. Wówczas ujrzała Jaśniejącą Panią, od której otrzymała obietnicę znalezienia owiec. Tak się też stało. Na pamiątkę w miejscu ukazania się umieszczono obrazek Matki Boskiej, później kapliczkę, a następnie zbudowano kaplicę, z której do dziś korzystają pasterze z Rusinowej Polany. Dziś świątynia ta, pod opieką Ojców Dominikanów, stała się bardzo popularna wśród stałych bywalców Tatr.

Z pasterstwem wiąże się także powstanie w 1952 roku kaplicy św. Jana Chrzciciela na Polanie Chochołowskiej. W jednym z szałasów pasterskich prowadzona była posługa kapłańska dla przebywających w górach pasterzy owiec i krów. Kaplica stale służy bacom i juhasom z Doliny Chochołowskiej, a także liczny turystom.

Nieszczęśliwe zdarzenia związane z gospodarką pasterską również były upamiętniane. Przykładem może być figura Matki Boskiej w Wąwozie Kraków. Na Saturnie zginął juhas, a jego rodzina postawiła tam figurę w naturalnej wnęce skalnej. W dolinie Jarzabczej jest krzyż poświęcony pamięci pasterza Pytlacowego. Podanie głosi, że mógł zginąć w czasie bójki o granice terenów pasterskich [5].

Do ciekawych należy historia związana z Jaskinią Juhaską. Około roku 1880 w pobliżu wejścia do tej jaskini zabił się juhas. Od tego zdarzenia powstała nazwa jaskini, a w miejscu znalezienia nieszczęśnika postawiono drewniany krzyż. Jeszcze w 1907 roku, kiedy mój dziad Stanisław Gąsienica Byrcyn poznawał wspomnianą jaskinię z Mariuszem Zaruskim, resztki krzyża były widoczne.

Zresztą każda polana ma jakąś swoją historię, a rodziny związane z pasterstwem – miejsca szczególnie ważne dla nich zarówno w przeszłości jak i obecnie.

Zwyczaje związane z wypasem

Poza trwałymi materialnymi zasobami kulturowymi chronionymi prawnie na terenie Tatrzańskiego Parku Narodowego istnieją także inne wartości związane z wypasem, które nie są łatwe do uchronienia jak gwara, nazewnictwo, śpiew, wiersze, taniec, gra na piszczałkach czy kozach (dudach), przesady itd. Są to także zwyczaje związane z wypasem, zarówno całoroczne jak i te, które składają się na codzienne życie pasterzy, np. związane z produkcją oscypka.

Obecne zwyczaje w ciągu roku

Obecnie wypas prowadzony jest na terenie, który zabezpiecza baca. Mogą to być tereny wydzierżawione od prywatnych właścicieli lub tereny należące do Skarbu Państwa, jak w przypadku baców prowadzących wypas w Tatrach. Tatrzański Park Narodowy udostępnia polany odpłatnie (wartość 1/2 q żyta /1 ha = 21 zł /1 ha w 2001 r.). Podstawą wejścia na teren TPN jest umowa o wykonywanie wypasu kulturowego owiec i krów podpisywana z Parkiem.

Po zabezpieczeniu terenu na wypas (podpisaniu umowy z TPN) baca umawia się z gazdami w sprawie oddania owiec na wypas letni: *kielo* (ile) *dojek*, *jorek*, *ja-gniąt*, *baranów*.

W pierwszą niedzielę przed św. Wojciechem (23 IV) odbywa się Msza św. w Ludźmierzu w intencji dobrego roku dla pasterzy i ich stad (patronem pasterzy jest św. Wendelin). Uczestniczą w niej bacowie, juhasi i gazdowie z Podhala. Bacowie biorą wodę święconą do pokropienia stada i szałasów wiosną oraz łuczywo do wzniesienia *watry* (ognia) w szałasie. Ustalany jest termin i miejsce skąd wyruszy *redyk* wiosenny.

Z początkiem maja następuje wyjście ze wsi na przepaskę. Baca osobiście przejmując owce od poszczególnych gazdów. Owce posiadają znaki na uszach wykonane przez właścicieli w Wielki Piątek. Spędzone stado jest zamknięte w *kosorze* spiętym łańcuchem, aby owce trzymały się razem w czasie wypasu. Owce okadza się zielem poświęconym w czasie nabożeństwa w dniu Matki Boskiej Zielnej, następnie kropi wodą święconą z Ludźmierza, po czym następuje wyjście na wypas, tzw. *redyk wiosenny*.

W czasie redyku przodem jedzie załadowany wóz konny, wiozący wyposażenie szałas, jedzenie i wszystko co może być potrzebne na polanie. Stado prowadzi baca, psy – owczarki podhalańskie, a czasem też juhas. Owce są niespokojne, więc pozostali juhasi i *honielnicy* (chłopcy do pracy przysposabiani na juhasów) „zaganiają” i pilnują ich. Redyk idzie stosunkowo cicho, owce mają mało dzwonek: *fto ta wy jakie bedziy lato?*

Po dojściu na polanę do szałasów wchodzi pierwszy baca. Po otwarciu drzwi zdejmując kapelusz, żegna się i umieszcza nad nimi krzyżyk z *cetyny* (gałązka świerka) po czym kropi szałas święconą wodą, zaś łuczywem z Ludźmierza zapala *watrę* (ognisko). Watra musi palić się w szałasie bez przerwy cały sezon i dlatego baca kładzie obok ogniska *zawaterniok* (duży klocek drewna).

Po pierwszym udoju na polanie *cyto siy* (liczy się) owce. Dawniej, w pierwszym tygodniu wypasu właściciele przychodzili na polanę i wykonywali tzw. *mirowanie*. Było to ustalenie wielkości udoju. Każdy gazda sam doił własne owce i mierzył ilość mleka patykiem (*zamirek*), na którym przez zacięcie zaznaczał poziom mleka w *gielecie*. Taka sama ilość wody dawała wagę sera, którą baca musiał oddać właścicielowi. Obecnie właściciel płaci bacy za wypas.

Zgodnie z tradycją, do św. Jana (24 VI) owce doi się trzy razy dziennie. Kobiety (*baby*) w tym czasie nie powinny przychodzić *na salaś* (do szałasów), bo to przynosi nieszczęście (nie dotyczy to turystek).

*Juhasicek bydny
Nie obłapi nigdy
Owiyci paść musi
Choć go dziywce kusi*

Wypas trwa do św. Michała (29 IX), bo dawniej mówiło się, że *po Michale można paść i po powale*. Znaczyło to, że można wracać do wsi i paść wszędzie. Teraz nie ma takiej możliwości. W Tatrzańskim Parku Narodowym wypas kończy się Mszą w dzień św. Michała, która jest odprowadzana w kościółku na Wiktorówkach.

Po około dwóch miesiącach owce doi się dwa razy dziennie, pod koniec wypasu tylko jeden raz dziennie, a po Michale przestaje się doić i przychodzi czas powrotu do wsi. Po spakowaniu rzeczy (*sprzętu*), załadowaniu wozu i zrobieniu porządków opuszcza się szałas. Baca gasi watrę dziękując Bogu za szczęśliwe lato i zamyka szałas. *Cyto* owce, przypina im jak najwięcej dzwonek. Juhasi (kawalerowie) ozdabiają kapelusze *podstolem* (miesięcznica trwała, *Lunaria rediviva*).

*Pockojze se pockoj
Moje dziywce pockoj
Ino mi zakwitnie
Za kłabuckem podstol.*

*Pomału owiecki
Pomału dolinom
Nieke siy juhasi
Zyntycki napijom.*

Rusza redyk jesienny, który przeważnie jest wesoły, z daleka słyhać dzwonki, pogwizdywanie i śpiew juhasów.



Redyk jesienny z Wielkiej Polany Kuźnickiej. Fot. J. Chmiel

Napotkane znajome dziewczyny i dzieci otrzymują od juhasów tzw. *redykolki* (małe oscypki najczęściej w kształcie zwierząt).

Redyk dociera do wsi, przeważnie do domu bacy. Owce zamyka się w dużym kosorze. Rano schodzą się gazdowie, właściciele owiec, którzy oddzielają (*wyrucąjom*) swoje owce do małych kosorów ustawionych w sąsiedztwie dużego. Każdy zaznacza ilość swoich owiec karbem na *łyse* (płot z żerdzi – bok kosoru). Baca rozlicza się z właścicielami. Sprawdza ilość i wydaje osobiście owce w obecności pozostałych gazdów.

Po rozliczeniu i *wypłaceniu juhasów* następuje poczęstunek i właściciele wracają do swych domów.

Zwyczaj w ciągu dnia

Pobyt na polanie w czasie wypasu jest dla pasterzy okresem ciężkiej, codziennej pracy. Cały czas musi być nadzór nad powierzonym stadem. Zwierzęta trzeba paść, doić, bronić przed dzikimi zwierzętami (wilk, niedźwiedź, ryś), a mleko przetworzyć na sery. Za wszystko odpowiedzialny jest baca – swego rodzaju władca absolutny, któremu nie można się sprzeciwić. Ale to on odpowiada przed właścicielami owiec za każdą sztukę, organizuje pracę, zajmuje się sprzedażą wyrobów. Dawniej kiedy owca zabiła się na skałach lub została zagryziona przez drapieżnika baca musiał oddać skórę właścicielowi i wtedy nie płacił za owcę. Jeżeli owca zaginęła baca płacił. Na terenie Parku baca odpowiada także za szalas i kontakt z turystami.

Dzień zaczyna się o pobudkę około czwartej rano i po porannym wspólnym pacierzu wszyscy wychodzą do dojenia owiec. Owce doi się do *gielety* umytej i wyparzonej po wieczornym udoju. Doją: *baca* i *juhasi*, a nagania *honiylnik*. Po zapędzeniu ostatniej owcy do dojenia *honiylnik* mówi: *dość u Boga wiac*, a dojący odpowiadają: *panie Boze dej*.



Giełety. Fot. J. Chmiel

Po wydojeniu bacia z juhasami zanoszą mleko do szałas, przygotowują śniadanie składające się z chleba i *spyrki* (słoni-ny) wędzonej. Dawniej do picia była *zyntyca*, obecnie herbata lub kawa. Potem jedni idą paść owce, pozostali zmieniają w tym czasie położenie kosoru, noszą wodę, po którą czasem trzeba iść daleko oraz pomagają w szałasie przy wyrabianiu sera (*bundu*) i oscypków.

Produkcja sera

Wydojone mleko przecedza się do *pucyry* przez *satę* (lniany materiał), na którą kładzie się gałązkę świerka w kształcie krzyżyka. Z *pucyry* mleko przelewa się do miedzianego *kotlika* i podgrzewa na *watrze* (ognisko). Kotlik wisi na *jadwidze* (hak z drewna lub metalu).

Po podgrzaniu mleka (nie gotuje się) ponownie przelewa się je do *pucyry* i dodaje się *klogu* (wyciąg z żołądka młodego cielaka – podpuszczka). Obecnie podpuszczkę kupuje się w mleczarni. W czasie *kloganio* intensywnie miesza się zawartość *ferulą* – następuje wytrącanie sera. Po pewnym czasie cedzi się zawartość przez *satę*, na której osadza się wytrącony ser. Po długim obciekaniu otrzymujemy ser – *bundz*. Po sfermentowaniu (kwaśny ser) miele się i po dodaniu soli uzyskuje się *bryndzę*.

Otrzymaną „serwatkę” po przegotowaniu (*odwarzeniu*) przelewa się do *pucyry*. Jest to *zyntyca* (*zymbora*) ciepła, która po schłodzeniu i skwaszeniu nazywa się *zyntycą* kwaśną.

Produkcja oscypka

Wytrącony, lekko odsączony ser, nakłada się do *cyrpoka* będącego miarką i ręcznie ubija. Otrzymaną grudę sera formuje się ręcznie na kształt oscypka – *oscypki siy pucy*. Ponieważ ser twardnieje wsadza się go do kotlika z gorącą wodą nad *watrą*. Kiedy pod koniec wyciskania kształt jest uformowany, dla lepszego odcedzenia przebija się go patyczkiem lub



Forma (oscypiorka). Fot. J. Chmiel

cienkim drutem. Ostatecznie nakłada się formę i jeszcze raz wyciska, by dobrze odbiły się wzory.

Uformowany oscypek moczy się w *rosole* (nasycony roztwór soli kuchennej), a następnie układa na *podysorze* (półce) i wędzi w dymie z watry.

Po zakończeniu dojenia w południe jest obiad i następna zmiana idzie paść stado. Pozostali robią porządki, myją sprzęt, piorą itd. Wieczorem znów dojenie, produkcja, porządki, mycie i tak upływa dzień za dniem.

Jeden z juhasów (tzw. *cujka*) wraz z psami pilnuje owiec zamkniętych w koso-rze przez całą noc. Człowiek może schronić się przenośnej budce.

Dobrym uzupełnieniem opowiedzianej tu historii pasterstwa i związanych z nim obyczajów jest wiersz „W Miętusiej” napisany przez Stanisława Gąsienicę-Byrcyna. Ten syn słynnego przewodnika był juhasem, potem bacą, a także pisał wiersze gwarą [6].

„W Miętusiej”

*Pan Bóg z wami! I Duch Swaty!
Bier-ze chłopce, w gorść gielety.
Bo pudziymy doić, krocić
I na watre trza co wrucić,*

*By nie zgasała, zanim budziem
Owce w strondze naganiali,
Coby woda siy zagrzola,
By my rynce zwymywali.*

*Niek siy poli, niek nie zgaśniy,
Bo by z nami było płono.
Wejże dobry zawaterniok,
Wruć na watre, stary Jano.*

*Pošli doić, dojom długo,
Az nareściy podojyli,
A zatela ku kolybiy
Z dziedziny siy poschodziyli.*

*Posiadali koło strongi
I w salaśa patrzom dźwyrze,
Kiedy baca ik zawoło
I cy wołoł bedziy scyrze.*

*Włozyl syrek by ociekoł
Zaś zymbore w kotle warzy
Zamiysujonc jom pomału
I z ludziami głośno gwarzy.*

*Pyto siy ik, co fto woli:
Cy pić kisłom, cy syr zjodać?*

*Jakby fłory siy wymowioł,
To siy cisko, nie do godać.*

*Bo gościnnosc starodowno
Po salaśak do dziś zyji.
Z tyj przycyny w kozde świynto
Fto hań zońdziy, ciepłom pijy.*

*Pijom ciepłom, gwarzom troche
I w kolybiy siedzom długo.
Baca tys im dokwajujy,
Na oscypki forme strugo.*

*Rzeźbi forme, leko struze,
Za owcami w grań poziyro
I kozdy siy od kolyby
Pomalućku w dom wybiyro.*

*Pošli syćka do dziedziny,
Kolyba het spustosala,
Bo siy pora do klaganio
Wicersego przyblizala.*

*Podojyli, pozdajali,
Polygali spać na ławiy.
Syćka o to straśniy dbajonc,
By w juhaskiyy byli sławiy.*

Stanisław Gąsienica Byrcyn
– młodszy (1986)

PRAKTYKA WYPASU KULTUROWEGO NA TERENIE TATRZAŃSKIEGO PARKU NARODOWEGO

Wartość bogactwa kulturowego zawarta w tradycjach i obyczajach, związanych z pasterstwem jest dostrzegana przez Tatrzański Park Narodowy i chroniona. Kontynuacją dawnego pasterstwa jest prowadzony na terenie Parku wypas kulturowy owiec i krów. Podstawą takiego wypasu są umowy spisywane z bacami. Nad prawidłowym wykonywaniem tego zadania czuwa adiunkt ds. ochrony ekosystemów nieleśnych TPN (spotkania, kontrole) oraz terenowa Służba Parku.

Umowa

Umowy podpisywane są z bacami, którzy posiadają kwalifikacje (ukończony kurs bacowski) oraz w maksymalnym stopniu gwarantują przestrzeganie wszystkich zaleceń zawartych w umowie. Przy doborze baców bierze się pod uwagę także fakt, czy posiadają oni przepaskę, tj. dodatkowe pastwisko poza terenem TPN. Ważne jest także, aby baca prowadził wypas w rejonie, z którym jest związany emocjonalnie.

Podpisywana umowa o wykonanie ograniczonego kulturowego wypasu owiec i krów na polanach nie podlegających ochronie ścisłej w Tatrzańskim Parku Narodowym jasno i bardzo jednoznacznie precyzuje, czym jest wypas kulturowy. Określa również zasady gospodarowania na polanach. Poniżej podano niektóre warunki umowy pomiędzy TPN i bacami podpisywanej przeważnie na okres czterech lat.

1. Warunki etnograficzne

1. Wypas miejscowej rasy owiec górskich i krów rasy czerwonej polskiej przy pomocy psów owczarków podhalańskich.
2. Branie na wypas owiec (krów) własnych i byłych właścicieli polan (hal) tatrzańskich.
3. Przestrzeganie tradycyjnych obrzędów pasterskich: we wsi – przed wypasem, redyku, na polanie, w szałasie, umowy z właścicielami, osadu.
4. Posiadanie i używanie tradycyjnego sprzętu jak: gielety, pucier, obońki, rajtówki, putnie, kotlik, ferula, warzecha, czerpaki, lniane powąski, oscypiorki i parzenicorki.
5. Noszenie przez bacę i juhasów odzienia góralskiego (portki z parzenicami, kypce, biała koszula, cucha lub serdak, kapelusz, pas, spinka, ciupaga i torba; pasterki: koszula, spódnica, kypce, chustka, zapaska, gorset lub serdak). Ubiór ma być odświętny w niedzielę i święta i obowiązkowo w czasie redyku i osadu.
6. Posługiwanie się na codzień gwaraą góralską, używanie tradycyjnego nazewnictwa sprzętu.

II. Wymogi ochrony przyrody:

1. Wypas może się odbywać wyłącznie na polanie, zabronione jest wypuszczanie zwierząt na tereny leśne i inne nie objęte umową.
2. Przegony pomiędzy poszczególnymi polanami winny odbywać się najkrótszymi istniejącymi drogami. O terminie przegonów należy uprzednio powiadomić miejscowego leśniczego.
3. Na wypas mogą być brane tylko zwierzęta zdrowe, z poświadczeniem lekarza weterynarii o przeprowadzonym odrobaczeniu owiec i dokonaniu szczepień ochronnych psów.
4. Przed rozpoczęciem wypasu należy, w miarę potrzeby wg wskazań leśniczego, wykonać ogrodzenia od upraw leśnych i rezerwatów ścisłych.
5. Zabronione jest używanie nawozów sztucznych do użyźniania polan. Nagromadzony obornik przy wypasie krów, jesienią ma być użyty do nawożenia polan w miejscach stromych nie objętych koszarowaniem. Koszarowania należy zaniechać w pobliżu źródeł i potoków.
6. Baca obowiązany jest chronić wyznaczone na polanach powierzchnie badawcze.

III. Gospodarowanie na polanach

1. W szalasie należy prowadzić pełny wyrób produktów mlecznych, tj. bundzu i oscypków.



Bacowie prowadzący wypas kulturowy na terenie TPN.

Fot. J. Chmiel

2. Baca, juhasi i pasterki obowiązani są utrzymywać porządek i czystość zarówno we własnym wyglądzie zewnętrznym, jak i w szałasach, ich otoczeniu i na polanach. Wszelkie odpadki i nieczystości należy wywozić poza obszar TPN.
3. W okresie trwania wypasu baca powinien opiekować się wszystkimi szałasami zabytkowymi znajdującymi się na polanie. We własnym zakresie należy wykonywać remonty bieżące i konserwację użytkowanej przez siebie baczki i szałasów gospodarczych.

Obecnie na terenie TPN prowadzi wypas (podpisało umowę) siedmiu baców przy czym jeden z nich ma tylko przepaskę, tzn. prowadzi wypas okresowo.

Spotkania i kontrole

Zgodnie z umową wypas na terenie polan TPN może być rozpoczęty w momencie kiedy odrost traw ma wymaganą wysokość. Przypada to przeważnie na drugą połowę maja. Wtedy bacowie informują Służbę Parku o chęci zagospodarowania polany. Po wiosennym redyku następuje pierwsze spotkanie, w czasie którego sprawdzane są świadectwa szczepień zwierząt i poświadczenia służby weterynaryjnej o zdrowotności zwierząt oraz świadectwa zdrowia pasterzy. Wszystko to oraz wyniki ewentualnych kontroli w okresie wypasowym wykonywanych przez adiunkta nadzorującego wypas, nadleśniczych oraz leśniczych są wpisywane do tzw. „Książki Bacy”, która znajduje się w szałasie. Ewentualne uwagi o nieprzestrzeganiu warunków podpisanej umowy mogą być podstawą do jej zerwania.

Poza kontrolami Służba Parku spotyka się z bacami bądź w szałasie lub na konkursach pasterskich czy tzw. Dudaskach, które odbywają się w Muzeum TPN. Bacowie zapraszani są na te spotkania jako goście honorowi.

Dudaskie Ostatki

Elementem kultury pasterskiej są także muzyka i piosenki związane z życiem i pracą na polanach. Instrumentami typowymi dla pasterzy są: piszczałki (*piscolki*), skrzypce (*gęśle*) oraz koza czyli dudy. W lutym 2001 r. odbyło się czwarte spotkanie dudziarzy zorganizowane przez TPN oraz Związek Podhalań. Zapraszani są ludzie grający na kozach, dudach, gajdach z Polski oraz z zagranicy (Słowacja, Szkocja). Ponieważ jest to muzyka związana z pasterstwem, zaproszonymi gośćmi są między innymi także bacowie prowadzący wypas kulturowy na terenie TPN. Spotkania te nie mają charakteru konkursu lecz występów połączonych z prelekcją na temat historii powstania tego rodzaju muzyki oraz budowy instrumentów.

Konkursy pasterskie – szkolne, radiowe (Radio Alex)

Od czterech lat odbywają się coroczne konkursy pasterskie dla szkół ponadpodstawowych, organizowane przez Ośrodek Dydaktyczno-Muzealny TPN. W konkursach uczestniczą szkoły z gmin sąsiadujących z TPN. W roku 2001 w konkursie wzięło udział 10 szkół. W jury zasiadali przedstawiciele Muzeum

Tatrzańskiego, Związku Hodowców Owiec i Kóz z Nowego Targu, Związku Podhalan oraz bacowie prowadzący wypas na terenie TPN.

Pytania powtarzane są w radiowym konkursie (telefonicznym) w działającym lokalnie Radiu Alex. Ta forma konkursu także cieszy się dużym powodzeniem i spełnia pewną rolę dydaktyczną.

PODSUMOWANIE

1. Tatrzański Park Narodowy chroni zasoby przyrodnicze oraz kulturowe. Pasterstwo stanowi element kultury, który budzi wielkie zainteresowanie turystów i jest formą aktywnej ochrony istniejących półnaturalnych polan przed sukcesją lasu.
2. Utrzymanie polan półnaturalnych (chronionych czynnie poprzez wypas) daje możliwość prowadzenia badań porównawczych (na polanach chronionych biernie następuje sukcesja lasu).
3. Pasterstwo w TPN jest wysoko oceniane pod względem poziomu utrzymania tradycji w porównaniu z wypasem mającym miejsce poza Parkiem.
4. Powiązanie kulturowe – żywa kultura pasterska na początku XXI wieku jest pielęgnowana przez Podhalan i akceptowana przez turystów.
5. Produkcja wyrobów z mleka owczego: bundz, bryndza, oscypek, żentyca (słodka i kwaśna) prowadzona jest według starych zwyczajów. TPN uczestniczy w procesie uzyskania certyfikatu dla oscypka jako produktu rodzimego.
6. Wypas ma ekonomiczne znaczenie dla wielu rodzin (przy wypasie na terenie TPN bezpośrednio zatrudnione są 23 osoby, plus dochód dla właścicieli owiec).
7. Realizowana jest ochrona szałasów (poprzez utrzymywanie szałasów zagospodarowanych przez baców oraz pilnowanie niezagospodarowanych, znajdujących się na polanach wypasanych i w pobliżu).

Reasumując: przewaga pozytywnych oddziaływań pasterstwa przemawia za utrzymaniem wypasu kulturowego owiec i krów na terenie Tatrzańskiego Parku Narodowego w istniejącej formie.

We wschodnich Karpatach i na zachodzie – w Beskidach ta forma gospodarki oparta o tradycje wołoskie zanika. Olbrzymi postęp techniczny i rozwój gospodarczy w ostatnim półwieczu zmieniły zainteresowania ludności i sposób wykorzystywania dóbr przyrody. Dlatego hodowla owiec połączona z wędrownym wypasem w Tatrach Polskich należy chyba do ostatnich. Może się jednak zdarzyć, że zobaczycie kierdel owiec w Bieszczadach, w Jaworkach lub w Beskidzie Żywieckim. Wtedy okaże się, że owce przywiózł baca z Podhala.

Piśmiennictwo

1. Baranowski B.: Materiały do dziejów wsi polskiej, 1909, z. 1.
2. Cabalska M.: W: Dzieje Nowego Targu i okolic. Praca zbiorowa. Wydawnictwo Podhalańskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk, Nowy Targ 1991.

3. Chmiel J.: Kulturowy wypas owiec i krów w Tatrzańskim Parku Narodowym. W: Przyroda Tatrzańskiego Parku Narodowego a człowiek. tom III. Wpływ człowieka. Materiały I Ogólnopolskiej Konferencji, Zakopane 6–9.10.1995, Tatrzański Park Narodowy i Polskie Towarzystwo Przyjaciół Nauk o Ziemi, Oddział Krakowski, Zakopane – Kraków 1996, 86–89.
4. Dobrowolski K.: Studia Podhalańskie. Studia nad kulturą pasterską w Karpatach Północnych. Typologia wędrowek pasterskich od XIV do XX w. W: Pasterstwo Tatr Polskich i Podtatrza. Ossolineum, Wrocław 1970, 8, 98–121.
5. Gacek S.: Sacrum na szlakach tatrzańskich. Przewodnik. Stanmar, 2000.
6. Gąsienica-Byrcyn S.: Tatrzańsko Ziemi. Chemigraph, Chicago 1986, ss. 71.
7. Hołub-Pacewiczowa Z.: Osadnictwo pasterskie i wędrowki w Tatrach i na Podtatrzu, Prace Komisji Geogr. PAU, Kraków 1931, 1–508.
8. Kolowca J.: Wielki Redyk W: Pasterstwo Tatr Polskich i Podtatrza. Ossolineum, Wrocław 1961, 3, 115–135.
9. Kopczyńska-Jaworska B.: Badania nad organizacją wypasu w pasterstwie wysokogórskim na Podhalu. W: Studia i materiały do historii kultury wsi polskiej w XIX i XX w. Ossolineum, Wrocław 1958, 251–310.
10. Korosadowicz Z.: Szlaki pasterskie w tatrach Polskie. W: Pasterstwo Tatr i Podhala, red. W. Antoniewicz, 1962, t. IV, s. 80.
11. Kostrowicki J.: Polska, przyroda, osadnictwo, architektura, Arkady, Warszawa 1969, ss. 502.
12. Liberak M. A.: Dawne spory o własność i służebności w Tatrach. Nakładem Biblioteki Kórnickiej, 1926.
13. Liberak M. A.: Stosunki własności w Tatrach Polskich, Wierchy, 1926, 4, 37–47.
14. Liberak M. A.: Użytkowanie lasów wysokogórskich w Polskich Tatrach. Sylwan, 1929.
15. Mielczarek S.: Ograniczony, kulturowy wypas owiec i krów w Tatrzańskim Parku Narodowym. W: Parki Narodowe i Rezerваты Przyrody, 1984, 5, 59–66.
16. Paryski W. H.: Szlaki pasterskie w Tatrach i na Podtatrzu. W: Pasterstwo Tatr Polskich i Podtatrza. Ossolineum, Wrocław 1959, 1, 147–174.
17. Sokołowski M.: Paszenie w lasach i jego wpływ na życie lasu. Sylwan, 1929.
18. Sokołowski S.: Tatry jako Park Narodowy, Państwowa Komisja Ochrony Przyrody, 1923, 4, 1–24.
19. Śmiałowska Z.: Aktualne zagadnienia pasterstwa w TPN. W: Tatrzański Park Narodowy, pod red. W. Szafera, wyd. II, Zakład Ochrony Przyrody, Kraków 1962, 559–578.
20. Żurowski S.: Ludzie Tatr. W: Tytus Chałubiński – Tatry. Wyd. „Ostoja”, Kraków 1995.



Mnich. Fot. W. Kapturkiewicz

Podsumowanie

1. Dobrowolski B. "Mnich" do legendy w polskiej, 1907, 2, 1.
2. Dobrowolski M. W. "Mnich" do legendy w polskiej, 1907, 2, 1.
3. Dobrowolski M. W. "Mnich" do legendy w polskiej, 1907, 2, 1.

W POSZUKIWANIU WIEDZY O PRZESZŁOŚCI

DZIEWIĘĆ WYPRAW I EVEREST

Część I

Zbigniew Jaworowski

Alpinizm, w początku XIX wieku, wiązał się z nauką bardziej niż obecnie. Góry były obiektem zachwyty i grozy, wyzwaniem dla zdobywców i badaczy. Uczni wchodząc na skalne i lodowe drogi zabierali z sobą przyrządy naukowe i podejmowali problemy, które góry stawiały lub pomagały rozwiązać. Myślę, że w przyszłości alpinizm odegra podobną rolę w eksploracji pozaziemskich obiektów systemu słonecznego. W XX wieku nauka zesła w alpinizmie na plan dalszy, zdominowana przez czynnik sportowy i rekreację. Miałem to szczęście, że gdy skończyłem z taternictwem sportowym, mogłem do późnego wieku prowadzić badania naukowe na lodowcach w Tatrach i innych górach. Stało się tak, bo na początku lat sześćdziesiątych, chyba jako pierwszy w świecie, wpadłem na pomysł by wykorzystać lodowce do badania historii skażeń atmosfery globu radionuklidami i metalami ciężkimi. Konsekwencją tego pomysłu były przeprowadzane w latach siedemdziesiątych wyprawy badawcze na lodowce Spitsbergenu, północnej i południowej Norwegii, Alaski, Alp Oetztałskich, Himalajów, Ruwenzori, Andów Peruwiańskich i Antarktydy. Był to program badań obejmujący niemal wszystkie najważniejsze rejony świata, dotąd nie powtórzony. Jego najcenniejszym owocem była niepoprawna politycznie informacja, że w skali globu głównym czynnikiem skażenia atmosfery metalami ciężkimi jest Natura, a nie działalność człowieka. Jak się to stało, opowiem.

ZACZEŁO SIĘ W TATRACH

Pomysł wpadł mi do głowy, gdy wspinając się przed laty w Tatrach i górach Arktyki, zapamiętałem widok lodowców z ich warstwami lodu, corocznie tworzonymi przez zimowy śnieg, które lato oddziela od siebie cienkimi liniami pyłów opadających z atmosfery.

Około roku 1960 mieliśmy w Instytucie Badań Jądrowych w Krakowie opracowane czułe metody oznaczania promieniotwórczych izotopów, nadlatujących nad Polskę po próbnym wybuchu broni jądrowej w Kazachstanie, na Nowej Ziemi, w Nowadzie i na Pacyfiku. Świat przeżywał właśnie apogeum szaleńczego wyścigu zbrojeń atomowych, a Polska była jednym z najbardziej narażonych krajów. Niektóre manewry amerykańskich sił zbrojnych zakładały pierwsze odstraszające uderzenia nuklearne nie na miasta sowieckie, lecz na Warszawę, Poznań i Łódź. Staraliśmy się poznać sposoby ochrony ludności przed bronią jądrową, a także niektóre tajniki jej konstrukcji. Analiza składu izotopowego opadających na nas radioaktywnych pyłów umożliwiała śledzenie rozwoju jej technologii.

W roku 1962 zauważyliśmy, że każdej podwyższonej koncentracji cezu-137 w pyłe zebranym z powietrza lub z deszczem zawsze towarzyszy zwiększona ilość radioaktywnego izotopu ołowiu-210. Cez-137 powstaje przy rozszczepieniu uranu lub plutonu w eksplodujących bombach jądrowych. Natomiast ołów-210 jest naturalnym radionuklidem, od prawieków przez Matkę Naturę wprowadzanym do atmosfery Ziemi. Skąd więc brał się ten pik ołowiu-210? Czyżby, tak jak cez-137, był produkowany w chwili wybuchu jądrowego? Wtedy sądziliśmy, iż mogłoby to oznaczać, że w pewnych bombach używane są wielkie ilości ołowiu, jako osłona bezwładnościowa, która chroni rozpalony do milionów stopni ładunek jądrowy przez milionowe części sekundy przed rozproszeniem w przestrzeni potworną siłą eksplozji. To zapewniałoby lepsze wypalenie uranu, plutonu lub wodoru, a zatem większy wybuch z tej samej ilości paliwa jądrowego. Jeden z izotopów ołowiu trwałego, ^{208}Pb , mógłby wtedy zamieniać się w ołów-210, gdyby w jego jądra uderzały kolejno dwa neutrony. Była to frapująca hipoteza, wiodąca ku sekretom broni atomowej. Hipoteza po wielu latach okazała się fałszywa, natomiast znaleziony zimą 1962 roku pik ołowiu-210 był prawdziwy. Wtedy jednak nie wiedzieliśmy tego i chcieliśmy zbadać, czy nie był on tylko przypadkiem. W tym celu należało zrobić analizę opadów z lat 1958, 1957 i 1954 w których przeprowadzano potężne eksplozje jądrowe. Okazało się, że z tych lat nie zachowały się w Polsce żadne próby opadu promieniotwórczego.

LODOWIEC W CIENIU MIĘGUSZOWIECKIEGO

Wtedy przypomniałem sobie maleńki lodowiec schowany w cieniu Mięguśzów nad Morskim Okiem, pod Przełęczą pod Chłopkiem, w którym roczne warstwy lodu są naturalnym muzeum przechowującym opady atmosferyczne z dawnych lat, wraz z zawartymi w nich pyłami. Zrozumiałem też, że wszystkie lodowce górskie i polarne są historycznymi księgami skażeń atmosfery. W Biuletynie Geologicznym z 1961 r. znalazłem pracę Szymona Wdowiaka z dokładnym opisem lodowca Pod Chłopkiem, w której autor oceniał, że wiek najstarszych warstw lodu może sięgać około 150 lat, a więc, że utworzył je śnieg padający w czasach napoleońskich. Sam zaś lodowiec, na co wskazywała wielkość jego moren, musiał istnieć co najmniej od 3000 lat.



Jaskinia w lodowcu pod Przełęczą pod Chłopkiem. Widoczne są boczne warstwy lodu.

Fot. Z. Jaworowski

Przygotowałem potrzebny sprzęt i w lipcu 1963 r. pojechałem do Morskiego Oka. Sprzętem były głównie 10-litrowe pojemniki z polietylenu, wtedy specjalnie sprowadzane z Francji. Było ich pod dostatkiem w Instytucie Badań Jądrowych, gdzie służyły do przechowywania radioaktywnych odpadów. Bez polietylenu i teflonu, bez nowoczesnych metod radiochemii, moje badania lodowcowe nie byłyby możliwe. Nie udałyby się również bez naszej kadry alpinistycznej, która wtedy wchodziła do światowej czołówki. Dzięki niej nie miałem żadnego problemu ze zdobyciem odpowiednich ludzi do wypraw lodowcowych. Ich wiedza i doświadczenie były gwarancją bezpieczeństwa.

Ledwie zajechałem pod Kurnik w Morskim Oku moskwiczem wyładowanym butlami, kilofami, łopatami, jedzeniem, paliwem, namiotami i wykonanym z czystego niklu sprzętem do poboru prób lodu, powitał mnie tubalny głos Zbigniewa Skoczylasa:

— A coś tu za kram przywiózł!

Spadł mi jak z nieba, bo nie znałem nikogo z kręcących się po M. Oku młodych taterników. Zbyszek natychmiast zgodził się, wraz z bratem Marianem, towarzyszyć mi w tej pierwszej wyprawie lodowcowej. Miałem nie tylko górę sprzętu w samochodzie, ale i niemal dowolną ilość pieniędzy na badania, zapewnianą mi przez profesora Edwarda Kowalskiego, mojego wspaniałego kierownika. Nie było żadnego problemu z transportem bagażu do Wielkiego Kotła Miegu-

szowieckiego. Wynająłem kilku taterników, którym płaciłem dniówki przewodnika pierwszej klasy.

„OSTRZAŁ” SPOD PRZEŁĘCZY

Piargi u stóp lodowca w Kotle Mięguszwieckim wystawione są na stały ostrzał kamieni spadających spod Przełęczy pod Chłopkiem i z Pośredniego Mięgusza. Pod osłoną większych głazów rozbiliśmy dwa namioty i przez wiele dni wykopywaliśmy studnię w górnych warstwach zerwy lodowca. Potem zeszedliśmy w głąb lodowej jaskini, która przecina od góry do dołu całe jego cielsko. Najpierw ze ścian studni, a potem z sufitu jaskini, pobraliśmy dwanaście prób lodu, z których najstarsze pochodziły z końca lat czterdziestych. Lód topiliśmy w naczyniach stalowych, oddzielnych dla każdej próby, a stopioną wodę wlewaliśmy do butli polietylenowych. Później w Świerku miałem oznaczyć w niej zawartość cezu-137 i ołowiu-210.

Około południa 29 lipca, podawałem z głębi studni stojącemu kilka metrów nade mną Zbyszkowi kolejną próbę lodu do stopienia. W tym momencie zobaczyłem chmurę spadających głazów lecącą wprost na nasze głowy.

— Kamienie!! — wrzasnąłem i stojąc przytuliłem się do pionowej ściany studni. Zbyszek skoczył pod rozwieszoną na hakach płachtę igelitową, co osłaniała topiące się próby. Głazy przysypały mnie powyżej kolan, zerwały i zmiażdżyły mi okulary, ale poza zadrapaniem skóry nic mi się nie stało. Zbyszka ocalił elastyczny igelit, który nie pękł pod spadającymi kamieniami. Po kilkunastu minutach usłyszeliśmy



Plk. Zbigniew Skoczylas pracuje fizycznie na lodowcu pod Przełęczą pod Chłopkiem (1963 r.). Fot. Z. Jaworowski

KRZYK TURYSTY

ze ścieżki prowadzącej przez Kazalnicę na Przełęcz Pod Chłopkiem. Przekazywał nam wołanie o pomoc rannego, silnie krwawiącego taternika, który znajdował się kilkaset metrów nad nami w ścianie Pośredniego Mięguszwieckiego Szczytu. Złapaliśmy linę, apteczkę, jeden młotek, ze trzy haki i biegiem dotarliśmy na przełęcz. Z Przełęczy trochę schodząc, trochę zjeżdżając obniżyliśmy się ponad przewieszony komin, skąd było już słychać rannego. Zbyszek pozostał w tym

miejsu, by móc ściągnąć mnie z powrotem, a ja zjechałem do końca liny. Rozwiązałem się i trawersując jakąś okropną zmurszałą i eksponowaną kruszyzną, dotarłem do skalnej półki ponad rannym. Siedział z dziesięć metrów pode mną obok dużego głazu, na platformie pokrytej lustrem tektonicznym. Z głowy ciekła mu strużka krwi. Jego towarzysz, Wojciech Chyła, odpadł wraz z wielkim blokiem około 20 metrów ponad platformą, uderzył płasko w płytę obok rannego i odbił się ku przepaści. Spadający blok przeciął linę łączącą wspinaczy, co uratowało jednego z nich. Bez własnej liny nie mogłem dostać się przez gładką pionową ściankę do rannego. Na szczęście było to w zasięgu rzutu młotkiem, który ranny przywiązał do swojej liny. Wciągnąłem go do siebie i założyłem mu opatrunek uciskowy na głowę. Był to Witold Piech z Krakowa. Okazało się, że pozostało przy nim wiele haków z karabinkami i około 20 metrów liny. Przywiązałem się do niej i z porządną asekuracją hakową doszliśmy do końca liny zwisającej z przewieszonego komina. Zbyszek Skoczylas wciągnął nas ponad komin i zaczęliśmy wspinać się na Przełęcz. Wtedy dotarł do nas Józek Uznański, spuszczaany na stalówce z wyciągarki umocowanej pod Przełęczą. Dopiero na drugi dzień, zjazdami od góry, udało się Toprowcom sprowadzić ciało Wojtka Chyły.

PIERWSZE NIEPOWODZENIE

Przez następne kilka miesięcy analizowałem próby. Okazało się, że zawartość cezu-137 i ołowiu-210 była w nich ponad dziesięciokrotnie niższa niż w opadzie zbieranym w Świerku. Topiąc lód utraciliśmy wszystkie pyły, które osadziły się na ściankach stalowych naczyń, a do polietylenowych butli przelaliśmy tylko czystą wodę. W ten sposób odkryliśmy coś, z czym potem stykaliśmy się na wszystkich lodowcach: w lodzie i śniegu od 50% do 100% izotopów radioaktywnych i metali ciężkich zawarte było zawsze w czarnym, tłustym lodowcowym pyłe, który przywierał do wszystkich naczyń. Pył ten znają dobrze ci którzy wspinali się po lodowcach: brudzi ich dłonie, buty i ubrania. Po tej nauczce zawsze zbieraliśmy dokładnie cały czarny osad, przylepiający się do ścian pojemników. Jednak inni badacze lodów zwykle nie zwracali na to uwagi i często publikowali zaniżone wyniki. Wtedy jednak, pod koniec listopada 1963 r., byłem zrozpaczony – cała nasza praca poszła na marne. Profesor Kowalski pocieszał mnie jak mógł, ale pomoc mogła tylko następna wyprawa.

DRUGA PRÓBA

Zadzwoiłem do Czeška Łapińskiego, by dowiedzieć się o warunki panujące nad Morskim Okiem. Było już po pierwszych opadach śniegu. Czesiek wyszedł na ganek ze swoją sławną lornetą czołgową i za chwilę oświadczył, że nasz wykop w lodowcu jest ciągle jeszcze widoczny i że nie jest lawiniasto. Na drugi dzień wcześniej rano wyjechałem do Morskiego Oka z Jankiem Chroboczkiem, moim siostrzeńcem, świeżo upieczonym fizykiem z Uniwersytetu Warszawskiego. Przyjechaliśmy do Morskiego Oka o drugiej po południu. Padał deszcz, który na wysokości lodowca zamieniał się w śnieg. Prognoza pogody była raczej fatal-

na. Postanowiliśmy wyruszyć natychmiast. Uzbrojeni w latarki elektryczne i pożyczoną od Czeška lampę naftową, już po ciemku dotarliśmy do wykopanej w lipcu studni. Była zasypana świeżym śniegiem, który łatwo odkopaliśmy. Przy świetle latarek pobraliśmy próby lodu wprost do butli, wbijając go plastikowym ubijakiem przez nikłowy lejek. Był to lód z lat 1952, 1956, 1958 i 1959. Do schroniska wróciliśmy koło godziny czwartej rano, a wieczorem byliśmy już w Warszawie.

Teraz już nie czekałem aż lód stopi się lecz szybko przesypałem go do wielkich zlewek ze szkła pyrexowego. Butle porozcinaliśmy i z ich ścian zebraliśmy wszystek czarny pył. Po odparowaniu wody, osad i pył rozpuściliśmy w kwasach. Wtedy otrzymaliśmy następujące wyniki:

Tabela 1. Stężenia radioaktywnego ołowiu i cezu w lodowcu pod Przełęczą Pod Chłópkim.

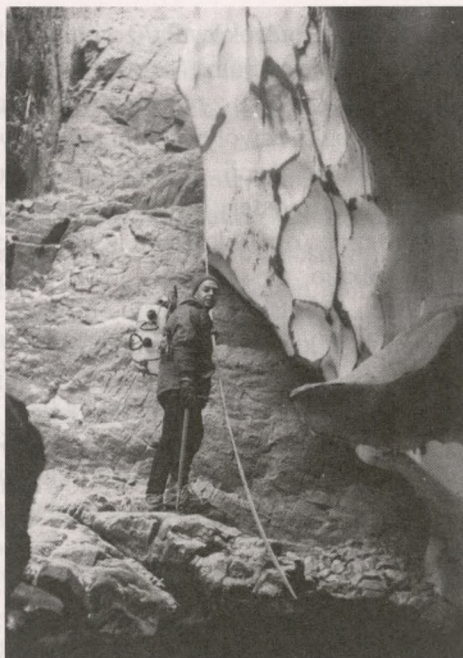
Rok	Ołów-210 (picocurie/litr)	Cez-137 (picocurie/litr)
1952	2,6	9,0
1956	2,4	4,7
1958	9,0	16,3
1959	23,1	24,5

Był to już początek grudnia. Szybko napisałem krótką pracę, którą NUKLEONIKA zdążyła opublikować w grudniowym numerze 1963 r. Była to pierwsza publikacja na temat skażeń lodowców radioizotopami. We wnioskach stwierdziłem, że przyczyną korelacji między pikami cezu-137 i ołowiu-210 może być produkcja radioaktywnego ołowiu w wybuchach jądrowych. Wbrew temu co się teraz czasem czyta, można było w owych latach pisać w Polsce (jako jedynej w Układzie Warszawskim) dość swobodnie o radioaktywnych skażeniach z bomb jądrowych a nawet o ich konstrukcji, a także organizować jawne sympozja dotyczące zagrożenia ludności w wojnie atomowej.

SPOTKANIE Z TAJEMNICĄ

W ciągu następnych kilku lat wielokrotnie pobierałem próby lodu w Wielkim Kotle Mięguszwieckim, a także z lodowca znajdującego się w Jaskini Lodowej w Ciemniaku w Tatrach Zachodnich. W Świerku, a potem w Centralnym Laboratorium Ochrony Radiologicznej (CLOR), nauczyliśmy się oznaczać w nich śladowe ilości substancji radioaktywnych i kilku stabilnych metali ciężkich. Na wyprawach po lód towarzyszyli mi Olek Halpern, Jurek Honowski, Maciek Kuczyński i Zenek Węgrzynowicz. W czasie tych wypraw wypracowałem technikę pobierania i analizy prób lodu, którą wykorzystałem w latach siedemdziesiątych do badania skażeń atmosfery całego globu. Najstarszy lód z Groty Lodowej sięgał lat 1920-tych, a z lodowca Pod Chłópkim pochodził z roku 1861. W próbach tych oznaczałem nie tylko cez-137 i ołów-210 ale również rad-226 i ołów trwały. Wy-

niki opisałem w brytyjskim czasopiśmie *NATURE*. Najpierw w większym artykule w 1966 r. opowiedziałem o ołowiu-210 i podałem reakcję jądrową, która mogłaby prowadzić do jego produkcji w wybuchach jądrowych. Była to fałszywa ścieżka. Po wielu latach wykryłem, że radioaktywny ołów nie był wytwarzany w wybuchach jądrowych, lecz tylko przez nie rozpraszany w atmosferze. Wprowadzano go bowiem do bomb w zapalniku neutronowym (berylowo-polonowym) zwiększającym również stopień wypalenia plutonu i uranu. Otarliśmy się wtedy o jedną z bardziej strzeżonych tajemnic konstrukcji broni jądrowej. Potem, w krótkim doniesieniu w 1968 r. napisałem w *NATURE* jak w latach 1861–1966 zmieniał się poziom ołowiu trwałego.



Dr Aleksander Halpern. Wielki Kocioł Mięguszwiecki, przed zjazdem do jaskini w lodowcu (1968 r.). Fot. Z. Jaworowski

SKUTKI ROZWOJU PRZEMYSŁU

Prace te wykazały również, że pomiędzy rokiem 1880 a 1970 zawartość pyłów opadających z atmosfery na lodowiec Pod Chłopkiem, reprezentowanych przez rad-226, wzrosła w lodzie około 150 razy, a zawartość zwykłego ołowiu około szesnaście razy. Był to głównie efekt rozwoju przemysłu na Śląsku i w Czechosłowacji, skąd wiatry przywiewały pył z hut, elektrowni i fabryk. Wszyscy wtedy ogromnie obawiali się skutków zapylenia atmosfery. Jak zwykle straszili nas klimatolodzy, ale wówczas inaczej niż teraz: pyły wprowadzane do atmosfery przez człowieka miały zaraz doprowadzić do gwałtownego oziębienia i nowej epoki lodowej. Ja zaś pomyślałem, że jeżeli w Tatrach poziom toksycznego ołowiu wzrósł szesnastokrotnie, to pewnie tak samo albo bardziej wzrósł również w tkankach ludzi. Ta myśl mnie przeraziła.

TRAGICZNA PRZEPOWIEDNIA

Był to czas, kiedy powstawał Klub Rzymski i jego najważniejszy twór: książka „The Limits to Growth”. Dostałem ją w prezencie od United States Environmental Protection Agency (U.S. EPA), dla której stała się biblią. Książka ta wzbudziła lęki ogarniające cały świat. Są one dziwnie trwałe jeszcze dzisiaj, choć żadne z jej apokaliptycznych przewidywań się nie sprawdziło: woda w Bałtyku miała już od lat siedemdziesiątych mieć niemal zerowe stężenie tlenu i stracić zdolność podtrzymywania życia. Do roku 2001 lub wcześniej miały wyczerpać się światowe zasoby miedzi, złota, ołowiu, rtęci, gazu naturalnego, ropy, srebra, cyny i cynku. Powierzchnia ziemi ornej miała być w 2000 r. o 500 milionów hektarów mniej-

sza. Książka prorokowała, że po roku 2000 skażenie środowiska Ziemi wejdzie w fazę eksponencjalną, coraz szybciej dążąc do nieskończoności i prowadząc do globalnego kryzysu żywnościowego i automatycznego zatrzymania rozwoju ludzkości. Książka nawoływała do powstrzymania rozwoju technologicznego, do przejścia w stan stagnacji, określany jako „równowaga globalna”. Jako dowód wielkiego skażenia biosfery cytowano wyniki oznaczeń ołowiu w lodzie z Grenlandii. Była to praca opublikowana w 1969 r. przez trzech amerykańskich badaczy, z której wynikało, że stężenie ołowiu w opadach atmosferycznych zdeponowanych w lodach Grenlandii wzrosło 500 razy. Powoływali się w niej na moja publikację z 1968 r., w której twierdziłem, że przyczyną szesnastokrotnego wzrostu poziomu ołowiu w Tatrach jest prawdopodobnie spalanie węgla. Amerykanie natomiast twierdzili, że jest nią produkcja ołowiu i benzyna ołowiowa. Jak wykazałem wiele lat później wnioski Amerykanów były błędne, oparte zostały na źle przeprowadzonej analizie lodu. Popełnili bowiem ten sam błąd co ja w próbach lodu zebranych ze Skoczylasem w lipcu 1963 – stracili wszystkie pyły wraz z ołowiem.

WINNY WULKAN

Znalezione przez Amerykanów wyższe stężenie ołowiu w lodzie z 1965 r., pochodziło nie z benzyny ołowiowej, lecz z wybuchu wulkanu Gunung Agung w Indonezji, który w latach 1963–1968 spowodował największe od 1890 r. zapylenie atmosfery. W latach siedemdziesiątych, gdy pyły z Gunung Agung już opadły, a produkcja i zużycie benzyny ołowiowej dochodziła do swego maksimum, zawartość ołowiu w lodzie Grenlandii spadła do poziomu sprzed I wojny światowej. Jednak mimo tego, rysunek pokazujący gwałtowny wzrost ołowiu w lodach Grenlandii stał się podstawą wycofania benzyny ołowiowej w większości krajów świata. Stało się to kosztem przyszłych pokoleń, ponieważ do produkcji benzyny bezołowiowej zużywa się o 25% więcej ropy naftowej, oraz kosztem naszego zdrowia, ponieważ lotne substytuty ołowiu w benzynie są silnie rakotwórcze i wdychamy je przy każdym napełnieniu baku.

KOŚCI MÓWIĄ PRAWDĘ

Wszystkiego tego jeszcze nie wiedziałem, gdy w 1966 r. zobaczyłem, jak w lodowcu Pod Chłopkiem wzrosła zawartość ołowiu i postanowiłem zbadać, czy przypadkiem podobny wzrost nie nastąpił wśród ludności Polski. Około 70% ołowiu znajdującego się w organizmie człowieka gromadzi się trwale w kościach i pozostaje w nich po śmierci. Podobnie zachowują się niektóre inne metale. Dlatego kości są doskonałym materiałem do odtworzenia historii skażeń ludzi. Ale nie wszystkie kości zachowują się dobrze. Najlepiej te, które pochowano pod dachem w drewnianych trumnach, np. w kościołach i klasztorach, gdzie nie są wystawione na działanie wody gruntowej i kwasów. Z tego powodu zgłosiłem się do ks. Kardynała Stefana Wyszyńskiego z prośbą o zezwolenie na pobieranie do badań ludzkich kości z kościołów i klasztorów. Kardynał wystawił mi pisemne pozwolenie na pobieranie kości ze wszystkich obiektów sakralnych w Polsce. Po kilku la-

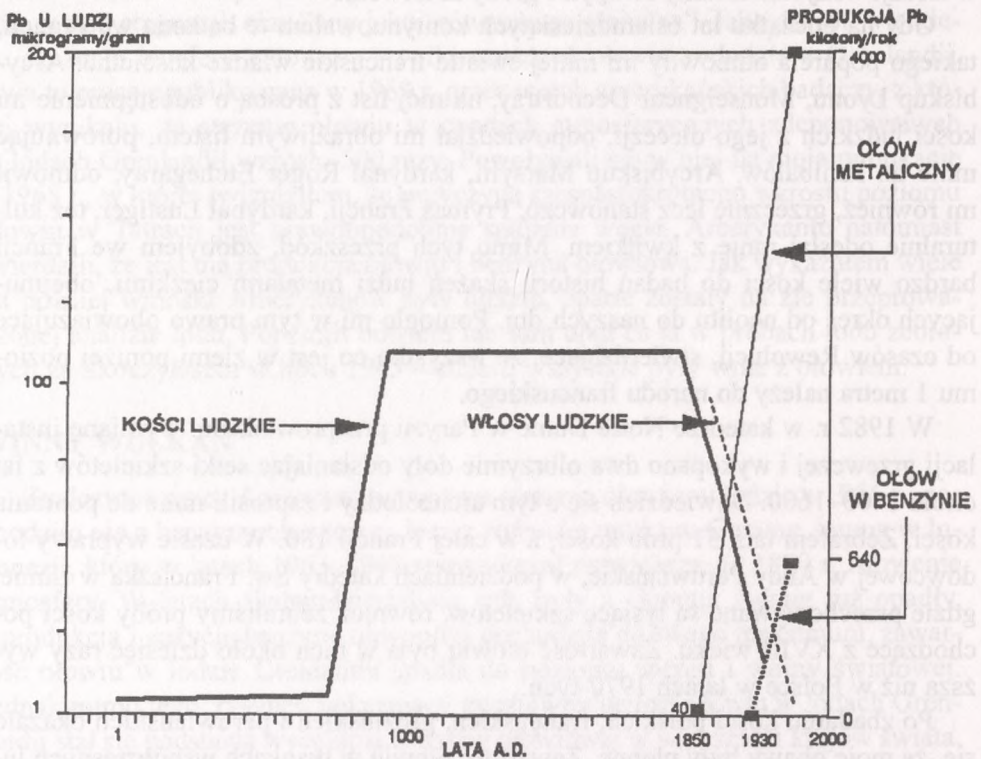
tach poprosiłem go o rekomendację w tej samej sprawie dla władz kościelnych Gruzji, gdzie zbierałem kości w 1970 r. Otrzymałem wtedy wspaniały dokument napisany po łacinie, z wielką zieloną pieczęcią kardynała, który otworzył mi w Gruzji wszystkie bramy świątyn i groby królewskie.

Gdy na początku lat osiemdziesiątych kontynuowałem te badania we Francji, takiego poparcia odmówiły mi mniej światłe francuskie władze kościelne. Arcybiskup Lyonu, Monseigneur Decourtray, na mój list z prośbą o udostępnienie mi kości ludzkich z jego diecezji, odpowiedział mi obraźliwym listem, porównując mnie do kanibalów. Arcybiskup Marsylii, kardynał Roger Etchegaray, odmówił mi również, grzecznie lecz stanowczo. Prymas Francji, kardynał Lustiger, też kulturalnie odesłał mnie z kwitkiem. Mimo tych przeszkód, zdobyłem we Francji bardzo wiele kości do badań historii skażeń ludzi metalami ciężkimi, obejmujących okres od neolitu do naszych dni. Pomogło mi w tym prawo obowiązujące od czasów Rewolucji, stwierdzające, że wszystko co jest w ziemi poniżej poziomu 1 metra należy do narodu francuskiego.

W 1982 r. w katedrze Notre Dame w Paryżu przeprowadzano wymianę instalacji grzewczej i wykopano dwa olbrzymie doły odsłaniając setki szkieletów z lat około 1400–1600. Dowiedzieli się o tym archeolodzy i zaprosili mnie do pobrania kości. Zebrałem tam 51 prób kości, a w całej Francji 180. W czasie wyprawy lodowcowej w Andy Peruwiańskie, w podziemiach katedry Św. Franciszka w Limie, gdzie przechowywane są tysiące szkieletów, również zebraliśmy próby kości pochodzące z XVIII wieku. Zawartość ołowiu była w nich około dziesięć razy wyższa niż w Polsce w latach 1970-tych.

Po zbadaniu kości polskich, francuskich, gruzińskich i peruwiańskich okazało się, że moje obawy były płonne. Zawartość ołowiu w tkankach współczesnych ludzi jest znacznie mniejsza niż była przez setki lat od średniowiecza aż do końca XIX wieku. W Polsce, w kościach sprzed 1800 lat, znalezionych w roku 1938 w jaskini w Kroczycach, koło Zawiercia, stężenie ołowiu wynosiło około 2 mikrogramy (μg) na gram kości. Ale opat benedyktyński z Tyńca, który żył w XI wieku, miał już ołowiu prawie 50 razy więcej: 92 $\mu\text{g/g}$ kości. Mnich z klasztoru w Tyńcu z XIII wieku miał w swych kościach ołowiu 318 $\mu\text{g/g}$ i aż do roku 1838 ludzie chowani w Krakowie w Kościele Mariackim, klasztorze Reformatów i w klasztorze kamedułów na Bielanach mieli w kościach zawartość ołowiu sięgającą 100 $\mu\text{g/g}$ lub wyżej. Dopiero w wieku XX, poziom ołowiu u ludności Polski zbliżył się ponownie do poziomu prehistorycznego, sięgając około 4 $\mu\text{g/g}$ kości. Ludzie skażali się dawniej ołowiem głównie przez brak higieny odżywiania: jedli z naczyń cynowych, które zawierały do 20% ołowiu i stykali się z ołowiem w swym bezpośrednim otoczeniu. Współczesny przemysł uwolnił nas od tej plagi. Te polskie wyniki opublikowałem w *NATURE* w 1968 r. Była to pierwsza praca przedstawiająca historyczne zmiany skażenia ołowiem populacji ludzkiej. W moje ślady, w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych, poszli badacze w wielu innych krajach.

Wyniki tej pierwszej pracy pomiarowej dotyczącej historii ołowiu w kościach ludzkich wskazywały jasno, że współcześni ludzie nie są skażeni ołowiem ze źródeł przemysłowych i przez samochody.



Rysunek 1. Trendy historyczne produkcji ołowiu oraz stężeń w kościach ludzkich i włosach. Od średniowiecza do końca XIX w. podostre zatrucie ołowiem osiągnęło rozmiary pandemii. Spowodowane to zostało powszechnym użyciem w gospodarstwach domowych ołowiu i jego stopów oraz stosowaniem związków ołowiu w lecznictwie. Spadek poziomu ołowiu w kościach ludzkich i włosach wystąpił w tym samym czasie, kiedy globalna produkcja metalicznego ołowiu wzrosła 100 razy, a produkcja benzyny ołowiowej od zera do 640 000 ton rocznie.

PROJEKTY BADAŃ

Publikacja w *NATURE* o kościach w Polsce i wcześniejsza, z 1966 r., o lodowcach w Tatrach, a także inne prace które opublikowałem w *NATURE*, *HEALTH PHYSICS* i w innych czasopismach, spowodowały, że U.S. Environmental Protection Agency zaproponowała mi w roku 1971 przeprowadzenie badań wpływu przemysłu na skażenie środowiska metalami ciężkimi i radioizotopami. Do Warszawy przyjechał przedstawiciel Agencji, Dr. R.J.M. Horton, z instytutu badawczego EPA – Triangle Research Institute – w Północnej Karolinie. Spotkał się ze mną i powiedział, że USEPA chce finansować moje badania. Odpowiedziałem, że muszę na to dostać zgodę moich władz. Zadzwoniłem do ówczesnego szefa tego

co obecnie nazywa się Państwową Agencją Atomistyki, Dr Jana Felickiego, który bez wahania wyraził zgodę.

Przygotowałem projekt badania wpływu przemysłu na skażenia środowiska i ludności w skali lokalnej, tzn. do odległości około 100 km od centrów przemysłowych, oraz w skali całej kuli ziemskiej. Na podstawie analizy prób lodu staro- i współczesnego miałem zbadać jak od czasów przed-przemysłowych zmieniła się w atmosferze zawartość ołowiu trwałego i radioaktywnego, radu, uranu wanadu, kadmu, rtęci oraz cezu-137 pochodzącego z wybuchów jądrowych. Mimo tego, że w kościach Polaków znalazłem dowód wskazujący jednoznacznie, że ta sama przyczyna – rozwój przemysłu – która spowodowała szesnastokrotne zwiększenie zawartości ołowiu w lodowcu Pod Chłópkim, uwolniła populację od trwającego całe wieki skażenia ołowiem (przez zwiększenie dobrobytu, poprawę warunków higienicznych, zastąpienie w kuchni cyny porcelaną, szkłem, aluminium i stalą nierdzewną) wierzyłem wtedy w to co wszyscy: że przemysł nas wytruje, a klimat się oziębi. Ale moim głównym, nie ujawnianym celem, było śledztwo w sprawie ołowiu-210 z bomb jądrowych.

W tym duchu napisałem projekt, a EPA była nim zachwycona. Jego wyniki miały bowiem uzasadnić sens istnienia Agencji. Jednak po latach, zakończenie projektu przyniosło jej zawód. Otrzymałem bowiem wyniki odwrotne od oczekiwanych: w XX wieku skażenia atmosfery ołowiem i innymi metalami okazały się mniejsze, niż w poprzednich wiekach (mniejsza bowiem była aktywność wulkanów), a ilość ołowiu wprowadzanego do atmosfery przez człowieka stanowi tylko około 7,4% ilości wprowadzanej przez naturę (Tablica 2).

Tablica 2. Strumienie metali do atmosfery globu¹.

Strumienie	U	²²⁶ Ra	Pb	Cd	V	Hg
Całkowity (kilotony/rok) (naturalny + antropogeniczny)	12	6,6	4870	590	180	190
Antropogeniczny (% strumienia naturalnego)	12	3,5	7,3	0,11	62	5,8

Projekt natychmiast zaakceptowano, a następnie, w latach siedemdziesiątych, jeszcze dwa następne, na łączną sumę 1.300 tysięcy dolarów US. Było to wtedy dużo pieniędzy. Po kilku miesiącach, gdy już przekazy dolarowe zaczęły wpływać na nasze konto, zostałem wezwany na rozmowę do wiceministra spraw zagranicznych Romualda Spasowskiego. Minister, w towarzystwie kilku doradców, pytał mnie jakie korzyści mogą mieć Amerykanie z finansowania nauki w komunistycznej Polsce, bo nikomu nie mieści się w głowie, że mogą robić to bezinteresownie. Powiedziałem mu, że on, jako dyplomata, winien to wiedzieć lepiej niż ja, oraz że prawdopodobnie jest w tym altruizm i chęć poparcia tej nauki, którą uwa-

¹ Z. Jaworowski, M. Bysiek i L. Kownacka: Flows of metals into the global atmosphere. *Geochimica et Cosmochimica Acta*, 45: 2185–2199, 1981.

zają za dobrą i potrzebną, a także chęć stworzenia wśród Polaków pozytywnego obrazu swego kraju. Raczej nie pod wpływem tej rozmowy pan Spasowski, już jako przedstawiciel Polski w ONZ, wkrótce wybrał wolność w Stanach Zjednoczonych. I tak się to zaczęło.

Wraz z kolegami z CLOR i Klubu Wysokogórskiego zorganizowaliśmy dziewięć wypraw w te regiony świata, które mogły dać wyniki najbardziej reprezentatywne dla całego globu (Tabela 3). Po zakończeniu projektu EPA zebraliśmy jeszcze śnieg ze szczytu Mount Everestu i lód z lodowca Zachodniego Khumbu. Większość innych badań zawartości metali ciężkich w lodzie lodowcowym przeprowadzono na Antarktydzie i Grenlandii, tj. tam gdzie atmosfera jest wyjątkowo czysta, gdyż dociera do niej jedynie drobny ułamek pyłów naturalnych unoszonych z nie pokrytych lodem lądów, oraz pyłów emitowanych przez człowieka. Aż do końca XX wieku nasze badania lodowcowe pozostały jedynymi obejmującymi tak szeroką skalę geograficzną.

Tabela 3. Zestawienie wypraw (* – kierownik wyprawy).

Rejon	Data	Lodowiec	Wysokość poboru prób (m n.p.m.)	Uczestnicy
Płd. Norwegia, Jotunheimen	31.08–30.09.1972	Storbreen	1750 i 550	Zbigniew Jaworowski* Krzysztof Cielecki Andrzej Gierych Zbigniew Krysa Edward Miranowski
Himalaje	25.08–1.11.1973	Cherku Langtang	5350 4500	Zbigniew Jaworowski* Krzysztof Cielecki Kazimierz Grotowski Zbigniew Krysa Maciej Kuczyński Wiesław Maczek Edward Miranowski Dawa Norbu Sherpa Donald T. Oakley Khadga B. Thapa Pasang Themba Sherpa
Spitsbergen, Hornsund	sierpień–wrzesień 1974	Korberbreen Hansbreen	400 100	Maciej Kuczyński* Andrzej Baliński Krzysztof Birkenmajer Krzysztof Małkowski Aleksander Nowiński
Austria, Alpy Oetztalskie	4.08–27.08.1974	Gurgler Ferner	3180 i 2970	Zbigniew Jaworowski* Krzysztof Cielecki Kazimierz Grotowski Zbigniew Krysa Wiesław Maczek Donald T. Oakley

Rejon	Data	Lodowiec	Wysokość poboru prób (m n.p.m.)	Uczestnicy
Uganda, Ruwenzori	3.01–22.02.1975	East Stanley Elena	4755 4511	Zbigniew Jaworowski* Krzysztof Cielecki Andrzej Gierych Zbigniew Krysa Maciej Kuczyński Wiesław Maczek
Peru, Cordillera Vilcanota	19.03–28.06.1976	Jatunjampa	5350 5050	Zbigniew Jaworowski* Jose Arenas Carrasco Stanisław Biel Krzysztof Cielecki Jerzy Honowski Zbigniew Krysa Wiesław Maczek Francisco Paucarmayta Celso Zuñiga Roca Adam Zyzak
Alaska, Mt. McKinley	4.07–5.08.1977	Kahiltna Ruth	2450 550	Zbigniew Jaworowski* Krzysztof Cielecki Tod Hinkley Raymond Johnson Zbigniew Krysa Maciej Kuczyński Wiesław Maczek
Pln. Norwegia, Svartisen	30.07–27.08.1978	E. Svartisen Austerdalen	1310 880	Zbigniew Jaworowski* Krzysztof Cielecki Tod Hinkley Zbigniew Krysa Wiesław Maczek Nicolai Spieldnaes
Antarktyda, Wyspa Króla Jerzego	1979	Znosko	300	Wiesław Maczek* Krzysztof Cielecki Zbigniew Krysa Jacek Piasecki
Himalaje, Khumbu Himal	17.02.1980	Mount Everest	8848	Andrzej Zawada* Leszek Cichy Krzysztof Wielicki
	10–20 05.1980	Zachodni Khumbu	6220	Andrzej Zawada* Krzysztof Cielecki

Początkowo planowałem tylko trzy wyprawy: na Spitsbergen, do Norwegii i Mongolii, czyli tam, gdzie było najbliżej do sowieckich i chińskich poligonów atomowych. Jednak w miarę otrzymywania wyników stało się oczywiste, że badaniami trzeba pokryć cały glob, a także, że nasze wyprawy są tak tanie, że budżet projektu to wytrzyma. Zmiana programu z trzech wypraw na dziewięć wymagała

trochę wysiłku, a także dobrej woli ze strony amerykańskich kontrahentów i Komisji Koordynacyjnej ds. Współpracy Polsko-Amerykańskiej przy Ministrze Zdrowia i Opieki Społecznej, której przewodniczył profesor Janusz Jeljaszewicz. Bez jego aktywnej pomocy nie dałoby się tego zrobić.

GDZIE NIE MOŻNA BYŁO

Nie udało nam się tylko pojechać na Nową Gwineę, gdzie są wysokie góry i wielkie lodowce. Ministerstwo Spraw Zagranicznych ze względów bezpieczeństwa odradziło mi wysyłanie wyprawy, toczyła się tam wojna partyzancka. Nie udało nam się również pojechać w Ałtaj mongolski. Napisałem w tej sprawie najpierw list do prezesa Mongolskiej Akademii Nauk, a potem do Komitetu Centralnego mongolskiej partii komunistycznej. Nikt mi nigdy nie odpowiedział. Wobec tego zacząłem organizować wyprawę w góry Afganistanu. Dostałem pozwolenie od rządu jego królewskiej mości, ale zaraz królewska mość została zdetronizowana, Afganistan dostał się pod wyzwolenie i pokój miłujące skrzydła Związku Radzieckiego, wobec czego nie dało się tam pojechać. Miałem dobre kontakty z indyjskimi naukowcami w Bhabha Atomic Research Centre koło Bombaju. Zgodzili się chętnie na wspólne zorganizowanie polsko-indyjskiej wyprawy w rejon Kulu w Himalajach. Jerzy Wala przygotował mi dokumentację kartograficzną i literaturę dotyczącą tego rejonu. Za jego poradą wybraliśmy jako obiekt badań duży lodowiec w dolinie Parbati, w rejonie miejscowości Pulga. Dzięki informacjom Wali wiedzieliśmy ile dni marszu mamy od ostatniej wsi do lodowca, gdzie wynająć kulisów, gdzie przekraczać potoki, płacić za transport bagażu, a ile Szerpom. Zbigniew Krysa, którego zaangażowałem do CLOR jako technicznego kierownika wypraw, przygotował cały sprzęt alpinistyczny i naukowy, żywność na trzy miesiące, wszystko pięknie spakowane w niebieskie bębny ładunkowe, a ja kupiłem ośmiotonową ciężarówkę Jelcz. Za kilka tygodni mieliśmy wyruszyć, gdy od moich indyjskich partnerów dostałem kopię listu indyjskiego Ministerstwa Obrony, w którym napisano, że ministerstwo zabrania nam przeprowadzenia badań lodowców w Himalajach Indyjskich. Niedługo potem Indie wykonały swą pierwszą eksplozję nuklearną. Sądzę, że wojsko obawiało się, że wykryjemy jej ślady w śniegach Himalajów i z ich analizy dowiemy się coś o konstrukcji ich bomby. Była to prawdziwa klęska.

A MOŻE NEPAL?

Wtedy, 14 lipca, odwiedził mnie wracający z Nepalu Dr. Larry Graves, biolog z The John Hopkins University w Baltimore. Gdy mu opowiedziałem o swoich kłopotach, powiedział mi, że na wjazd wyprawy do Nepalu nie potrzeba żadnych zezwoleń, wizę dostaje każdy kto chce w nepalskiej ambasadzie w New Delhi, a z lotniska w Katmandu można małymi samolotami dostać się wprost na prymitywny pas startowy (jak się okazało, małeńka łączka oczyszczona z glazów) w górnej części doliny Langtang, gdzie jest pełno lodowców. Tam wylądowali-

śmy w roku 1973, zamiast w Mongolii, Afganistanie czy Indiach. Ale najpierw, w roku 1972, wybraliśmy się na Lodowiec Storbreen w Norwegii.

Program badawczy nazwałem GLACIERS POLLUTION STUDY i na wszystkich wyprawach ten napis widniał zawsze na każdym kawałku naszego bagażu i na naszych autach. Dodawaliśmy do niego tylko nazwę kolejnej wyprawy; w Norwegii: Polish Expedition, Norway 1972.

1972: NORWEGIA – STORBREEN

Na pierwszy obiekt badań wybrałem lodowiec Storbreen w norweskich górach Jotunheimen, ponieważ był to wówczas chyba najlepiej poznany lodowiec na świecie. Norweski Instytut Polarny od wielu lat prowadził na nim systematyczne obserwacje glaciologiczne, co ułatwiło nam ustalenie wieku prób lodu. Już w latach 1950-tych i 1960-tych duńscy, norwescy, angielscy i amerykańscy uczeni badali w lodowych warstwach Storbreen'a zawartość radioaktywnego krzemu-32 i węgla-14, określając na ich podstawie wiek czoła lodowca na około 700 lat. Tu również po raz pierwszy w świecie oznaczono stężenie CO₂ w bańkach powietrza uwieczonych w starym lodzie. Swą popularność Storbreen zawdzięczał może swej mylącej nazwie, bo znaczy ona: Wielki Lodowiec, chociaż w rzeczywistości jest on maleńki. Odegrała w tym też rolę łatwa dostępność: samochodem można dojechać do ujścia bocznej doliny, którą spływa jego cieisko. W 1750 r. świat zaczął wychodzić z Małej Epoki Lodowej, która trwała od około 1350 do 1880 r., a średnia temperatura była w niej o 1°C niższa od obecnej, Tamiza w Londynie regularnie zamarała co roku, a w Centralnej Europie permanentne głody dziesiątkowały ludność. W tym to 1750 roku, czoło Storbreenu sięgało do tego ujścia, a pod nim przebiegała się jaskinią rzeka Leira, płynąca walną doliną. Już w 1840 r., czyli grubo wcześniej niż człowiek zaczął rzekomo ogrzewać klimat, Storbreen cofnął się o około 150 metrów, do roku 1888 o 300 metrów, a potem w ciągu 90 lat o dalsze 1200 metrów. Nie bądźmy zbyt zarozumiali: to nie my, lecz Matka Natura.

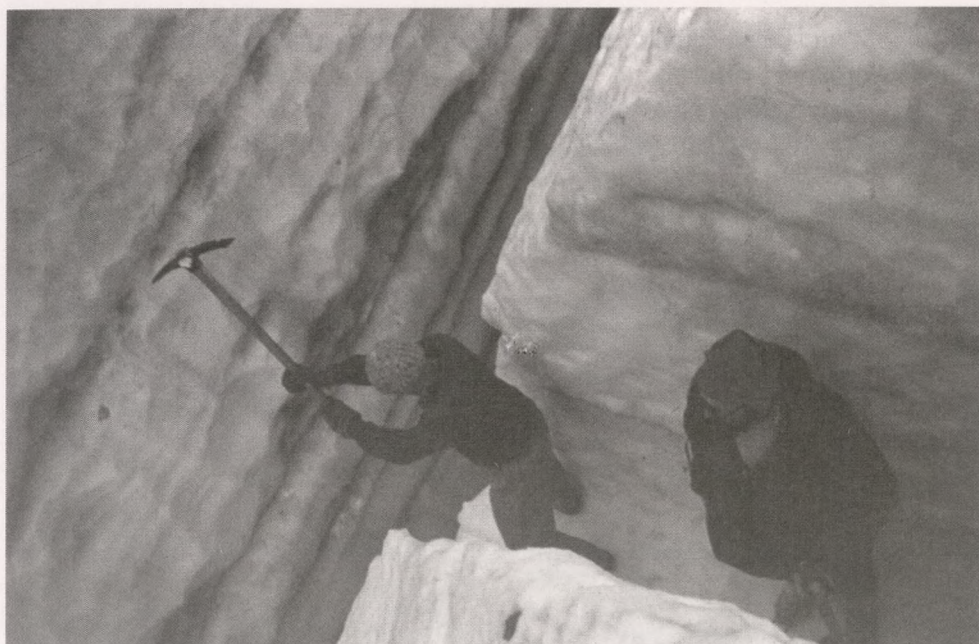
Od miejsca, w którym nad Leirą rozbiliśmy we wrześniu 1972 obóz bazowy, do czoła lodowca było tylko półtora kilometra i godzina marszu przez tundrę i polodowcowe dubrawiska, a około trzech godzin do szczeliny brzeżnej w stromym zboczu lodowym u stóp skalnej turni Kniven. W brzegu tej szczeliny wykopaliśmy dwunastometrową studnię. Z jej tylnej ściany pobraliśmy 18 prób lodu, z których każda ważyła około 16 kg. Potem przeniesliśmy się do niższej, starej części lodowca, gdzie dwadzieścia lat przed nami glaciologowie oznaczyli metodami izotopowymi wiek warstw lodu. W tej części lodowca pobraliśmy dziesięć prób lodu o wieku od około 200 do 700 lat. Najstarsze próby pobraliśmy z wnętrza małej jaskini, która powstała w czole lodowca, gdzie lód miał intensywnie niebieską barwę. Na lodowcu zaczynała się wtedy zima, było sucho i bezśnieżnie, wszystko jakby się zatrzymało, zniknął nawet pohukujący potok płynący spod lodowca.



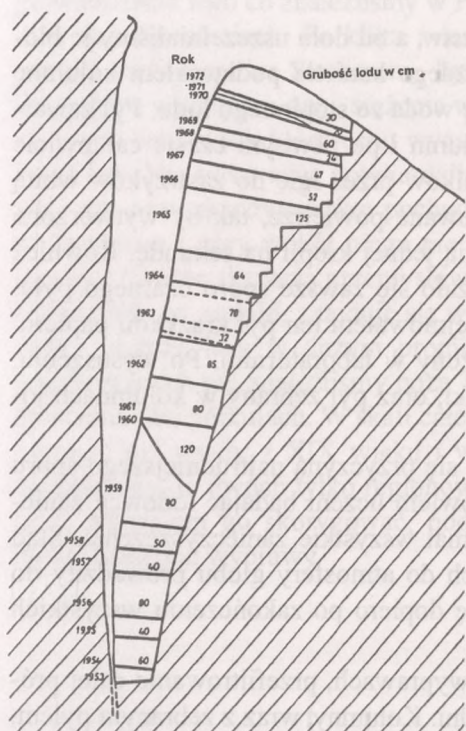
Obóz bazowy. W dali Lodowiec Storbreen.
Fot. Z. Jaworowski

JAK POWSTAWAŁY PRÓBKİ

Przed pobraniem próby odbijaliśmy „świętym” czekanem, wykonanym ze stali nierdzewnej, piętnastocentymetrową warstwę lodu. Z tak oczyszczonej powierzchni studni, tym samym czekanem wyrąbaliśmy próbę lodu obejmującą całą grubość rocznej warstwy. Urobek pobieraliśmy do „świętej” płachty plastikowej, a z niej „świętą” łopatą wykonaną z czystego niklu, przesypywaliśmy piarg lodowy przez „święty” (niklowy) lejek do polietylenowych kanistrów. Przez lejek lód przepychaliśmy dość brutalnie „świętym” tłuczkiem z masy plastycznej. Na tej norweskiej wyprawie i na wszystkich innych, wszystkie narzędzia używane do poboru prób nazywaliśmy „świętymi”, dla odróżnienia od innych łopat, innych lejków, innych płacht. Świętymi były dla nas dlatego, że musieliśmy wobec nich zachować szczególną czystość i uważać by ich nie skazić dotknięciem dłoni, oddechem, położeniem w nieodpowiednim miejscu itd. Przed wyjazdem z Polski wszystkie te narzędzia oraz polietylenowe kanistry, płachty, rękawiczki i worki były wielokrotnie myte detergentami, a potem kwasem solnym i azotowym, wodą destylowaną i dejonizowaną. Następnie każde narzędzie pakowaliśmy osobno w trzy worki z cienkiej folii polietylenowej, a potem w papier filtracyjny i w końcu w worek z grubego polietylenu. Podobnie czyściliśmy i pakowaliśmy 20-litrowe kanistry z polietylenu. Po użyciu narzędzia wkładaliśmy ponownie do worków polietylenowych. Uważaliśmy również by nie dotknąć pobieranego lodu niczym innym niż narzędziami „świętymi”. Na okrzyk: „Daj świętości!” zamienialiśmy



Kopanie szybu do poboru prób lodu w górnej części lodowca Storbreen.
Fot. Z. Jaworowski



Rysunek 2. Przekrój wykopu w szczelinie lodowca Storbreen, Norwegia.

się z górników głębiących kilofem i łopatami lodowy szyb, w pedantycznych chemików oznaczających śladowe ilości metali. Butle nie mogły być ponownie użyte do śladowej analizy. Spaliliśmy je, albo jak w Afryce, Himalajach i Andach, oddawaliśmy miejscowej ludności.

Stojąc na dnie studni napełnialiśmy lodem butle polietylenowe. Do tego celu były w nich powycinane otwory o średnicy sześciu centymetrów, zamykane gumowymi korkami umieszczonymi w worczech polietylenowych. Butle zwoziliśmy składanym toboganem do początku lodowca, a dalej znosiliśmy na plecach przez tundrę do Bazy. W namiocie laboratorium wydobywaliśmy butle z kilku warstw polietylenowych worków i ustawialiśmy „do góry nogami” na długim aluminiowym stelażu. Butle stały pod samym sufitem namiotu, w którym palnikami gazowymi lub naftowymi utrzymywaliśmy temperaturę ponad 25°C. W tym



Transport prób lodu na lodowcu Storbreen.
Fot. Z. Jaworowski

celu ściany namiotu zrobiliśmy z trzech warstw, a od dołu uszczelnialiśmy je blokami śniegu. Do „normalnego” otworu każdego kanistra podłączałem kolumnę jonitową, przez którą powoli przesączała się woda ze stopionego lodu. Pył zawarty w lodzie zbierał się w górnej części kolumn i po pewnym czasie całkowicie blokował wypływ wody. Wtedy do pojemników przez igłę do zastrzyków wbią w gumowy korek pompowaliśmy przefiltrowane powietrze, tak by wytworzone ciśnienie utrzymywało sączenie z szybkością jednej kropli na sekundę. Również na wewnętrznych ścianach kanistrów osadzało się zawsze sporo czarnego pyłu. Po przefiltrowaniu całej próby ostrożnie zdejmowałem ten pył krążkami papieru. Każdy z tych krążków był uprzednio zważony w laboratorium. Po wysuszeniu, w Warszawie, ponownie ważyliśmy te krążki, oraz pył zebrany w kolumnach jonitowych.

Z początkiem lat 1980-tych pył ten stał się przyczyną najtrudniejszego sporu naukowego w jakim brałem udział. Inni bowiem uczeni badając lodowce zaniebdali pył, a w nim właśnie zawarte są niemal wszystkie zanieczyszczenia. Stąd ich obliczenia ilości skażeń wprowadzanych do atmosfery globu prowadziły do znacznie niższych wyników. To okazało się dopiero po zakończeniu wszystkich naszych wypraw.

Na Storbreenie i na wszystkich innych wyprawach, przefiltrowanie całej próby zajmowało kilka godzin, a czasem kilka dni. Kolumny, wraz z zebrany pyłem, były najważniejszym „łupem” każdej wyprawy. Mieściły się w niewielkiej teczce i woziłem je przy sobie jako bagaż podręczny. Kolumny były zrobione z półprze-

źroczystych rur polietylenowych o średnicy 2,8 cm, długich na 30 cm. Mogły wyglądać trochę jak ładunki wybuchowe, co w 1977 r. skłoniło pewną pracownicę ochrony lotniska w Seattle, do zatrzymania całej powracającej z Alaski wyprawy i żadne papiery z waszyngtońskiej EPA, stwierdzające że ten towar jest O.K., nie były w stanie jej przełamać. Odgonił ją od nas dopiero szef ochrony, wezwany radiem przez przyjaznego policjanta, w ostatnich minutach przed startem samolotu do Europy.

NIE TYLKO PRÓBY ATOMOWE

W czasie tej pierwszej wyprawy norweskiej spodziewałem się znaleźć w lodowcu ślady odległych migracji skażeń, docierających tu z masami powietrza znad kontynentalnej Europy i Ameryki. Zakładałem, że to co znajdziemy we współczesnych warstwach lodowca Storbreen będzie odpowiadać średnim skażeniom Półkuli Północnej. Byłem daleki od przypuszczenia tego, co okazało się pod koniec wszystkich naszych wypraw: że większość ołowiu, cynku, kadmu, rtęci, radu i uranu zawarta w opadach atmosferycznych na obu półkulach pochodzi nie od przemysłu, lecz ze źródeł naturalnych, a współczesny lód jest mniej kwaśny niż opady zachowane w warstwach lodu sprzed kilkuset lat. Krótko mówiąc oczekiwałem, że znajdę potwierdzenie hipotezy głoszącej, że zanieczyszczenia Skandynawii pochodzą z Północnej Ameryki oraz Środkowej i Zachodniej Europy, oraz potwierdzenie tego co znaleźliśmy w Polsce: gwałtownego wzrostu skażeń w ostatnich dziesięcioleciach. Po kilku miesiącach, gdy już miałem gotowe wszystkie wyniki analityczne ze Storbreenu, byłem pewny, że znalazłem takie potwierdzenie, gdyż z wyjątkiem rtęci, stężenia wszystkich zbadanych metali były we współczesnych warstwach Storbreenu wyższe niż w warstwach utworzonych przed kilkuset laty. Nie tylko więc potwierdziła się hipoteza wzrostu skażeń w XX wieku, ale i ich poza-skandynawskie pochodzenie. Byłem bowiem święcie przekonany, że Storbreen i góry wokół niego nie mają żadnych sąsiadów emitujących do atmosfery lokalne skażenia przemysłowe. Teraz wiem, że blisko lodowca, około 40 kilometrów na zachód, znajduje się wielka fabryka aluminium, której trujące wydzieliny niszczą lasy w dużym promieniu, oraz że wzrostu skażeń w opadach współczesnych nie znaleźliśmy poza Tatrami i Jotunheimen na żadnym innym lodowcu na obu półkulach. W skali całego globu opady z lat 1950–1978 okazały się czystsze niż opady z XIX wieku i wcześniejsze. Zbyt zawężony obraz świata, ograniczony do dwóch tylko regionów, okazał się mylny i nadmiernie pesymistyczny. Musiałem go skorygować, pod presją pełniejszej informacji, którą przyniosły następne wyprawy.

1973: HIMALAJE

Powietrze wokół Ziemi krąży głównie z zachodu na wschód, a wraz z nim wszystko to, co przemysł Ameryki, Azji i Europy, a także wybuchy jądrowe, wulkany i naturalne pylenie lądów i oceanów wyrzucają do atmosfery. Gdy przyjechalismy w Himalaje myślałem tylko o skażeniach przemysłowych i wybuchach jądrowych. Zastanawiałem się: z Europy na wschód lecą zanieczyszczenia, lecz jak daleko? Czy w śniegach Azji, tysiące kilometrów od ich źródła, można je jeszcze wykryć? Jak ten transport ponad kontynentem Eurazji zmieniał się w ciągu ubiegłego wieku? Wyruszyliśmy zbadać to tam gdzie są najwyższe góry i lodowce nie tknięte stopą człowieka. Gdzieś indziej można było znaleźć bardziej dziewicze i czyste tereny jak nie w śniegach tych gór, na granicy Nepalu i Tybetu, gdzie niemal wczoraj jeszcze nie wolno było pokazać się Europejczykowi? Ale gdy znaleźliśmy się w u stóp lodowców ogarnęła mnie wątpliwość co do ich dziewiczości i czystości. Strome zbocza pokrojone były gęsto poziomymi ścieżkami jaków, wypasanych do wysokości ponad 5000 m, a z dna dolin, z piargów i polodowcowych sandrów wiatr podnosił wirujące kłęby pyłu i porywał je ponad ośnieżone siedmiotysięczniki. Mój zastępca do spraw naukowych, Dr. Donald T. Oakley, dyrektor Departamentu ds. Współpracy z Zagranicą U.S. EPA, patrząc na te pyły krzyknął:

— Look at those dust devils, they look like in your Silesia!

Choć był to już rok 1973, mieliśmy wielkie trudności ze zdobyciem dobrych map rejonu Doliny Langtang, położonej około 100 km na północ od Katmandu. Himalaje nie były jeszcze wtedy, tak jak teraz, terenem intensywnej polskiej działalności wysokogórskiej. Byliśmy drugą polską wyprawą w te góry, a pierwszą po wojnie. Jerzy Wala, jak zwykle niezawodny, dostarczył mi szkicową mapę niemieckiego alpinisty P. Aufschneitera z 1959 r., na której oznaczone były tylko cienkimi kreskami rzeki, a grubymi granie. W terenie nie mieliśmy z niej wiele pożytku, choć okazała się prawdziwsza od zupełnie fantastycznej mapy „turystycznej” kupionej w Katmandu. Mapą Aufschneitera posługiwali się piloci Royal Nepalese Airlines, wożący turystów wokół Mt. Everestu, Kanczendzengi itd., którzy uważali ją za najlepszą. Najlepszą mapę, wykonaną w 1972 r. przez A. Iozawa, otrzymałem w darze od Yoshio Amano z japońskiej ekspedycji alpinistyczno-kartograficznej, którego spotkaliśmy w górnej części Doliny Langtang, na hali Langshisa. W żadnych innych górach, gdzie pracowały nasze wyprawy, nie było takich.

KATMANDU

Zanim znaleźliśmy się w Dolinie Langtang, trzeba było pokonać maszynę biurokratyczną Rządu Jego Królewskiej Mości Mahendry, zmore wszystkich wypraw. Ponieważ moja wyprawa była projektem polsko-amerykańskim, mogłem korzystać z oficjalnej pomocy amerykańskiej ambasady w Katmandu. Dzięki temu udało mi się zdobyć pewien ówczesny rekord biurokratyczny. W Katmandu

założyłem „bazę” w hotelu Shanker. Był to trzeci w kolejności elegancji hotel w mieście. Płaciłem w nim 10,50 \$US za dobę ze śniadaniem. Wokół hotelu ogród otoczony murem, pięknie utrzymany, pełny kaktusów, suchorostów, tui, bugganwilli, w czerwonych i żółtych kwiatach. Kraj ten wydaje się rajem gdy siedzi się w takim ogrodzie, a łagodny wiatr i cień dają zapomnieć o upale, gdy zza drzew wyglądają góry i lasy dalekie, pod kumulusem pływającymi znad Indyjskiego Oceanu. Ale nie są rajem miasta tutejsze i wieś, z ich brudem i nędzą, z higieną na poziomie wieków średnich. Ludzie żyjący w brudzie i zatłoczeniu wydają się weseli. Nawet żebracy mają zadowolony i dostojny wygląd, zupełnie inny niż w Indiach, gdzie nędza jest straszna i ponura. Wszyscy ci kłębiący się po ulicach ludzie, wydają się otoczeni inną niż nasza atmosferą, jak gdyby aurą średniowiecza, zachowaną tu w sercu Azji, za barierami gór, wraz ze zgiełkiem, barwą i zapachem Wschodu, który pełny jest woni przedziwnych, tajemnic zapomnianych, lecących przez powietrze od gór najwyższych na Ziemi.

TARAPATY

Gdy 29 sierpnia zjawiłem się w ambasadzie amerykańskiej, powiedziałem, że ciężarówka z bagażem wyprawy i resztą uczestników zjawi się w Katmandu około 20 września, i że zaraz potem muszę wyruszyć do Langtangu, by zdążyć przed zimą. Ambasador Carleton Coon i pierwszy sekretarz Steve Ericksen złapali się za głowy:

— To niemożliwe – powiedział Ericksen – załatwianie zezwolenia na wyprawę alpinistyczną lub naukową trwa w Nepalu około roku, a w najlepszym razie sześć miesięcy. Absolutny znany mi rekord to trzy miesiące, a więc w naszym przypadku byłby to początek grudnia. Wyprawy naukowe są w gorszej sytuacji, bo wymagają więcej uzgodnień, z Ministerstwem Oświaty, Uniwersytetem itd., a każde uzgodnienie trwa po kilka tygodni. Na przykład – ciągnął Ericksen – jest tu właśnie wyprawa z Uniwersytetu w Berkeley, której przewodzi Dr. Fritz Staal, a która chce fotografować stare rękopisy nepalskie, bezcenne zabytki piśmiennictwa buddyjskiego i hinduistycznego, niszczone po klasztorach i świątyniach wskutek wilgoci i pleśni, oraz wyprzedawane turystom za grosze, nieraz po jednej kartce.

Fritz Staal czekał już cztery miesiące. Odwiedziłem go kilka dni potem, gdy właśnie wybierał się do kolejnego ministra, w krótkich spodniach, sandałach i rozchełstanej koszuli. Powiedział mi, że muszę się przyzwyczaić do tego, że moi rozmówcy w ministerstwach będą w czasie rozmowy pluć na odległość przez okno.

Ericksen stwierdził, że przypadku mojej wyprawy trzeba uzyskać zgodę Gabinetu Premiera, Ministerstwa Spraw Zagranicznych, Ministerstwa Handlu, Ministerstwa Finansów, Ministerstwa Oświaty, Głównego Urzędu Cei i rektora Uniwersytetu im. Króla Tribhuvana. Biurokracja jest podobno tak straszna, że po korytarzach tych ministerstw dokumenty wozi się taczkami.

— Niech Pan przetnie tę kolej w połowie i zacznie od Uniwersytetu. To jest wbrew regule i niepisanym prawom, ale my mamy swoje kontakty i poprzemy Pana.

Już wtedy ambasada otrzymała telegram od Henry'ego Kissingera, w którym oficjalnie polecał wspieranie naszej wyprawy, jako rządowego polsko-amerykańskiego projektu badawczego. Był to efekt działania Dona Oakleya i dyrekcji EPA w Waszyngtonie. Ale, jak sądzę, nie tylko potęga Ameryki i spryt Ericksena spowodowała to, że pozwolenie na wyprawę dostałem po piętnastu dniach.

Wytworzyła się trochę dziwna sytuacja. Oto facet z „komunistycznego” kraju, zjawia się w ambasadzie amerykańskiej i, ponieważ w Katmandu nie ma polskiej ambasady, żąda by yankesi zajęli się biurokracją jego wyprawy. Dostałem miejsce do pracy w ambasadzie, biurko i maszynę do pisania. Po drugiej stronie biurka siedział ponury młodzian, który nigdy nie odezwał się do mnie ani słowem, pisząc pilnie w małych zeszytach jakieś notatki, spoglądał na mnie ze zdecydowaną odrazą. Sądziłem, że był pracownikiem CIA. Dla niego nie istniałem. Ale wszyscy inni w ambasadzie, łącznie z ambasadorem i Ericksenem byli niezwykle przyjaźni i pomocni. Wystukałem na mojej maszynie niezliczoną ilość listów, zestawów bagażu wraz z cenami w złotych, dolarach i rupiach, uzasadnień naukowych celów wyprawy itp. Wszystko to posłańcy ambasady poroznosili do adresatów, a ja zjawiłem się z wizytą u dziekana Instytutu Studiów Nepalskich i Azjatyckich Uniwersytetu, Dr. Prayag Raj Sharma, który leżał w domu ze złamaną nogą. Otrzymał już uprzednio moją formalną suplikację i teraz tylko mileśmy sobie porozmawiali. Wręczyłem mu trochę darów, m.in. świeżo wydane angielsko-łacińskie *De Revolutionibus Orbium Celestium* i powiedziałem, że odwróciłem tradycyjną kolejkę i zaczynam od niego. Uśmiechnął się i powiedział:

— Może się Panu uda. Ja Pana poprę. Ale niech Pan najpierw wygłosi wykład na uniwersytecie i powie w nim to, co Pan mi tu opowiedział. Prasa o tym napisze, to pomoże Panu w ministerstwach.

Tak też zrobiłem. Wykład miałem coś za dwa dni, gazeta „The Rising Nepal” obszernie go streściła i napisała jak okropna Europa skaża atmosferę, oraz jak można to wykryć w śniegach Nepalu, itd. Tak oto puściłem w ruch maszynę biurokratyczną.

Po kilku dniach Ericksen wywiedział się, że mój list do dziekana Sharmy dotarł już do Wiceministra Spraw Zagranicznych Narayana Das Shrestra, który był najwyższą instancją wydającą zezwolenia na wyprawę (Gabinet Premiera zatwierdzał je tylko formalnie) i poradził mi, bym poszedł z nim porozmawiać. Chodząc przez kilka dni po urzędach i czekając w anteszambrach ministerstw zauważyłem, że europejscy i amerykańscy petenci ubrani byli dość swobodnie i niezbyt czysto. Ja wyraźnie od nich odbijałem, bo miałem na sobie garnitur i krawat, a buty czyściłem co dzień. Traktowałem mych rozmówców z szacunkiem i pokorą, a we wczesnej młodości pozbawiwszy się europocentryzmu, pamiętałem o ile starsza od naszej jest wysublimowana kultura półwyspu indyjskiego. Gdy więc w piątek 7 września zjawiłem się u Das Shrestry wyglądałem raczej elegancko. Po dłuższym oczekiwaniu wiceminister przyjął mnie i oświadczył cierpko, że należało zacząć od niego, a nie od Uniwersytetu, a już zupełnie oniemiał gdy powiedziałem mu, że powysyłałem pismka do wszystkich zainteresowanych ministerstw jednocześnie, a nie po kolei.

— To nie jest zgodne z naszymi zwyczajami – powiedział – należało to zrobić według właściwej kolejności i kompetencji. Co najmniej dwa miesiące trzeba na wstępne załatwienie sprawy tutaj, a potem po kilka tygodni w każdym ministerstwie. Jeżeli Dziekan Sharma da mi gwarancję Uniwersytetu, że cały bagaż wyprawy zostanie wywieziony z Nepalu do Polski, to wtedy zacznę myśleć o waszym zezwoleniu.

Wszystko to powiedziane zostało krótko, chłodno i z niechętnym dystansem. Wyniosłem się jak niepyszny. Trzeba będzie odczekać swoje miesiące! A miałem jeszcze załatwić zezwolenie dla wyprawy alpinistycznej Andrzeja Zawady, planowanej na następny rok. Postanowiłem wstrzymać się z tym na później.

Zaraz od wiceministra pojechałem do dziekana Sharmy, który wcale nie wydawał się zmartwiony moją opowieścią.

— Zaraz napiszę Panu gwarancję, i niech Pan z nią w poniedziałek jedzie do wiceministra, a ja podzwonię jeszcze gdzie trzeba.

Pobiegłem jeszcze do Ministra Oświaty, od którego dostałem list polecający, i z nim w rękę zjawiłem się we środę w MSZ, zapięty na ostatni guzik, pocąc się we wściekłym upale. Siadłem na długiej ławie w wielkiej poczekalni w tłumie innych petentów oczekujących w kolejce na przyjęcie. Czekałem dość długo patrząc na prace biuralistów, których stoliki poustawiane były pod ścianami. W pewnej chwili do sali wszedł sadhu – mąż święty, odziany tylko w kawałek białego płótna przepasujący mu biodra, z siwymi włosami pokrytymi szarym pyłem. Po kolei podchodził do wszystkich urzędników i kreślił im palcem na czole czerwony znak Sziwy, a na włosy sypał z miedzianej miseczki popiół zmieszany z barwnymi kruszynkami. Przeszedł także wzdłuż ławy czekających Nepalczyków, a gdy stanął przede mną z gestem zapytania, skinąłem głową przyzwalająco, a on pomalował mnie kraską i posypał popiołem, trochę tak jak posypuje wiernych chrześcijański ksiądz w środę popielcową. Gdy skończył ze mną, wszedł na chwilę do gabinetu wiceministra i odszedł długim korytarzem. Zaraz potem zostałem poproszony. Stanęliśmy naprzeciw siebie ze znakami Sziwy na czołach, z włosami w popiele, Das Shrestra i ja, złączeni na chwilę tą samą symboliką, nie znaną mi, nie wiedziałem bowiem jakie święto, jaka ofiara, posłużyły się znakiem ognia i popiołu, w który wszystko się zmieni. Wiceminister spojrzał na mnie z boku i miałem wrażenie, że moja akceptacja tej symboliki, jakby nim wstrząsnęła, coś jakby pękło, zniknął chłód który nas dzielił.

Das Shrestra szybko przejrzał dokumenty, które przyniosłem i oświadczył, że powinny wystarczyć do podjęcia najważniejszej decyzji, która będzie podstawą do zwolnienia z cła itd. Potem rozmawialiśmy o rzeczach ogólnych, o tym, że on wybiera się do Japonii, gdzie ma być ambasadorem Nepalu, o nadchodzącym kryzysie paliw, o tym, że w czasie wojny uczyłem się sanskrytu, oraz że po zakończeniu wyprawy chciałbym w imieniu Polskiego Klubu Wysokogórskiego prosić go o zezwolenie na dwie ekspedycje alpinistyczne Polaków w roku 1974. Na koniec Das Shrestra jeszcze raz stwierdził, że zastosowana przez mnie kolejność postępowania jest odmienna od ich zwyczajów i... że mimo tego podejmie decyzję w ciągu kilku dni.

Rozstaliśmy się, a za dwa dni z ambasady Stanów Zjednoczonych zadzwonił do mojego hotelu Ericksen, krzycząc radośnie do słuchawki:

— Doctor, it's incredible, you got the permit! Nikomu to się przed Panem nie udało w takim czasie.

Było to 14 września, a 18 dostałem do ręki wszystkie zezwolenia i dokumenty.

DO DOLINY LANGTANG

W tym czasie reszta wyprawy jechała już ciężarówką z New Delhi w stronę Katmandu, gdzie dotarła 20 września, dokładnie tak jak zaplanowaliśmy w Warszawie. Trzy dni wcześniej przedstawiono mi bardzo miłego Khadga Bahadur Thapa, młodszego wykładowcę z Zakładu Fizyki Uniwersytetu (obecnie jest dyrektorem Instytutu Meteorologii), który został zatwierdzony przez Gabinet Premiera na oficera łącznikowego wyprawy. Tego samego dnia wynająłem dwóch szerpów: młodszego Pasanga Themba i starszego Dawa Norbu, którzy przyszli ze swej wioski Tsamri Kharka, nad rzeką Solu, kilkadziesiąt kilometrów od Katmandu. Poubierani w jakieś stare stroje alpinistyczne, zniszczone buty na wibracie, wełniane spodnie i grube swetry, wyglądali dziwnie swojsko. Nie wiem czy dlatego, ale od pierwszego wejrzenia miałem z nimi bardzo dobry kontakt. Wyprawie oddali nieocenione usługi. W Królewskich Liniach Lotniczych wynająłem samoloty i w niedzielę 23 września o godzinie 7³⁵ rano, pierwszy samolot wystartował z lotniska w Katmandu do Doliny Langtang.



Karawana wyrusza z Langshisa. Fot. Z. Jaworowski

Monsun jeszcze się nie skończył, ale nie padało i chmury wisiały wysoko nad wzgórzami. Pierwszym samolotem polecili Krysa, Kuczyński, Pasang i ja, oraz 200 kg bagażu. Po 25 minutach lotu wylądowaliśmy na pustej łące, obok Langtang Kola toczącej bure lodowcowe wody. Naprzeciw pasa startowego, od strony północno-zachodniej wisiały nad nami śniegi Langtang Lirung (7234 m). Wyrzuciliśmy na trawę bębny ładunkowe i pilot natychmiast zabrał się do odlotu. Samolot mógł wziąć 500 kilogramów lub 6 pasażerów. Pas startowy miał może ze 100 metrów długości. Pilot ustawił samolot przodem w dół doliny i trzymając go na hamulcach rozpędził silnik do dużych obrotów. Nagle ruszył z miejsca, po 40 metrach wyskoczył w powietrze i zaraz zniknął w dole za progiem doliny.

Obok pasa startowego rozbiliśmy dwa duże, żółte namioty bazowe. Huk samolotu zaalarmował brog-pa, pasterzy mieszkających w kamiennych szałasach na halach ponad lotniskiem i mieszkańców najwyższej wioski w dolinie, przycupniętej obok Kyanchen Gompa – świątyni lamaistycznej, leżącej tuż pod nami, za wielkim wałem moreny czołowej, którą niegdyś zostawił lodowiec spadający z północnego stoku doliny. Już po kilkunastu minutach zbiegło z góry kilku górali w białych guniach wełnianych i portkach, dość podobnych do tego, co noszą juhasi na Podhalu i co można spotkać w całych Karpatach i w Grecji. O 9²⁰ przyleciał drugi samolot z Cieleckim, Miranowskim i Dawą. Potem chmury obniżyły się i więcej lotów w tym dniu już nie było. Następnego dnia, około godziny 10, przyleciał Thapa z kilkuset kilogramami bagażu. Następne samoloty doleciały dopiero po pięciu dniach, 28 września, kiedy z Cieleckim i Kuczyńskim zdążyliśmy już spenetrować i odrzucić możliwość pracy wyprawy w rejonie lodowca Shalbachum. Przeprowadziliśmy też rekonesans do odległości pięciu godzin marszu powyżej Langshisy, do dolnej części wielkiego lodowca Langtang. Po jego północnej stronie znaleźliśmy niewielką łączkę, którą nazwaliśmy RITA THANGA, czyli Kozia Łąka (wysokość około 5000 m). Stąd, boczna dolinka prowadziła do niewielkiego, bezmiennego lodowca, z płaskim polem akumulacji, zawieszonego w cyrku skalnym pod nie nazwanymi szczytami, których wysokość ocenialiśmy na około 6700 metrów. Lodowiec obrywał się pionową zerwą, na której przez lornetkę naliczyliśmy kilkadziesiąt rocznych warstw lodu. Wybraliśmy go do naszych badań i nazwaliśmy Cherku Glacier, Lodowiec Orli, od krążących nad nim orłów. Przy wschodnim krańcu Koziej Łąki schowało się wśród głazów niewielkie jezioro, pokryte w połowie krą. Wypływał z niego mały potoczek, tocząc się wzdłuż bocznej moreny Langtangu. Tu postanowiliśmy założyć bazę wyprawy.

Na hali Langshisa, założyliśmy obóz pośredni, do którego 30 września dotarła karawana 41 kulisów, a wraz z nią Kazimierz Grotowski, Wiesław Maczek, Donald Oakley, Khadga Thapa i Dawa Norbu. Na drugi dzień Krysa, Miranowski i Pasang przywieźli tu karawanę z resztą bagażu. W Langshisa rozbiliśmy namiot szturmowy, oraz dwa namioty bazowe. W jednym z nich zacząłem przyjmować chorych kulisów. Mielśmy bogatą aptekę, przewidzianą do udzielania prostej pomocy ludności. Kulisi, którzy od szerpów dowiedzieli się, że jestem lekarzem, przyszli tłumnie ze swoimi dolegliwościami. Większość chorych miała ropiejące rany skóry, wynik brudu i zakażeń po niewielkich skaleczeniach. Zakażenia były



Zwijanie obozu w Langshisa. Fot. Z. Jaworowski

nie do uniknięcia w warunkach w których żyli, przy niemal całkowitym braku higieny osobistej. Gdy kilku z nich wstrzykiwałem lekarstwa domięśniowo i podskórnio, po umyciu alkoholem ciemno-brązowej skóry, ukazywała się jasna plama, dowód że miejsce to nie było myte od lat. Łamało mi się serce gdy patrzyłem na tych biednych ludzi, którym była potrzebna nie jednorazowa czy kilkudniowa pomoc, lecz stała opieka. Przecinałem nabrzmiałe ropą wrzody na głowie, na udach, na stopach, dawałem antybiotyki w maściach na chorą skórę i w tabletkach tym, których dręczyły krwawe biegunki. Niektórzy kulisi mieli gorączkę i biegunkę, a przyszli do Langshisy z ładunkiem sześćdziesięciu lub więcej kilogramów. Nie było wśród nich ludzi starszych, co wskazywało, że średnia długość życia w ich wioskach jest taka jaka w Europie była do końca XVII wieku: około 30 lat.

W sumie, za transport 2500 kg bagażu od pasa startowego w Dolinie Langtang do bazy w Rita Thanga i z powrotem, zapłaciłem kulisom 446 \$US. Za jeden lot zwiadowczy nad Doliną Langtang (dolecieliśmy w pobliże ośmiotysięcznika Shisha Pangma, nad Przełęczą Tilmana przekroczywszy nielegalnie chińską granicę) zapłaciłem 152 \$US, za siedem lotów z Katmandu do Langtang 515 \$US. Cała wyprawa, łącznie z przejazdem ciężarówki z Warszawy do Katmandu i przelotami na trasie Warszawa–Katmandu–Warszawa, ale bez kosztów żywności i sprzętu zabranych z Polski, kosztowała mniej niż 10 000 \$US. Dla porównania: włoska, nieudana wyprawa na Mt. Everest z poprzedniego roku kosztowała około 200 000 \$US.

Pierwszego października Cielecki, Kuczyński i Dawa Nobu oraz dwudziestu pięciu kulisów zaniósł część bagażu na Rita Thanga i założyło bazę wyprawy. Zaraz potem spadł ciężki śnieg, 20 cm w Langshisa i 50 cm w Rita Thanga, który

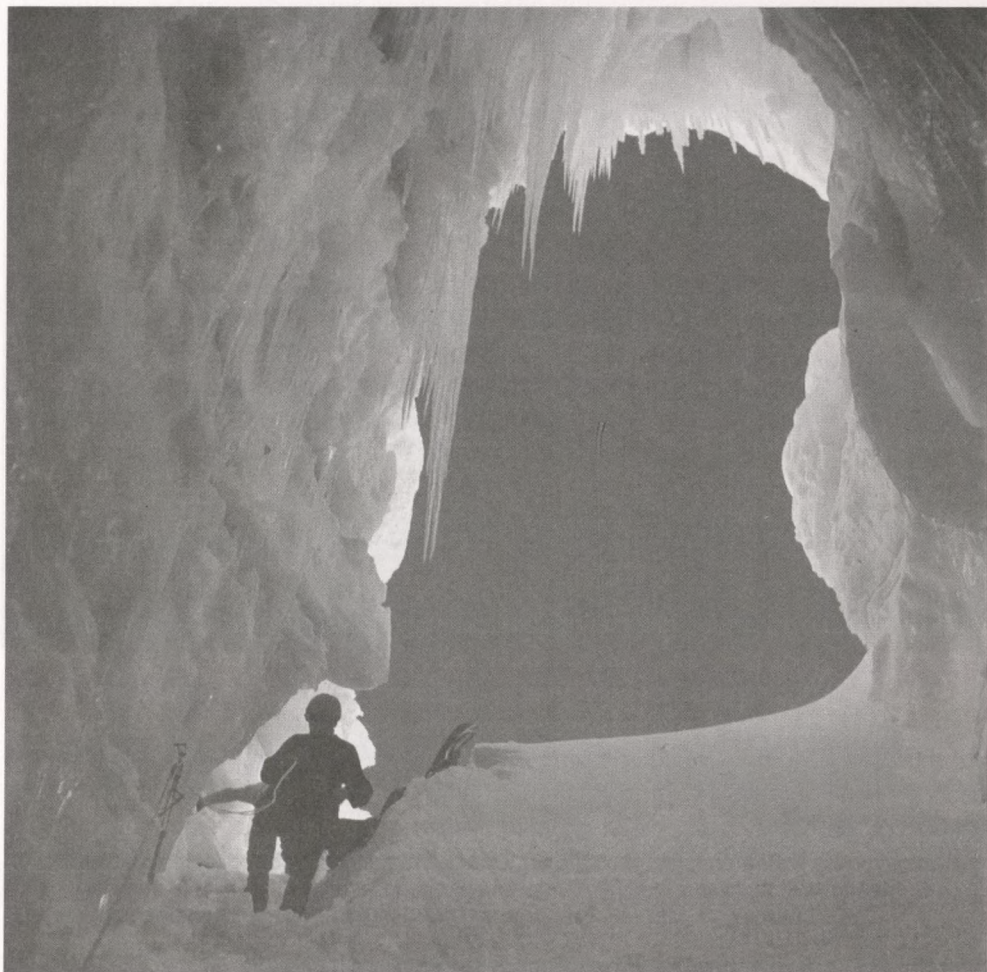


Baza wyprawy w Rita Thanga (ok. 5000 m), Dolina Langtang. Siedzą od lewej: K. Cielecki, E. Miranowski, Z. Jaworowski i K. Grotowski. Stoją od lewej: Z. Krysa, M. Kuczyński, D.T. Oakley, W. Maczek, K.B. Thapa, Dava Norbu i Pasang Thempa.
Fot. Z. Jaworowski

unieruchomił wszystkich w namiotach. Dopiero 5 października przetorowaliśmy dla karawany drogę do bazy, ale doszedł tam tylko Edzio Miranowski, ja i trzech kulisów (w tym dwie boscie czternastoletnie dziewczyny), a czterech innych porzuciło ładunki w połowie drogi. Dopiero na następny dzień wszyscy sahibowie, Thapa, Pasang i 84 kulisów, wraz z całym bagażem wyprawy, znaleźli się w bazie.

7 października Cielecki, Kuczyński, Miranowski i ja od wczesnego rana torowaliśmy drogę do stóp lodowca Cherku, wiszącego w bocznej dolinie nad obozem bazowym. Śnieg sięgał nam po biodra. Gdy stok zrobił się bardziej stromy nasze tempo zmalało prawie do zera.

Obóz II, na plateau lodowca Cherku (5350 m), założyliśmy 10 października. Był to początkowo tylko jeden namiot Turnia, rozstawiony przy brzegu wielkiej szczeliny. Zamieszkał w nim Cielecki, Kuczyński i ja. Następnego dnia spenetrowaliśmy lodowiec i okazało się, że szczelina tuż obok namiotu najlepiej nadaje się do pracy, była bowiem pierwszą, którą zupełnie płaski lodowiec zaczynał obrywać się ku dołowi. Rozpoczęliśmy kopanie szybu. Przez całą noc, następny dzień i nową noc burza śnieżna z piorunami trzymała nas w namiocie. Dobra,



Widok z wnętrza jaskini w strefie akumulacji lodowca Cherku (5350 m).
 Próby lodu pobiera Z. Jaworowski. Fot. Z. Jaworowski

bezchmurna pogoda nadeszła dopiero 13 października. Sprzed namiotu widać było Shisha Pangma (8013 m), tuż za granią oddzielającą nas od Chin. W tym dniu wykopaliśmy 11 metrów szybu, który sięgnął dna szczeliny. Tam odkryliśmy jaskinię lodową, prowadzącą w głąb lodu, odsłaniającą bardzo wiele dalszych warstw rocznych. Mieliśmy więc zakończone roboty górnicze i w ciągu jednego dnia wykonaliśmy pracę, na którą przeznaczałem sześć do siedmiu dni.

14 października, obok szczeliny rozstawiliśmy namiot-laboratorium i rozpoczęliśmy pobieranie i topienie prób lodu. Butle z kolumnami jonitowymi wygrzewały się na aluminiowym stole w laboratorium, a w jego przedsionku urządziliśmy kuchnię, gdzie Maczek przyrządzał wykwintne dania. Ja przeniosłem się ze spaniem do laboratorium, by pilnować topienia i kolumn. W dzień było upalnie, ale niemal natychmiast, gdy słońce chowało się za granią, temperatura spadała do -20°C . Gdy pobraliśmy 15 prób lodu i przefiltrowaliśmy siedem, 19 października,



Przenoszenie sprzętu z samolotu do obozu przy pasie startowym w dolinie Langtang.
Fot. Z. Jaworowski



Goście w obozie przy pasie startowym
w dolinie Langtang. Fot. Z. Jaworowski



Dolina Langtang. Transport w stronę
Lanshisa. Fot. Z. Jaworowski



Obóz II na lodowcu Cherku (5350 m.). Widoczne próby lodu obok namiotu-laboratorium oraz początek szybu do poboru prób. Fot. Z. Jaworowski



Lodowiec Langtang. Od lewej: K. Cielecki, M. Kuczyński i E. Miranowski w drodze po stary lód z okresu przed-przemysłowego. Fot. Z. Jaworowski



Pobór starego lodu.
Od lewej K. Kuczyński i E. Miranowski.
Fot. Z. Jaworowski



Namiet-laboratorium na lodowcu Cherku.
W. Maczek pompuje powietrze do butli
ze stopionym lodem Fot. Z. Jaworowski

Maczek i Grotowski pozostali w Obozie II aby dopilnować topienia i filtracji pozostałych, a Cielecki, Kuczyński i ja przenieśliśmy się do Bazy, by pobrać stary lód z lodowca Langtang. Przedtem jednak zmierzyłem kwasowość wody z warstw pochodzących z lat 1957–1972. Nie była bardzo kwaśna, wartość pH wyniosła około 6. Natomiast w bardzo starym lodzie, który zebraliśmy z dolnej części lodowca Langtang, kwasność wody sięgała pH 4. Podobne wyniki otrzymaliśmy również na innych lodowcach. Wielkie wybuchy wulkanów w XIX wieku i latach wcześniejszych wyrzuciły do powietrza więcej dwutlenku siarki, niż nasze elektrownie i fabryki.

W odległości kilku kilometrów od łączki Rita Thanga, wśród zwałów morenowych pokrywających powierzchnię lodowca Langtang znaleźliśmy zerwę białego lodu, wysoką na około 10 metrów. W jej dolnej części wykopaliśmy cztery tunele głębokie na około dwa metry i z ich końca pobraliśmy 5 prób starego lodu. Jego wiek, na podstawie odległości od strefy akumulacji i założonej przeciętnej szybkości spływu lodu, ocenilem na około 700 lat. Przy pobieraniu ostatniej próby, głaz spadający z brzegu zerwy uderzył Kuczyńskiego w lewy bark. Odprowadziliśmy go do bazy, gdzie założyłem mu opatrunek, unieruchomiłem ramię i podałem środki przeciwbólowe. Maciek po dwóch dniach włączył się do pracy, nosząc rękę na temblaku. W bazie założyliśmy drugie laboratorium, w którym przefiltrowaliśmy przez jonity stary lód.

21 października Grotowski i Maczek skończyli filtrowanie prób w Obozie II, zlikwidowali go i wieczorem dotarli do bazy. Ostatnią próbę starego lodu z lodowca Langtang przefiltrowaliśmy 24 października o szóstej rano zaczęliśmy likwidować Bazę i porządkować teren tak, by po nas nie pozostał żaden ślad.

CZASEM DOBRZE ZNAĆ GREKĘ

Umówione samoloty miały przylecieć dopiero za siedem dni. Ale sprzyjało nam szczęście. Zaraz rano na łączce koło namiotów wylądował Pilatus Porter z Royal Nepalese Airlines, z dwójką niemieckich geologów. Młody francuski pilot napił się u nas kawy, zjadł co nieco i za butelkę Soplicy zgodził się zabrać trzech pasażerów do Katmandu. Maczek, Oakley i ja spakowaliśmy się szybko i już za chwilę wisieliliśmy w powietrzu nad opadającym w dół progiem Doliny Langtang, a po dwóch godzinach siedzieliśmy w restauracji hotelu Shanker, wykapani i przebrani w czyste szaty. W Royal Nepalese Airlines nie mogło być nawet mowy o przeniesieniu zamówionych lotów na wcześniejszy termin. Wszystkie samoloty były już wykupione do masowego przewożenia turystów wokół Mount Everestu itp. Ale ktoś mi powiedział, że misja UNESCO ma kilka własnych samolotów i może oni mi pomogą. Zjawiłem się tam następnego dnia rano. Sprawy lotnicze prowadził starszy Grek, który stwierdził, że on też nie ma szans na ściągnięcie mojej wyprawy z Langtangu. Rozmawiałem z nim chyba z godzinę i kiedy już było całkiem źle przypominałem sobie, że zimą 1944 roku uczyłem się języka Homera, i zadeklamowałem mu: *ergo dikaio kai theos syllambanei* – dzieło godziwe nawet Bóg wspomaga. Na to Grek bez dalszej dyskusji oświadczył:

— Dam panu cztery loty na jutro.

Pewnie zrobiłbym to samo gdyby Grek w Katmandu powiedział do mnie po polsku *Ojczyzno moja, ty jesteś jak zdrowie*, lub *Ty pocziwaj a ja pobruszę*, nawet z kreteńskim akcentem.

Tak więc, reszta wyprawy wylądowała na lotnisku w Katmandu 27 października. Następnego dnia zjawiłem się przed życzliwie uśmiechniętym obliczem wiceministra Narayana Das Shrestry, któremu wręczyłem oficjalny raport z przebiegu wyprawy oraz, przygotowane przez Andrzeja Zawadę, podanie Klubu Wysokogórskiego o zarezerwowanie szczytów Lhotse i Dhaulagiri dla polskich wypraw w 1974 r. Shrestra powiedział, że da na nie zgodę. A o piątej popołudniu sprzed hotelu Shanker nasza ciężarówka z Cieleckim, Kryś, Kuczyńskim, Maczkiem i Miranowskim wystartowała do Polski. 30 października miałem znowu wykład na uniwersytecie, a wieczorem odbyło się wzruszające pożegnanie z Thapą, Dawą i Pasangiem. Szerpom, jak zwyczaj każe, wręczyłem prócz zapłaty upominki i sażniste rekomendacje. A kiedy złożyliśmy dłonie w pełnym czci ańdźali i wyrzekliśmy pożegnalne Namaste, wszyscy znikli na zawsze w ciemnościach nocy, a Grotowskiego, Oakleya i mnie, następnego dnia silniki odrzutowców pognały w trzy różne światła strony.

1974: SPITSBERGEN I ALPY OETZTALSKIE

W sierpniu i wrześniu 1974 r., niemal jednocześnie, dwie polskie ekspedycje pobierały próby lodu dla programu Glacier Pollution Study: jedna nad fiordem Hornsund na Spitsbergenie, a druga w Alpach Austriackich. Planowałem na ten rok tylko ekspedycję w Alpy, ale gdy dowiedziałem się że trzech naukowców z Zakładu Paleobiologii PAN bierze udział w wyprawie Polskiej Akademii Nauk na Spitsbergen, poprosiłem Macieja Kuczyńskiego by wziął w niej udział i przygotowałem drugi komplet sprzętu alpinistycznego i wyposażenia naukowego dla tej wyprawy. Trzej paleontologowie: Andrzej Baliński, Krzysztof Małkowski i Aleksander Nowiński, do których potem przyłączył się geolog, Krzysztof Birkenmajer, zgodziło się pomóc Maćkowi w poborze prób lodu. Maciek był już dobrze przeszkolony w pobieraniu prób i wstępnej analizie chemicznej lodu. Sam zaś z Cieleckim, Grotowskim, Kryśą, Maczkiem i Oakleyem pojechałem dwoma samochodami w Alpy.

HORNSUND

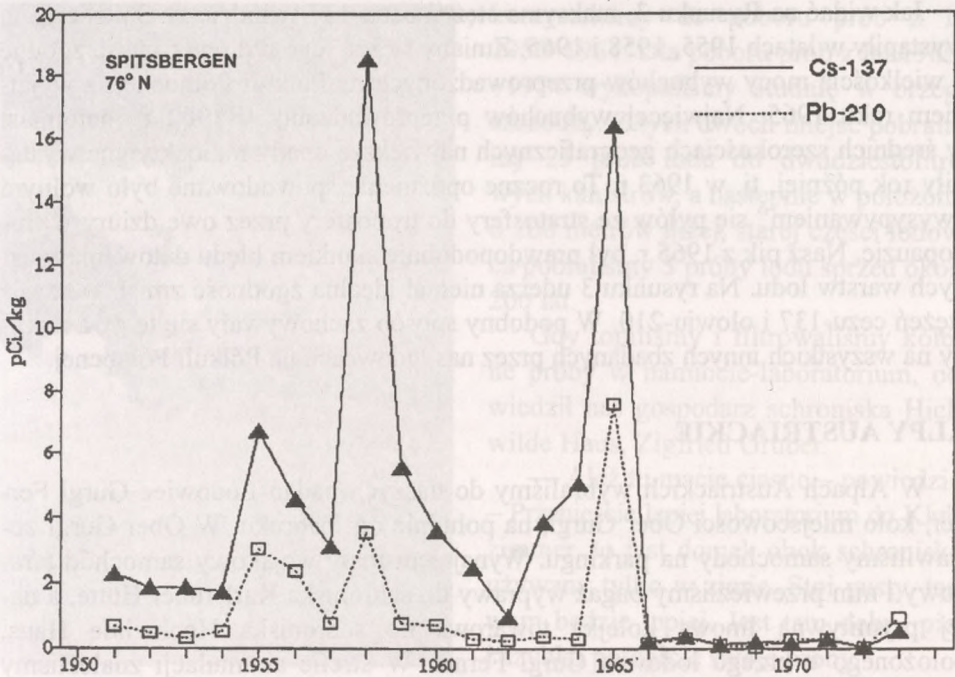
Do fiordu Hornsund wpada kilka lodowców. Dla poboru prób lodu zdeponowanego w XX wieku Maciek Kuczyński wybrał mały lodowiec Körberbreen, po południowej stronie fiordu, w odległości 15 kilometrów od Polskiej Stacji Polarnej w Zatoce Białych Niedźwiedzi. Natomiast stary lód pobrano z wielkiego lodowca Hansbreen spływającego do fiordu od północy, tuż obok Polskiej Stacji. Wiek starego lodu sięgał około 100 lat. Spitsbergen znajduje się zaledwie 1000 kilometrów na zachód od Nowej Ziemi, więc spodziewałem się tam znaleźć lód silnie skażony cezem-137 z wybuchów jądrowych prowadzonych na Nowej Ziemi od 1955 r. Był to największy sowiecki poligon atomowy, gdzie 30 października 1961 r. eksplodowano najsilniejszy ładunek jądrowy w atmosferze, o mocy 50 megaton. Rzeczywiście, w lodzie z Körberbreenu z 1958 r. znaleźliśmy bardzo wysokie stężenie cezu-137 z wybuchów jądrowych (18,52 picocurie/kg). Jednak średnie stężenie dla wszystkich warstw lodu między rokiem 1951 i 1973 (1,33 pCi/kg) było niższe niż w Alpach i Himalajach. Ważniejsze niż bliskość poligonów atomowych było zachowanie się radioaktywnych pyłów wyrzucanych do stratosfery siłą eksplozji. Okazało się, że większość ich wypada ze stratosferycznego „magazynu” do troposfery (a następnie deponuje się na powierzchni Ziemi) przez „dziury” w tropopauzie, występujące na obu półkulach obok tzw. „prądów strumieniowych”, pomiędzy 30° a 60° szerokości geograficznej. Trzy inne poligony atomowe: radziecki koło Semipalatynska, chiński w Lob Nor i amerykański w Nevadzie, znajdowały się wewnątrz tej strefy, a Lob Nor od naszego miejsca poboru prób lodu w Himalajach był odległy tylko o 1500 kilometrów. Łącznie, poligonów atomowych na których prowadzono wybuchy jądrowe było 21, ale tylko 9 z nich przyczyniło się do większego skażenia globu. Emisje radioaktywności z tych dziewięciu poligonów staraliśmy się wyśledzić w czasie naszych wypraw (Tabela 4).

Tabela 4. Miejsca najważniejszych wybuchów jądrowych w atmosferze (wg Unscear 2000).

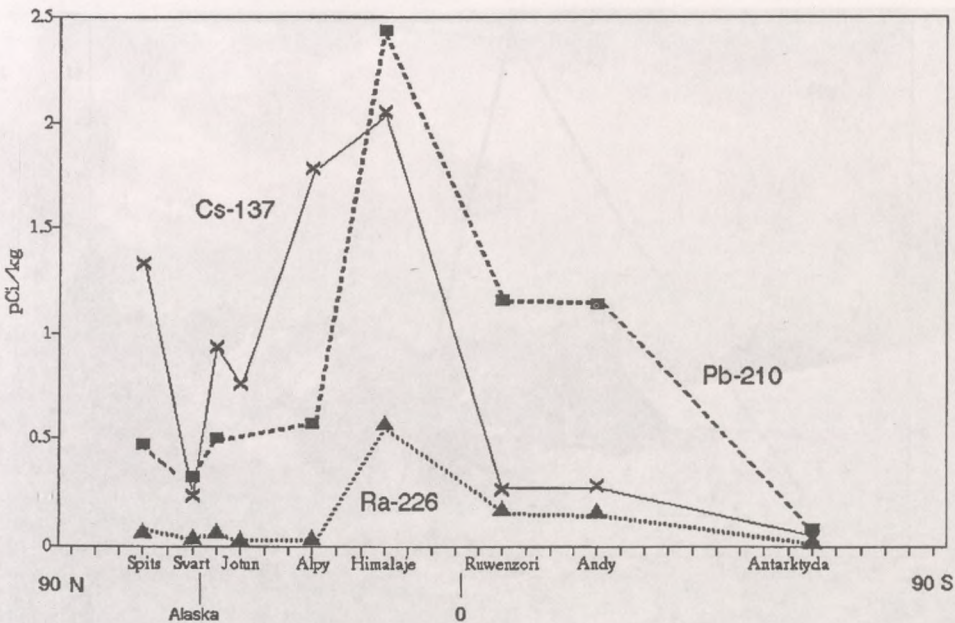
Poligon atomowy	Liczba wybuchów	Łączna moc (megatony)
Nowa Ziemia	91	239,60
Semipalatyńsk	116	6,60
Lop Nor	22	20,70
Nevada	86	1,05
Mururoa	37	6,40
Christmas Island (UK)	6	6,70
Bikini	23	76,80
Enewatak	42	31,70
Johnston Island	12	20,80
Christmas Island (USA)	24	23,30
Wszystkie wybuchy		
Związek Radziecki	219	247,30
USA	197	153,80
Chiny	22	20,70
Francja	45	10,20
Wielka Brytania	21	8,05
RAZEM	543	440,00



Dolna część lodowca Hansa, skąd pobrano próby starego lodu. Fot. J. Baliński



Rysunek 3. Stężenia cezu-137 i ołowiu-210 w Lodowcu Köbera na Spitsbergenie.



Rysunek 4. Równoleżnikowy rozkład średnich stężeń ołowiu-210, cezu-137 i radu-226 we współczesnym lodzie lodowcowym, pomiędzy szerokością geograficzną N 76,02° i S 62,05°.

Jak widać na Rysunku 3, maksyma stężeń cezu-137 w lodzie ze Spitsbergenu wystąpiły w latach 1955, 1958 i 1965. Zmiany stężeń tego radionuklidu są zgodne z wielkością mocy wybuchów przeprowadzonych na Półkuli Północnej, z wyjątkiem roku 1965. Najwięcej wybuchów przeprowadzono w 1962 r., natomiast w średnich szerokościach geograficznych największe opady radioaktywne wystąpiły rok później, tj. w 1963 r. To roczne opóźnienie spowodowane było wolnym „wysypywaniem” się pyłów ze stratosfery do troposfery przez owe dziury w tropopauzie. Nasz pik z 1965 r. był prawdopodobnie skutkiem błędu datowania rocznych warstw lodu. Na rysunku 3 uderza niemal idealna zgodność zmian w czasie stężeń cezu-137 i ołowiu-210. W podobny sposób zachowywały się te dwa nuklidy na wszystkich innych zbadanych przez nas lodowcach na Półkuli Północnej.

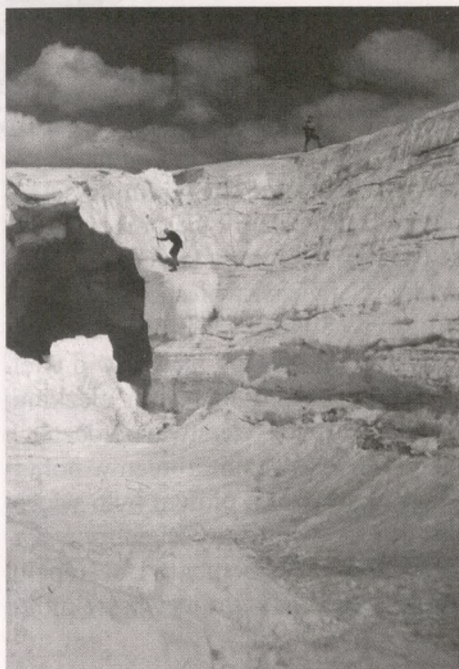
ALPY AUSTRIACKIE

W Alpach Austriackich wybraliśmy do naszych badań Lodowiec Gurgl Ferner, koło miejscowości Ober Gurgl, na południe od Innsbruku. W Ober Gurgl zostawiliśmy samochody na parkingu. Wynajęliśmy mały wojskowy samochód terenowy i nim przewieźliśmy bagaż wyprawy do schroniska Karlsruher Hütte, a dalej prymitywną linową kolejką towarową do schroniska Hochwilde Haus, położonego u brzegu lodowca Gurgl Ferner. W strefie akumulacji znaleźliśmy dużą szczelinę, szeroką na około 10 metrów i długą na 30, położoną na wysokości 3180 metrów. W obu jej końcach znajdowały się jaskinie przykryte mostami śnieżnymi, prowadzące głęboko w lód. Jedną z nich, podobnie jak w Himalajach, wy-



Obóz bazowy na lodowcu Gurgler Ferner (3180 m), Alpy Austriackie.

Fot. Z. Jaworowski



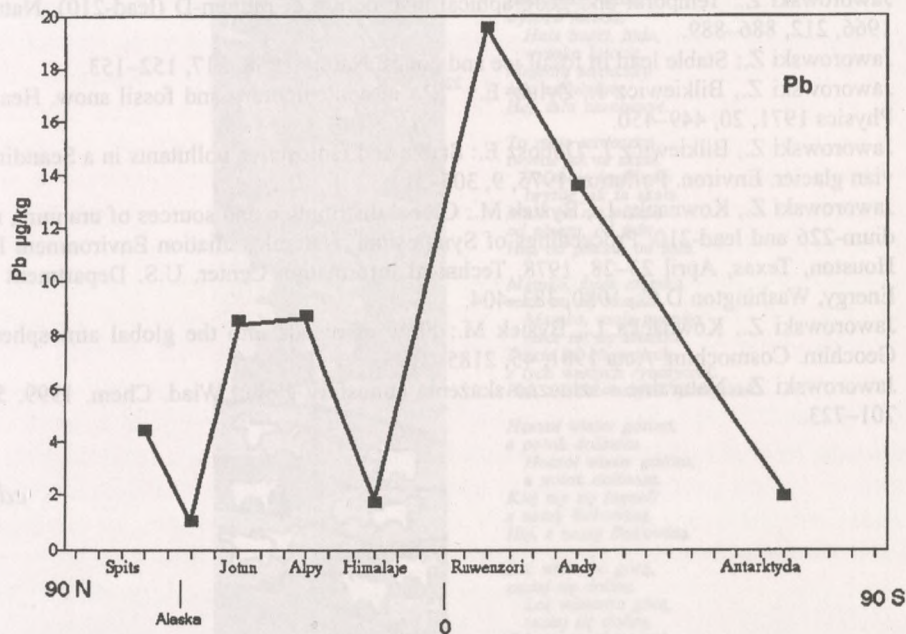
Lodowiec Gurgler Ferner.
Szczelina, z której pobrano próby lodu.
Fot. Z. Jaworowski

korzystaliśmy do poboru prób z lat 1950–1964. Dla poboru prób z lat 1965–1974 wykopaliśmy studnię w brzegu szczeliny. Z tych dwóch miejsc pobraliśmy 25 prób lodu do dwudziestolitrowych kanistrów, a następnie w położonej o 200 metrów niżej, starej części lodowca pobraliśmy 3 próby lodu sprzed około 200 lat.

Gdy topiliśmy i filtrowaliśmy kolejne próby w namiocie-laboratorium, odwiedził nas gospodarz schroniska Hichwilde Haus, Zigfried Gruber.

— Ależ tu macie ciasno – powiedział – Przenieście lepiej laboratorium do Klubzimmer, to jest domek obok schroniska, używany tylko w zimie. Stoi pusty, tam wam będzie lepiej. Jest tam dobry piec i szybko potopicie swoje próby.

Tak też zrobiliśmy. Jeszcze tego samego dnia, o godzinie 9 wieczorem, po zakończeniu poboru prób starego lodu,



Rysunek 5. Równoleżnikowy rozkład średnich stężeń ołowiu trwałego we współczesnym lodzie lodowcowym.

Cielecki, Grotowski i Maczek załadowali wszystkie nie stopione kanistry na nasz składany tobogan i wyruszyli po ciemku do Hochwilde Haus. Następnego dnia rano zlikwidowaliśmy namiot-laboratorium i w Klubzimmer zmontowaliśmy stelaże dla jednoczesnego sączenia 19 kanistrów. Topienie i filtrowanie szło tu bardzo sprawnie. Po trzech dniach ostatnia próbka starego lodu przesączyła się przez kolumnę jonitową. Tego samego dnia przenieśliśmy się z całym bagażem do schroniska Bundes Sportheim w Ober Gurgl, a po trzech dniach, 27 sierpnia znaleźliśmy się w Warszawie. Maciek wrócił ze Spitsbergenu dopiero w końcu września.

Wyniki analiz otrzymałem pod koniec zimy. Największą niespodzianką był w nich brak oznak skażenia przemysłowego Europy. Spodziewałem się, że Alpy, leżące w pobliżu największych centrów przemysłowych Europy i terenów o wielkim natężeniu ruchu samochodowego, będą silnie skażone metalami ciężkimi. Tymczasem średnia zawartość ołowiu we współczesnych warstwach rocznych w Alpach nie różniła się od zawartości w warstwach lodowca Storbreen w południowej Norwegii. Co dziwniejsze, w starym lodzie alpejskim ołowiu było więcej niż w lodzie współczesnym. Również radu-226, który uważaliśmy za dobry wskaźnik zapylenia atmosfery, było w Alpach mniej niż na Spitsbergenie i w Nepalu, a także mniej w warstwach współczesnych niż w starych. Było to wbrew moim oczekiwaniom i nie po myśli Environmental Protection Agency.

Piśmiennictwo:

1. Jaworowski Z.: Correlation between the concentrations of lead-210 (radium D) and cesium-137 in glacier ice. *Nukleonika*, 1963, 8, 853–855.
2. Jaworowski Z.: Temporal and geographical distribution of radium-D (lead-210). *Nature* 1966, 212, 886–889.
3. Jaworowski Z.: Stable lead in fossil ice and bones. *Nature* 1968, 217, 152–153.
4. Jaworowski Z., Bilkiewicz J., Żylicz E.: ^{226}Ra in contemporary and fossil snow. *Health Physics* 1971, 20, 449–450.
5. Jaworowski Z., Bilkiewicz J., Dobosz E.: Stable and radioactive pollutants in a Scandinavian glacier. *Environ. Pollution* 1975, 9, 305–315.
6. Jaworowski Z., Kownacka L., Bysiek M.: Global distribution and sources of uranium, radium-226 and lead-210. *Proceedings of Symposium: Natural Radiation Environment III*, Houston, Texas, April 23–28, 1978. Technical Information Center, U.S. Department of Energy, Washington D.C., 1980, 383–404.
7. Jaworowski Z., Kownacka L., Bysiek M.: Flow of metals into the global atmosphere. *Geochim. Cosmochim. Acta* 1981, 45, 2185–2199.
8. Jaworowski Z.: Naturalne i sztuczne skażenia atmosfery globu. *Wiad. Chem.* 1999, 53, 701–723.

cdn.

I Bukowina i górale czadeccy



BUKI, MOJE BUKI...

Buki, moje buki,
uż mi nie szumicie.
Buki, moje buki,
uż mi nie szumicie.
Smutno mi za wami
całe moje życie.
Hej, całe moje życie.

Hula huśki, hula,
wysoko lotocie.
Hula huśki, hula,
wysoko lotocie.
Mojemu serdeczku
żału narobiocie.
Hej, żału narobiocie.

To moje serdeczko
twyrdę jak ta skała.
To moje serdeczko
twyrdę jak ta skała.
Mało mi nie puknie
od płaczu, od żału.
Hej, od płaczu, od żału.

Mamko, moja mamko,
serce mi się zamkło.
Mamko, moja mamko,
serce mi się zamkło.
Dejcie mi kluczyczek
z tych waszych rynczyczek.
Hej, z tych waszych rynczyczek.

Huczoł wiatr góróm,
a potok dolinom.
Huczoł wiatr góróm,
a potok dolinom.
Kiej my się żegnali
z naszą Bukowiną.
Hej, z naszą Bukowiną.

Leć wiatrku górą,
zniżaj się doliną.
Leć wiatrku górą,
zniżaj się doliną.
Od nas pozdrowienie
nieś na Bukowinę.
Hej, nieś na Bukowinę.

Prof. Grotowski i Maczek zabudowali w tym celu nie stopnie kamistry na...
 ...i niegodziwych i wyrosyli po ciemku do szlachu. Nastepnego dnia...
 ...i niegodziwych i wyrosyli po ciemku do szlachu. Nastepnego dnia...
 ...i niegodziwych i wyrosyli po ciemku do szlachu. Nastepnego dnia...

W tym analize otrzymano pod mikroskopem...
 ...i niegodziwych i wyrosyli po ciemku do szlachu. Nastepnego dnia...
 ...i niegodziwych i wyrosyli po ciemku do szlachu. Nastepnego dnia...

1. Grotowski Z., Komunikat... (1971, 30, 444-445)
2. Grotowski Z., Komunikat... (1971, 30, 444-445)
3. Grotowski Z., Komunikat... (1971, 30, 444-445)
4. Grotowski Z., Komunikat... (1971, 30, 444-445)
5. Grotowski Z., Komunikat... (1971, 30, 444-445)
6. Grotowski Z., Komunikat... (1971, 30, 444-445)
7. Grotowski Z., Komunikat... (1971, 30, 444-445)
8. Grotowski Z., Komunikat... (1971, 30, 444-445)

Na odwrocie: Hymn Bukowiny

BUKOWINA



*Mam szary dom
starodawne ognisko
siwy potok
i niebo blisko
tyle mam*

fragment wiersza Bolka Majerika

BUKOWINA – BOGATY KRAJ BIEDNYCH LUDZI POLACY NA BUKOWINIE

Stanisław Janocha

Bukowina, geograficznie określona, to obszar pomiędzy Karpatami a środkowym Dniestrem, obejmujący swoim zasięgiem na południu i zachodzie fragment łuku Karpat Wschodnich, natomiast na północy i wschodzie pas wyżyn przecięty rzekami Dniestrem, Prutem, Czeremoszem, Seretem i Suczawą, przy czym granicznymi rzekami są Dniestr i Czeremosz bowiem oddzielają Bukowinę od Podola i Pokucia i do tych krain geograficznie należą, natomiast Seret wypływający spod szczytu Lungu (1382 m n.p.m.) w pobliżu granicy rumuńsko-ukraińskiej w swoim dalszym biegu stanowi część wschodniej granicy oddzielającej Bukowinę od Mołdawii. Ważnymi rzekami są również: Bystrzyca w zachodniej części, a Mołdawia w południowej. Powierzchnia – wg Wielkiej Encyklopedii Ilustrowanej – liczy 10 451,61 km. Wzniesienia Wyżyny Mołdawskiej są charakterystyczne dla północnej części Bukowiny (ukraińskiej). Wysokość ich w okolicy Czerniowiec sięga 530 m n.p.m., natomiast w części południowo-zachodniej, gdzie kulminują Obczyzny Bukowińskie, wysokość szczytów dochodzi do 1500 m n.p.m. (Tomnatecu, 1565 m n.p.m.). Południową Bukowinę (rumuńską) od wschodu zajmuje również Wyżyna Mołdawska nosząca tutaj nazwę Wyżyna Suczawy, ze wzniesieniami dochodzącymi do 520 m n.p.m. Pozostała, większa część Bukowiny Południowej to pasma górskie Karpat Bukowińskich nazywanych tak jak i na północy Obczynami Bukowińskimi. Największymi atrakcjami są tutaj doliny, w których położone są „malowane monastyny” z XV i XVI wieku (po czterystu latach deszczu, słońca, śniegu, freski sprawiają wrażenie świeżo malowanych). Najbardziej znane to Dragomirna, Suczewica, Moldowica.

Szwajcarią Bukowińską nazywane są okolice kurortu Vatra Dornei (Orłowicz określił ją kiedyś „bukowińską Krynicą”), z przebiegającym w pobliżu wojennym szlakiem – tzw. „tatarską drogą” – oraz bardzo malowniczymi Skałami Księżnicz-

ki w pobliżu szczytów Rarău (1651 m n.p.m.) i Giumalău (1857 m n.p.m.), przy czym ten drugi jest najwyższym szczytem Bukowiny.

Północna Bukowina również dostarcza wielu ciekawostek przyrodniczych, historycznych jak i wrażeń natury artystycznej związanej z ludowym rękodziełem, obrzędowością, muzyką, tańcem. Na szczególną uwagę zasługuje bukowińska Huculsczyzna (rejon Wyżnicy i Putyły). Tutaj tworzył i uczył rzemiosła artystycznego jeden z najśłynniejszych ludowych artystów Huculsczyzny, Wasyl Szkryblak. Od 1995 roku istnieje Wyżnicki Park Narodowy, w którym oprócz źródeł mineralno-leczniczych zobaczyć można ciekawą osobliwość przyrodniczą w postaci bardzo dużych ostańców piaskowcowych o wysokości przekraczającej 20 m. Te tzw. „Protiatyje Kamni” („Przecięte Kamienie”) objęte są ochroną jako rezerwat. W pobliżu Przełęczy Nimczycz (595 m) koło miejscowości Podzaharici znajduje się „Pieczara Dobosza” a w Roztokach nad Czeremoszem „Skała Dobosza”. W Putyle (Putiliw) uważanej za centrum bukowińskiej Huculsczyzny urodził się poeta huculski Osyp Fedkowycz. Jadąc przez Ploske, Seletin, Szypot Suczawy i dalej wzdłuż rumuńskiej granicy, można dotrzeć na szczyt Tomnatyka (1565 m) gdzie znajdują się resztki sowieckiej stacji radarowej (pięć ogromnych plastikowych „kopuł-pieczarek”) – miejscowi nazywają ją „PAMIREM”, dzisiaj służy za schronienie dla owiec i bydła. W ich pobliżu widoczne są również silosy po wyrzutniach raketowych. Oprócz tego rozciąga się wspaniała dookólna panorama.

Dwa miasta Bukowiny – Czerniowce i Suczawa przez dziesięciolecia konkurujące ze sobą o miano stolicy, oddalone są od siebie o 80 km, czyli około półtorej godziny jazdy samochodem. Kiedy nie było granicy tyle właśnie trwała podróż między nimi. Dzisiaj zajmuje to czasem nawet cały dzień.

BUKOWIŃSKA MOZAIKA HISTORYCZNO-KULTUROWA

Wschodnioeuropejska mozaika krajów i regionów spowodowana została głównie przez zawieruchy dziejowe jakie przetoczyły się przez te ziemie na przestrzeni wieków. Nie inaczej było też i na Bukowinie będącej częścią większej historycznej krainy, Mołdawii, zamieszkiwanej kiedyś przez plemiona indoeuropejskie, germańskie, Greków i Rzymian. Swoją obecność zaznaczyli tam również Dakowie, Sarmaci, a w okresie wędrówki ludów koczownicze hordy Gotów, wojowniczych Hunów i Awarów. W VI wieku pojawiają się na tych ziemiach Słowianie przynosząc ze sobą kulturę i język, a z biegiem czasu mieszają się z ludnością autochtoniczną w jedną społeczność. Wieki IX, X i XI to liczne najazdy Pieczyngów i Połowców jak również coraz większe wpływy Rusi Kijowskiej (najkrótsza droga z Kijowa do Konstantynopola), a następnie – w XII wieku – Księstwa Halickiego, które na tych ziemiach toczyło walki z Połowcami, pokonując ich i rozciągając swoje wpływy aż do Dunaju. Oczywisty jest więc związek kulturowy (a pewnie nie tylko) ziem Mołdawii w XIII wieku z Rusią Halicką. Mołdawskie ziemie znajdowały się też w orbicie zainteresowań i działań Złotej Ordy, a później Rzeczypospolitej szlacheckiej, Węgier, Turcji, Austrii i Rosji, a także Ukrainy, Niemiec i Rumunii kiedy po zjednoczeniu ziem rumuńskich Księstwo Mołdawii stało się integralną częścią tego państwa.

Bukowina nazwę swoją zawdzięcza zapewne bukowym lasom (drzewo to po polsku i po ukraińsku nazywa się „buk”, po rumuńsku „buc”), które porastały zbocza skraju Karpat. Sama nazwa Bukowina istniała już w XIV wieku (choć wg badaczy rumuńskich nie odnosiła się do żadnej jednostki administracyjnej, a jedynie figurowała w dokumentach kancelaryjnych jako rzeczownik pospolity „bucovina” nazywający miejsce w różnych rejonach Mołdawii, Oltenii, Banatu i Wołoszczyzny), jednak na skutek spadku znaczenia krainy po przeniesieniu stolicy Mołdawii z Suczawy do Jass nazwa ta zanikła w świadomości historycznej jej mieszkańców. Pojawiła się ponownie po roku 1775, to jest po aneksji tych ziem przez Habsburgów (w dokumentach wiedeńskich obszar ten jeszcze długo nazywano „austriacką Mołdawią”). Po porażce Turcji w wojnie z Rosją (1768–1774) i pokoju między nimi w Kuczuk-Kainerdzi (nastąpił wzrost znaczenia Rosji w basenie Morza Czarnego), północna część Mołdawii znalazła się w maju 1775 r. w granicach imperium. Stało się to w imię zachowania równowagi polityczno-militarnej w Europie.

BUKOWIŃSKA WIELOBARWNA MIESZANINA NARODOWOŚCIOWA

Rozległy obszar pokryty głównie puszcza bez dróg zamieszkuje wtedy około 75 tysięcy ludzi tworzących wielobarwną mieszaninę różnych grup etnicznych i językowych. Mieszkańcy to przede wszystkim Rumuni z Transylwanii, Walachowie i Mołdawianie, ale również ludność ukraińsko-ruska i huculska wzmiankowana już w XV wieku.

Bardzo wcześnie, bo już pod koniec XIV wieku, osiedlają się na tych ziemiach Ormianie, pośrednicząc w handlu pomiędzy Polską a portami Morza Czarnego. Wielu z nich, szczególnie tych z północnej części Bukowiny, uważało się za Polaków (od XVII wieku połączeni również unią kościelną). Większość Ormian z północy wywodziła się z Kut. Największe ich skupisko było w Suczawie, gdzie znajduje się również jedno z dwóch najważniejszych sanktuariów ormiańskich w Europie, drugie to Hagigadar – też na Bukowinie. Ormianie suczawscy pozostawali wierni swoim zwyczajom językowi i wierze. Czerniowiecką kolonię ormiańską zapoczątkowała na początku XVIII wieku rodzina Awas, przybyła z Mołdawii. Fundatorem oddanego do użytku w 1905 roku Domu Polskiego w Czerniowcach był polski Ormianin Jakub Simonowicz.

Na początku XVIII wieku na ziemiach nad Seretem pojawiają się Rosjanie-staroobrzędowcy (raskolnicy), zwani również Lipowanami. Był to wynik emigracji religijnej w związku z prześladowaniami przez władze carskiej Rosji, w następstwie reformy Cerkwi prawosławnej przez patriarchę Nikona i jej późniejszego rozłamu. Pierwsza osada staroobrzędowców na Bukowinie powstała w dobrach monasteru Dragomirna koło Suczawy, następna w dobrach monasteru Putna, gdzie od źródła przyjmuje nazwę Białokernica. Wraz z osadą powstaje również klasztor. W okresie okupacji Bukowiny przez wojska rosyjskie Lipowanie odchodzą na południe, by powrócić po oddaniu Bukowiny pod zarząd austriacki. Duchową stolicą tej grupy była – i pozostaje nią nadal – Biała Krynica (Biła Kry-

nycja). Wyświęceniem w 1847 roku przez arcybiskupa Ambrożego dwóch biskupów zapoczątkowana została hierarchia białokrynicka. Dzisiaj wspaniały Sobór Zaśnięcia Matki Bożej (murowany, pięciokopułowy, na planie krzyża z dzwonnica) robi również duże wrażenie.

W okęgach centralnych i południowych największą grupę stanowili Rumuni. Administracja austriacka traktuje ich lepiej niż inne grupy narodowościowe, co utwierdza ich w wątpliwym historycznie przekonaniu jakoby to oni byli jedynymi autochtonicznymi mieszkańcami Bukowiny. Początkowo nie dostrzega się Rusinów określając ich w urzędowych dokumentach jako „Słowian”. Tak jest do drugiej połowy XIX wieku, kiedy to w 1854 roku w Czerniowcach, w c.k. gimnazjum państwowym wprowadzono język rusiński jako przedmiot nauczania, a w 1875 roku wraz z utworzeniem niemieckojęzycznego uniwersytetu utworzono w nim katedrę języka i literatury rusińskiej. Wkrótce, w 1869 roku, powstaje pierwsze narodowe stowarzyszenie kulturalne „Ruska Besida”, pojawiają się gazety i książki w języku rusińskim. W tym czasie Rumuni i Rusini, do których zaliczeni zostali również Huculi stanowią po jednej trzeciej ogółu ludności na Bukowinie.

KARAWANY ŻYDOWSKICH KUPCÓW

Obok wymienionych dwóch największych grup ludnościowych, pod koniec XVIII wieku znaczną – około 13% – grupę ogółu ludności stanowią Żydzi (w Czerniowcach liczba ta sięga nawet do 30%). Ich obecność tutaj sięga zapewne XIV wieku, kiedy karawany żydowskich kupców z Polski przez terytorium Bukowiny ciągnęły do Lewantu. Po drodze zatrzymując się na odpoczynek handlowali, a z czasem zakładali gminy żydowskie, składowiska towarów i faktorie – zachęceni ulgami podatkowymi.

W XVII wieku, po fali prześladowań w okresie wojen kozackich, na Bukowinę docierać zaczęły grupy żydowskie z całej Ukrainy. Byli to bardzo biedni Żydzi skazani przez ortodoksyjny judaizm na potępienie, z racji choćby swojego analfabetyzmu. Wśród nich zrodził się właśnie ruch mistyczno-religijny nazwany chasydyzmem, a jego prekursorem był Izrael syn Eliezera, urodzony w 1700 roku w Okopach Świętej Trójcy, znany jako Baal Szem Tow. Był po trochu czarownikiem, wędrownym kaznodzieją, twórcą amuletów, lecz najważniejsze było niesienie ludziom nadziei. Chasydzi skupiali się wokół swoich mistrzów-cadyków a pierwszymi byli uczniowie Baal Szem Towa. Tytuł cadyka przechodził często z ojca na syna, co stwarzało możliwość powstawania całych dynastii.

Na Bukowinie istniały dwie słynne dynastie cadyków – Wyżnicka (Menahem Mendl ben Chaim Hager), oraz Sadogórska (Izrael z Rużyna wnuk Dow Bera), która dała początek między innymi dynastii Rymanowskiej.

Choć administracja austriacka nie była przychylna osadnictwu żydowskiemu (*mnożeniu się tego narodu szkodliwego dla ogółu*), to cesarz Józef II w 1783 roku odwiedzając Bukowinę zarządził: *...Co do Żydów, należy trwać przy powziętym systemie i muszą oni albo zostać dobrymi handlowcami i rzemieślnikami, albo poświęcić się uprawie ziemi; w przeciwnym razie trzeba wydalic ich z kraju. Realiz-*

zacja tego zarządzenia nie była realizacją skrupulatną, a z drugiej strony zacofana gospodarka potrzebowała ich „żydowskiego” zmysłu do interesów. Przy rolnictwie i rzemiośle pozostali bardzo nieliczni, wraz z emancypacją zmieniła się struktura zawodowa wśród Żydów, a gospodarka bukowinińska również dzięki temu osiągnęła znaczny rozkwit. W połowie XIX wieku żyło już tutaj ponad 15 tysięcy Żydów, a w roku 1900 było ich już 100 tysięcy. Końcem XIX wieku Żydzi stanowili ponad 30% słuchaczy niemieckiego uniwersytetu Franciszka Józefa w Czerniowcach, co chyba najlepiej świadczy o wpływie, jaki wywierali na życie gospodarcze i kulturalne. Docierające na Bukowinę idee żydowskiego oświecenia *haskalah*, choć zwalczane przez chasydów i zwolenników tradycji rabinackiej, znalazły wielu zwolenników. Wielu Żydów opuszczało swoje tradycyjne dzielnice, goliło brody i pejsy, ubierało się po europejsku, na co dzień mówiło po niemiecku. Zakładano nowoczesne żydowskie szkoły, a wieloma gminami żydowskim kierowali nowocześni przywódcy. Główne ośrodki osadnictwa żydowskiego to: Czerniowce, Suczawa, Radowce, Seret, Storożyniec, Wyżnica, Sadogóra, Bojana. Trzy ostatnie z wymienionych miejscowości to również główne ośrodki chasydyzmu na Bukowinie. Przed II wojną światową liczbę mieszkających na terenie Bukowiny Żydów szacowano na około 200 tys., a największą gminą żydowską były Radowce, gdzie stanowili oni ponad połowę ludności. Podobnie rzecz się miała w Storożyniu.

LUDNOŚĆ POLSKA

Napływ ludności polskiej w te rejony rozpoczął się jeszcze za Kazimierza Wielkiego jako konsekwencja militarnej ekspansji skierowanej na bogatą i stwarzającą dogodne warunki rozwoju Mołdawię. Ziemia Szepienicka, pomiędzy górnym Prutem a Dniestrem, należała do Polski i zamieszkiwana była przez Rusinów. Z tego okresu pochodzą obronne zamki w Cecynie koło Czerniowiec, Chocimiu i Kamieńcu Podolskim. Polonia bukowinińska tamtego okresu to przede wszystkim szlachta i mieszczanie nastawieni głównie na rozwój handlu w oparciu o szlak handlowy północ-południe.

W Suczawie i Serecie osiadły też przybyłe tam już pod koniec XIV wieku na wezwanie książąt mołdawskich grupy niemieckich kupców i rzemieślników. Było to jednak osadnictwo krótkotrwałe, nie wytrzymujące różnego rodzaju kryzysów i prześladowań.

Późniejsze awantury mołdawskie Jagiellonów, później Wazów i Jana III Sobieskiego spowodowały, że Rzeczpospolita przestała odgrywać rolę polityczną w tym rejonie, a stosunki polsko-mołdawskie nie miały już żadnego znaczenia w dziejach Europy. Wyniszczone gospodarczo i wyjąłowione kulturowo ziemie wschodnie Rzeczypospolitej nie oddziaływały już tak jak w minionych stuleciach na życie umysłowe, kulturę, sztukę i literaturę mołdawską. Gospodarowie mołdawscy coraz silniej wiązać zaczynają się z prawosławiem. Od drugiej połowy XVIII wieku Polacy przybywają do Mołdawii zwykle jako uchodźcy i emigranci szukający schronienia, a nie jako przedstawiciele wpływowego i potężnego państwa.



Sobór staroobrzędowców w Białej Krynicy.
Fot. S. Janocha



Czynna synagoga Beniamina w Czerniowcach.
Fot. S. Janocha



Monastyr i cerkiew Sucevia z 158184 r.
Fot. S. Janocha



Czadecka wioska Skalite.
Fot. S. Janocha



Bukowina zimą, okolice wsi Panka koło Storożyńca.
Fot. H. Krasowska

FAŁA OSADNICTWA NIEMIECKIEGO

W latach osiemdziesiątych XVIII wieku pojawia się nowa fala osadnictwa niemieckiego mająca postawić na nogi zacofaną pod względem gospodarczym krainę bukowińską. Niemcy z zachodniej Austrii, z Nadrenii, Banatu, Galicji, jak również z węgierskiego Spiszu i Czech, wabieni wsparciem finansowym i ulgami podatkowymi, osiedlają się w tym najdalszym zakątku monarchii austriackiej. Są to głównie rolnicy, urzędnicy władający biegle językiem niemieckim, specjaliści i przedstawiciele wolnych zawodów. Nazywanie ich wszystkich „Szwabami” jest umowne, bowiem większość z nich nic wspólnego ze Szwabią nie miała. Niemcy wraz z Polakami tworzą warstwę inteligencji w większych miastach jak np. Czerńowiec, choć podkreślić trzeba tutaj rolę jaką odgrywają niemieckojęzyczni Żydzi, którzy czują się przynależni do kultury niemieckiej, a jest ich tutaj większość.

GÓRNICY Z BOCHNI I KAŁUSZA

Pod koniec XVIII wieku, po administracyjnym zjednoczeniu Bukowiny z Galicją, rozpoczyna się zasiedlanie tej krainy różnymi grupami ludności, w tym i Polakami. Takiemu stanowi rzeczy sprzyja wielonarodowościowy duch C.K. Monarchii.

Emigracja polska okresu porozbiorowego miała głównie charakter zarobkowy, oraz w znacznie mniejszym stopniu polityczny. Spowodowane było to faktem, że

aż do 1830 roku gospodarstwa rolne tej prowincji uwolniono od pańszczyzny, a mężczyźni nie podlegali poborowi do służby wojskowej trwającej 14 lat, wprowadzono też ulgi podatkowe dla kupców i rzemieślników. Jednak pierwszymi osadnikami z Polski jeszcze pod koniec XVIII wieku byli górnicy z Bochni, Kałusza i Wieliczki. Przybyli do pracy w kopalni soli w miejscowości Kaczyka (Cacica). Nie była to jednak emigracja spontaniczna, lecz urzędowe przesiedlenie polskiej siły fachowej. Przybywali urzędnicy i rzemieślnicy, żołnierze i duchowni, a po uruchomieniu linii kolejowej Lwów – Czerniowce nawet kolejarze, w nadziei na szybszą karierę zawodową.

Na początku XIX wieku wśród przybyszów na teren Bukowiny Północnej znaleźli się również górale z obecnego pogranicza polsko-słowacko-czeskiego z obszaru dorzecza Kysucy (Czadeckie). W tamtym czasie były to ziemie, na których już znacznie wcześniej osiedlili się uciekinierzy przed pańszczyzną zarówno ze śląskiej jak i polskiej strony Beskidów, oraz osadnicy słowaccy z południa. Ludność ta wzajemnie na siebie oddziaływująca przez około dwieście lat, ukształtowała już do połowy XVIII wieku specyficzną kulturę z elementami śląskimi i małopolskimi. Również późniejsze jej losy migracyjne trwające do dzisiaj decydują o tym, że jest to jeden z kulturowych fenomenów karpackich.

Do migracji na teren Bukowiny zmuszały ich względy bytowe, to znaczy głównie przeludnienie i trudna sytuacja gospodarcza wsi w rejonie Czadeckim. Część emigrantów na krótki okres czasu osiedliła się w Brzeżanach w Galicji zwabiona obietnicą uwłaszczenia. Kiedy właściciel dóbr, hrabia A. Potocki, nie respektuje postanowienia księżnej Lubomirskiej grupa ta opuszcza Galicję w latach 1814–1819 i przenosi się do wiosek północnej Bukowiny, już zamieszkałych przez Polaków.

Po upadku Powstania Listopadowego kolejna grupa, tym razem głównie politycznych uchodźców, napłynęła na Bukowinę.

Ostatnią, najpóźniejszą falą emigracji z Polski na Bukowinę stanowiła ludność z okolic Tarnowa, Rzeszowa, Ropczyc i Kolbuszowej, która przybyła na te tereny około połowy XIX wieku zasiedlając wioski Ruda (Vicșani), Bulai (Moara) i Mihoweni. Na Bukowinie Północnej główne skupiska polskiej ludności były w Czerniowcach i kilku wsiach takich jak: Hliboka, Kaliczanka, Huta-Krasna, Tereble-szta koło Seretu. Czyniono też starania o pozyskiwanie nowych terenów pod osadnictwo. W 1834 roku rodziny polskie z Hliboki migrowały na południową Bukowinę w rejon gór Obczyna Wielka (Obcina Mare), zakładając tam na tzw. surowym korzeniu wieś Nowy Sołonec (Solonețu Nou); w 1836 roku powstaje Plesza (Pleşa), a w 1842 r. Pojana Mikuli (Poiana Micului).

W stosunkowo krótkim czasie nastąpił i w tej grupie na tyle znaczny przyrost naturalny, że około roku 1880 zaczęło się masowe przesiedlanie do wsi w okolicach Baniłowa, Piotrowiec, Dunawca, Dawidenów, Panki. W tych miejscowościach już wcześniej zamieszkiwały polskie rodziny drobnoszlacheckie. Obok migracji w obrębie regionu pojawiła się również migracja na sąsiednie ziemie, np. do mołdawskich wsi Cornu Luncii czy Dumbrava. W latach 1888–1889 kilkanaście rodzin wyjechało do Brazylii, a w 1895–1910 kilkadziesiąt do Słowenii i Bo-



Wyżenka – kapliczka z inskrypcją na temat zniesienia pańszczyzny.

Fot. S. Janocha

śni. Były również przesiedlenia włąb Mołdawii. Najliczniejszymi polskimi wioskami w tym czasie były Nowy Sołonec, Pojana Mikuli, Plesza.

SZWAJCARIA WSCHODU

Bukowina to był styk świata zachodniego i wschodniego, słowiańskiego i romańskiego i tutaj właśnie, w tej „Szwajcarii Wschodu” czy „Europie w miniaturze” jak często nazywany jest ten region, w okolicach Czerniowiec i Seretu osiedlili się nasi górale znad Kysucy, wnosząc w różnorodną bukowińską mozaikę swoją odrębność kulturową. Żyją tutaj do dzisiaj obok innych nacji, takich jak: Rumuni, Ukraińcy, Węgrzy, Niemcy, Ormianie, Żydzi. Kulturowy i religijny konglomerat Bukowiny nie był powodem do nieporozumień, wręcz przeciwnie, istniała tutaj harmonijna i zgodna egzystencja mogąca być przykładem dla innych regionów. Wspomnieć jedynie należy, że w pewnym okresie około roku 1899–1902 pojawiły się publikacje autorów niemieckich i pewne działania propagandowe mające na celu osłabienie elementu polskiego na Bukowinie.

W latach trzydziestych (po roku 1936) podobne działania zaczęli propagandziści słowaccy zgrupowani wokół księdza Hlinki. Przypisać trzeba, że częściowo odniosły one skutek i część Polaków „poczuła się” Słowakami.

Po I wojnie światowej Bukowina znalazła się w Królestwie Rumuńskim i był to okres, kiedy znacznie nasiliły się działania rumunizacyjne wobec ludności polskiej. Dotyczyło to zresztą nie tylko polskiej grupy narodowościowej. W okresie międzywojennym również ze strony polskiej były podejmowane działania mające na celu wzmocnienie więzi łączących Polaków na Bukowinie z Polakami w Polsce. Organizowane były wyjazdy grupowe do Polski jak również na Bukowinę, gdzie przyjeżdżali nie tylko wczasowicze ale również młodzież szkolna, harcerze. Akcje takie, jak również i inne o charakterze społeczno-gospodarczym organizowali dr Grzegorz Szymonowicz z Czerniowiec, Kazimierz Grabowski z Pojany Mikuli. Artykułami prasowymi wspierali ich publicyści Aleksander Then, Stefan Kolbusz, Walenty Stefanowicz, Antoni Gury, Józef i Władysław Kucharkowie.

Nie sposób nie wspomnieć tutaj o Marianie Gotkiewiczu i jego misji „ratunkowej” na Bukowinie rumuńskiej w latach 1937–1938. To jego badania i publikacje spowodowały likwidację akcji słowakizacyjnej oraz dały mu opinię „odkrywcy” górali Czadeckich na ziemiach bukowińskich. Nazwa „górale Czadeccy” przyjęła się w okresie międzywojennym wśród Polaków także za sprawą Mariana Gotkiewicza, bo wcześniej nie była używana nad Kysucą.

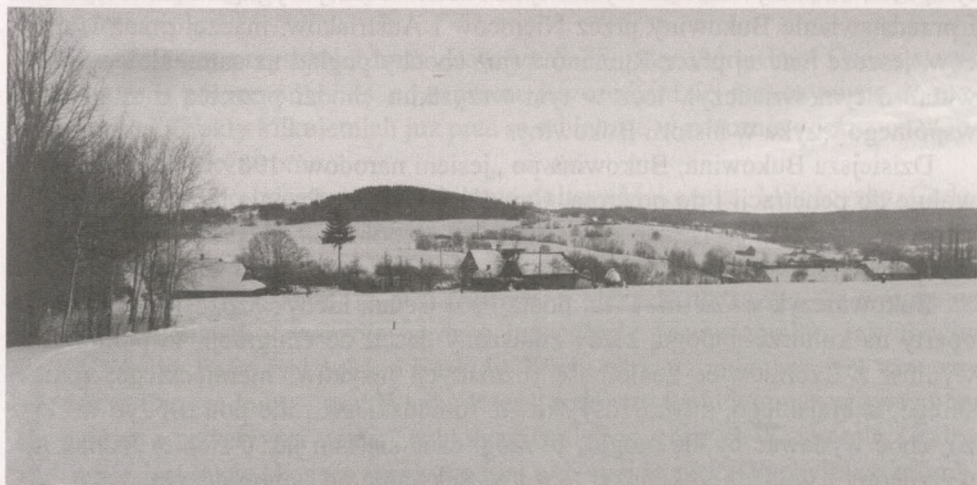
Rok 1939 i wybuch II wojny światowej to okres napływu na Bukowinę wielu uciekinierów z Polski. W tym czasie Polskę i Rumunię łączy sojusz, więc schronienie takie było możliwe. W roku 1940 pod wpływem ultimatum sowieckiego wojska rumuńskie opuszczają północną Bukowinę, a w rok później, kiedy Niemcy zaczynają ofensywę na Związek Radziecki, Rumunia jest już w sojuszu z państwami Osi i ponownie zajmuje północną Bukowinę. Jak traktowani byli Polacy w faszystowskim państwie nie muszę chyba pisać, bo wydaje się to oczywiste. Na przełomie kwietnia i maja 1944 roku zostaje doszczętnie spalona polska wioska

Pojana Mikuli (Niemców mieszkających tutaj kiedyś wspólnie z Polakami od 1939 roku już tu nie było – wyjechali na apel Hitlera).

Wojna powodowała też sytuacje, kiedy Polacy z Bukowiny wcielani byli do wrogich sobie walczących armii, a więc stawali na linii frontu naprzeciw siebie. Wielu zginęło, wielu zostało rozproszonych po bezkresach sowieckiego kraju, a część trafiła do Polski. Również po zakończeniu wojny, w latach 1946–48, zorganizowanych zostało kilka transportów reemigracyjnych do Polski. Powrót wiązał się z wątpliwościami i dylematami, ale mimo to do 1950 roku do Polski wróciło około 5000 reemigrantów i niewiele mniej uchodźców z roku 1939. Powracających kierowano na tzw. Ziemie Odzyskane do byłych majątków niemieckich.

Wspomniane wcześniej słowackie akcje propagandowe spowodowały, że część Polaków udała się do ówczesnej Czechosłowacji. Nie obyło się tam bez rozczarowań i kłopotów, od trudności językowych począwszy, a na obojętności władz i wrogości ludności miejscowej, głównie wysiedlanych Węgrów, skończywszy. Obecnie stosunki pomiędzy tą grupą, a tymi którzy pozostali bądź też wyjechali do Polski, zmieniły się i ideologiczny rozbrat sprzed ponad pół wieku osłabł lub nawet przestał istnieć. Ważniejsze stały się styczności na gruncie lokalnym, rodzinnym, kulturowym – niezależnie od miejsca, w który przyszło im żyć, pozostają góralami, bukowińczykami, i to jest najważniejsze.

Sytuacja tych Polaków, którzy pozostali na Bukowinie nie była lepsza. Podzielona szczelną granicą kraina odseparowała ziomków od siebie, jak również od rodaków w Polsce. Do tego doszła na północnej Bukowinie rusyfikacja, piętnowanie religii (parafia była tylko w Czerniowcach, a księdzu zabroniono wykonywać posługi kapłańskie w innych miejscowościach), przekształcanie kościołów w magazyny, sklepy, sale gimnastyczne, itp. We znaki dawał się też głód, choroby, grabieże, brak perspektyw na lepsze jutro. Akcja repatriacyjna prowadzona w latach 1947–1950 też dzieliła – jedni chcieli wyjechać do Polski, inni do Czechosłowacji, jeszcze inni pozostać na Bukowinie. Dzieliła sąsiadów, dzieliła rodziny.



Bukowina zimą, okolice wsi Panka koło Storożyńca. Fot. H. Krasowska

W komunistycznej Rumunii, odizolowanej od reszty świata, nie uznawano jakichkolwiek praw mniejszości narodowych. W spisach ludności nawet pod koniec lat siedemdziesiątych nie ujawniano istnienia mniejszości polskiej. Ograniczano kontakty z krajem pochodzenia i z przybyszami z Polski (istniał zakaz goszczenia u siebie osób spoza rodziny). Nie mogły funkcjonować organizacje polonijne ani Domy Polskie. Robiono trudności w uzyskaniu paszportu i wyjazdach do Polski.

Taki stan rzeczy trwał do 1989 roku. Wtedy to powstaje Związek Polaków w Rumunii oraz zaczynają działalność inne organizacje polonijne. Od 1991 roku wydawany jest polsko-rumuński miesięcznik „POLONUS” podejmujący problematykę Polonii bukowińskiej. W Czerniowcach powstaje Towarzystwo im. Adama Mickiewicza, które zajmuje się działalnością kulturalną i propaguje polską kulturę nie tylko w środowisku polonijnym. W jednym gimnazjum w Czerniowcach w programie nauczania jest język polski, a na Uniwersytecie im. J. Fedkowycza też można się uczyć polskiego.

Polacy z Bukowiny mogą wziąć udział w zorganizowanym w Pile I Festiwalu Folklorystycznym „Spotkania Bukowińskie”. Nieco później wznowiają działalność Domy Polskie, a 15 stycznia 1993 roku mniejszość polska ma już zagwarantowane swobody w sposób oficjalny, układem o przyjaznych stosunkach i współpracy zawartym pomiędzy Polską i Rumunią. Festiwale bukowińskie zaczynają się odbywać również w Czerniowcach, Câmpulung Moldovenesc, Bonyhád.

Od kilkunastu lat historia Bukowiny, tego pomostu łączącego Wschód i Zachód, strefy przecięcia się kultur i cywilizacji, jest przedmiotem szczególnego zainteresowania kilku ośrodków badawczych zarówno w Europie Wschodniej jak i Zachodniej (Warszawa, Monachium, Dortmund). Tą problematyką zajmuje się również Ośrodek Badań Naukowych Rumuńskiej Akademii Nauk w Radowcach i Ośrodek Badań Naukowych Ukraińskiej Akademii Nauk w Czerniowcach, oraz zespoły historyków działający w Rumunii, Niemczech, Austrii, Polsce i Izraelu. Dochodzi do tego jeszcze zainteresowanie wspólnot emigracyjnych tą problematyką i ich oddziaływanie na wyniki tych badań. Inaczej wygląda zainteresowanie i przedstawianie Bukowiny przez Niemców i Austriaków, inaczej przez Ukraińców, jeszcze inaczej przez Rumunów (już choćby pogląd na samo słowo „bukowina” o tym świadczy), lecz w tym wszystkim chodzi przecież o znalezienie wspólnego języka w historii Bukowiny.

Dzisiejsza Bukowina, Bukowina po „jesieni narodów” 1989 roku, nadal przywołuje do penetracji i do powrotu. Czy dzisiaj doświadczenia tej „Europy w miniaturze” mogą mieć istotne odniesienie do współczesnych procesów integracji europejskiej?

Bukowińczyk z Czerniowiec, poeta Paul Celan, kiedy rozpadł się jego świat oparty na kulturze dialogu, kiedy zmuszony został do emigracji, to pomimo, że wyniósł z Czerniowiec znajomość rozmaitych języków: niemieckiego, francuskiego, hebrajskiego, jidysz, rosyjskiego, rumuńskiego... nie potrafił żyć w Paryżu, choć wydawać by się mogło, że mógł czuć się tam jak u siebie. Jednak nie, wyrzucony z gniazda, zakończył żywot w Sekwanie po samobójczym skoku.

Dzisiaj w Czerniowcach stoi jego pomnik – to też jest przykład kultury dialogu.

ZIEMIA CZADECKA – ZIEMIĄ PRZODKÓW

Stanisław Janocha

DZIEŃ DZISIEJSZY CZADECKIEGO

Omawiając tematy bukowińskie, ze szczególnym uwzględnieniem grupy górali czadeckich, nie sposób pominąć miasta Čadca, jako tego, od którego wywodzimy nazwę regionu – Czadeckie i części jego mieszkańców – górali czadeckich.

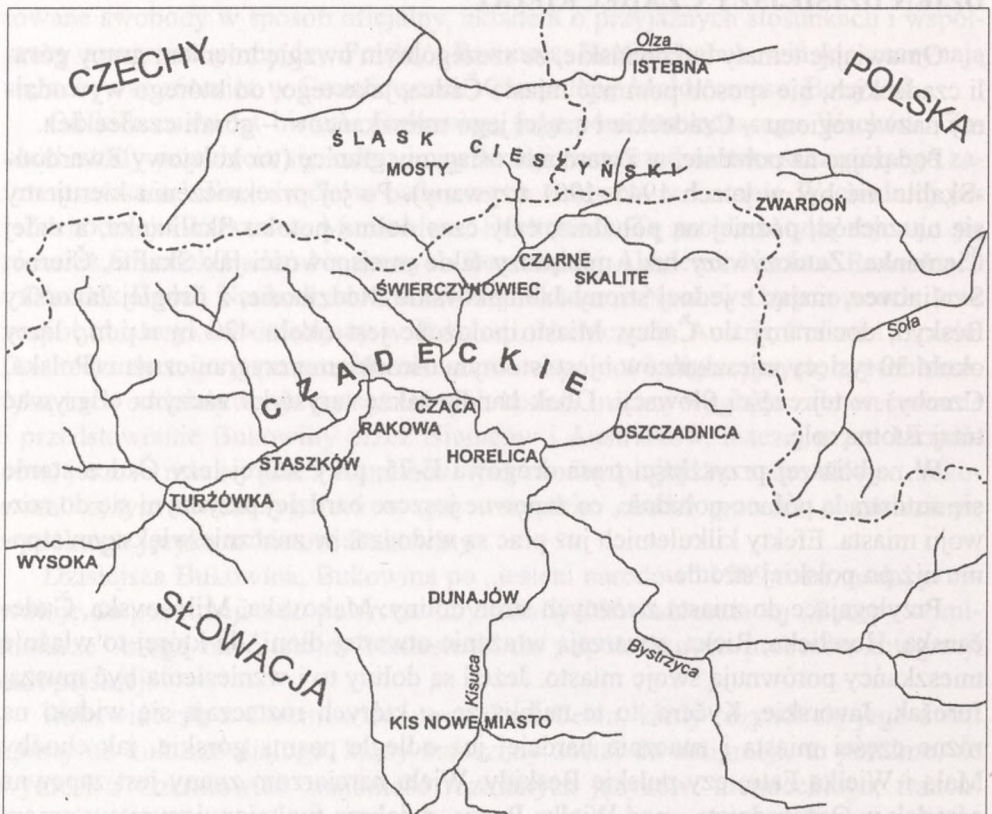
Podążając na południe, w Zwardoniu osiągamy granicę (tor kolejowy Zwardoń-Skalite nie był w latach 1945–1991 używany). Po jej przekroczeniu kierujemy się na zachód, później na południe, cały czas doliną potoku Skalitanka, a dalej Čierňanka. Zatoczywszy łuk i minawszy takie miejscowości jak Skalite, Čierne, Svrčinovec, mając z jednej strony Jablunkovskie Medzihorie, z drugiej Javorský Beskyd, docieramy do Čadcy. Miasto położone jest około 420 m n.p.m., liczy około 30 tysięcy mieszkańców i jest istotnym ośrodkiem przygranicznym (Polska, Czechy) w tej części Słowacji. Obok handlu także turystyka zaczyna odgrywać tutaj istotną rolę.

W najbliższej przyszłości trasa drogowa E-75, przy której leży Čadca stanie się autostradą północ-południe, co zapewne jeszcze bardziej przyczyni się do rozwoju miasta. Efekty kilkuletnich już prac są widoczne w znacznie większym stopniu niż po polskiej stronie.

Przylegające do miasta z różnych stron doliny: Makovska, Milošovska, Čadečanska, Horelicka, Rieka, stwarzają wrażenie otwartej dłoni, do której to właśnie mieszkańcy porównują swoje miasto. Jeżeli są doliny to i wzniesienia być muszą. Jurošák, Javorské, Kyčera, to te najbliższe, z których roztaczają się widoki na różne części miasta i znacznie bardziej już odległe pasma górskie, jak choćby Małą i Wielką Fatrę czy polskie Beskidy. Wielu narciarzom znany jest zapewne ośrodek w Oszczadnicy – pod Wielką Raczą, z dobrze funkcjonującym systemem wyciągów, a rowerzyści znają „cyklomagistralę” w górnych Kysucach. Godny obejrzenia jest także skansen wsi kysuckiej w Novej Bystrici-Vychylovce z funkcjonującą kolejką leśną (przewozy turystyczne), oraz w samej Čadcy Muzeum

Kysuckie. System przejść granicznych łącznie z przejściami turystycznymi jest obecnie dobrze rozwinięty, co pozwala na swobodne wędrowanie po obydwóch stronach granicy. Atrakcją geologiczną są kamienne gule – jajowate i kuliste kamienie o dużych średnicach (dochodzących do 3 metrów) odkryte w kamieniołomie piaskowcowym Megońka.

Ze znanych w dziejach Czechosłowacji i Słowacji osób, które z tym regionem były związane wymienię: pisarza ks. Jana Palarika (1822–1870) z Rakowej, ks. Andreja Majera (pseud. Dlhomir Pol'ski 1864–1935), polityka ks. Józefa Tiso, sygnatariusza „Karty 77” Dominika Tatarkę ze Skalitego, urodzonego w Staszkanie aktora Józefa Kronera (znany z nagrodzonego Oskarem filmu „Sklep przy głównej ulicy”). Koło Kysuckiego Nowego Miasta mieszkała w latach 1900–1911 Apolonia Chałupiec, późniejsza Pola Negri. Ze Świerczynowcem i Čadcą związana jest również twórczość Petra Jilemnickiego (1901–1941). Ważnymi miejscami związanymi z katolickim życiem religijnym są góra Żywczakowa koło Turzówki, związana z kultem Matki Boskiej „Turzowskiej”, oraz wzgórze kalwaryjskie w Oszczadnicy znane z sierpniowych pielgrzymek.



Okręg czeadecki umiejscowiony w granicach współczesnych.

Z DZIEJÓW ZIEMI CZADECKIEJ

Miasto Čadca położone jest na spornym kiedyś terenie granicznym pomiędzy Śląskiem a Węgrami. Historia miejscowości według jej mieszkańców wiąże się z popiołem. Robią oni bowiem porównanie z mitycznym ptakiem Feniksem, który z popiołu powstał, aby wznieść się w przestworza jako symbol odradzania się, regeneracji i odmłodzenia w oczyszczającym ogniu. Ma to też zapewne związek z początkami osadnictwa, kiedy pierwsi osadnicy pozyskiwali nowe tereny wypalając las; powstawało przy tym dużo dymu i popiołu i stąd pewnie wywodzą się nazwy takie jak: Horelica, Ošćadnica, Žarec.

Historycy badający wczesne średniowiecze, pomimo typowych wątpliwości jakie dotyczą tego okresu, na ogół nie negują faktu związania regionu Kysuc w XI wieku z państwem Bolesława Chrobrego i jego syna Mieszka II. Pierwsi Węgrzy pojawili się nad Kysucą w drugiej połowie XII wieku. Oparciem dla nich było biskupstwo w Nitrze i zamek w Trenczynie. W XIII wieku na słabo zaludniony teren w dorzeczu Kysucy wchodzący w skład Księstwa Opolskiego a później Cieszyńskiego, zaczyna z południa przez rzekę Wag napływać większa fala osadnictwa węgierskiego. Dokumenty króla węgierskiego Beli IV z 1244 roku mówią o granicy polsko-węgierskiej pomiędzy Wagiem a górną Kysucą, w paśmie górskim Jaworniki. W późniejszym czasie granica ta oparła się na rzece Kysucy a jeszcze później, osiągnęła dopływ Kysucy, Czerniawkę (Čadca) i wtedy to właśnie zaczęły się spory graniczne z Księstwem Cieszyńskim (pierwsza pisemna wzmianka o Cieszynie pochodzi z roku 1155, natomiast piastowskie Księstwo Cieszyńskie wyodrębniło się w 1290 r.). Próby stałego osadnictwa na tym terenie były tępione przez panów cieszyńskich, a istotnym powodem ku temu było, między innymi, wycinanie lasów przez osadników i osłabianie tym samym fortyfikacji budowanych w związku z istniejącym zagrożeniem tureckim.

Grzbiet Beskidów wydający się naturalną południową granicą osadnictwa polskiego w rzeczywistości taką granicą nie był, bowiem istniejące przełęcze stwarzały możliwości przenikania elementu polskiego w kierunku południowym. Przyznać jednak trzeba, że w XIII wieku Čadeckie było zasiedlone ludnością polską w znacznie słabszym stopniu niż np. dolina Popradu czy Żamagurze Spiskie.

Osadnictwo na tym terenie wiązało się również z istnieniem ważnego hand-



Čadca – kościół barokowy św. Bartłomieja
z 1734–35 r. Fot. S. Janocha

lowego szlaku „miedzianego” ze Śląska na Węgry (uważanego za odnogę słynnego „szlaku bursztynowego” – ze starożytnego Rzymu nad Bałtyk), co czyniło z tych ziem bardzo ważny teren strategiczny.

W pierwszych próbach kolonizacji ziem nad Kysucą uczestniczyli też osadnicy niemieccy ze Śląska, co wzmiankowane jest na piśmie w roku 1244; przy tej okazji pojawia się pierwsza wzmianka o Kysucach.

Ogniskami kolonizacji węgierskiej były w tym rejonie dominia Budziatyn i Streczno. Pomimo wydanego w 1417 r. instrumentu reambulacyjnego, określającego przebieg granicy pomiędzy dobrami kamery książęcej (Śląskiem) a Węgrami (Morawami), spory trwały jeszcze przez następne 400 lat. Według niektórych historyków konflikt graniczny zaczął się właśnie w roku 1417, kiedy ziemie Księstwa Śląskiego sięgały Čadcy, a konfliktowi śląsko-węgierskiemu towarzyszyły spory pomiędzy rodzinami Sunyegów z Budziatynia i Wesselenyi ze Streczna, o nowe tereny osadnicze.

Komisje graniczne zbierały się w okresie lat 1580–1793 ośmiokrotnie i za każdym razem potwierdzały regulacje z 1417 r. Przez cały czas trwa jednak ekspansja Węgrów na te tereny i w 1793 r. kolejna komisja graniczna nie przywróciła już granicy z XV wieku, lecz zatwierdziła tę, którą bezprawnie ustalili Węgrzy. Tym samym dawna granica rzeczna została zamieniona na górska, a jej przebieg był zgodny, z pewnymi tylko niewielkimi odchyleniami, ze stanem obecnym. Na nic zdały się wcześniejsze nawoływania, po ukazaniu się w roku 1736 w Norymberdze mapy Wielanda, na której obszar sporny zaznaczono jako ten, który *należało odzyskać dla Śląska* – Ślązacy więc przegrali w sensie historycznym. Jednak mapy austriackie jeszcze w XIX wieku pokazywały Śląsk Cieszyński w granicach z 1417 r.

Pierwsze pisemne wzmianki o miejscowości Čadca pochodzą z drugiej połowy XVI wieku i jest w nich mowa o zatargach granicznych, związanych z osadnictwem wołoskim na tym terenie. Wołosi w źródłach-dokumentach cieszyńskich wymieniani są już w 1519 r. jako obcy element wprowadzający „rewolucyjne” zmiany w sposobach pasterskiego gospodarowania. Ślady pierwszych Wołochów wywodzących się z obszarów bałkańskich odnajdywane są już pod koniec XV wieku, jednak największa aktywność tego osadnictwa przypada na wiek XVI. Z czasem zaczęto mianem Wołocha określać większość osiadłych w górach przybyszów, choć „klasycznych Wołochów” nie było aż tak wielu. Wspomnieć należy również o przechodzeniu Wołochów z osadnictwa sezonowego na osadnictwo stałe, tzw. osadnictwo kopanickie, z którym wiązały się znowu znaczne „wolnizny”, i które rozwinęło się zwłaszcza w majątkach Bytczy, a dotyczyło głównie Wołochów cieszyńskich. W obszarach na północ od Čadcy osadnictwo stałe nie było mile widziane i dochodziło do konfliktów na tym tle. W 1616 r. Cieszyn i Budziatyn zawarły nawet porozumienie co do wypasu owiec i budowania szałasów oraz stałych budowli na spornych terenach. Porozumienie to stawiało w lepszej sytuacji cieszyńskich Wołochów i oni dominowali na tym terenie przez następne lata.

W wiekach XVI i XVII kolejne żywioły osadnicze, tym razem już nie wołoskie, doprowadzają jednak do stałego zagospodarowania tych obszarów. Osadzają się tam chłopci pańszczyźniani zbiegli z cieszyńskiego i żywieckiego, oraz ludność słowacka z południa. Zachętą dla nich były znowu „wolnizny” nawet do 20 lat, ofiarowane przez panów ze Streczna czy Budziatynia. Do połowy XVIII wieku powstają wszystkie ważniejsze wsie na pograniczu, takie jak: Koniaków, Jaworzynka, Skalite, Świerczynowiec, Czarne.

Nadzieje związane z zasiedleniem i zagospodarowaniem nowych terenów kysuckich nie do końca jednak spełniły się. Nadal były to obszary najuboższe na Słowacji, co powodowało ciągłą wędrówkę za chlebem. Po przyłączeniu potureckiej Bukowiny do Galicji skorzystali z tego osadnicy znad Kysucy i tam również skierowali swoje kroki. Ziemia Czadecka wrastając w organizm węgierskiej Słowacji nadal była zacofana i biedna. Głód w latach 1846–1847 powoduje dalszy odpływ ludzi, zarówno na ziemie wgląb Węgier (tzw. Dolne Ziemie), jak i za ocean.

Ani budowa kysuckiego odcinka kolei koszycko-bohumińskiej w latach 1869–1871, ani kolei do Galicji przez Skalite w 1884 roku, nie wpłynęło znacząco na polepszenie bytu ludności miejscowej.

Po I wojnie światowej Ziemia Czadecka trafiła do podręczników historii oraz znalazła się na arenie międzynarodowej za sprawą kolejnego, tym razem polsko-czechosłowackiego konfliktu granicznego, w którym strona polska – podobnie jak wcześniej – posługiwała się argumentem etnograficznym, domagając się doliny górnego biegu Kysucy, doliny Czernianki, doliny Oszczadnicy i początkowo również wsi Skalite, Czarne i Świerczynowiec. Jak wiadomo, Rada Najwyższa Konferencji Pokojowej w Paryżu zatwierdzając przeprowadzenie plebiscytu na Śląsku Cieszyńskim, Spiszu i Orawie pominęła region czadecki przyznając go w całości Czechosłowacji.

W latach 1921–1923 Kysuce dotknął kryzys gospodarczy, który pchnął za ocean kolejną grupę emigrantów. Nadal nie było w tym regionie warunków do utrwalania polskiej świadomości narodowej, choć przyznać trzeba, że próby takie odbywały się (działacze krakowscy oraz Polacy z Zaolzia, podkreślali w swoich sprawozdaniach polskie oblicze językowe wielu czadeckich wsi), nie przynosząc jednak spodziewanych efektów.

Jesienią 1938 r., wkrótce po przyłączeniu Zaolzia do Polski (2 października 1938 r.), ponownie Czadeckie znalazło się na arenie międzynarodowej (akcja Grupy Operacyjnej „Śląsk” gen. W. Bortnowskiego, 24–25 listopada 1938 r.) i choć w odróżnieniu od Zaolzia niewiele pisano wtedy o przyłączonych do Polski obszarach słowackich, to wiedzieć trzeba, że fakty takie – oraz wiele innych jeszcze, na opisanie których miejsca tutaj nie starcza – miały miejsce.

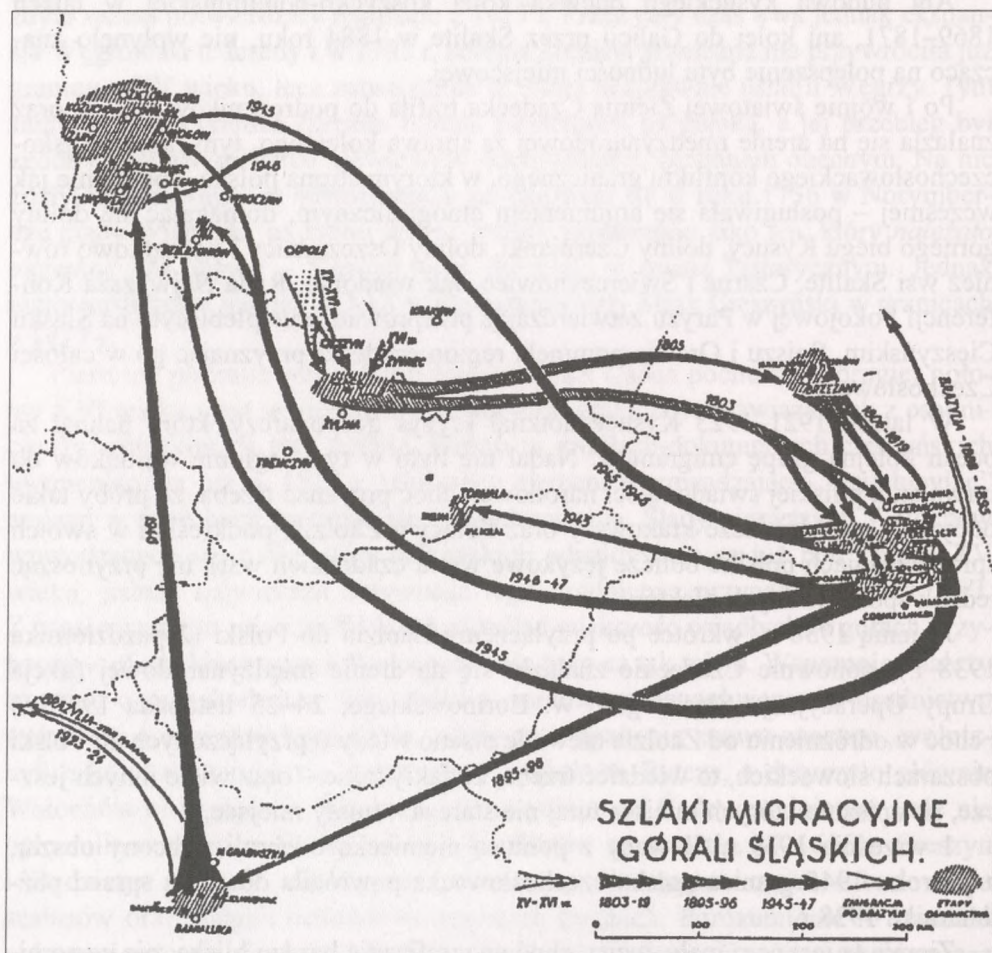
1 września 1939 r. Słowacy z pomocą niemiecką odebrali utracony obszar, a po roku 1945 granica polsko-czechosłowacka powróciła do stanu sprzed października 1938 r.

Ziemia ta jest nam mało znana, choć geograficznie bardzo bliska, nie wspominając o jej walorach przyrodniczych i kulturowych. Może czas już, aby zapełniła

się turystami i badaczami z obu krajów i przestała się kojarzyć z biedą i konfliktami. Może czas zacząć myśleć jak tu ochronić ją i przechować dla nadciągającej „wspólnej Europy”?

WĘDRÓWKI GÓRALI Z CZADECKIEGO NA BUKOWINĘ I Z BUKOWINY

Cofnijmy się jednak ponownie do wieku XVIII i trudnej sytuacji ekonomicznej na omawianym terenie. Ziemia Czadecka coraz bardziej zaludniała się, zaczęło być ciasno, a ludzie cierpieli biedę. W takiej to właśnie sytuacji, na przełomie XVIII i XIX wieku dochodzi do emigracji górali znad Kysucy na daleką Bukowinę, pozyskaną przez Austriaków w 1774 r. od Turków, a 12 lat później administracyjnie związaną z Galicją i intensywnie zasiedlaną różnymi narodowościami. Powodem tej emigracji była – jak nietrudno się domyślić – perspektywa poprawy ciężkiej doli, jaka zaczynała coraz bardziej doskwierać w Czadeckim.



Szlaki migracyjne górali śląskich w czasie XV–XX w. Wg M. Gotkiewicza.

Początkowo górale znad Kysucy osiedlają się w Kaliczance pod Czerniowcami, Starej Hucie-Krasnej, Terebleczu i Hlibokiej. Duży przyrost naturalny spowodował, że część następnego pokolenia zakłada w latach 1830–1840 nowe wsie w okolicach miasta Gura Humory: Nowy Sołонец, Pleszę, Pojanę Mikuli. W przypadku tej ostatniej wsi wspomnieć należy, że założyli ją wspólnie z Niemcami sudeckimi.

Dalsze losy tej grupy, już nie nad Kysucą, lecz Seretem, stały się obiektem wnikliwej obserwacji ze względu na etniczną i etnograficzną specyfikę, oraz odrębność w bukowinijskim tyglu kulturowym. Ludność ta, mając ograniczone ze względu na położenie geograficzne kontakty z otoczeniem, zachowała polską gwarę i wiele zwyczajów z Czadeckiego. Pomimo tego, urzędowo fakty te były ignorowane przez władze, a w statystykach grupa polska uznawana była za Słowaków.

Podkreślić należy również fakt, że to dopiero na Bukowinie górale z Czadeckiego dostali się w zasięg oddziaływania polskiego ruchu narodowego. Wcześniej nie interesowano się sytuacją narodowościową w Czadeckiem, kojarząc ten obszar raczej z niską świadomością społeczną, biedą i Węgrami – „Uhrami”. Przed 1914 rokiem w Galicji ukazało się jednak kilka artykułów rozwijających twierdzenia czeskich i słowackich badaczy (zwłaszcza A. Šembery) stwierdzających istnienie polskich osad na górnych Węgrzech. W przypadku Czadeckiego chodziło o czternaście osad z 24 tysiącami ludności polskiej. Autorem tych prac był Roman Zawiliński. Choć żadnej większej akcji „uświadamiającej” w Czadeckiem nie przeprowadzono, to jednak w polskiej opinii publicznej pozostało przekonanie o istnieniu po stronie węgierskiej „zapomnianych kresów języka polskiego”. Po emigracji na Bukowinę zainteresowanie tą grupą zarówno badaczy jak i pasjonatów góralszczyzny znacznie wzrosło. W dalszym ciągu nie dotyczyło to jednak ziem nad Kysucą.

Wśród górali osiadłych na Bukowinie mają miejsce liczne migracje wewnętrzne – powstają nowe osady powiązane zwykle więzami rodzinnymi z wsiami pochodzenia. Podobnie jak wcześniej nad Kysucą, tak i tutaj szybko dochodziło do przeludnienia i migracje wewnętrzne nie rozwiązywały problemu na długo.

Pod koniec XIX wieku następują migracje poza granice Bukowiny. W 1888 r. grupa rodzin z Nowego Sołónica i Pojany Mikuli wyrusza do Parany w Ameryce Południowej, natomiast w 1896 r. następna grupa wyemigrowała do Bośni. W okresie międzywojennym około trzy tysiące tych górali wyjechało do Brazylii, do swoich wcześniej osiadłych tam pobratymców.

Po I wojnie światowej, jesienią 1918 roku, Bukowina w całości znalazła się w granicach Rumunii.

Kolejnym ciekawym epizodem związanym z ziemią Czadecką w latach międzywojennych, który jednak w większym stopniu stał się ważnym politycznym wydarzeniem, był polsko-czechosłowacki spór „o dusze” górali czadeckich na dalekiej Bukowinie. Sytuacja ta miała związek z akcją rozpoczętą w 1935 r., zmierzającą do zastąpienia języka polskiego w szkołach Pojany, Pleszy i Nowego Sołónica, językiem słowackim. Sprzyjało temu wydane w 1935 r. zarządzenie władz w Bukareszcie zabraniające nauczycielom państwowym nauczania języków mniej-

szości narodowych. W 1936 r. pomiędzy Pragę a Bukaresztem zawarta została umowa, zezwalająca na zasadzie wzajemności na tworzenie szkół z językiem wykładowym tych narodów (czechosłowackiego w Rumunii i rumuńskiego na Rusi Zakarpackiej). W 1937 roku w Pojanie Mikuli pojawili się nauczyciele czechosłowaccy twierdzący, że górale czadeccy to spolonizowani Słowacy znad Kysucy. Potomkowie czadeckich emigrantów znad Kysucy zostali niejako zmuszeni w ten sposób do przypomnienia sobie swoich dawnych korzeni. Przyznać trzeba, że część z nich poszła za tymi namowami. Właśnie ten fakt spowodował wysłanie do Rumunii w misji „ratunkowej” dr Mariana Gotkiewicza. Gotkiewicz nazywał ten fakt „słowackim zamachem na polskość górali żyjących w kilku wsiach na Bukowinie”. Sama nazwa „górale czadeccy” nie była pierwotnie używana nad Kysucą, a przyjęła się dopiero w okresie międzywojennym właśnie głównie za sprawą badań dr Gotkiewicza. Planowana była również akcja uświadamiająca wśród ludności polskiego pochodzenia w Czadeckiem, z wykorzystaniem górali z Bukowiny – nie doszło jednak do niej.

II wojna światowa w pierwszej fazie oszczędziła góralskie wioski na Bukowinie. Armia hitlerowska poszła na wschód innymi szlakami. Ogłoszony został pobór do armii rumuńskiej. Kto z mężczyzn nie zdołał zdezerterować, ten szedł walczyć za obcą sprawę – armia rumuńska wspierała bowiem siły zbrojne Hitlera. Po klęsce pod Stalingradem front przybliżył się ku Seretowi. Zaczęły się zacięte walki o drogę z Gura Humory przez Pleszę i Nowy Sołonec do Solki i Radowiec – Plesza kilkakrotnie przechodziła z rąk do rąk. Pojana została spalona w kwietniu 1944 roku. Losy ludności potoczyły się różnymi drogami. Niektórzy mężczyźni walcząc w szeregach dywizji Kościuszkowskiej byli pod Kołobrzegiem i Berlinem.

Po II wojnie światowej, z podzielonej już Bukowiny zaczęli wracać do Polski górale z Ziemi Czadeckiej. Nie trafili już jednak w rejon, z którego kiedyś wyszli ich przodkowie, lecz osiedlani byli na tzw. Ziemiach Odzyskanych w nowych warunkach geograficznych i kulturowych.

Patrząc z perspektywy ponad pięćdziesięciu lat, które minęły od przybycia na te ziemie, nie mam wątpliwości co do tego, że zachowali bardzo wiele z tradycji i kultury swoich przodków z Kysuc, spod Čadcy.

WIGILIE PANA LEOPOLDA

**Wspomnienia Leopolda Kałakajło
spisane przez Jadwigę Kuczabińską z Czerniowiec,
a zredagowane przez Stanisława Janochę**

Bukowina – to karpacki wielonarodowościowy region z bogatą mozaiką kulturowo-etniczną i religijną. Różne języki, różne świątynie, ale wspólne miasta, wsie, ulice, podwórka, a czasem i mieszkania. Wigilijny wieczór dla katolickiej rodziny był zawsze czymś szczególnym, niezależnie od tego, gdzie i w jaki sposób był spędzany. Nie inaczej bywało i w przypadku bohatera tych wspomnień, a przedstawione tutaj przykłady kilku jego wigilii niech świadczą o tym, jak różne mogą być to przeżycia i jak różne uczucia mogą być udziałem człowieka w tym wyjątkowym dniu, choć wydaje się, że jest w tym wszystkim coś wspólnego, co zawsze w końcu dochodzi do głosu. Jest to zdolność do jakiegoś szczególnego współodczuwania, do okazywania dobrego serca. Leopold Kałakajło w swoim ciekawym, chociaż nie usłanym różami życiu, miewał bardzo różne wigilie:

wesołe – kiedy żyli jego rodzice i wigilie spędzał wraz trójką rodzeństwa, w rodzinnym domu w Storożyńcu;

bardzo smutne – w czasie II wojny światowej, spędzane gdzieś w Rumunii, w wojskowych koszarach, czy w marszu, z dala od bliskich, bez opłatka i choinki;

smutne inaczej – w okresie „nowego ładu społecznego” po zakończeniu II wojny światowej, spędzane w nowym domu rodzinnym w Czerniowcach, w nowej Ojczyźnie z wyboru;

nadal smutne – w niepodległej Ukrainie, w latach kończących drugie tysiąclecie, bez perspektywy i nadziei na lepszy byt.

W tych przeżyciach jak w lustrze odbijają się losy tak człowieka, jak i całej społeczności. Zaczniemy jednak od dzieciństwa, bo z nim autor wiąże najbardziej radosne i miłe wspomnienia wigilijno-święteczne.

W okresie adwentu uczestniczono w roratach. W dziecięcej pamięci szczególnie mocno utkwiał jeden z takich poranków. Było jeszcze ciemno, bezśnieżnie i mroźno, wraz z matką i ojcem bardzo wcześnie rano wyruszyli z rodzinnego

domu do dosyć odległego kościoła w Storożyńcu. Po drodze po raz pierwszy zobaczył oświetlenie elektryczne. Te świecące elektryczne żarówki tak bardzo mu się podobały, że stał oczarowany przez ich światło, nie czując siarczystego mrozu, który dobierał mu się do skóry przez liche przyodziewek (na lepszy rodziców nie było stać). Do dzisiaj pamięta ten blask – później nigdy nie widział piękniejszego.

W miarę zbliżania się Bożego Narodzenia atmosfera domu rodzinnego nabierała świątecznego kolorytu. Już na długo przed świętami zaczynało się gruntowne sprzątanie domu, bowiem na święta wszystko musiało błyszczeć czystością. Tydzień przed wigilią Matka wysypywała na stół pszenicę i zaczynało się jej przebieranie, aby pomiędzy dorodnymi ziarnami nie znalazły się nasiona chwastów i inne nieczystości. Pszenica pochodziła z własnej uprawy, podobnie jak i wiele innych owoców ciężkiej pracy własnych rąk na bukowińskiej, nie zawsze przecież urodzajnej, ziemi. Kupowano jedynie cukier i przyprawy.

W ostatnim tygodniu przed wigilią przychodził organista z opłatkiem – symbolem, bez którego nikt nie wyobrażał sobie wigilijnego wieczoru. Na dwa dni przed wigilią Matka zabierała się na dobre do pieczenia świątecznych ciast. Gdy dzieci budziły się tego ranka, w piecu chlebowym wesoło huczał ogień, a później wkładano do niego zawijające z makiem, serem i orzechami. Pomagano matce wyciskać z ciasta serduszka, gwiazdki, rybki, które następnie smarowano jajkiem i posypywano mielonymi orzechami. Przygotowywano też inne potrawy wigilijne wymagające dużego nakładu pracy i czasu.



Przygotowania do wigilii Świąt Bożego Narodzenia w domu Malickich w Piotrowcach Dolnych na Bukowinie. Fot. H. Krasowska

Kiedy nadchodził oczekiwany dzień, a na niebie zabłysła pierwsza, jakże niecierpliwie oczekiwana gwiazda, cała rodzina zasiadała do stołu. Ojciec gasił lampę naftową, a zapalał świecę, przy której odmawiano modlitwę. Ojciec dziękował Panu Bogu za dary, plony zebrane z pola i sadu, brał opłatek i dzielił się z każdym, składając życzenia odpowiednie do wieku i pozycji zajmowanej w rodzinie. Po zakończeniu dzielenia się opłatkiem i życzeniach przystępowano do spożywania tradycyjnych wigilijnych potraw. W polskich domach na Bukowinie były to zwykle: kutia (gotowana pszenica z miodem, makiem, orzechami i rodzynkami), czerwony barszcz z uszkami (nadziewanymi suszonymi ugotowanymi grzybami), karp smażony oraz w galarecie, pierogi (z makiem, powidłem ze śliwek, kapustą, ziemniakami), groch, rozmaicie przyrządzana fasola. Zgodnie z tradycją w sumie miało być dań dwanaście i trzymano się tej liczby.

Później, w uroczystej ciszy wigilijnej wieczery zaczynano śpiewać kolędy. Od tej chwili w całym domu było bardzo głośno, wesoło i gwarno – chwalono się otrzymanymi prezentami znalezionymi pod choinką. W taki właśnie wesoły sposób czas upływał do rana, bowiem zdaniem matki w tę świętą wigilijną noc nie należało kłaść się spać.

Raniutko, w pierwszy dzień Świąt Bożego Narodzenia, wszyscy szli na Pasterkę. Po obiedzie tego dnia przychodzili kolędnicy. Jako pierwsi przychodzili z „bractwa” – czyli ci, którzy zbierali datki na potrzeby Kościoła. Dopiero potem zjawiali się „herodzi” – dzieci, młodzież oraz starsi kolędnicy polskiej i rumuńskiej narodowości (Polacy i Rumuni żyli obok siebie).

Tak mijały lata, Święta Bożego Narodzenia bywały bogatsze lub biedniejsze – w zależności od urodzaju, zarobków ojca, sytuacji rodzinnej – jednak zawsze były to święta wesołe. Kiedy Leopold podrośł, chodził kolędować z kolegami – z Polakami po polsku, z Rumunami po rumuńsku. Zna zarówno jedno jak i drugie kolędy – śpiewa je i dzisiaj. Wspomina jak pewnego razu zaszli z jasełkami do rumuńskiej rodziny. Przyjęto ich bardzo uprzejmie i ciepło, cała rodzina uważnie słuchała i oglądała ich mini przedstawienie, po jego zakończeniu gospodarz zapłacił i powiedział: *Choć śpiewaliście i przedstawialiście nie po rumuńsku ... – ale Bóg jest jeden i w tej chwili jest z nami i z wami.*

W starszych klasach szkolnych z nastaniem okresu świątecznego śpiewano kolędy i wykonywano scenki jasełkowe wyłącznie po rumuńsku. Po polsku jasełka wystawiano tylko w „DOMU POLSKIM”. Miejscowej Polonii brakowało większej sali dla organizowania imprez, brakowało i innych rzeczy, jednak byli przekonani, że tak dobrze jak na Bukowinie nie ma nigdzie. Nie przysłaniały tej wizji nawet czarne chmury nadchodzącej wojny światowej.

Jesienią 1939 roku Leopold został powołany do rumuńskiego wojska, do jednostki strzelców górskich w Braszowie. Zostawił w domu samotną Matkę, Ojciec zmarł wcześniej. Starszy brat był już w wojsku, a starsze zameżne już siostry przebywały daleko od rodzinnego domu.

Wczesnym rankiem 24 grudnia 1939 roku udało się mu jednak przyjechać do domu, do Storożynca. Kiedy zapukał do drzwi usłyszał przerażony głos Matki: *Kto tam? – To ja Mamo* – po czym długie chwile oczekiwania na otwarcie zary-

głowanych drzwi, łyzy powitania. *Boże Święty, to Ciebie puścili? Na wiele? Bogu dzięki i za to* – wyszeptała matka. Dopiero teraz zauważył jak źle wygląda, że ledwo trzyma się na nogach. Była już bardzo chora, a stan jej pogarszało panujące w domu zimno i pustka po najbliższych. W szopie znalazł kilka kawałków drewna i rozpałił pod kuchnią ogień, przy którym trzymając w ramionach Matkę, ogrzewali się okryci jego wojskowym rumuńskim płaszczem. Scena niczym z obrazów Grottgera, tyle tylko, że nie obraz to był, lecz samo życie. Tak w milczeniu przesiedzieli do zmroku: matka i najmłodszy syn. Był jednak wigilijny wieczór, trzeba było zgodnie z tradycją siadać do wieczerzy – na stole nakrytym białym obrusem stanął talerzyk z białym opłatkiem i miska z ugotowanymi w mundurkach ziemniakami. Pomodlili się, podzielili opłatkiem, popłakali sobie. Cicho i smutno zanucili kilka kolęd, dopóki nie zmorzył ich sen wigilijnej nocy. To była pierwsza smutna wigilia w życiu młodego Polaka z Bukowiny.

Rano poszedł na Mszę do kościoła sam, Matka nie była w stanie dojść do kościoła. Po nabożeństwie zgłosił się na miejscowy posterunek policji celem zameldowania swojego pobytu, bowiem mundur strzelca górskiego zbyt rzucił się w oczy w miasteczku. Wieczorem tak jak zwykle chodzili kołędnicy, lecz tym razem dom państwa Kałakajło nie gościł ich. Gospodyni nie miała ani pieniędzy, ani poczęstunku aby ich przyjąć. Święta minęły, nadszedł Nowy Rok, trzeba było szykować się do powrotu. Narąbał drzewa na opał, zrobił porządki w obejściu i wieczorem 2 stycznia 1940 roku był gotów wracać do wojska. Po długim pożegnaniu z Matką, wyszedł z domu na dworzec sam – nie miał go kto odprowadzić.

Wigilię roku 1941 spędził w jednostce saperskiej w miejscowości Craiova na południu Rumunii. Trwała wojna, było bardzo ciężko pod każdym względem. Żołnierze cierpieli głód, dlatego z niecierpliwością oczekiwał Leopold na wigilię, mając nadzieję, że w ten wieczór dadzą trochę więcej jadła.

Przed wojskiem nauczył się od starszego brata szewskiego fachu i teraz, w wolnych od służby chwilach, pomagał w warsztacie szewskim, za co dostawał zapłatę lub dodatkową porcję jedzenia. W wigilijny wieczór 1941 r., po powrocie o zmroku z ćwiczeń w stołówce zastał niestety zwykłą porcję jedzenia. Marzenie – aby właśnie w tym szczególnym dniu najeść się do syta, pozostało w sferze marzeń. Zdecydował, że pójdzie do warsztatu szewskiego. Ubrał kombinezon, wziął kosze ze śmieciami i poszedł je wysypać. Stojący na warcie żołnierz nic nie podejrzewając przepuścił go. On tymczasem, gnany głodem, przecisnął się pod kolczastym drutem ogrodzenia i znalazł się na ulicy poza koszarami. O zbyt dużym oddaleniu się od koszar nie mogło być mowy, bo ubranie, które miał na sobie nie pozwalało na to. Wszedł więc do pierwszego napotkanego sklepu. Wszystko sprzedawane było na kartki, a on ich oczywiście nie posiadał. Nieśmiało podszedł do właściciela sklepu i szeptem, po rumuńsku, zaczął błagać go o sprzedanie czegoś za pieniądze. Rumun, widząc dobrego człowieka, sprzedał głodnemu Polakowi dwa małe bochenki chleba. Ten schowawszy je pod kombinezon, drogą popod kolczastym drutem powrócił do koszar do warsztatu szewskiego, gdzie majster z pomocnikiem w jednej chwili pochłonęli jeden z bochenków. Drugi bochenek chleba schował dobrze pod kombinezonem, a znalazłszy cichy ciemny kąt w koszarowym

budynku usiadł w kucki, pokroił go na małe kawałeczki z myślą pozostawienia części z nich na następne dni. Wziął jeden kawałek, delektując się nim niczym najlepszym ciastem z dobrych czasów. W wyobraźni zobaczył nakryty stół w rodzinnym domu, liczne potrawy, choinkę, wziął drugi kawałek, wziął następny i jeszcze jeden, aż ręka trafiła w pustkę. Otworzył oczy i spostrzegł, że nic już nie pozostało z tego bochenka. Ukląkł – długo modlił się za zdrowie Matki, dziękował Bogu za ten wigilijny posiłek. Tak zakończył się wigilijny wieczór wojennego roku 1941.

Rok później, w 1942 roku, noc wigilijną przyszło mu spędzać w marszu. Dopiero nad ranem zarządzono postój, a utrudzeni żołnierze mogli próbować wątpliwego odpoczynku na zmarzniętej ziemi. Leopold korzystając z wolnej chwili, odszukał jedyne oprócz siebie Polaka w plutonie i obydwaj oddalili się nieco od reszty oddziału. Jan Niedzielan, ten właśnie Polak, odezwał się po polsku: *U nas na pewno w tej chwili już idą do kościoła na pasterkę*. Nie mieli zegarków, ale odczuwali podświadomie, że to już ranek. W ich wyobraźni, u każdego po swojemu, rysowały się dalekie domy rodzinne, kościoły, rodziny i bliscy śpieszący na pasterkę. Chcieli uklęknąć w szczerym polu do modlitwy, ale nie zdążyli, bo rozległa się komenda: *Wstać! Przygotować się do drogi!....* Zaskrzypiały załadowane skrzyniami trotylu furmanki, zaskrzypiały zmarznięte żołnierskie buty, ruszyli dalej. Na wojnie nie można płakać, bo by się wypłakało oczy – tyle jest powodów do płaczu, lecz tym razem łzy ciekły, a mroźny wiatr nie znający litości robił z nich twarde krople lodu. Szli w milczeniu, gnani złym losem w nieznane, pod obcym dowództwem i w imię cudzych interesów politycznych.

Minęła II wojna światowa, jej mrok zastąpiła inna noc, pełna niepewności i nowego „czerwonego” koszmaru. Trudno było się budzić i wchodzić w nowe życie, gdzie wszystko było inne, jakże inne niż przed wojną, dawniej. Ci, co przeżyli – wracali. Wrócił również i autor tych wspomnień. Rodzinny dom w Storożyńcu zastał pusty – Matka nie przeżyła wojny.

W pierwszy powojenny wieczór wigilijny dzielił się opłatkiem z ciotką zamieszkałą w Czerniowcach. Tutaj właśnie znalazł nowy dom rodzinny i z nim związał swój dalszy los. Był to dom, w którym – jak dawniej w Storożyńcu – panowała atmosfera polskości, choć na zewnątrz rządzą nowi zaborcy. Leopold Kałakajło nie wyjechał do Polski, bo uznał za słuszną motywację swojej ciotki, która twierdziła: *I na tej ziemi musi zostać Polak, aby nie poszły na marne polskie łzy i polska krew, wszak ziemia ta w obronie jej jest zlaną polską krwią* (to słowa z hymnu bukowińczyków, który do wojny znał i śpiewał każdy Polak na Bukowinie).

Ten testament moralny zrealizowany został w 1989 roku poprzez założenie w Czerniowcach Towarzystwa Kultury Polskiej im. Adama Mickiewicza. Jednym z jego założycieli i aktywnych działaczy jest do dzisiaj pomimo sędziwego wieku Leopold Kałakajło.

Wracajmy jednak do wigilijnych wspomnień, bo czas biegł dalej.

W latach pięćdziesiątych władze sowieckie odbierały wiernym i zamykały kościoły na Bukowinie. Nietknięty został jedynie parafialny kościół w Czerniowcach. Możliwość chodzenia do tego kościoła była darem Bożym dla tutejszych

Polaków. Nie oznaczało to oczywiście powrotu do wigilii sprzed wojny. Świętowano ukradkiem, za dobrze zamkniętymi drzwiami, przy szczelnie zasłoniętych oknach. Kolędy śpiewano po cichu. Na pasterkę śpieszyło się ukradkiem, żeby nie dać Boże ktoś z pracy nie zobaczył jak się wchodziło do polskiego kościoła. W Czerniowcach od 1945 roku do dzisiaj, w czasie Świąt Bożego Narodzenia z kolędą nikt nie chodzi. Wierni zmuszeni byli groźbą utraty pracy po kryjomu brać śluby, chrzczyć dzieci, religii i języka polskiego uczono potajemnie w prywatnych domach. W tych ciężkich czasach duszpasterstwo prowadzone było na całej północnej Bukowinie po polsku.

Kościół przetrwał 50 strasznych lat dzięki mężnej postawie kilku parafian – Polaków, którzy trzymali w swoich rękach klucze do świątyni i stanowczo odmawiali władzom ich oddania. Wśród tych odważnych Polaków był i Leopold Kałakajło.

Mijały lata, zachodziło wiele zmian, nadszedł czas, kiedy po rozpadzie Sowietckiego Związku północna część Bukowiny znalazła się w granicach niepodległego państwa ukraińskiego. Nasz bohater nadal wiedzie żywot w Czerniowcach i 24 grudnia 2000 roku zasiadł do świątecznej wieczerzy. Nakryty stół, przygotowanych dwanaście tradycyjnych potraw, dwanaście nakryć – dla jedenastu uczestników i jednego niespodziewanego gościa, to też tradycja której się przestrzega. Rodzina w komplecie, zbliża się godzina szósta wieczorem, zbierają się wszyscy przy wigilijnym stole, aby spożyć świąteczną wieczerzę i wysłuchać świątecznej audycji radiowej w języku polskim przygotowanej przez Towarzystwo Kultury Polskiej. Atmosfera bardzo podobna do tej, jaka bywała w rodzinnym domu seniora rodu w Storożyńcu, kiedy żyli jego rodzice. Wieczór rozpoczyna się wspólną modlitwą, następnie najstarszy w rodzinie Leopold dzieli się z każdym opłatkiem, składając życzenia. Spożywają wigilijne dania, nadchodzi czas śpiewania kolęd w otoczeniu wnuków i prawnuka. Pan Leopold w myślach dziękuje Bogu, że dał dożyć sędziwego wieku 82 lat – urodził się bowiem 11 listopada 1918 roku, w dniu ważnym dla każdego Polaka. Dziękuje również za to, że doczekał zmian – już nie trzeba się ukrywać, można głośno śpiewać kolędy, a o północy spokojnie z całą rodziną iść do kościoła na Pasterkę. Żal tylko, że nie chodzą już kolędnicy. Tradycja trudno wraca.

Z zadumy wyrывa go głos radiowego spikera w języku ukraińskim informujący o katolickim święcie Bożego Narodzenia. Rozlega się jedna z najbardziej znanych polskich kolęd, niestety śpiewana też po ukraińsku. Trzydziestominutowa audycja radiowa przygotowana przecież przez Czerniowieckie Towarzystwo Kultury Polskiej, w połowie swojego antenowego czasu rozbrzmiewa w języku ukraińskim. Słuchając jej sędziwy Polak Leopold Kałakajło poczuł się skrzywdzony, nie przez Ukraińców lecz przez swoich.

Starania o zachowanie języka polskiego również w nauczaniu religii na razie przynajmniej okazują się daremne. Wyższe władze kościelne są widać innego zdania na ten temat. Najmłodszą wnuczkę Państwa Kałakajło do pierwszej komunii przygotowywał dziadek Leopold, bowiem nie uczęszczała na lekcje religii prowadzone w języku ukraińskim.

Wigilijny wieczór w domu Kałakajłów trwa jednak dalej, a od smutnych myśli odciąga wesoły śmiech najmłodszych, którzy cieszą się z prezentów znalezionych pod choinką. Te bardzo skromne upominki są prawdziwym majstersztykiem gospodyni domu – bo sytuacja finansowa w rodzinie, jak u większości ludzi na Ukrainie, nie jest najlepsza. 82-letni senior też jeszcze pracuje i dziękuje Bogu, że znalazł pracę. Cóż – biedne dzieciństwo – jeszcze biedniejsza starość.

Tradycją tej rodziny jest kończenie wigilijnej wieczerzy modlitwą wygłaszaną przez najstarszą osobę w rodzinie:

*Podnieś rękę, Boże Dziecię,
Błogosław Ojczyznę miłą,
W dobrych radach, w dobrym bycie,
Wspieraj jej siłę – swą siłą,
Dom nasz i majątność całą,
I Twoje wioski z miastami.
A słowo Ciałem się stało
I mieszkało między nami.*

Na pasterce w parafialnym kościele w Czerniowcach modliła się i kolędowała cała rodzina Kałakajłów, wraz z wieloma innymi rodzinami polskimi i nie tylko polskimi.

W wigilijny wieczór w Domu Polskim łamano się białym opłatkiem wspólnego losu, w braterskiej radości i nadziei, życząc sobie nawzajem zdrowia, szczęścia rodzinnego, zrozumienia i poszanowania kultury różnych narodowości, zgody, wiary w Boga i błogosławieństwa-Bożego. Tak, jak kiedyś na Bukowinie której nie dzieliła granica panowało poszanowanie i zrozumienie cudzego, tak chyba i teraz, u progu nowego tysiąclecia mogą zaistnieć warunki do takiego współżycia, a Polacy na pewno będą tego pozytywnym przykładem.

Czerniowce, styczeń 2001

*Wiele pieśni na świecie
ze stulecia w stulecie
ale jest ten jedyny,
z samej głębi, z głębiny;
od kolebki do grobu
ton ten idzie za tobą
w mowie dziada pradziada.*

Konstanty Ildefons Gałczyński

DWIE DROBNE POLKI CZYLI ŻYCIE OLGII I ELŻBIETY FIFFAR Z CZERNIOWIEC

**Na podstawie materiału dostarczonego przez Jadwigę Kuczabińską
przygotował Stanisław Janocha**

W lutym 1912 roku w Czerniowcach, przy ulicy Panaitengasse, w rodzinie Franciszka i Marii Fiffar (z domu Halicka) przyszły na świat bliźniaczki – Olga i Elżbieta. Ojciec był znanym bednarzem i aktywnym członkiem Towarzystwa Polskich Rzemieślników „GWIAZDA” przy Domu Polskim. Oczywiście więc było związanie rodziny Fiffar z tym wszystkim, co działo się w polonijnym środowisku ówczesnych Czerniowiec i Bukowiny. Na imprezy, które odbywały się w Domu Polskim, przychodzono całymi rodzinami, razem z dziećmi. Działał dziecięcy teatrzyk „BAJKA”, w którym bliźniaczki już w wieku lat pięciu próbowwały swych sił jako aktorki. Rodzice zadbali o to, aby od najmłodszych lat dzieci miały świadomość, że Dom Polski jest drugim domem rodzinnym. Tej zasadzie pozostały wierne przez całe swoje życie.

W piątym roku życia zaczęły uczęszczać do ogródka (tak wówczas nazywano przedszkola) przy klasztorze Sióstr Rodziny Marii. Gdy ukończyły 6 lat zapisano je do 4-klasowej szkoły ludowej przy tym samym klasztorze. Naukę w języku polskim prowadziły tutaj siostry zakonne. Następnym krokiem w ich edukacji było sześciolatek seminarium nauczycielskie z prawem zdawania matury. Ukończyły je w 1928 roku w Rumunii, a więc już po upadku cesarstwa austro-węgier-

skiego. Po maturze przyszedł czas na pracę nauczycielską. Skierowane zostały do miejscowości Stara Huta, gdzie przebywały od 1928 do 1930 roku, ucząc w tamtejszej szkole języka polskiego i niemieckiego (w tym czasie w Starej Hucie obok Polaków mieszkało dużo Niemców). Po powrocie do rodzinnych Czerniowiec rozpoczęły naukę w technikum przy czerniowieckiej fabryce dziewiarskiej „Trikotania”, które ukończyły w 1933 r. Z tym zakładem związały swoje dalsze życie, aż do emerytury w 1967 r.

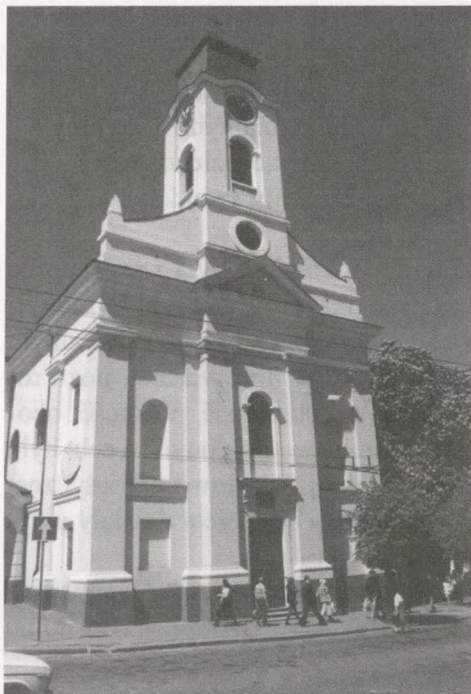
Rola Kościoła katolickiego wśród Polaków na Bukowinie była i jest bardzo znacząca. W najcięższych chwilach kościół właśnie okazywał pomoc i to nie tylko duchową. Obydwie siostry od momentu chrztu związane były z parafialnym kościołem p.w. Świętego Krzyża w Czerniowcach. To w nim właśnie, poza rodzinnym domem i Domem Polskim, wpajano głęboką religijność, polskość, obowiązek bezinteresownej pracy społecznej. Posiadanie wymienionych cech było koniecznością jeżeli chciało się pracować w organizacji sportowo-patriotycznej „SOKÓŁ” lub w harcerstwie. W tych organizacjach Olga i Elżbieta działały aktywnie, zwłaszcza w czasie wojny.

W latach 1930–1940, to jest do momentu zawieszenia działalności Domu Polskiego, śpiewały w mieszanym chórze akademickim „LUTNIA” przy tym domu oraz sprawowały w nim funkcje organizacyjne.

Jesień 1939 roku, po wybuchu II wojny światowej, była okresem kiedy przez Czerniowce przepływała duża ilość uchodźców wojskowych i cywilnych z Polski. Ośrodki polskości na Bukowinie, a więc z jednej strony Kościół Polski rzymsko-katolicki, a z drugiej Dom Polski musiały zająć się organizacją pomocy dla tych uchodźców. Zbierano żywność, odzież, lekarstwa, środki pieniężne i przekazywano je do polskich obozów. Organizowano „przerzuty” osób przez granicę. Wszystko to odbywało się z narażeniem własnego życia i życia rodziny, pamiętać bowiem należy, że sytuacja była bardzo skomplikowana, a do problemów związanych z wojną dokładały się te, związane z narastającym nacjonalizmem ukraińskim i rumuńskim. Panie Fiffar przez cały czas trwania akcji aktywnie w niej uczestniczyły nie zważając na niebezpieczeństwa z tym związane. Znajomość języków obcych (a znały biegle po pięć języków) okazała się bardzo potrzebna i pożyteczna.

Rok 1940 przyniósł następne problem, związane z wkroczeniem na Bukowinę sowiektów. Był to kres działalności Domów Polskich, zamykano szkoły, wywożono na Sybir. Dopuszczano się nawet rozbiórki kościołów (np. rozebrano piękny drewniany kościół w Staniowcach Górnych).

Bukowińczycy zostali bardzo boleśnie doświadczeni wyrokami historii; zmieniająca się wielokrotnie władza – zawsze jednak władza obcych – zamazywała dramaturgię tych doświadczeń. Dlatego z szacunkiem powinno się patrzeć na zabiegi tych ludzi, którzy potrafili mieć odwagę, aby przeciwstawiać się bezprawiu, nie korzystali z pojawiających się możliwości wyjazdu jakie się pojawiały (np. w 1940 roku z Bukowiny wyjechali grupowo Niemcy, a następnie do Rumunii udało się sporo inteligencji, właścicieli ziemskich, rzemieślników, przeczuwając nadchodzące wkroczenie sowiektów i „przyjemności” z tym związane).



Czerniowce – kościół katolicki
p.w. Podwyższenia Krzyża Świętego.
Fot. S. Janocha

Po zakończeniu II wojny światowej też istniała możliwość wyjazdu do Polski. Olga i Elżbieta nie skorzystały z niej, bowiem kościół jak chyba nigdy wcześniej potrzebował wsparcia w tych bardzo ciężkich czasach, a chętnych nie było zbyt wielu. Pozostały, aby wraz z dwójką księży (Franciszkiem Krajewskim i Józefem Jędrzejewskim – przed seminarium również działaczami harcerstwa) podtrzymywać na duchu tych Polaków, którzy nie wyjechali i aby być ostoją polskości na terenie podzielonej Bukowiny. Od 1950 r. znalazły się w Komitecie kościelnym broniąc parafialnego kościoła w Czerniowcach przed zamknięciem i zdewastowaniem. To właśnie w ich rękach znajdowały się klucze do kościoła i to one tak stanowczo oświadczały władzom, że *odebrać te klucze można tylko wraz z ich życiem*. Taka nieugięta postawa tych dwóch kruchych kobiet i kilkorga innych jeszcze osób wobec sowieckich władz sprawiła, że ko-

ściół w Czerniowcach funkcjonował przez cały czas rządów komunistycznych jako bastion nie tylko religijny, ale może przede wszystkim jako ośrodek polskości, wokół którego skupiało się życie Polonii w mieście i regionie.

Panny Fiffar uczyły potajemnie religii i języka polskiego zarówno dorosłych jak i ich dzieci. Robiły to nie tylko na plebani kościoła, ale również w prywatnych domach. Wszystko to z narażeniem własnego bytu. To właśnie te dwie skromne Polki były na Bukowinie Północnej „szkołą polską” od 1940 do 1990 roku – to jest do czasu, kiedy Towarzystwo Kultury Polskiej im. Adama Mickiewicza zorganizowało oficjalne nauczanie języka polskiego w jednej z czerniowieckich szkół.

We wspomnianym Towarzystwie Kultury Polskiej również zapisały swoją kartę, zarówno jako jego założycielki jak i bardzo aktywne działaczki. Przez trzy kadencje, w latach 1989–1997, sprawowały funkcje w Zarządzie Głównym Towarzystwa. Po rezygnacji, ze względu na stan zdrowia i podeszły wiek, pozostały w Zarządzie jako honorowe członkinie.

Postawa życiowa i społeczna tych Polek na obczyźnie przez ponad 50 lat była wzorem do naśladowania i przykładem konsekwentnej walki o przetrwanie polskości na Bukowinie. To dzięki takiej właśnie zaangażowanej postawie, dzięki mrówczej pracy i uporowi, dzisiaj Polonia bukowinińska może poszczycić się zachowaniem odrębności kulturalnej, utrzymaniem tradycji kultury i języka. Dzisiaj znowu, w odnowionym Domu Polskim w Czerniowcach oraz w innych miejsco-

wościach na Bukowinie, Polacy mogą się spotykać i kultywować to, co wiele lat temu przywieźli ze sobą tutaj ich przodkowie, a co kolejne pokolenia skrzętnie przechowały.

Przemiany społeczno-polityczne ostatniego dziesięciolecia minionego wieku pozwoliły na odradzanie się życia Polonii na Bukowinie ale o ile łatwiej jest tworzyć nowe, kiedy są zachowane korzenie, kiedy jest utrzymana cienka choćby nieciągłości. Bohaterki tego krótkiego wspomnienia mają niewątpliwy wkład w stworzenie pewnego zjawiska, które zwie się Bukowińska Polonia.

W uznaniu tych zasług Prezydent RP w 1998 roku odznaczył siostry Olge i Elżbietę Fiffar Krzyżem Kawalerskim Orderu Zasługi RP. Odznaczenie odebrała w 1999 roku już niestety tylko jedna z siostr – Olga, bowiem Elżbieta zmarła 24 grudnia 1998 roku.

Drukowany poniżej fragment wspomnień jest próbą pokazania krótkiego wycinka życia i emigracyjnego losu człowieka, który urodzony w Niemczech w rodzinie wywodzącej się z Bukowiny, w 1945 roku trafił do wioski Celinovac w Bośni, gdzie już wcześniej na przełomie XIX i XX wieku osiadło kilkanaście rodzin bukowińskich. Tam skończył szkołę podstawową, by następnie po dwuletnim pobycie w Curug w Serbii, osiąść na drugiej półkuli w Duluth (Minnesota, USA).

Po ukończeniu na amerykańskiej ziemi Katedralnej Szkoły Średniej, krótko uczył się w Katolickim Seminarium Salvatorian w Wisconsin, chcąc zrealizować swoje chłopięce marzenia by zostać księdzem. Potem zrobił dyplom z języków obcych (rosyjski, hiszpański, łaciński) na Uniwersytecie w Minneapolis. Przez kilka lat pracował jako nauczyciel języków w szkołach, po czym wybrał karierę polityka i kontynuował ją przez następnych 20 lat, jak sam to stwierdza, z przerwami.

Michał Jaros, świadomy swoich korzeni, utrzymuje kontakty z bukowińczykami rozsianymi po całym świecie, w tym również na – obecnie podzielonej – Bukowinie oraz w Polsce. Za interesowania kulturoznawcze i folklorystyczne przejawiają się nie tylko w jego wspomnieniach z Bośni dotyczących zwyczajów dorocznych i różnych innych aspektów codziennego życia, są również częścią jego obecnego życia – odwiedził Polskę w 1999 roku będąc gościem „Bukowińskich Spotkań” w Jastrowiu k/Piły. Podkreśleniem tych więzi z Bukowiną i Bukowińczykami są też jego działania w kierunku pomocy materialnej udzielanej młodzieży bukowińskiej studiującej w Polsce.

WIOSKA CELINOVAC w BOŚNI (1945–1960)

Michał Jaros

Przed II Wojną Światową Celinovac był żywą i aktywną wioską – miał szkołę, kościół i sklep. Rodzina Najburger miała młyn i młocarnię oraz inne niezbędne urządzenia gospodarcze. Wojna zniszczyła bardzo dużo i wielu ludzi zginęło. W 1946 roku wielu wyjechało do Polski, Wojwodiny i innych miejsc. Nie upłynęło jednak wiele czasu zanim wioska na nowo odżyła. Chociaż nie miała szkoły ani sklepu, dziesięć lat po wojnie była już silną wioską. Ludzie pracowali ciężko, ale cieszyli się życiem zachowując swoje galicyjsko-bukowińskie zwyczaje i tradycje.

W dzień Nowego Roku młodzi chłopcy chodzili po domach sypiąc zboże na podłogi po „siocu”, i życząc sąsiadom szczęśliwego i pomyślnego nowego roku. Gospodarze w podziękowaniu dawali im coś do zjedzenia i wypicia oraz pieniądze. W Święto Trzech Króli, ksiądz odwiedzał każdy dom, aby udzielić błogosławieństwa i życzyć wszystkim błogosławionego i pomyślnego roku. Wychodząc pisał na drzwiach każdego z domów inicjały Królów i rok jego wizyty, np.: 19+K+M+B+50. Następnie przychodziły Ostatki i trzydniowe picie, jedzenie, śpiewy i tańce, aż do Popielcowej Środy, kiedy to zaczynał się siedmioletni Wielki Post, bez muzyki i zabaw – nawet ślubów nie można było zawierać w tym czasie. Ostatni tydzień Wielkiego Postu to Święty Tydzień.

W Wielki Piątek wczesnym rankiem musieliśmy się myć w zimnej wodzie. W Wielką Sobotę chodziliśmy do Kościoła Św. Józefa w Nowej Topoli, aby pobłogosławić wielkanocne jedzenie („ze święconką”). W Wielkanocną Niedzielę Bukowianie jedli jedzenie pobłogosławione poprzedniego dnia, składające się z gotowanych jajek, wędzonej szynki i kiełbasy oraz chrzanu. Galicjanie jedli to samo, tyle że z barszczem.

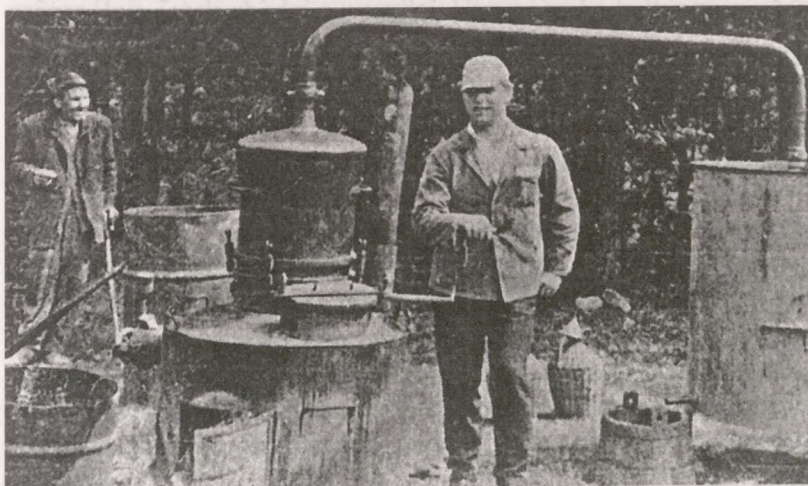
Po śniadaniu szliśmy do kościoła gdzie wciąż żarzyły się węgle z ogniska poprzedniej nocy. W drugi dzień Wielkanocy, chłopcy szli od domu do domu, aby pohańdzić dziewczyny (po śmigusie), a one musiały dać im malowane jajka (pisanki).

Miesiąc maj był wyjątkowy, ponieważ chodziliśmy każdego wieczora do kościoła aby modlić się, grać i śpiewać. Dziewczyny i panie przynosiły kwiaty i składały je na ołtarzu.

W Celinovac nie mieliśmy księdza, a modlitwy i śpiewy prowadził Benedykt Drozdek.

29 września każdego roku cała wieś obchodziła Święto Św. Michała. Uroczystość ta zaczynała się Mszą Św. w kościele. Później spotykaliśmy się w domach z rodzinami i przyjaciółmi z innych wiosek, aby bawić się razem. Podawano polskie jedzenie takie jak pierogi, gołąbki. Jesień była również odpowiednim czasem do wyprawiania wesel, ze względu na dostatek jedzenia i picia (śliwownicy). Ślubów udzielano we wtorki.

Na cztery tygodnie przed Bożym Narodzeniem w każdą niedzielę ćwiczyliśmy w kościele śpiewanie kolęd („chodziliśmy na kolędy”). W wigilię Bożego Narodzenia jadło się różnego rodzaju postne potrawy takie jak: rybę, grzyby, pierogi, gotowaną pszenicę z miodem. Całą rodziną śpiewało się kolędy, a następnie szliśmy do kościoła modlić się i kolędować dalej. Przed nabożeństwem rozpalaliśmy ognisko jako symbol przyjścia na świat Chrystusa i światła. Rodzice tej nocy ustawiali choinki i kiedy budziliśmy się rano w dniu Bożego Narodzenia znajdowaliśmy na choince ciastka w kształcie koników – dla chłopców i w kształcie lalek – dla dziewczynek. Te specjalne ciastka były jedynymi prezentami jakie do-



Produkcja
śliwownicy
w Celinovac

stawaliśmy – jedno na każde dziecko. Rano w dzień Bożego Narodzenia szło się do kościoła, a po południu i wieczorem – po kolędzie od domu do domu. Młodzi chłopcy chodzili tylko przez jeden dzień, natomiast starsi przynajmniej przez trzy. Uroczystości trwały aż do Nowego Roku. Ludzie jedli, pili, śpiewali i tańczyli żegnając stary rok w nadziei, że Nowy będzie lepszy.

Tymczasową szkołę w Celinovac utworzono w domu po rodzinie Smoljak, która wyjechała do Polski w 1946 roku. W roku 1951 wybudowano nową szkołę w pobliskim Jazovac i sąsiednie wioski, takie jak Celinovac, Jurkovica, Turjak, Kijevci mogły posyłać dzieci do tej szkoły. Nieco później powstały szkoły w Kijevci i Turjak, stwarzając jeszcze lepsze warunki edukacyjne. Celinovackie bukowińskie dzieci były mniejszością w tych szkołach co stwarzało pewne problemy o podłożu narodowym, językowym i religijnym. W szkołach dopuszczalne było tylko obchodzenie świąt zaakceptowanych przez komunistyczny rząd. W związku z tym ciężko było pogodzić święta kościelne, które chcieliśmy obchodzić, zachowując nasze tradycje wyniesione z domów rodzinnych, z tym co było narzucone przez władze. W wielkie święta takie jak Boże Narodzenie, Wielkanoc czy Świętego Michała większość z nas opuszczała lekcje w szkołach co stawało się przyczyną nieobecności nieusprawiedliwionych, kar nakładanych na nas przez niektórych nauczycieli, a nawet bito nas za to. Jednak tradycje i religia miały dla bukowińskich i galicyjskich Polaków większe znaczenie. Rodzice swoje życie podporządkowywali zawsze wychowaniu dzieci, jeżeli nawet zdarzały się problemy małżeńskie, to dobro dzieci brało górę i pozostawali razem. Jako przykład może posłużyć fakt, że w Celinovac w ciągu 65 lat był tylko jeden rozwód (byli to starsi już ludzie żyjący ze sobą około 50 lat).

Młodzież z Celinovac nie spotykała się zbyt często ze swoimi serbskimi sąsiadami, ponieważ sądzono, że Serbowie zabiorą kobiety. Rodziców przerażała perspektywa ślubu córki z prawosławnym. Taka sytuacja trwała gdzieś do roku 1955, kiedy to Polacy zaczęli *zbiory* (*zbory*) – powszechny zwyczaj serbski, a Serbowie zaczęli przychodzić do Celinovac na nasze zabawy. Pierwszy taki *zbór* miał miejsce w niedzielę po Prawosławnej Wielkanocy (*Mali Uskrs*) w miejscu zwanym Karanovac w wiosce Kijevci. Każda serbska wioska w tych okolicach miała swój *zbór* – zazwyczaj w święto jakim jest w tym rejonie dzień św. Eliasza (*Ilindan*). Przyznać trzeba, że przyczyniło się to do poprawy stosunków wzajemnych pomiędzy sąsiadami. Serbowie mieli jeszcze jedną interesującą i ważną coroczną uroczystość rodzinną. Każda rodzina obchodziła święto swojego patrona, nazywając tę okazję *Krsna Slava*. Rodowód tego święta sięga 1000 lat wstecz kiedy zaakceptowane zostało w Serbii chrześcijaństwo. Ponieważ nasi Starzy Słowianie mieli pięciu bogów (Dajbog, Morana, Perun, Vesna, Ziva), więc kiedy przybyli na Półwysep Bałkański, trudno było pogodzić się im z posiadaniem jednego tylko boga. Zdarzało się też, że rodziny serbskie akceptowały tych samych świętych.

Przygotowania do takiego święta trwały nieraz w ubogich rodzinach cały rok, co świadczy o wadze jaką przywiązywano do tego. Najcięższa *slava* była na wiosnę – na Św. Grzegorza przypadającego 7 maja, ponieważ nie było już starej śliwówki, a na nową jeszcze nie czas, podobnie z jedzeniem. *Slava* Św. Tomasza

(*Tomindan*) była pod tym względem korzystniejsza ponieważ przypadała na 19 września, kiedy jest jedzenia pod dostatkiem, a i śliwówka nowa już jest. Rodzina Bozichów obchodziła właśnie to święto, Smitranowie natomiast Św. Mikołaja (*Nikoljdan*) w grudniu. Świętego Jana (*Jovanjdan*) przypadającego 20 stycznia, obchodziła rodzina Draganovichow, którzy to kupili od mojej rodziny gospodarkę w Celinovac.

W Celinovac nie było żadnej innej pracy poza rolnictwem. Hodowaliśmy wszystko: bydło, świnie, kury, gęsi, kaczki. Również sadziliśmy i uprawiali to, co było potrzebne, a nadmiar sprzedawało się dla rządu lub na rynku miejskim. Zazwyczaj były to ziemniaki, kukurydza, owies, pszenica, słoneczniki. Kupowało się jedynie to, czego wyprodukować nie można było, np. cukier, sól, olej, itp. Generalnie gospodarstwa były dosyć prymitywne – do orki i transportu używano jedynie koni, wieś nie posiadała elektryczności ani bieżącej wody, drogi były w stanie fatalnym. Elektryfikacja i mechanizacja przyszły dużo później, dopiero w latach siedemdziesiątych. Rząd organizował seminaria dla gospodarzy w celu poprawienia efektów gospodarowania i zwiększenia produkcji. Były to słuszne i potrzebne działania, lecz w istniejącej rzeczywistości przynoszące raczej marne efekty. Dlatego chyba wielu decydowało się na dalszą emigrację; przysparzała ona też wiele problemów różnej natury, ale dla tych, którzy bardzo chcieli coś osiągnąć stwarzała jakąś szansę. Większość emigrantów wybierała ciężką pracę i gromadząc przez lata pieniądze dochodziła do czegoś. W moim przypadku wyglądało to tak, że ojciec chciał, abym został tak jak on, zwykłym sprzątaczem w Szpitalu St. Mary. Nie posłuchałem go i poprzez seminarium trafiłem na uniwersytet. Choć nie zrobiłem błyskotliwej kariery politycznej, nie dorobiłem się również wielkich pieniędzy – być może Bóg pokarał mnie (przecież miałem być księdzem, a nie politykiem) – to jednak uważam, że życia nie zmarnowałem.

Dziś bukowski i galicyjskie tradycje do pewnego stopnia są wciąż żywe w Ameryce. Śpiewamy kolędy, malujemy jajka, przygotowujemy tradycyjne dania. Jest w tym również bardzo wiele kultury wyniesionej z byłej Jugosławii, szczególnie jeżeli chodzi o muzykę. Utrzymanie i kultywacja własnej, odmiennej kultury w obcym kraju jest czymś bardzo trudnym, szczególnie w małych skupiskach takich jak Duluth. Ginie bardzo szybko język – nasze dzieci czy wnuki mówią coraz mniej po polsku czy serbsko-chorwacku. Większość chce być Amerykanami, nawet ci co nie nauczyli się języka angielskiego mieszają go z językiem wyniesionym z domu rodzinnego. Ziemia amerykańska dając emigrantom prawa obywatelskie i duże możliwości ekonomiczne, nie zmusza jednocześnie do kultywowania tradycji kultury naszych ojców i w tym tyglu amerykańskim bardzo szybko gubimy się. Dzieje się to tutaj dwa razy szybciej niż gdzie indziej. Zbyt szybko wrastamy w tę nową ziemię.

Mój ojciec, który przybył do USA mając 55 lat, nigdy nie przestał się dziwić, że lekarze w szpitalu, gdzie był sprzątaczem traktują go z szacunkiem. W Bośni zwykły urzędnik pocztowy nawet nie chciał rozmawiać z nim, czy innym osiadłym tam rolnikiem.

Z ZIEMI BUKOWIŃSKIEJ DO POLSKI

Na podstawie materiału dostarczonego przez Jadwigę Kuczabińską
przygotował Stanisław Janocha

Jest to krótka opowieść o polskiej grupie etnicznej, która na początku XIX wieku uległa rozproszeniu. Szukając lepszego bytu, ludność zamieszkująca rejon Kotliny Czadeckiej (dzisiaj pogranicze Słowacji, Polski i Czech), wybrała kierunek swojej emigracji zarobkowej w dziewiczy rejon Bukowiny w Karpatach Wschodnich, gdzie w puszczy bukowo-jodłowej roilo się od dzikiej zwierzyny, a ziemia czekała na ręce, które by ją chciały uprawiać.

W bukowińskich parafiach nazwiska przybyszów znad Kisucy pojawiają się już w roku 1803. Pierwsza fala górali czadeckich mogła liczyć około 20 rodzin, które osiedliły się na przedmieściu Czerniowiec. Późniejszy napływ osadników kierował się już wprost z Czadcy do Czerniowiec. W 1836 roku 16 rodzin zamieszkujących przedmieście Czerniowiec wyemigrowało na południe i założyło wieś Pleszę (obecnie jest to polska wieś w Rumunii). Wielu przybyszów z Czadeczczyzny wkrótce porzuciło swoje dotychczasowe zajęcie jakim było rolnictwo i osiadło na stałe w Czerniowcach. W bukowińskim kalendarzu za rok 1935 można znaleźć firmy z nazwiskami górali czadeckich: Polaczyków, Najdków, Zielonków czy Duczków.

Drugim gniazdem osadników z czadeckiego stała się wieś Tereblecz, leżąca 10 km na północ od rzeki Seret. W tej wsi, w czerwcu 1803 r. osiedliło się 11 rodzin (67 osób) góralskich z Czadeckiego, a w 1814 r. dołączyło do nich 14 dalszych. W 1821 r. w Terebleczy zaczęło być już ciasno. Odczuwalny stał się głód ziemi, mieszkańcy zmuszeni są szukać nowych miejsc. Miejsca takie znaleźli we wsi Stara Huta, gdzie zaczęli też wchodzić w związki małżeńskie z osiadłymi tam już wcześniej pobratymcami. Stara Huta u źródeł Małego Seretu była już wtedy poważnym ośrodkiem polskiej góralszczyzny na Bukowinie. Pierwsze kilkadziesiąt góralskich rodzin przybyło tutaj również w roku 1803, ściągnięte przez niemieckiego dzierżawcę huty szkła. Pracowali jako drwale pozyskując drewno dla

huty. Kiedy w 1817 r. huta szkła upadła, część z nich przeniosła się do wsi Dolne Piotrowce.

W początkach XIX wieku kolejna fala osadnicza zaczęła przemieszczać się na południe Bukowiny. Polacy znaleźli się w Poianie Micului, Pleszy, Nowym Sołońcu. Jak wynika z tego krótkiego historycznego wywodu Tereblecz, Stara Huta oraz Dolne Piotrowce to najstarsze kolonie górali czadeckich na Bukowinie, będące nie tylko świadectwem tego osadnictwa, ale obecnie również i atrakcją tej krainy. Ich pieśni, zwyczaje, obrzędy są bardzo podobne, do tych które występują na Żywiecczyźnie, Śląsku Cieszyńskim, Orawie, Spiszu i Podhalu.

Polonia bukowińska złożona z górali czadeckich w latach międzywojennych liczyła około 8 tysięcy osób.

W 1945 r. część góralskich rodzin zaczęła wyjeżdżać z powrotem do Polski. Kierowano ich już jednak nie na Śląsk Cieszyński czy Żywiecczyznę, lecz na tzw. Ziemię Zachodnie – w Zielonogórskie, Wałbrzyskie, Wrocławskie, Jeleniogórskie, Pilskie. Drażnili miejscowych (najczęściej też przecież przybyszów z innych rejonów) swoją odmiennością. Przezywano ich „rumunami”, „cyganami”, „bukowianami”. Pewna matka powiedziała nauczycielce: *...Nie ma pani prawa uczyć nasze dzieci języka polskiego, bo jest pani „Bukowianką”, a nie Polką.* W urzędach radzono im, żeby nie używali gwary: *...Nauczcie się najpierw polskiego, a dopiero potem przychodźcie do urzędu.* Potomkowie górali czadeckich do dziś posługują się gwarą polską, która charakteryzuje się odmiennością fonetyczną, morfologiczną i leksykalną.

Część pozostała do dzisiaj na Bukowinie. Przyczyny tego były różne. Komuś męża, brata lub ojca wywieziono na Sybir; kobiety nie mogły pozostawić swoich najbliższych w więzieniach czy łagrach; ktoś inny bał się tej nowej Polski; także różne inne przyczyny decydowały o pozostaniu.

Czyj los okazał się gorszym? Tych „cyganów” w Polsce, czy tych, co pozostali na Bukowinie? Dzisiaj można już o tym mówić. Zostali w cudzym otoczeniu, oderwani od swoich rodzin, dzieci zmuszone były uczyć się innego języka. Lecz twarda postawa rodziców sprawiła, że kolejne pokolenia zachowały język, kulturę i wiarę w Boga jaką przywieźli na Bukowinę ich dziadowie. Obecnie na ukraińskiej Bukowinie (północnej) mieszka około 800 potomków Czadeckich górali: 400 osób w Starej Hucie, 230 osób w Dolnych Piotrowcach i około 130 osób w Terebleczy.

W Polsce natomiast mieszka około 5 tysięcy górali czadeckich. Jest to wynik migracji po zakończeniu II wojny światowej na wspomniane wcześniej Ziemię Zachodnie, które stały się dla tych przesiedleńców „nową ojczyzną”. Tutaj żyją, pracują, tutaj również kultywują swoje tradycje przywiezione z Bukowiny. W miejscowościach Dolnego Śląska, w okolicach Zielonej Góry i Piły, powstało kilka bukowińskich zespołów regionalnych: w Jastrowiu – „Jastrowiaczy”, w Zbylutowie k. Lwówka Śląskiego – „Dunawiec”, w Koźlicach k. Głogowa – „Dawidenka”, w Złotniku – „Dolina Nowego Sołońca”, w Piławie Dolnej – „Pojana”, w Wichowie – „Wichowianki”, w Brzeźnicy k. Żagania – „Watra”. Jest to świadectwo tego, że folklor bukowiński nie zaginął.

DLACZEGO WŁAŚNIE W JASTROWIU?

W tym niewielkim miasteczku w pobliżu Piły w latach 1946–1948 osiedlili się Polacy ze wsi Dolne Piotrowce na Bukowinie. W 1987 r. powstał tutaj zespół obrzędowy górali czadeckich „Jastrowiaczy”, kultywujący tradycje bukowińskie. Zespół prezentował zwyczaje, obrzędy, pieśni i tańce rodem z Piotrowiec. Marzeniem był wyjazd na Bukowinę, do wsi z której przybyli. Spełnienie tego marzenia nastąpiło jesienią 1990 r. Wtedy to z inicjatywy Obwodowego Czerniowieckiego Towarzystwa Kultury Polskiej im. A. Mickiewicza, w dniach 28–29 października odbyły się na Bukowinie po raz pierwszy od 50 lat Dni Kultury Polskiej, a jednym z zespołów, które zawitały na ziemię bukowińską był zespół z Jastrowia. Jastrowiaczy zawitali do swoich rodzin i znajomych w Piotrowcach po 50 latach rozstania. Niektórzy tutaj się urodzili, inni przyjechali na groby swoich rodziców czy krewnych. Była również młodzież, która Bukowinę знаła dotychczas tylko z opowiadań dziadków czy rodziców. Pobyt zbiegł się w czasie ze Świętem Zmarłych, co stało się okazją do wspólnego nabożeństwa i późniejszej modlitwy na grobach bliskich spoczywających na cmentarzu w Piotrowcach.

Po kilkudniowym pobycie w Piotrowcach i zwiedzeniu Czerniowiec, Chocimia, Kamieńca Podolskiego, „Jastrowiaczy” wyruszyli do polskich wsi leżących za granicą ukraińsko-rumuńską na Bukowinie południowej, rumuńskiej. Tam też czekały na nich rodziny we wsiach zakładanych przez Polaków: Poianie Micului, Nowym Sołońcu, Pleszy. Znowu były spotkania po latach, występy, łązy radości, trwały ślad w sercach jednych i drugich.

Wizyta stała się wydarzeniem na tyle znaczącym i ważnym dla górali bukowińskich z Piotrowiec, że w niespełna pół roku powstał w tej wsi około 40-osobowy zespół folklorystyczny „Wianeczek” pod kierownictwem Marii Malickiej, który już w czerwcu 1991 r. gościł na II Festiwalu Folkloru Górali Czadeckich w Jastrowiu i od tego czasu jest stałym gościem tego i innych festiwali folklorystycznych w Polsce. Poziom artystyczny zespół stawał się coraz wyższy, zostało to dostrzeżone i w 1996 r. zespół i jego kierownik osobiście zostali odznaczeni przez Ministra Kultury i Sztuki RP odznaką „Zasłużony dla kultury polskiej”.

Za przykładem górali bukowińskich z Piotrowiec poszli inni. Od 1994 r. na Festiwalu Bukowińskim w Jastrowiu stałym gościem jest inny zespół Górali Czadeckich „Dolina Seretu” ze wsi Tereblecz, a we wsi Stara Huta powstał dziecięcy zespół „Bukowińska Polana”. Na Bukowinie południowej w Rumunii we wsi Poiana Micului powstał zespół „Mała Poiana”, w Nowym Sołońcu – „Sołonzanka”.

Wróćmy jednak do zespołu „Jastrowiaczy” bowiem z nim wiąże się historia wspomnianych festiwali „Bukowińskie Spotkania”. Działalność tego zespołu była inspiracją dla etnografa Zbigniewa Kowalskiego z Piłskiego Domu Kultury, który w roku 1990 zainicjował Międzynarodowy Festiwal Folkloru Górali Czadeckich. Impreza ta od 1993 r. nosi nazwę „Bukowińskie Spotkania”. Rozpoczyna się korewodem w dniu kościelnego święta Bożego Ciała. Skupia różne kultury i narodowości w myśl bukowińskiego ducha „Małej Europy”. Rozbrzmiewające w czasie festiwali wielojęzyczne pieśni i muzyka świadczą o ciągle żywej i nadal boga-



Młoda Bukowianka w stroju regionalnym okolicie Starożyńca.
Fot. H. Krassowska



Bukowińska uroda, bukowiński strój i szyk.
Fot. S. Janocha



Zagroda rumuńska w Krasnoilsku.
Fot. S. Janocha



Wnętrze chaty w Krasnoilsku.
Fot. S. Janocha

tej kulturze ludowej Bukowiny. Ta „Europa w miniaturze”, bo i tak kiedyś mówiono o Bukowinie, była przykładem współpracy i współżycia różnych zamieszkujących ją nacji, a jej fenomen to stosunki kształtujące się na najprostszych zasadach – dobrosąsiedztwa i tolerancji, a nie paktów politycznych. W Jastrowiu myśl taka jest realizowana nie tylko na estradzie, lecz również na konferencjach naukowych towarzyszących „Spotkaniom Bukowińskim”. Zróżnicowanie narodowościowe, religijne czy kulturowe nie może być przeszkodą w porozumieniu i wzajemnym poszanowaniu narodów i grup etnicznych.



Zespół „Jastrowiaci” na ulicy w Czerniowcach w czasie Festiwalu Folkloru Górali Czadeckich (2001 r.). Fot. S. Janocha



Zespół „Wianeczek” z Piotrowiec Dolnych na ulicy w Czerniowcach w czasie Festiwalu Folkloru Górali Czadeckich (2001 r.). Fot. S. Janocha

*Pamiętaj o tym, że gdziekolwiek rzucą cię losy,
zawsze masz prawo, aż po kres dni twoich,
pozostać członkiem swojej narodowej rodziny.*

Jan Paweł II – Dekalog Emigracji

POLACY Z BUKOWINY ICH LOSY I KULTURA – ŹRÓDŁEM TOŻSAMOŚCI NARODOWEJ

Stanisław Janocha

Pod takim tytułem zorganizowany został w Żarach i Złotniku w dniach 8–10 czerwca 2001 r. Sejmik Krajoznawczy PTTK. Było to już kolejne spotkanie, wcześniejsze odbyły się w Krakowie (1994), w Łodzi (1995) i w Katowicach (1996).

Tematyka bukowińska była również poruszana przy okazji innych konferencji, takich jak: „Europa w miniaturze” – Jastrowie 1994, „Bukowina po stronie dialogu” – Sejny 1996, „O Bukowinie. Razem czy oddzielnie” – Jastrowie 1999, „Czadecka Ojcowizna” – Wisła 2000, „Polacy w Rumunii mówią o sobie” – Lublin 2000.

Wybór miejsca nie był przypadkowy. To tutaj właśnie, w województwie Lubuskim – w Złotniku k/Żar, Brzeźnicy k/Żagania, Wichowie, Przylaskach, Stanowie, Urzutach, zamieszkują górale-rolnicy z południowej Bukowiny, którzy skorzystali z możliwości repatriacji do Polski po zakończeniu II wojny światowej. Potomkowie rodzin rzemieślniczych i kupieckich skupili się w Zielonej Górze, Wrzesinie, Nowej Soli, Przytoku, Tuplicach, Jabłonowie, Chodkowie, Karczówku.

Tutaj na Ziemi Żarskiej wśród ponad 100 tysięcy mieszkańców, autochtonów czyli Łużyczan, będących od 1600 lat gospodarzami tej ziemi, jest bardzo niewiele. Natomiast przesiedleńców z Wileńszczyzny, Podola, lwowskiego, tarnopolskiego, emigrantów greckich, Cyganów, Łemków, Żydów, Niemców i wspomnianych wcześniej Bukowinian spotkać można bez żadnego problemu. Wszyscy oni tworzą teraźniejszy wizerunek tej ziemi, jednak jedynie górale czadeccy z Bukowiny pielęgnują tradycje: obyczaj, gwarę, tradycyjne pieśni i tańce, stroje. Kiedyś jako jedni z pierwszych emigrowali za chlebem do pięknej krainy nad Seretem, Dniestrem, Czeremoszem i Suczawą. Późniejsze losy większość z nich skierowały w różne zakątki, w tym i do starego kraju, jednak nie na ziemię, z których kiedyś wyemigrowali. Część pozostała do dzisiaj w Rumunii lub na Ukrainie (od 1940 roku z przerwą w latach 1941–44 Bukowina jest podzielona) i wiedzie tam



Przed kościołem w Złotniku – zespoły ze Złotnika i Nowego Sokoła ze swoimi opiekunami. Fot. S. Janocha

życie niejednokrotnie bardzo ciężkie. Ocenia się, że obecnie na Bukowinie (północnej i południowej) zamieszkuje około 10 tysięcy Polaków, choć nie jest to ściśle wyliczenie. Społeczność ta, zarówno w Rumunii jak i na Ukrainie, posiada polskie szkoły i parafie, działają polskie organizacje społeczne i zespoły regionalne, prowadzone są Domy Polskie. Nie znaczy to, że wszystko już zostało zrobione w zakresie wsparcia lub choćby tylko zainteresowania się obecnym losem tych ludzi i tym co pozostało z ich dawniejszej kultury. Taki cel powinien przyświecać organizatorom sejmików, konferencji, festiwali folklorystycznych. W czasie takich imprez naukowcy, badacze mają możliwość dotarcia do szerszych kręgów i zainteresowanie tematem tych, którzy po publikacje nie sięgną. Myślę, że w Żarach, choć tłumów na sali odczytowej (bardzo dużej jak na sejmik krajoznawczy) nie było, cel ten został osiągnięty.

W czasie dwudniowej sesji naukowej, którą prowadzili prof. dr hab. Czesław Osekowski z Uniwersytetu Zielonogórskiego i prof. dr hab. Tadeusz Dubicki z Uniwersytetu Łódzkiego, referaty wygłosiło 20 osób z Rumunii, Ukrainy i Polski.

W trakcie obrad górale czadeccy i ich dzieci z Brzeźnicy, Złotnika i Nowego Sokoła recytowali wiersze Anny Danilewicz, Bolesława Majerika i Marii Konopnickiej.

W maju i czerwcu 2001 w Salonie Wystaw Artystycznych ŻDK czynna była wystawa „Bukowina – dziedzictwo narodowe” przygotowana przez Muzeum Etnograficzne w Zielonej Górze z siedzibą w Ochli, stowarzyszenie „Wspólnota



Fragmenty wystawy bukowińskiej przygotowanej przez Muzeum Etnograficzne w Zielonej Górze z siedzibą w Ochli. Fot. S. Janocha



Żary – sejmik bukowiński. Wiktor Bryjak (w stroju ludowym) ze Złotnika z zespołem ludowym. Fot. S. Janocha

Bukowińska” w Zielonej Górze i Żarski Dom Kultury. Miejska Biblioteka Publiczna w Żarach przygotowała wystawę „Bukowina w książce i prasie” połączoną ze sprzedażą wydawnictw.

Na terenach rekreacyjnych Żar w ostatni dzień trwania sejmiku odbyła się Gala Zespołów Góralskich. Podziwialiśmy „Dolinę Nowego Sołońca” ze Złotnika, założoną w 1989 roku przez Jadwigę i Wiktora Bryjaków, „Sołonzanek” z Nowego Sołońca (Rumunia), kierowaną przez Annę Zielonkę, „Wichowianki” z Wichowa założone w 1996 r. przez Barbarę Husar, „Watę” z Brzeźnicy, założoną w 1969 r. i kierowaną przez Jadwigę Parecką, „Smereczynę” z Wyżnicy (Ukraina), wspaniały 42-osobowy profesjonalny zespół „Lubań” z podhalańskich Kluszkowiec, a na zakończenie koncert świeżo nagrodzonych w Opolu „Brathanków”.

Wycieczka krajoznawcza dla uczestników sejmiku wiodła od Żar przez Lubanice – Jasień – Lubsko – Brody – Jezioro Wysokie – Trzebiel – Buczyny (tutaj Jan i Zdzisław Solarzowie w skansenie łużyckim przygotowali ucztę łużycką) – do Żar. Wycieczkę prowadzili wybitni regionaliści dr M. Wojecki i mgr Z. Kasprzak, natomiast w pierwszy dzień sejmiku po mieście Żary oprowadzał przewodnik St. Mikołajczyk.

W Złotniku odbyła się *Biesiada u Górali Czadeckich* przygotowana przez J. i W. Bryjaków, władze Gminy, KGW ze Złotnika i członków zespołu „Dolina Nowego Sołońca”. Stoły uginały się od regionalnych potraw bukowińskich, a około 250 gości bawiło się przy kapeli i zespołach folklorystycznych. Strawę duchową serwowali poci Janusz Werstler i dr Tomasz Florkowski.

Sejmik zaszczytlił swoją obecnością: Jego Ekscelencja ks. biskup dr Adam Dyczkowski – Ordynariusz Zielonogórsko-Gorzowski, dr Stanisław Iwan – wojewoda lubuski, Zbyszko Piwoński – senator RP.

Anna Danilewicz, bukowińska poetka, na sejmik napisała wiersz pt. Czadecki Król:

*(...) Czadeckich Górali pognano w dal,
Zgoła z innej przyczyny.
I nie pytano czy im będzie żal,
Gdy zejdą z gór Bukowiny (...)*

Mnie było żal rozstawać się z bukowińskimi góralami i z miastem Żary, ale jest nadzieja, że spotkamy się na następnym sejmiku, którego projekt już się rodzi w głowach żarskich działaczy!

LITERATURA NA TEMAT BUKOWINY WYKORZYSTANA W OPRACOWANIACH:

1. Biedrzycki E.: Historia Polaków na Bukowinie. PWN, Warszawa 1973.
2. Brykowski R., Chrzanowski T., Kornecki M.: Sztuka Rumunii. Wrocław 1979
3. Bukowina – blaski i cienie Europy w miniaturze. Praca zbiorowa pod redakcją K. Feleszki, J. Molasa i W. Strutyńskiego. Energeia 1995.
4. Bukowina – po stronie dialogu. Praca zbiorowa pod redakcją K. Feleszki. Pogranicze, Sejny 1999.
5. Bukowina – wspólnota kultur i języków. Praca zbiorowa pod redakcją K. Feleszki i J. Molasa. Warszawa 1992.
6. Czadecka ojcowizna. Praca zbiorowa pod redakcją K. Nowaka. Ośrodek Studiów Polonijnych i Społecznych PZKS w Lublinie, Lublin 2000.
7. Danilewicz A.: Ormianie z prawego brzegu Czeremoszu, w okresie międzywojennym i nieco wcześniej. Ormiańskie Towarzystwo Kulturalne, Kraków 1994.
8. Demel J.: Historia Rumunii, Wrocław 1970.
9. Florek M., Okoń M., Szucki P.: Historia Mołdawii. Lublin 1981.
10. Gotkiewicz M.: Polskie osadnictwo Czadeckiego i Orawy. Katowice 1939.
11. Gotkiewicz M.: Migracje Górali Czadeckich w XIX i XX wieku. Czasopismo Geograficzne, 1967, 38, zeszyt 3.
12. Jarosiński G.: Wędrowką życie jest człowieka. Rzecz o góralach czadeckich. Unikatowe prace 5. Warszawa 2001.
13. Jedynak A.: Pod jednym niebem. Polacy na rumuńskiej Bukowinie. Nowy Sącz 2000.
14. Jurecki M.: Bukowina – kraina łagodności. Przewodnik Turystyczny. Wydawnictwo Bezdroża, Kraków 2001.
15. Karpaty Rumuńskie, Pamiętnik Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego 1996, 5, 29–164.
16. Krogulska Izabela: Polacy na Bukowinie. Wrażenia i refleksje z wycieczki. Warszawa 1937.
17. O Bukowinie razem czy oddzielnie. Praca zbiorowa pod redakcją K. Feleszki. Piła–Warszawa 2000.
18. Orłowicz M.: Ilustrowany Przewodnik po Galicji, Bukowinie, Spiszu, Orawie i Śląsku Cieszyńskim. Akademicki Klub Turystyczny we Lwowie, Lwów 1914.
19. PŁAJ, Almanach Karpacki, Towarzystwo Karpackie, różne numery.
20. Rumunia. W: Literatura na świecie, 1985, nr 1–2/2000.
21. Skibiński W.: Losy Polaków z Bukowiny. Zielona Góra 1998.
22. Spieralski Z.: Awantury Mołdawskie. Warszawa 1967.
23. Willaume M.: Polacy w Rumunii. Lublin 1981.

II

Bieszczady – II Dni Gór PTT



- Rys. J. Durden*

DNI GÓR ZA NAMI...

Zgodnie z planem i przygotowaniem w dniach 13–16 września 2001 r. gościł nas Jarosławski Oddział PTT „Bieszczadnik”. Kolejne nasze święto – Dni Gór, to zarazem kolejne już Ogólnopolskie Spotkanie Oddziałów PTT

Przygotowany program został w całości zrealizowany; można by śmiało rzec, że nawet z pewnym nadmiarem. No bo czyż mogliśmy się spodziewać, że członkowie PTT potrafią tak wspaniale, w tak okazałych strojach zatańczyć poloneza? A jakby tego było mało, po tańcach był też wspaniały spektakl pantomimiczny wg scenariusza ks. Adama – „dobrego ducha” Oddziału. Każdego wieczoru nocne rozmowy i śpiewy przy ognisku, zwłaszcza wspaniale przygotowane sobotnie z udziałem wspaniale śpiewającego chóru łemkowskiego z ks. Gracjanem, proboszczem cerkwi grecko-katolickiej.

Dopełnieniem tego kulturowego obrazu Dni były wspaniałe wystawy – niezawodnie z Łodzi – fotografii górskiej, oraz bogatych kronik Oddziału w Chrzanowie.

Mimo, że tych kulturowych działań było tak wiele, to i tak stanowiły one tylko obrzeże tego wszystkiego, co górskie. Piątek to dwie wyprawy: bieszczadzka na Tarnicę oraz objazdowa do Bolestraszczy (Arboretum i forty) i sanktuarium w Kalwarii Paławskiej. Pogoda dopisała i wszyscy zadowoleni powrócili do Helusza, gdzie czekał nas gorący posiłek. Najbardziej jednak pracowitą była sobota, kiedy to mogliśmy gościć i słuchać szeregu wspaniałych prelegentów. O czym mówili – przeczytacie w Pamiętniku.

Nie jest moim zamiarem relacjonowanie każdego z Dni, lecz przede wszystkim gorące podziękowanie wspaniałej, niezwykle dojrzałej i odpowiedzialnej młodzieży „Bieszczadnika”. Jest za co im dziękować. Szczególnie za wspaniały przykład, jak można sobie „TOWARZYSZYĆ” w Towarzystwie Tatrzańskim, jak można z uśmiechem na twarzy przykrywającym zmęczenie obsłużyć i jeszcze bawić przybyłych w liczbie ok. 60 uczestników (a od sobotniego wieczoru blisko 100). A wszystko z życzliwością i przyjaźnią. Takiego Towarzystwa właśnie cały czas pragnę!

Dziękuję szczerze i gorąco kol. Dorocie Milianowicz – prezesce Oddziału, dziękuję w braterskiej miłości ks. Adamowi Wąsikowi, a za jego przyczyną również niezwykle nam przychylnemu Księdzu Proboszczowi.

Kochani Jarosławiacy! To było święto, prawdziwe Święto Gór – dziękuję Wam jako uczestnik, dziękuję jako Prezes, dziękuję jako Wasz przyjaciel...

Krzysztof Kabat



Wąwóz w drodze na Przysłop Caryński.
Fot. J. Pilc



Bieszczady zasługują niemniej niż Tatry na to, aby były popularne w całym społeczeństwie i aby były powszechnie znane. Lecz nie nastąpi to wcześniej, zanim ten odległy, na okrajkach ziem naszych, w górach położony obszar nie stanie się dobrem całego narodu, czyli zanim nie nada mu się wysokiej rangi polskiego Parku Narodowego w Bieszczadach. Nad tą sprawą pracuje już od kilkunastu lat wielu wybitnych przyrodników, leśników, krajoznawców i innych miłośników przyrody polskiej, ale niestety, ciągle nasuwające się przeszkody hamują realizację utworzenia w Bieszczadach Parku Narodowego.

Władysław Szafer, Przedmowa, w: K. Zarzycki, Z. Głowaciński: „Bieszczady”. Warszawa 1970.

BIESZCZADZKI PARK NARODOWY U PROGU TRZECIEGO TYSIĄCLECIA

Wojomir Wojciechowski¹

Pozwólcie, Czytelnicy, że przedstawię Wam garść przemyśleń – służbowych i własnych – na temat roli Bieszczadzkiego Parku Narodowego w rozwoju Województwa Podkarpackiego.

Bieszczadzki Park Narodowy (BdPN) o powierzchni 290 km² jest obecnie największym w Polsce górskim parkiem narodowym i czwartym co do wielkości w Polsce po powiększeniu Białowieskiego Parku Narodowego. Powstał 4 sierpnia 1973 roku. Głównym celem BdPN jest ochrona przyrody, a więc tego, co stanowi o atrakcyjności Bieszczadów, jedyne w Polsce pasma górskie zaliczane do Karpat Wschodnich.

Bieszczadzki Park Narodowy chroni część największych obszarowo w Europie kompleksów pierwotnych i naturalnych drzewostanów bukowych i jest jedynym parkiem narodowym w Polsce, w którym jednocześnie występują wszystkie krajowe duże drapieżniki i ssaki, łącznie z niedźwiedziem brunatnym, wilkiem, rysiem i żbikiem oraz żubrem. Powiodła się również reintrodukcja występujących tu już wcześniej bobrów oraz konia huculskiego, służącego również turystyce.

¹ Dyrektor Bieszczadzkiego Parku Narodowego

Bieszczady są też ostoją rzadkich gatunków ptaków, w tym orła przedniego i puchacza. Bogata jest różnorodność flory bieszczadzkiej, na którą składają się zarówno zachodnio- jak i wschodniokarpackie gatunki roślin, w tym wiele chronionych i zagrożonych.

Na uwagę zasługuje również fakt, że obszar Parku wraz z parkami krajobrazowymi Doliny Sanu i Ciśnieńsko-Wetlińskim został uznany przez UNESCO MaB (program „Man and Biosphere”) za rezerwat biosfery, a na podstawie certyfikatu z 2 lutego 1999 r. uzyskał status pierwszego w świecie trójstronnego Międzynarodowego Rezerwatu Biosfery „Karpaty Wschodnie”. Bieszczadzki Park Narodowy został wyróżniony 18 września 1998 r. dyplomem Rady Europy za wartości przyrodnicze i działalność ochronną (dyplom został wręczony 13 czerwca 1999 r. w Ośrodku Informacyjno-Edukacyjnym BdPN w Lutowiskach).

W latach sześćdziesiątych, po osiemdziesiąte, przyjęto i realizowano koncepcję zagospodarowania Bieszczadów przyjmując za zasadę gospodarcze wykorzystanie zasobów przyrodniczych, a szczególnie lasów, ziemi i kopalin. Realizacja programów zagospodarowania Bieszczadów wyłącznie w rolnictwie i leśnictwie odsunęła program wykorzystania turystycznego gór na dalszy plan, a nawet spowodowała zmniejszenie niektórych walorów przyrodniczych i kulturowych.

Zniknęły ślady materialne po dawnych mieszkańcach w postaci obiektów sakralnych, szczególnie cerkwi, dawnych zadrzewień, niejednokrotnie w całości „rekultywowanych” dla potrzeb wielkoobszarowego państwowego rolnictwa. Powstały gigantyczne obiekty przeznaczone do wielkiej produkcji rolnej w postaci ferm hodowlanych z gigantyczną infrastrukturą, brzydką pod względem architektonicznym. Powstały osiedla pracowników rolnych, zwiększono zatrudnienie w resorcie rolnictwa, co spowodowało – po upadku gigantów – wielkie bezrobocie oraz brak perspektyw życia dla miejscowej ludności, a szczególnie dla ludzi młodych.

Fakty zaistniałe w okresie tych 30 lat, które skrótowo przedstawiłem, powinny podlegać ciągłej analizie i stać się podstawą planowania opartego o złe i dobre doświadczenia tego okresu, z wyciągnięciem odpowiednich wniosków.

Bieszczady były i są niezmiernie atrakcyjnym regionem turystycznym, przejmującym jak gdyby legendy przedwojennych Karpat Wschodnich, z Czarnohorą i Huculszczyzną na czele.

Przyjmując za fakty powstanie i funkcjonowanie Bieszczadzkiego Parku Narodowego, Parków Krajobrazowych Ciśnieńsko-Wetlińskiego i Doliny Sanu, Międzynarodowego Rezerwatu Biosfery „Karpaty Wschodnie”, oraz przestrzeganie ustaw o Ochronie Przyrody, Planowaniu Przestrzennym, Ochronie Środowiska i innych podstaw prawnych można by mieć gwarancję realnej ochrony Bieszczadów.

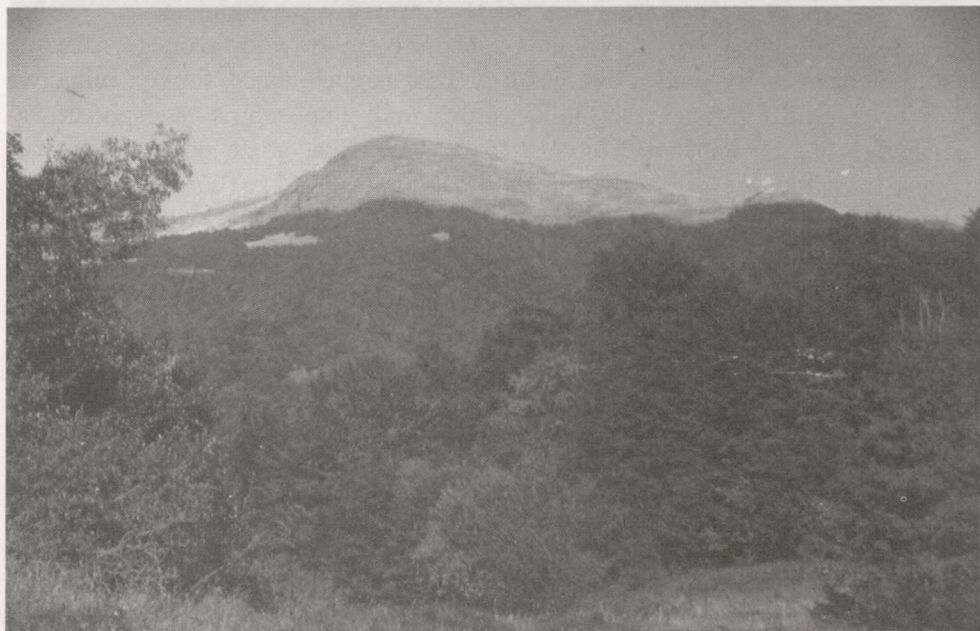
Dla wyjaśnienia: rezerваты biosfery ustanowione są na obszarach prawnie chronionych, co wynika z wymogu zapewnienia im długoletniego trwania bez drastycznej ingerencji ludzkiej. Różnią się od parków narodowych tym, że wymagają specjalnej organizacji przestrzennej każdego obiektu. Podlegającą ochronie strefę centralną otaczają kolejne strefy przejściowe dopuszczające stopniowo co-

raz intensywniejszą gospodarkę ludzką. W ten sposób rezerwaty biosfery włączają w procesy ochronne miejscową społeczność, jej działalność, cele gospodarcze, obyczaje i kulturę.

Sądzę, że dobrym przykładem realizacji celów rezerwatu biosfery jest Międzynarodowy Rezerwat Biosfery „Karpaty Wschodnie”, którego centralną część stanowi ściśle chroniona strefa w Bieszczadzkim Parku Narodowym. W rezerwach biosfery ochrona przyrody jest zadaniem podstawowym realizowanym w interesie człowieka; ma to miejsce zwłaszcza w kontekście współpracy przygranicznej. Dotyczy to szczególnie naszego trójstronnego rezerwatu, w którym graniczny Krzemieniec (1221 m n.p.m.) jest symbolem współpracy przygranicznej Polski, Słowacji i Ukrainy.

Strefowanie stało się podstawą planowania przestrzennego dokładnie określającą możliwe formy i kierunki perspektywiczne turystyki, jakie wynikają z rozwoju poszczególnych części rezerwatu biosfery. Przy opracowaniu stref uwzględniono stan i przydatność obiektów, formy własności oraz korzyści miejscowej ludności. Zrównoważony rozwój turystyki godzi potrzeby dzisiejszych turystów z potrzebami środowiska naturalnego i lokalnych społeczności, co wzmacnia podstawy dalszego ich rozwoju w przyszłości.

Reforma administracyjna kraju oraz przemiany społeczno-gospodarcze po 1998 r. spowodowały przyspieszenie prac w zakresie opracowania planów strategicznych dotyczących funkcjonowania w nowej rzeczywistości makroregionów, województwa, powiatów i gmin. Stosownymi dokumentami rozwoju gospodarczego są opracowania i przyjęte do realizacji plany: „Plan Strategiczny Gminy



Tarnica – widok od południa (z pasma granicznego). Fot. W. Paul

Lutowiska”, „Plan Strategiczny Gminy Cisna”, „Studium Uwarunkowań i Kierunków Zagospodarowania Przestrzennego Gmin” oraz aktualizowane na bieżąco plany zagospodarowania przestrzennego gmin.

W przyjętych strategiach uwzględniono istnienie i funkcjonowanie Międzynarodowego Rezerwatu Biosfery, jako ważnego czynnika kształtującego zrównoważony rozwój wchodzących w skład jego obszaru gmin. Ogólnie rzecz biorąc, zasada „zachowania istniejących warunków przyrodniczych i krajobrazowych jako podstawy rozwoju turystycznego Bieszczadów” stała się podstawą opracowania wszystkich planów, operatów i strategii, zarówno parkowych jak i gminnych. W opracowanych planach przyjęto, że Park Narodowy, a zwłaszcza jego I strefa (ściśle chroniona), jest udostępniana do zwiedzania systemem szlaków turystycznych poprowadzonych tak, by poruszanie się po nich nie groziło zniszczeniem koncentracji rzadkich i zagrożonych roślin, zwłaszcza w szczytowych partiach gór, oraz aby dało możliwość zachowania wielkich partii kompleksów leśnych jako ostoi dużych dzikich zwierząt. Pozbawienie regionu tych walorów przyrodniczych lub ich lekceważenie w planowaniu i realizacji zagospodarowania mogłoby doprowadzić do wielkich szkód w przyrodzie i krajobrazie, a także do zmniejszenia atrakcyjności Bieszczadów.

Bieszczadzki Park Narodowy, stanowiący centralną część MRB „Karpaty Wschodnie”, posiada opracowany i zatwierdzony zarządzeniem nr 131 Ministra OŚZNiL z 15 X 1997 r. Plan Ochrony obowiązujący na lata 1997 – 2017. Plan ten stał się podstawą – zwłaszcza w planowaniu przestrzennym – uzgodnień przy opracowywaniu innych planów i strategii.

Określono zdecydowanie, zarówno w wyniku badań naukowych jak i opinii społeczeństwa, że podstawą rozwoju MRB „Karpaty Wschodnie” jest nie gospodarka rolna lub leśna, lecz turystyka z zachowaniem zrównoważonego rozwoju. Jest to element, który winien być wiodący, przy uzupełniającej funkcji rolnictwa i leśnictwa. BdPN, powiększany kilkakrotnie, znalazł sposób na zagospodarowanie mienia Skarbu Państwa. Dotyczy to PGR Wetlina, gdzie dostosowano istniejącą infrastrukturę do potrzeb dużego campingu, a także Wołosatego, gdzie zorganizowano duży Ośrodek Zachowawczej Hodowli Konia Huculskiego pod nadzorem Akademii Rolniczej z Krakowa, a jednocześnie Polskiego Związku Hodowców w Rzeszowie, z którym ściśle współpracujemy.

Problemem jest zagospodarowanie dla turystyki wsi Tarnawa Niżna, dla którego wciąż szukamy inwestora.

Naszym celem jest realizacja strategii ochrony najbardziej wartościowej przyrodniczo strefy pierwszej przez należyte zagospodarowanie turystyczne całego obszaru. Realizacja tych planów, oraz podnoszenie rangi ochronnej terenu w skali krajowej i międzynarodowej, daje możliwość tworzenia nowych miejsc pracy dla miejscowej społeczności przez dzierżawę obiektów, świadczenie usług, tworzenie nowych zawodów (przewodnik, instruktor turystyki konnej lub narciarskiej). Efekty zmiany mentalności społeczeństwa doskonale widać na terenie Gminy Cisna i na terenie Bieszczadzkiego Parku Narodowego. Należałoby się obecnie zastanowić, w jaki sposób powrócić do gospodarki hodowlanej dostosowując ją do wy-

mogów gospodarstw agroturystycznych oraz potrzeb ochrony ekosystemów nieleśnych. Są to nowe miejsca pracy ale również poszerzenie atrakcyjności turystycznej i krajobrazowej o baczówki w dolinie „Górnego Sanu” (obecnie taka placówka mieści się w Brzegach Górnych) lub wypas tabunowy koni.

Turystyka prowadzona z myślą o zachowaniu środowiska naturalnego, polegająca na aktywnym kontakcie z przyrodą, może przynieść wiele korzyści terenom chronionym, branży turystycznej i społeczeństwu. W celu określenia poziomu oddziaływania turystyki na przyrodę, na terenie Bieszczadzkiego Parku Narodowego prowadzony jest monitoring, który ma na celu:

- określenie wpływu turystyki pieszej na pokrywą glebową,
- określenie wpływu turystyki pieszej na zbiorowiska roślinne przy szlakach turystycznych,
- stałą kontrolę hydrologiczną i hydrochemiczną wód, oraz skuteczności funkcjonowania oczyszczalni ścieków,
- obserwację dynamiki ruchu turystycznego.

Z prowadzonych na szlakach turystycznych badań wynika, że 96% ankietowanych jest przeciwna inwestowaniu w najwyższych częściach Bieszczadów.

Stwierdzono w planach i strategiach, że istnieje jasna granica wytrzymałości w zakresie pojemności turystycznej, inwestowania i pomysłowości na uzdrowienie Bieszczadów. Baza noclegowa jest wystarczająca, ale o zbyt niskim standardzie. Nieprzemyślane koncepcje strategiczne, jak np. przejście graniczne w Wołosatem, wyciągi narciarskie powyżej górnej granicy lasu, wieże trankingowe na Połoni-



U źródła – na przełęczy Orłowicza.
Fot. J. Pilc



W dolinie Wołosatego. Fot. W. Paul

nach, mogą zmienić charakter Bieszczadów w kierunku niepożądanym i trudnym do naprawienia w przyszłości.

Sądzę, że przyczyna wciąż istniejących rozbieżności dotyczących zagospodarowania Bieszczadów tkwi w ogólnie trudnej sytuacji materialnej miejscowego społeczeństwa, bardzo wysokim bezrobociu oraz zbyt wolnym rozwoju tzw. przemysłu turystycznego i związanych z tym usług.

Rozbieżności występują też pomiędzy ochroną zwierzyny leśnej a polowaniami prowadzonymi przez Lasy Państwowe i koła łowieckie. Dotyczy to również poglądów na tematy wilka, niedźwiedzia, gospodarowania populacją jelenia, stanu ryb w rzekach. Nie zawsze chodzi tylko i wyłącznie o ochronę, ale również o stworzenie i utrzymanie wysokiej atrakcyjności Bieszczadów w kontekście poprawy bytu miejscowej ludności. Szukamy sprzymierzeńców wśród hodowców, zwłaszcza owiec i koni, co da możliwości ożywienia zaniechanej już w Bieszczadach tradycji.

Dziękuję za możliwość przedstawienia naszych poglądów na temat roli Parku w rozwoju regionu Podkarpacia i Karpat.



Widok z Bukowego Berda na zachód.

Fot. W. Paul



Widok z Rozsypańca na Tarnicę i Krzemień.
Fot. W. Paul



Na Bukowym Berdzie.
Fot. W. Pauk

GÓRY WOLNOŚCI – FENOMEN BIESZCZADÓW

Antonina Sebesta

Niezwykle bolesnym paradoksem jest, że Bieszczady, kraina szczególnie doświadczona przez historię, postrzegane były i nadal są jako obszar wolności. Góry te w wyniku wojennych mordów i walk po zakończeniu wojny oraz akcji „Wisła” zostały wyludnione. *Teren, który w latach międzywojennych był przeludniony (ok. 80 osób/km²), stał się obszarem o najniższej w Polsce gęstości zaludnienia (powiat leski 1950 – 14 os/km²). Bieszczady tego okresu były jedyną w Europie krainą tak całkowicie wyludnioną i zdewastowaną¹.*

Spustoszenie to najlepiej wyrażają wersy powszechnie znanego wiersza piewcy Beskidu Wschodniego, Jerzego Harasymowicza:

*Czernieje kadłub gór spalonych
Stado wilków w rekwijach się ćwiczy
Pod nogami wiatr rozwiewa stare księgi
Pisane czerwonym patykiem cyrylicy*

*Z głodnej cerkwi święci w łapciach
Chodzą stadem po sadzie zdziczałym
Triangul jak maszt statku się chwieje
Błądzą lasami głosy pomordowanych*

Dramat ludzi, Polaków i Ukraińców, zniszczenie ich wielopokoleniowej pracy, śmierć greckokatolickiej religii i kultury staje się tryumfem natury. Władysław Krygowski tak to opisuje:

Był maj 1950 roku, a właściwie mogło też być parę wieków wcześniej. Byłem jakimś śmiesznym anachronizmem w tej puszczy, w kręgu dzikich bżów, rozrostłych

¹ Wrona J.: „W Bieszczadach”, Warszawa 1985 r., s. 65.

lepiężników, pod koronami jodeł i buków, i nie bardzo wiedziałem, do jakiego czasu należą. ...

Krótką jest pamięć przyrody. Poddaje się losowi, zniszczeniom i kataklizmom, porasta i zarasta, w lejach bomb zakwitają kwiaty, w okopach pełzają jaszczurki, glony zielenią się w wypełnionych deszczami schronach, wszędzie pleni się życie...

Szliśmy dalej przez trawiaste pustki nie istniejących osiedli, mijaliśmy sięgające po pas pokrzywy, gubiliśmy i znajdowali ślady ścieżek².

Jan Maria Gisges w bardzo typowym, bieszczadzkim wierszu zatytułowanym „Droga przez Bieszczady” (1966)³ stwierdza:

*Zieleń okryła historię:
kości,
czaszkę oczyszczoną przez mrówki,
zeschnięte pnie cerkiewek
bez konarów,
bez pieśni i modlitwy.
Wdzieram się w zamkniętą pagórkami
ziemię umarłych znaczeń;
woda jest niebem,
połonina drogą*

Wątek bieszczadzki w górskiej poezji polskiej jest najsilniej reprezentowany w latach siedemdziesiątych. I tak np. Tadeusz Śliwiak w wydanym w 1972 roku tomiku „Rajskie wrony” kilka wierszy im poświęca. Na uwagę zasługuje zwłaszcza „Świt w Bieszczadach” nawiązujący do motywu „zatrutej studni” (znanego z malarskiej twórczości Jacka Malczewskiego), który w Bieszczadach nie jest symbolem, a faktem:

*dawna studnia kamieni pełna i tajemnic
już nie wróci do ludzi
już się nie odciemni
trupim jadem otruta
przeklęta rozpacz⁴*

W 1980 roku, na IX Ogólnopolskim Konkursie Poetyckim „Jesień Tatrzańska”, nagrodę I oraz III otrzymali piszący o tych górach: Aleksander Migo z Krosna za wiersz „Bieszczady – krajobraz z przewodnika” i Jerzy Jedziniak za wiersz „W Bieszczadach”. Przewodniczący jury, Jacek Kolbuszewski, komentując werdykt, stwierdził: (...) *wiersze o Bieszczadach, potwierdzają osobliwy status kulturowy tych gór, w których pamięć o dramatyzmie historii zderza się z przejawami współczesnego życia⁵.*

² Krygowski W.: „Wspinaczka po tęczy”. Kraków 1986, s. 94, 106.

³ Wiersz i opinia o nim Jacka Kolbuszewskiego cytowane za: „Literatura i przyroda” (antologia ekologiczna) pod red. J. Kolbuszewskiego, Katowice 2000, s. 187–188.

⁴ Śliwiak T., „Wiersze wybrane”, Warszawa 1975, s. 201.

⁵ W: „Podtatrze, Zakopane”, jesień 1980, s. 104.

Na temat wolności w różnych kręgach kulturowych powstawały rozprawy i traktaty. Filozofowie mniej lub bardziej udanie próbowali zdefiniować jej fenomen.

Wolność bieszczadzka jest wolnością od człowieka, od ustanowionych przez niego praw i wartości. Jest spontanicznością przyrody z jednej strony, uosabia bowiem bergsonowski „élan vital” (pęd życiowy), z drugiej wyciszeniem, refleksją, medytacją charakterystyczną dla filozofii Wschodu. Ten typ wolności fascynuje szczególnie te jednostki, które *nie mieszczą się w cywilizacji* (określenie z poezji Harasymowicza). Przybywali do krainy połonin, jak kiedyś na Dzikie Zachód, goniący za przygodą i... uciekający prokuratorowi. Na tzw. Caryńskim, w połowie lat siedemdziesiątych, polscy hipisi, a także liczne grono zagubionych, zgnębionych, przegranych znalazło przystań życiową. W Bieszczadach żyli i tworzyli artyści, zwłaszcza rzeźbiarze (Zdzisław Rados, Marian Hess, Jędrzej Połonina) piszący bowiem uciekali w góry raczej okresowo, choć są wyjątki (Olgierd Łotoczko, poeta, z wykształcenia historyk sztuki, szef schroniska pod Łopiennikiem). Pionierzy – osadnicy nazwani zostali bieszczadnikami. Sylwetki najwybitniejszych z nich przedstawił niezwykle barwnie Andrzej Burghardt w artykule zatytułowanym „Bieszczadnicy”⁶. Autor opisał między innymi ich nestora Henryka Viktoriniego, którego nazwisko nosi zatoka Zalewu Solińskiego. Lutka Pińczuka, który właściwie własnymi rękami stworzył „Chatkę Puchatka” (schronisko na Połoninie Wetlińskiej) i stał się bohaterem przeboju „Mam domek na połoninie i dziewczynę w sukni niebieskiej”. Andrzeja Wasilewskiego, czyli wspomnianego Jędrka Połonię utalentowanego rzeźbiarza i malarza, wpisującego w oficjalnych dokumentach jako adres: Bieszczady. Bard Wojtek Bellon bieszczadnika Władka Nadopta uczynił bohaterem popularnej piosenki „Majster Bieda”:

*Nikt nie pytał skąd się wziął
gdy do ognia się przysiadł
wtulał się w krąg ciepła jak kożuch
znużony drogą wędrowiec boży
zasypiał długo gapiąc się w noc
Majster Bieda⁷*

Bieszczady z pieśni, którą współtworzył stają się legendarną Bukowiną, rodzimą Arkadią (Wolna Grupa Bukowina). Bellon, jeden z tych, którzy mogli o sobie powiedzieć: *ja zawsze byłem z rozstajów* (również określenie Harasymowicza), „buduje” w nich swój idealny *dom buczyną spięty*:

*Odnaleźć musisz – gdzie góry chmurom dłoń podają
Gdzie deszcz i susza, gdzie lipce, październiki, maje
Stają się rokiem, węzłem życia
Swoją dom bukowy zawieszony u nieba pnia*

⁶ Burghardt A.: „Bieszczadnicy”, Pamiętnik PTT, t. 4, Kraków 1995, s. 131.

⁷ Bellon W.: „Niechaj zabrzmi Bukowina...”, OTO Kalambur, 1986, s. 62.

*Kropłą żywicy
Błękitny, złoty i zielony⁸*

Bowiem tu, gdzie:

*Beskid kołysze się i szumi
i chwiać się będzie drżeniem nieba
i horyzontu zmieni drogi
i umrzeć moim słowom nie da⁹*

jest „pracownia artystyczna”, „dom pracy twórczej”, „plener”, a zarazem „miejsce emigracji wewnętrznej”, wyciszenia i refleksji filozoficznej. Pieśń o wolności śpiewana przez człowieka przy ognisku towarzyszyła mu od zarania dziejów, nie umrze więc, bo jej słowa są ponad czasem, ponad przestrzenią. Twórca wie, iż jak pisał przed dwustu laty poeta niemiecki Fryderyk Schiller w „Początku nowego stulecia”:

*wolność jest jedynie w kraju marzeń,
Piękno w pieśni zakwita jedynie.*

Aby być wolnym, trzeba uciec *od nacisku zdarzeń* choćby w wyludnione góry i w sobie, w swoim sercu tej wolności poszukać. Nie ma przesady w wersie Jerzego Harasymowicza – *Z Caryńskiej widać całe życie*¹⁰. Poecie nie chodzi o rozległość panoramy górskiej, ale o perspektywę aksjologiczną. Góry uczą pierwotnego systemu wartości, w nich uczy się człowiek sam. W pustych Bieszczadach nie obowiązywały, przez krótki czas, prawa stanowione przez człowieka. A także prawa przez niego (bardziej lub mniej subiektywnie) odczytywane z natury, w naszym kręgu kulturowym nazywane naturalnymi lub uniwersalnymi. Przyroda sama je dyktowała. Tylko to, co wpisane jest w odwieczny rytm odradzania się i obumierania, było ważne. Taki stan rzeczy legł u podstaw legendy tych gór. Nie umarła ona, mimo władzy pułkownika Kazimierza Dąbrowskiego i jemu podobnych, którzy bardzo się starali, aby górskie lasy zamienić na tereny łowieckie dla dygnitarzy.

Wolność bieszczadzka jest inna niż ta tatrzańska z przełomu wieku XIX i XX. Mniej patetyczna, nikt w tych górach nie ustawia patriotycznych ołtarzy, nie ma więc charakteru narodowego, społecznego, ale indywidualny. Mimo idealnego charakteru, jest zdecydowanie bardziej fizyczna niż duchowa, co wydaje się paradoksem. Wolność wewnętrzną trzeba jednak wywalczyć pokonując ograniczenia natury fizycznej. Tatry dawały czasem szanse przebywania w nich schorowanym, zwłaszcza gruźlikom (Żeromski, Witkiewicz), w wyludnionych Bieszczadach obowiązywało: *ostre kryterium wagi plecaka i umiejętności chodzenia po górach*. ...Do „Worka” za Halicz i Rozsypaniec, szło się na trzy, cztery dni, wracało po

⁸ Tamże, s. 93–94.

⁹ Tamże, s. 39.

¹⁰ Harasymowicz J.: „Cała góra barwników”. Kraków 1983, s. 73.

tygodniu albo i dwóch. Po chleb czasem posyłano umyślnych do najbliższej piekarni w Stuposianach, ponad trzydzieści kilometrów w jedną stronę (...). Zarosły zupełnie młodymi drzewkami przedwojenny gościniec, krzyżujące się tropy dzikiego zwierza. Bezruch, cisza i spokój zielonego morza. Zbite z grubych bierwion myśliwskie chatki na Mucznym, Wołowcu, nad Negryłowem. Parę bacówek, w których jesienią można było mieszkać z ukochaną dziewczyną¹¹.

Nie dziwi więc fakt, iż Bieszczady urzekły, oprócz wymienionych wcześniej, przede wszystkim studentów i harcerzy. Ci pierwsi zagospodarowywali je romantycznie, z urokiem właściwym tylko młodości, przeciwstawiając się odgórnym, mniej lub więcej absurdalnym planom „urządzenia” i „cywilizowania”. Studenci, zwłaszcza z Warszawy – przodowała Politechnika – systematycznie w góry przybywali od lata 1955 roku. Zakładali tu prymitywne, i właśnie dlatego tak bardzo urokliwe schroniska, oraz bazy namiotowe. O działalności członków Koła Przewodników Beskidzkich przy RO ZSP i OM PTTK Michałowski i Rygielski piszą: *Okolo 40 000 przepracowanych społecznie dniówek przewodnickich. Przeszło 80 wydawnictw poświęconych regionowi, z zyskującymi uznanie specjalistów rocznikami „Magury” i „Połoniny”. Trwały, ogromny dorobek w udostępnieniu turystycznym Bieszczadów. Pokazali ich urok, nauczyli uprawiania turystyki, uczynili wrażliwymi na piękno przyrody¹².* Wielu z nich po ukończeniu studiów z Bieszczadami związało się na stałe, między innymi jako ratownicy GOPR, lekarze, leśnicy, nauczyciele, inżynierowie czy prowadzący schroniska.

Harcerze zaczęli w Bieszczadach bywać od 1958 roku (zorganizowane obozy w lecie). Wprawdzie akcje (HALMS, „Bieszczady”, „Operacja Bieszczady-40”) miały podłoże ideologiczne, jednak w praktyce młodzież nie bardzo się tym przejmowała. Na temat działalności harcerzy interesująco i obiektywnie pisze Jan Bieszczadzki: *Pojawiły się harcerskie stacje ekologiczne, powstała Bieszczadzka Wspólnota Starszoharcerska, zawiązał się Ogólnopolski Ruch Ochrony Bieszczadów. Powoli nasze władze przekonują się, że w ciszy i spokoju, jakby w tle, też można wychowywać młodzież. W Bieszczadach można się nauczyć wszystkiego, także tego, jak ważne jest własne państwo¹³.*

Bieszczady w trudnym okresie PRL-u były przynajmniej dla części młodzieży snem o wolności, o przygodzie, szkołą i poligonem dojrzałości. Obecnie, znaczny procent młodzieży tu właśnie przeżywa swoją górską inicjację, we wrześniu góry okupują tradycyjnie studenci. U schyłku lat osiemdziesiątych walka z inicjatywą redaktora Janusza Zielonackiego nazwaną „kolorowym zawrotem głowy”¹⁴ łączyła miłośników tych gór, tak jak w roku 2001 planowanie budowy gazociągu przez Cisną.

¹¹ Michałowski W., Rygielski J.: „Spór o Bieszczady”. Warszawa 1986, s. 10.

¹² Tamże, s. 20.

¹³ Autorka brała udział w takim harcerskim obozie (koniec lat 70-tych).

¹⁴ Inicjatywa miała na celu stworzenie w Bieszczadach dużej nowoczesnej stacji narciarskiej; patrz: Pamiętnik PTT, t. 8, Kraków 1999, s. 202 („Wspomnienie o Jerzym Harasymowiczu”).

RELATA REFERO

Antoni Leon Dawidowicz

Zanim przystąpię do prezentacji niniejszych wspomnień, wyjaśnię tytuł. Nigdy nie byłem w Borysławiu, ani w Truskawcu. Urodziłem się w roku 1952, czyli już po wojnie. Jeżeli piszę o tych miastach, to tylko dlatego, że znam je z opowiadań mojego Śp. Ojca. Wyjaśnię jeszcze związki z górami. Są one dwojakie. Po pierwsze, zarówno Borysław, jak i Truskawiec leżą w Bieszczadach. Po drugie, opowiadania Ojca o Borysławiu i Truskawcu były nieodłącznym elementem naszych licznych wędrówek górskich, głównie przez Gorce, Pieniny, Tatry i Beskid Wysoki.

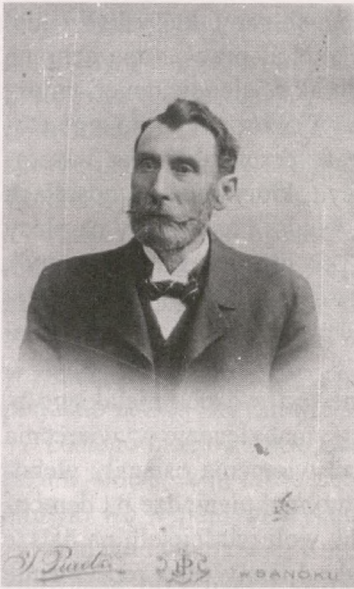
Mój Ojciec, Stanisław Dawidowicz, urodził się 29 stycznia 1917 r. w Borysławiu, gdzie mieszkał do wysiedlenia w roku 1945. Nie zmieniając miejsca zamieszkania miał aż 7 obywatelstw. Były to kolejno: Austria, Ukraina „petlurowska”, Polska, Sowiety¹ (za „pierwszych bolszewików”), Generalna Gubernia, ponownie Sowiety, PRL (bezpośrednio przed wysiedleniem, jeszcze w Borysławiu otrzymał paszport peerelowski). Był ochotnikiem w kampanii wrześniowej, a potem żołnierzem Armii Krajowej. Po wysiedleniu osiadł w Krakowie, w którym do końca życia czuł się wygnańcem.

Rodzina moja nie pierwszy raz była zresztą zmuszona do zmiany miejsca pobytu. Jest to bowiem rodzina litewska, która w Koronie znalazła się po wojnach szwedzkich. Pradziadek mój, Jan Dawidowicz, był oficerem w Powstaniu Styczniowym. Po skazaniu przez władze carskie na śmierć musiał opuścić rodzinny Su-



Stanisław Dawidowicz,
ojciec autora

¹ Używam terminologii, jaka była używana przez większość mojej rodziny. Terminu „Związek Radziecki” używała tylko propaganda oficjalna oraz komuniści.



Jan Dawidowicz – oficer
w Powstaniu Styczniowym,
pradziadek autora

chedniów i początkowo ukrywał się na Śląsku, a następnie przybył do Małopolski, a dokładniej do Dukli. W Dukli spotkał się ze swoim bratem Ignacym, również Powstańcem, który bezpośrednio po Powstaniu przebywał na emigracji we Francji. Razem, wspólnie z Ignacym Łukasiewiczem, tworzyli początki polskiego przemysłu naftowego. Szyby naftowe z tamtych czasów do dziś można podziwiać w skansenie w Bóbrce. Wyglądały one jak studnie, bądź to z wałem korbowym, bądź z żurawiem. Te ostatnie borysławiaczy nazywali „kiwonami”. Z kolei mój dziadek, Józef Dawidowicz po ukończeniu Politechniki Lwowskiej początkowo pracował w przemyśle naftowym w Borysławiu, by wreszcie założyć własną fabrykę narzędzi wiertniczych zwaną nieco eufemistycznie „warsztatami”. Z Wydziału Mechanicznego Politechniki Lwowskiej, oprócz wysokich kwalifikacji inżynierskich wyniósł technokratyczne poglądy, wierząc w niesłychaną potęgę zawodu inżyniera.

Borysław był miastem kojarzącym się nierozdzielnie z ropą. To właśnie nafta ściągnęła tam ludzi najrozmaitszego pokroju od ludzi chcących szybko zrobić dużą fortunę i zniknąć (вкралбим сотку тай бим втік), poprzez ludzi pokroju mojego pradziadka, których ambicją było zarobienie na ropie „tyle, by nie umrzeć z głodu”, po poważnych przedsiębiorców, którzy w ropie widzieli surowiec strategiczny. Do tych ostatnich należał mój drugi pradziadek, Węgier György Mészáros. Był on dyrektorem firmy państwowej (tj. austro-węgierskiej) „Nafta”, w której zatrudnił mojego dziadka czyli późniejszego swojego zięcia.

O tym, do jakiego stopnia nafta była treścią życia Borysławia, niech świadczy historia pojedynku dwóch młodych ludzi. Zapamiętałem ją głównie dlatego, że poszło o to, że jeden do drugiego powiedział: *Ty jesteś największy idiota w całym przemyśle naftowym.*



Panorama Borysławia. Fot. archiwum

Nawet po wartko płynącej Tyśmienicy płynął kozuch ropy, który był z niej zbierany na tzw. „łapaczkach”. Właściciele łapaczek mieli prawo ropę zebraną z rzeki sprzedawać. Nie było tej ropy jednak dużo, a brak ścisłej ewidencji umożliwiał dokradanie jej. Najmowali do tego tzw. „łebaków”, którzy byli do tego stopnia charakterystycznymi postaciami Borysławia, że aż przez jakiś czas wizerunek łebaka widniał w herbie miasta. Łebak był to Żyd, który miał na nosidłach (w tamtym regionie nazywano je „koromesło”) dwa wiadra i zarzucony na plecy koński ogon. Miejscem kradzieży ropy były wspomniane już wcześniej „kiwony”, natomiast nabrane za pomocą końskiego ogona wiadro ropy łebak po prostu wlewał do rzeki. Nie muszę mówić, że proceder ten, jako nielegalny, z reguły miał swój epilog przed sądem.

Odkrycie „wielkiej ropy” w Borysławiu związane jest z osobą niejakiego p. Rączkowskiego, który od jednej z firm naftowych otrzymał zlecenie wywiercenia szybu na głębokość 500 m. W tym czasie najgłębsze wiercenia osiągały głębokość 200 m. Nie znalazłszy ropy na tej głębokości otrzymał pieniądze na demontaż urządzeń. Pieniądze te wykorzystał jednak, wbrew woli właścicieli, na dalsze wiercenia. Gdy i te pieniądze się skończyły otrzymał od firmy ostrą reprymendę i... kolejne pieniądze na demontaż urządzeń i nadanie ich na kolej. Determinacja p. Rączkowskiego była jednak o wiele większa, niż można by było się spodziewać. Firma zmuszona była zwrócić się o pomoc do policji. Gdy jednak policjanci przybyli aresztować p. Rączkowskiego, z daleka zobaczyli tryskającą ropę, do której ten dowiercił się na głębokości 1000 m. Nadmienić należy, że polscy wiertacze uchodzili za doskonałych fachowców i byli zatrudniani m. in. w Ameryce Południowej i na Borneo.

Oprócz nafty wydobywało się w Borysławiu wosk ziemny, surowiec do produkcji kosmetyków. Eksploatacja wosku była bardzo ciężka i niebezpieczna. Gór-



Górnicy pod szybem „Laura”. Fot. archiwum

nicy schodzili pod ziemię, gdzie pracowali po pas w wodzie. Trzecim bogactwem naturalnym Borysławia była sól, w postaci solanki. Nie można jej było sobie nabrać, gdyż nad jeziorem z reguły stał policjant, pilnujący praw Polskiego Monopoli Solnego. Oba te bogactwa pozostawały jednak w głębokim tle obrazu Borysławia, przynajmniej takiego, jakiego obraz wyrósł w mojej świadomości z opowiadań Ojca.

Należy nadmienić jeszcze jedno. W tych czasach przemysłowa funkcja miasta nie była w konflikcie z piękną przyrodą i krajobrazem. Nawet szyby naftowe nie ingerowały tak brutalnie w karpacki krajobraz, jak dziś niektóre wille prominentów. A trzeba dodać, że lasy w okolicach Borysławia były bardzo obfite, nie tylko w zieleń, lecz także w owoce leśne i grzyby. Od tych „borów sławnych” pochodzi podobno nazwa Borysław.

Dlatego może w opowiadaniach Ojca Borysław jawi się nie tylko jako miasto przemysłowe, lecz także jako miasto pięknej, osobliwej przyrody oraz wesołej muzyki we wspólnym wykonaniu mieszkających tam Polaków i Ukraińców (nazywano ich tam częściej Rusinami). Zarówno o przyrodzie, jak i o muzyce Ojciec opowiadał przy okazji swoich wspomnień z borysławskiego Gimnazjum. Młodzież w tym gimnazjum była bardzo muzykalna. Ojciec znał dużo piosenek zarówno po polsku, jak i po ukraińsku. Piosenki te śpiewali razem z kolegami raz usłyszawszy, od razu na głosy.

Jednym z nauczycieli Ojca w Borysławiu był prof. Leonard Horbulewicz, biolog. Prowadził on badania nad krzyżowaniem żab, a jego prace publikowane były przez Polską Akademię Umiejętności. Parał się również fotografią i większość zdjęć mojej rodziny z Borysławia jest jego autorstwa.

Drugim nauczycielem, o którym często Ojciec opowiadał, był prof. Cechak, nauczyciel matematyki. Oprócz matematyki parał się poezją i w jednej z lwowskich gazet regularnie ukazywały się jego wiersze. Był przy tym dobrym nauczycielem który, jak relacjonował Ojciec, potrafił wytłumaczyć nawet trudny materiał.

Nie zachowało się w mojej pamięci nazwisko nauczyciela, który był działaczem PTT. Często był on jednak bohaterem opowiadań Ojca, gdyż wciągnął do PTT dużą grupę młodych ludzi, a nawet zachęcił ich do aktywnej działalności. Ojciec ze swoimi kolegami malowali znaki turystyczne, m.in. z Borysławia na Ciuchowy Dział. Nie muszę chyba mówić, że robili to całkowicie społecznie, dostając tylko pieniądze na zakup pędzli i farb. Ten styl uprawiania turystyki zachował Ojciec do końca. Tego stylu nauczył również mnie. Pamiętam „mięso niedźwiedzie”, czyli kawałki słoniny upieczone w ognisku, oraz rygorystyczne pilnowanie zasady: „Przeszkody brać górą”. Zresztą określenie „mięso niedźwiedzie” miało jeszcze jedno znaczenie. O człowieku, który złapał bakcyła turystyki górskiej Ojciec mówił, że „skosztował mięso niedźwiedzie”.

Oprócz Borysławia tematem częstych opowiadań Ojca był Truskawiec, gdzie moja babka, Ida Dawidowiczowa była właścicielką pensjonatu „Marysia”. Bywali w nim m.in. Leopold Staff, Wacław Sieroszewski i Maria Dąbrowska. Babka była z wykształcenia śpiewaczką, ale tego zawodu nigdy nie wykonywała. Jak wspo-



Willa „Marysia”. Fot. archiwum

minał Ojciec pilnowała jednak, by wyuczonego zawodu nie zatracić i kilka godzin w tygodniu ćwiczyła śpiew. Swoje zdolności wokalne i związane z nimi dobry akcent w obcych językach w niesamowity sposób wykorzystwała w czasie okupacji niemieckiej, kiedy woziła żywność więźniom Majdanka pociągami „Nur für Deutsche”.

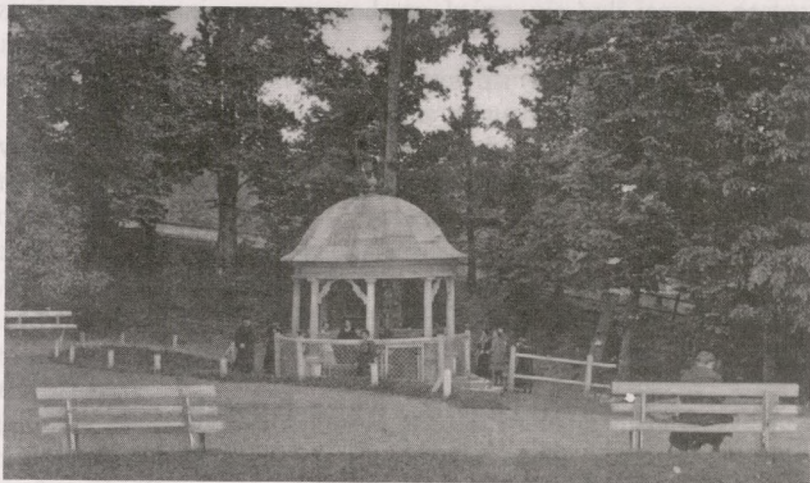
Była jedną z dziesię-

ciorga rodzeństwa (dwóch jej braci, Istvana, tłumacza literatury polskiej na język węgierski i Gabora, profesora medycyny, ministra zdrowia w rządzie Ferencza Nagy'a jeszcze pamiętam).

Truskawiec był typowym polskim kurortem, podobnym nieco (przynajmniej tak mi się jawi z opowiadań Ojca) do Krynicy. Podobno w przeszłości był bardzo zaniedbany, a jego zagospodarowanie było zasługą jego właściciela p. Romana Jarosza, który, mówiąc dzisiejszym językiem, był wysokiej klasy „managerem”. Nie odmówię sobie przyjemności przytoczenia jednego wspomnienia. Szliśmy z Ojcem z Zawoi przez Babią Górę, Krowiarki, Orawę do Zakopanego. Już na Drodze pod Reglami Ojciec przypominał sobie przedwojenny Truskawiec i zaczął opowiadać m.in. o p. Romanie Jaroszu. Po dojściu do Zakopanego poszliśmy (w tym czasie nie można było inaczej) do „Cocktailu”. Gdy tylko weszliśmy usłyszeliśmy tubalny głos starszego mężczyzny o wyglądzie typowego „szlagona” zapraszający nas do stolika. Rozmowa Ojca ze znajomym dotyczyła głównie Truskawca i dramatu obu rozmówców, którzy zostali odcięci od swojego „kraju lat dziecińczych”. Po wstaniu od stolika Ojciec zapytał się mnie, czy domyślam się kim był „Ten Pan”. Korelacja między tą rozmową a opowiadaniem z „Drogi pod Reglami” pozwoliła mi od razu stwierdzić, że był to p. Jarosz.

Głównym „magnesem” ściągającym do Truskawca kuracjuszy była „Naftusia”, czyli woda lecznicza niezbędna na niektóre schorzenia. Podobno niegdyś nazywała się „Nastusia”, ale w staropolskiej kaligrafii litery „s” i „f” były do siebie podobne, a niedaleko Truskawca wydobywa się naftę, więc tak to ktoś skojarzył i tak zostało. Podobna zresztą jest, według relacji Ojca, geneza nazwy „Truskawiec”. Pochodzi ona od „tryskać” i związana jest z tym, że w cyrylicy, którą pisali mieszkający tam Ukraińcy „y” czyta się, jak „u”.

Jednak i Borysław i Truskawiec pozostawały zawsze w cieniu stolicy powiatu, Drohobycza. Nazwa ta podobno, to dawny „Drugi Bycz”, gdyż pierwotne miasto



Źródło „Naftusia”. Fot. archiwum

„Bycz” zostało spalone przez Tatarów. Według legendy Tatarzy, po zajęciu Bycza (czy Byczy, nie wiem, jak się to wtedy odmieniało, a takie rzeczy się zmieniają) Tatarzy powiedzieli, że opuszczą miasto, jeżeli każdy mieszkaniec da im jednego gołębia. Mieszkańcy, nie spodziewając się podstępu na tę propozycję przystali. Tatarzy umieścili gołębiom pod skrzydłami materiały zapalające. Dalej wiadomo, każdy gołąb wraca na wieczór do swojego gołębnika. W ten sposób pierwszy Bycz spłonął i powstał „Drugi Bycz”, czyli „Drohobycz”. Przed wojną w Drohobyczu był jeden z najsilniejszych Oddziałów PTT. To jego członkiem był Ojciec.

Po podzieleniu się światem przez Roosevelta i Stalina w Jałcie rodzina musiała opuścić Borysław. Ojciec, jak już napisałem, nigdy się z tym nie pogodził. Przy każdej okazji opowiadał o Borysławiu. Często w rozmowie wtrącał zdania ukraińskie, śpiewał również kresowe piosenki zarówno po polsku, jak i po ukraińsku. Jego zbliżeniem z borysławskimi korzeniami było podjęcie w roku 1970 pracy na Wydziale Wiertniczo-Naftowym AGH. Najbardziej charakterystyczne było jednak to, że najlepiej czuł się w Krynicy, Szczawnicy, Wysowej i innych miejscowościach, które leżą na tej wysokości, co Borysław, a krajobraz jest podobny do jego „kraju lat dziecińczych”. Marnym pocieszeniem było, że Borysław, Drohobycz i Truskawiec widać ze szczytu Tarnicy.

MOJE SPOTKANIA Z BIESZCZADAMI

Barbara Morawska-Nowak

Zniknęły łuny w Bieszczadach, ucichły strzały, po dawnych, gęsto zaludnionych wsiach pozostały zgliszcza, podmurówki domów obrosłe pokrzywami i zdziczałe sady. Zakończyły się powojenne walki z partyzantami i bandami. Potem była pacyfikacja tych ziem nosząca kryptonim „Akcja Wisła”. Wtedy jedynymi zamieszkałymi miejscami były placówki WOP-u. Bodaj w 1952 roku teren został otwarty i udostępniony. Ruszyli więc w Bieszczady Władysław Krygowski z Edwardem Moskałą, by wytyczać szlaki i malować znaki, przyszli przyrodnicy poznawać te wtórnie zdziczałe góry i pokazali się młodzi turyści żądni pionierskich przygód.

Do tych ostatnich mogłam się wówczas zaliczyć, gdy z radością przyjąłam zaproszenie zaprzyjaźnionego rodzeństwa Hanki i Marka Bzowskich do wzięcia udziału w eskapadzie w Bieszczady. Szefem naszej grupy wycieczkowej był Marek Bzowski, który przeszedł właśnie do maturalnej klasy. Oprócz niego byli jego czterej koledzy szkolni, wszyscy mieli po 16–17 lat. W grupie naszej były też trzy

dziewczyny – siostra Marka, Hania, jej koleżanka Danusia i ja; byłyśmy około dwa lata starsze od naszych kompanów i byłyśmy już studentkami.

W brezentowych skafandrach, obuci w trampki, wyekwipowani w plecaki popularnie zwane cielakami i koce z demobilu, mezażki i spirytusowe palniki, pojemniki z denaturatem jako paliwem, wyruszyliśmy 2 lipca 1954 roku z Krynicy przez Huzary, Mochnaczkę i dalej na wschód czerwonym głównym szlakiem wschodnio-beskidzkim. Spaliśmy po stodołach, w opustoszałych wsiach Beskidu Niskiego, a w tych, które były częściowo zamieszkałe, byliśmy mile



Uczestnicy wycieczki z gospodarzami
ze Zdyni. Fot. B. Morawska

goszczeni i częstowani przez gospodarzy, którzy nie byli jeszcze nastawieni na zarabianie na agroturystyce.

Asortyment produktów, którymi się żywiliśmy, był nader skromny. Podstawową „paszą” była owsianka wymieszana w menażce z cukrem i kakao, spożywana w stanie surowym na sucho, popijana herbatą. Zapewniam, że było to dobre i kaloryczne danie i chętnie bym kiedyś zjadła je znowu. Dysponowaliśmy też konserwami dwojakiego rodzaju – boczkiem i rybkami „bałtyki w oleju”. Część prowiantów wysłaliśmy w paczkach do miejscowości na trasie. Jak się trafiło dokupywaliśmy chleb. Po drodze były jeszcze czereśnie w zdziczałych sadach, a w lasach czarne jagody i maliny. Przechodząc przez maliniska przetrzepywaliśmy je kijami w obawie przed żmijami. Na szczęście zachowując ostrożność unikaliśmy ukąszeń.

Naturalnie nie dysponowaliśmy większymi sumami pieniędzy, a nastawieni byliśmy na dzikie noclegi, za które nie musielibyśmy płacić. Pamiętam, jak doszliśmy do ucywilizowanej miejscowości na trasie – Iwonicza Zdroju. Odwiedziłam tam, w sanatorium Excelsior, pewną znajomą mi osobistość przebywającą na kuracji. Obawiając się, że w Iwoniczu nie znajdziemy darmowego noclegu, postanowiliśmy przespać się w lesie. Chłopcy nacięli cetyny na legowisko, ktoś miał płachtę brezentową i na tym ułożyliśmy się do spania. Nieopodal zapaliliśmy małe ognisko, przy którym były ustalone dwuosobowe dyżury; pozostała szóstka w tym czasie spała. Aby nie było dwuznacznych sytuacji Marek zarządził, żebym z Danusią wzięła pierwszy dyżur, dwa następne obsadzili chłopcy, a nad ranem dyżurowało rodzeństwo Bzowskich. Nikt nas nie musiał pilnować ani nikt prowadzić. Zaopatrzeni w dość prymitywnie wydaną mapę i przewodnik nie mieliśmy kłopotów z orientacją, nawet gdy musieliśmy przedzierać się przez maliny i pokrzywy.

8 lipca dotarliśmy do Komańczy. Stamtąd był uciążliwy, dwunastogodzinny odcinek przez jeziora Duszańskie, Chryszczatę i Wołosz do Cisnej. Bieszczady stały przed nami otworem. Z Cisnej prowadziła do wsi Smerek ziemna droga, szos asfaltowych jeszcze w tym czasie nie było. Ze Smereka weszliśmy na Połoninę Wetlińską, gdzie już uderzyły nas pewne osobliwości szaty roślinnej. Powyżej coraz bardziej karłowatej buczyny rosła karłowata olcha (w Tatrach w tym piętrze rosłaby kosówka), a wyżej strome stoki tworzyły piętro halne. Było tam pełno brusznic. Po zejściu do Wetliny znaleźliśmy nocleg w strażnicy WOP-u, innych możliwości nie było. Byliśmy zresztą atrakcją dla żołnierzy, zaprosili nas na kolację i potańcówkę. Tańczyliśmy w rytmie popularnego wówczas szlagieru „Wiśniowy sad”:

*...mieliśmy wtedy po szesnaście lat...
... pocałowałeś mnie przez wiśni kwiat....*

*Gałąź czerwonej wiśni co kwitła w twym ogrodzie,
objęła gałąź wiśni kwitnącą w moim sadzie,
i kwiaty jak w bukiecie tuliły się do siebie,
szepotały coś w sekrecie tobie i mnie...*

Mój Boże, takie tylko strzępy piosenki plątają mi się dziś po głowie.
Słowa innej popularnej wtedy piosenki, jakże na czasie brzmiały dla pilnujących granic żołnierzy:

*Tam za górą jest granica, na granicy jest strażnica,
a w strażnicy do swej lubej pisał żołnierz list...*

Nie muszę dodawać, że miałyśmy powodzenie...

Na drugi dzień, po porannej sesji fotograficznej na koniach, dziarsko pokonałyśmy aż dwie góry. Najpierw z Berehów Górnych weszliśmy w towarzystwie WOP-istów (ze względu na granicę) na Małą i Wielką Rawkę. Byli oni tak przyjaźnie do nas nastawieni, że udostępnili nam lornetkę i pozwolili postrzelać sobie z ich broni. Po zejściu z powrotem do Berehów, wspięliśmy się stromą ścieżką na Połoninę Caryńską. Na nocleg zeszliśmy do Ustrzyk Górnych, gdzie jeden z budynków strażnicy był już przeznaczony specjalnie dla turystów, spotkaliśmy tam inne wycieczki.

13 lipca zrobiliśmy pętlę w najwyższej grupie Bieszczadów: Ustrzyki Górne – Szeroki Wierch – Tarnica – Krzemień – Halicz – Krzemień – Bukowe Berdo – Bereżki – Ustrzyki Górne. Nie muszę mówić, że jest to niezła wyrypa, a my już byliśmy trzynaście dni w drodze. Na Bukowym Berdzie zgubiliśmy szlak. Zeszliśmy na polankę na której pasły się jakieś zwierzęta, które okazały się stadkiem dzików. Do tego piękna przez cały czas pogoda załamała się. Dopadła nas zlewa i gdy dotarliśmy w końcu do Ustrzyk, byliśmy przemoczeni do nitki. Poparzone pokrzywami i usieczone deszczem nogi... Nigdy nie zapomnę koszmarnego nocy potem, wydawało mi się, że cała płonę.

Mieliśmy zamiar kontynuować naszą wycieczkę, przejść jeszcze dziki Otryt, ale zmęczenie po trzynastu dniach nieprzerwanej wędrówki zaczęło dawać się we znaki. Do tego ta deszczowa aura. Postanowiliśmy zakończyć wyprawę. Czekало nas jeszcze pokonanie dwudziestu sześciu kilometrów z Ustrzyk Górnych do Dolnych, skąd mieliśmy pociąg. Byliśmy zadowoleni, że trafiła się nam okazja zabrać się z żołnierzami wozami do Lutowisk. Tam nocowaliśmy u państwa Borsu-



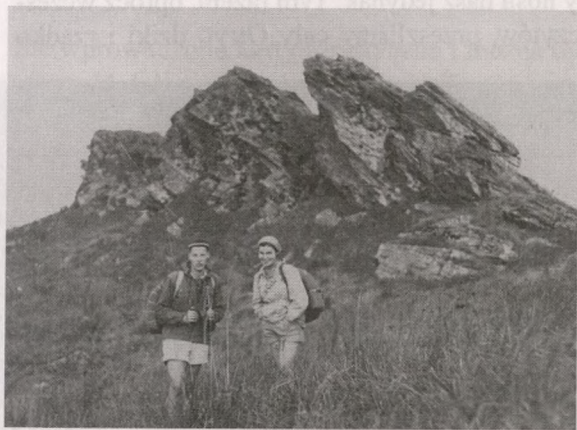
Popasy na bieszczadzkich połoninach (1954 r.). Fot. B. Morawska

ków, repatriantów ze Lwowa, aby nazajutrz zabrać się dalej „ziłem” do Ustrzyk Dolnych.

Ta pierwsza wyprawa w Bieszczady pozostawiła niezapomniane wrażenia, choć po zapoznaniu się z dziennikiem wyprawy prowadzonym przez jednego z uczestników, Andrzeja Strzeleckiego, przekonałam się, jak sporo faktów uleciało mi z pamięci.

* * *

Wracając z Bieszczadów nie przypuszczałam, że wybiorę się w nie jeszcze w tym samym roku. We wrześniu Władek Grodziński zaprosił mnie na wycieczkę Koła Przyrodników UJ. Poprzedniego roku miała miejsce wycieczka w Bieszczady dwóch profesorów zoologii UJ, Zygmunta Grodzińskiego i Stanisława Smreczyńskiego, w towarzystwie czterech studentów, w tym syna profesora Grodzińskiego – Władka. Wyprawa miała charakter przyrodniczy z nastawieniem na świat zwierzęcy Bieszczadów.



Krysia Chronowska i Władek Grodziński
pod Krzemieniem (wrzesień 1954 r.).
Fot. B. Morawska

Tym razem byli to sami studenci biologii z roku Władka: Marian Kuc, Staszek Grabski i Krystyna Chronowska, przyszła Władka żona; ja byłam rok niżej od nich. Nocowaliśmy w namiotach, spinanych z brezentowych płacht z demobilu, bez podłogi i bez materacy, pod namioty kładło się naciętą cetynę. Nie było także wówczas śpiworów, do okrycia musiały wystarczyć koce, w które każdy zawijał się.

W takim pięcioosobowym składzie wyruszyliśmy w Bieszczady 23 września 1954 roku z Ustrzyk Dolnych przez Smolnik, Stuposiany i Bereżki. Pierwszy obóz założyliśmy na Bukowym Berdzie. Stamtąd od razu podeszliśmy na Krzemień i Halicz i z powrotem przez Krzemień, Tarnicę i Szeroki Wierch zeszliśmy do Ustrzyk Górnych. Trasa przebiegała więc w kierunku odwrotnym do pokonanej poprzednio. Z Ustrzyk Górnych pokonaliśmy naraz obie Połoniny – Caryńską i Wetlińską – nocując znowu w namiotach na przełęczy pomiędzy Hnatowym Berdem a Smerekim. Czwarty dzień był bardziej ulgowy, zeszliśmy do wsi Smererek i dotarliśmy do Cisnej. Następną nocleg w namiotach był przy jeziorkach Duszałyńskich, po przejściu trasy przez Chryszczatą. 28 września zakończyliśmy wycieczkę w Komańczy. Kończyły się wakacje, trzeba było wracać na studia.

Po tych dwóch bieszczadzkich wycieczkach, a w międzyczasie kilku tatrzańskich i wyprawie w Góry Świętokrzyskie, nabierałam dostateczną liczbę punk-

tów na małą złotą odznakę GOT i popędziłam do Czesława Łapińskiego, aby potwierdził mi książeczkę (rok wcześniej potwierdzał mi wycieczki sam Jan Kazimierz Dorawski. Jak dobrze mieć zachowaną książeczkę GOT i móc przypomnieć sobie przebyte trasy...).

* * *

Dwa lata później, już sama zorganizowałam wycieczkę w Bieszczady. Byłam tam z grupą koleżeńską z mego roku studiów, niestety nie tak liczną jak rok wcześniej, gdy w trzynastkę przemierzaliśmy trasę z Bielska do Krynicy. Były to już ostatnie wakacje studenckie, większość zajęta była robieniem prac magisterskich i myślała o końcowych egzaminach i przyszłej pracy.

Tak więc w pięć osób – cztery dziewczęta i jeden kawaler, Tadeusz – odbyliśmy w dniach 3–15 września 1956 roku wyprawę w Bieszczady. Dysponowaliśmy na nasz zespół jednym namiotem, który nosił nasz jedynak. Tym razem, oprócz wcześniej poznanych bieszczadzkich szczytów, przeszliśmy cały Otryt, dziki i rzadko



Jeden namiot i jeden kocher wystarczał naszej grupie. Fot. B. Morawska



Przeprawa przez San (wrzesień 1956 r.).
Fot. B. Morawska

odwiedzany. O ile pamiętam, nie było tam jeszcze wyznakowanego szlaku. Po przejściu Otrytu wracaliśmy do Smolnika dołiną Sanu, przekraczając go kilkakrotnie w bród. Miałam pełną satysfakcję z realizacji udanej wycieczki odbytej w zgodnym i zgranym towarzystwie.

* * *

W następnych latach zaraził mnie bakcyl taternicki. Na rzecz Tatr i wspinania się, także po stronie słowackiej, gdyż właś-

nie wprowadzono karty turystycznej i można było jednorazowo spędzić na Słowacji sześć dni; niższe góry zeszły na drugi plan.

W Bieszczadach miałam okazję być znowu dopiero w roku 1962. Ten wyjazd w Bieszczady miał już nieco inny charakter. W tym czasie byłam na stażu naukowym u prof. Zdzisława Przybyłkiewicza. Dostrzegł we mnie większą „wolę bożą” do gór niż do wysiewania wirusów na hodowlach tkankowych HeLa i zapewne dlatego zaproponował mnie i mojej koleżance z pracowni udział w organizowanym przez niego wyjeździe w Bieszczady.

Po raz pierwszy spotkałam prof. Przybyłkiewicza w roku 1949 na Orlej Perci, kiedy pod okiem mej matki pokonywałam ją pierwszy raz w życiu, na lekko, w krótkich spodenkach, obuta w podkute gwoździami buty (takie obuwie uważano wówczas za najlepsze do pokonywania skalnych dróg). Profesor i trzy towarzyszące mu osoby szli objuczeni ogromnymi worami. Profesora znała moja matka, więc nawiązała się rozmowa i razem doszliśmy na Krzyżne. Grupa prof. Przybyłkiewicza została na Krzyżnym, by rozbić tam na noc namioty i przenocować, a rano obserwować wschód słońca. Zaimponowali mi. My – to znaczy moja matka w towarzystwie trzech młodocianych adeptek, które wprowadzała w Tatry – zeszliśmy na nocleg do Doliny Pięciu Stawów.

W następnych latach od czasu do czasu spotykałam Profesora w Tatrach, do linkach lub w Klubie Wysokogórskim. Z czasem Profesor zamienił przeludnione już wówczas jego zdaniem Tatry na wyjazdy i pobyty w Bieszczadach.

W 1962 roku była już zbudowana asfaltowa szosa zwana pętlą bieszczadzką. 3 sierpnia 1962 roku wyjechaliśmy w Bieszczady dwoma autami, w ośmioosobowym zespole rodzinno-towarzyskim. Profesorowi towarzyszyła żona i siedmioletnia córka Anna, szwagier z żoną, jakieś zaprzyjaźnione z Profesorem małżeństwo i my dwie – Basia i Krysia. Oczywiście stanowiłyśmy we dwójkę zespół kocherowo-namietowy. Zdjęć z tego wyjazdu nie mam, ale mam kalendarzykowe notatki, z których mogę dokładnie odtworzyć przebieg wyjazdu.

Pierwszy obóz założyliśmy na Przysłupie i stamtąd odbyliśmy wycieczkę na Połoninę Caryńską. W tym czasie były już w Bieszczadach wypasy owiec, więc następnego dnia odwiedziliśmy szałas pasterski i kupiliśmy bundz. Odpoczywaliśmy.

6 sierpnia przenieśliśmy się do dol. Terebowca między Szerokim Wierchem a Bukowym Berdem i tam rozłożyliśmy się obozem na resztę pobytu. W dolinie oprócz nas nie było nikogo. To było cudowne, że obozowaliśmy sami. Zrozumiałam wtedy preferencje bieszczadzkie Profesora. Chodziliśmy na jagody, pichciliśmy posiłki już na juwłach (paliwem do nich była benzyna), a wieczorami siedzieliśmy przy płonącej wiatrce. Kompletny luz i relaks. Oczywiście wychodziliśmy z doliny wyżej, na Szeroki Wierch, Krzemień czy Bukowe Berdo, skąd były szersze widoki na okoliczne góry. Na koniec pobytu, całym ośmioosobowym składem odbyliśmy wycieczkę na Tarnicę i Halicz. W perspektywie czasu utkwił mi w pamięci pobyt w tym bieszczadzkim raju jako znacznie dłuższy, jednak zapiski dowodzą nieubłaganie, że wieczorem 10 sierpnia ruszyliśmy w drogę powrotną do Krakowa.

* * *

Ostatnia wycieczka w Bieszczady, o której chcę wspomnieć, to wycieczka zorganizowana przez Oddział Krakowski PTT w pierwszym, dynamicznym okresie działalności. Odbyła się późną jesienią, w dniach 11–13 listopada 1983 roku. Noclegi były zarezerwowane w domu wycieczkowym w Wetlinie, a w Bieszczady pojechaliśmy wynajętym autokarem. Dotarliśmy na miejsce o 22.30. Niestety, nie wypełniliśmy wszystkich miejsc, co zniechęciło nas na przyszłość do wynajmowania autobusu na takie dalekie wyjazdy. Ale i tak było nas kilkanaście osób. W nocy spadł śnieg. Nazajutrz podzieliliśmy się na dwie grupy. Pierwsza poszła na Krzemień, Tarnicę, Halicz; druga na Jasło. Na Jasło nie byłam, więc wybrałam tę drugą trasę. Było nas ze sześć osób, między nimi prezes Maciej Mischke. Depataliśmy po świeżo spadłym śniegu, a po zejściu ze szczytu zobaczyliśmy na drodze ślady jakichś wielkich łap. Czyżby „Ón” szedł przed nami? Poczuliśmy się dziwnie...

* * *

W czasie organizowanych przez Oddział PTT w Jarosławiu Dni Gór 2001 z rozmaitych powodów nie wybrałam się na wycieczkę w Bieszczady. Byłam zadowolona mogąc zobaczyć fragment Pogórza Przemyskiego, którego dotychczas nie miałam okazji poznać.

W BIESZCZADACH ZACHODNICH, CZYLI... NA DZIKIM ZACHODZIE

Andrzej Burghardt

Amerykański Dzikie Zachód znany przede wszystkim z legend i mitów jakie stworzyła, ukształtowała i utrwałała literatura popularna, prasa a tuż po nich film. Przypomnijmy krótko za Czesławem Michalskim (zob. „Western”, Warszawa 1969) jak do tego doszło. Już na początku XIX wieku pojawiają się dość liczne relacje z wypraw na Dzikie Zachód. Piszą je najczęściej wojskowi, geografowie, przyrodnicy, rzadziej zwykli pionierzy, osadnicy. Na tej podstawie James F. Cooper tworzy fikcyjne, romantyczne powieści w stylu „Ostatniego Mohikanina” czy „Tropiciela śladów”, w których sławi wyidealizowane, heroiczne walki białych z Indianami. Wkrótce po nim Francis Parkman wydaje swój „Szlak oregoński”, a w 10 lat później Henry W. Longfellow „Pieśń o Hajawacie”. Parkman, opisując w oparciu o własne przeżycia i wiedzę czerpaną z autopsji nieznane dotychczas tereny między Mississippim a Górami Skalistymi, przedstawia całą galerię portretów ludzi Dzikiego Zachodu: indiańskich wodzów, białych myśliwych, półdzikich traperów, nieustraszonych kupców i osadników. Longfellow kreśli sylwetkę i dzieje legendarnego Irokeza. Prozaikom wtórują poeci, między innymi Walt Whitman w „Żdźbłach traw”. Utwory te z dnia na dzień stają się bestsellerami. Pamiętnikarski i literacki obraz wkrótce uzupełnią broszury-powieściadła – wszystkie opowiadają o niesamowitych przygodach ludzi noszących autentyczne nazwiska bohaterów Dzikiego Zachodu. W tym czasie coraz częściej po Dzikim Zachodzie wędrują dziennikarze. To właśnie oni u schyłku wieku XIX będą pisać niezliczone relacje i konsekwentnie lansować legendę, którą czytelnicy przyjmą za prawdę historyczną. Kiedy temat podejmie rodzący się właśnie film, oprze się on już wyłącznie na tej legendzie. Będzie rozpowszechniać ją na tyle uparcie i sugestywnie, że autentyczne wydarzenia całkowicie zatracą się w mitycznym żywiole. I widz jeszcze mocniej niż czytelnik utwierdzi się w przekonaniu, że ma do czynienia z odwzorowywaniem określonej rzeczywistości historycznej. Nie szkodzi, że film, gatunkowo wykrystalizowany w końcu na western, opierając się na kilku zaledwie tematycznych wariantach i sytuacjach dramatycznych opowiada ciągle tę

samą bajkę i ukazuje te same, łatwe do rozpoznania czarno-białe postacie. Widz lubi umowność – zwalnia go ona od myślenia, a łatwość percepcji sprawia mu przyjemność. Prawda historyczna, prawdopodobieństwo sytuacji, obyczajowa wiarygodność nie liczą się. Ważny jest nieustraszony bohater, romantyczny nastrój, przejrzysta, akceptowalna przez wszystkich moralność. Zresztą – jak można nie fascynować się niebezpieczną wędrówką pionierów do wysnionej przez nich Arkadii, nie wzruszać się miłością szlachetnych rewolwerowców „z przeszłością” do upadłych kobiet-aniołów? Galopujący po prerii kowboje, pojedynki legendarnych rewolwerowców, bójkі w saloonach, krwawe epizody wojny secesyjnej, malownicze sceny z budowy pierwszej kolei żelaznej – wszystko to przykuwa uwagę widza, zapada w jego pamięć, kusi dowartościowującą go iluzją, rodzi w nim zapotrzebowanie, głód na kontynuację tematu.

Dzieje tego gatunku filmowego, od westernu egzotycznego, poprzez brązowniczy, aż do wręcz obrazoburczego „anty-westernu” i dalej, w kierunku ekologicznego, psychologicznego, kostiumowego, współczesnego (pisze o tym wyjątkowo interesująco Wojciech Wierzewski w artykule „Ameryka potrzebuje kowboja”, zob. Kino, R. XV, nr 179) są niezmiernie bogate i ciekawe. Tym ciekawsze, iż są swoistym papierkiem lakmusowym dla historii Stanów Zjednoczonych. Równie zajmujące jest też zjawisko szeroko zakrojonej recepcji i popularności westernu. W USA brała się ona z potrzeby emocjonowania się własną, krótką, ale heroiczną historią. Na świecie, w Europie – bo western utwierdzał w widzu oglądającym go pod każdą szerokością geograficzną przekonanie, że dobro winno zawsze zwyciężać, potwierdzał jego wrodzony szacunek dla odwagi, wierności, lojalności, zwłaszcza w przyjaźni. Bo – jak utrzymuje Michalski – *stał się pewnego rodzaju terapią dla świata coraz bardziej krępowanego bezdusznymi przepisami, coraz bardziej mechanicznego, pozbawionego przestrzeni i przygody; stał się namiastką indywidualnego przeżycia dla człowieka pozbawionego osobistego, ciekawego losu*. A swoją drogą warto nie zapominać, że tak zwany western stał się dla filmowców amerykańskich prawdziwą kopalnią złota, która ugruntowała znaczenie finansowe Hollywood.

Warto pamiętać, że zanim rozprzestrzenił się i spopularyzował filmowy mit Dzikiego Zachodu, znacznie wcześniej dotarł on do Europy w postaci problematyki indiańskiej i przybrał kształt odrealnionego, najczęściej wyidealizowanego obrazu literackiego. Zainteresowanie problematyką indiańską – jak podaje w „Słowniku literatury popularnej” (Wrocław 1997) Wojciech Kunicki – przyszło w ostatnim ćwierćwieczu XIX stulecia z kilku kierunków. Podnoszono ją w europejskiej prasie, rozpowszechniały przekłady książek Coopera, Nadsona, Mayne Reida oraz relacje wydarzeń związanych z kolonizacją kontynentu północnoamerykańskiego. Tę problematykę podejmą również pisarze polscy: Sygurd Wiśniewski, Maria J. Zaleska, Arkady Fiedler, Adam Bahdaj, Longin J. Okoń, Nora Szczepańska.

Potem przychodzi czas na kreowanie i recepcję filmowego mitu. Popularność westernu dotyka nie tylko widzów, ale także i filmowców. Zwłaszcza europejskich, którym – jak dowodzą dzieje westernu na naszym kontynencie – aż nazbyt



Przełom Sanu. Fot. G. Imianowski

często wydawało się, iż wystarczy uszyć odpowiednie kostiumy, zbudować drewniane miasteczko, postarać się o dobre konie i przenieść całość w „dzikozachodnie” plenery. Tak powstały okrutne, wyprane z moralności, wręcz sadystyczne włoskie „spaghetti-westerny” czy naiwne, staroświeckie, będące niezamierzoną parodią, eksploatujące do granic przyzwoitości twórczość Karola Maya westerny zachodnioniemieckie.

Projekcie zrealizowania westernu nie oparli się również polscy filmowcy. Stały bowiem za nią z jednej strony wiara w łatwy sukces, z drugiej krajobrazy południowo-wschodniej Polski oraz tragiczne dzieje tej ziemi. To tu właśnie, w Bieszczadach Zachodnich, to co dla opowieści kowbojskiej, indiańskiej i filmowego westernu było charakterystyczne, mogło realizować się najpełniej – opowiadania o hodowcach bydła zwanych kowbojami, o pionierach, osadnikach, oraz akcja w niczym nie ograniczonej przestrzeni, oczekującej dopiero na zaprowadzenie prawa, dającej możliwość potwierdzenia siebie przez walkę o przetrwanie i ład w otoczeniu wszelakich niebezpieczeństw, czyhającego zewsząd zła i dzikiej natury.

Zanim jednak powstały rodzime filmy o Dzikim Zachodzie, bieszczadzkie westernowe scenariusze pisało samo życie. Jest rok 1953. Z Opola w Bieszczady – o czym dowiadujemy się z artykułu Artura Baty „Traperka «po polsku»” (zob. „Podkarpacie” 1975, nr 18–19) – przybywa stary partyzant. Na uprzemysłowionym Śląsku on, rogata dusza, nie znajduje dla siebie miejsca. Ciągnie go do lasu, a tu, na południowo-wschodnim krańcu Polski, w Ustrzykach Dolnych, kończy się cywilizowany świat. Opuszczone, dzikie góry, będące obserwowalnym wcieleniem dobra i zła, stają się dla niego jego własnym Teksasem, Dzikim Zachodem. Chce zostać traperem. W okolicach Wołosatego znajduje konia, w bunkrze pod Chryszczatą – strzelbę. Buduje ziemiankę, poluje, wyprawia skóry i przygotowuje się do przetrwania zimy. Wydaje się, iż marzenia się spełniają. Szczęście trwa jednak tylko do chwili, gdy konia zjadają wilki, a sadybę burzy niedźwiedź. Pozostaje bezlitosna, twarda walka o przeżycie – praca w lesie przy wyrębie.

Rok 1957. W dolinie Sanu (Tworylne, Krywe, Hulskie) dwaj studenci weterynarii, Mariusz Merski i Henryk Wiktorini, wypasają na zlecenie PGR-ów liczące ok. 500 sztuk stado bydła. Są młodzi, chcą dobrze zarobić, korzystają więc z nadarzającej się okazji. Praca zaczyna się w maju. Muszą przywiezione koleją w Bieszczady zwierzęta przegonić około 60 km na miejsce wypasu, a potem pilnować je, poić trzy razy dziennie, zaganiać na noc do szop i zagród, przeliczać, chronić przed zagrożeniem, zwłaszcza wilkami. I tak do października. Mają dwa „służbowe” konie, stary namiot, surowicę przeciwwżmijową i karabin. Ich praca i życie w bieszczadzkiej głuszy, na odludziu, jest ciężka i niewiele ma wspólnego z książkami Maya i Baxtera. Ale dla przybyłych do nich dziennikarzy Adama Tenety i Jerzego Dyczka są „polskimi kowbojami” w „Kanonie Sanu” i stanowią wdzięczny temat na reportaż „Cowboje w Bieszczadach” (Przekrój, 1957, nr 659).

Sensacyjny tekst reportażu, okraszony barwnymi wypowiedziami bohaterów i malowniczymi zdjęciami uzbrojonych mężczyzn cwałujących na koniach na tle gór spowodowały, że do redakcji zaczęły napływać listy od zaciekawionych czytelników, z których każdy nieomal zapragnął być kowbojem. W jednym z nich

czytamy na przykład: *Pragnę zostać kowbojem w Bieszczadach, ponieważ od dawna o tym marzyłem. Wróciłem w tym roku z wojska i pracuję jako ślusarz, jednak praca moja nie daje mi zadowolenia. Mam kolegów o podobnych zainteresowaniach, którzy poszliby za moim przykładem.* Opublikowanie listów o takiej treści spowodowało lawinę nowych, podobnych. Odezwali się też kierownicy PGR-owskich gospodarstw. Wychodząc naprzeciw oczekiwaniom czytelników „Przekroju” wprowadzili oferowali pracę, ale jednocześnie wylewali na entuzjastów „cowboyskiej przygody” przysłowiowe wiadra zimnej wody. *Masowy wypas bydła – pisał inż. Andruszewicz z jednego z rzeszowskich PGR-ów – jest ciężką pracą, wymagającą praktycznej i teoretycznej znajomości tego, tak na pozór prostego zagadnienia. Wiedzą o tym ci, którzy każdy kilogram przyrostu bydła opasowego wypracowali wstawaniem o świcie, nocnymi pogoniami za zabłąkanym bydlęm, zaganianiem rozpierzchniętego stada, obłąkanego napaścią bąków czy wilków, mozołem codziennego przeliczania stada, leczeniem kulawizny i ślepoty setek sztuk wypasowych, trudem comiesięcznego ważenia każdego bydlęcia, walką z górską szarugą, skwarem i chłodem. (...) Nie gitara i wiatrówka, nie harmonia i strzelba, lecz bat pasterski i postronek stanowią istotne akcesoria bieszczadzkiego kowboja.* (zob. Przekrój, 1958, nr 667 i 672). Chęć przeżycia przygody, zarobienia pieniędzy tłumia jednak głosy rozsądku. Za pośrednictwem „Przekroju”, także w odpowiedzi na apel „Dokoła Świata” zjeżdżają się do „Wilczej Doliny” gromady młodych ludzi, by wypasać krowy należące do PGR-ów, do Centralnego Zarządu Handlu Mięsem. Niedoświadczonym pastuchom, którzy napływali w Bieszczady szeroką strugą z żądaniami ziemi, koni, bydła, omamionym reportażem, własnymi wyobrażeniami i marzeniami, rzeczywiście trudno było podołać licznym obowiązkom, tym trudniej, że dookoła królowała zupełna pustka i wtórnie pierwotniejąca roślinność. Najszybciej przekonali się o tym Wiktorini i Merski. Odcięci od ludzi, dróg, środków komunikacji, sklepów, egzystujący na granicy przetrwania, wytrzymali tylko rok. To jednak wystarczyło, by ich dzieje posłużyły za zrab filmowego i literackiego mitu o bieszczadzkim Dzikim Zachodzie. Odwiedzającemu ich filmowcowi, Wadimowi Berestowskiemu, bardzo szybko zamarzy się w bieszczadzkich plenerach *pełnometrażowy film sensacyjno-cowboyski z pięknymi końmi, fascynującą akcją, gonieniem uciekającej bandy przemytników* (zob. Przekrój, 1957, nr 659). Na podstawie scenariusza napisanego wspólnie z Józefem Henem nakręci go jako „pierwszy polski western” pod sugestywnym tytułem *Rancho Texas* już w 1959 roku. *Zresztą nie bez pomocy pierwszych polskich „cowboys” rozstawionych przez „Przekrój”, którzy pomogli przy tworzeniu scenografii, byli konsultantami reżysera i statystami, a Wiktorini dublował nawet jednego z aktorów, Bogusza Bilewskiego* (o bieszczadzkich westernach piszę wyczerpująco w szkicu „Bieszczady w filmie fabularnym” w Wiercach 1998, R.64). *Rancho Texas* – jak przystało na prawdziwy film o Dzikim Zachodzie – czerpie pełną garścią z gatunkowego dorobku westernu. Reżyser sięga po jego klasyczne atrybuty: czarno-białe charaktery bohaterów, konne gonitwy i ucieczki, strzelaniny, pojedynki, korral, rancho, saloon, szeryfa, a scenerią rozgrywających się wydarzeń czyni malownicze, rozległe bieszczadzkie pastwiska, rwące strumie-

nie, górzyste wąwozy. Film okazał się jednak naiwną, quasi-kowbojską bajeczką – historia dwóch studentów zootechniki szukających w górach przy wypasie bydła niecodziennych wrażeń, ich miłosne perypetie i walka z bandą przemytników są sztuczne i pretensjonalne. *Rancho Texas* razi fałszem. Jedyne co mu można policzyć na plus to to, że będąc nośnikiem bieszczadzkiego mitu Dzikiego Zachodu, odkrył Bieszczady Zachodnie dla polskiego filmu przygodowego.

Robinsonada Merskiego i Wiktoriniego w dolinie Sanu posłużyła również Wilhelmowi Machowi do stworzenia górskiego wątku dwóch bohaterów, Olgierda i Borysa, oraz obrazu Doliny w eksperymentalnej powieści „Góry nad czarnym morzem”. Zbieżne są bowiem w obu przypadkach fakty porzucenia przez jednego z chłopców studiów, ich trapersko-pasterski styl życia, niezbyt udane próby założenia stacji turystycznej (szerzej piszę o tym w szkicu „Bieszczady w «Górach nad czarnym morzem»”, zob. „Góry. Literatura. Kultura”, Wrocław 2001, t. IV). Machowi jako reportażysta wprowadził już w roku 1955 baraki na bieszczadzkim pustkowiu *przypominały w swym prymitywnym romantyzmie pionierskie osady Dzikiego Zachodu*, tu jednak, konfrontując słowami Olgierda i Borysa wyobrażony i zmitologizowany pobyt w dolinie z realiami pobytu rzeczywistego, demystyfikuje, nieliczne zresztą, motywy westernowe. Jak choćby ten związany z indiańskim braterstwem krwi. Chłopcy, na wieść że nie są rodzonymi braćmi nie tylko uciekają w góry, ale również odgrywają quasi-indiański rytuał, który z perspektywy czasu jawi się jako zwykła fanfaronada. Borys powie: *Uciekaliśmy więc – i zaraz pierwszego wieczoru przy ognisku – niech się pan teraz nie śmieje – wykonaliśmy cały obrzęd, wyczytany w dzieciennych książkach o Indianach, przyrzekaliśmy sobie braterstwo, i że się nie rozłączymy ani w dobrej, ani w złej doli, nie obeszło się nawet, zupełnie jak u Indian – ale dwa lata temu, niech pan uwzględni!, byliśmy bardzo młodzi – nie obeszło się nawet bez przypieczętowania sprawy krwią utoczoną z naszych prawie fińskim nożykiem... Teraz chce mi się z tego śmiać, lecz jak pan widzi, wywiązujemy się mimo wszystko z danego sobie słowa.*

Jak wynika z powyższego, legenda o polskich kowbojach oraz bieszczadzkim Dzikim Zachodzie, której początek dali Merski i Wiktorini, tworzona była przez i na użytek dziennikarzy, filmowców, literatów. Ten stan rzeczy miał się jeszcze dosyć długo utrzymać. I to właśnie ta legenda stworzyła modę na Bieszczady i przeświadczenie, że są one europejskim odpowiednikiem amerykańskiego Dzikiego Zachodu, a także – jak napisze potem w „Reminiscencjach” Adolf Jakubowicz (zob. „Pionierzy. Pamiętniki osadników bieszczadzkich”, Rzeszów 1975) – *przysporzyła górcom tyleż popularności co i kłopotów. Widywałem – wspomni dalej Jakubowicz – chłopców taszczących na plecach autentyczne siodła, na widok których drżały pegeerowskie chabety. Pojawiali się masowo młodzi pionierzy z kapeluszem, czerwoną chustką na szyi, sztyletem zatknętym za pasem. Część z nich manifestowała swą kowbojską naturę w knajpkach, część, to byli sympatyczni młodzi chłopcy, którzy zatęsknili za przygodą w majowe lub czerwcowe dni, gdy tyle nauki czekało w szkole. Zaprzeszono nawet nadawać komunikaty o zaginionych, by nie pogłębiać tej epidemii. W chwili, gdy skończyły się pieniądze zabrane z domu, nienawykli do fizycznej pracy dostawali od życia ciężkie ciągi. Za-*

rabiali na kawałek chleba i bilet powrotny do Łodzi, Wrocławia, a nawet Szczecina. Mniej odporni załamywali się, zgłaszali na Milicję, by pomogła im załatwić powrót do mamy.

Niestety legenda ta najgorzej służyła sprawie dla Bieszczadów najważniejszej, czyli osadnictwu. Z jednej strony wabiła, dodatkowo zachęcanych ofertami kredytowymi Banku Rolnego, różnego autoramentu nieodpowiedzialnych młokosów i „niebieskich ptaków”, z drugiej odstraszała ludzi trzeźwo i pragmatycznie myślących, takich jakich Bieszczadom najbardziej było potrzeba. *Autentyczni rolnicy z nieufnością patrzyli na „Rancha z Wilczej Doliny” i związane z nimi maskarady. Nie chcieli mieć z tym nic wspólnego. Oni przyjechali kupić ziemię, by gospodarzyć. Nie znali się na ujeżdżaniu koni, w ich gospodarstwach było nie do pomyślenia, by po sezonie wypasowym nie doliczyć się nagle kilku sztuk bydła. Mówili mi wtedy (Jakubowiczowi, to jego słowa cytuję nadal) ze złością i rozdrażnieniem: Dlaczego dopuszcza się młokosów nie mających pojęcia o gospodarowaniu do marnotrawienia państwowych pieniędzy, do niszczenia bydła? Dlaczego na okładkach pism pokazuje się takich cudaków i poprzez nich mówi się o Bieszczadach. Przecież to nieprawda! Kto zechce przyjechać, jeśli tu taki Meksyk?*

Gwoli sprawiedliwości należy dodać, że nie wszyscy dziennikarze i literaci eksploatowali temat bieszczadzkiego Dzikiego Zachodu tylko pod kątem sensacyjności i barwnego mitu. Na przykład Andrzej Jarosławski już w 1959 roku, pisząc o Bieszczadach (zob. *Odgłosy*, nr 31), koncentrował się wbrew tytułowi swego artykułu „Polski Teksas” przede wszystkim na rzeczywistych problemach tego regionu, a więc na tragicznych śladach przeszłości, braku dróg, zaopatrzenia, kobiet oraz na opisywaniu pracy juhasów podhalańskich, junaków z hufców ZMS, robotników leśnych, drogowych. Wyraźnie, akcentując różnicę między historią Bieszczadów i dziejami amerykańskiego Zachodu, podkreślał, że mamy do czynienia z odrębnym, polskim, narodowym Teksasem, gdzie nie ma milionerów i nieograniczonych możliwości. Takich dziennikarzy było jednak stosunkowo niewielu, ale i w tym przypadku czytelnicza recepcja ich artykułów zatrzymywała się najczęściej jedynie na poziomie treści o charakterze sensacyjnym, w sprzeczności z intencjami autorów, w zgodzie natomiast z własnymi potrzebami, tęsknotami i wyobrażeniami. Tym bardziej, że temu o czym pisali przeczył nieraz „realistyczny”, bardzo sugestywny, łatwiejszy przecież w odbiorze przekaz ikonograficzny – choćby krótkometrażowy film „Bieszczady” (1959) ukazujący migawki z bieszczadzkich wypasów bydła w westernowej konwencji, czy zdjęcia w albumie „W dolinie Sanu” (Warszawa 1959), opatrzone przewrotnym komentarzem: *Stada krów i owiec, kowboje na koniach i wąskie kaniony rzeki. Nie, to nie Dzikie Zachód. To Bieszczady.*

Właśnie do tych potrzeb, tęsknot i wyobrażeń odwoływali się kolejni dziennikarze, literaci, filmowcy. Traktując bieszczadzki mit Dzikiego Zachodu jako rezerwuariat tematów, eksploatując go, zapewniali mu jednocześnie trwanie, a nawet rozwój. Bo eksploatacja tego mitu zaczęła ewoluować i szła teraz w kilku wyraźnie zarysowanych kierunkach. Najwyraźniejszy i najważniejszy był kierunek filmowy. Rzecz charakterystyczna, zrezygnowano z dającej niewielkie możliwości

„kanwy pasterskiej” i źródeł inspiracji zaczęto szukać w bogatych dziejach tragicznego polsko-ukraińskiego konfliktu. Powstają bieszczadzkie westerny quasi-histeryczne: „Wilcze echa” (1968) i „Wszyscy i nikt” (1977), które prócz dostarczenia rozrywki są – co dziś jest oczywiste – w jakimś stopniu filmami rozrachunkowo-propagandowymi – m.in. uzasadniają konieczność przeprowadzenia akcji „Wisła” oraz kreują świetlany obraz władzy ludowej i negatywne stereotypy Ukraińca i partyzanta polskiego podziemia (piszę o nich wyczerpująco w Wierchach R. 64, stamtąd też czerpię i przytaczam wszelkie informacje na ten temat). Chęć zrobienia pierwszego z nich tak motywował reżyser, Aleksander Ścibor-Rylski: *Chcemy stworzyć jakiś polski odpowiednik westernu – z dynamiczną akcją, brawurowymi przygodami, strzelaniną, galopadami końskimi i to wszystko na tle surowego bieszczadzkiego krajobrazu. I dalej: Przyjmując w warstwie fabularnej poetykę klasycznego filmu cowboyskiego, będę równocześnie próbował w „Wilczych echach” położyć nacisk na polskość drelichową, juchtową, parcianą, słowem na tak zwane realia. Tyle plany i zamiary... A jak się udało je zrealizować? Za kanwę fabularną posłużyła historia, na którą natrafiono podobno w protokołach któregoś z bieszczadzkich posterunków MO. Jest rok 1948. Właśnie niedawno zakończono akcję „Wisła”. Bieszczady są wyludnione. Gdzieś w lasach ukryta jest kasa rozbitej sotni Tryzuba. Chcąc ją zdobyć, banda Moronia napada na posterunek MO w Derenicy i po opanowaniu go działa jako rzekoma milicja. Demaskuje ją i unieszkodliwia, a „skarb” zwraca społeczeństwu samotny, nieustraszony, prawy acz niesubordynowany chorąży Słotwina. Ścibor-Rylski, wbrew zapowiedziom, nie dochował jednak wierności – w końcu wyjątkowym i niepowtarzalnym! – realiom. Ograniczył je jedynie do zewnętrznego sztafażu, co doprowadziło między innymi do wyizolowania świata przedstawionego i dramaturgicznych absurdów, rozbudował natomiast sensacyjną intrygę i pomnożył westernowe atrybuty. To zadecydowało o słabości „Wilczych ech”, które miały być dobrze zrealizowanym filmem czy to przygodowym, czy sensacyjno-kryminalnym, czy będącym choćby tylko imitacją lub parodią westernu, stały się najbliższe filmowemu komiksowi. Owszem, przeciętnego, przede wszystkim nastoletniego widza mogły zachwycać i z pewnością zachwycały konne galopady, bójki, strzelaniny, stylizowane na westernowe ujęcia bieszczadzkie pejzaży, melodyjna ballada, końcowa scena z bohaterem na koniu i jasnowłosą dziewczyną, wszystko rodem z hollywoodzkiej fabryki snów, jednak szansę na powstanie dzieła wybitnego czy choćby tylko oryginalnego zaprzepaszczono. Niemniej film stał się popularny, trafił bowiem w oczekiwania publiczności. Tym samym wyjątkowo dobrze spełniał rolę ambasadora „zachodniodzikiego” mitu bieszczadzkiego, który pod jego wpływem ciągle rósł i potężniał.*

Kolejnym doświadczeniem z transplantom na rodzimy grunt bieszczadzki amerykańskiego westernu był film Konrada Nałęcza „Wszyscy i nikt”. Powstał w oparciu o scenariusz Janusza Przymanowskiego „Siedmiu zwyczajnych”, który był z kolei wypadkową książki tegoż autora, epickiego obrazu Akiry Kurosawy „Siedmiu samurajów” oraz imitującego go westernu Johna Sturgesa „Siedmiu wspaniałych”. Zarówno scenarzysta jak i reżyser, osadzając fabułę w tuż powojennych bieszczadzkich realiach, wiernie przejęli znakomicie organizujący filmo-

we wydarzenia schemat pierwowzorów: mała miejscowość, groźna banda, zastrzeleni mieszkańcy, kierujący się różnymi motywacjami ich zawodowi obrońcy, ładna dziewczyna, bezradny stróż prawa, piękne krajobrazy, konie. W filmie wygląda to tak. Jest wiosna 1946 roku. Sześciu zdemobilizowanych żołnierzy wraca do dywizji, by zdać mundury i broń. W drodze psuje się im samochód, zatrzymują się więc u kowala w pierwszym mijanym miasteczku. Jest podejrzenie cicho i pusto. Z ust garbatego Gliny, patrolującego z „Mauserem” ulice, dowiadują się, że okolice terroryzuje banda Haka, który tego wieczoru ma przyjść na wesele swego dawnego kolegi, Brzozy. Obaj kiedyś kochali Marynę, dziś pannę młodą, i niewykluczone, iż podпиты Hak, rozeźlony szczęściem rywala, będzie próbował się mścić. Żołnierzy nie interesuje los mieszkańców miasteczka, wszak ich wojna już się skończyła, snują pełne nadziei plany na przyszłość i nie chcą umierać. Stopniowo jednak przełamują w sobie egoizm i dołączają do Gliny. Na weselu dochodzi do krwawej konfrontacji, którą wygrywają, rzecz jasna, „zwyczajni”. Wcześniej jednak ma miejsce „pokojowa” konfrontacja ideologiczna, taka jak w dramacie *Wesele* Stanisława Wyspiańskiego czy opowiadaniu „Na wsi wesele” Marii Dąbrowskiej, gdzie ścierają się odmienne racje bohaterów. W klasycznym westernie, który z natury ma służyć rozrywce i opiera się w znacznym stopniu na umowności, nawet w „westernie made in Poland”, do roli jakiego pretendował obraz Nałęcz, nie może być jednak miejsca na takie elementy, które będą rozsądzać jego gatunkową formułę – na polityczne polemiki, roztrząsanie dylematów moralnych, gorzką historyczną refleksję, tragicznie pogmatwaną historię. Dlatego też „Wszyscy i nikt” podzielił los poprzednich bieszczadzskich westernów...

Wprawdzie filmowcy – jak zostało to już wcześniej napisane – bieszczadzką „kanwę pasterską” jako ubogą i skażoną infantylnością odrzucili, nie znaczy to jednak wcale, że zaniechano zupełnie sięgania po to źródło inspiracji. Motywy i wątki, które mogły zagrozić infantyлизmem dziełom ambitniejszych i kierowanych przede wszystkim do odbiorcy dorosłego, znalazły swe miejsce po prostu w innego rodzaju twórczości – przeznaczonej dla dzieci i młodzieży. Najlepszym przykładem może być tutaj „Szeryf z Malinowego Wzgórza” (Olsztyn 1977) Mirosława Malcharka. Powieść ta jest literacką próbą kompleksowego ukazania jednego z bieszczadzskich wypasów, takiego o jakich rozpisywała się wcześniej prasa i opowiadał film „Rancho Texas”. Aby jednak mdły opis „wakacji w siodle” uczynić barwniejszym, sensacyjniejszym, a przy tym nie zatracić nic ze sytuacyjnej wiarygodności, Malcharek, oprócz tego że zdobywa się na żartobliwy ton narracji, sięga pełną garścią do całego wachlarza innych bieszczadzskich realiów – wtajemnicza w świat flory, fauny i minerałów, wprowadza kryminalny wątek „bydłokradów” i przemytników oraz, na zasadzie retrospekcji, historyczny, związany z działalnością sotni Hrynia. W efekcie młody czytelnik otrzymuje książkę, którą, po pierwsze, czyta się z przyjemnością, po drugie, która niesie spory ładunek wartości poznawczych. Nieco inny charakter ma komiks z tekstem Wandy Chotomskiej i Wacława Bisko oraz rysunkami Waldemara Świerzego „Bieszczadzkie życie” (Warszawa 1969). Jego bohaterem jest chłopiec, który zapatrzony w swego wujka Piotra, „bieszczadzkiego kowboja”, chce za wszelką cenę wy-

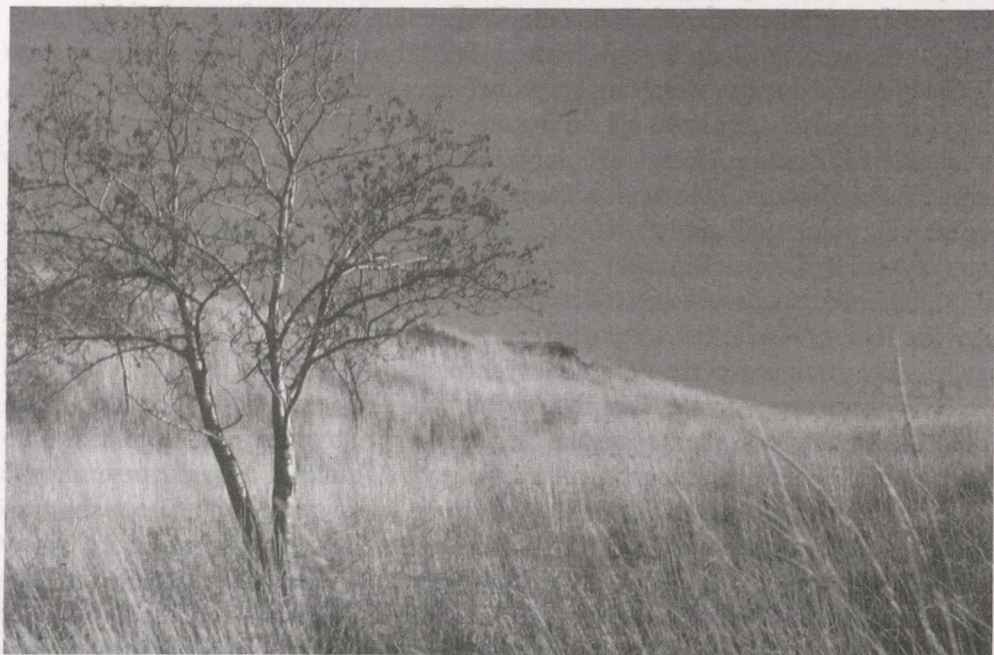
rosnąć na takiego mężczyznę jak on. Nic dziwnego, bo *Nikt tak konia nie dosiada,/ i nikt tak nie imponuje...* Cena wbrew pozorom nie jest wygórowana. Wujek bowiem, wykreowany na wzór godny do naśladowania, stoi nad siostrzeńcem jak Anioł Stróż i pilnuje jedynie, by ten zdrowo i prawidłowo dorastał – zachęca go do przestrzegania zasad higieny, dobrego odżywiania się, ćwiczeń fizycznych i umysłowych, bezpiecznego poruszania się po jezdni, prawidłowego siedzenia w ławce szkolnej, pomagania rodzicom. Są to warunki konieczne i niezbędne, aby wieść w przyszłości „niekiepskie” bieszczadzkie życie, takie jakie wiecie kowboj-Piotr: *Wart jest wujek Piotr ballady,/ bowiem ma pomysły lebskie./ Kto w wujaszka pójdzie ślady,/ życie będzie miał niekiepskie.* Utwór Chotomskiej i Bisko, oparty na prostym pomysle, będący znakomitym połączeniem komiksowej sztuki z wiedzą na temat dziecięcej psychiki, napisany błyskotliwym językiem stanowi sztandarowy przykład dydaktycznej twórczości dziecięcej. Jednocześnie staje się wzorcowym przykładem wprzęgnięcia bieszczadzkiego mitu Dzikiego Zachodu w niełatwe dzieło wychowywania. Trzeba od razu dodać, iż „Bieszczadzkie życie” nie jest wcale w tym zakresie jakimś wyjątkiem. Na tak sfunkcjonalizowany mit natrafić możemy również w utworze dla młodzieży Marii Ziółkowskiej „Busola serca” (Warszawa 1984). Powieściowe wydarzenia rozgrywają się w latach siedemdziesiątych, oczywiście w Bieszczadach. Osiemnastoletnia Natalia, sierota, chce dostać posadę kierowniczką w przedszkolu. Innego zdania jest jednak Prezydium Powiatowej Rady Narodowej, które swoją odnowę uzasadnia brakiem odpowiedniego wykształcenia petentki. Dziewczyna jest ogromnie rozgoryczona i zawiedziona. Z pracą łączyła nadzieje na lepszą przyszłość, tym większe, że pochodzi z biednej rodziny osadniczej, mieszka kątem u bratowej, a życie w Bieszczadach jest trudne i nie oferuje zbyt wielu możliwości. Zachęcana perspektywą wygodnego i dostatniego życia w Stanach Zjednoczonych przez zamieszkałego tam wujka, pomimo rozlicznych wahań i rozterek decyduje się na wyjazd. Jednak również i w „kraju szczęśliwości”, w którym – jak się szybko przekonuje – rządzi kult pieniądza, w obliczu pogoni za zyskiem i podmiotowego traktowania pracowników doznaje niemałych rozczarowań. Coraz mocniej tęskni za przyjaciółmi, za ukochanym chłopakiem, Łukaszem i bieszczadzkimi krajobrazami, które w jej pamięci ożywają zawsze wtedy, gdy otrzymuje z rodzinnej wsi list lub ogląda w amerykańskiej telewizji kowbojski film. Coraz częściej też wspomina brata Pawła, który zakładając bieszczadzkie gospodarstwo, zawsze czuł się kowbojem, a słysząc jej narzekania na siermiężną bieszczadzko-polską rzeczywistość, zwykł najczęściej mawiać: *Nie potrzebuję wyjeżdżać z Polski. Ja sobie tu wypracuję dobrobyt. Bieszczady stoją otworem. Zbuduję takie rancho, że niech się Ponderosa schowa.* Targana nostalgią uświadamia sobie w końcu własną niezdolność do życia na obczyźnie i, nie dając się skusić małżeństwem z bogatym, starszym mężczyzną, wraca. Ziółkowska w „Busoli serca” dokonuje z pozoru obiektywnej konfrontacji dwóch modeli bytowania, polskiego i amerykańskiego, w rzeczywistości jednak tak dobiera i zestawia motywy literackie i wątki, wśród nich właśnie kowbojski, tak rozkłada akcenty, tak operuje schematami niemal wyłącznie potocznego myślenia, by dydaktyczne tezy o wyższości życia we własnym, choćby niebogatym

kraju, nad życiem na obczyźnie, o konieczności przywiązania do własnej ojczyzny były jasne, czytelne i w dodatku atrakcyjne. Są to zabiegi w pełni zrozumiałe, jeśli weźmiemy pod uwagę czas, w jakim powieść się ukazała: połowa lat osiemdziesiątych w Polsce, to wprawdzie okres budzącej nadzieję walki demokratycznej opozycji, z wolna upadającymi rządami komunistów, ale także okres załamania gospodarczego i postępującego za nim zjawiska emigracji politycznej oraz zarobkowej. A Bieszczady były tym regionem, gdzie zaczynało być najgorzej. Potrzeba głoszenia i propagowania hasel patriotycznych stawiała się więc potrzebą nadrzędną, bez względu na opcję polityczną.

Począwszy od końca lat sześćdziesiątych w zakresie ewolucji bieszczadzkiego mitu o Dzikim Zachodzie obserwowalne staje się nowe zjawisko. Amatorów „kowbojenia” stale ubywa, wykruszają się ci, którzy prowadzą wypasy bydła w Bieszczadach, coraz rzadziej też pisze o tych sprawach prasa. Wprawdzie czasami trafiają się jeszcze artykuły podejmujące ów temat, jak choćby ten Edmunda Gajewskiego zatytułowany „Bydłokraci kontra kowboje” (Nowiny nr 274 [11362]), jednak nie wnoszą one już nic nowego – to samo ujęcie problematyki, ta sama frazeologia, jedynie w miejsce nazw różnych PGR-ów pojawia się z czasem nowa nazwa „Igloopol”. Za to coraz częściej przeczytać można reportaże lub „ballady” o bieszczadnikach-twardzielach, którzy, odchorowawszy różne bieszczadzkie „epidemie”, zdecydowali się mimo wszystko na pozostanie w tych górach na stałe. W przeciwieństwie do wielu innych osadników szybko stają się znani i sławni. Nadal bowiem prowadzą barwny „dzikozachodni” tryb życia, co nieodmiennie budzi ciekawość, zainteresowanie i podziw, a prasa skutecznie owija to wszystko, dzięki odpowiedniemu, powtarzającemu się stale słownictwu i charakterystycznym zdjęciom, w mitotwórczy kokon. Do grona tych „twardzieli” należy, oczywiście, otoczony legendą Henryk Wiktorini, który założył gospodarstwo w Sokolem i prowadzi, w zależności od twórczej weny autorów artykułów o nim, życie to Robinsona, to kowboja, to trapera (więcej o bieszczadnikach – zob. Pamiętnik PTT, Kraków 1995, t. IV). Inny znany w owym czasie bieszczadzki kowboj to Lutek Pińczuk, kierownik schroniska na Połoninie Wetlińskiej. Justyna Woś, w szkicu z roku 1969 zatytułowanym „Western z życia” (Widnokrąg nr 3), pisze na przykład o tym, jak Pińczuka paradyującego po połoninie w kowbojskim stroju na słynnym koniu „Karo” odwiedzały zainteresowane jego życiem całe rzesze turystów. Rzeczywiście, był tak popularny, że Jerzy Michotek śpiewał o nim i o jego wierzchowcu jeden z najgłośniejszych przebojów połowy lat 60. Nie mniej znany był również Andrzej Wasilewski-Połonina, który nie tylko, że na co dzień nosił się „z kowbojską”, ale „głośno” marzył o tym, by zaprząć swego siwka do traperskiego wozu i z grupą przyjaciół Galicyja Western Company przemierzać bieszczadzkie szlaki. Marzeń zrealizować się nie udało, ale pozostało o nich mitotwórcze wspomnienie (zob. E. Gajewski „Niezniszczalne jak wiatr”, Nowiny 1981, nr 91). Legenda o bieszczadzkich kowbojach rosła więc i potężniała, zwłaszcza od czasu, gdy Pińczuka cwałującego na Karo uchwyciło oko kamery Polskiej Kroniki Filmowej, a Wasilewskiego, przemierzającego konno Połoninę Wetlińską, obiektyw Tadeusza Budzińskiego (zob. „Bieszczady”, Warszawa 1985). Byli

zresztą jeszcze i inni znani bieszczadnicy, choćby Ryszard Krzeszewski (Prezes), Artur Pustelnik czy Jerzy Świtalski (Jurek 2000), którzy imię bieszczadzkiego kowboja sławili nie tylko w górach, ale, podobnie jak wspomniani Pińczuk i Wasilewski, podczas konnych włóczęg po Polsce, a nawet za granicą. Jednemu z nich, Leszkowi „Harleyowi” Mnichowi, który siedział w jednej ławce z Bolkiem Wiktorinim, bratem Henryka oraz Jędrzejem Merskim, bratem Mariusza, i wraz z nimi poznawał m.in. na rancho w Sokolem bieszczadzkie realia Dzikiego Zachodu, udało się bowiem, tyle że już w latach dziewięćdziesiątych, skonfrontować rodzi-my mit z amerykańską rzeczywistością. Podczas dwuletniego pobytu w Stanach Zjednoczonych Mnich utrzymywał się z pracy swoich rąk, bo tylko dzięki temu mógł ten kraj zwiedzać. Wykorzystywał, oczywiście, doświadczenia bieszczadzkie – był kolejno *farmerem w Kalifornii, kowbojem w Kolorado, traperem w Wyoming, myśliwym w Wisconsin*. W Ameryce tak dalece czuł się jednak bieszczadnikiem, że nawet *rubieże Południowej Dakoty traktował jak przedłużenie Bieszczadów!!!* (zob. St. Siwak: „Harley Davidson – ziszczone marzenia Mnicha”, Nowiny 1998, nr 21).

Po roku 1989 bieszczadzki mit Dzikiego Zachodu nabiera wyjątkowych barw i intensywności, a to ze względu na fakt, iż zaczyna się go wykorzystywać na coraz szerszą skalę do promowania turystyki w regionie. Formy promocji są różne – od informacji czasopiśmienniczych i przewodnikowych, poprzez imprezy rekreacyjne i towarzyskie, po kulturowe przegony bydła. I tak w „Zwierzakach”, miesięczniku dla dzieci z września 1994 roku w artykule zatytułowanym *Górskie koniki* można przeczytać pod jednym z fotogramów, że: *Samotny jeździec na biesz-*



Bieszczadzka połonina. Fot. W. Paul

czadzkiej poloninie przypomina kowboja z westernu. Z kolei z przewodnika „Bieszczady” Marka Motaka (Bielsko-Biała 1997) turysta dowie się: *Jeśli chciałbyś odwiedzić Dzikie Zachód, a jakoś Ci się nie układa wyjazd do Arizony, nie musisz już tego robić, skoro właśnie wjeżdżasz do Ustrzyk Górnych. Bo: W Ustrzykach atmosfera jak na Dzikim Zachodzie: środkiem szosy galopują jeźdźcy, pełno landroverów i dżipów. W knajpie przy piwie masz szansę spotkać węglarzy, bieszczadników oraz wszelkiej maści outsiderów. Jak to na pograniczu. Ową „pograniczność” Bieszczadów mają także uwiarygadniać odpowiednio dobrane pod względem graficznym okładki przewodnika – jeźdźcy na koniach na szczytach gór. Od słowa pisanego ciekawsze i sugestywniejsze są jednak zawsze – o czym doskonale wiedzą specjaliści od reklamy – różnego rodzaju działania happeningowe, parafilmowe i parateatralne. Często pojawiającym się w amerykańskich westernach motywem filmowym jest bandycki napad na pociąg. Wykorzystano go na przykład, wzbogacając tym samym i poszerzając dotychczasową strukturę bieszczadzkiego mitu Dzikiego Zachodu, w kampanii promocyjnej reaktywowanej w końcu lipca 1999 roku wąskotorowej kolejki bieszczadzkiej. Podczas „chrzcin” dwóch nowych parowozików, „Jasia” i „Małgosi”, gdy turyści udali się w podróż po bieszczadzkim Dzikim Zachodzie z Majdanu do Przysłupia, do pociągu wskoczył podejrzanie wglądający mężczyzna. Ubrany jak James Coburn w westernie „Garść dynamitu”. Kapelusz nasunięty na oczy, sfatygowany, czarny trenecz do samej ziemi. Nie spuszczał z oka starej walizy. Zachował stalowe nerwy, gdy w pobliżu pojawiła się grupa jeźdźców. Ostrzelała wagony i zniknęła z pola widzenia. Pojawiła się znowu na przystanku Przysłupie – Oberża... A potem... Potem miał miejsce klasyczny „napad” (zob. Nowiny 1999, nr 147). Taki, jak rok wcześniej, kiedy kowboje na koniach „porwali” z tej samej ciuchci na postoju w Balnicy Jerzego Janickiego, znanego scenarzystę i pisarza. Janicki, szukając w Bieszczadach jako lwowiak klimatu Kresów Wschodnich, zamieszkał przed kilku laty w Chmielu, a w sierpniu 1998 roku obchodził siedemdziesiąte urodziny. Zaprosił mnóstwo przyjaciół, w większości znanych i wybitnych Polaków, imprezę należało więc w jakiś szczególny sposób uświetnić (zob. J. Woś: „Urodziny w Chmielu”, Nowiny 1998, nr 158). Obecnością „kowbojów” (i zakapiorów) uświetniano też i inne bieszczadzkie uroczystości, jak choćby mającą miejsce u stóp Połoniny Wetlińskiej, na campingu Górna Wetlinka – promocję albumu „Bieszczady” Tadeusza Budzińskiego, wydanego przez olszanieckie wydawnictwo „Bosz” (zob. M. Struś: „Sabat zakapiorów bieszczadzkich”, Nowiny 1999, nr 122). Nikt jednak tak ciekawie i udanie nie promował Bieszczadów przez pryzmat mitu o Dzikim Zachodzie, jak czynił to Roman Mazur, kierownik schroniska „Podkowiata” w Komańczy, znany powszechnie jako „Beton”. To on, jako szef Bieszczadzkiej Agencji Wypoczynku Dzieci i Młodzieży, wpadł na niecodzienny w końcu pomysł, by na jeden z Międzynarodowych Salonów Turystycznych w Poznaniu zająć Transbeskidzką Koleją Podkowiata, dziwnym wehikułem będącym skrzyżowaniem pociągu z tramwajem. Z owej „Strzały Południa” wysiedli niczym wyjęci z westernu kowboje i na swoim ranchu-stoisku, które utworzyły: chyża, duży panoramiczny obraz sławiący bieszczadzki Dzikie Zachód, dyliżans („bieszczadzki*

Słowiański Piknik czyli

PODKOWIATA MA DWA LATA

22 maja 1993
KOMANČA

ZAPRASZAMY WSZYSTKICH NA URODZINY
PODKOWIATY DO SCHRONISKA W KOMANČY
BUFETY CZUJNE CAŁĄ DOBĘ!

godz. 14⁰⁰ OTWARCIE DARMOWEJ BECZKI PIWA
DLA WSZYSTKICH GOŚCI URODZINOWYCH !!
DLA SILNYCH MĘCZYZN - TURNIEJ ŁAMANIA RĘKI
oraz TURNIEJ PALICZNY

DLA DELIKATNYCH KOBIET - MOCNE WRAŻENIA
DLA DZIECI RULETKA BESKIDZKA I JAZDA DYLIŻANSEM

godz. 19⁰⁰ KONCERT ZESPOŁÓW **DRINK BAR** z TORUNIA
oraz **LONG ROAD** z PŁOCKA
od godz. 22⁰⁰ do rana gra zespół **EVERTON**
i bawimy się w stylu *Słowiańskie Country*
WSTĘP WOLNY

Wszystkich dodatkowych informacji możecie uzyskać w schronisku "PODKOWIATA" w Komančy tel.13
Dziękujemy Pani dyrektor Działu Kultury w Lesku EWIE DĄŁ, ZYPSKOWI HABRATOWI
DZIŁI I WIELE PRZYACIÓŁOM ZA POMOC W PRZYGOTOWANIU IMPREZY.

CZARNA LISTA



Henryk Winiarski
Lena Pienas
Jerzy Gważyński
Grażyna Hosińska
Jacek Polak
Brygida Perena
Władysław Krowczyński
Leszek Mielicki
Jacek Zia

Za głowę każdego z nich daję
pełną workę "Złota Bieszczad"

WYSTAWA FOTOGRAFII
ZŁOTA BIESZCZAD

kołotoczek”) oraz stylizowane palenisko, opowiadali o atrakcyjności promowanego przez siebie regionu. Przedstawili również propozycję nowej, „pionierskiej” formy przemierzania Bieszczadów – „Wakacje z taborom”. Miały to być 17-dniowe wyprawy specjalnymi wozami ciągniętymi przez konie, połączone ze zwiedzaniem najpiękniejszych miejsc. Sam „Beton” tak objaśniał ich charakter i znaczenie: *Z jednej strony ma to być oryginalna, inna od dotychczas proponowanych forma spędzenia wakacji dla odważnych. Z drugiej zaś chcielibyśmy, aby ten nasz tabor uczynił Bieszczady bardziej kolorowymi, aby wzbudzał ciekawość turystów, kiedy będzie przemierzał szlaki. Poprowadzi go „kołotoczek” zaprzężony w dwa konie, za którym jechać będą dwa wozy, swym wyglądem zbliżone do tych z amerykańskich westernów* (zob. Nowiny 1997, nr 227). Promocja Bieszczadów okazała się tak niekonwencjonalna i ciekawa, że spotkała się z wyjątkowym zainteresowaniem. Testowano ją potem m.in. w Warszawie i Gdańsku. Mazur był też organizatorem wielu innych ciekawych i zaskakujących przedsięwzięć promocyjnych, niekoniecznie kowbojskich, ale że przedmiotem zainteresowania są tutaj właśnie te ostatnie, nie sposób nie wspomnieć choćby jeszcze o jednym. W ramach ogólnobieszczadzkiej imprezy „Country w Bieszczadach” szef Podkowiаты urządził w pierwszej połowie lat dziewięćdziesiątych lipcowy wieczorek-piknik „Konno z połoniny do gwiazd” poświęcony bieszczadzkim „zakapiorom”. Jan Szelc, sanocki poeta, tak wspomina tę imprezę: *...a po chwili zaskoczył (nas – A.B.) widok „żywcem wzięty” z Dzikiego Zachodu. W bramie, na kłodzie stanowiącej rodzaj huśtawki bujała się para „łaciątych obieżyświatów”. Za nią wyrosła nagle w oczach bryła „Podkowiаты” podobna do oberży z amerykańskich wes-*

ternów. Obejście zamykał „Bar u Kija” oblepiony pierwszymi gośćmi w strojach stosownych do scenerii otoczenia i charakteru tego, co miało się wydarzyć po godzinie 17-tej. Cennik informował: Piwo, kufel 6900 + 100 zł na konia dla Jędrka Poloniny. Inną atrakcją był dyliżans o nazwie „Kołotoczek bieszczadzki” przykuwający spojrzenia obcych oraz „Ruletka beskidzka” w postaci koła od wozu. W zaroślach przycupnęła kuchnia polowa strzeżona przez rosnącego owczarka. W cieniu drzew, na ławie siedziało już kilku kapeluszowych brodaczy, kołysząc się w rytmie żdźbła żubrowki uwięzionej w szkle. (...) Oczy zwodziły kolorowe plakaty i afisze wykonane z fantazją. Podeszedłem bliżej i jednym spojrzeniem objąłem nazwiska (prawdziwe i przybrane) z „czarnej listy”: HENRYK WIKTORINI, LUTEK PIŃCZUK, JUREK DWA TYSIĘCY, DZIOŃEK NADOPTA, RYSIEK PREZES, WŁADEK KARABIN, LESZEK MNICH, JUREK ŻAK. Nie było na niej Artura Pustelnika, Radosa i kilku innych współtworzących swoisty świat bieszczadzkich wagabundów. W dolnym prawym rogu odczytałem dowcipne zdanie: „Za głowę każdego z nich daję pękaty worek Złota Bieszczad” i firmową pieczęć szefa schroniska (w rzeczywistości: szeryfa Podkowiaty! – A.B.) Betona. (...) Było też wielu przebierańców udających Indian i kowbojów. (J. Szalc: *Miedzy pracą a przygodą. Wspomnienia*, Sanok 1993). Co było dalej? Bawiono się do rana. We wspaniałej atmosferze, przy piwie, „okowicie” i muzyce country. I to też było zasługą Mazura. Bo Bieszczady – jak powiedział kiedyś w Ustrzykach Dolnych czołowy polski wykonawca tej muzyki – *bardzo pasują do country...* „Beton” wiedział o tym od zawsze, dlatego, chcąc wypromować swoją Podkowiata, urządził na przykład już na jej „drugie urodziny” „Słowiański Piknik Country”. Muzyka country... trudno sobie dzisiaj wyobrazić „kowbojskie Bieszczady” i promocję tego regionu bez jej specyficznego brzmienia. Wyrosła – jak podaje Wacław Panek (zob. „Encyklopedia muzyki rozrywkowej”, Warszawa 2000) – m.in. z korzeni amerykańskiego Dzikiego Zachodu, piosenek typu western, które, wykorzystując wątki historyczne, epickie i przygodowe, stały się najpierw tzw. hill-billy music, czyli wyższą formą ballad kowbojskich i traperskich, później, w latach dwudziestych zostały w tej postaci wchłonięte przez Country and Western Music. Dzięki swoistemu stylowi oraz tekstowej prostocie zyskała popularność najpierw w Europie Zachodniej, potem również i w Polsce – jej głównymi ośrodkami stały się Mrągowo, Lesko i Ustrzyki Dolne.

Lesko – jak utrzymuje Dorota Mękarska (Nowiny, 1999, nr 137) zawdzięcza muzykę country rodakom podróżującym do Stanów Zjednoczonych, którzy przywozili stamtąd kasety z jej nagraniami i rozpowszechnili ją wśród bliższych i dalszych znajomych. Była II połowa lat osiemdziesiątych... Kiedy w Warszawie powstało Stowarzyszenie Muzyki Country, w Lesku niemal natychmiast zawiązano Koło nr 1 i założono przy Bieszczadzkim Domu Kultury Klub Country. Potem zaproszono Tomasza Szveda i zorganizowano, na wzór imprezy w Mrągowie, pierwszą edycję „Pikniku Country”. Kolejne odbyły się w Krośnie oraz Brzozowie, potem wróciły do Leska, pod patronat Ewy Baranowskiej i kierowanego przez nią Bieszczadzkiego Domu Kultury. Pomyśl na „Country w Bieszczadach” był zawsze prosty – muzyka w wykonaniu polskich czołowych „countrowców”

i promowanie „narybku”. Leskie pikniki zyskały ogromną popularność, niosły bowiem z sobą coraz rzadszą odświeżającą atmosferę wspólnej, ludycznej zabawy. Nic zatem dziwnego, że co roku kontynuowano ich organizowanie. Jednak, gdy podczas 10. edycji deszczowa nawałnica zawałiła brezentowe zadaszenie i zniszczyła doszczętnie sprzęt muzyczny, impreza stanęła pod znakiem zapytania. Niepowodzenie lesczan natychmiast wykorzystały Ustrzyki Dolne, gdzie już w 1995 roku zorganizowano, m.in. z inicjatywy ustrzyckiego Stowarzyszenia Miłośników Konia i Country, z którego później ukonstytuowała się Rada „Westernu Bieszczadzkiego”, Festiwal Muzyki Country „Crok”. Festiwal opierał się na podobnym pomysłu jak pikniki w Lesku, brali w nim też udział początkowo niemal ci sami wykonawcy, szybko więc zyskał entuzjastów i od razu przerodził się w imprezę cykliczną. Urządzano go jednak z roku na rok z dużo większym rozmachem, dynamizmem i pomysłowością niż w Lesku, zapraszano coraz więcej wykonawców i kładziono większy nacisk przede wszystkim na kowbojski klimat i koloryt. To właśnie one sprawiają, że Ustrzyki Dolne w dwa sierpniowe dni każdego roku zmieniają się w atrakcyjne dla fanów country i turystów miasteczko z Dzikiego Zachodu, a Bieszczady w Dzikie Południe. Imprezy towarzyszące wypełniają bowiem (prócz tradycyjnych zlotów samochodowych i motocyklowych czy koncertów grup folkowych i kapel ludowych): kiermasze sprzętu i akcesoriów kowbojskich i do konnej jazdy, zawody konne w stylu western, konkursy na najlepszy strój country i „O tytuł Pierwszego Kowboja Ustrzyk Dolnych”, wybory Miss Country, bale kowbojskie, przemarsze kowbojskich korowodów, przejazdy konnych zaprzęgów, projekcje najsłynniejszych westernów, spotkania z indianistami z Polskiego Stowarzyszenia Przyjaciół Indian z Warszawy, kowbojskie tańce dzieci z jednej z bieszczadzkich szkół podstawowych. A wszystko na tle pasącego się bydła, „indiańskich” tipi i snujących się imprezowiczów, ubranych w stylowe kowbojskie stroje – kapelusze, kraciaste koszule, kamizelki, skórzane spodnie, buty kowbojskie (o ustrzyckich „Crokach” piszą m.in. J. Pawlak: „Nie będzie wojny Indian z kowbojami”, *Nowiny* 1996, nr 155; T. Żeleźny: „Dzikie Południe”, *Nowiny* 1997, nr 163).

Do bieszczadzkiego mitu o Dzikim Zachodzie swe karty dopisuje także bardzo często zwykłe życie. Czasami karty te mają jedynie posmak codzienności. W cywilizujące się stale góry przybywają nowi „osadnicy”, a wśród nich ktoś jest romantykiem i marzy... na przykład o wybudowaniu własnej oberży, takiej, jaką widział na filmach o Dzikim Zachodzie. Marzenia swe realizuje w pocie czoła i jest nawet – jak Krzysztof Francuz z żoną Marią – gotów *pojechać na wycieczkę do Teksasu i podpatrzeć tam parę knajpianych pomysłów wystroju wnętrza* (zob. A. Małek: „Polski Teksas”, *Nowiny* 1997, nr 109). Czasami jednak trafiają się karty niezwykle. Do dolnoustrzyckiej tawerny „Pod Sześcioma Kołami” przybyli kiedyś sympatyczni nieznajomi. *Mieli gest. Stawiali na prawo i lewo drogie trunki, wesoło gwarząc. Dopiero kiedy w głowach zaszumiało, zaczęła się „bonanza”. Ktoś został brutalnie skarcony pięścią w twarz, ktoś inny postraszony dwoma strzałami oddanymi z pistoletu. Napięcie rosło, zwłaszcza kiedy „kowboj” zaczął wewnątrz baru strzelać, a to do niesionej przez kogoś w ręce butelki z piwem, a to*

w stojące na półce CB radio. Chcąc sterroryzować personel i konsumentów, strzelił w szybę, rozbijając ją w drobny mak, a także w sufit. Przerażonej kelnerce przyłożył pistolet do głowy, strasząc, że zabije, roztrzęsionej barmance do piersi. Kiedy trzymał wszystkich na muszce, jego kompan przeskoczył przez ladę baru, zabierając stamtąd saszetkę z kwotą 947 zł. „Kowbojem” okazał się „Cygan”, bandyta poszukiwany w trybie nadzwyczajnym przez Biuro Kryminalne Komendy Głównej Policji jako przestępca szczególnie niebezpieczny. Kowbojska „bonanza” w knajpie „Pod Sześcioma Kołami” skończyła się tym razem szczęśliwie – bandytę pojmano i nic się nikomu złego nie stało (zob. M. Struś: „Bieszczadzki western”, Nowiny 1997, nr 37).

Ktoś może rzec: Wydarzeń takich i im podobnych we współczesnej Polsce daje się zauważyć coraz więcej, ale tylko w Bieszczadach są one postrzegane – przynajmniej przez środki masowego przekazu – właśnie tak, przez pryzmat Dzikiego Zachodu. Dlaczego? Odpowiedź wydaje się prosta. Bieszczady są tymi górami, które jak żadne inne spowito mityczną otoczką (mit Dzikiego Zachodu jest zaledwie jej częścią). I to ona kształtuje i narzuca sposób ich postrzegania. A że staje się on z czasem powszechny i popularny... Czyż nie widzimy najczęściej tego, co zobaczyć chcemy?

Bukowe Berdo.
Fot. W. Paul



BIESZCZADZKA GRUPA GOPR

Jacek Hołub¹

W latach pięćdziesiątych nastąpił gwałtowny rozwój turystyki masowej i narciarstwa na terenach górskich. Siłą rzeczy wiązało się to ze wzrostem liczby wypadków. Ratownicy TOPR czynnie włączyli się do współpracy w zapewnieniu bezpieczeństwa turystom: pełnili funkcje instruktorów na wielu kursach, zabezpieczali imprezy turystyczne i sportowe we wszystkich górach Polski. To dzięki ich inicjatywie, zapałowi i oddaniu dla idei ratownictwa możliwe było utworzenie Górskiego Ochotniczego Pogotowia Ratunkowego (GOPR) na pozostałych obszarach górskich.

Przyjęto regulamin, określono strukturę organizacyjną GOPR oraz powołano grupy terenowe; w 1955 r. – Tatrzańską, Beskidzką, Sudecką (od 1976 r. Karkonoska i Wałbrzysko-Kłodzka), Podhalańską, Rabczańską, a na koniec, w 1961 r. – Bieszczadzką.

Rosnąca z roku na rok liczba turystów wędrująca po Bieszczadach zainteresowała Zarząd Główny GOPR problemem zapewnienia im bezpieczeństwa i szybkiej pomocy w razie wypadku.

Ratownicy GOPR w Bieszczadach pojawili się po raz pierwszy w 1955 roku. Byli nimi członkowie Grupy Tatrzańskiej zabezpieczający rajd narciarski.

W 1958 roku Oddział PTTK w Sanoku wytypował pięciu doświadczonych turystów na kurs podstawowy dla ratowników, zorganizowany w schronisku „Murowaniec” na Hali Gąsienicowej. Byli to: Jerzy Bartuch, Kazimierz Hartman, Józef Janowski, Czesław Szewczyk, Bronisław Witwicki. Wtedy to Zarząd GOPR podjął decyzję o utworzeniu Grupy. Zadanie to powierzył Czesławowi Szewczykowi, który miał się oprzeć na ratownikach przeszkolonych w „Murowańcu”, wcielonych po tym kursie do Grupy Krynickiej. Jednak duża odległość terenu działania od siedziby, rozległość terenu, brak ram organizacyjnych, sprzętu ratowniczego i skromnego choćby lokalu, uniemożliwiały prowadzenie działalności ratowniczej.

Zarząd Główny GOPR podjął kolejną próbę – powierzył zorganizowanie ratownictwa w Bieszczadach Karolowi Dziubanowi. Był on znanym z energii działa-

¹ Jacek Hołub jest ratownikiem-ochotnikiem Grupy Bieszczadzkiej GOPR.

czem turystycznym i czynnym turystą. Już 21 września 1961 roku Karol Dziuban doprowadził do pierwszego zebrania organizacyjnego w Sanoku, w którym uczestniczyło 13 ochotników. Obecni byli również m.in. Jan Cybulski – kierownik ZG GOPR, Stefan Stefański – prezes Oddziału PTTK w Sanoku oraz Jan Wołczański – lekarz z Rymanowa. Wybrano Tymczasowy Zarząd Grupy w składzie: prezes – Józef Jankowski, wiceprezes i naczelnik – Karol Dziuban, sekretarz – Bronisław Witwicki, skarbnik – Kazimierz Hartman, członek Zarządu – Jerzy Batruch.

Zarząd Grupy z miejsca rozpoczął werbowanie kandydatów na ratowników i w dniach 22–29 października 1961 roku zorganizował w Komańczy kurs ratownictwa I stopnia. Zajęcia prowadzili ratownicy – instruktorzy Grupy Tatrzańskiej, a kierownikiem kursu był sam Eugeniusz Strzeboński. Uczestnikami kursu byli: Bolesław Bar, Jacek Bodnar, Olgierd Cieczot, Karol Dziuban, Kazimierz Hartman, Tadeusz Izdebski, Marian Kikta, Andrzej Kurek, Jerzy Rajchel, Tadeusz Szopa, Stanisław Szostak, Adam Trebenda, Ryszard Trebenda i Jan Wołczański. Wszyscy ukończyli kurs z wynikiem pozytywnym, a sześciu wyróżniających się w szkoleniu otrzymało uprawnienia ratownika ochotnika. 29 października 1961 r. – w dzień zakończenia kursu – po raz pierwszy w Bieszczadach obchodzono Dzień Ratownika, a Zarząd Tymczasowy Grupy przekształcił się w stały Zarząd. Od sezonu zimowego 1961/62 rozpoczęło się pełnienie dyżurów ratowniczych, intensywne szkolenie i kompletowanie sprzętu ratowniczego. Uruchomiono dyżurki ratownicze w schroniskach w Ustrzykach Górnych i Komańczy. Wprowadzono też na stałe praktykowane do tej pory dyżury patrolowe. Ratownicy dysponowali dwoma toboganami, które zastąpiły później lżejsze metalowe akie, i dwoma „bambusami” (siatka z podwieszoną rurą bambusową).

Pierwszy zapis w księdze wypraw widnieje pod datą 16 grudnia 1961 r. W czasie treningu narciarskiego na trasie biegowej w Zagórzu 19-letnia zawodniczka upadła i uległa kontuzji. Ratownik Jerzy Batruch udzielił pomocy, wykonując opatrunek nogi bandażem elastycznym i doprowadził poszkodowaną do szosy, skąd furmanką odjechała do szpitala.

Pierwsza zapisana akcja ratunkowa miała miejsce 30 grudnia 1961 r., kiedy to Barbara K., studentka z Warszawy, zasłabła przy zjeździe z Połoniny Caryńskiej w kierunku Przysłopia. Trójka ratowników, po stwierdzeniu u poszkodowanej ogólnego wyczerpania i zaburzeń akcji serca, przetransportowała ją toboganiem przez Przysłop i Bereżki do Ustrzyk Górnych.

Były wkrótce o wiele trudniejsze akcje, związane z niedostępnością terenu, zwłaszcza zimą.

14 lutego 1962 r. o godz. 15.00 samochodem wojskowym „Lublin” wyruszyła z Sanoka wyprawa w składzie: czterech ratowników, oficer i dwóch żołnierzy, z zamiarem dotarcia do schroniska w Ustrzykach Górnych, odciętego od kilku dni przez zamiecie śnieżne. W schronisku znajdowało się kilkoro poszkodowanych turystów: Roman Sz. z podejrzeniem złamania obojczyka, Jan K. z Przemyśla ze zgniecionym palcem ręki oraz dwie osoby z wysoką temperaturą. Do celu wyprawa dotarła 15 lutego o godz. 4.00 (84 km forsowano 13 godz.), idąc pieszo z Bereżek, dokąd dojechano samochodem wojskowym poprzedzanym przez dwa spy-

chacze. Po sprowadzeniu poszkodowanych do pojazdów, dwoje w najcięższym stanie umieszczono w kabinie spychacza. Po 9 godzinach równie ciężkiej jazdy w zamieci śnieżnej, dostarczono chorych do szpitala w Ustrzykach Dolnych.

Pierwszy odnotowany wypadek lawinowy miał miejsce 19 lutego 1964 r. na stoku Szerokiego Wierchu. Deska śnieżna zgarnęła 11 uczestników Rajdu Ziemi Oświęcimskiej, udających się na Tarnicę. Szczęśliwie dwie osoby znalazły się poza zasięgiem lawiny i zorganizowały natychmiast akcje ratunkową. Dzięki pomocy kilku osób tylko częściowo zasypanych udało się zapobiec najgorszemu. Przez 45 minut szukano drugiego ratownika, zabezpieczającego Rajd. Został on przysypany 130-centymetrową warstwą śniegu. Szczęśliwie wydobyto go bez obrażeń.

W marcu 1962 r. nastąpiły pewne zmiany personalne. Prezesem Grupy wybrano Andrzeja Kurka oraz utworzono I Sekcję Operacyjną w Lutowiskach, której kierownikiem został Kazimierz Hartman. Uruchomiono kolejne dyżurki: letnią w Dołżycy i stałą na Połoninie Wetlińskiej, w starym schronie przeciwlotniczym. Liczba ratowników wzrosła do 34. Po raz pierwszy w sezonie narciarskim 1962/63 r. dyżur ratowniczy był prowadzony przy wyciągu narciarskim w Ustrzykach Dolnych. W sezonie letnim 1964 r. zorganizowano dyżurkę namiotową pod Tarnicą, czynną w miesiącach nasilonego ruchu turystycznego, która funkcjonuje do dzisiaj. Natomiast dyżurka namiotowa pod Małą Rawką, otwarta w 1965 r., wobec małego ruchu turystycznego w tym rejonie nie miała długiego życia.

W 1965 r. Walne Zebranie wybrało nowy Zarząd Grupy, w skład którego weszli m.in. Olgierd Czczot, Marian Hadło i Wojomir Wojciechowski. Wielką radością było przyznanie grupie przez Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej w Rzeszowie karetki pogotowia.

Bo też często ratownicy GOPR zastępowali Pogotowie docierając do miejsc trudno dostępnych i udzielając pomocy lekarskiej. Zdarzyło się nawet, że ratownik pomagał odbierać poród. Dramatyczny przebieg miał transport chorego z ropnym zapaleniem gardła i temperaturą 40 stopni z Tworylnego do Zatwarnicy, gdzie mogła już dojechać sanitarka. Akcja trwała 15 godzin! (11.02.1966). Równie dramatyczny był transport z Okrąglika redaktora telewizyjnego magazynu turystycznego „Tramp” ze złamaną nogą, przy 25-stopniowym mrozie, wietrze i zademce. Współtowarzysze wycieczki byli bardzo osłabieni, nie potrafili nawet zapalić ogniska i bez interwencji GOPR lekkomyślna zimowa wyprawa mogłaby skończyć się tragicznie (16/17.02.1967). Miał też miejsce przypadek udzielenia pomocy wycieńczonemu, rannemu koniowi (25.06.1966).

Od 1967 roku zacieśniła się współpraca Grupy Bieszczadzkiej z Lotnictwem Sanitarnym w Sanoku. Personelem latającym na śmigłowcach byli także ratownicy Grupy Bieszczadzkiej, którzy brali udział w wielu akcjach i ćwiczeniach. Wyznaczono lądowiska dla śmigłowców w terenie oraz uruchomiono punkt ratunkowy w bacówce w Jaworzu. Rok później Grupa została radiofonizowana przez 4 stacjonarne radiotelefony „Wawa” i 5 przenośnych „Klimek”.

Lata 1970–1971 przyniosły utworzenie podgrup w Rzepedzi (kierownik – Leopold Arend) i w Sanoku (kierownik – Zygfryd Wilk) oraz zmiany personalne w sekcjach operacyjnych: w Lutowiskach kierownikiem został Kazimierz Osie-

cki, a w Dukli (zamiast Krosna) – Antoni Derwich. W mieszkaniach ratowników: Władysława Słodczyki w Kalnicy i Kazimierza Osieckiego w Lutowiskach zorganizowano istniejące do dzisiaj punkty ratownicze. Podgrupa operacyjna w Rzepedzi urzędziła w sezonie letnim 1972 r. namiotową dyżurkę na zboczach Chryszczatej, czynną w soboty i niedziele.

Zmagania ratowników wspomagał pies ratowniczy SZATAN (własność Ryszarda Kala), a od 1974 r. psy lawinowe: CEZAR (prowadzi Leopold Arend) i HONDA (prowadzi Marta Gutowska). Psy były szczególnie cenne w poszukiwaniach zaginionych.

25 maja 1971 roku Naczelnik Grupy Bieszczadzkiej kierował 80-osobową grupą żołnierzy, z udziałem 4 milicjantów, w poszukiwaniach 3-letniej Marysi z Międzybrodzia koło Sanoka. Przeszukiwanie terenu trwało całą noc. O godz. 9.00 wiejski pies przypadkowo odnalazł zaginione dziecko w lesie, całe i zdrowe.

W nocy, z 2/3 listopada 1973 roku wyruszyło ze schroniska na Połoninie Wetlińskiej 4 ratowników, turysta oraz pies Szatan, na poszukiwania zaginionych. W rejonie Przełęczy Orłowicza oczekiwało na pomoc 7 osób, w tym dwie kobiety. Wyruszyli z Cisnej przez Dołżycę, Falową, Jaworzec i Smerek z zamiarem dotarcia do schroniska na Połoninie Wetlińskiej. Panowały trudne warunki atmosferyczne – głęboki śnieg oraz bardzo silny wiatr. Turyści przeliczyli się z siłami, nie byli w stanie iść dalej. Po czterech godzinach poszukiwań grupę odnalazł Szatan na stoku Smereka. Turyści byli skrajnie wyczerpani. Po udzieleniu pierwszej pomocy rozpoczęto transport: kobiet na plecach, pozostałych powiązanych liną sprowadzono do schroniska.

Niestety nie wszystkie akcje miały szczęśliwy finał. Nie udało się uratować 20-letniego studenta Politechniki Krakowskiej, który został rażony piorunem na podejściu pod Smerek (7.05.1975). W grudniu 1975 r., po trzech dniach poszukiwań, znaleziono już martwego 23-letniego mężczyznę z Lutowisk, który wyszedł do lasu po choinki. 11 maja 1978 r., na skutek nagłego załamania pogody i wyczerpania, zmarł na stoku Halicza 32-letni pracownik Biura Urządzania Lasu z Przemyśla, który wykonywał z kolegą prace na rzecz Parku Narodowego. Pomoc przyszła zbyt późno. Dalsze przykłady można by mnożyć.

27 sierpnia 1974 r. niespodziewanie, w pełni sił, zmarł Naczelnik Grupy Karol Dziuban, całkowicie oddany ratownictwu. Na następcę wybrano jego syna Jacka, którego zastępcą został Aleksander Zubryd. Rozpoczęto starania o lokalizację, a następnie budowę gmachu Stacji Centralnej Grupy. Kamień węgielny pod nowy budynek wmurowano w 1978 r.

W 1980 r. otwarto nowy punkt ratunkowy w baczówce PTTK „Pod Małą Rawką”, a w 1982 r. w hotelach robotniczych w Mucznem i w Przysłupiu. Zmieniono aparaturę radiową na sprzęt firmy „Radmor”, znacznie wyższej klasy. Prezesem Grupy został Jan Jarośniński.

W 1984 r. oddano do użytku budynek Centrali w Sanoku. Dyżury ratownicze w sezonach zimowych pełniono przy wyciągach narciarskich w Karlikowie i Bystrzem, rozbudowano dyżurkę przy wyciągu narciarskim w Ustrzykach Dolnych.

W XXV-lecie działalności (1986 r.), w hallu Centrali w Sanoku została odsłonięta pamiątkowa tablica z brązu z napisem: *Pierwszemu Naczelnikowi Grupy Bieszczadzkiej GOPR – Karolowi Dziubanowi – ratownicy.*

W 1989 r. została zakończona budowa Stacji Rejonowej w Ustrzykach Górnych. W 1990 r. Grupa Bieszczadzka GOPR uzyskała osobowość prawną. Dzięki temu Grupa ma obecnie większą niezależność i może prowadzić własną działalność gospodarczą. W 1991 r. na walnym zebraniu wybrano w drodze konkursu nowego Naczelnika. Został nim Robert Kołodziejczyk. Wybrano też nowy Zarząd. Grupa nawiązała robocze kontakty z innymi służbami ratowniczymi: Strażą Pożarną, Policją, Obroną Cywilną, WOP i WOPR. Po rezygnacji Kołodziejczyka, jego miejsce zajął pełniący tę funkcję do dnia dzisiejszego Adam Górka. Jego zastępcą jest starszy instruktor ratownictwa Jerzy Żak. Prezesem nowego Zarządu został Wilhelm Orsetti, a od 1995 r. jest nim Wojomir Wojciechowski, który jest równocześnie Dyrektorem Bieszczadzkiego Parku Narodowego.

Obecnie Bieszczadzka Grupa GOPR działa w oparciu o 4 sekcje operacyjne: w Sanoku, Krośnie, Cisnej i Lutowiskach. Stan ilościowy to 180 ratowników, w tym ośmiu ratowników etatowych. Patrząc pod kątem posiadanych kwalifikacji w grupie jest: 32 kandydatów, 67 ratowników, 65 starszych ratowników, 10 instruktorów, 7 starszych instruktorów. Podobnie jak w ubiegłych latach całonocowe dyżury ratownicze pełnione są w Centrali w Sanoku, Rejonowej Stacji Ratownictwa Górskiego w Ustrzykach Górnych, Stacji Ratunkowej na Połoninie Wetlińskiej oraz sezonowej dyżurce pod Tarnicą. Poza stacjami jest 13 punktów ratunkowych wyposażonych w radiotelefony GOPR i telefony: Przysłop Caryń-



Szkolenie medyczne zimowe – udzielanie pomocy rannemu narciarzowi na stokach Połoniny Wetlińskiej. Ratownicy G. Zając i J. Hołub (z prawej) w obecności lekarzy grupy Bieszczadzkiej GOPR. Fot. archiwum autora

ski, Bacówka pod Małą Rawką, Muczne, Wetlina, Cisna – Bacówka pod Honem, Kalnica u W. Słodyczki, Jaworzec – Bacówka, Przysłop (P. Sikora), Lutowiska (K. Osiecki), Baligród (lekarz Grupy Z. Sławińska), Sanok – Pogotowie Lotnicze, Rogi (S. Gołabek), Komańcza (J. Żak).

Po co GOPR w Bieszczadach? Przecież tam nie ma gdzie spaść. Jak często słyszy się podobne pytania z ust ludzi kojarzących górskie niebezpieczeństwa i akcje ratownicze wyłącznie z przepaścistymi szczytami Tatr. Odpowiedzią może być liczba kilku tysięcy interwencji, setki akcji połączonych z transportem rannych lub chorych, wiele trudnych wypraw poszukiwawczych. Ponadto specyfika terenu: duże odległości, trudny dojazd do miejscowości, suchy klimat zimowy – powodują, że pomoc turystom jest jedynie częścią interwencji GOPR, a duży odsetek stanowi pomoc niesiona mieszkańcom Bieszczadów. Ratownicy działali i działają tam, gdzie nie może dotrzeć lekarz pogotowia ratunkowego, w czasie klęsk żywiołowych, w wypadkach drogowych, leśnych, turystycznych. Niosą pomoc z powietrza i z wody, w jaskiniach czy w ścianach skalnych kamieniołomów.

Przytoczone wcześniej przykłady akcji ratowniczych, a także innych z kroniki wypadków wskazują, że ich przyczyną bywa często lekceważenie gór i brak wyobraźni, nieznajomość terenu, prowadząca do pobłądzeń, niebezpiecznych szczególnie zimą. W historii Grupy był też wypadek śmigłowca, który rozbił się 10 stycznia 1991 roku w okolicy szczytu Rożki koło Cisnej. Zginęło 10 osób. Działania ratowników sprowadziły się do wydobycia i transportu ofiar, usuwania wraku i prac porządkowych. W czasie powodzi 1997 roku bieszczadzcy ratownicy włączyli się aktywnie w niesienie pomocy poszkodowanej ludności.

Na koniec podają zestawienie interwencji Grupy Bieszczadzkiej GOPR za 40 lat jej istnienia (1961–2001):

Interwencje ogółem	A k c j e i w y p r a w y w tym:			Interwencje narciarskie	Inne
	ogółem	wypadki śmiertelne	z udziałem śmigłowca		
16898	1140	62	172	1837	13921

Dane z zestawienia st. ratownika J. Jarosińskiego, sporządzonego na podstawie zapisów w książkach dyżurów oraz sprawozdań miesięcznych i rocznych (lipiec 2001).

Na zakończenie chcę podkreślić, że wysiłki ratowników często nie byłyby skuteczne gdyby nie współdziałanie osób trzecich – czy to ludności miejscowej, czy wojska, czy turystów. Za dotychczasową współpracę w niesieniu pomocy kierujemy serdeczne podziękowania do wszystkich, którzy przyczynili się do wspólnego ratowania życia czy mienia ludzkiego na terenie Bieszczadów i Beskidu Niskiego.

CZYTAJCIE „BIESZCZADA”!!!

Stanisław Janocha

Zacząło się wszystko 28 września 1985 roku, kiedy to grupa kilkunastu osób należących do intelektualnej elity regionu zorganizowała zebranie, na którym postanowiono powołać Oddział Towarzystwa Opieki nad Zabytkami (TOnZ) z siedzibą w Michniowcu. 2 października 1985 roku Zarząd Główny Towarzystwa Opieki nad Zabytkami powołał Oddział w Michniowcu z zasięgiem działania w gminie Czarna. Później rozszerzono teren działania na gminy Ustrzyki Dolne, Lutowiska i Olszanica. Siedziba oddziału mieściła się w Szkole Podstawowej w Michniowcu, a działały w nim następujące zespoły: cerkiewny, architektury żydowskiej, informacyjno-dokumentacyjny. Pierwsze lata działalności, tzn. 1985–1992, to głównie prace polegające na doprowadzaniu do wpisów obiektów w rejestr zabytków, prace inwentaryzacyjne, ekspertyzy, prace projektowe, inwentaryzacja fotograficzna, organizacja wystaw, konkursów, wycieczek szkoleniowych. Do sukcesów tego okresu zaliczyć trzeba wstrzymanie przebudowy dworca kolejowego w Ustrzykach Dolnych i cerkwi w Polanie, wstrzymanie decyzji przeniesienia cerkwi z Bystrego do Sanoka oraz doprowadzenie do remontu cerkwi i dzwonnicy w Moczarach. W październiku 1992 roku zorganizowano Mini Festiwal Kultury Bojkowskiej w Bystrem, po którym to narodziła się idea rozszerzenia jego formuły i organizacji Festiwalu Kultury Karpackiej. W to przedsięwzięcie włączyło się Towarzystwo Karpackie, Dom Kultury w Ustrzykach Dolnych, Muzeum Budownictwa Ludowego w Sanoku. Festiwal odbył się 31 lipca 1993 roku w Ustrzykach Dolnych, Bystrem oraz 1 sierpnia 1993 roku w Sanoku. W Bieszczadach zabrzmiały autentyczne pieśni karpackie, a wystąpiły następujące zespoły:

- „KYCZERA” – łemkowski Zespół Pieśni i Tańca z Legnicy,
- „WATRA” – zespół prezentujący folklor górali żywieckich,
- „DOLINA DUNAJCA” – zespół folklorystyczny z Nowego Sącza,
- „OSŁAWIANY” – z Mokrego,
- „CSÜRDÖNGÖLÖ” – zespół z Debreczyna (Węgry),
- „TARISZNYÁS” – z Koloszwaru (Cluj-Napoca) w Siedmiogrodzie (Rumunia).

W 1993 roku ukazał się pierwszy numer „BIESZCZADA”, jako sprawozdanie TONZ o/Michniowiec. Również numer 2 z roku 1994 występuje jako sprawozdanie z działalności Oddziału. W obydwóch jednak, oprócz tematów ściśle związanych z działaniami Oddziału TONZ, pojawiają się artykuły zdradzające rosnące ambicje założycieli pisma co do jego treści.

Tytuł „BIESZCZAD” nie dla wszystkich może jest jasny, więc kilka słów wyjaśnienia, coż to takiego. Otóż w „Słowniku etymologicznym języka polskiego” Aleksandra Brücknera pod hasłem „BESKID” czytamy m.in.: *Beskid, ruskie, zamiast polskiego Bieszczadu (...) Beskid i Bieszczad jedno słowo na -d (...); najczęściej przytacza tę nazwę Potocki: gorzej żyli niż na Krępaku albo na Bieszczedzie; gorzej od bieszczednich zbójców; zbójcy na Bieszczedzie; bieszczad łez.* Nazwa funkcjonowała jako określenie gór oddzielających Polskę i Ruś od Węgier i znana była od bardzo dawna. Są dokumenty z 1269 roku, gdzie zapisano „Beschad Alpes Poloniae”. Znanе jest też wywodenie tego słowa od trackiego plemienia Besów.

Dwa pierwsze numery to skromne książeczki liczące po około 40 stron druku i wydane techniką ksero. Nie bez powodu wspomniałem o rosnących ambicjach wydawniczych zespołu redakcyjnego. To, co w dwóch pierwszych numerach dawało się już odczuć, w numerze 3 znalazło kształt w postaci ponad 170-stronicowej publikacji wydanej już drukiem jako „BIESZCZAD 1995” Rocznik TONZ O/Michniowiec, o zmienionej formule pozwalającej przekroczyć granice państwowe i zająć się również słowacką i ukraińską częścią Bieszczadów. Oprócz prób opisywania bieszczadzkiej przeszłości periodyk ten chce uczestniczyć w procesie „zabliźniania ran” i zachowania w pamięci zarówno tego, co było dobre jak i tego, co było złe we wspólnej przeszłości. Hanna Krall ujmuje to w sposób, który może być mottem kolejnych tomów: niepamięć jest gorsza od najgorszej pamięci, nawet od pamięci o zabijaniu.

Numer 4 i 5 to dalsze zwiększanie objętości, oczywiście bez szkody dla treści, czego potwierdzeniem jest coraz bardziej żywy odbiór tego rocznika nie tylko w kraju, ale i poza jego granicami gdzie dociera do emigrantów z rejonu Bieszczadów. Szczególnie cenne wydają się być wszelkie publikacje będące wynikiem penetracji w terenie, inwentaryzacji i badań źródłowych. Artykuły wspomnieniowe spod Chryszczatej i Łopiennika, znad Wetlinki, Sanu, Strwiąża czy Hoczewki czytane przez ludzi pamiętających poruszane w nich epizody, a i nierzadko z nimi związanych, wywołują żywe reakcje w postaci listów do redakcji publikowanych później na łamach „Bieszczada”. Coraz więcej jest artykułów o zabytkach kultury materialnej i to nie tylko w polskiej części Bieszczadów, jak choćby o miejscu narodzin „BIESZCZADA” – Bystre, Michniowiec, Lipie, lecz także po stronie ukraińskiej u źródeł Dniestru, Boberki, Jabłonki, czy po północno-wschodniej stronie Sanu. Są one wynikiem prac terenowych prowadzonych przez członków zespołu redakcyjnego.

Na łamach rocznika jest miejsce dla monografii bieszczadzkich leśnych kolejek wąskotorowych (ukazało się już VI odcinków tego cyklu), historii rozwoju górnictwa naftowego w Bieszczadach ale dowiedzieć się można też o Kołomyj-

kach śpiewanych w Czarnej koło Ustrzyk Dolnych. Pojawiają się (jako motto) wiersze współczesnych poetów związanych z regionem bieszczadzkim, takich jak: Jerzy Harasymowicz, Jan Szelc, Janusz Szuber, Stanisław Żurek.

Przypominane jest stare bieszczadzkie nazewnictwo (wieś Wołosate), pojawiają się wyniki badań archeologicznych prowadzonych głównie w niskiej części Bieszczadów.

W najnowszych numerach 7 i 8 są artykuły traktujące o najnowszej i chyba najbardziej tragicznej historii tych ziem, znanej w formie wypaczonej lub nie znanej wcale. Wiele miejsca poświęca się grupom narodowościowym zamieszkującym te tereny zarówno kiedyś, jak i obecnie. Porównanie tak odmiennych grup jak Niemcy i Rusnacy, żyjących w bliskim sąsiedztwie Żydów i Polaków, a także po II wojnie światowej przybyłych tutaj również Greków wypadają bardzo interesująco.

O wysokiej ocenie periodyku świadczy, oprócz uznania czytelników, pierwsza nagroda specjalna przyznana w 1998 roku na VII Ogólnopolskim Przeglądzie Książki Krajoznawczo-Turystycznej w Poznaniu.

Dotychczas ukazało się osiem numerów rocznika „BIESZCZAD”, które przyniosły czytelnikowi bardzo dużo ciekawego materiału, a w planach zespołu redakcyjnego są następne tomy. Myślę, że poziom ich nie będzie niższy, czego jako czytelnik życzę sobie i czego życzę redakcji z Ustrzyk Dolnych.



III

Człowiek i góry

DROGA KU HINDUKUSKIM SZCZYTOM
Wygawki ze Śląskiej Wyprawy „HINDUKUSZ 1973”
cz. I



DROGA KU HINDUKUSKIM SZCZYTOM

Migawki ze Śląskiej Wyprawy „HINDUKUSZ 1973”

cz. I

Waldemar Betlejewski

To była niewątpliwie dla autora wyprawa życia. Opisał ją po powrocie z notatek, a było to blisko trzydzieści lat temu. Wiele się od tego czasu zmieniło. Walcząc z nieuleczalną chorobą przygotowywał tekst do publikacji. Można powiedzieć, że zapisał go Pamiętnikowi.

Waldemar Betlejewski zmarł 30 marca 2002 roku. Obszerny materiał przesłała nam żona. Koledzy stwierdzili kilka nieścisłości, głównie w sprawach organizacyjnych wyprawy, w których autor nie brał udziału i opatrzyli tekst przypisami z komentarzami.

O dalszym ciągu wyprawy przeczytamy w następnych tomach.

ZABÓJCA INDUSÓW

Jest nas osiemnastu i chcemy wejść na wielką górę. Te najwyższe i najpiękniejsze są tylko w Azji. Arystoteles zwał je górami Parnasos, później nastąpił podział na Himalaje, Karakorum, Hindukusz i Pamir. Hindu-Kush znaczy zabójca Indusów i odnosi się do losu niewolników, którzy umierali z wyczerpania i zimna pędzeni przez przełęcz tych gór.

Na zorganizowanie wyprawy potrzebny jest niemal rok. Konieczne jest pozyskanie sponsorów, skompletowanie sprzętu i ekwipunku, właściwy dobór uczestników, przeprowadzenie wszechstronnych badań lekarskich oraz szczepień przeciwko wszelkim chorobom epidemicznym z cholerą na czele.

*

Inicjatorem naszej wyprawy jest Prezes – Jan Weigel – alpinista posiadający rozległą wiedzę górską, zdolności przywódcze i talent organizacyjny, uczestnik wyjazdów w Alpy, Kaukaz i Andy Peruwiańskie, człowiek praktyczny, obowiązkowy i wymagający. Jest predestynowany na kierownika wyprawy.

*

Granitowe płetwy Piątego Apostoła nakładają się na siebie, a w całości wyglądają jak dłoń z uniesionym palcem wskazującym. Dwie równoległe rysy gubią się w pobliżu wierzchołka turni. Płyta, którą przecinają, pokryta lśniąca łuską, sterczy idealnym pionem. W życiu liczą się przeżycia posiadające w sobie coś nieodwołalnego: lot we mgle, żeglowanie podczas sztormu, wspinaczka w olodzonej skale.

Burt – Zbigniew Burczak – jest moim częstym partnerem. W dwutygodniowej wspinaczce przeszliśmy Grań Tatr Wysokich, sięgnęliśmy też po nowe drogi. „Ściana lub jej fragmenty, których nikt nie przeszedł – oto co zostało jeszcze z pierwotnego bytu” – oto dewiza Burta. Kiedy powiedział – „tam w Hindukuszu będziemy stanowili zespół” – byłem szczęśliwy.

*

Doktor – Zbigniew Bojarski – jest potężnie zbudowany, ma szerokie usta o zębach jak sztachety i obżera się lodami. Na wyprawie będzie dbał o nasze zdrowie. Szczepieniom, jakie zarządził, jesteśmy poddawani w klinice bytomskiej, a wykonuje je pani o imieniu Ała.

— Po cholerze dobrze jest się napić odrobinę alkoholu – orzeka Doktor i zaprasza na obiad.

Wieczorem stwierdzamy zgodnie, że przyjęcie bez udziału pań traci na uroku, w związku z czym Doktor „wydzwania” dwie damy. Jesteśmy ostatnimi gośćmi, opuszczającymi restaurację.

*

— Wyjeżdżasz? Dokąd? – pyta Rela, moja koleżanka z pracy, która ma skłonność do entymematów.

— W Hindukusz afgański.

— Że też wy nie potraficie żyć jak normalni ludzie.

— Bo my chyba nie jesteśmy normalni, skoro czerpiemy radość z faktu, że ziemia nie jest płaska.

— Obyś wrócił!

Jestem przesądny, więc od razu przenosi mnie w to białe piekło, które pochłonęło Mummery’ego, Thornleya, Vignesa, a nawet Buhla, dla którego góry były tym, czym powietrze dla ptaka...

Ocknałem się. Dwa lśniące kasztany – to oczy Reli świadrują mnie.

— Będę uważał.

— Głuptasie! Myślałam o azylu!

*

Malujemy numery na worach transportowych. Farbę drukarską załatwiono w ilości, jaka wystarczyłaby na roczny nakład „Trybuny Robotniczej”. Wory, w liczbie 128, wykonane zostały nieodpłatnie, gdyż zakład reklamuje się przy

okazji. Każdy z worów ma z jednej strony napis: „Silesian Hindu Kush Expedition”, z drugiej: „Lenko – Poland – Polski Len”.

*

Służbowy „gazik” Górskiego Ochotniczego Pogotowia Ratunkowego często kursuje w sprawach wyprawy¹. Załadowani po plandekę serami w puszkach i mlekiem skondensowanym, otrzymanymi w Chorzowie, bierzemy kurs na południe. Kierowca ma brzydki zwyczaj wyrzucania niedopałków za okno. Dymią kominy, dymią też hałdy kopalniane. Zaczynamy pokaszliwać.

— Zamknij okno, bo drapie w gardle.

W kabinie coraz duszniej. Szczypie w oczy.

— Cholerny ten Śląsk, za skarby nie mieszkalbym tutaj. Uduśić się można.

— To szmaty za tobą się fajczą, bo impet wepchnął peta.

Garnitury z lekkiego tropiku szyją nam „na miarę” Zakłady Przemysłu Odzieżowego w Sosnowcu. Zestaw obuwia to: podwójne buty typu „Zawrat”, normalne buty górskie, pionierki, sandały, półbuty miejskie, botki. Wszystko za sprawą Komitetu Honorowego, składającego się z samych bonzów partyjnych z generałem na czele. Jesteśmy przecież najliczniejszą i najbardziej rozreklamowaną wyprawą, jaką dotychczas zorganizowano na Śląsku².

Najcenniejszym darem, jaki otrzymaliśmy jest pięciotonowa ciężarówka z Fabryki Samochodów w Starachowicach³. Jej kierowcą będzie Zbych – Zbigniew Zitzman – wysoki, śniady, o ciemnych, falistych włosach i ostrym profilu. Taktowny, mało mówny, cieszy się ogólnym szacunkiem. Nawet Prezes, chronicznie „ochrzaniający” każdego, nie ośmieliłby się zwrócić mu uwagi. Zbych był uczestnikiem wyprawy alpinistycznej w Kaukaz, wspina się głównie zimą i on właśnie wprowadzał mnie w arkana zimowej działalności w Tatrach. Jest najstarszym uczestnikiem wyprawy.

Pozostali uczestnicy wyprawy to:

Popcio – Andrzej Popowicz. Niski, drobny, ruchliwy i energiczny; alpejczyk i świetny narciarz. Jest zastępcą kierownika i rezerwowym kierowcą.

Kazik – Kazimierz Opyrchał. Kędzierzawy jasny blondyn; twardy i zdecydowany, stawiający przed sobą trudne zadania. Świetny organizator. Jemu zawdzięczamy zaopatrzenie wyprawy w pokaźną ilość alkoholu, niezbędnego przy załatwianiu wielu skomplikowanych spraw podczas podróży przez Sowiety.

Alek – Aleksander Pańków. Wysoki, ciemnowłosy; ma duże doświadczenie górskie nabyte w lodach Alp.

Tedi – Tadeusz Marek. Andynista. Przyjął samorzutnie niezwykle trudną funkcję kucharza.

¹ W sprawach wyprawy kursowały przede wszystkim nasze auta prywatne.

² Z „partyjnych bonzów” nie mieliśmy żadnego pożytku, jedynie wojewoda śląski gen. Jerzy Ziętek udzielił wyprawie znaczącej pomocy finansowej oraz poparł starania o płatne urlopy sportowe; darmowe garnitury załatwił Doktor – lekarz wyprawy.

³ Również samochód ciężarowy „Star” nie był darem „bonzów” z komitetu honorowego, wypożyczenie samochodu załatwił Kazik.



Uczestnicy Śląskiej Wyprawy „Hindukusz-73”. Od lewej, z tyłu stoją: K. Opyrchal, Z. Zitzman, Z. Burczak, J. Wiesner, M. Kuraś, T. Marek, J. Sieńczak; w środkowym rzędzie: A. Popowicz, T. Dyczkowski, Z. Bojarski – (luka) – A. Bara, W. Betlejewski (z siwą brodą); z przodu siedzą: K. Kwiatkowski, J. Weigel, M. Kulak, A. Pańkow, J. Majchrowicz.

Fot. J. Weigel

Jurek – Jerzy Wiesner. Dziennikarz łaknący dokonania wielkich czynów górskich. Będzie prowadził kronikę wyprawy.

Kluk – Mirosław Kulak. Małomówny brodac, potężnie zbudowany. Solidny partner na linie. Będzie pełnił funkcję intendenta.

Krzysiek – Krzysztof Kwiatkowski. Duże zasługi w zorganizowaniu wyprawy. Doskonały kompan, o dużym poczuciu humoru.

Felek – Feliks Köhler. Wydawca dwujęzycznego foldera informującego o wyprawie, a także zawierającego reklamy produktów naszych sponsorów.

Puchatek – Andrzej Bara. Ma w dorobku górskim sporo ekstremalnych dróg w Tatrach i jest najmłodszy w ekipie.

Tadek – Tadeusz Dyczkowski. Samarytanin także dla zdrowych. Rozmowa z nim jest jak balsam dla zranionej duszy.

Majcher – Jan Majchrowicz. Jeden z najbardziej doświadczonych ludzi gór. Niezwykle barwna postać.

Miraś – Mirosław Kuraś. Człowiek o „podwójnych płucach”, o którym można powiedzieć: „idzie skacząc po górach”.

Jasień – Jan Sieńczak. Zrównoważony, prostolinijny, bezkonfliktowy. Uczestnik wielu wyjazdów w Alpy.

Są wizy. Afgańska, turecka, irańska. Jest drugi lipca.

Polecenia sypią się teraz lawinowo, bieganina, rozgardiasz.

— Kazik! Załatw taśmy z nagraniami, może Kunicka, Niemen.

— Poszyjcie woreczki piersiowe na pieniądze.

— Po co?

— Podzielimy pieniądze kasy wyprawowej, żeby wszystkich nie ukradli.

— Czy każdy przyswoił sobie jako tako narzecze farsji?

Dzięki folderowi⁴ sypią się dary i hala magazynu pęka w szwach.

— Po diabła ten ponton?

— Jeśli nie zdobędziemy góry, urządzimy spływ Amu Daria.

— Jest i motorower, dla kogo?

— Dla kulisa-listonosza.

— Już go widzę pędzącego lodowcem.

— Podepnie mu się narty.

*

W przeciwieństwie do innych dyscyplin sportu, gdzie wyjazdy poza granice PRL-u odbywają się w celu zdobycia medali, wyprawy alpinistyczne muszą mieć jakieś przesłanie⁵. A to 25-lecie Polski Ludowej, a to dla uczczenia któregoś z powstań śląskich i temu podobne. Okazji nie może zabraknąć, tym bardziej że alpinści w druzgocącej przewadze nie należą do partii, a prezesami Klubu Wysokogórskiego zostają arystokraci bądź ludzie o wybitnie negatywnym stosunku do komunizmu i Sowietów. Natomiast komitety honorowe tworzą członkowie Rady Państwa, ministrowie, dyrektorzy, sekretarze partii. Przed wyjazdem zaplanowany jest bankiet z udziałem owego Komitetu⁶.

— W czym ty baranie pójdziesz do generała na przyjęcie – złości się Prezes, widząc Tadeka chodzącego w beżowych półbucikach, stanowiących dar od wytwórcy.

— Nikt nie zauważy, że podniszczone – broni się Tadek – Dygnitarze nie schylają głów.

*

Niemal cały bagaż wyprawy oraz pięciu jej uczestników: Prezes, Doktor, Majcher, Zbych i Popcio wyruszają przeładowanym „Starem A-29” przez Lwów, Dżulfę, Teheran, pozostali podróżować będą pociągami przez Sojuz.

Zaczynają spełniać się marzenia. Pozostaje już tylko dążyć ku wyśniewanej górze dniami i nocami, pociągami, statkiem, samochodami, pieszo.

⁴ Bardziej dzięki staraniom kilku członków wyprawy!

⁵ Jedynym celem polskich wypraw alpinistycznych była działalność górską, a nie „jakieś przesłanie”.

⁶ Żaden bankiet nie był planowany.

BIBI CHANUM

Poszukiwanie skrawków cienia na nieosłoniętych peronach Warszawy Gdańskiej. Czyjaś twarz w obramowaniu ciemnych okularów mignęła w oknie wagonu. Uśmiech i gest dłonią. Za chwilę nadejdzie pociąg, na który czekam. Krzysiek niecierpliwi się, Elżbieta wkracza w trzecią godzinę spóźnienia do pracy. „O czym myślał?”

— Upchnij jeszcze gdzieś te jabłka, są z mojego snu.

— No proszę! Jak oryginalnie można zdobywać owoce – śmieje się Krzysztof. – Nigdy nie byłam na drugiej półkuli, ale miałam poetycki sen, że witającej mnie rodzinie powiedziałam: przywiozłam wam z Nowego Jorku bardzo dziwne jabłka w worku.

Palimy papierosy, coraz częściej spoglądając ku torom przybiegającym z południa. Wreszcie nadjeżdża. Z daleka widać wyciągnięte ramiona. Dwadzieścia minut postoju. Wysuplają się z wagonu: pierwszy Tadek o pajęczych nogach, za nim śniady Alek i zwalisty Felek, dalej Puchatek w kowbojskim kapeluszu, brodaty Kluk, sepleniący Miraś i Jasień, który nim zbuduje zdanie, już traci słuchacza.

Lokuję się na trzeciego w przedziale zajmowanym przez Burta i Krzyska. Czas wsiadać. Wilgotnieją oczy Elżbiety – „nie sądziłem, że ją tak weźmie”.

W wydłużonej perspektywie peronu maleją sylwetki ludzkie, nikną.

*

Terespol, pusto i smutno. Opukiwanie kół, zagłądanie pod wagony – „czyżby trafiali się amatorzy azylu w Związku Radzieckim?” Strzeżony Bug, wieże strzelnicze, reflektory, cekaemy. Brześć, sfera celników i wojska. Oczekiwanie na zmianę osi, wszystko co sowieckie musi być szersze, dłuższe, większe. Na peronach brak ławek, sensację budzą krótkie spodnie. Miraś i Kluk udają się na zwiedzanie twierdzy brzeskiej, inni wymieniają bony na ruble. Odjazd przed północą już według czasu wschodnioeuropejskiego.

*

Ilekoć budzę się w naszych sleepingach, pociąg stoi – w parokrotnych przebudzeniach tej nocy, stwierdzam, że pociąg gna. Za oknami olbrzymie płaszczyzny Rosji w poblasku księżycowej nocy. Narasta odległość, chłód dobiega się do skóry, lenistwo nie pozwala sięgnąć po zapasowy koc. Świta. Z ciemnej ściany lasu wyłaniają się poszczególne drzewa i rozpoczynają swój taniec. Przesuwają się naprzemian pola, łąki i znowu lasy, szlabany pustych drożyn nie wiedzieć dokąd wiodących. Nastaje dzień podobny do innych dni, dzień po nocy, noc po dniu, nieustający zegar czasu odliczający żywot człowieka na tej planecie.

Budyneczek małej stacyjki, wyryte we frontonie daty: 1812–1942. Ależ tak! Borodino – Napoleon, Kutuzow, Tołstoj, Hitler. Pojawiają się i ludzie, jacyś zabiedzeni i smutni, nawet nie spoglądający na ten pociąg. Za godzinę Moskwa. Konduktorzy zbierają pościel, pasażerowie przywdziewają czyste koszule.

*

W miejscu gdzie Wroński oczekiwał Anny, sterta naszych bagaży. Alek dzwoni po hotelach, my zajadamy się lodami i chałwą, pakowanymi w kostki wielkości naszego masła. Powodzeniem cieszy się też kwas chlebowy serwowany z beczkowszu. Przy kranach z wodą szklanki z grubego szkła przytwierdzone łańcuchami. W dworcowej toalecie koryto odgrywające rolę pisuaru i oszklone w połowie kabiny, umożliwiające śledzenie z twarzy użytkowników kolejnych faz cierpienia i ulgi. Kompletu dopełniają kazonne przybory do golenia.

*

Kierowca taxi ładuje nas ośmiu do swojej czajki, co nie jest jego rekordem, wiozł bowiem dwunastu Francuzów, tyle że byli chudzi. Hotel nazywa się Ałtaj i leży na peryferiach miasta. Zdążam ku oznaczonemu pomieszczeniu.

— Towaryszcz, hej towaryszcz! Nielzia! — portier odciąga mnie od drzwi. Koledzy ryją ze śmiechu:

— Przed zameldowaniem nie wolno siusiać!

*

Obiad za pięć i pół rubla na trzech, z wódką i przystawkami, później mykwa i pierwsza korespondencja do kraju.

Rezygnujemy z „wiecznie żywego Lenina”, bo poczwórna kolejka rozciąga się węzłem na dwa kilometry i pada deszcz. Rynny prospektu Kalinina nie odprowadzają wody do kanału, tylko rzygają na przechodniów. Marmurowe pałace i gigantyczne bloki pośród walących się lepierek. W publicznych szaletach uszkodzone spłuczki, odór uryny i ohydne mordy typów wcinających boczek pod okowitę.

*

— Co podobało ci się w Moskwie?

— Cerkiew Wasyla Błogosławionego, książ Długorukij i metro.

Odjazd nocą z dworca kazachskiego pociągiem relacji: Moskwa – Duszanbe. Wszelako opłaciwszy bilety do tej stolicy Tadżykistanu, wysiadziemy 800 kilometrów wcześniej, w Termezie nad Amu Daria, do której to stacji biletów nie sprzedają. Trzeba mieć także kilka półlitrówek wódki dla bagażowego pociągu, aby wydał nasze plecaki i torby opłacone również do Duszanbe.

*

Rozlewiska Wołgi spinają mosty. Barki rybackie, zapach wędzonych ryb, wilgoć atakująca chatynki ledwie trzymające się brzegów.

Kujbyszew. Pijemy dużo herbaty z miętą, podgryzając kiełbasą. Alek dzieli przedział z Kałmukami, Jurek i Miraś mają współlokatora o omdlewająco śmierdzących stopach, Tedi i Puchatek podróżują z miłą panią i jej córeczką, w pozo-

stałych sami swoi: Kazik, Felek, Tadek i Jasień oraz: Burt, Krzysiek, Kluk i ja. Dziura w podłodze toalety umożliwia częste oblewanie się wodą czerpaną w bidon.

Ogrom przestrzeni, intensywność światła i zastygły w locie sęp pod nieruchomymi obłokami są jak czas zatrzymany na fotografii.

— Ten spalony słońcem step, to rozedrgane powietrze upajają — zachwyca się romantyczny Tadek. — Podziwiam i chłonę tę bezkresną przestrzeń usianą kwieciami, ten aromat rozgrzanych traw i karagany. Kazachstan — coś, czego zapomnieć nie można. Wydaje się, że gdyby człowiek tu żył, mógłby zachować nieśmiertelność.

— Mojej ciotce ze Lwowa, tutaj właśnie Stalin zafundował „wczasy” — mówi Burt. Ale nieśmiertelność zdołała zachować tylko trzy lata, chociaż była wtedy młodsza od ciebie Tadku.

Mijany ekspres z Ałma Aty wprowadza rzadkie urozmaicenie w tych pustaciach stepowych, gdzie dotychczas był tylko ten jeden pociąg i jedyne ludzkie w nim istoty — my.

— Szlag by to trafił — żali się Puchatek. — W którekolwiek spojrzysz okno, ten sam krajobraz, jakby ten pociąg stał w miejscu. Nie można dojrzeć ani lokomotywy, ani ostatniego wagonu.

— Nie irtuj się, pojutrze skrećimy w prawo.

*

Obsługa wagonu restauracyjnego pozbywa się odpadów w sposób prosty. Co pewien czas o szyby okien brzękają butelki, puszki, kości i inne śmieci. Step wszystko pochłonie. Upał potworny, a konduktor nie uruchamia klimatyzacji, działanie której zademonstrował tylko raz, na krótko. On nie reaguje na perswazje, on oczekuje wódki. My ją mamy, lecz przeznaczona jest do innych celów. Otwieralne są tylko okna w korytarzu, ale przed ich uchyleniem protestuje rodzina z Kijowa, „bo malczyk choreńki”. Rodzinka ta już siódmy raz, bo jest to ich siódme dziecko, odwiedziła Moskwę, aby uzyskać dla nowonarodzonego błogosławieństwo od Wodza Rewolucji. Twierdzą, że jeśli dziecięciu pokaże się Lenina, będzie się ono zdrowo chować i nic mu nie zagrozi.

Jedynie na postojach, kiedy lokomotywa tankuje wodę, można poprosić operatora, by skierował rurę kranu średnicy kubła, na spragnionych ochłody. Trudno wówczas ustać na nogach, ale liczy się krótka przyjemność, nim piżama wyschnie jak kompres na rozgorączkowanym ciele chorego — ze względu na upał podróżując tu w piżamach. Menu restauracyjne jednolite: „solianka na pticy”, pieczeń wołowa, ziemniaki puree, groszek i wino. Koszt dwa ruble 15 kopiejek.

*

Nocą mineliśmy Morze Aralskie, nad ranem skończył się step. Zamiast jurt i wielbłądów, konie i domki o zasłoniętych płachtami oknach. Sprzedawcy peronowi oferują pomidory i gotowane jaja.

*

Stacja Ził Orda, wysokie trawy, słoneczniki i ptaki o wielobarwnym upierzeniu. Leniwe rzeczki między szuwarami, płynące w kierunkach nakazanych przez „ruszających bryłę świata”, nawadniają pustynię i wysuszają morze.

Taszkent, godziny południa, 42 stopnie w cieniu. Jak znosił to Bajazyt wożony w żelaznej klatce z woli okrutnego Timura Kulawego?

*

We śnie zdejmuję muślinowe szaty z Bibi Chanum. Jej ciemne jak bezgwiezdne niebo oczy są blisko moich. Wokół niewolnice poruszają leniwie wachlarzami z białych piór, cichutko pobrzękują złociste blaszki zdobiące uda Bibi. Delikatny powiew chłodzi naskórek.

*

Gwiazda polarna zagląda do prawego okna – objeżdżamy wysunięte ramię Pamiru. Samarkanda, wspaniała Samarkanda, otoczona pustynią i górami, zdobywana, podbijana, niszczona i odbudowywana, miasto, które jak żadne inne pragnęlibyśmy zwiedzić.

*

Termez, sześć tysięcy kilometrów od Polski. W porcie częstują herbatą, koniak tylko o rubla droższy od siwuchy. Oficer służby granicznej uprzedza o zakazie fotografowania.

*

Amu Daria, szeroka na parę kilometrów, płynie wartko, niosąc wody koloru kawy z mlekiem i gałęzie drzew. Prom płynie w górę rzeki i po dwóch godzinach przybijamy do brzegu. Na radzieckim brzegu pozostały wieże strzelnicze, reflektory i żołnierze w pełnym rynsztunku, czujni, gotowi do boju. Tu w afgańskim porcie Hajratan są tylko gliniane budki dające cień rozmamłanym i bosym wojakom, którzy przysypiając nie śnią nawet o zagrożeniu militarnym Wielkiego Kraju Rad.

Smagły mężczyzna w popielatych szarawarach, myjący nogi w rzece, jest dowódcą tej placówki granicznej. Czekamy, aż skończy ablucje. Tymczasem prom odpływa w dół rzeki i uspokajają się smugi fal, przynosząc lekki niepokój: „tam, za rzeką, pozostało wszystko, co znam”.

ZA AMU DARIA

Celnik pyta o kamery filmowe, chciałby sprawdzić jeden z plecaków.

— „Który?” Wskazuje na wór Jurka. Zainteresował go „Practiflex”, głębiej nie zaglądał. Oddaje nam paszporty, podsuwa zbiornik filtracyjny z wodą i szklanę.

— Nie pijcie, to woda, od której można umrzeć – ostrzega Tedi.

Puchatek przechyla szklanę i płyn szybko wsiąka w piasek. Nikt już po nią nie sięga. Żołnierze przestali się nami interesować i rozeszli się do swoich glinianych „igloo”, wartownik nasunął czapkę na oczy i zasnął.

Czerwona kula słońca utonie niebawem w pustyni, jak w morzu. Bezczesne fale piasku, które zachód pomalował złocistymi barwami, oddają teraz ciepło nagromadzone za dnia. Jakiś starzec na ośle, przecinający przed chwilą linię szosy, wsiąkł w pustynię; już nie można odszukać go wzrokiem.

Wydmymy też zasypiają, okrywając się cieniami. Kończymy ładowanie naszych bagaży na wynajętą ciężarówkę.

Pustynia i niebo bez chmurki nie zupełnie odpowiadają temu, co wiedziałem o tym kraju. Afganistan, terytorialnie dwukrotnie większy od Polski z liczbą ludności o połowę mniejszą. Najwyższą górą jest Noszak, najdłuższą rzeką Hilmend, walutą afghani – pięćdziesiąta część dolara, miarami arszyn i artaba. Ziemia biczowana słońcem i dławiona kurzem, przez którą podróżował Marco Polo, którą podbijali: Aleksander Macedoński, Czyngis-chan, Timur Kulawy i inni, jako państwo liczy się dopiero od połowy osiemnastego stulecia. Oprócz znanych nam zwierząt europejskich żyją tu lwy, lamparty, skorpiony, wielbłądy, szakale, hieny i yaki. Uprawia się winną latorośl i owoce południa, całe drzewo brzoskwiniowe można kupić za dolara, oczywiście nie na targu. Afganowie posiadają typ urody semickiej, posługują się językami pasztu i farsi pochodzącymi z sanskrytu, wyznają islam, choć kiedyś czcili Buddę, którego 50-metrowy posąg wykuty jest w skale Bamianu. Rzadko zajmują się rolnictwem, bardziej pasterstwem, handlem i rozbojem.

Wehikuł, którym podróżujemy, nie ma chłodnicy, często zatrzymujemy się przy ocembrowanych studzienkach, bo kierowca musi ostudzić silnik, chlustając nań wiadrami wody.

Ciemno już, gdy wjeżdżamy do Mazar-i Szerif. Egzotyka wschodu. W czajchanach tylko mężczyźni siedzący po turecku na czymś w rodzaju pryczy. Bosi, buty ustawione poniżej. Obsługa roznosi biegiem potrawy i napoje. Islam zakazuje brania do ust alkoholu i tytoniu. Spryciarze wynaleźli więc sposób wprowadzania alkoholu wprost do przełyku, np. przez rurkę, papierosy natomiast ssają nie dotykając ich wargami, jak czynią to marynarze. Hotel nie ma urządzeń wodociagowych. Ludzie z obsługi dźwigają po schodach skórzane bukłaki z wodą, napełniając nią zbiorniki na dachu, skąd już pod własnym ciśnieniem spływa do „apartamentów”. Temperatura powyżej 30 stopni, ogromne pajaki, mięsiste i włochate, monotonne zawrozczenia muezina do późnej nocy. Błękitny meczet kalifa Alego jest jednym z najokazalszych w tym kraju. Natrętni sprzedawcy uliczni, muzyka o powtarzającym się motywie, riksze tradycyjne i dwukołowe dorożki,

kolorowe i z dzwoneczkami u uprząży. Przemykają niekiedy kobiety, spowite w zwoje lekkiego materiału. Najczęstsze kolory: biały, czarny, liliowy. Zza siateczek czarczafów wyzierają płomienne oczy, a harmonijny sposób poruszania się sugeruje nieodparcie ukrywaną młodość i powab smukłego ciała. Fotografujemy te damy z dala i ostrożnie, obowiązuje tu bowiem zakaz filmowania kobiet, zaś próby nawiązania z nimi rozmowy mogłyby skończyć się nożem w plecach.

*

W Afganistanie nie ma linii kolejowych, podróżuje się na wielbłądach i osłach lub „burubuhajami”. Są to przeważnie Bedfordy o przebudowanym nadwoziu, jaszkrawo kolorowe przez wymalowane scenki z życia zwierząt i kłliwe pejzaże. Obwieszane blaszkami, koralikami i szkiełkami lusterek, świecą się, trzęsą i brzęczą.

*

Oddalają się pustynne piaski, teren staje się pagórkowaty. Zatrzymujemy się w przydrożnych czajchanach, a mając w perspektywie trzymiesięczny wikt z puszek blaszanych, zamawiamy tutejsze potrawy. Tradycyjnym daniem jest „palao”, czyli baranina z ryżem i przyprawami, po których odbija się przez trzy dni. W przyzwoitej odległości od oberży wałęsają się sfory bezdomnych psów. Chartów afgańskich nie ma w Afganistanie, ale afgańskie kundły są tak samo chude z wygłodzenia. Zwierzęta traktowane są okrutnie, nawet te, które są w służbie człowieka.

*

O przewrocie politycznym w Afganistanie dowiedzieliśmy się, zanim wjechaliśmy do tego kraju. Przewrotu dokonał szwagier króla i być może dlatego przejście władzy było bezkrwawe. Monarsze pozwolono wyjechać do Włoch wraz ze wszystkimi żonami i dwustu kilogramami rubinów. Widzimy często przejeżdżające samochody z manifestantami, wrzeszczącymi jakieś hasła i powiewającymi czerwonymi szmatami.

— Ileż radości dla narodu, który pozbywa się tyrana.

— Chyba żartujesz, ten król nie był taki zły, a ci wyjście nie wiedzą, co ich czeka. Chciałbym zobaczyć, co z tej rewolucji wyrośnie za dziesięć lat.

— Mogli poczekać z tą rewolucją – biadoli Kluk. — Mieliliśmy przecież zaplanowaną audiencję u króla. Tak się na nią cieszyłem. Przygotowałem nawet tekst powitania monarchy w ich języku.

— Istotnie szkoda – do utyskiwań przyłącza się Alek. — Byłaby to rewizyta, bo król Afganistanu odwiedził Polskę przed wojną. A jeśli chodzi o powitania, to miały one zabawny przebieg. Otóż król wieziony przez ulice stolicy zapytał, co znaczą te często pojawiające się świetliste napisy „E. Wedel”. — „To na cześć Najjaśniejszego Pana” – zażartował tłumacz. Przybywszy do Belwederu, król wznosił ramię, a chcąc popisać się znajomością polskiego pozdrowienia, zawołał: „Ewedel, ewedel Polonija”, na co marszałek Piłsudski, obejmując króla: „Osram, osram Afganistan”.

*

Spotkanie nasze z grupą samochodową zostało ustalone w rejonie tunelu Salang, przebijającego się o trzysta metrów pod przełęczą o tej samej nazwie, na wysokości 3658 m n.p.m. Obecnie podróżujemy wynajętym mikrobusem, którego właścicielem i kierowcą zarazem jest śniady brunet w czystych, białych szatach, a mechanikiem umorusany dwunastoletni chłopiec, zeszepony dziobami po ospie. Na stacjach benzynowych i przy czajchanach mały troskliwie ogląda pojazd, coś dokręci, doleje wody do chłodnicy, coś przetrze z kurzu. Jego chlebobawca zjadł już dzisiaj dwa kolejne „palao”, popijając herbatą, natomiast nikt nie zauważył, aby cokolwiek jadł chłopiec. Popija on tylko wodę z węża do mycia aut lub z dżuji, wstrząsa nim czkawka głodowa. Kierowca nigdy nie uważa, czy pomocnik jego zdążył wskoczyć do samochodu – rusza „z kopyta”, lecz mały potrafi biegać niezwykle szybko i jest zwinny jak małpa, skacząc na błotnik czy zderzak.

*

Pul-i-Chumri. Pędzone przez miasto stado owiec wznieca kurz, że świata nie widać. Zatrzymujemy się w celu zrobienia zakupów. Ktoś, kto nie targuje się, w oczach sprzedawcy uchodzi za frajera. Burt zakupił owoce inun, a także torbę bułek. Teraz klnie okrutnie:

— Ten piekarz zrobił mnie w bambuko. Chciał po pięć „afsi”, wytargowałem na cztery. Zadysponowałem 20 bułek, zadowolony, że zapłacę za nie nie 100, lecz 80, patrzyłem jak wkłada do torby, licząc razem z nim i nie jestem w stanie wyjaśnić dlaczego jest ich 16, zamiast 20. I w ten sposób sukinsyn wyszedł na swoje.

*

Przeładowane auto z wysiłkiem pokonuje stromo wznoszące się serpentyny szosy. Ostatnia stacja benzynowa po tej stronie gór. Starzec siedzący w skrawku cienia przywołał chłopca, coś szeptem mu do ucha, czochrając jego włosy, podobnie jak czynimy to psu. Wzrusza mnie ta scenka. „Nędzarzu, jakże dostojny i piękny jesteś w swej starości, nie znam krain, w których się narodziłeś – nie poznasz okolic, do których zdążam, ale utrwaliłeś się w mojej pamięci”.

*

Okolo północy warkot silnika cichnie. W poświacie księżycowej chylą się nad nami sylwety gór i ciemnieje otwór tunelu. Nozdrza łapią rzeński zapach śniegu i roślinności, gdzieś dalej cudowny szum wody. Biegniemy ku niemu – tę wodę można już pić! W strumieniu, będącym dla nas nieomal jak rajska Kousar dla muzułmanina, nurzamy rozpalone twarze.

— Tak mi dobrze! – wzdycha w półśnie Jasień.

Kluk wygrzebuje z worka dwie puszki konserw i kilka paczek herbatników, które chłopiec chowa gdzieś między narzędziami w zakamarkach mikrobusu.

*

Alek odkrył jakiś opuszczony barak, cuchnący i pełen śmieci.

— Posprzątam jutro, a teraz spać – mówi Kazik.

Rozkładamy materace i śpiwory. Nie mogę zmusić się, by spać w tym smrodzie. Pociągam Kluka i podchodzimy kilkadziesiąt metrów zboczem powyżej baraków, gdzie rozstawiamy namiot. Te proste czynności zabierają nam niezmiernie dużo czasu. Chłodne powietrze, szum potoku, wielkie i bliskie gwiazdy w otwarte wejściowym namiotu rychło sprowadzają sen.

SALANG

Kiedy Pan Bóg dzielił ziemię między poszczególne nacje, leniwi Afgańczycy przegapili okazję, przypadły im więc pustynne nieużytki i góry. Zawiedzeni żądali rekompensaty w gotówce.

— Nie mam pieniędzy – powiada Bóg.

— Tedy daj nam adresy tych, którzy je posiadają.

I stało się, że Anglicy i Rosjanie, zabiegający o wpływy w tym kraju, zaczęli tu inwestować. Przykładem jest choćby asfaltowa magistrala od granicy z Iranem, *via* Herat i Kandahar, zbudowana przez Anglików, na co Rosjanie odpowiedzieli podobną na północy, łączącą porty rzeczne nad Amu Darią ze stolicą kraju. Fragmentem jej jest tunel Salang. Będziemy tu zdobywać aklimatyzację. Góry te przypominają nieco nasze Tatry, jednak „powiększone” do pięciu tysięcy metrów wysokości.

Betonowe silosy, pozostałe po budowniczych tunelu, stanowią obecnie koszary żołnierzy strzegących go. Kilka jest „niezamieszkałych” i jeden z nich zajmujemy.

— Bierzmy się panowie do przystosowania tego chlewu do znośnych warunków – nawołuje esteta Tadek.

— Nie po to jechałem siedem tysięcy kilometrów, żeby walczyć z górnymi – oponuje Burt.

— Wyżej, w głębi doliny są śliczne, trawiaste polanki – oznajmia Tadek. — Moglibyśmy rozstawić tam namioty, jest równo i woda niedaleko.

— Oraz także niedaleko koczujący Nomadowie, którzy pewnej nocy spuszcza nam lanie i obrabują – prorokuje Kazik, biorąc się do zeskrobywania z glinianej podłogi owczego łajna. Pomagają mu Tadek i Jasień.

— Widzisz ich, k....! Alpiniści, a pastuchów się boją – atakuje Burt.

— To przenieś się sam, palancie, kiedyś taki gieroj – odgryza się Kazik. — Tu często kogoś upolują, bo u nich nie potrzeba zezwolenia na broń.

Czarnowłosa Alek, mający duże doświadczenie alpejskie, pogodnie usposobienie oraz swoistą osobowość, cieszy się znacznym autorytetem, mimo iż oficjalnie nie sprawuje żadnej funkcji przywódczej. Najczęściej usiłuje zażegnawać spory.

— Panowie! Nie handryczcie się. Przybyliśmy tu po to, by się wspinać.

Kluk i ja rezygnujemy jednak z silosu i rozstawiamy mały namiot kilkaset metrów w górę doliny.

*

Siedzimy na wierzchołku „S-5”, bo takie symbole zamiast nazw mają szczyty tego rejonu⁷, podjadając cukierki, których Burt ma sporo w kieszeniach.

— Ten idiota Miras wspina się w sandałach, jakby butów oszczędzał. Powinieneś mu zwrócić uwagę, bo jeszcze złamie kulas i narobi kłopotu nie tylko sobie.

— Dajmy mu spokój. Młodzi zawsze chcą być oryginalni. Poza tym góry te nie są trudne.

— Ale on chodzi samotnie!

— A ty nie chodziłeś?

Burt nakłada grubą warstwę kremu na nos i policzki, mnie ogarnia senność.

— Jak się czujesz? – pyta Burt – bo to już cholernie wysoko.

— Lekko, tak lekko, że aż mi się w głowie kręci.

— Za wcześniej tu weszliśmy, według pana Dorawskiego na aklimatyzację potrzeba sześć tygodni.

— Za sześć tygodni to musimy wracać do kraju.

— Na szczęście nasz cel przekracza nieledwie siedem tysięcy metrów, przeto możemy na niego wleźć z tak zwanego marszu.

— Chyba żebyśmy mieli aparaty tlenowe.

— Pieprzysz stary, Frank Smythe na Evereście przetrwał parę dni powyżej 8200 metrów bez aparatu tlenowego.

— Ale potem zwariował.

*

Tutejsze owce mają fałdy tłuszczowe umiejscowione w pośladkach, co jest przedmiotem żartów o skojarzeniach seksualnych. Skubią codziennie spopielałą od suszy trawę i osty, bo nic więcej tu nie rośnie. Stado wypasa dziesięcioletni chłopiec, którego zdołaliśmy oswoić. Żywi się on plackami i suszoną morwą, poczęstunku nie przyjmuje. Natomiast jego pies chętnie chrupie naszą kielbasę, która przerosła możliwości naszego użębienia. Nasz mały przyjaciel wita się codziennie z nami podając dłoń zrogowaciałą od brudu tak wspaniale, że odnosi się wrażenie jakby człowiek ścisnął żółwia. Kostkę mydła przyjął w podarunku, ale służy mu ona do zabawy. Chłopiec opiekuje się także ciężarną wielbłądzą lubiącą obwąchiwać nasz namiot.

*

Kazik z Tedim udają się w podróż do Kabulu, zabierając nasze wizy, paszporty i książeczki szczepień.

— Zostawiacie nas bez dokumentów – niepokoi się Tadek.

— Nic wam nie grozi chłopcy, to nie peerel.

— Kto obejmuje ster?

⁷ Oznaczenia szczytów w rejonie Salangu wg mapy Jerzego Wali, wybitnego znawcy topografii Hindukuszu.

— Alek.

Ostatnią butelkę służbowej wódki wypijamy na pożegnanie.

*

Obrzęk zniekształcił jego twarz, gestami domaga się ekstrakcji zęba. Usiłuję wytłumaczyć, że nie jestem stomatologiem, ale dla tych ludzi każdy Europejczyk jest lekarzem, więc szarpią mnie za rękę, a spuchnięty rozdziawia gębę, wskazując, który ząb go boli. Nie mam szans, ich jest czterech, mogą być kłopoty.

Nolens volens biorę w palce ten jego ząb, rusza się, w oczach delikwenta łzy, dłoń jego jak szpony zaciska się na moim przedramieniu. Ślini się, ząb wyslizguje mi się z palców. Rozkładałam bezradnie ramiona, wskazuję na zbiegającą w dolinę ścieżkę, wiem, że Puchatek nie rozstaje się z małymi kombinerkami, piszę na kartce: „wywolicie mu ten ząb czym chcecie”, tłumaczę, że tam koledzy i doktor. Pojęli, biorą tę kartkę i pędzą w dół. Wyobrażam sobie scenę tam przy barakach, kiedy do zabiegu nie dojdzie. Jednakże z dwójga złego wolę dostać po pysku od przyjaciół.

*

To już wyżej niż Mont Blanc, a brak śniegu i lodu. Skała też dziwaczna, nie dająca tej rozkoszy palcom co granit. Chodzi się tu na tarcie, rzadko używając liny, niemniej na szczycie można przeżywać radości zdobywców i wpatrywać się długo w modrookie stawy leżące niżej, zgodnie z teorią Gienka Karasińskiego, twierdzącego, że po to się wdrapuje na szczyty, by popatrzeć, jak pięknie jest w dolinach.

*

Rozszalała się burza piaskowa. Nagle wyrósł przed nami człowiek, jakby stworzony z tej zamieci. Ścisła nasze dłonie, bierze w objęcia, zaprasza do siadania na wysterkach skalnych. Gdzieś z okolicy krocza wyciąga brunatną od brudu chustę, a rozwinąwszy ją częstuje kawałkami placka, spulchnia dłońmi suszoną morwę, wzniecając pył. Jest autentycznie szczęśliwy, robi wrażenie, jakby długo żył w samotności. Trudno mi przełknąć ślinę, a coś dopiero te jego specjały, ale on radośnie i pilnie obserwuje, jak nam smakują.

— Dawaj szybko czekoladę – mówię Burtowi. – To odwróci jego uwagę.

Łapię aparat, robię zdjęcia, pozbywając się dyskretnie produktów. On znówu rzuca się na nas ściskając, czekolada mu smakuje, resztki jej chowa do chusty i znika tak nagle, jak się pojawił.

*

Przełącz ma 4180 metrów, nad nami góruje tylko „S-27” i kilka niższych wierzchołków nie oznaczonych nawet symbolami. Spod płata śniegu ciurka woda, można ugotować zupę. Zabrnęliśmy zbyt daleko, ale zdobyliśmy znówu jakiś szczyt.

— Kluku, daj ten plecak, dość już się go nadźwigałeś.

- Mogę jeszcze nieść, Krzysiu słabo się dziś czuje.
- To może wciśniemy go Burtowi?
- Nie będę za nikogo nosił – warczy Burt.

Wracamy różnymi wariantami, jedni granią, drudzy zjazdami do depresji śnieżnych, a potem ślizgiem na butach, co pozwala dłużej poleżeć w dolinie pochłepując zimną wodę z potoczku. Dolina ma długość trzech Jaworowych i jest już w cieniu. Nagle zza olbrzymiego głazu wyskakuje dwóch brodaczy – jeden z nich mierzy pistoletem w mój czerwony sweter. W odruchu obronnym zatykam dłonią lufę, robiąc zapewne śmieszną minę, bo i oni wybuchają śmiechem. Pozwalają obejrzeć rewolwer. Jest to stary model „Mauser 9,65”, na lufie siedem krzyżyków (czyżby oznaczały trofea?). Są z koczowniczej gromady nomadów, ich czarne namioty widnieją niżej w dolinie. Kiedy nadchodzimy, psy ujadają, a kobiety chowają się, mężczyźni już z dala ślą pozdrowienia dłońmi. Dzieciaki zastępują drogę, czepiając się naszych rąk. Kiedy daliśmy im kilka cukierków, tym bardziej trudno było się od nich opędzić.

*

Zaliczyliśmy „S-12”. Jego grań podwierzchołkowa była jak brzytwa i trzeba było się solidnie asekurować. Cały dzień czułem się świetnie, jednakże w drodze powrotnej chwyciły mnie mdłości i nękała biegunka. Bolał mnie też żołądek, wszelako koniak, który ukrywam przed kolegami, sprawił, że spałem dobrze.

*

Kończą nam się zapasy żywności. Jest już tylko pasztet z drobiu i zupy w proszku, których ugotować nie można z braku benzyny.

- Nasi wodzowie nie palą się w góry⁸ – zauważa Jasień.
- Bo i po co? Cała forsa i dwie tony żarcia przy nich.
- Kiepsko się to jakoś wszystko turla. Za dwa dni sierpień, a my do wielkich gór mamy jeszcze szmat drogi. Czy aby uda nam się zrealizować plany?
- Tracimy kondycję, bo trudno się wspinać o pustym żołądku – narzeka Burt.
- Nie można też uzyskać połączenia telefonicznego z ambasadą w Kabulu.
- Bo te ich telefony funkcjonują w zależności od tego, ile ptaków siada na drutach – śmieje się Alek.
- Może by kupić trochę żarcia od wojaków.
- Chyba wyżebrać, kasę zabrał Kazik.

Tajemnicą pozostanie, jakich transakcji dokonał Alek z żołnierzami, jednakże przytaszczył furę placków chlebowych, cukier, pomidory, cebulę i melony. Wiwat i podrzucaniu kierownika nie było końca.

*

⁸ Zabrakło wiedzy o biurokracji kabulskich urzędników i czasie potrzebnym na załatwienie zezwolenia na działalność w górach.

Na całej długości Hindukusz stanowi wododział między dorzecziami Indusu i Oxosu, jak dawniej zwała się Amu Daria. To właśnie w tych górach żołnierze Aleksandra Wielkiego, pokonując przełęcz Szibar i Chawak, w ataku na twierdze baktryjskie, zastosowali po raz pierwszy liny, czekany i raki.

*

Kierownik wyprawy ustanawia prawa – uczestnicy im podlegają, niekiedy jednak obiektywne niepowodzenia warunkują autorytet przywódcy. Niemal cały dzień rozmowy toczyły się wokół tego tematu, wieczorem zaś przyjechał samochód. Złośliwy przypadek zrzucił, że wiatr, korzystając z otwartego okna szoferki, porwał zezwolenie na działalność górska z pulpitu kierowcy i poniósł w dolinę. Jako że poszukiwania nie dały efektu, kierownictwo wysłało umyślnego na powrót do Kabulu, co opóźni rzecz jasna podróż ku wielkim góróm.

Dobranie się do zapasów „Stara” poprawiło humory.

*

Co zdobyte, może być nazwane. Ileż tych gór jest tu do zdobycia, zapewne nie mają nazw tubylczych. Nie chcemy kopiować naszych kolegów klubowych z Pamiro-Ałaju i obdarzać te góry imionami żon, przyjaciółek, kochanek.

Nie chcemy również wzorować się na alpinistach sowieckich, nadających pięknym szczytom idiotyczne nazwy jak: Pik Komunizmu, Pik Lenina, Stalina, czy tasiemcowych jak: Pik Czterdziestopięciolecia Wielkiej Socjalistycznej Rewolucji Październikowej. Brak wyobraźni połączony z siłą reżimu.

Kruczowłosy Zbych nie jest rozmowny, milczą także Krzysiu i Burt. Opadła nas nutka melancholii, że już jutro opuszczamy te góry, dlatego może aż do zachodu słońca siedzimy na tym wygrzonym czubku naszego „S-16”.

Zrobiło się zupełnie ciemno, tylko w dolinie połyskiwały czerwono-ogniska Nomadów. Schodziliśmy powoli, rozproszeni na tym rozległym stoku góry, każdy własnym torem, każdy wiedziony światłem swej latarki, jak samoloty krążące nad lotniskiem, kiedy podchodzą do lądowania.

KOKCZA COLA

Od dłuższego czasu siedzimy u wylotu tunelu czekając na okazję, którą moglibyśmy się zabrać dalej. Nadarza się wreszcie rozklekotana ciężarówka, jadąca w kierunku Kunduzu. Na pace jest już ze trzydziestu Afgańczyków. Wciskamy się między nich.

Wszystko zdarzyć się może z woli Allacha. Wie o tym zarówno ten, co leży teraz pod stosem ruchomych kamieni, jak i nasz kierowca pokonujący z piskiem opon karkołomne serpentyny. Ale jeśli chodzi o pieniądze, lepiej nie zdawać się na Allacha, więc przy pierwszym postoju zażądał 100 „afsi” zadatku, w Doszi, po długotrwałych zapewnieniach o uczciwości, otrzymał dalsze 150, a za Pul-i Chumri poprosił znowu o 100 afsi. Wtedy właśnie Afgańczycy podnieśli wrzask z powodu braku pewnego staruszka. Pognaliśmy z powrotem do miasta, odnajdując

staruszka w czajchanie, spokojnie przeżywającego swoje palao. To, że czas postoju przedłużył nad normę, nie spieszyło go, natomiast rozżłościł się, że popędza się go w jedzeniu. Kierowca zamówił więc herbatę, pomocnik zajął się przewijaniem swego barfi, które wiatr mu ciągle tarnosił, my rozeszliśmy się po mieście.

*

W południe przybywamy do Kunduzu, jednego z większych miast Afganistanu. Alek rozgląda się za samochodem, który powiozłby nas dalej, my okupujemy stragan z coca-colą. Kierowcy od razu wyczuli okazję i cenę kursu do Fajzabadu wyśrubowali na 4000 afghani. Jeden, widocznie nieuprzedzony, wymienił sumę 2500, ale pod groźnymi spojrzniętami kolegów dodał: „ale do Keszimu”, co wywołało ogólną wesołość. Na szczęście nadjechał nasz „Star” i Zbych powiada: „Zachowujcie się tak, jak byśmy się mieli wszyscy zabrać”. Zaczęło się podwiązywanie worów do burt ciężarówki, czepianie się metalu pałaków i stawanie na błotnikach, jakbyśmy mieli zamiar tak podróżować te kilkaset kilometrów. I o dziwo, dali się nabrać, bo jeden jęknął: „3000”.

*

W tym kraju akurat kobiety nie są wścibskie, natomiast gadatliwi i ciekawscy są mężczyźni. Policjant usiłuje rozrzedzić nieco tłum, który nas otoczył. W przeciwieństwie do naszej milicji, tutejsza władza jest delikatna i cierpliwa. Czule niemal dotyka ramion natrętów: „buru... buru...” prosi. Wyraz ten ma uniwersalne znaczenie jak u nas pewien czasownik. Buru znaczy idź, burubahaj to nie tylko pojazd mechaniczny, lecz także życzenia szczęśliwej podróży. Owo buru... buru... wypowiedziane rozciągliwie jest prośbą o rozejście się, lecz buru buru wypowiedziane szybko, głośno i z naciskiem mówi: spieprzajcie! A gapiów ciągle przybywa, jak byśmy byli dla nich większą atrakcją niż dla nas ich obrzęd pogrzebowy, kiedy nieboszczyka niesie się odkrytego na desce w rodzaju noszy i co chwilę poprawia, bo może spaść.

*

Za Kunduzem kończy się asfalt – jest kurz, tak gęsty, że trzeba jechać na światłach. Puchatek kochający zwierzęta, liczył że zobaczy na wolności lwa lub tygrysa. Jest zawiedziony. Dotychczas widział tylko wielbłądy, skorpiony i pantezę śnieżną, niestety wypchaną, którą chciano mu sprzedać. Cena jednak przewyższała jego zasoby finansowe.

*

Plemiona Nomadów zajmują się przemysłem haszyszu i papierosów, wędrując bez wiz i paszportów od Indii po Iran. Namioty swoje rozstawiają także na nizinach. Tamci w dolinach Salangu zachowywali się przyjaźnie, obozowiska tutejszych lepiej omijać. Mężczyźni wymownie sięgają po broń, do kobiet, mimo że

nie zasłaniają twarzy, nie warto się zbliżać, gdyż niemiłosiernie cuchną, pluja i rzucają kamieniami.

*

Stada pędzonych owiec wzniesają stokroć większy kurz niż nasze samochody. Kierowcy wówczas zatrzymują się, słońce gaśnie, ludzie zakrywają usta i nozdrza chustami. W szarobrunatnej ciemności słyszeć tylko łopot racic i nawoływania poganiaczy.

*

Talikan. Późny wieczór rozbawionego miasteczka oświetlonego kolorowymi lampionami. W ich nikłym blasku poruszamy się wolno uliczkami upiętymi płótnami transparentów, witrynami straganów i reklamami. Przemykają kolorowe, dwukołowe arby, rozbrzmiewające uwieszonymi dzwoneczkami, ciągnięte przez konie przystrojone kwiatami. Na sofach kawiarni w leniwych pozach leżą mężczyźni nad zawartością szklanek. W ogródku jednej z kafejek spoczywa na matach kilkusobowa grupa młodzieży francuskiej obojga płci. Piją coca-cole, wino, palą papierosy i są hałaśliwi. Dziewczeta w kusych mini-spódniczkach, półsiedząc – półleżąc, prowokują tubylców, których ciemne oczy biegają niespokojnie ciągle w jednym kierunku i płoną. Poza kręgiem światła lampionów niczego dostrzec nie można – gęsty mrok upalnej nocy i cisza, lecz to właśnie tam kryją się wszystkie tajemnice wschodu.

*

Hotel okazuje się ogrodzonym placem wysypanym żwirkiem. Sypia się tu pod gołym niebem, co wszakże w tym klimacie jest bez znaczenia. Po północy przybywają rozśpiewani Francuzi. Prześcigamy się w kombinacjach ułożenia materacy, byle tylko bliżej ponętnych dziewcząt. Pedantyczny Burt czyni kosmetyczne zabiegi, cnotliwy Tadek klęczy z twarzą ku północy i modli się, a potem wchodzi na pakę Toyoty. Palę papierosa, a myśli moje ulatują od bioder najpulchniejszej z Francuzek do scenki dostrzeżonej w drodze do „hotelu”. Niby nic, a widok ten będzie prześladował mnie długo. Wyciągnięty sztywno i równiutko jak trup na twardej desce tuż za szybą okna wystawowego swojego sklepu, spał ten kupiec pośród przedmiotów, stanowiących reklamowy wystrój witryny.

*

Salat muzułmański odmawia się pięć razy na dobę: o wschodzie i zachodzie słońca, w południe i po południu, a także w nocy. Kiedy zbliża się czas modlitwy, nasz kierowca zatrzymuje samochód w pobliżu licznych tu potoków, rozbiera się do naga, a opluskawszy się wodą przywdziewa galabiję, rozkłada dywanik i bije pokłony. Trzeba go wtedy obchodzić z tyłu, z przodu wywołałoby to gniew Allacha. Dzisiaj w południe zszedł dość głęboko w dół do wątego strumyczka, nabierając muszlą dłoni wodę, chlustał na siebie, a potem rozpoczął swój „Anioł Pań-

ski” na środku wąziutkiej tu drogi. Niezwykłe to rzadka rzecz, ale akurat z przeciwnika nadjechał samochód. Tamten kierowca zatrzymał wóz i czekał cierpliwie aż nasz skończy modły. Gesty kultury i tolerancji jakże nam odległe.

*

Keszim – następne miasteczko na naszej trasie. Produkuje się tu dywany, ceramikę, przedmioty z metalu. Zaopatrzyłem się w nóż sprężynowy, Jurek chciałby nabyć jakieś oryginalne starocie. Wszędzie pełno juków wielbłądzich lub oślich, dywany i dywaniki – wszystko nowiutkie. Jurek marudzi, a sprzedawca w lot chwyta okazję. Biegnie na zaplecze i po pewnym czasie przynosi jakiś sfatygowany i cuchnący dywan. Oczywiście wymienia cenę pięciokrotnie wyższą od nowego. Jurek sięga po pieniądze.

— Czyś ty stary zgłupiał? – powstrzymuje go Alek.

— Przecież to ma wartość – argumentuje potencjalny kolekcjoner zabytków.

— Kup idioto ten nowy i podłóż pod stado wielbłądów, które właśnie pędzą – radzi Miras. – Będziesz miał starocie, zaś różnicę ceny możesz mi wypłacić tytułem honorarium za poradę.

Żartując z Jurka idziemy włąb targowiska. Oto „gallux” z towarami łokciowymi, złożonymi bezpośrednio na ziemi, a opodal delikatesowa sprzedaż rodzynek popielatych od kurzu. Ułożoną z nich piramidę, także na ziemi, sprzedawca rozgarnia co pewien czas, układając nową. Zabiegi te mają odkurzyć owoce. Przy straganie mięsnym spore zgromadzenie. Przyprowadzono właśnie zabiedzonego, wyleniałego wielbłąda. Nabywcy mięsa wskazują na zwierzęciu, które z jego członów chcą kupić. Rzeźnik przygotowuje się do publicznego mordy, ostrząc noże, w oczach zwierzęcia, jakże dużych i wyrazistych, lęk i rezygnacja.

— Hej! Panowie! Chodźcie tutaj, pokażę wam szalonego mułła – woła Jasień.

Zarośnięty totalnie starzec do złudzenia przypomina orangutana i zwinny jest jak małpa, na grzbiecie serdak z długiego włosia, a w ręku bicz ze skóry, długi jak na wielbłąda.

— Waldek! Zrób mu zdjęcie – zachęca Jasień, a do chłopców szeptem – Zobaczmy jak mu przyłoży tym warkoczem Zosi Horeszkówny.

Nie trzeba nawet przymierzać się do wykonania fotografii, wystarczy, że szalony mułła dostrzeże u kogoś aparat fotograficzny, by już go gonić i okładać biczem. Oberwałem i ja, tyle tylko że Szalony Mułła, choć niezwykle szybki w nogach, nie ma już wiele sił władania tym ciężkim biczyskiem, ustawicznie chłostając „fotoreporterów”.

*

Za Keszimem zaczyna się przełom Kokczy. Ci, którzy wracali z Hindukuszu, mogli w swych prelekcjach pominąć to lub owo, jednakże żaden nie zapomniał opowiedzieć o przełomie Kokczy. Do tej karkołomnej drogi doprowadza wąwóz piaskowcowy, w którego ścianach natura wyrzeźbiła galerię gigantycznych czaszek z rozwartymi ustami i pustymi oczodołami. Osobliwe memento. Kiedy zza



Fajzabad, hotel. Fot. J. Weigel

zakrętu ukazały się naszym oczom węzowe sploty tej drogi wyrąbanej w zboczu, zatrzymaliśmy się.

— Chryste Miłosierny! – egzaltuje się Alek. – Przecież to stolec zapiera, ciężarówka tędy nie przejedzie.

— Trzeba spróbować – spokojnie decyduje Zbych.

I tak zaczęła się dla pięciotonowego Stara największa przygoda, od czasu kiedy zeszedł z taśmy. Poharatał w niej burty, zdeformował bak, poobdzierał błotniki, powyginał maskę i pourywał zderzaki⁹. Bo też droga była miejscami węższa niż rozstaw jego osi, a zakręty wewnętrzne, uszczuplone przez osuwający się szutr, trzeba było brać na kilka razy, podkładając belki. W tych karkołomnych manewrach, wykonywanych precyzyjnie co do centymetra, Zbych był sam, bo pasażerowie zeskakiwali w popłochu przed każdym zakrętem, a co lękliwsi szli piechotą. On jeden nie mógł opuścić kabiny i nie mógł odwrócić oczu od lustra rwącej rzeki o czterysta metrów niżej, z której sterczały wraki pochłoniętych przez nią aut. Wiedział, że nie może popełnić najdrobniejszego błędu, bo nie istniał żaden margines czasu umożliwiający wyskoczenie. Nawet nasz pobożny kierowca mikrobusu, bądź co bądź profesjonalista, kręcił z podziwem głową, że taki wielki wóz przebył tę piekielnie zdradliwą trasę. Zbych cieszy się szacunkiem nas wszystkich ze względu na wybitną osobowość. Obecnie doszedł podziw, bo wy czyn jakiego dokonał „okrył go nieśmiertelną sławą”, jak by ujął to Sienkiewicz.

*

⁹ *Licentia poetica* – uszkodzenia stara w czasie całego przejazdu były niewielkie.

Słynne kopalnie lazurytu znajdują się w Badachszenie, a stolicą tej prowincji jest Fajzabad, najdalej na północny wschód wysunięte miasto Afganistanu. Jak niemal wszystkie miasta tego kraju jest chaotycznie zabudowany, wille przeplatają się z lepiankami. Ulice usiane straganami. Na skrzyżowaniu dwóch głównych ulic, którymi samochody przejeżdżają z częstotliwością kilku na godzinę, stoi na wysepce paradnie umundurowany policjant w celu kierowania ruchem, a u jego stóp dzieciarnia niczym w piaskownicy, bawi się w kurzu.

*

Cień jest błogosławieństwem, woda życiem. Brak wodociągów i studni zastępuje dżuja. W większych miastach obetonowana, tutaj ma koryto, jakie sobie wypracowała. Dżuja jest dobra na wszystko: w niej dopełnia się toalety, myje naczynia, z niej czerpie się wodę do gotowania i pije bezpośrednio, w niej, o zgrozo, załatwia się potrzeby fizjologiczne. Jest więc siedliskiem ameby – pierwotniaka powodującego schorzenia przewodu pokarmowego. Wobec ameby, objawiającej się jak paratyfus: wymiotami i biegunką, medycyna jest bezradna. Ameba, niegroźna dla ludzi wschodu, Europejczyka może zabić. O zagrożeniach wiemy od dawna i już od Mazar-i Szerif gotując płyny utrzymywaliśmy wodę w stanie wrzenia przez kwadrans, potem jednak zламаł nas upał, więc jedliśmy niemyte owoce, piliśmy herbatę w czajchanach, wiedząc, że wodę czerpie się z dżuji.

Fajzabad nie jest skanalizowany, ma za to lotnisko i hotel. Te dwa udogodnienia powstały z okazji odwiedzin króla w latach 30. Rozkład lotów zależy od liczby pasażerów. Hotel zbudowano na olbrzymim bloku skalnym na środku rzeki z dojściem przez długi most. Trzeba mieć głęboki, zdrowy sen, by odciąć się od potwornego łoskotu, jaki wydaje rozszałała rzeka tocząca głazy. Ale skorzystać z „komfortu” tego hotelu trzeba, ponieważ policja nie wypuści podróżników dalej, nawet gdyby zawitali do miasta z samego rana. Osobliwością jest jedyna w tym hotelu toaleta, będąca repliką królewskiego tronu. Do sedesu podchodzi się po stopniach, oparcia dla pleców i ramion są fantazyjnie rzeźbione z dziurami w czterech rogach, a do spłukiwania dzbanki z wodą i patyki jak miniatutki kijów hokejowych. Jesteśmy jedynymi gośćmi tego hotelu, w którym ruch zaczyna się dopiero nocą. Wypełzają zgłodniałe karaluchy, skradają się ruchliwe szczypawice, łaskoczą natrętne muchy, najdokuczliwsze są jednak duże, mięsiste pająki. Poranne ablucje u brzegu rzeki, której szybkość przyprawia o zawrót głowy. Spragnieni prysznicu mogą przedostać się na skalny cypelek, omiatany co chwila silną falą. Niezbędna jest tu asekuracja linowa.

*

Przy śniadaniu tematem odprawy jest dylemat, czy jechać dalej Starem, czy wynajętymi samochodami.

— Jeżeli ruszymy stąd „Stara” – mówi Prezes – i gdzieś w dziczy nawali, wyprawa bierze w łeb. Jeżeli go tu zostawimy, odcinamy sobie odwrót. Nie dopuszczam nawet myśli o jakimkolwiek wypadku. Poddaję kwestię pod głosowanie.

Zdecydowaliśmy jechać „Starem” wspomaganym przez wynajętą bagażówkę, która zabierze część ładunku.

*

Pomysł wykąpania się w Kokczy skończył się dla mnie fatalnie. Potężna fala zdarła mi dłonie z chwytu skalnego i wtłoczyła w rozszalały nurt. Zachłysnąłem się potężnym łykiem tej wody zmieszanej z rozbitymi na atomy gównami. Za chwilę wyrznięłem czaszką o jakiś podwodny głaz. Szarpnięcie liny, Burt ściągnął szybko, wygramoliłem się na oślizły wysterek skały. Biegnę do pokoju hotelowego i wprost z butelki wypijam połowę jej zawartości. Wpycham palce głęboko w przelyk, by zwymiotować. Na próżno, w żołądku bulgocą płyny, oczy pieką łązy, mózg objęty przerażeniem.

*

Przed hotelem zaparkował mikrobusik piwoszy z Monachium, którzy mieniają się również „wyprawą alpinistyczną”, aczkolwiek wyposażeni są wyłącznie w broń palną.

*

Wizytę gubernatorowi prowincji składa delegacja naszej ekipy, w osobach: kierownika i Kazka. Musimy uzyskać zezwolenie na działalność górską. Sprawa jest delikatna, bo cel nasz leży zbyt blisko Chin.

*

Rozmontowujemy budę Stara, zdejmując płachtę i rozbierając prowizoryczną dobudowę do szoferki. Wspierani będziemy autem starego, brodatego Afgana, którego wóz ma ładowność mniej więcej polskiego Żuka. Dziadek określił, jaki ładunek może zabrać, po czym poszedł do miasta. Wykorzystaliśmy tę jego nieobecność, dorzucając mu niepostrzeżenie jeszcze około trzystu kilogramów. Ta jego „bryka” jest Nielitościwie sfatygowana, skrzypiąca, przeżarta rdzą, nie wiadomo, jak daleko nią zajedziemy. Nadchodzi Kazik.

- Przecież mieliście zdemontować także kabłąki Stara.
- A po cholere. Można przecież do nich jeszcze coś przywiązać.
- Ciebie palancie, skoro myślisz, że pojedziemy autostradą.

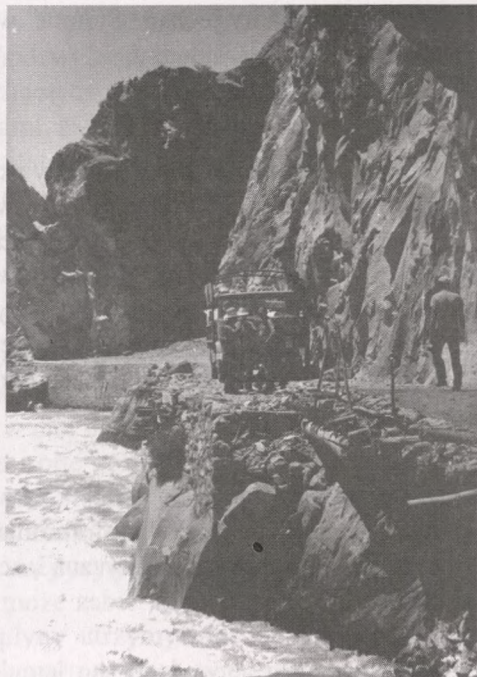
DOLINA GWIAZD

Te rzekome kanały irygacyjne to propaganda. Gdyby istniały, urodzaje byłyby lepsze. Cóż bowiem może wydać ziemia pozbawiona wilgoci i nawozu, orana sochą? Na razie więc, gdzie woda – tam życie. Reszta obszarów jest tylko pustynią biczowaną słońcem i dławioną kurzem, ziemią o której zapomniał Bóg.

Budownictwo tutejsze nie wymaga udziału urbanistów i architektów. Domki wznosi się z kamieni i piasku, spoiwem jest nawóz zwierzęcy. Jeden z takich



Most na rzece Wardudź.
Fot. J. Weigel



Wardudź, przejazd przez prowizoryczny most
w miejscu oberwania się drogi. Fot. J. Weigel

„M-2” potrafił nasz samochód i zniósł w połowie¹⁰. Posiadacz nie przejął się zbyt, twierdząc, że usterkę usunie do jutra. W tych odległych skupiskach ludzkich nie ma szpitali, ośrodków zdrowia, nie przyjeżdżają tu ambulanse. Doktor ma pełne ręce roboty: opatruje rany, bada, rozdaje lekarstwa, udziela porad. Tłum pacjentów rośnie, są chorzy z urojenia, są autentyczni, sporo dzieci z zaawansowaną gruźlicą. Ktoś ofiarowuje lekarzowi puchacza, który podobno przynosi szczęście. Prezent zostaje uwolniony ze sznurka i wylatuje na swobodę.

*

Przy odległych od osiedli drogach rozsianych jest sporo grobów. Są oznaczone tyczkami z kolorowymi wstążkami. Z pobliskich Indii przywędrowały tu plemiona Persów. Ci wyznawcy Zaratusztry nie grzebią zmarłych, lecz wynoszą ich poza wioskę. Niektórzy starcy, czując nadchodzący koniec wędrówki ziemskiej sami oddalają się gdzieś na odludzia. Szokujące było dla mnie, kiedy w rzadkim zagajniku natknąłem się na zwłoki, niezupełnie jeszcze oczyszczone przez ptactwo. Także któryś z chłopców przyniósł czaszkę z resztkami włosów, co Doktor uznał za profanację i dopilnował, aby była odniesiona na miejsce.

¹⁰ *Licentia poetica* – nikt z uczestników wyprawy jadących Starem nie przypomina sobie takiego zdarzenia.

*

Pniemy się w górę rzeki Wardudź, jak niegdyś Marco Polo. Człowiek szczęśliwy, gdy wędruje, choćby bez celu. Zapach osiedli ludzkich pozostał daleko. Teraz jest tylko rozległa dolina wypełniona zapachem rozgrzanej roślinności i łagodnie wznoszące się serpentyny wąskiej drogi.

*

Dłuższy, przymusowy postój z powodu awarii „Stara”. Dziwna rzecz: auto „Dziadka” z wygiętymi w odwrotnym kierunku resorami, powiązanymi sznurkami i drutem, funkcjonuje bez zarzutu, choć z wyglądu i wieku powinno być oddane na złom. Tymczasem w naszej nowiutkiej ciężarówce nawaliło sprzęgło. Nie znający alfabetu ani mowy polskiej „Dziadek” wertuje fabryczną instrukcję obsługi i naprawy „Stara”, a zorientowawszy się z rysunków, włązi pod wóz i bierze się do naprawy¹¹.

*

Choćbyś szedł ze wzrokiem utkwionym w ziemię, nie dojrzysz skąd wypełniają. Jest ich mnogość, wszystkie koloru piaskowego, biegające bardzo szybko i unoszące żółte łebki, nakryte sfałdowanymi płacami skóry. Wszystkie gady nie są urodziwe, te w swej brzydocie wyglądają jak zasuszone zakonnice w czepkach. Paciorkami oczu wpatrują się natarczywie w człowieka.

*

Dolina jak z amerykańskiego westernu, kanion spięty klamrą wąskiego mostku bez barier. Idealnie równo trzeba ustawić koła ciężarówki, aby go szczęśliwie przejechać. Belki nie sięgają od brzegu po brzeg, kończą się różnie, tworząc przedziwną płataninę drewna nie zespolonego ze sobą ani jednym gwoździem. Okrągłaki podłużne poprzątkane są poprzecznymi, szpary utkane gałęziami i korzeniami, całość przysypana kamieniami i żwirem. Zmuszeni jesteśmy rozładować kilka ton bagażu i przenieść go na drugi brzeg, po czym następuje emocjonujące widowisko przejazdu pustego samochodu. Most stęka, wygina się, trzeszczy, sypie się żwir, wypadają kamienie. Koła toczą się wolniutko, otwarte drzwi szoferki, skupiona twarz Zbycha.

*

Zatrzymujemy się gdzie noc dopadnie. Każde miejsce nadaje się do rozłożenia śpiworów.

— Panowie! Zapowiada się uczta! Prezes kazał wydać parówki z „Baltony” na kolację!

— Hurra! Po ile?

¹¹ To pewne ubarwienie – „Dziadek” naszej ciężarówki nawet nie dotknął, samochód naprawialiśmy sami i to wielokrotnie.

- Puszka na dwa pyski.
- Niech go Pan Bóg błogosławi.

Płoną palniki butli butanowych, żarzą się ogarki papierosów, jak zwoje miękkiej tkaniny ścielą się cienie przez całą szerokość kanionu. Milkną rozmowy. Dolina Gwiazd zapada w sen.



Wardudź, wyjazd z przełomu rzeki. Fot. J. Weigel

*

Iszkaśzim. Prezes z Kazikiem poszli z bachszyszem do lokalnego bonzy, pozostali okupują czajchanę. Mnie nękają nieustanne torsje, a także biegunka. Doktor zalecił końskie dawki sulfaguanidyny, Tadek poi mnie herbatą, która nie chce jednak zdomowić się w moim organizmie. Mając jeszcze część herbaty w garnuszku, część wypitą mam już w spodniach. W tej wstydlivej, poniżającej sytuacji koledzy układają mnie w cieniu muru cmentarnego...

— Będzie bliżej w razie czego – orzeka Miraś.

*

— Śnił mi się kominiarz – zwierza się Jurek. – Wszystko się szczęśliwie ułoży.



Hindukusz Centralny, panorama szczytów w rejonie Salangu.
Fot. J. Weigel



Wieś Langar, ładunki wyprawy i oczekujący tragarze.
Fot. J. Weigel

- Chwyć się za guzik
- Przecież jestem w swetrze.
- Od rozporka, idioto, od rozporka!

*

Zbliżamy się do rzeki Ab-i Pandzia, stanowiącej tu granicę z Tadżykistanem. Góry za nią to Mały Pamiir. Jeszcze kilkanaście kilometrów i wszystko już „znajome”. Oto wylot doliny Quazi Deh wiodącej pod Noszak – początek polskich sukcesów w Hindukuszu: drugie wejście, pierwsze ścianą, pierwsze zimą. Nieco dalej osiedle Warg, skąd ruszyli poznaniacy na Nadir Szacha i Kuh-e-Mandaras, ale oto i Szachaur i dolina tej nazwy, a gdzieś nad nią wyniosły Kiszmi Chan, tam równo dziesięć lat temu walczyła grupa Wilka. Wreszcie nasza wioska Langar, koniec jazdy samochodami. Odtąd wyprawa nasza stanie się wielkim przedsięwzięciem transportowym na grzbietach ludzkich.

Kilkaście nędznych lepiank, mizerne rozlewiska dopływu Ab-i Pandzii, rzadkie zagajniki liściastych drzewek. Wiatr wieje ciągle z północnego zachodu, miotając pyłem pustynnym. Z chat wychodzą mężczyźni.

KARAWANA

Tuż za wsią wznosi się żółtymi progami dolina. Wystarczy wejść na pierwsze wzniesienie, by spojrzeć w jej głąb. Dolina ta, głucha, naga i dzika, wijąc się ginie w dali, zamknięta gdzieś wysoko majaczącymi zjawami białych kopuł, które wyglądają jak spiętrzone obłoki. Przyjemnie jest posiedzieć tutaj na kępach wyschłej trawy wśród wątłych drzewek, wyłączyć się z harmidru, jaki opanował plac wioskowy zarzucony stertami bębnow i worów wyprawowych, umknąć z ciasnego kręgu natrętnych kulisów.

Penetrację tego regionu górskiego zapoczątkowali Szwajcarzy, wejściem na Shah Dhara, a w rok później ekspedycji niemieckiej uległ Langar Zom, siedmiotysięcznik, najwyższy w otoczeniu tej doliny. Przez następne dziewięć lat nie pojawiła się tu żadna grupa alpinistów.

Zainteresowanie naszą wyprawą jest nieprzerwane i trwa od świtu. Mężczyźni kucają wśród bębnow, wokół namiotu i samochodu, zaglądają do garnków, dotykają wszystkiego, kreślą jakieś znaki patykiem w kurzu placu wioskowego. Zrzędzeniem losu, po tylu latach, kiedy pies z kulawą nogą tu nie zaglądał, góry w otoczeniu doliny, u wylotu której leży ich wioska, znalazły się w centrum zainteresowania. Przed tygodniem zakończyła tu działalność ekspedycja szwajcarska, teraz my, spodziewani są także Austriacy. Trwają targi. Kulisi żądają po 600 afgani za dzienną pracę, co odpowiada 12 dolarom, Kazik oferuje po 200. Potrząsają przecząco głowami, kucają, mają czas.

Wytrąceni z napięcia uciążliwej podróży, pozbawieni jakichkolwiek zajęć, snujemy się tu i ówdzie. Zbych paraduje w papuzim tarbuszu, co upodabnia go do muzułmanina, tym bardziej, że jest smukłym brunetem o wydatnym nosie. Burt, balansując na chybotałej skrzynce przed lusterkiem „Stara”, strzyże włosy. Po-



Karawana w bazie, wypłata tragarzom należności. Fot. J. Weigel

woli jego głowa przybiera wygląd rżyska, skoszonego przez pijanego żniwiarza. Niektórych opadła tęsknota za czymś pozostawionym daleko na zachodzie, jak choćby Doktora, gwizdzącego ciągle melodię z filmu „Love Story”.

— Jakoś nie odczuwam wielkiej radości z faktu przebywania w górach — zwierzam się Klukowi.

— To chwilowe, wszyscy jesteśmy nieco apatyczni, a ty w dodatku połknąłeś tę cholerną amebę. Wszystko jednak ułoży się jakoś. Najważniejsze, że jesteśmy już tu, że do gór jak ręką sięgnąć, a przygoda nasza dopiero się zaczyna, i że po latach będziemy tę wyprawę wspominać jak najwspanialsze przeżycie.

*

Wprowadzono warty nocne po pół godziny. Pomysł zaiste szatański, przeto wielu deklarowało pełnienie warty po dwie a nawet po cztery godziny, w zamian za nie przerywany sen podczas następnych nocy. Niestety, tylko ustawy sejmowe zapadają większością głosów, na wyprawie o wszystkim decyduje lider. To on ustalał skład ekipy, decydował o jej liczebności, to on wyeliminował legendarnego Jano¹² — wspinacza ze ścisłej czołówki alpinistów, w jego miejsce wstawiając nas trzech: Burta, Kluka i mnie, to on wreszcie, nie należąc do żadnej partii, wy-

¹² Jano sam zrezygnował z wyjazdu, nikt go nie „wyeliminował”.

walczył sponsorów spośród wysoko partyjnych bonzów. Nasz lider wspina się od wczesnej młodości i posiada ogromny dorobek górski i wyczerpującą wiedzę o górach. Jednego wszakże mu brak – ekstremalnych sukcesów sportowych. Nie sięgnął po nie, choć poza Tatrami działał w Alpach, Kaukazie i Andach, ale przecież nie każdy musi być Bonattim czy Buhlem.

*

Alek i Miraś wrócili z rekonesansu. O trzy godziny drogi w górę doliny jest kociołek zadrzewiony i woda źródłana, odległość do czoła lodowca oceniają na dwa dni, uwzględniając tempo karawany.

Na wieczornej odprawie Prezes jakiś przygaszony.

— Zastanawiam się czy nie skierować wyprawy w góry Zebaku.

— Po cóż więc tu przyjechaliśmy? – pyta Majcher.

— Bo na Wakhan nie dostaliśmy zezwolenia, zbyt blisko Chin. Pozostał więc albo Zebak, albo otoczenie tej doliny¹³.

— W porządku! Jesteśmy więc niemal pod Langarami.

— Chyba zauważyłeś, że nie możemy dogadać się z tragarzami.

— Czyżby w Zebaku byli tańsi?

— Nie mamy pieniędzy na opłacanie po 600 afghani zasranego tragarza. Jeżeli wyniesiecie sami ładunki, proszę bardzo. Zaczynamy od jutra. We wsi zostają: Kazik prowadzący pertraktacje, Zbych, który musi odetchnąć po tym siedzeniu za kółkiem, ja i Waldek nie zapinający już portek. Alek i Miraś ustalą miejsce na bazę. Kto jeszcze nie może nosić?

— Bardzo słabo się czuję – zaszemrał Tadek.

— Chciałbym uporządkować ładunki – znalazł zajęcie Krzysiu.

— Powinien także pozostać Tedi lub Majcher – mówi Kazik. – Znaczy się jeden z anglistów.

— Zostanie Tedi i będzie zarazem kucharzem – decyduje Prezes, który nie lubi Majchra, a zwracając się do Krzysia pyta:

— Co jest do wyniesienia na akcję górską?

— Trzydzieści osiem worów żywności, osiemnaście sprzętu ogólnego i tyleż osobistego, razem siedemdziesiąt cztery – recytuje Krzysiu, nieopatrznie ujawniając wcześniejsze uporządkowanie ładunków.

*

Do oazy wciśniętej w zbocze Kotale Asan wyniesionych zostaje dziewięć bębnow. Nocą wartownicy ukrywają kilkanaście worów w namiocie wojskowym służącym za messę. Rankiem poruszenie w grupie kulisów, tym bardziej, że na ich oczach podrywa się do noszenia aż czternastu ludzi. W wiosce pozostają tylko Kazik i Prezes.

¹³ Zezwolenie na działalność dotyczyło grupy górskiej Langar Zom, położonej w Wakhanie; nigdy nie myśleliśmy o zmianach naszej działalności na góry Zebaku.

*

Niosę swoje 30 kilo¹⁴, początkowo buńczucznie, powoli jednak odstaję od grupy, która rozciągnęła się w długiego węża. Jego łeb tworzy dziesięciu silnych, wyjątkowo cieniutką szyję Tadek, oraz bardzo długi ogon ja, gdzieś niżej Zbych i daleko w dole Jurek. Pasy nośne wrzynają się w ramiona, powodując drętwienie mięśni, taśma czołowa parzy czoło. Garściami połykana sulfaguanidyna nie zatrzymuje skutecznie biegunki i kilkakrotnie „popuszczam” w spodnie. Ogromne pragnienie stwarza wizję strugi wody, słyszę nawet jej szum i ciągle pojawia mi się ów zagajnik w kotle, o którym opowiadał Miraś. Ilekroć jednak podchodzę do tej oazy wspaniałości, okazuje się ona kępą kolczastych ostów i szorstkich traw. Słońce praży niemiłosiernie w tej pustej dolinie zrytej zwałami szutru naniesionego, kiedy szły tędy wielkie wody. Pragnąłbym zlizywać własny pot, ale w tym klimacie człowiek się nie poci, nawet przy największym wysiłku. Siusianie mam tak skąpe jak u psa. Liczę kroki i myślę się w tych rachubach, przesuwam pasy raz w lewo, raz w prawo, kark sztywnieje, słońce ma barwę krwi. Upór, tępy upór: „przecież to tylko trzy godziny”. Chciałbym choć na chwilę zrzucić ten ciężar z pleców, ale sam nie mógłbym go sobie ponownie zarzucić na barki. Nie widzę Tadka ani tamtych, co byli za mną. Świadomość, że muszę to nieść i donieść, zwęża nareszcie dolinę i spiętrza jej lewą część. Pnę się tym spiętrzeniem, dotykając brodą kolan... i nagle cień drzew i szmer wody stają się rzeczywistością! Coś do mnie wołają ci którzy przybyli tu dawno. Nie słyszę, nie chcę słyszeć, bo dla mnie najcudowniejszą muzyką jest ta mowa wody, której jeszcze nie widzę, lecz uparcie idę za jej głosem.

W małym kotle, pod jednym z setek pięciotysięcznych szczytów hinduku-skich, mocząc nogi w przejrzystym strumieniu i pitrasząc obiad, czternastu ludzi cieszy się swym pierwszym dniem w górach egzotycznych. Pozostaniemy tu z Tadekiem, pozostali zejść do wsi.

Bajkowy wieczór, pełnia księżyca. Gotujemy gary herbaty i do późnej nocy snujemy marzenia. Palę papierosy, a ponieważ Tadek nie znosi dymu tytoniowego, możemy pozwolić sobie na luksus spania w oddzielnych namiotach. Śpi się cudownie na tych 3 tysiącach metrów.

*

Od rana wspaniałe słońce i lekki wiatr. Wytworne też śniadanie: sardynki, ser topiony, chrupki chleb i biała kawa. Piorę bieliznę i spodnie, wszystko momentalnie schnie. Kapię się w zagłębieniu potoku. W południe przychodzą Doktor i Burt z dobrymi wieściami, że targi z kulisami zakończone po naszej myśli. Tadek wraz z nimi schodzi do wsi, ja pozostaję na łączności aż do nadejścia karawany. Gdzieś z południowego wschodu napłynęły chmury szare i ciężkie. „Czyżby symptomy przedzierającego się monsunu?”. W górach bliższych oceanowi, jak Himalaje Sikkimu czy Centralne, monsun wieje od czerwca do września, przynosząc obfite

¹⁴ Na tym etapie nosiliśmy duże, ale bardzo lekkie plecaki, „demonstracyjnie” wypchane materacami piankowymi.

opady. Wszystkie ośmiotysięczniki zdobyte zostały w okresach międzymonsunowych, z wyjątkiem Annapurny, gdzie też zdobywcy zbyt wysoko opłacili sukces. W Himalajach Zachodnich i Karakorum monsun nie ma już tej siły, a w Hindukuszu mogą pojawiać się tylko jego podmuchy.

*

Tymczasem w wiosce wielki rejwach. Mały, czarny, ruchliwy jak żuczek sirdar, przygnieciony olbrzymią flintą niewiadomego typu, uspokaja kulisów wyrzuciwszy sobie worki i bębny. *Yak nafarnusdurkar czakadar łaznaras nakladada metalanat?* pytają, choć sprawdzać będą na wiszącej wadze czy ładunki nie przekraczają 33 kilogramów. Ci, którym przydzielono już bębny, dowiązują do nich osobisty ekwipunek: kawałki koców, dywaniki modlitewne, miseczki i czajniki.

— *Kąsyki bystarara taaher berasanad bakszysz migi rad* – głosi sirdar, co zobowiązuje tragarza do doniesienia ładunku do bazy, za co otrzyma nagrodę. Niektórzy deklarują wyniesienie dwóch lub nawet trzech ładunków.

— Sto kilo! – dziwi się Kazik. – Tego żaden człowiek nie dokona.

— Spójrz w zarośla – śmieje się Prezes. – Widzisz te bydłeta poczęte z meza-lansu krowy z żubrem? Przecież my im płacimy od ładunku, więc zamożniejsi mogą zarobić nawet trzykrotnie.

— Boże Miłosierny – wzdycha Jasień. – Na całym świecie nie ma sprawiedliwości, wszędzie biedacy są w dupę bici.

W tumanach wzniesanego kurzu ryki zwierząt i wrzaski kulisów. Niosą starcy i kilkunastoletni chłopcy. Zwierzęta ujarzmione drutem przewleczonym przez nozdrza, idą posłusznie. Koń czy osioł są wrażliwe na ekspozycję, yak idzie jak czołg. Każdy z nas, eskortujących karawanę, odpowiada za pięć lub sześć ładunków według numeracji. Tempo poruszania się tragarzy jest różne, co powoduje zamieszanie.

— Popcio, zwróć uwagę na mojego trzydzieści sześć, bo wyrwał gdzieś do przodu.

— Stary! Czy jest tam koło ciebie czternastka?

Trzeba ustawicznie przeliczać swoich podopiecznych, wyczekiwać na maruderów, doganiać ścigantów. Marsz przeplatany jest odpoczynkami dla ugotowania posiłków czy herbaty. Ogniska rozpalają sprawnie: trzy kamienie i trochę wysuszonej trawy. Jedzą, nabierając palcami ciepłą bryję wprost z garnków. Gdy postoje bywają zbyt częste, trzeba ich popędzać owym „buru, buru”, niekiedy wspomaganym polskimi soczystościami. Kulisi przyswajają sobie szybko te zawołania i pokrzykują między sobą: „Buru, buru, k.... m..!” Sirdar mówi, że nie da się wydłużyć dnia ani skrócić drogi (zaiste filozoficzne stwierdzenie). On pracował dla Szwajcarów i wie, że droga ze wsi do czoła lodowca wynosi dziewięć czajników i tyle potrwa, bo kouchi mają swój honor.

*



Langar Zom, siedmiotysięcznik będący celem wyprawy. Fot. J. Weigel

Nestorem kulisów jest kościsty, wysoki starzec o śnieżnobiałej brodzie. Otaczany jest szacunkiem. W czasie postojów podają mu tę papkę z tsampy w glinianej misce, nalewają herbaty do jego szklanki z grubego szkła, przynoszą wodę, by opłukał dłonie. Lubię patrzeć jak stary pije a krople ściekają wartko po jego jakże długiej, prostej i lśniącej brodzie, jakby uczesał ją fryzjer.

Moja jest krótka, trójkolorowa: ciemno-siwo-ruda i rośnie dziko, we wszystkich kierunkach. Prezes, jak angielski gentleman, zawsze starannie ogolony, spluwa na mój widok, a Popcio obdarzony zarostem kandydata na rabina, twierdzi, że wzbudzam w nim odruchy wymiotne. Afgańczycy, nie bez racji, uważają mnie za seniora wyprawy, przeto sirdar, widząc jak szparko uwijam się pod ciężarem plecaka, pyta ile mam lat. „Osiemdziesiąt” – informuje Zbych, zaś sirdar kiwa z uznaniem głową.

*

Czoło lodowca ma około dwudziestu metrów wysokości, lód niebieskawo zielony, przysuty naniesionym żwirem i okruchami skał. Idziemy pojedynczo wąziutką krawędzią moreny bocznej. Owinięte szmatami, a u niektórych bose stopy ujeżdżają po lodzie, zwierzęta stękają z wysiłku, słysząc granie ich śledzion. Tragarze smrodzą, co w tym czystym i chłodnym powietrzu, emanującym z lodowców, jest nazbyt wyczuwalne. Względnie płaski teren, tuż pod barierą bocznego

lodowca spływającego spod przełęczy Kotale Galatti, nadaje się na ustawienie namiotów bazy. Kulisi składają ładunki. Jakiś mizerota jęczy, trzymając się za głowę. Daję mu tabletkę „no spa”, a tu nagle wielu ściska się za brzuchy i głowy. W mig otoczony jestem ciasnym kręgiem „cierpiących”, naciskany ich wyciągniętymi ramionami. Nie jestem w stanie uwolnić się do momentu, aż cały zapas witamin, jaki przydzielił mi lekarz, łącznie z sulfaguanidyną, nie zostaje połknięty. Trwa wypłata. Kulisi oddają numerki i otrzymują pieniądze. No a bachszysz? Bez tego nie odejdą, tłum napiera i rośnie pomruk. Należało wcześniej uzgodnić, co się im da. Pomni tragedii w dolinie Se-Ab, przed paru laty, gdzie kulisi postzelili i ukamienowali dwóch Brytyjczyków, a jeden zdołał zbiec, śpiesznie rozładowujemy bębny z czekanami i młotkami. Jedyną strzelbę ma sirdar, luźne kamienie zdążyły poprzymarzać. Wszakże, skoro taki jest zwyczaj, trzeba potraktować sprawę elegancko. Podarunków w postaci przedmiotów nie możemy proponować, bo doszłoby do awantur przy ich wartościowaniu, zatem w rachubę mogą być brane tylko pieniądze. Kazik, nasz „minister finansów”, jak każdy na takim stanowisku, z wężem w kieszeni, wysupłał wreszcie po 50 afghanów dla każdego tragarza i sprawa zakończyła się poklepywaniem po ramionach.

— *Bisior taszakor! Bisior taszakor!*

— *Salam alejkum.*

— *Alejkum salam!*

Odchodzą. Jakaż ulga. „Idźcie już sobie, idźcie!”

*

Wysokość cztery tysiące dwieście metrów, oślepiająca biel lodu i śniegu, w soczewce zamkniętego kotła nad czubami szczytów granatowe niebo, w pobliżu szum płynącej wody.

— Ludzie! Jesteśmy milionerami! Po tysiąc hektarów czystego lodu na każdego!...

c.d.n.



Po latach nad Morskim Okiem (2002 r.).
Od lewej: A. Popowicz,
J. Weigel, K. Opyrchal,
A. Opyrchal, J. Sieńczak,
F. Köhler, przed nim
B. Momatiuk, C. Zamorski
(poza paniami
i Zamorskim, pozostali
to uczestnicy wyprawy
„Hindukusz 1973”).
Fot. J. Weigel



Szczyty Hindukuszu Centralnego w rejonie Salangu.
Fot. J. Weigel



Widok na siedmiotysięcznik Langar Zom, główny cel Śląskiej Wyprawy "HINDUKUSZ-73".
Fot. J. Weigel



Szosa na Przełęcz Salang.
Fot. J. Weigel



Przełom rzeki Kokcza między Keszimem
i Fajzabadem. Fot. J. Weigel



Most na rzece Wardudź, przejazd ciężarówki obserwuje W. Bettejewski.
Fot. K. Opyrchal



Adam Lewandowski

NEVADO DE COPA GRANDE Wspomnienie o Adamie Lewandowskim¹

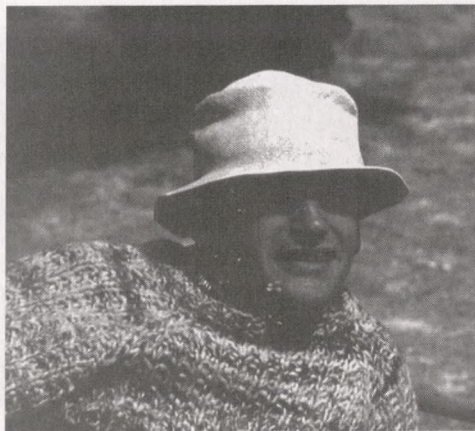
Jerzy Niewodniczański

Adama poznałem jeszcze w czasie studiów, moich na AGH i jego na Akademii Medycznej. Mieliśmy wspólnego przyjaciela, Olka Midurę, mojego kolegę ze studiów, a Adama – kolegę między innymi z sekcji narciarskiej „Budowlanych” w Krakowie. Obydwaj jeździli fantastycznie, nie próbowałem im dorównać, ale jakoś tolerowali moje towarzystwo na śniegu. Pamiętam taki jeden wspólny pobyt w Tatrach, chyba w marcu 1954 roku – nie był to stok dla zawodników, ale Dolina Pięciu Stawów.

Każdy z nas poszedł swoją drogą, ale od czasu do czasu spotykaliśmy się, sami czy z żonami, na czyichś imieninach, na wakacjach spędzanych w sąsiadujących ze sobą nadbałtyckich miejscowościach, czy po prostu na krakowskiej ulicy. Dochodziły do mnie opinie o Adamie, jako o niezwykle utalentowanym chirurgu, lubianym przez pacjentów; pamiętam wdzięczność znajomych, którym go poleciłem.

Nadszedł rok 1974, przygotowywaliśmy wyprawę naukowo-alpinistyczną w Andy peruwiańskie. My – to znaczy krakowski oddział Polskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk o Ziemi. Kierownikiem został Rysiek Koziół, za program naukowy (zupełnie realny, jego owocem były całkiem niezłe publikacje ogłoszone w dobrych czasopismach naukowych) odpowiadałem wspólnie z Andrzejem Paulo, natomiast – nie mieliśmy lekarza. Chyba Rysiek Koziół zasugerował Adama, jako lekarza wyprawy (był lekarzem na poprzedniej wyprawie Ryśka), a jak tylko padło jego nazwisko – od razu został przez nas zaakceptowany, znało go wielu uczestników przyszłej wyprawy. Nigdy nie widziałem go na drodze tatrzańskiej, natomiast pamiętałem go jako bardzo utalentowanego wspinacza w podkrakowskich skałkach, do dziś pamiętam mój podziw dla Adama po jego błyskawicz-

¹ Adam Lewandowski zginął tragicznie 4 czerwca 2002 roku potrącony przez samochód na ulicy Krakowa.

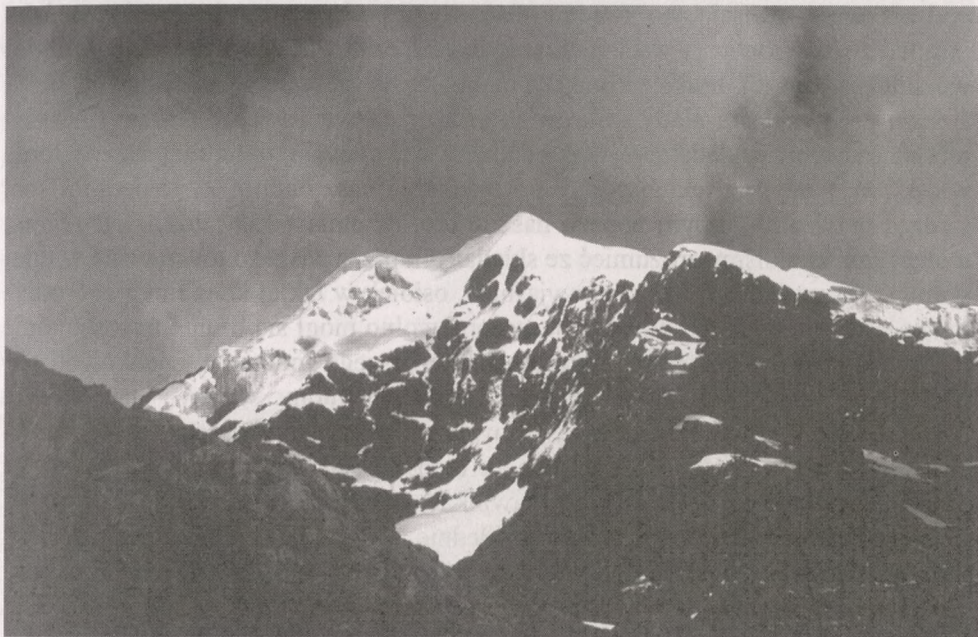


Jerzy Niewodniczański na wyprawie.
Fot. archiwum autora

nym zaliczeniu krótkiej, ale trudnej ryski na „Bodziu” w dolince Kobylańskiej. Adam włączył się w przygotowania wyprawy, w tamtych czasach bardzo trudne i żmudne, przebadał nas na wszystkie strony i w czerwcu 1975 roku pojechaliśmy pociągiem do Pragi, stamtąd lecieliśmy przez Hawanę do Limy. Droga była męcząca, zwłaszcza gorąca noc na lotnisku w Hawanie dała nam szkołę, ale Adam tryskał humorem, takim fajnym, nie drażniącym wykończonych współtowarzyszy, nie chodziło tu o anegdotki czy kawały, ale takie sympatyczne zachowanie się Adama. Prawie przez całą

drogę sprzeczaaliśmy się z nim o czas przelotu z Europy do Ameryki i z Ameryki do Europy, Adam twierdził – do dziś nie wiem, czy naprawdę tak myślał, czy tylko udawał, że tak myśli – że lot na wschód musi być krótszy, bo obracająca się Ziemia „ucieka” pod samolotem do tyłu... Potem próbował nas pouczać o analizach biochemicznych stosowanych w diagnostyce medycznej, znowu konstruując jakieś dziwaczne w naszym mniemaniu teorie, przyjmowane przez nas kpinami. Nasza reakcja – a byliśmy prawie wszyscy już co najmniej po doktoratach – musiała być dla Adama zaskoczeniem. Po raz pierwszy był w towarzystwie ludzi wyraźnie kpiących z jego wywodów, co dla krakowskiego, uznanego chirurga musiało być czymś zupełnie zaskakującym. Zresztą raz się wygadał, że na jego poprzedniej wyprawie nikt nie ośmielał się go tak krytykować. Taki nastrój utrzymał się do końca naszej wyprawy, odnosiliśmy się z pełnym szacunkiem do wiedzy medycznej Adama (zwłaszcza po jego udanej interwencji w ratowaniu życia spotkanej w czasie naszej karawany do bazy alpinistce z Niemiec), niszcząc go zupełnie w innych dziedzinach. Ale to wszystko było na wesoło, nikt się na nikogo nie obrażał, nikt nie przekraczał granicy przyjacielskich przekomarzań. Nasze spory były dowcipne i stwarzały przyjemną atmosferę.

Jakoś tak się stało, że Adam został moim towarzyszem namiotowym (spaliśmy w namiotach dwójkowych) i na linie, a potem, w czasie objazdu Peru i Boliwii – kompanem do wspólnych menażek, wspólnej kuchni. Kto był na paromiesięcznej wyprawie w trudnych warunkach gór czy w jakimś kraju egzotycznym ten wie, że takie ciągle przebywanie ze sobą jest niezwykle egzaminem przyjaźni, znacznie chyba trudniejszym, niż wspólna najcięższa wspinaczka. Adam zdał go w zupełności, do dziś wspomnienia naszych wspólnych wieczorów i ranków, naszych rozmów i wspólnej wspinaczki – są dla mnie jakimś takim radosnym, jasnym pasmem przeżyć. Przyczyniła się do tego pewnie ogólna atmosfera całej naszej wyprawy, prawie zupełnie pozbawionej jakże częstego w takich warunkach skakania sobie do oczu, zwalania na innych żmudnych prac wyprawowych itd.



Yanapaqtsa Oeste, widok z Quebrada Llanganuco, Andy Peruwiańskie.
Fot. J. Niewodniczański

Do dziś wszyscy chętnie spotykamy się w naszym gronie i wszyscy dobrze wspominamy tę wspólną przygodę.

Chciałbym tu opisać nasze wspólne z Adamem andyjskie wejście na Nevado de Copa Grande. Było to w drugiej fazie wyprawy, za sobą mieliśmy parotygodniową pracę w wysokiej szczelinie lodowca Broggi, chodzenie pod zerwami pięknego Chakraraju, wspólne wejście wszystkich uczestników na Yanapaqtsa Oeste, Adam i ja (osobno, w różnych zespołach) – zdobycie Nevado Pisco, Adam – wejście na Huascaran Norte, aż wreszcie przenieśliśmy obóz z Quebrada Llanganuco do Quebrada Honda. Koło naszego obozu, usytuowanego u wylotu górnej części długiej doliny Honda, przebiegała droga jucznych zwierząt, które co parę dni zносиły z położonej w głębi doliny i oddalonej o 20 km od nas kopalni srebra worki z rudą, a poniżej obozu odbywał się przeładunek rudy na podjeżdżającą aż do tego miejsca od czasu do czasu ciężarówkę. Po rozbiciu obozu nasz „jefe”, czyli szef, lub „chivas” – Kozioł, postanowił rozproszyć nas po okolicy, kierując po dwóch lub trzech na okoliczne pięcio- i sześciotysięczniki. Wybraliśmy z Adamem właśnie Nevado de Copa Grande.

Wczesnym rankiem Romek Krasowski, nasz wspañiały kierowca – elektronik, który na potrzebę wyprawy zdobył zawodowe prawo jazdy, zwiózł Adama i mnie około 30 km w dół doliny do wioski Vicos. Roman odjechał, a my po dłuższym targu wynajęliśmy osła z poganiaczem – ariero, włożyliśmy na grzbiet osiołka nasze ciężkie nosiłki i ruszyliśmy w górę. Po ośmiu czy dziewięciu godzinach byliśmy ponad 2 tysiące metrów ponad wioską, nad jeziorem w dolinie Legia Qocha,

pod lodowcem zwisającym z progu płaskowyżu podszczytowego (po hiszpańsku „Copa” znaczy kielich i właśnie nasz szczyt dominował nad taką rozległą lodowo-śnieżną czaszą), szukając miejsca na nocleg. Jak często w Andach, wykorzystaliśmy w tym celu ślady obozowiska dawnych wędrowców (Inków) – takie murki, czasami wyglądające jak fundamenty zabudowań zburzonej dawno temu wioski. W jednym z takich corrali postawiliśmy nasz namiot, w sąsiednim spał siedząc przykryty grubym ponczo nasz ariero, natomiast osioł został puszczonej wolno. Jak zdołaliśmy zrozumieć ze składanych przez naszego towarzysza w mieszaninie hiszpańskiego i keczua wyjaśnień, osiołek w takiej kamiennej zagrodzie byłby łatwym łupem dla pumy, a puszczonej wolno mógł się bronić i ewentualnie uciekać. Bardzo wcześnie rano pożegnaliśmy naszego Indianina, zapakowaliśmy nosiłki i ruszyliśmy w górę. Lodowiec był dosyć trudny, stromy – trzeba było rąbać stopnie i wkręcać przelotowe śruby, a nad nami wisały niepokojące seraki. Te wielkie lodowe szafy widoczne na tle nieba ponad nami, jak też liczne ślady po spadających w poprzednim dniu lawinkach spowodowały, że szliśmy w górę w szalonym wprost tempie, jakoś bezbłędnie wybierając najwłaściwszą drogę. W końcu po dwóch chyba godzinach takiej gonitwy po stromym lodzie stanęliśmy na progu, a przed nami rozciągała się niecka „Copy”. Była to wprost niesamowita, początkowo wznosząca się nieco w górę, potem płaska z licznymi wgłębieniami, biała kraina rozciągająca się kilometrami wzdłuż i wszerz. Trochę już zmachani ruszyliśmy w stronę widniejącego gdzieś daleko przed nami niezbyt wybitnego wierzchołka. Nie było to przyjemne – słońce świeciło wprost z góry, żadnego cienia, czuliśmy się jak na dnie wielkiego wklęsłego lustra, śnieg rozmiękł, a na domiar złego cała ta wielka lodowa misa była poprzecinana szczelinami, niezbyt wprawdzie szerokimi i zwykle widocznymi, ale wymagającymi kluczenia, ciągłej uwagi i lotnej asekuracji. Czas się niezwykle dłużył, pod wieczór zaczęło zdrowo wiać, w końcu znaleźliśmy jakieś bardziej – jak nam się wydawało – zaciszne zagłębienie gdzieś na dnie tej olbrzymiej niecki i rozbiliśmy naszą maleńką dwójkę; na śniegu, więc jako śledzie służyły nam czekany i raki. Zrobiło się bardzo zimno, bo to i po upalnym dniu z prażącym słońcem, i wysokość chyba koło 5 tysięcy metrów, no i silny wiatr, weszliśmy więc do śpiworów w pełnym rynsztunku i w kurtkach puchowych, susząc i grzejąc przytulone do ciała buty. Noc była parszywa, namiot łopotał bez przerwy, w krótkich okresach drzemki miałem jakieś nieprzyjemne zwidy, ktoś biegał koło namiotu itd. W nocy kilka razy trzeba było wychodzić i poprawiać namiot – nasze „śledzie” nie wytrzymały tego łopotu. Ale w końcu po długiej nocy (nie mogliśmy się przyzwyczaić do tych długich, 12-godzinnych tropikalnych nocy!) nastał znowu piękny, bezwietrzny i wkrótce upalny dzień. Zwinęliśmy namiot („śledzie” nam były potrzebne), zostawiliśmy w nim wszystko co zbędne i poszliśmy w stronę szczytu. Znowu nużące mielenie śniegu i kluczenie między ciemnymi pasmami przecinających naszą drogę szczelin (że to nie przelewki – wkrótce się przekonaliśmy: niby szczeliny wąskie, ale wpadłem w nie kilka razy, ratując się dzięki rozstawionym szeroko rękoma i błyskawicznie wbitemu przez partnera czekanowi...). Potem było ciekawiej, coraz stromiej, trochę skał i w końcu szczyt, na wierzchołku zwień-



Droga w rejonie Quebrada Honda. Fot. J. Niewodniczański

czony wielką zaspą – nawisem przechylonym od nas i zwisającym nad bezdenną wprost pustką po przeciwnej stronie. Na szczyt można było wejść tylko pojedynczo, zawierając sztywnej asekuracji z czekana białego znacznie niżej wierzchołka. Pamiętam, że Adam uznał wejście na sam wierzchołek za zbędą brawurę (zawsze był ostrożny...), ja – młodszy i głupszy? – nie tylko musiałem wleźć na tę zaspę, ale jeszcze kazałem się na niej sfotografować, w końcu to był mój rekord wysokości (6203 m n.p.m.).

Zaczęło się robić późno, wiatr się zerwał, więc szybko trzeba było schodzić. Znowu kluczenie między szczelinami, droga w zejściu nie była łatwiejsza – nawiany śnieg zakrył nasze ślady! Zrobiło się ciemno, a my nie mogliśmy znaleźć naszego namiotu! Sytuacja zaczęła się robić dramatyczna, zapadła noc, kluczymy (na szczęście mieliśmy latarkę) między jakimiś zaspami, wszystko wygląda tak samo, zimno i głodno, pić się chce – a tu nie ma namiotu! Wreszcie po długim łożeniu coś się czerni przed nami – i wreszcie jest!

Ta noc – mimo jeszcze bardziej szaleńczego łopotu naszego namiotu – była już lepsza, straszące mnie poprzedniej nocy zmyły też zmęczone usnęły. Rano szybki marsz po zmrożonym jeszcze plateau do progu, tu – krótka narada – schodzimy ryzykując spadające seraki, czy czekamy do wieczora. Postanowiliśmy jednak schodzić – umówiliśmy się dziś z naszym ariero! Jakies rozpaczliwe i prędkie schodzenie, nasze stopnie z drogi wejściowej trochę pomagają, choć kawałki lodu i ślady lawinek na naszej drodze peszą. Oczywiście w dolinie nikogo nie ma, czy to nasz polsko-hiszpańsko-keczua język zawiódł? Postanowimy schodzić sami, plecaki nieco lżejsze, no i przed sobą mamy długą drogę w dół, a nie podejście. Z tego zejścia zapamiętałem przede wszystkim beznadziejne błędzenie po wielkim lesie eukaliptusowym, nie trafiliśmy w nim na naszą drogę wejściową i schodziliśmy „na azymut”, w czym przeszkadzały nam bardzo głębokie parowy... W końcu wyszliśmy z tej istnej matni i ujrzelśmy pod nami Vicos.

Teraz zaczął się kolejny rozdział naszej przygody. Przed opuszczeniem obozu umówiliśmy się z szefem wyprawy, że albo wrócimy do bazy przygodną ciężarówką jadącą po rudę srebra, albo będziemy czekać w Vicos na wyprawę zjeżdżającą w dół, już po zwinięciu obozu. Po zejściu z gór rozsiedliśmy się więc przy drodze, wyraźnie wzbudzając sensację mieszkańców i wypatrywaliśmy tej przygodnej ciężarówki; nic nie jechało. Zrobiło się ciemno i przybiegł do nas miejscowy sklepikarz wyjaśniając nam na migi i w hiszpańsko-keczua, że dalsze nasze siedzenie przy drodze jest niebezpieczne, że już ktoś zamierza na nas napisać. Nie wiem, czy to zagrożenie było poważne, Adam wyraźnie się przestraszył. Ale przenieśliśmy się do sklepiku (może o to chodziło?) i przez uchylone okno wypatrywaliśmy dalej okazji. Czas upływał, nasze zapasy jedzenia się skończyły i postanowiliśmy zamówić coś do jedzenia. Ale w jakim języku? Adam mówi: *To człowiek inteligentny, jak będziemy mówić po polsku wyraźnie i głośno – z pewnością zrozumie!* I do niego: *Szefuniu, dla kolegi i dla mnie po butelce coca-coli, ale zimnej, i po dwa jajeczka gotowane na twardo.* „Szefunio” bacznie mu się przyglądał, potem zniknął na zapleczu i po chwili przyniósł nam – dwie flaszki coca-coli, dobrze schłodzonej, i cztery jajka na twardo! Niesamowite...

Noc wkrótce zapadła, właściciel sklepu wyraźnie bał się zagrożenia dla siebie czy dla sklepu, jakie stwarzała nasza obecność i zaprowadził nas na tyły zabudowań. Między sklepem i budynkiem mieszkalnym było podwórko, w formie ogrodzonego po bokach wysokim murem patia, przeznaczone na magazyn opału, narzędzi i jakichś produktów, na prace gospodarcze i na trzymanie zwierząt. Dano nam wysprzątaną z grubsza murowaną zagródkę o wymiarach 2×2 metry, z niskim murkiem, za którym z jednej strony całą noc hałasowały świnki morskie, z drugiej zaś trzymano kury, a kogut siedzący na tym murku wprost nad moją głową wyraźnie okazywał niezadowolenie moją obecnością. Adam był dosyć przestraszony, początkowo namawiał mnie do przemennych wart nocnych, w końcu zgodził się na spanie – ale z czekaniem w śpiworze! Oczywiście nic się nie stało, rano coś tam zjedliśmy i wyszliśmy znowu na drogę w oczekiwaniu okazji podwiezienia. Tym razem siedzieliśmy przed szkołą, zaczęły się lekcje i na każdej przerwie byliśmy otoczeni gromadą ubranych w granatowe chałaty uczniów i uczennic i zabawiani (po angielsku!) przez nauczycieli. Było to bardzo przyjemne, ale lekcje się skończyły, a my dalej sterczeliśmy przy tej drodze... W końcu późnym popołudniem pojawiła się ciężarówka i mogliśmy dojechać do bazy. Obóz był już praktycznie zwinięty, zdążyliśmy jeszcze spakować nasze bębny osobiste i wkrótce mijaliśmy Vicos jadąc z resztą wyprawy na dół, do Huaraz.

Kilka tygodni później, po zostawieniu w szpitalu w Limie chorego na żółtaczkę Jurka Dobrzyńskiego (z którym nasz lekarz wyprawowy poleciał do Limy samolotem z Huaraz), pożegnaniu zamierzającego wcześniej wracać do kraju Andrzeja Paulo, naprawie gdzieś na „pañamericanie” naszego samochodu, pobraniu próbek wody z głębi jeziora Titicaca i po pobycie w La Paz w Boliwii (gdzie zostawiliśmy trójkę kolegów z poleceniem zdobycia Illimani), poszliśmy resztą wyprawy tak zwaną drogą Inków do Machu Picchu. Jest to bardzo malownicza ścieżka, rzeczywiście zbudowana (wybrukowana, z tunelem nawet) jeszcze przez Inków, jako główna droga dostępu (dobiegu? – oni używali na takich drogach szybkobiegaczy) do Machu Picchu, odkryta dopiero po 1960 roku. Szlak ten rozpoczyna się na przystanku pociągu z Cuzco do Machu Picchu o nazwie „ochenta ocho”, bo jest to 88 kilometr trasy pociągu, następnie przechodzi przez dwie dosyć wysokie przełęcze wznoszące się na wysokość około 4 tys. metrów, by po trzech dniach wędrówki dotrzeć do celu. Do Machu Picchu schodzi się z góry, a nie stromym podejściem od dołu, jak to robią turyści przyjeżdżający koleją. Po drodze mijaliśmy fantastyczne ruiny inkaskich strażnic szlaku, podziwialiśmy widoki na pasma Vilcanota i Apollobamba (gdzie zginął słynny Kasperek...), humor nam dopisywały, z pogodą było trochę gorzej. Pierwszego dnia szliśmy w niesamowitym upale, wlekliśmy się niemiłosiernie, wreszcie na stromym podejściu minęła nas – o wstydzie – mała grupka: Amerykanin – wykładowca matematyki na jednym z uniwersytetów w Limie, z dwiema córkami. Szarmancki jak zwykle wobec kobiet Adaś wyciągnął z plecaka jakieś picie i zagadał do panienek: *proszę, it is a very good sok*. No i co? Znowu, podobnie jak to było w Vicos, polski język wyraźnie artykułowany okazał się zrozumiały! A potem nastąpiła noc, koło północy burza z ulewą, Adaś, śpiący w płachcie na zewnątrz wtargnął do małego

namiociku, gdzie usiłowaliśmy spać z Romkiem Krasowskim i położył się wprost na nas! Po głównym przesileniu nawałnicy udało się nam wypchać go z namiotu i rano, na szczęście w grzejącym już słońcu, mieliśmy interesujący widok: przed namiotem spał Adam w lodowym pancerzu zamrożniętej na kość płachty, wyglądał jak rycerz w średniowiecznej zbroi...

Jak wspominał Adama, zawsze mimo woli się uśmiecham; wszystkie nasze wspólne przeżycia i późniejsze spotkania, czy to w Krakowie, czy w Tatrach, były pogodne i radosne, humor nigdy go nie opuszczał (chyba, że przegrywał w szachy...). Teraz, gdy dołączył do naszego wyprawowego „jefe” gdzieś tam po drugiej stronie grani, też pewnie nie opuszcza go ta charakterystyczna dla niego pogoda ducha i beztroska. A jeżeli są tam aniołki płci pięknej – mogą być w niebezpieczeństwie...



Partia szachów na biwaku. Fot. J. Niewodniczański

PRZYGODY Z ZAMARŁĄ

(wspomnienie sprzed lat)

Stanisław Worwa

OPOWIADANIE PIERWSZE

Różnie podróżowało się do Zakopanego zaraz po wojnie. Pociągi kursowały nieregularnie, o ile w ogóle jeździły. Często, w warunkach dużego tłoku, lokowaliśmy się na dachu wagonu, co dodawało naszej podróży dużej fantazji. Taki był zresztą wtedy styl podróżowania. W pewien czerwcowy dzień 1946 roku jedziemy zatem w Tatry, a celem jest południowa ściana Zamarłej Turni. Nasza paczka





Dolina Pusta. Fot. archiwum autora

w komplecie, plus nowi koledzy: Jurek Woźniak z Andrzejem Nunbergiem. Sze-fem jest Marian Paully, z którym nawiązaliśmy bliską przyjaźń. Nad ranem pociąg dojeżdża tylko do Chabówki. Pytamy, kiedy będzie można pojechać dalej:

— Pod parą stoi lokomotywa, która ma zabrać skład do Zakopanego. Jak się da, to pojedziemy – odpowiada kolejarz.

Rozmowy całkiem jak później z Nafarami w Hindukuszu (skąd ja to znałem...). Po krótkim targu „dało się” i ruszyliśmy w dalszą drogę.

Lokujemy się gdzie kto woli, najchętniej na wąskiej listwie przed parowozem. Siedzę na skraju żelaznej ławki, pod nogami mam zderzak parowozu, reszta kolegów mieści się obok. Przypominają się niedawne „okopowe” czasy, gdy na przy-musowe roboty jeździło się podobnie. Pociąg wreszcie rusza w drogę. Budzi się dzień, powiew wiatru i mgły. Lokomotywa sapie i dudni miarowo na złączach szyn, wspinając się stromo przez beskidzkie lasy. Na gałęziach smreków mienia się w prześwietlonej mgle krople rosy. Wynurzamy się powoli z wilgotnego boru. Z Przełęczy Sieniawskiej widać w oddali, ponad białym oparem mgieł, łańcuch Tatr. Dookoła zielone łąki z kobiercem żółtych mleczy, podświetlone jasnym, po-rannym słońcem. W panoramie poznajemy zarys Zamarłej, czujemy szansę dużej przygody – życie jest piękne!!!

Południowa ściana Zamarłej Turni jest bardzo symboliczna, przejście jej nobi-lituje i wielu o tym pisało. Pisał Żuławski, Wilczkowski, Długosz i inni. Opisy bywają pełne niespodzianek i – o dziwo – kończą się zawsze (ale to już prawda) w strugach deszczu. Przypominają się relacje z akcji ratunkowych i tragedii najle-pszych, którzy tutaj zginęli (Marzena i Lida Skotnicówne, Bronikowski, Szczu-ka). Tragedie i legendy, w które obrosła ta niezwykła ściana, rozpalają wyobraź-

nię do białego. Przecież snuje się tutaj od dawna Czarna Pani, którą dopiero Długosz zobaczył w skwarne, pełne słońca południe, chodzi również Bronikowski ze świecą i straszy taterników nocą. Najspokojniej zachowują się jeszcze siostry Skotnicówny, nie chcąc robić nikomu przykrości.

Podchodzimy przez Boczań możliwie szybko, pot zalewa oczy. W Murowańcu zjadamy nieduże śniadanie i dalej: Kozia Przełęcz, zbiegamy w dół – i przed nami nasza ściana. Płyty odbijają blask słonecznego światła, przewieszki kantu piętrzą się nad głową. Pogoda wspaniała. Węszymi dużą przygodę, serca biją w podnieceniu. Czarnej Pani pod ścianą nie widać tym razem, to dobra wróżba.

Marian z Krystyną lokują się wygodnie w maliniakach nieco zmęczeni.

— Będziemy was obserwować i udzielać dobrych rad – mówi Paully.

— No to co, wiążemy się? – rzucam słowa zachęty i podaję Julkowi Szumskiemu linę.

— Wybierz sobie haczywo, które ci pasuje – odpowiada.

Jest to nasz drugi sezon wspinaczkowy i przejście Zamarłej jest sprawdzianem aktualnej formy. W następnych dwójkach mają iść: Woźniak z Nunbergiem i Kędzior z Krępą, naszym początkującym kolegą.

Zaczynam się wspinąć. Na razie nie jest trudno, ale emocja narasta. Lina kończy się przed właściwymi trudnościami. Zakładam stanowisko i ściagam Julka. Wokół sceneria wyjątkowa. Dolny trawers, prawie pionowa gładka płyta, której końca stąd nie widać. Nad głową wiszą wystające nosy przewieszek. Juli dochodzi szybko, widzę tylko trochę powiększone z emocji źrenice, oczy jak filiżanki, ale nie ma się co dziwić.

— Bij gęściej haki – mówi. Uwaga zawsze na czasie.

Stanowisko jest dobre, przypętłam Julka i wchodzę w trawers, który mimo trudności puszcza dość gładko, byle nie patrzeć pod nogi, gdzie widzi się dopiero piargi w dole. Na końcu trawersu otwiera się sceneria wspaniałych płyt i przepaścistość ściany jest zupełna, to robi wrażenie. Wpinam linę w tkwiący w skale hak i idę dalej do graniastosłupa. Teraz popełniam błąd typowy dla nowicjuszy w dobie sztywnych sizalowych lin. Zamiast założyć stanowisko asekuracyjne z dobrze wystającego bloku, idę dalej w górę coraz trudniejszą pionową rysą, z której przed laty odpadła Lida Skotnicówna, pociągając za sobą siostrę Marzenę. Obie wylądowały na piargach. Lina, wpięta w karabinek za dolnym trawersem, nie chce się przesuwac i w dodatku ściaga pętlę asekuracyjną z graniastosłupa. Męcę się coraz bardziej, trudności wzrastają, trzeba coś zrobić. Pozostaje mi jeszcze kilkanaście metrów przewieszzonej lekko rysy i znajdę się na półce pod górnym trawersem, ale tam nie dojdę w tej sytuacji. Biję więc hak i zakładam nieco wiszące stanowisko. Lina zaczyna absurdalnie. Krzyczę na cały głos do Julka:

— Popuść, mam stanowisko! Możesz iść!!

Ale lina stoi w miejscu, ani drgnie. Julek też coś mówi, nic nie słysząc, gdyż jest on w cieniu akustycznym ściany. Sytuację ratuje Marian siedzący na piargach, pośredniczy w kontakcie głosowym. Julek cały czas bezskutecznie usiłuje zwolnić asekurację.

Lecz nagle... co to? Szum, jakiś dziwny przejmujący szum ogarnia nas wszechwładnie. Robi się ciemno, od strony Zmarzłej Przełęczy przewala się skrzydło Białej Pani ogarniając wszystko dookoła. Świat niknie w szarym tumanie, po płytach słychać przejmujący grzechot tłoczonych wiatrem białych kulek gradu. Przytulałam się do ściany – w miejscach dotyku tworzą się wysokie stożki. Jest mi jeszcze ciepło z wrażenia, jednak temperatura spada prawie do zera. Po pewnym czasie wszystko zmienia się w ulewny deszcz. Wychłodzeni gradem marzniemy w strugach wody. Po chwili stoję, a raczej wiszę, w wodospadzie, który zaczyna utrudniać oddychanie. Ściana zbiera w tym miejscu wodę z okolicznych płyt i przewieszek). Co zrobić z Julkiem?

W dolnych partiach ściany rozgrywa się mały dramat, gdyż dwa pozostałe zespoły doszły już pod dolny trawers i w tych warunkach mają trudności z wycofaniem. Najgorzej jest z niedoświadczonym Krępą, który wpada w panikę i może być zagrożeniem dla innych. Marian stara się z dołu opanować sytuację i udziela dobrych rad. W pewnym momencie widzę nadęty balon nad piargami – co to?? – i jednocześnie słyszę z daleka jakający się głos Krępy:

— Ppp...panie Andrzejku – to do Nunberga – wyrzuciłem płachtę...

Nowa płachta biwakowa Mariana (wtedy rarytas) niesiona wiatrem szybuje nad płytami ściany, do których w końcu przywiera.

Strumienie wody spływające ścianą na szczęście maleją, grad ustał, zaczyna padać równy normalny deszczyk. Sytuacja w dole jakoś się klaruje, Krępa jest już na piargach.

Słyszę głos Mariana:

— Niech Jurek – Woźniak – dowiąże się do Julka i idzie w górę. Reszta zjeżdżać w dół!!

I do mnie:

— Jak tam? Żyjesz? Możesz iść dalej?

Oczywiście że mogę – tylko ta lina...

Jurek z Julim porządkują sytuację przed dolnym trawersem i pojawiają się kolejno na kancie ściany. Najpierw Juli, później widzę w perspektywie dalekich piargów uśmiechniętą, okrągłą mordę Woźniaka, który lubił taką zabawę.

Szybko znaleźliśmy się wszyscy na półce pod trawersem. Teraz z dołu zaciąga mgłą i zasłania wszystko, potęgując uczucie izolacji. Znowu odzywa się Marian:

— Mogę wam zrzucić linę z góry przez kominek Bronikowskiego.

— Dziękuję! Nie potrzeba, damy sobie radę!

Górny trawers i przewieszony kominek wcale w tych warunkach nie były łatwe, wszystko pokrywał grad spod którego ciekła woda, chociaż deszcz zelżał. Poszły w ruch dodatkowe haki i w trudnym kominku, gdzie idzie się tylko na tarcie, sizalowa sztywna lina znowu zaciągała, aktywnie ściągając w dół.

Wygramolałam się wreszcie na wygodną półkę, zakładałam stanowisko, a następnie cofam się na samą krawędź urwiska. Siadam okrakiem na występie skalnym i odprężony obserwuję wysiłki kolegów kraszone gęsto dosadnymi epitetami, z których wynika co myślą o pogodzie, gradzie i w ogóle o tej ścianie.

Spoza żebra skalnego wyłania się Marian z Andrzejem. Wtrawersowali tutaj pod kopułą szczytową.

— Gdyby coś... chcieliśmy wam pomóc...

— Dziękujemy! Tym razem na szczęście obeszło się.

OPOWIADANIE DRUGIE

Dookoła swąd siarki, dusi, zapiera dech, gryzie w oczy, ponury huk rozsada czaszkę... Gdzie ja jestem? Otwieram zaspane, przerażone oczy, powoli przytomnieję... Aha, to było wczoraj, w połowie filara na Zamarłej... Dobrze, że już po wszystkim...

Pewnego słonecznego lipcowego dnia, w początkach lat pięćdziesiątych, wybrałem się do Dolinki Pustej, uwiedziony tym razem przez dziewczynę – Tereskę Hildt, późniejszą Węgrzynowiczową. Chciała koniecznie iść na Zamarłą, mnie brakowało w zestawie drogi Motyki – więc dobrze się składa, idziemy. I tym razem spotkała nas niebezpieczna przygoda, chociaż – o dziwo – wcale nie związana z pogodą.

W Dolince Pustej, jak zwykle, trochę ludzi. Przed nami prowadzi grupę kursową Zdzych Jakubowski, są już w połowie ściany. Idzie im nieźle, nie hałasują, nawet nie zrzucają kamieni.

Przeczekujemy, aż grupa znalazła się w górnych partiach ściany i powoli przymerzamy się do wejścia. Wiążę się liną, biorę jakieś symboliczne haczywo i podchodzę pod zacięcie.

W tym momencie, Tereska filuternie mrużąc oczy rzecze:

— Popatrz jaki piękny i pionowy jest ten filar z prawej, może byśmy go wkośli zamiast oklepanego zacięcia.

Rzeczywiście, filar lity, piękny i pionowy ogranicza z prawej strony płytowe zacięcie i wyprowadza na lustro tektoniczne w górze, gdzie łączy się z normalną drogą. Wprost zaprasza do efektownej wspinaczki. Nie miałem przewodnika, wiedziałem jednak, że tędy biegnie wariant prostujący drogę.

I mówić tu, że kobiety prowadzą człowieka do zguby. Tym razem intuicja Tereski uratowała nam obojgu życie.

Zaczynam się wspinać. Skała, jak wszędzie na Zamarłej, prawie pionowa, małe lite stopieńki, obłe chwyty, większość na tarcie. Jest solidnie trudno – cały wyciąg trudności, chyba ze czterdzieści metrów, aż do lustra, tworzącego dużą półkę w górze.

Zdobywam powoli wysokość, podoba mi się ta zabawa, zdołałem nawet dla bezpieczeństwa coś wbić po drodze. Tereska stoi w linii spadku i asekuruje, do końca mam jeszcze parę metrów.

I wtem, z góry dobiega jakiś niepokojący szum. Przypadkowo wzrok mój ślizga się po ścieżce prowadzącej na Kozia Przełęcz. Jest tam paru turystów, którzy przyglądają się naszej wspinaczce. W tym momencie spostrzegam, jak przerażony facet zakrywa sobie oczy ramieniem. On już widzi tę lawinę kamieni walącą z góry, która ma nas zmieść. Czuję co się święci, odruchowo przywieram do skały

chroniąc głowę. Słyszę szum i widzę cienie jakby ogromnych ptaków pikujących tuż za moimi plecami. Huk!!! Pył startego kamienia i swąd siarki wokół, jakby się cała góra waliła! Bloki rozpryskują się pod ścianą i zamierają w bezruchu. Ostatnie echa lawiny milkną w oddali, odbite od okolicznych ścian, wreszcie w dolinie zalegą martwa cisza.

Powoli przychodzę do siebie. Jestem, więc żyję. Patrzę w dół. Co z Tereską?! Stoi jeszcze w bezruchu, ciasno przytulona do pionowej skały, bloki również przeleciały poza nią, nawet lina nie została przecięta. Uratował nas pion skały, na której się znajdowaliśmy. Kamienie, strącone przez któregoś z kursantów (wiele dużych luźnych bloków leży w kopule szczytowej), rozpadły się w kawałki po uderzeniu w lustro tektoniczne, następnie wymiotły dokładnie zacięcie, którym mieliśmy się wspinać, zaś część przeleciała dosłownie na styk ponad moimi plecami.

— No i co, Tereska? Żyjemy!! To nawet miłe...

— Widzisz, wiedziałam, że nie powinniśmy iść tym zacięciem – odpowiada.

Posyłam teraz parę dosadnych wiązanek w górę, z których jasno wynika, co myślę o kursantach i ich mamusiach. Mimo tego są szczęśliwi, że nic się nie stało. Następnie odczekuję, zanim ostatni łebek nie zniknie z horyzontu.

Wychodzę wreszcie na lustro, całe białe od uderzeń kamieni. Zakładam stanowisko, ściągam Tereskę. Wspina się szybko, z emocji zostawiła po drodze jakiś nie wybitny hak. Przestraszona, z rozwianym włosiem, pojawia się na przełamaniu ściany. Teraz dopiero, po wypadku, gdy przyszło odprężenie, przeżywamy reakcję. Padamy sobie w ramiona.

— Widocznie Czarna Pani mnie ostrzegła. Pewnie sympatyzuje z nami – mówi Tereska pełna emocji.

NOC ZE SKORPIONEM

Stanisław Worwa

Latem 1969 roku, Koło Krakowskie KW zorganizowało wyjazd do Iranu, składający się z grupy osób o różnym zaawansowaniu alpinistycznym. Kierownikiem był Staszek Biel.

Bardzo różne były przygody uczestników tego wyjazdu, tym bardziej, że grupa, podzielona na trzy mniejsze, działała w trzech rejonach górskich. Celem były góry Zagros w Kurdystanie Irańskim, grupa Elburs, oraz najwyższy szczyt Iranu – Demawend, który mimo zupełnie łatwych stoków płatał nam różne figle i tylko część uczestników stanęła na jego szczycie.

Ciekawą, niezwykle egzotyczną grupą górską był masyw Koh-e Paraw w Kurdystanie. Do działalności w tym rejonie zmobilizowała nas chęć osiągnięcia sukcesu wspinaczkowego, ponieważ dowiedzieliśmy się w Irańskiej Federacji Alpinistycznej, że są tam dolomitowe ściany o wysokości nawet powyżej tysiąca metrów, zupełnie sportowo nie eksploatowane. Zdecydowaliśmy więc, aby na początek odwiedzić ten masyw. Było to, ze względu na porę roku (połowa sierpnia) niewątpliwym błędem, ponieważ panujące w tym czasie temperatury (powyżej 40°C w cieniu) uniemożliwiały praktycznie wszelką działalność. W słońcu skała rozgrzewała się do siedemdziesięciu stopni i więcej, haki asekuracyjne parzyły w palce.

Ściany i filary miały ekspozycję wyłącznie południową, bezlitośnie wystawioną na działanie pełnego słońca, całe zaś urwisko przesłaniała swoista kurtyna termiczna. W okresie, kiedy biwakowaliśmy nad strumieniem płynącym u stóp masywu, nie było nawet jednej chmurki na niebie która zmniejszyłaby lejący się z nieba żar.

Pierwsze dni przeznaczaliśmy na rozpoznanie otoczenia najwyższego szczytu, Koh-e Bisutun (2670 m n.p.m.), którego ściana opada 1300-metrowym urwiskiem prosto na... szosę asfaltową, łączącą miasta Hamadan i Kermanszah, w sąsiedztwie wioski Behistun.

W dolnych partiach ściany, wysoko ponad szosą, widniał wyryty na skale ogromny relief o długości kilkudziesięciu, zaś wysokości najmniej dziesięciu metrów, z okresu panowania Dariusza I Wielkiego (około 480 roku p.n.e.). Przedsta-

wiał on ówczesnych wojowników pieszo i na koniach, opisy zaś sławiące czyny wielkiego monarchy wyryte zostały pismem klinowym. Gdy w Europie ludzie chodzili odziani w skóry, tam stawiano już pomniki cywilizacji...

Widok zerwy był wprost imponujący, ze względu na gwałtowne wypiętrzenie masywu skalnego ponad płaską równinę. Biwak-bazę założyliśmy u podnóża góry, w niewielkim zagajniku wierzbowym rosnącym na przybrzeżnym kamienisku płynącego tutaj strumienia Dinavar, w pobliżu egzotycznej, złożonej z glinianych lepianek wioski Behistun. Ponad obozem wznosił się wielosetmetrowy filar naszej góry.

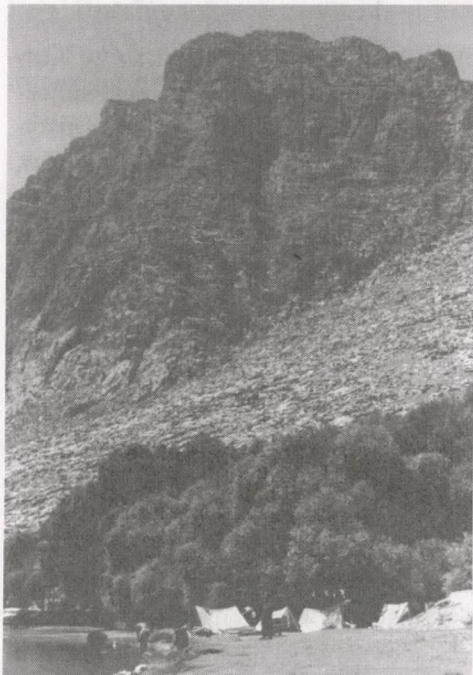
Miejsce na obóz było sympatyczne, poza tym, że w ciągu dnia nie można było po piachu czy kamykach chodzić boso, ponieważ groziło to poparzeniem stóp. Nurt rzeki płynął leniwie i nie sięgał powyżej kolan, ale znalazło się przegłębienie pod stromym, lewym brzegiem. Temperatura wody miała około 30°C, lecz w tych warunkach dawała nieocenioną rozkosz, szczególnie wieczorem, gdy w pełnym zanurzeniu po szyję obserwowało się wysoką grań szczytową na tle gasnącego nieba. Największy zaś relaks przynosiły kąpiele nocne. W bocznych zakamarkach rzeki i błotnistych zatoczkach pływały się małe żółwie wodne, które były przedmiotem ciągłych obserwacji.

Po krótkim okresie aklimatyzacji i lokalnych wędrówek rekonesansowych zaczęliśmy przymierzać się do jakiegoś bardziej znaczącego wejścia. Obawialiśmy się jednak naszej reakcji na tak wysokie temperatury i ciągły niedobór wody pitnej.

Odpowiedź przyszła prędko, gdy Rysio Koziół w czasie wyjścia treningowego padł na skutek udaru cieplnego. Przyszło to nagle, nie był w stanie poruszać się o własnych siłach i dopiero wieczorem, gdy nieco się ochłodziło, po dostarczeniu odpowiedniej ilości wody, udało się sprowadzić go do obozu.

Z punktu widzenia sportowej działalności pociągał nas główny filar Koh-e Bisutun, na początek jednak należało zyskać trochę doświadczenia i treningu. Zdecydowaliśmy się więc na przejście skalnej zerwy wyrastającej wprost ponad obozem, stanowiącej zakończenie wschodniego obrywu góry. Filar ten był nieco krótszy od głównego – co było jego atutem – chociaż z dołu wyglądał równie niedostępnie.

Gdy siedzieliśmy wieczorem przy niedużym ognisku, a wokół grały cykady, z prowadzonej dyskusji zaczął wyłaniać się plan działania. Uważałem, że fi-



Iran (1969 r.). Baza nad strumieniem
Dinavar u stóp masywu Koh-e Bisutun.
Fot. J. Słupski

larem dominującym nad naszym obozem będzie można w tych warunkach poprowadzić drogę. Poparli mnie Janek Roth i Janusz Oprzędkiewicz, wyłonił się więc zespół. Zaczęła się dalsza dyskusja co do sprzętu i zagrożeń związanych z temperaturą i ewentualnym wycofaniem. Konieczna była grupa, która powinna nas ubezpieczać w zejściu i donieść wodę. W końcu nastąpiło ogólne odprężenie, gdyż każda decyzja jest zamknięciem pewnego etapu, coś wreszcie zacznie się dziać. Ustalamy również grupę pomocniczą, która podrzuci nam plecaki jak najwyżej, abyśmy mogli zaoszczędzić trochę sił przed wejściem. Wyrażają ochotę koledzy: Wala, Berski i Słupski.

Następnego dnia, po starannym przygotowaniu, we wczesnych godzinach popołudniowych, gdy słońce schowało się już za grań i ściana emanowała tylko skumulowanym ciepłem, zaczęliśmy się wspinać. Idąc na lekko wyprzedzamy kolegów, którzy złani potem z poświęceniem targają nasze plecaki. Docieramy pod ścianę. Zaczyna się ona nietrudnym skalnym zacięciem wyprowadzającym na rozległy skalisto-trawiasty teren porośnięty wiszącymi suchorostami.

Wspinamy się tylko w spodniach i kontakt z kolczastymi krzakami nie należy do przyjemności. Plecaki niesiemy już na własnych barach. Idziemy bez asekuracji, chociaż ekspozycja narasta. Ponad nami wywiesza się spiętrzenie filaru, który kulminuje w widocznej z daleka szpiczastej turni. Do małej przełączki oddzielającej turnię od ściany mamy kilka wyciągów liny pionowego, trudnego terenu. Jeżeli uda się go pokonać, biwak powinien wypaść w dość wygodnym miejscu.

Wspinanie się kantem turni nie wchodziło w rachubę, ponieważ był on gładki i przewieszony. Spostrzegamy z lewej strony w linii spadku przełączki pionową rysę, przechodzącą w komin kończący się w litej ścianie. Dyskutujemy możliwość przejścia:

— Rysa i komin są jedynymi możliwościami wspinania w tym rejonie — uważam skromnie.

— Tak — odpowiada Janusz — ale co zrobimy ponad kominkiem?

— To się okaże. Chyba uda się przetrawersować kilkanaście metrów w lewo do łatwiejszego terenu, a zresztą i tak nie mamy innej możliwości, trzeba spróbować.

Dochodzimy do pionowej rysy. Zakładam solidne stanowisko asekuracyjne, gdyż od tego momentu zacznie się precyzyjna skałkowa robota. Wspinamy się złani potem, w nieopisanej duchocie. Skała jest ciepła jak kaloryfer, chwilami brakuje tlenu aby swobodnie oddychać.

— Gdzie te jadowite węże i skorpiony, przed którymi ostrzegano nas jeszcze w Teheranie — zapytuje Janek.

— Pewnie wystraszyły się i uciekły, albo nie mają siły kąsać w tym gorącu — ktoś mówi lekceważąco.

Przymierzam się do pierwszego wyciągu. Skała jest idealnie urzeźbiona i szorstka. Powierzchnię jej pokrywa na dużych przestrzeniach ostry kalcytowy nalot o szpiczastych jak tarka igiełkach. Wszędzie pełno ostrych i krawędzi i dziurek, aż strach bierze gdybym rozebrany odpalił orła. W tych warunkach wspinanie jest piękne i daje dużo satysfakcji, mimo to biję dość często haki asekuracyjne z obawy przed ewentualnym dłuższym lotem. Trzeba również niezwykle uważać, aby

nie poranić rąk. Dobrze, że przed wejściem ubrałem wiatrówkę. Po pokonaniu rysy ściągam kolegów i plecaki, po czym wchodzę do kominka. Jest nieco łatwiejszy ale również piątkowy. Daje się częściowo wykorzystać boczne klinowanie ciała, w górze jednak przewęża się. U jego końca zakładam nowe stanowisko. Dalej wychodzę w zupełnej ekspozycji na prawe ograniczenie komina. Spoglądam w górę... i eureka! Pęknięciami w pionowej płycie da się przejść w lewo do łatwiejszego terenu.

— Klawo jest – wołam do kolegów – niedługo będziemy po trudnościach.

Trawers istotnie puszczał dość gładko mimo, że przy końcu drogę zamykał wywieszony blok. Kolejny hak, długi krok, chwytów również nie brakowało i wszedłem w strome zacięcie, ponad którym widniała nasza przełączka. Koledzy zmobilizowali się również i mimo uciążliwych w tym miejscu plecaków wszyscy znaleźliśmy się poza trudnościami. Niedługo byliśmy na przełączce. W samą porę, gdyż zmrok zaczął zapadać już na dobre.

— No to, panowie, biwak mamy luksusowy. Jest co prawda trochę nierówno, ale mogło być znacznie gorzej – oceniam sytuację.

Sama przełącz była ostra jak żyłeta, ale wyprowadzał na nią wygodny żlebek. Powyżej spiętrzały się niewysokie skały szpiczastej turni. Siedliśmy w owym żleбку rozebrani do slipek. Za kolację służyły nam herbatniki z cukierkami, zapijane dużą ilością wody. Na konkretne jedzenie nikt nie miał ochoty, gdyż nieopisana duchota panowała nadal. Gdzieś głęboko w dole widniał zarys rzeki i światelka obozu.

Janusz z Jankiem usiedli na skałach turni. Ja pozostałem w żleбку, gdzie między nachylonymi skośnie ścianami zrobiłem sobie leże. Ułożyłem się więc możliwie wygodnie rozebrany do rosołu i próbowałem drzemać. W pewnym momencie posłyszałem jakiś szelest tuż koło ucha. Początkowo nie zwróciło to mojej uwagi, ale po chwili szelest powtórzył się intensywniej. Ki diabli – myślę, skąd się to bierze?! Ruszyć mi się nie chciało, ale w końcu zaintrygowany wyciągam z plecaka latarkę i świecę wokół. Intensywny szelest dobiega ze szczeliny, przy której miałem opartą głowę. Świecę do środka i co widzę?! W pęknięciu gramoli się duży skorpion z zadartym w górę odwłokiem, w łapie – czyli prawym szczypcu – trzyma paperek z cukierka i wkurzony zamaszyście macha nim na boki. Podniesiony zaś odwłok jest gotowy w każdej chwili do ataku, gdyby ktoś zechciał odebrać mu zdobycz!

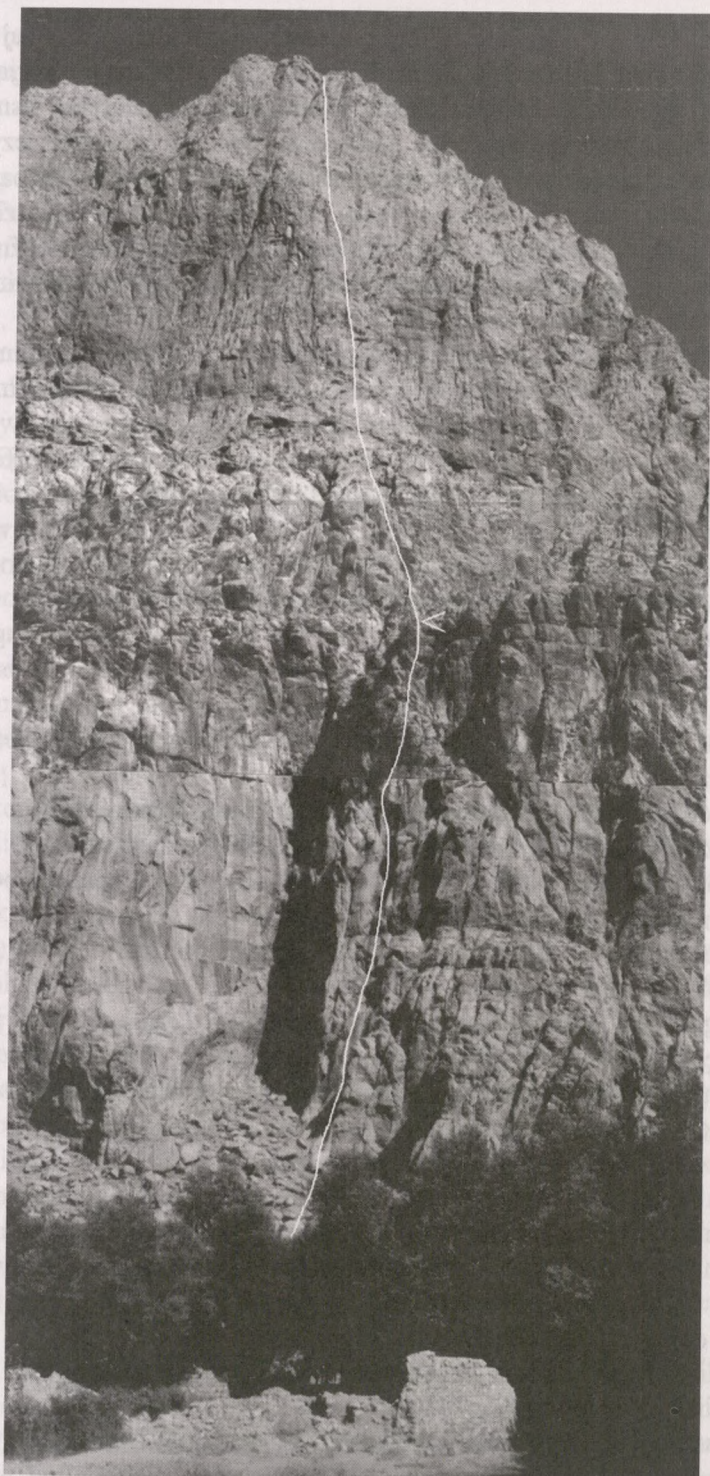
— Zobaczcie – wołam do kolegów – zobaczcie, mam skorpiona, o mało mnie nie rypnął...

— Czyś ty zwariował – z góry dobiegają kłatwy – odbiło ci czy co? Ledwie człowiek się zdrzemnął...

Lecz w końcu ciekawość zwyciężyła. Janek Roth zaspany nachyla się nad szczeliną.

— Gdzie ten skorpion? Gdzie ten skorpion? – pyta.

— Uważaj! – odciągam go na bok – jak cię dziabnie w nos to będziesz gotowy. Uratowały mnie te papierki, bo zamiast cukierka na pewno zakąsił by moje ucho – mówię.



Filar wschodniego wierzchołka Koh-e Bisutun z zaznaczoną drogą naszego wejścia; trójkątem zaznaczono miejsce biwaku i spotkania ze skorpionem. Fot. J. Słupski

Rozbudziliśmy się zupełnie. Skorpion został wysiedlony ze swej kryjówki i wyrzucony w siną dal, zaczęła się natomiast fachowa dyskusja o wyjątkowo jadowitym tutaj gatunku skorpionów. Pełni wrażeń długo nie mogliśmy usnąć powtórnie. Ja naturalnie zmieniłem miejsce noclegowe nie będąc pewnym, czy w sąsiedztwie nie mieszkają jeszcze jacyś krewni naszego gada. Przeszedłem parę metrów w bok na nachyloną eksponowaną płytę, gdzie musiałem się dla bezpieczeństwa zabezpieczyć liną. Było to jedyne dosyć wygodne miejsce w okolicy. Później nic już nie zakłócało nam nocy, poza dziwnymi snami. Rano zaczęliśmy się zbierać o bladym świetle, aby uciec ze ściany przed żarem południowego słońca.

Ponad płytą, miejscem mojego noclegu, znowu nawieszał się pionowy fragment skały nakryty niewielkim okapem. Orzeźwieni nieco porannym chłodem szybko uporaliśmy się z tym odcinkiem. Później było jeszcze mnóstwo różnych ścianek i przewieszek pooddzielanych od siebie poziomymi półkami. Ekspozycja malała powoli. Stale startowało się z ostrych bloków, aby pokonać kolejne spiętrzenie ściany. Ciągnęło się to w nieskończoność. Słoneczko wędrowało coraz wyżej, a z nim wzrastała temperatura. Coś ciekawego zaczynało się z nami dziać, jakaś dziwna niemoc ogarniała organizm.

Teren stawał się coraz łatwiejszy, chociaż nie brakowało nadal progów, gdzie trzeba się było jeszcze wspinać. Rozwiązaliśmy linę i wlekliśmy się otepiali bez asekuracji.

W pewnym momencie stwierdzam, jakby w pijanym widzie, że jestem tylko we dwójkę z Oprzędkiewiczem.

— Gdzie Roth? – pytam obojętnie. Janusz, jakby obudzony mówi:

— Wiesz, chyba poszedł do przodu, pewnie zaczeka na szczycie.

W pewnym momencie przechodzimy koło skalnej nyży, dającej trochę cienia. Przed oczami latają różowe płatki. Walimy się bezwolnie na jej dno.

— Odpoczniemy trochę – mówię – lepiej nam się pójdzie.

Po chwili urywa mi się film...

Jak długo trwał „odpoczynek” trudno określić: godzinę, może dwie... Budzę się jak z głębokiego snu. W głowie łupie, w ustach sucho, język skołczyły, gardło obolałe, czuję łomotanie pulsu w skroniach. Janusz otwiera nieprzytomne oczy:

— Gdzie właściwie jesteśmy? – pyta.

— Chyba niedaleko grani. Odpoczywamy, żeby nabrać sił.

— Aha. A masz coś do picia?

Okazuje się, że picia już nie ma.

— Mam w kieszeni tylko ten cholerny sok skondensowany z czarnej porzeczki – mówię do Janusza.

— Daj, daj, może nas orzeźwi...

Przeraźliwy kwas rozlewa się w ustach, aż ściska w brzuchu.

— Myślisz, że nam to pomoże?

— Zobaczymy. Lepszy pewnie niż nic.

W końcu, nawzajem sobie pomagając, wstajemy i wychodzimy w pełny żar otwartego słońca.

— Musimy iść dalej – mówię – Janek przecież czeka na szczycie.

— Chyba tak.

Wlecemy się otępiali noga za nogą, dobrze, że teren stał się dużo łatwiejszy. Docieramy do kulminacji spiętrzenia, dalej łatwa grań ciągnie się daleko aż do głównego wierzchołka. Zapomnieliśmy, że Janek powinien tu na nas czekać. Przerażliwy kwas skondensowanego soku zmienił się w intensywną gorycz w ustach. Po chwili łapią mnie torsje. Wyglądamy jak dwaj staniający się pokutnicy, skazańcy wędrujący siłą woli podniebnym szlakiem. Wreszcie – co to? Za skałką, na trawiastej płasni ktoś leży. Uświadamiamy sobie, że przecież była nas trójka. Tak, to Janek. Naturalnie śpi i nie daje znaku życia (cykle naszej niemocy wyraźnie mijały się ze sobą). Budzimy go intensywnie, okazuje się, że również zakosztował tego soku i chwycił go torsje.

— Stary... wstawaj, musimy iść dalej bo złapie nas noc.

Janek wyraźnie protestuje i nie chce się ruszyć.

— Jeszcze chwileczkę, zaraz przyjdę do siebie – mówi. W końcu podnosi się i zabieramy go ze sobą.

Główny szczyt już niedaleko. Stąd zaczyna się dość skomplikowane zejście w dolinę, początkowo depresją, później północną grzędą góry. Przy zejściu uświadamiamy sobie, że przecież ktoś powinien nam wyjść naprzeciw. Słońce chyli się ku zachodowi, skutki przegrzania maleją, łatwiej logicznie myśleć.

Przypomnieliśmy sobie o rakietnicy, którą mamy w plecaku, aby sygnalizować ewentualne zagrożenie. Siadamy na trawie, Janek wyjmuje prymitywną rurę aluminiową, odkręca metalowe denko, wkłada nabój.

— Tylko uważaj na kierunek, nie we własny łeb – ostrzegam przezornie...

Wali iglicą w wystającą skałkę. Jasny czerwony pocisk zatacza w powietrzu łuk.

Nabojów mieliśmy kilka, białych i czerwonych. Na wszelki wypadek strzelamy wszystkie, zabawiając się po kolei. Z dołu brak odpowiedzi. Idziemy dalej, teren robi się bardziej stromy, trzeba uważać na każdy krok. W dole widnieje już głęboka dolina, koniec naszych problemów zejściowych. Teraz kondycja Janka okazuje się lepsza od naszej, przyspiesza i szybko znika za kolejnym progiem skalnym.

— Znów popieprzy drogę i pójdzie prosto w dół – mówię do Janusza, chociaż właściwie było nam wszystko jedno. W pewnym momencie schodzimy z depresji terenowej, która w dole tworzy liczne progi, trawersujemy w lewo na łatwiejszą grzędę. Zupełnie wykończeni wlecemy się do niezbyt już odległej doliny. Wreszcie z uczuciem ulgi wchodzimy na ścieżkę pasterską i po niedługiej chwili spotykamy kolegów – to Biel, Ciochoń i Janek Słupski.

— No, jesteście!! Cześć! – to ich pierwsze słowa – Widać, że czujecie się nie tego.

Trudno było zaprzeczać. Najpierw picie i środki wzmacniające, później zapytania i odpowiedzi.

— Spotkaliście może Janka? Poleciał gdzieś do przodu – pytam gdy nieco przyszedłem do siebie.

— Owszem – odpowiada Staszek Biel – znalazł się w sąsiedztwie obozu, kompletnie wyczerpany i odwodniony. Trafili na niego, gdy zataczając się bezskutecz-

nie szukał drogi. Ze stoku góry zszedł wprost w dół przez strome progi i dolne spiętrzenia terenu. Wtedy wyszliśmy w obawie o wasz los. Pierwsza grupa pomocnicza, która poszła dużo wcześniej, gdzieś się z nami rozminęła w meandrach doliny.

I znowu wszystko skończyło się dobrze, ale nie kusiliśmy już losu i tzw. filar centralny przestał nas interesować. Nie chcieliśmy więcej drażnić skorpionów. Trudno się zresztą było wspinać w warunkach, gdy organizm odmawiał posłuszeństwa. W następnych dniach szybko przenieśliśmy się w inne góry, gdzie klimat był bardziej przyjazny.

Urodził się na Polesiu ponad 60 lat temu, ale dziś to już Zakopianczyk, taternik, przewodnik tatrzański, znakomity fotografik górskiej przyrody. Kiedyś uprawiał pływanię, podnoszenie ciężarów (widać to po nim) i studiował farmację. Potem – jako farmaceuta – wylądował pod Tatrami. Kto to? Edward Władysiuk. Ten życzliwy ludziom człowiek, który pierwszą nagrodę za swój wiersz poświęcony górcom zdobył 17 lat temu, wydał półtora roku temu tomik wierszy.

W GÓRACH

*Mozolnie wciąż w górę i w górę
Do celu co mgłami zasnuty
Marszu długie godziny
W powietrzu oddech zatruty*

*Szczyt coraz bliżej i bliżej
Zda się sięgnąć ręką
A jeszcze śnieżne stromizny
Będą dla ciała udręką*

*Słońce z nieba prześwitów
Wypuszcza strzały promienne
Tańczące walca po stokach
Z wiatrem grające półcienie*

*Stać patrzeć podziwiać
pamięci napinać kuszę
chłonąć piękno ulotne
po wręby wypełniać duszę*

*I znowu oddechu warkot
I znowu serca tętnienie
W oczach gwiazdami pomroczy
znów potu słone strumienie*

*To jest mój klucz do szczęścia
Moje istnienia posłanie
Starać się tylko można
Przeżywać swe odradzanie*

WIOSNA III

*Pocałunek słońca
Plecy podparte skalami
Górą błękit jasny
Białymi firankami
Puchem gwiazdnym płynie
Cisza
Jak dzwon donośna
Ptactwa trelami podbita
Kobierzec życia
Bez końca się tka
Zmysłami otepiały
Nie wiem
Czy to wiosna
Górska się budzi
Czy to znów – ja*

IV

Ocalić od zapomnienia



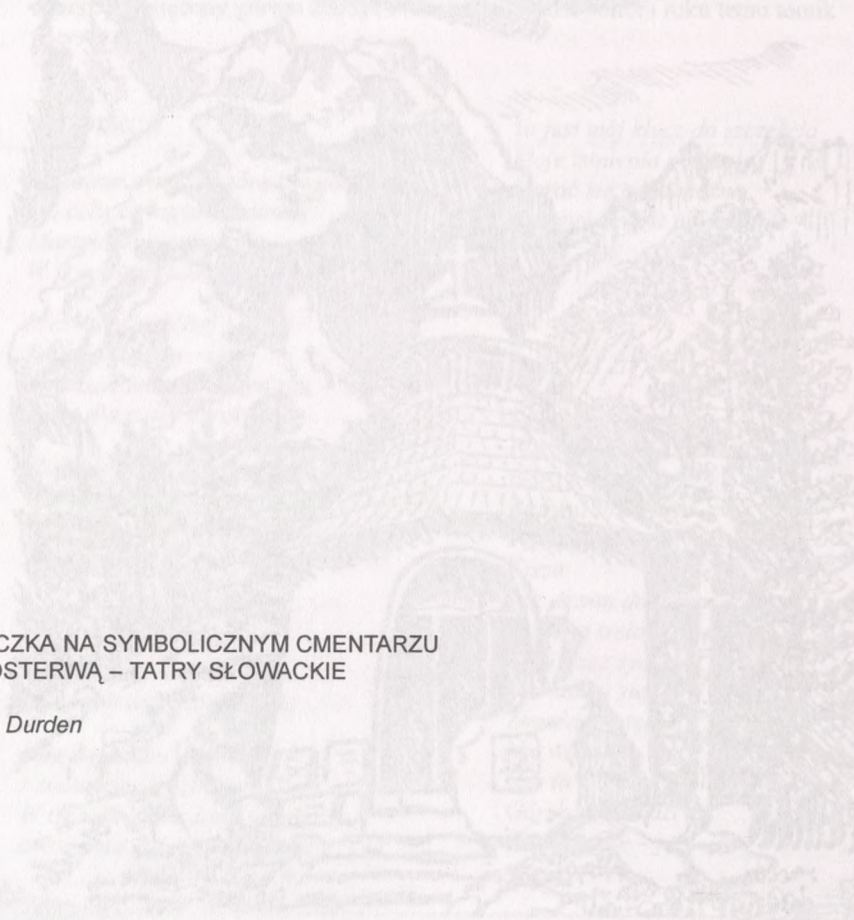
szukał drogi. Ze stoku góry zszedł wprost w dół przez stromie prog i zajął
 schronienie w cieniu. Wtedy wyszliśmy w obawie o naszą łódź. Pierwszą grupą
 została, która pojechała dużo wcześniej, a potem się z nami rozłączyła w meandrze
 doliny.

I znowu wszystko skończyło się dotychczas nie kusiłymi już losu i traw. Nila
 centralny przedził nas interesować. Nie chcieliśmy więcej drażnić skorpionów.
 Trudno się nieznacznie wspomnieć w warunkach, ale organizmowi nie udało się
 żyć. Właśnie wtedy, kiedy byliśmy w drodze, nasz przyjaciel, który był bardzo przyjaźny

Widziałem na polu przed sobą, ale nie było to już to samo, co przedtem.
 Wtedy, kiedy byłam w drodze, widziałem, że jest to już to samo, co przedtem.
 Wtedy, kiedy byłam w drodze, widziałem, że jest to już to samo, co przedtem.
 Wtedy, kiedy byłam w drodze, widziałem, że jest to już to samo, co przedtem.

KAPLICZKA NA SYMBOLICZNYM CMENTARZU POD OSTERWĄ – TATRY SŁOWACKIE

Rys. J. Durden





Morskie Oko – litografia wg rysunku
B.Z. Stęczyńskiego (1851)

...Przed wiekami, gdzie stoją te skały,

*A te się na dwie części dzieliły,
Jedne były węgierskie, drugie polskie były*

Bogusz Z. Stęczyński: „Tatry”

W TATRACH WALCZYLIŚMY O TO, CO NAM OBCA PRZEMOC ZABRAĆ CHCIAŁA Część I

Początek sporu z Węgrami o granicę koło Morskiego Oka

Józef Durden

Właśnie mija 100 lat od pomyślnego dla Polaków zakończenia rozprawy o Morskie Oko przed międzynarodowym sądem polubownym w Grazu.

Długotrwały zatarg o przynależność państwową i prywatną niewielkiego gruntu – ok. 4,5 km długości i nieco ponad 1 km szerokości, razem około 520 ha – leżącego na zachodnim stoku Żabiego od grani po dno Doliny Rybiego Potoku zwykle się określać jako spór o Morskie Oko.

Gwoli uniknięcia nieporozumień należy zaznaczyć, że jezioro to niegdyś od pływających w nim pstrągów zwano Rybim Stawem, zaś znajdujący się powyżej Czarny Staw – Morskim Okiem. Nazwę tę często stosowano do nazywania także innych jezior po obu stronach Tatr oraz w Karpatach Wschodnich.

Ostatecznie, nazwa Morskie Oko przyjęła się dla oznaczenia najstojniejszego i największego jeziora tatrzańskiego, owalnego kształtu, o powierzchni 35 ha, położonego na wysokości 1395 m n.p.m., w głębokiej kotlinie końcowej części Doliny Rybiego Potoku, u podnóża Żabich (od wschodu), Mięguszwieckich Szczytów (od południa) oraz Miedzianego i Opalonego Wierchu (od zachodu).

Morskie Oko, położone w ustronnym, niezwykle pięknym zakątku Tatr, było niegdyś trudno dostępne. Od zamierzchłych czasów cały teren otaczający jezioro należał do Polski. W XII wieku naturalna południowa granica państwowa biegła główną granią Tatr. W tym czasie ziemie na południe od Myślenic pokrywała rozległa i słabo zaludniona puszcza. W XIII wieku na terenach obecnego Podhala, należących do królów polskich, powstawały osady: Ludźmierz, Rogoźnik, Nowy Targ i Szaflary. Z czasem narastała świadomość polskości północnej strony Tatr. Po utracie niepodległości rozbudziło się zainteresowanie tymi górami narastające aż do końca XIX wieku, kiedy emocjonalnie zwano je „ołtarzami swobody”.

Do Morskiego Oka zapuszczali się kolejno poszukiwacze kruszców i minerałów, górale w poszukiwaniu pastwisk i zwierzyny, rozmaici awanturnicy, wreszcie podróżnicy i wędrowcy. Z różnych stron kraju docierali tam naukowcy, wiedzeni ciekawością tajemniczego świata gór, a także turyści różnych zawodów, zainteresowań i stanów.

*Odwiecznych Tatrów strażnice Piastowe!
z dawnąście znane, a wiecznie nowe!*

(Wincenty Pol)

Pierwszy dokument polski dotyczący Morskiego Oka pochodzi z roku 1575. Michał Horosieński w książce „Opisanie ciekawych gór Tatrów za Nowym Targiem, na cały świat słynących wszelkimi klejnotami i bogactwy ozdobionych i niezliczonymi minerałami napełnionych, które są wynalezione od niektórych głęboko uczonych szkół matematycznych filozofów” (1657 r.) pisze o zwiedzeniu Morskiego Oka. Jezuita o. Gabriel Rzączyński pisał w 1721 roku o osobliwym „Oculus Maris” i pobliskiej górze zwanej Mnich Skała.

Morskie Oko osnute legendami, zabobonami, bałamutnymi podaniami o rzeckomej bezdenności i podziemnym połączeniu z Adriatykiem, długo pozostawało tajemnicze. Tak opisuje je ks. Benedykt Chmielowski, autor pierwszej polskiej encyklopedii pt. „Nowe Ateny albo akademie wszelkiej scyencji pełna” wydanej w latach 1745–1746. Do tego opisu pierwszy odniósł się krytycznie Stanisław Staszic, badający jezioro w latach 1804–1805. W swym dziele „O ziemioródcztwie Karpat” (1815 r.) owe fikcyjne informacje uznał za gminne wieści.

Najstarsze zapiski o turystach nad Morskim Okiem pochodzą z 1806 r. Jedyna droga do jeziora od strony polskiej prowadziła wówczas przez Bukowinę Tatrzańską i Łysą Polanę. Nazwiska turystów udających się do Morskiego Oka odnotowywał w prowadzonej przez lata księdze miejscowy leśniczy Franciszek Klein. Nazwisk z każdym rokiem przybywało, wśród zwiedzających były osobistości z rodów książęcych i piastujący wysokie godności w hierarchii kościelnej i państwowej.

Pierwszy krajoznawczy opis Morskiego Oka zawdzięczamy krakowskiemu księgarzowi Ambrożemu Grabowskiemu, który przybył nad jezioro w 1825 roku. Owocem wycieczki był artykuł w Dzienniku Warszawskim pt. „Kilka godzin pobytu nad jeziorem Morskie Oko i Czarny Staw w Galicji w cyrkułe sandeckim”

(1826 r.). Czytamy w nim: *Nareszcie stanęliśmy u Morskiego Oka. Brakuje mi słów, abym mógł opisać wrażenie, jakie na mnie zdziałał ten wspaniały widok.* Anonimowa podróżniczka ze Lwowa napisała, że tamtejsza kraina została *stworzona dla malarzy i poetów* (1827 r.). Toteż w następnych dekadach przybywali nad Morskie Oko ludzie literatury i sztuki. Doznane wrażenia utrwaliли w strofach poezji, pracach malarskich, utworach muzycznych, tej miary twórcy jak Adam Asnyk, Walery Eljasz, Jan Nepomucen Głowacki, Wojciech Gerson, Seweryn Goszczyński, Aleksander Kotsis, Teofil Lenartowicz, Franciszek Nowicki, Jan Stanisławski, Władysław Ślewiński, Stanisław Witkiewicz, Leon Wyczółkowski, a także kompozytorzy Zygmunt Noskowski i Mieczysław Karłowicz.



Stanisław Witkiewicz: Morskie Oko
i kotlina Czarnego Stawu.
„Tygodnik Ilustrowany”, rok 1889

Walery Eljasz w I wydaniu „Przewodnika do Tatr, Pienin i Szczawnic” (1870 r.) napisał: *Określić Morskiego Oka wdzięki słowami, byłoby to nadaremnym usiłowaniem, bo potęga słowa nie wyrówna tu sile wzroku, gdy się poimy przez własne oczy wszystkim naraz, co tworzy właśnie Boską harmonię.*

Urzekające piękno „perły Tatr” przyciągało także obcokrajowców. Niestety, nadmierne zainteresowanie tym zakątkiem polskiej ziemi wykazywali sąsiedzi z południa, szczególnie właściciele przygranicznych terenów. Zwyczajna ciekawość z czasem przerodziła się w ekspansję. Dochodziło do aneksji terenu i dowolnego poszerzania własnych dóbr, a zarazem do zmiany przebiegu granicy państwowej. Raz wywołana niezgoda kilkakrotnie wygasła, to znów ożywała przybierając cechy waśni, antagonizmu, aż u schyłku XIX w. przemieniła się w re-

gularny konflikt, ostatecznie zakończony na początku XX w.

Wraz z zaostrzaniem się konfliktu wzrastało zainteresowanie nim społeczeństwa polskiego. Narastała nadzieja, że kraj pozbawiony suwerenności, nie utraci najpiękniejszego skrawka swej ziemi. Spór wznowiony przez pruskiego junkra Christiana Hohenlohe przeciwko polskiemu patriocie, hrabiemu Władysławowi Zamoyskiemu, symbolicznie wyrażał dążenia niepodległościowe.

W rocznicę odniesionego zwycięstwa chcemy przypomnieć zarys meritum sporu. Na kartach Pamiętnika PTT pragniemy też zwrócić uwagę na znaczny, choć dawniej jak i dziś mało doceniany udział w sporze byłego Towarzystwa Tatrzańskiego, właściciela części działek, uznawanych wówczas za teren sporny. W roku 1889 Towarzystwo Tatrzańskie nabyło od pięciu górali z Białki około 1/6 część lasów, hal i nieużytków nad Morskim Okiem, wartości 682 zł reńskich

(łączna wartość tamtejszych terenów wynosiła ok. 982 zł reńskie). Celem wykupu było dążenie do ograniczenia nadmiernego wypasu owiec, bydła i koni. Wspólna przy Morskim Oku własność Towarzystwa Tatrzańskiego i Spółki wynosiła 146 mórg pastwisk, 45 mórg lasów i 1266 mórg nieużytków i stawów. Wykup miał też bronić ten skrawek Tatr przed zachłannością obcokrajowców. Spór prywatno-własnościowy o Morskie Oko był zarazem zatargiem o polityczną granicę między Austrią (gdyż Galicja wchodziła w skład cesarstwa) a Węgrami.

Nieporozumienia dotyczące granicy państwowej mają długą historię sięgającą korzeniami czasów średniowiecza. Za panowania Bolesława Krzywoustego cały Spisz należał do Polski, później Węgrzy zajęli część południową. Północny Spisz pozostawał niezmiennie częścią ziemi krakowskiej podobnie jak cały obszar leżący na północ od głównej grani Tatr, Magury i gór Lewockich. Wysuwając roszczenia Węgrzy powoływali się na tzw. „dokument Kokosza” wydany w 1320 r. przez Kapitułę Spiską, potwierdzający sprzedaż posiadłości tatrzańskich. Odsprzedano wówczas bezprawnie część polskiej królewskiejczyzny należącej się Władysławowi Łokietkowi, bez zgody, a nawet wiedzy władcy.

Na dalsze losy Spisza i jego powrót do kraju miało wpływ porozumienie zawarte w 1412 roku i udzielenie przez Władysława Jagiełłę pożyczki królowi Węgier, Zygmuntowi Luksemburczykowi, w wysokości 37 tysięcy kop srebrnych groszy czeskich oraz przejęcie pod zastaw 16 miast spiskich wraz z przyległymi terenami¹.

Pożyczka nie została zwrócona w terminie², wobec czego wyrokiem sądu rozjemczego we Wrocławiu, w 1490 roku prawo wykupu zastawu uznano za przedawnione i starostwo spiskie przysądzono Polsce po wieczne czasy.

W istocie spór o teren przy Morskim Oku zaczął się, gdy Olbracht Łaski³, wojewoda sieradzki, starosta spiski, syn Hieronima, dziedziczący po ojcu dobra kłucza dunajeckiego wraz z zamkiem w Niedzicy – leżącej wówczas w granicach Węgier – najpierw wysunął roszczenia, a następnie w 1575 względnie 1585 roku zagrabił przemocą sporą część starostwa nowotarskiego. Następnie 8 października 1589 roku zastawione wcześniej własne dobra oraz świeżo przyłączony obszar, obejmujący także część Tatr, sprzedał György Horváthowi z rodu Palocsayów. Zaznaczył, że anektowane ziemie są terenem spornym. Węgierski arystokrata ponad 20 lat zarządzał częścią królewskiejczyzny nowotarskiej. Arbitralnie przesunął granicę swych posiadłości na linię Rysy – Żabia Grań – Siedem Granatów do rzeki Białki. Ponieważ tereny leżące na północ od głównej grani Tatr historycznie należały do Polski powstał problem o znaczeniu państwowym. Strona polska zabiegała o pokojowy zwrot zagarniętej ziemi. Król Zygmunt III Waza w skardze do cesarza Rudolfa II (1603 r.) pisał o naturalnej granicy państwowej, biegnącej główną granią Tatr. Noty dyplomatyczne nie skutkowały, więc ówczes-

¹ Powyższa kwota, którą Jagiełło otrzymał od Krzyżaków po bitwie pod Grunwaldem, nigdy nie została zwrócona.

² Polacy nie nalegali o pilny zwrot.

³ Mąż Beaty Łaskiej, pierwszej znanej z nazwiska turystki tatrzańskiej, która w 1565 roku dotarła wraz z grupą w okolice Zielonego Stawu Kieżmarskiego.

ny wielkorządca krakowski sprawujący w latach 1616–1618 zwierzchnictwo nad starostwem nowotarskim zbrojnie przepędził Węgrów⁴ ze wschodniej części ziem nowotarskiej i ponownie przyłączył do niej Leśnicę, Białkę, Brzegi i Bukowinę. Przywrócenia stanu posiadania i dawnych granic nikt nie kwestionował przez niemal półtora wieku, aż do rozbiorów Polski.

Dokumentem o doniosłym znaczeniu dla potwierdzenia polskości terenu przy Morskim Oku było nadanie sołectwa białczańskiego Wojciechowi Nowobilskiemu. Zapis z 20 czerwca 1637 roku, sygnowany przez króla polskiego Władysława IV, zawiera przywilej użytkowania terenów w Tatrach, m.in. pastwiska nad Rybim Stawem. Nadanie to było odnawiane i potwierdzane przez późniejszych władców: Jana Kazimierza, Michała Korybuta Wiśniowieckiego i Augusta III. W tym czasie polskość Morskiego Oka uznawali także pisarze węgierscy.

Niestety, z upływem czasu Polska traciła swe znaczenie i nie była w stanie przeciwstawić się zaborczym zakusom państw ościennych. W 1769 roku na polecenie cesarzowej Marii Teresy wojska austriackie – pod pozorem zabezpieczenia granic w czasie wojny z Turcją i rzekomej potrzeby utworzenia kordonu sanitarnego oddzielającego swe terytorium od Podkarpacia, gdzie wystąpiła epidemia cholery – zajęły starostwo spiskie, a w roku 1770 Podhale po Gorce i przyłączyły te obszary do Węgier, a w roku 1772 do Austrii. Ustalenie nowej granicy było okazją do dokonania wielu mistyfikacji; ich głównym autorem był radca węgierski i komisarz graniczny J. Török.

Rozpoczął się drugi etap sporu o Morskie Oko. Na mapach dowolnie przenoszono granicę. Węgrzy chcieli granicy od Przełęczy pod Chłopkiem przez środek Morskiego Oka i Doliny Rybiego Potoku. Cesarz Józef II zdecydował w 1784 roku, aby granica Galicji na odcinku w Tatrach biegła tak jak w czasach panowania polskiego czyli sięgała po Polski Grzebień. W 1796 roku przesunięto granicę na boczną grań Żabiego, odchodzącą od Rysów. Właścicielami całej doliny Białej Wody zostali Palocsayowie, zyskując około 1600 ha terenu górskiego. Gdy w 1811 roku prowadzono w Tatrach pomiary geodezyjne Węgrzy ponownie wysunęli roszczenia do połowy Morskiego Oka. Mimo, że wówczas właścicielami dawnej królewskiej królewskiej był rząd Austrii, Palocsayowie dokonywali aktów przemocy, demonstracyjnie przepędzali pasterzy z owcami i wycinali lasy. W 1819 r. rząd Austrii podzielił dominium nowotarskie na sekcje zwane dobrami i rozsprzedawał je aby wspomóc państwową kasę. Dobra zakopiańskie z powodu wysokiej ceny nie miały długo nabywcy, wreszcie w 1824 roku zakupił je Emanuel Homolacs, właściciel zakładu hutniczego w Kuźnicach. Nabywca wszedł w posiadanie terenu od Rysów, dalej granią Żabiego do rzeki Białki oraz dolin Róztoki, Pięciu Stawów Polskich i Waksmundzkiej. Komornik sądowy Nerunowicz oznaczył kopczykami granicę własności. W kilka lat potem Homolacsowie wybudowali nad Morskim Okiem małe niezagospodarowane schronisko (1827 r. wg Paryskiego; 1835 r. wg Moskały). Schronisko to spłonęło w 1865 roku.

⁴ Czyn ten przypisuje się często znanemu z okrucieństwa Mikołajowi Komorowskiemu; niesłusznie, gdyż starostą był on dopiero w latach 1624–1633.

Palocsayowie nadal uzurpowali sobie prawo do Morskiego Oka, spór zaostbrał się. Homolacsowie zajęli zdecydowaną postawę. W roku 1831 po raz pierwszy użyli siły. Służba leśna dworu zakopiańskiego przepędziła leśników Palocsayów. Interwencje zwaśnionych sąsiadów u władz galicyjskich i węgierskich doprowadziły do utworzenia pierwszej mieszanej komisji do rozstrzygnięcia zwady o Morskie Oko. Komisja zakazywała obu stronom użytkowania terenu do czasu prawnego uregulowania nieporozumień granicznych. W roku 1858 Palocsayowie wysunęli propozycje zawarcia ugody. Jesienią tego roku Klementyna Homolacsowa, dziedziczka dóbr zakopiańskich, podpisała umowę dotyczącą odstąpienia terenu leżącego na wschód od Morskiego Oka. Tytułem rekompensaty otrzymała 1260 florenów. Prywatny kontrakt zawierał naiwną klauzulę o jednoczesnym uregulowaniu granicy państwowej, do czego prywatni właściciele terenów przygranicznych nie mieli prawa. Umowa nie miała obowiązującej mocy prawnej ponieważ zawarto ją wbrew zakazowi dzielenia dóbr dominialnych i nie została aprobowana przez władze Galicji. Teren nadal figurował w galicyjskich księgach grunto- wych i wykazie dóbr zakopiańsko-białczańskich i Homolacsowie nadal płacili za niego podatki.

Gdy w roku 1868 Homolacsowie sprzedali swe dobra, ich nabywca, niemiecki bankier Ludwig Eichhorn otrzymał urzędowe potwierdzenia przejęcia całego terenu dóbr zakopiańskich wraz z Morskim Okiem. Kolejni nabywcy dóbr: Magnus Pelz, Jakub Goldfinger⁵ i Władysław Zamoyski otrzymali sądowe potwierdzenie prawa własności całych dóbr.

Polityczna transformacja monarchii habsburskiej i utworzenie w 1867 roku dualistycznego państwa – cesarstwa Austrii i królestwa Węgier, spowodowało konieczność ustalenia wewnętrznej granicy, której fragment przebiegał w Tatrach.

Powstałe w 1873 roku Węgierskie Towarzystwo Karpackie kierowane przez Niemców spiskich zaproponowało Towarzystwu Tatrzańskiemu budowę wspólnego schroniska górskiego nad Morskim Okiem. Oferta została przezornie odrzucona. W latach niezgody nie można było wykluczyć, że był to podstęp. W tym czasie na mapach w węgierskich przewodnikach tatrzańskich granica państwowa biegła przez środek Morskiego Oka, zgodnie z życzeniami właścicieli dóbr jaworzyńskich. Rozsądek nakazywał budowę własnego schroniska. Obecność Węgrów jako współgospodarzy obiektu mogłaby być w przyszłości wykorzystana jako argument w sporze⁶.

Pięknie położona parcela na morenie, skąd roztacza się bodaj najwspanialszy widok na całe otoczenie jeziora, w początku lat siedemdziesiątych XIX w. była własnością Białczan. Właściciel dóbr zakopiańskich Ludwig Eichhorn, członek-założyciel Towarzystwa Tatrzańskiego, dokonał zamiany gruntów. Za jeden mórg ziemi przy jeziorze, dał dwa w Roztoce. Parcele wartości 300 zł reńskich oraz drewno podarował Towarzystwu Tatrzańskiemu z przeznaczeniem na budo-

⁵ Czwartym nabywcą dóbr zakopiańskich Jakub Goldfinger był krótkotrwałym właścicielem, gdyż wskutek uchybień proceduralnych licytację unieważniono.

⁶ Gdy w 1902 r. doszło do rozprawy rozjemczej w Grazu, Węgrzy dowodząc swych racji argumentowali, iż ich turyści od dawna przybywali do Morskiego Oka.



Schronisko TT, 1874 r.

wę schroniska. Towarzystwo realizując statutowy cel uprzystępniania gór, w ciągu trzech miesięcy wybudowało nader potrzebne schronisko nad Morskim Okiem. Budowla była prosta i skromna, gdyż w kilka miesięcy po powstaniu takie były tylko możliwości finansowe Towarzystwa, zrzeszającego wówczas zaledwie 260 członków. Uroczystość poświęcenia i otwarcia z udziałem licznych i znanych turystów, m.in. Heleny Modrzejewskiej, Tytusa Chałubińskiego, Adama Asnyka, odbyła się 3 sierpnia 1874 roku, dokładnie w pierwszą rocznicę zebrania założycielskiego Towarzystwa Tatrzańskiego. Przy schronisku powiewała białoczerwona flaga. Wydarzenie to miało akcent patriotyczny, zamanifestowania

obecności Polaków nad Morskim Okiem. Po roku małe schronisko otrzymało imię wielkiego Polaka – Stanisława Staszica.

Kolejny etap sporu o Morskie Oko rozgorzał na nowo w roku 1879, gdy pruski magnat Christian Hohenlohe Öhringen nabył dobra jaworzyńsko-lendackie od



Morskie Oko na karcie legitymacyjnej członka Towarzystwa Tatrzańskiego, projektu Walerego Eljasza

kolejnego właściciela Aladana Salamona, spadkobiercy dóbr po Palocsayach. Wkrótce pruski junkier, zapalony myśliwy, zaczął tworzyć wielki zwierzyńiec – rezerwat łowiecki. Dążył do powiększenia jego powierzchni. Nawiązując do roszczeń Palocsayów uzurpował sobie prawo do posiadłości sięgającej po tzw. linię Dydyńskiego⁷ tj. od Przełęczy pod Chłopkiem po połowę Morskiego Oka i środkiem Rybiego Potoku do Białej Wody. Ogłosił, że cały obszar leżący na wschód od tej linii jest terenem spornym i wprowadził zakazy. Górale białczańscy nie podporządkowali się jego zarządzeniom i nadal wypasali owce, krowy i konie. Oburzony uzurpator złożył w 1881 roku skargę do władz o naruszenie „jego własności”. Napiętnował Towarzystwo Tatrzańskie, które bez jego zgody „ważyło się” wykonać tratwę na Czarnym Stawie. W tym czasie prowadził tam badania batymetryczne członek Towarzystwa, znany fizyk i przyrodnik Eugeniusz Dziewulski.

Przygraniczne starostwa – galicyjskie i węgierskie – powołały do spornej sprawy mieszaną komisję. W jej skład weszli ze strony galicyjskiej: E. Mochnacki, radca Wydziału Krajowego i F. Stenur, C.K. starosta nowotarski (członek TT). Towarzystwo Tatrzańskie było silnie reprezentowane przez delegatów: sekretarza Wydziału L. Świerza, II wiceprezesa dr W. Markiewicza oraz zaproszonego przez nich Gustawa Fingera, byłego pełnomocnika dóbr zakopiańskich. Wśród gości był też dr Tytus Chałubiński, członek honorowy TT. Trzecia w dziejach sporu Komisja przybyła 16 sierpnia 1883 roku nad Morskie Oko i odbyła pierwsze posiedzenie w schronisku TT. Polacy przedstawili ogrom materiału dowodowego. Strona węgierska dokumentów nie posiadała, zobowiązała się przedstawić je na завтра. Wobec tego następnego dnia Komisja udała się do Jaworzyny, ale i tamże nie przedstawiono wiarogodnych dokumentów. Wyszło na jaw, że roszczenia są jedynie próbą uzurpatorskiego zagarnięcia sąsiednich terenów. Wobec zdecydowanej postawy strony galicyjskiej skarga Hohenlohego została oddalona. Poza odrzuceniem zarzutów Komisja właściwie niczego nie rozstrzygnęła.

Wówczas Towarzystwo Tatrzańskie złożyło w Sejmie Krajowym we Lwowie petycję domagając się podjęcia *odpowiednich kroków, aby obywatele na polskim gruncie nie doznawali przeszkody w swoich czynnościach i aby ani „piędź ziemi” naszego kraju nie dostała się Węgrom*. Feliks Pławicki,⁸ poseł z powiatu nowotarskiego, przedstawił w Sejmie wniosek o zapewnienie *reprezentacji krajowej odpowiedniego wpływu przy sprawach o granice kraju*. Po rozpatrzeniu prośby Sejm wydał 10 października 1884 roku przychylną ustawę, wzywającą C.K. rząd, by przy rozstrzyganiu spraw granicy Galicji mógł uczestniczyć delegat Wydziału Krajowego.

Z całą pewnością można stwierdzić, że niesławnej pamięci (szczycił się m.in. upolowaniem 1000 kozic) pruski junkier Hohenlohe nie lubił Polaków. Niemniej jednak, raz mimowolnie wyrządził nam przysługę odmawiając Węgrom zgody na budowę schroniska przy Morskim Oku.

⁷ Dydyński był dawnym zarządcą dóbr Palocsayów, klucza dunajckiego.

⁸ Feliks Pławicki, kapitan armii austriackiej, radca zakładu w Szczawnicy, był inicjatorem założenia Towarzystwa Tatrzańkiego.

Tymczasem względny spokój wokół Morskiego Oka trwał zaledwie kilka lat, do czasu zmiany właściciela dóbr zakopiańskich. Na początku 1889 roku było wiadome, że wkrótce dojdzie do licytacji dóbr. Tatry postrzegano jako źródło szybkich i dużych dochodów. Obawiano się udziału w licytacji Żyda Kolichera z Nowego Targu, gdyż przypuszczano, że będzie on działał w imieniu Christiana Hohenlohe. Towarzystwo Tatrzańskie zabiegało by Tatry, skarb ziemi polskiej, znalazły się w rękach Polaka. Rozpoczęto zbiórkę pieniędzy i przystąpiono do utworzenia bratniej organizacji, Towarzystwa Ochrony Tatr. Zebrano znaczny kapitał, ok. 80 000 zł reńskich, i Towarzystwo reprezentowane przez adwokata dr Wł. Markiewicza przystąpiło do licytacji. Niestety cena wywoławcza została ustalona na kwotę 380 000 zł. reńskich.

Zaniepokojone Towarzystwo Tatrzańskie za pośrednictwem swego członka, adwokata Józefa Rettingera z Krakowa, starało się zainteresować i nakłonić do licytacji hr. Władysława Zamoyskiego z Kórnika. Udało się. Nie był on co prawda obecny podczas licytacji w Nowym Sączu, ale gdy oferowana kwota przekroczyła 420 000 zł r. i sytuacja zdawała się być beznadziejna, wystąpił Józef Rettinger, wpłacił wymagane wadium i dołączył do licytacji. Ze spokojem zaoferował najwyższą kwotę, której nikt nie był w stanie przelicytować i oświadczył, że działał jako pełnomocnik hrabiego Zamoyskiego.

Sprawa nie mogła wziąć szczęśliwszego obrotu – pisał po kilku dniach autor korespondencji zamieszczonej w maju 1889 roku w warszawskim „Słowie” i sygnowanej nazwiskiem K. Dobrzyński (okazało się po latach, że pod owym pseudonimem ukrył się Henryk Sienkiewicz). Hrabia Zamoyski zapłacił pokaźną kwotę 460 002 zł reńskich i 3 centy. Na podstawie dokumentów wystawionych przez Sąd w Nowym Sączu, uprawnionych przez Sąd wyższej instancji w Krakowie, został prawnym właścicielem dóbr zakopiańskich obejmujących znaczną część Tatr Wysokich. Znalazły się one w najlepszych rękach ofiarnego społecznika i gorącego patrioty, którego przodkowie chlubnie wpisali się w dzieje Polski⁹.

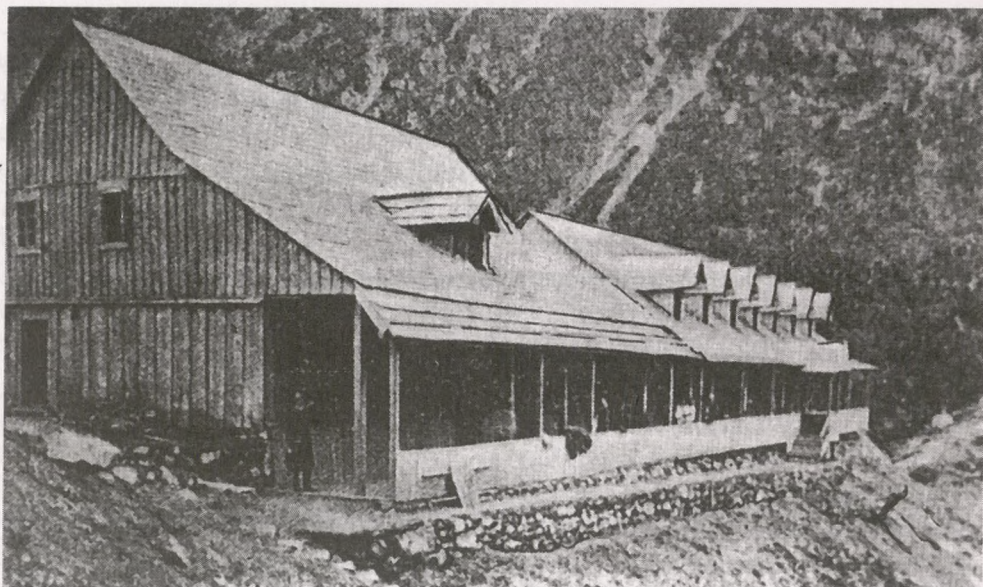
Z wyniku licytacji niezadowolony był Hohenlohe i z jego powodu wkrótce odżyły waśnie o Morskie Oko. W 1890 r. poddał on w wątpliwość prawo własności zachodniego zbocza Żabiego. Jego służba zaczęła się demonstracyjnie panożyć na parcelach Zamoyskiego, Towarzystwa Tatrzańskiego i Białczan. Wielokrotnie przeganiani niebawem powracali i zaskarżyli radcę dóbr zakopiańskich do węgierskiego Sądu w Starej Wsi. Sąd dwukrotnie w asyście żandarmów węgierskich odbył swe posiedzenia w schronisku TT nad Morskim Okiem. Do składania zeznań dopuszczono tylko stronników oskarżycieli. Nie przyjęto oświadczeń obecnych przy zajściach strażnika tatrzańskiego ani przewodników TT, zaprzeczających słowom świadków węgierskich. Wyrokiem Sądu ukarano radcę Maniewskiego grzywną 350 zł r. Grzywny nie zapłacono, po roku w Zakopanem na pokrycie owej grzywny na rozkaz sędziego węgierskiego fantował ruchomości w mieszkaniu pana Maniewskiego komisarz g a l i c y j s k i!¹⁰

⁹ Ojciec właściciela dóbr zakopiańskich, także Władysław – generał, wcześniej w randze pułkownika brał czynny udział w Powstaniu Listopadowym.

¹⁰ List poufny drukowany jako rękopism – 1892 r.

Zaogniająca się niezgoda sąsiedzka szybko przekształciła się w otwarty konflikt. Argumentem często używanym przez Hohenlohego i zawziętego zarządcę jego dóbr Edwarda Kegela była siła, a jej wyznacznikiem liczba uzbrojonej służby leśnej (jegrów) i węgierskich stróży prawa. Początkowo na spornym terenie stacjonowało aż 15 węgierskich żandarmów. Opieszałość i uległość galicyjskich urzędników – głównie pochodzenia austriackiego lub niemieckiego – w tym starosty nowotarskiego, oraz stronnice i stanowcze decyzję różnych urzędów i sądów węgierskich sprzyjały butnemu Hohenlohemu dając mu poczucie niekarałości i ośmielały do dalszych aktów bezprawia. W 1890 roku jegrzy usunęli galicyjskie tablice graniczne i wszelkie znaki wytyczające posiadłość Zamoyskiego. Wczesną jesienią nad Morskim Okiem Węgrzy zaczęli stawiać drewniany domek myśliwski, który faktycznie miał być posterunkiem żandarmerii. Spotkało się to ze stanowczym sprzeciwem Zamoyskiego i górali białczańskich. Białczanie przybyli na budowę i nie zważając na opór rozbroili i przegnali żandarmów, zwalili zręby do fundamentów, a cieślom jaworzyńskim zakazali odbudowy ostrzegając, że *źle będzie, jak nie dadzą spokoju*. Urażony Hohenlohe polecił spiesźnie wznieść nowy dom, a służbie leśnej rozkazał strzelać do każdego górala, któryby odważył się przeszkadzać w budowie. Zdeterminowani górale nie dali za wygraną. W liczbie osiemdziesięciu, uzbrojeni w ciupagi, siekiery i flinty ruszyli na plac budowy. Zamoyski w obawie przed rozlewem krwi wysłał swoją służbę leśną z poleceniem powstrzymania górali na czas jego rozmów w starostwie nowotarskim. Starosta Jan Orobkiewicz nie chciał ingerować w spór i dopiero wobec niezłomnej postawy hrabiego zdecydował się wysłać trzech żandarmów i komisarza aby powstrzymać górali. Uczynił niewiele by chronić Polaków na ich własnej ziemi, której mieli prawo bronić i obowiązek przeciwstawiać się samowoli obcych intruzów. Do tego wspomagał Węgrów telefonując do Starej Wsi Spiskiej aby dla ochrony ludzi Hohenlohego wysłali swych żandarmów nad Morskie Oko. Ponadto, starostwo obciążyło Zamoyskiego wydatkami wynikłymi z pobytu żandarmów i komisarza z Nowego Targu w terenie. Rachunek zawierał klauzulę kary egzekucyjnej w przypadku odmowy uiszczenia należności. Zamoyski nie dał się zastraszyć, rachunku nie zapłacił, a w kwestii czynionego na jego terenie bezprawia interweniował u Naczelnika Galicji we Lwowie i w Sądzie w Nowym Targu. C.K. Ministerstwo Spraw Wewnętrznych nakazało staroście nowotarskiemu *czuwać nad spokojem i porządkiem w Morskim Oku*. Z Nowego Targu zostali odkomenderowani na miejsce dwaj żandarmi pochodzenia niemieckiego, nie znający języka polskiego. Zachowywali się biernie wobec samowoli jegrów Hohenlohego, a wieczorami wspólnie z nimi biesiadowali. Zakwaterowani w schronisku TT swym postępowaniem wywoływali oburzenie polskich turystów.

Zamoyski złożył w Sądzie nowotarskim podanie o wydanie zakazu prowadzenia prac na jego terenie przez właściciela dóbr jaworzyńskich. Sąd wprawdzie wydał stosowną decyzję, lecz jej mocą zabronił także Zamoyskiemu wszelkiej działalności nad Morskim Okiem do czasu rozstrzygnięcia kwestii granicznej. Złamanie zakazu zostało obwarowane grzywną w wysokości 1000 zł r. Zamoyski



Rozbudowane schronisko nad Morskim Okiem (stan sprzed pożaru w 1896 r.)

ufny w praworządność i obopólne przestrzeganie postanowień sądu podporządkował się niepomysłnej decyzji.

Strona węgierska zastosowała się do wymogów jedynie w okresie zimy. Z nastaniem wiosny zajęto się budową domu, a po ukończeniu prac w maju 1891 r. rozpoczęto na polecenie Hohenlohego budowę drogi dojazdowej po stronie węgierskiej. Powiadomiony o naruszeniu postanowienia sąd nowotarski postanowił rozpoznać sprawę na miejscu. 4 lipca komisja sądowa udała się nad Morskie Oko aby dokonać wizji lokalnej. Doszło do incydentu. Służba leśna Hohenlohego wraz z żandarmami węgierskimi w natrączywy sposób zatrzymała naczelnika sądu Lenińskiego i umundurowanych członków komisji sądowej. Austriaccy żandarmi nie stanęli w ich obronie, nawet wówczas, gdy węgierscy stróże prawa dla wymuszenia posłuchu wycelowali gotowe do strzału karabiny w sędziów. C.K. Sąd doznał upokorzenia i znieważenia. Mógł jednak naocznie stwierdzić, że właściciel dóbr jaworzyńskich złamał zakaz sądu galicyjskiego. Sąd w Nowym Targu nakazał Hohenlohemu rozebrać w ciągu 14 dni nielegalnie postawiony dom i zapłacić karę w ustalonej wcześniej wysokości. Pruski junkier nie tylko nie podporządkował się decyzji, lecz dla zjednania Węgrów polecił wywiesić na swym budynku przy Morskim Oku flagę węgierską. Jegrom nakazał przepędzić pasterzy, co uczynili nader gorliwie. A od nakazu sądu nowotarskiego odwołał się do sądu wyższej instancji. Orzeczenie sądu krajowego brzmiało: *Z załatwieniem rekursu powyższego wstrzymuje się aż do załatwienia w drodze administracyjnej kwestii granicznej.*

Decyzje sądów galicyjskich rozzuchwalały junkra pruskiego i ubezwładniały legalnego właściciela zabraniając mu korzystania z praw własności. Hrabia Zamoyski i rozżaleni górale z rodów Budzów, Burych, Gronikowskich, Hotarskich,

Kubinów, Para, a wśród nich byli słynny skrzypek Bartuś Obrochta i znany przewodnik Jakub Wawrytko, postanowili nie odstępować swych praw *choćby im przyszło walczyć do upadłego*. Nieustępliwy Jan Nowobilski z Białki krzyczał wzburzony: *Haw moi ojcowie paśli, zginem, a se nie dom ojcowizny zaprzeczyć*.

Brutalność i bezwzględność węgierskich żandarmów i uzbrojonych jęgrów nie powstrzymała górali od czynnej akcji. Zimą 1891/92 ruszyli tłumnie nad Morskie Oko i przepędzili stacjonujących tam żandarmów węgierskich, spalili posterunek, spłonęła też flaga węgierska. Rozwścieczeni żandarmi i jęgrzy w poszukiwaniu sprawców wtargnęli do przygranicznych wsi galicyjskich. Górale nie dali się łatwo zastraszyć. Zuchwałością wyróżnili się Jędrzek Dziadoń, leśniczy Zamoyskiego i zarazem karczmarsz z Łysej Polany oraz Jasiek Nędza Hotarski.

Dalszym aktem samowoli Hohenlohego wytrwale stawiał opór Zamoyski wraz z góralami i Towarzystwem Tatrzańskim silnie zaangażowanym w sprawę od czasu zaognienia sporu w 1890 roku. Wydział (czyli Zarząd Główny) TT czynił wiele, aby wykazać racje strony polskiej i dowieść prawa Polaków do spornego terenu. Członkowie TT sami wyszukiwali i zachęcali archiwistów i historyków do odnajdowania dawnych map, akt urzędowych, wszelkich pism i dokumentów, które mogłyby być niewątpliwym argumentem w sporze. Utrzymywali bliski kontakt z Zamoyskim, *nota bene* członkiem Wydziału, doradzali na bieżąco i wspomagali wszelkimi sposobami. Towarzystwo Tatrzańskie podjęło się prowadzenia czynności o charakterze kancelaryjno-prawnym. Wśród członków Towarzystwa było wielu posłów, prawników, profesorów uniwersyteckich, pracowników różnych urzędów i specjalności. Zajmowali się oni formułowaniem petycji, podań, skarg, odwołań, zażaleń, wniosków, apeli i odezw. W kilka dni po znieważeniu sędziów galicyjskich nad Morskim Okiem Towarzystwo Tatrzańskie, jako właściciel parceli, na której doszło do incydentu, złożyło skargę w Ministerstwie Sprawiedliwości. W sprawach spornych interweniowało u Namiestnika Galicji, w Sądzie Krajowym we Lwowie, a także u Premiera rządu austriackiego i deputowanych z Galicji do Rady Państwa w Wiedniu. Równocześnie członkowie Towarzystwa nagłaśniali spór, wskazywali na sens i potrzebę walki o ten wyjątkowo piękny zakątek tatrzański. Zachęcali ludzi pióra i redaktorów pism do poruszania problematyki sporu, ujawniania agresywnych dążeń pruskiego właściciela dóbr jaworzynskich, wskazywania konieczności obrony kawałka tej granicy państwowej, części Tatr z Morskim Okiem. W celu uprzystępnienia i zagospodarowania Doliny Rybiego Potoku Towarzystwo Tatrzańskie pomagało organizacyjnie i finansowo oraz starało się o fundusze z Wydziału Krajowego na prowadzoną przez Zamoyskiego budowę drogi do Morskiego Oka. W 1891 roku wydatkowano na ten cel niemal 900 zł r., a w 1893 r. niemal 1000. Zamoyski dostrzegł potrzebę budowy tej drogi jako element troski o sprawę Morskiego Oka. Dzięki ukończeniu drogi w 1902 roku możliwy był dogodny dojazd członków Sądu Rozjemczego do Morskiego Oka dla dokonania wizji lokalnej.

W 1892 roku Towarzystwo Tatrzańskie zwołało doroczny wiec, tym razem poświęcony sprawie Morskiego Oka. Na zakończenie wiecu wystosowano pismo do posłów galicyjskich tworzących tzw. Koło Polskie we Wiedniu w sprawie ich

DODATEK II.

Na dowód jak się w Polsce całej na tę sprawę zapamiętują — jak wszyscy polacy za krzywdę narodową poczytali by oderwanie Morskiego Oka lub Czarnego Stawu od naszego kraju — i jakiby żał w razie klęski cała Polska miała do tych, którzy jedyni dzisiaj mogą i powinni w Wiedniu znaleźć sposób oszczędzenia nam tej hańby —

podajemy tu treść pisma zbiorowego, jakie wysłać postanowili do Koła Polskiego liczni goście, którzy się w Zakopanem zjechali, nie tylko z wszystkich dzielnic Polski, ale i z najdalszych stron świata:

Wysokie Koło Polskie!

Zebrani na wiecu w Zakopanem rodacy, ze wszystkich stron Polski przybyli, uchwalili jednomyślnie zwrócić się do Wysokiego Koła Polskiego w Wiedniu z gorącą prośbą: o jak najgorliwsze czuwanie nad sprawą zatargu granicznego z Węgrami — i o rozwinięcie jak największej energii w obronie Morskiego Oka i Czarnego Stawu, tej odwiecznej kraju naszego własności i ozdoby naszych Tatr.

Cała Polska poczytałaby utratę tego kawałka ziemi za bolesną krzywdę. Cała Polska ma w tej chwili oczy zwrócone na Delegację swą w Wiedniu, która jedyna dzisiaj ma obowiązek i możność, na legalnej drodze zapobiedz tej stracie.

Delegacya Polska tyle poważnych usług Państwu już oddała, że ma dzisiaj prawo domagać się od Rządu: nie łaski — lecz bezstronnej sprawiedliwości — i energicznej a skutecznej obrony naszego kraju.

O popieranie z całych sił tej legalnej granic krajowych obrony, uprasza więc gości w Zakopanem bardzo gorąco.

Zakopane dnia 7 sierpnia 1892 r.

Prezes wiecu:
Tadeusz Langie.

Sekretarze:

Dr. Adam Doboszyński.
Dr. Józef Zanietowski.

Pod tem kilkaset podpisów, osób obecnych na wiecu.

W ostatniej chwili dowiadujemy się, że w rozmaitych stronach kraju naszego, ludzie dbający o całość kraju zwołują się na wieco — i przytaczają się licznie, podpisaniem swych nazwisk, do powyższego Zakopańskiego zbiorowego pisma.

Z tego co już dotąd zrobiono, na pewne można wnioskować: że nie setki lecz tysiące podpisów znajdzie Koło Polskie pod powyższem zbiorowem pismem.

Załącznik do petycji w sprawie Morskiego Oka z 1892 r.

wystąpienia do rządu austriackiego o zażalenie do przynależności do Galicji zachodniego zbocza Żabiego, które Hohensalce zamierzał zagrabieć, uznając go wcześniej za teren sporny (treść pisma — p. obok).

Spółeczeństwo polskie, podzielone kordonami zaborów, zgodnie opowiadało się za bezwzględną potrzebą strzeżenia Morskiego Oka, określanego w ówczesnej prasie mianem „perła Galicji”. Szybko wydłużały się listy wypełnione podpisami poparcia. W małych miastach i powiatach zebrano znacznie ponad 100 arkuszy, w samym Krakowie — 65, a we Lwowie — 40. Dominowała jednomyślność wszystkich Polaków bez względu na poglądy polityczne, przekonania religijne, ugrupowania, stany czy zawody. Prócz członków Towarzystwa Tatrzańskiego petycję popierały różne organizacje społeczno-kulturalne i zgromadzenia zakonne. Na zdobionym arkuszu złożył podpis Jan Matejko i inni profesorowie wyższych uczelni. Pośród tysięcy podpisów wyróżniał się autograf kardynała Albina Dunajewskiego, który dopisał: *jako biskup diecezji, w której leży ta miejscowość*. Zwierzchnictwo bowiem Jego Ekselencji, członka honorowego Towarzystwa Tatrzańskiego, sięgało granicy państwa, której fragment przebiegał właśnie powyżej Morskiego Oka.

Walka o Morskie Oko zdawała się nie mieć końca. Sądy galicyjskie rzekomo niewiele mogły i tyleż samo chciały uczynić dla sprawiedliwego zakończenia sporu.

Władysław Zamoyski pełen ufności i nadziei nie szczędził pieniędzy ni wysiłków. Stanowczo odpierał ataki. Bronił Morskiego Oka nie tyle dla zaspokojenia własnych ambicji, ale nade wszystko dla dobra sprawy. Polacy dawno utracili niepodległość, lecz nigdy nie stracili wiary w sprawiedliwość dziejową. **Szlachetny zamiar ocalenia maleńkiego skrawka polskiej ziemi w Tatrach nabrał znaczenia patriotycznego. Obrona Morskiego Oka stała się koniecznością dziejową.**

Dawni Rzymianie mawiali: *Necessitas durum telum* (konieczność to twardy oręż). Dla polskich patriotów, miłośników Tatr, potrzeba obrony tej urzekającej części naszych gór najwyższych była nie tylko twardym, ale i ogromnym orężem.

W 1892 roku nie przypuszczano, że trzeba jeszcze będzie przez 10 lat przewycięzać piętrzące się przeciwności w oczekiwaniu na wymarzone zwycięstwo. Sprawiedliwy werdykt międzynarodowego sądu rozjemczego w Grazu określił linię granicy politycznej, bez rozstrzygnięcia praw własności spornego terenu. Christan Hohenlohe jeszcze przez następne 7 lat daremnie dochodził w sądach swej rzekomej racji.

W następnym, XI tomie Pamiętnika PTT przypomnimy, jak po roku 1892 walczyliśmy w Tatrach o to, co nam obca przemoc zabrać chciała.



Odbitka z „Przewodnika do Tatr, Pienin i Szczawnic” W. Eliasza, wyd. VI (1900 r.)

MIECZYŚLAW ORŁOWICZ

Tadeusz Kielbasiński

Od Redakcji: Mieczysław Orłowicz – ten wyjątkowy człowiek. Właściwie twórca polskiej turystyki, a w okresie międzywojennym autor szeregu założeń koncepcyjnych i opracowań, które umożliwiły i ułatwiły jej szybki rozwój, sam zapalony turysta i organizator ruchu ogólnopolskiego, jest coraz bardziej zapomniany. Dziś pokolenie młodych turystów już nie zna Orłowicza. Może jednak warto go przypomnieć, ot na przykład wziąć taki opis wycieczki sprzed stu lat i powtórzyć trasę, którą z przyjaciółmi przeszedł i opisał i porównać tamten opis Orłowicza z teraźniejszością. To byłoby uczczenie wielkiego TURYSTY!

Na nagrobku Mieczysława Orłowicza, pochowanego w Alei Zasłużonych na Cmentarzu Powązkowskim w Warszawie, wyryto ślad drogi – płaju, biegnącego wśród wielu zakrętów gór i niknącego hen, gdzieś za przełęczą. Tak, jak ta droga, symbolizująca dokonania całego Jego życia, niknie gdzieś w dali, tak i pamięć o Nim powoli zanika.

Wracam myślą do Jego postaci – do człowieka legendy, którego tylko raz w życiu dane mi było widzieć i krótko rozmawiać – by tym moim wspomnieniem przypomnieć Go starszym a przybliżyć młodszym moim włóczęgowym kolegom.

Odczuwam pewną niechęć do przedstawienia Jego dokonań w formie encyklopedycznej, dlatego ograniczam się do podania najważniejszych informacji o Jego najbliższych towarzyszach włóczęg, a załączona część zestawienia bibliografii prac (ograniczona tylko do tematyki górskiej) pozwala na ocenę Jego rozległych zainteresowań i górskiej spuścizny.

Mieczysław Orłowicz urodził się 17 grudnia 1881 roku w Komarnie k/Lwowa. Dzieciństwo spędził w Komarnie i w Pruchniku, lata szkolne (1888–1896) w Dębicy, Jarosławiu, Samborze, Rymanowie i Chyrowie.

PIERWSZE WYCIECZKI

Początki turystyki i poznawanie smaku wędrowania związane są z pobytem Orłowicza w okresie wakacyjnym w Rymanowie. W okresie tym poznawał m.in. środkową część Beskidu Niskiego i Pogórza, odbywał pierwsze wycieczki w oko-

lice Krynicy (1897) i do Zakopanego (1898). Do wyjazdów tych przygotowywał się solidnie, wertując dostępne przewodniki, nieliczne opracowania, a szczególnie wielotomowy przewodnik po kolejach austriackich. Studiował pilnie również austriackie mapy „75-tki”. To powodowało, że rozpoczynając wędrowki dobrze orientował się w danym terenie. Wspomnieć tu należy, że Orłowicz przełamał wówczas panujący zwyczaj przymusowego nieomal wędrowania po Tatrach z górale-przewodnikiem. Pierwszą swoją wycieczkę, do Czarnego Stawu Gąsienicowego, odbył samotnie, oszczędzając – jak sam wspomina – na „taksie” przewodnickiej.

Od tego momentu chodził sam, wkrótce też zaczął sam „przewodzić” i prowadził – zawsze na czele grupy – przez całe swoje życie, aż do ostatniej wycieczki w roku 1959.

Od pierwszej swojej wycieczki w Tatry, Orłowicz odwiedzał te góry co roku przez trzy lata (później rzadziej), nie zaniedbując jednocześnie „okolic” – Pienin, Gorców, Babiej Góry, Niżnich Tatr, Spisza oraz szeroko pojętego „podgórze”, zarówno po stronie galicyjskiej jak i węgierskiej.

W latach 1899–1905 studiował prawo, historię sztuki, a pod koniec studiów także filozofię, we Lwowie, Wiedniu, Paryżu, Krakowie i Pradze. Po złożeniu wszystkich obowiązujących „rygorozów” i odbyciu niezbędnej praktyki adwokackiej, w roku 1905 uzyskał tytuł doktora praw.

Okres studiów nie przeszkodził Orłowiczowi w uprawianiu turystyki. Zaowocowało to później wydaniem w 1906 roku przewodnika po Europie, poprawionym i uzupełnionym w następnym wydaniu, w roku 1909.

Istotnym dla Orłowicza wydarzeniem w omawianym okresie – jakby krokiem milowym – był udział, przypadkowy zresztą, w realizacji programu turystycznego w ramach tzw. Kursów Wakacyjnych w Zakopanem. Kursy te, o charakterze wolnego uniwersytetu, organizowane w latach 1904–1905 z udziałem wybitnych Profesorów Uniwersytetu i innych instytucji naukowych, zawierały w sobie program zwiedzania Tatr i okolicy.

PRZEWODNIK MIMO WOLI

Orłowicz zgłosił swoje uczestnictwo jako zwykły uczestnik kursów, ale zwerbowany tuż po przyjeździe przez jednego z organizatorów Kursów – Tadeusza Kornilowicza – stał się jego współpracownikiem w realizacji programu turystycznego. Po niespodziewanej rezygnacji Kornilowicza z kierownictwa wypraw Orłowicz, zmuszony sytuacją, podjął się prowadzenia tejże akcji. Przedsięwzięcie było olbrzymie – w 1904 roku na kurs zgłosiło się 560 (!) uczestników, w roku 1905 – 500. Trzeba było opracować programy wycieczek, trasy, przejazdy, i... często samemu prowadzić! Teren działania: Tatry, Pieniny, Orawskie Zamki, Babia Góra, a w 1905 – południowe tereny od Tatr po stronie węgierskiej. I Orłowicz podołał! A miał dopiero 23 lata.

W czasie trwania kursów Orłowicz prowadził wycieczki przez 60 dni, zdobywając poza tym nowe przejścia, nowe drogi i szczyty, a jednak, mając już za sobą

przebyte 150 dni wycieczkowych w Tatrach, ciągle czuł niedosyt w poznaniu Tatr. Twierdził, że by godziwie poznać Tatry potrzeba Mu jeszcze co najmniej 5 miesięcy, i to tylko wędrówek letnich.

Trzecim, chyba najistotniejszym, wydarzeniem w życiu Orłowicza był fakt powołania przezeń w 1906 roku Akademickiego Klubu Turystycznego we Lwowie. Tworząc organizacyjne podwaliny dla rozwoju ruchu wycieczkowego (pieszego!), przełamał równocześnie panujące w owym czasie stereotypy, że „nie godzi się” używać własnych nóg jako środka „przemieszczania się”. Trzeba bowiem wiedzieć, że przełom XIX i XX wieku był okresem, kiedy chodzenie piechotą w ówczesnym społeczeństwie (naturalnie mieszczańskim i wykształconym) było uważane za poniżające.

Dla liczących się osób wszędzie „musiały być” pojazdy, powozy, konie, krótką nawet drogę pokonywano pojazdem, a nie pieszo.

Znamiennym stał się przypadek, gdy Orłowicz, jeszcze w czasach studenckich, zwrócił się z propozycją utworzenia Koła turystycznego przy Czytelnicy Akademickiej we Lwowie (we Lwowie nie było jeszcze wtedy żadnej organizacji turystycznej¹ i usłyszał, że niestety *Czytelnia Akademicka na tę propozycję zgodzić się nie może, jest bowiem instytucją zbyt poważną i zasłużoną, mającą znaczny dorobek w dziedzinie polityki, literatury, kultury itd., by patronować tak niepoważnym rzeczom jak wycieczki piesze w okolice Lwowa, czy choćby w Karpaty Wschodnie.*

NARODZINY A. K. T.

Orłowicz nie dał za wygraną. Będąc jeszcze studentem rozpoczął przygotowania, by założyć samodzielny, później wielce zasłużony Akademicki Klub Turystyczny, którego przez wiele lat był prezesem, a od roku 1911 do 1923 – prezesem honorowym.

O owym wydarzeniu tak pisał: *Gdy otwierałem to zebranie (29 kwietnia 1906 r.) nie przypuszczałem, że otwieram nową kartę nie tylko w moim życiu prywatnym, ale także w dziejach turystyki polskiej w ogóle.*

Młoda organizacja ruszyła z pracą „z kopyta”. W dwa miesiące po powstaniu AKT Orłowicz zorganizował pierwszą poważną „wyprawę” w Czarnohorę, na Zielone Świąta, 2–5 czerwca 1906 r. Na marginesie należy zaznaczyć, że w owym czasie na tak ogromnym terenie były tylko dwa niewielkie schroniska: na Zaroślaku, oraz na Poliwnem za Popem Iwanem.

Poniżej przytaczam skrócony opis tej wycieczki autorstwa samego Orłowicza, który oddaje świetnie zarówno klimat i przebieg samej wycieczki, jak również stosunki i obyczaje panujące w ówczesnym społeczeństwie, w środowisku lwowskim.

¹ Lwowski Oddział TT powstały w 1883 r., szybko zakończył działalność, rozwiązany w roku 1887. Założony został ponownie dopiero w roku 1920.

PIERWSZA WIĘKSZA WYCIECZKA

Była to pierwsza większa i ciesząca się dużą frekwencją wycieczka AKT, a poświęcam jej osobny opis przede wszystkim dlatego, że była to najbardziej humorystyczna wycieczka, jaką kiedykolwiek urządziłem. Dwa tygodnie wcześniej podałem w pismach lwowskich o organizowanej wycieczce oraz że będziemy nocować w kolibach huculskich, gdyż schroniska na Zaroślaku leży za nisko, a na Poliwnym za daleko.

Ku mojemu zdumieniu i przerażeniu zgłosiło się aż 65-ciu kolegów. Na zebraniu organizacyjnym (udział 40 kolegów), przedstawiłem co trzeba ze sobą zabrać. Większość odniosła się do tej sprawy niezyczliwie (nie w modzie było w tym czasie udzielanie rad czy uwag), niektórzy zapowiedzieli wręcz, że zabiorą ze sobą walizki, a byli i tacy, którzy chcieli zawinąć zabierane rzeczy w koce (i na plecach), a nawet w papier pakowy, którym owijano głowy cukru. Na nogi zabierano – między względnie porządnymi skórzanymi trzewikami – pantofle poranne z cienkiej skóry bez obcasów, buty z cholewami o bardzo śliskiej podeszwie, pantofle plecione z łyka i zwykle gumowe kalosze. O gumowych pelerynach nie chciano nawet słyszeć.

Na moje protesty odpowiadano: „Nie znacie mnie, kolego, nie wiecie, jakie mam walory”. Rzeczywiście, nie znałem, ale muszę powiedzieć, że w Czarnohorze walory te zobaczyłem z jak najbardziej humorystycznej strony. W efekcie pojechało na wycieczkę tylko (!) 30 osób. Zabrałem 4 kotliki do gotowania herbaty (co było podstawą naszego wyżywienia).

Dość zabawnie wyglądał nasz zespół, gdy zeszliśmy się wieczorem na dworcu kolejowym. Publiczność z pewnym podziwem i podejrzeniem patrzyła na nas – wyglądaliśmy jak dezerterzy z carskiej armii.

Pociągami dojechalismy do Jasini. W restauracji dworcowej, gdzie obsługiwali autentyczni węgierscy kelnerzy, zjedliśmy porządną obiad ze spisu węgierskiego².

Z Jasini wyszliśmy o godz. 14⁰⁰ mając zamiar dojść pod szczyt Pietrosza ok. godz. 9⁰⁰ wieczór. Do mojej zapowiedzi, że będziemy iść na Pietrosz ok. 7 godzin, koledzy odnieśli się ze śmiechem, mówiąc: „Nie znacie nas kolego – źle obliczacie nasze siły, powinniśmy tam być za godzinę!”. Pierwsze wrażenia – kolega Murzynowski zgubił kalosze w błocie, a jak wyglądały kierzpce z cienkiej skórki i płytkie buciki, gdy błoto sięgało do połowy łydek?

Zanocowaliśmy na poloninie pod Pietroszem w opuszczonych szałasach. Panował chłód przejmujący. Najbardziej ucierpieli koledzy, którzy nie pozwolili na rozpalenie ogniska w ich szałasie, bo nie znosili dymu.

Na drugi dzień zdobyliśmy Howerlę. Pierwsi zrezygnowali z dalszej wędrówki posiadacze walizek. Przez Zaroślak, Foreszczenkę wieczorem dotarli do Worochty. Po zejściu z Howerli poszliśmy dalej przez Breskuł i Turkuł w stronę Popa Iwana. Nie wiedziałem, że największe przejścia czekają nas dopiero w 3 i 4 dniu wycieczki.

² Jeśli ktoś jest ciekaw jak wygląda dworzec kolejowy w Jasini dziś – odsyłamy do artykułu Teresy Kuczyńskiej i Aleksandry Lesz pt. „Migawki z Karpat Wschodnich” zamieszczonego w tomie 3. Pamiętnika PTT z roku 1994 (przyp. red.).

Na szczycie Szpicy stanęliśmy dopiero o zachodzie słońca. Już o szarówce zeszliśmy dość stromym zboczem do kotła polodowcowego, gdzie widzieliśmy z góry kilka szałasów. Nocleg nie był zbyt wytworny, ale po zmęczeniu całodziennym marszem wydawał się doskonały.

Trzeci dzień, rano wstaliśmy ok. godz. 5(!). Pogoda była pochmurna, ale bezdeszczowa. Liczyłem więc, że mamy jeszcze 4 dni pogody i że słoty na św. Medarda zastaną nas dopiero we Lwowie. Niestety, przeliczyłem się. Coraz więcej kolegów, którzy nie mieli plecaków przychodziło do mnie i żaliło się, że nie dali się namówić na nabycie plecaka i peleryny gumowej. Jak bardzo takie pakunki, owinięte w prześcieradła, worki, koce i gruby papier są niepraktyczne, mogli się przekonać na własnej skórze i to już za kilka godzin.

Po minięciu szczytu Munczela zaczął wiać silny, przenikliwy i mroźny wicher, który zmusił nas do okrycia się, czym kto miał, ale przeważnie nieodpowiednio do sytuacji. Ja miałem serdak. Gdy był zapięty, grzał piersi i plecy, a dwie peleryny – lodenowa i gumowa – chroniły przed deszczem.

Planowałem dojście do Popa Iwana i zejście gdzieś w okolicę Jawornika nad Czarnym Czeremoszem. A tymczasem, już w okolicy szczytu Munczela, ok. godz. 10 rano zaczął padać deszcz, który zmienił się szybko w deszcz ze śniegiem i śnieg, pędzony wichurą od północy. Świat przestał dla nas istnieć.

Nie mając innego wyboru, zarządziłem marsz w kierunku południowym, orientując się według kompasu, na stronę węgierską w dorzecze Cisy. Schodziliśmy, trzymając się nieomalże za ręce, aby się nie pogubić. Szliśmy, aby w dół! Poniżej, gdy doszliśmy do linii lasu, śnieg był mokry, istna obrzydliwa papka. Szliśmy dnem potoku – on jeden wskazywał kierunek w dół. Byliśmy tak mokrzy, że niewiele ryzykowaliśmy idąc po deszczu, bo już więcej zmoknąć nie mogliśmy.

Niezmiernie się ucieszyłem, gdy po jakichś 5 godzinach marszu wśród świerków w dolinie pojawiło się dość duże jezioro. Była to Klauza Balzatuł³. Nigdy tu nie byłem, ale wiedziałem, że to ona, bo innej w tej okolicy nie było. Przy Klauzie były pomieszczenia mieszkalne dozorców, rodziny huculskiej, gdzie otrzymaliśmy nocleg, a jak na wstępie zaznaczyłem, że będziemy za wszystko płacić (było nas przecież 25 osób) – przyjęto nas bardzo gościnnie. Obiad był wspaniały – kwaśne mleko, jaja, nabiał – a gospodarz zachwycony, bo dodatkowo otrzymał parę paczek tytoniu do fajki.

Pościgaliśmy mokre ubrania, które suszyliśmy koło wielkiego pieca do pieczenia chleba. O dalszym marszu nie było mowy. Zostaliśmy tu na noc, aby się ogrzać, najeść i wysuszyć.

Byłem ostrożny, bo gdy spostrzegłem, że Hucułka ma zamiar suszyć nasze buty w piecu po wyjęciu chleba, własne przezornie schowałem, chociaż były mokre. Zasnąłem szybko.

Zbudziłem się o świcie, około godz. 4 rano. Coś mnie jednak tknęło i odsunąłem blachę zakrywającą wnętrze pieca i omal głośno nie parsknąłem śmiechem. Z pieca bowiem wyjrzało ku mnie kilkanaście krokodylich paszcz, rozdziawionych

³ Tama dla gromadzenia wody i spuszczenia tratw z transportowanego w dół rzeki drewna.

szeroko i nabitych drewnianymi szpilkami jak zębami. To były buty kolegów, którzy byli tak nieostrożni, że pozwolili Huculce wstawić je na noc do pieca. 20-stu kolegów zostało bez butów, bo były tak zeschnięte i przypalone, że nie dały się w żaden sposób założyć na nogę. Najbardziej poszkodowani byli ci, co mieli buty z cholewami. A przed nami 11 godzin drogi do pociągu.

Ruszyliśmy. Część z powiązanymi szpagatem samymi dołami butów, część z obwiązanymi szmatami i szpagatem nogami, część tylko w samych skarpetkach, a tylko 5 osób w mokrych, lecz całych butach. Jeden z kolegów zauważył w pewnym momencie stos gontów drewnianych, przygotowanych do układania na dachu. Wpadł zatem na genialny pomysł, żeby użyć ich jako podeszew. Przywiązywano je do stóp szpagatami, mimo, że były bardzo niewygodne, często pękały. Uczestnicy wycieczki zabierali do plecaków taką ilość gontów, jaka się zmieściła. Trzeba dodać, że po całodziennym marszu po błocie, na resztkach butów bądź na gontach umocowanych szpagatem, wyglądaliśmy jak dezenterzy z armii względnie jako bandycki zespół. W Jasini (przesiadka na pociąg galicyjski do Lwowa), wszyscy pasażerowie czekający na pociąg wyszli ze stacji, żeby nas podziwiać. Obiad podano nie w I-szej czy II-iej lecz w III-ciej klasie dworcowej restauracji (były takie! – T.K.). We Lwowie, po wejściu do tramwaju wszyscy pasażerowie puciekali na pierwszym przystanku – tramwaj zrobił się pusty, mieliśmy go tylko dla siebie. Na zakończenie wycieczki wszyscy udaliśmy się do fotografa – ten przystąpił do pracy dopiero po otrzymaniu zaliczki, upewniając się, że to nie jest żaden napad. Rozstaliśmy się wszyscy szybko, a kilka z nas powędrowało do najbliższej łaźni.

Niestety, zdjęcie nie zachowało się do naszych czasów...

DALSZE WYPRAWY

Trudy owej wycieczki nie zniechęciły ani Orłowicza ani jej uczestników do nowych wypraw. Liczba członków Klubu wzrosła w następnym roku z 43 do 158. Jeszcze w tym samym roku (1906) zorganizowano 14 wycieczek, prowadzonych przez Orłowicza. Stopniowo poprawiało się wyposażenie uczestników. W 1907 roku Orłowicz zorganizował i poprowadził 37 (!) wycieczek. Wyprawy w Beskidy Wschodnie i Karpaty Rumuńskie zaplanowane były jako imprezy bardzo forsowne – dla odstraszenia maruderów. Wśród wycieczek z lat 1906–1907 wyróżniła się wyprawa w Alpy Rodniańskie która, zorganizowana w całkiem „dzikim” i nieznanym terenie, daje wyobrażenie o rozmachu i niebywalej odwadze, a jednocześnie pewności siebie jej organizatora – Mieczysława Orłowicza. Przyniosła ona uczestnikom wyprawy nowe odkrycia i wrażenia. Oddajmy głos autorowi sprawozdania z tejże wyprawy, ale zanim to uczynimy, krótkie wprowadzenie.

Orłowicz solidnie przygotował się do tej wyprawy, dla niego teren był także nieznan. Po pierwsze, odpowiednio wcześniej, zamówił telegraficznie (!) ze Lwowa wystarczającą ilość furek i dorożek od stacji w dolinie Cisy i Wyszowa (Visso-Völgy) do Borszy, skąd wycieczka miała wyruszyć pieszo. Podróż kolejną ze Lwowa do Doliny Wyszowa trwała 12 godzin. Przed nimi dalsza droga dorożkami, półkoszkami i furkami i 67 km najbardziej podłej drogi, jaką można sobie

wyobrazić. Orłowicza nic nie załamało. Przebieg całodziennego drogi kolebiącymi się podwodami opisał tak ciekawie i sugestywnie, że nie wypada pominąć ani słowa:

Trudy podróży wynagrodziły nam wspaniałe i ciągle zmieniające się widoki i mijane różnorakie wsie, zamieszkałe już to przez Rumunów, przeplatane wsiami huculskimi. Przewspaniała lekcja etnografii!

Pierwszą od stacji kolejowej wsią rumuńską w Dolinie Wyszowa, była wieś Petrowa.

Typ tutejszych mieszkańców ze stroju i wyglądu był najzupełniej różny od Huculów. Mężczyźni smukli, z orlimi nosami, długowłosi, w małych czarnych kapeluszach, ozdobionych muszelkami i w szerokich płóciennych spodniach. Kobiety nosiły krótkie spódnice, koszule o króciutkich rękawach, a zachowywały się wobec przyjezdnych z niespotykaną u Huculów zalotnością. W oknach chat we wsi czy podczas pracy w polu widzieliśmy kokieterijne uśmiechy i spojrzenia młodych Rumunek, których uroda, przynajmniej w tych wsiach, pociągała – tylko malować i fotografować. Nie zauważyliśmy jednakże, żeby u mężczyzn wywoływało to jakieś objawy niezadowolenia.

Patrząc na Rumunów z wsi położonych przy naszej trasie skonstatowaliśmy, że są to inni ludzie, inne typy, inna uroda, inne stroje, inny język, inne temperamenty. Zewnętrzny wygląd wsi też inny. Wsie zabudowano pięknymi drewnianymi chatami, o gankach na charakterystycznych ozdobnych słupach.

Ornamentyka ludowa, bardzo bogata, pomysłowa. Wszystko to było dla nas nowością i wszystkiemu przyglądaliśmy się z wielkim zainteresowaniem, a że wsie następowały jedna po drugiej, mieliśmy wrażenie, że jedziemy jakąś bardzo długą ulicą, pięknie zabudowaną. Po przejechaniu jeszcze kilku wiosek rumuńskich stanęliśmy na popas w brudnym węgierskim, pokostem powleczonej miasteczku Viszeu de Sus (Wyszów Górny). Skorzystaliśmy z tego popasu nie tylko, aby zjeść kolację w tutejszej restauracji, ale także, za radą naszego dorożkarza zaopatrzyć się w tutejszych sklepach w artykuły aprowizacyjne, gdyż w Borszy, u celu podróży, niczego w sklepach nie dostaniemy.

Po dalszych 23 km jazdy stanęliśmy w Borszy (po 25 godzinach jazdy ze Lwowa). Była to ogromna wieś, położona tuż pod samym Pietroszem Rodniańskim. Pietrosz góruje nad Borszą niemal o 1700 m, czyli połowę więcej niż Giewont nad Zakopanem. W Borszy nie było ani karczmy, ani schroniska, ale był telegraf, gdzie ze Lwowa mogliśmy zamówić noclegi prywatnie i jedzenie u kowala Szmidta. Był on jednocześnie jedynym z informatorów, jak i którędy dostać się najłatwiej na szczyt Pietrosza.

Najkrótsza droga prowadzi z Borszy wprost ku szczytowi Pietrosza. Z wierzchołka spada ku północy 5 skalistych żeber, u jego stóp błyszczy kilka małych jezior, otoczenie robi niemal wrażenie Tatr. Wejście na Pietrosza z tej strony wymaga wprawdzie pomocy rąk, ale dla osób obeznanych z wspinaczkami tatrzańskimi jest to najbardziej polecana droga, gdyż wystarczy 6 godzin, aby z Borszy dostać się na szczyt.

Na szczycie odpoczywaliśmy blisko 2 godziny, ciesząc się z dobrej pogody. Najpierw posiłek i odpoczynek, drugą godzinę na podziwianie widoku. Tuż obok szczytu, wśród głazów i kosodrzewiny błyszczały lustra kilku jeziorzek. Dalej w dolinie Wyszowa bielila się cerkiew w Borszy. Wzdłuż Wyszowa widać było wsie rumuńskie oraz zamieszkałą przez Huculów wieś Ruskowa. Na dalekim widnokręgu siniał wał Czarnohory z Howerlą i Pietroszem.

Na zachód od głównego pasma Alp Rodniańskich ciągnęło się niższe pasmo Gór Lapuskich, na południe od miasta Marmarosz – Sziget. W kierunku południowym od Pietrosza kryło się jedno z pasm Karpat Siedmiogrodzkich, ale było ono widoczne po zejściu na niższy szczyt Bukujeski (2122 m). Na wschód widzieliśmy drugą część pasma Alp Rodniańskich, zakończone kopułą Ineula (2280 m), drugiego co do wielkości szczytu tego pasma.

Krajobraz ten przedstawiał bardzo urozmaiconą rzeźbę. Było to dla mnie zupełną nowością, chłonałem oczyma wszystko co tu widziałem, tak, jakbym miał ten widok na stałe utrwalić w głowie, jak na niezniszczalnej taśmie.

Po południu rozpoczęliśmy schodzenie do Borszy na nocleg – i znowu 1700 m w dół! Na łeb na szyję!

Bałem się jednak stromego i niedostępnego olbrzymiego wodospadu – woda tu spada z wys. 70 m z olbrzymim hukiem. Postanowiliśmy schodzić bezpośrednio w dół, nie wiedziałem bowiem wówczas, że niedaleko przebiega dogodna ścieżka myśliwska, omijająca najtrudniejsze zejście obok wodospadu jak również bardzo strome zejście obok szalasów owczarzy. Zbiegiem okoliczności cała nasza grupa rozbiła się przy schodzeniu – i każdy schodził sam – w bardzo dzikim i niebezpiecznym terenie. Nie upilnowałem grupy. Było dużo powietrza i strachu przy schodzeniu. Było wprawdzie dość trudno, ale wszędzie wydawało mi się, że jeszcze kilka kroków można zsunąć się w dół. A gdy już takich kroków zrobiłem kilkaset, przeważnie na plecach, zapierając się łokciami, teren zrobił się powoli coraz bardziej płaski i już mogłem iść na swoich nogach. Byłem dopiero w okolicy podstawy wodospadu. Stąd już droga łatwiejsza. Powoli dołączyli pozostali członkowie wyprawy, tak, że przed Borszą byliśmy w komplecie. W sumie jakoś wszyscy daliśmy sobie doskonale radę na tym naprawdę trudnym szlaku.

Kolacja była doskonała: kwaśne mleko i kulesza (mąka kukurydziana, zarzucona na wrzącą wodę).

Na następny dzień, ulgowy po straszliwej wyrzpie na Pietrosza, wybraliśmy się w okolice Borsza-Banya (kopalnia) i wczesnym wieczorem zameldowaliśmy się w kolejnej osobliwości tych stron – w karczmie żydowskiej Jakuba Meiselesa. Władał niemieckim, co nam ułatwiło konwersację. Gdy dowiedział się, że doktor Ostrowski jest lekarzem, a ja doktorem praw i prezesem AKT – otworzył nam ładnie urządzony salonik, a bardzo smaczną kolację dostaliśmy na stole nakrytym obrusem, na talerzykach i ze srebrnymi naczyniami. W dodatku, na srebrnej tacy wśród wizytówek gości, którzy tu nocowali, zobaczyliśmy wizytówki Hugona Zapalowicza, który już zasłynął z organizowanych z wielkim rozmachem wypraw m.in. w Czarnohorę i Alpy Rodniańskie.

Od tej rozmowy i od kolacji nawiązała nasza grupa ściśle stosunki z karczmarzem Meiselesem, w wyniku czego coraz częściej nasze grupy wycieczkowe ze Lwowa korzystały z gościny i restauracji, zawsze byliśmy obsłużeni jak najlepiej, łącznie ze sprowadzanymi przed naszymi przyjazdami świeżymi towarami spożywczymi.

O dalszej wędrówce we wschodniej części Alp Rodniańskich Orłowicz wspomina tak:

Z Kirlibaby na przełęcz Poiana Rotunda szliśmy szosą. Zameldowaliśmy się w placówce żandarmerii węgierskiej i otrzymaliśmy bez trudu nocleg, gdyż żandarmi mieli instrukcję – podobnie jak na Przysłopie – żeby nie odmawiać noclegu turystom. O taką instrukcję wystarało się Siedmiogrodzkie Towarzystwo Karpacie (Siebenburgische Karpathenverein).

To bardzo ułatwiało wędrowanie w tych czasach.

Ineul, dobrze widziany z Poiana Rotunda, najwyższy szczyt wschodniej części Alp Rodniańskich, wyglądał stąd bardzo okazale, bo przełęcz miała zaledwie 1200 m, a on wznosił się nad nią równo 1000 m. Przy pogodnym powietrzu stanowił on dla nas wyraźny drogowski, bo ścieżek znakowanych wówczas jeszcze nie było.

W ciągu 2-ch dalszych dni przeszliśmy całą wschodnią część grzbietu Alp Rodniańskich. Wiele szczytów przybrało w tym czasie (a był to przełom czerwca i lipca) czerwony kolor od masowo kwitnącego tu różanecznika. Od tego koloru Rumuni nazwali jeden ze szczytów – Verfu Roszu – Czerwony Wierch.

Z wierchu tego weszliśmy na imponująco przedstawiający się najwyższy szczyt wschodniego ramienia Alp Rodniańskich – Ineul (2280 m). I znowu panorama wokół, na którą nie skąpił się czasu. I znowu Czarnohora, Hnitesa, Czywczyn, Karpaty Marmaroskie, Karpaty Siedmiogrodzkie. Po sjeście duchowej schodziliśmy już w doliny – poprzez Gargalen, przełęcz Munthei, Cailor zeszliśmy do Borszy i do Borsza-Banya na nocleg do szanownego karczmarza Jakuba Meiselesa. I tu praktycznie zakończyliśmy naszą wielodniową wycieczkę w Alpy Rodniańskie.

POWRÓT NA NOGACH

A jednak nie zakończyli. Czekał ich jeszcze powrót – perspektywa 25 godzinnej podróży do Lwowa. Nie wszystkim przypadło to do gustu – ktoś podsunął pomysł, wracamy do kraju piechotą! Po długiej naradzie, przetykanej niezłym likierem, którego Meiseles nie żałował – podjęto decyzję i ustalono trasę: dolina rzeki Suligul, uzdrowisko Suligul, szczyt Suligul i Czywczyn, a za nim Galicja i dolina Czarnego Czeremoszu.

Oddajmy głos Orłowiczowi: *Aby iść dalej ku górcom granicznym w dorzeczu Czeremoszu, trzeba było zniżyć się w dolinę rzeki Suligul, płynącej na południe w kierunku Wyszowa. Dolina całkowicie bezludna, tylko jedno jedyne zabudowanie, oznaczone na mapie symbolem uzdrowiska o nazwie „Suligul”.*

Czekały nas tu dwie przygody: jedna w Zakładzie Kąpielowym Suligul, zresztą bardzo zabawna, druga mniej zabawna na drugi dzień, już w okolicy Czywczyna.

Zakład Kąpielowy Suligul wyobrażaliśmy sobie jako zakład o kilku willach, z restauracją. Ale, gdy zbliżyliśmy się po lichej drodze, oczom naszym ukazał widok niespodziewany. Przed budynkiem Zakładu Kąpielowego zatrzymaliśmy jakiegoś Żyda, żeby zapytać gdzie jest restauracja, a on w krzaki. Nasza wymarzona restauracja okazała się całkowicie pustym zrujnowanym lokalem, w którym nie było ani stołów, ani krzeseł, ani schodów na piętro, z którego dochodziły zresztą dość donośne odgłosy. Z boku stała drabina, która była jedynym środkiem lokomocji parteru z piętrem. Zaczęliśmy po kolei wchodzić na piętro. Widok obszernej sali, wyposażonej w stoły, krzesła, przygotowany do kolacji i tłum niesamowicie przerażonych starozakonnych (kolega nosił na szyi rewolwer) wprowadziła nas w osłupienie. Jeden śmielszy z tubylców zaczął nas błagać o życie, wierząc, że to zbójnicki napad – nasze stroje ich mocno w tym utwierdziły. Po wyjaśnieniu, że jesteśmy turystami ze Lwowa, że chcemy posiłku i spania – oddali nam całą przygotowaną kolację, usługiwali jak tylko potrafili, zabawiali rozmową. Całe szczęście, że gospodyni miała jeszcze zapasy w kuchni. Śniadanie było również znakomite. Innych obiektów uzdrowiska Suligul nie zwiedzaliśmy. Żal było patrzeć.

Nazajutrz, wyspani, otwarta droga aż do przełęczy Suligulskiej i ku szczytowi Czywczynu.

Po drodze zobaczyliśmy potężnego byka. Nakazałem absolutną ciszę, ale któryś z nas nie wytrzymał. Byk ruszył. Grupa rozproszyła się, a byk biegał to za jednym, to za drugim. Po półgodzinie, po zebraniu się, okazało się, że dwie osoby nie powróciły. Zacząłem się martwić o kolegów, wytłumaczywszy pasterzowi Rumunowi co się stało, puściliśmy się w dół z psami w ich poszukiwaniu. Po ok. 3-ch kilometrach zauważyliśmy ich siedzących na drzewach, a na dole niesamowicie spowiniewane plecaki i spokojnie pasącego się byka, chodzącego od drzewa do drzewa. Wystarczyło, aby Rumun syknął głośno coś w rodzaju „tie!”, psy rzuciły się w stronę byka i bohaterowie mogli zejść z drzew.

Pożegnaliśmy się z gościnnym Rumunem – Czywczyn widać było niedaleko. Zeszliśmy nad Czarny Czeremosz, do Worochty już tylko 90 km. Jeszcze 10 godzin jazdy pociągiem do Lwowa i już byłem „u siebie”.

DOKTOR PRAW, PRZEWODNIK

A potem przyszły dalsze dziesiątki i setki wycieczek. Zasięgiem swoim obejmowały również rejony wielu krajów Europy: Niemiec, Francji, Włoch, Czech, Węgier, Szwajcarii, Rumunii i innych. Przez wiele lat Orłowicz opracowywał roczne sprawozdania z pracy AKT, dziś przebogate źródło informacji o jego działalności.

Po uzyskaniu tytułu doktora praw Orłowicz nie zdecydował się na podjęcie pracy prawniczo-adwokackiej. Uświadomił sobie, że jego głównym zainteresowaniem jest krajoznawstwo, a szczególnie historia sztuki, której poświęcił ostatnie cztery lata studiów. Liczył wówczas na możliwość uzyskania bardziej intratnej posady w miastach akademickich, muzeach czy innych instytucjach kulturalnych.

Studiując historię sztuki stwierdził jednak, że poziom wykładów na Uniwersytecie odbiegał od jego zainteresowań – np. brak wykładów o sztuce polskiej – podjął tedy uzupełnianie wiedzy na własną rękę. Wiele materiałów zbierał przez następne lata podczas licznych wycieczek po największych ośrodkach kultury, w większości miast Europy. W tym też celu – nie zaniehbując pracy w AKT i nadal prowadząc wycieczki – zrezygnował w 1910 r. z funkcji Prezesa, koncentrując wysiłki na penetrowaniu turystycznym terenów dotąd mu nie znanych.

W 1911 roku Akademicki Klub Turystyczny nadał Orłowiczowi tytuł Prezesa Honorowego Klubu; piastował on tę godność do roku 1923, tj. do czasu rozwiązania AKT.

Początek pierwszej wojny światowej Orłowicz spędził w Pradze, gdzie zajmował się pomocą dla Polonii – uchodźców z terenów objętych działaniem frontów w Galicji w 1914 roku. W 1916 roku powołany został do służby wojskowej, którą pełnił w Przemyśle w roli delegata Akademii Umiejętności w Krakowie i jednocześnie konserwatora zabytków sztuki – dla ich ratowania z wojennej zawieruchy.

DRUGI ETAP DROGI

Po zakończeniu wojny Orłowicz otrzymał propozycję objęcia pracy w Referacie Turystyki w Ministerstwie Robót Publicznych w Warszawie. Przeniósł się do Warszawy w roku 1919 i zaczął, jak to sam określił – „drugi etap drogi w jego życiu”. Ten „drugi etap” to następne 40 lat życia, które poświęcił w połowie pracy nad organizacją od podstaw ruchu turystycznego i sportowego w Polsce, a w drugiej połowie – wędrowaniu z plecakiem i prowadzeniu wypraw i wycieczek oraz uprawianiu bogatej publicystyki w postaci przewodników, rozpraw, opracowań, artykułów, sprawozdań we wszystkich prawie dziedzinach polskiej turystyki i sportu w tym okresie.

Bogata ta spuścizna – mimo bezpowrotnych strat w czasie Powstania Warszawskiego – stanowi dziś cenne i w wielu przypadkach nadal aktualne źródło wiedzy o tamtych czasach i wydarzeniach.

PIERWSZY URZĘDNIK TURYSTYKI

Praca Orłowicza w Referacie Turystyki (wpierw w Min. Robót Publicznych, później w Min. Komunikacji), to olbrzymi, pionierski wkład w organizację sportu i turystyki w odrodzonym po zaborach Państwie Polskim. Był pierwszym urzędnikiem turystyki w Polsce (przez kilka lat pracował sam).

Zakres prac Referatu był olbrzymi; do najistotniejszych prac należały wówczas następujące zagadnienia:

- Utworzenie ram organizacyjnych ruchu turystycznego w Polsce, włączenie do pracy towarzystw: Tow. Tatrzańskiego, Tow. Krajoznawczego, klubów narciarskich, Związku Polskich Związków Sportowych (który to związek Orłowicz powołał w roku 1922) oraz innych organizacji turystycznych i sportowych.

- Wyznaczenie zakresu popierania ruchu turystycznego poprzez Ministerstwa: Robót Publicznych, Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego, Kolei, Spraw Wewnętrznych, Poczty, Spraw Wojskowych, Spraw Zagranicznych.

Zamierzenia szczegółowe to:

- Opracowanie ankiet i projektów rozwoju znaczących ośrodków turystyki (szczególnie górskiej).
- Organizacja Kongresów Turystycznych, określających kierunki i zatwierdzających działania na rzecz rozwoju turystyki w Polsce.
- Budowa gościńców do ważniejszych miejsc ruchu turystycznego (bardzo ważne!).
- Rozwój hotelarstwa na poziomie europejskim.
- Subwencjonowanie towarzystw turystycznych i narciarskich.
- Wydanie ogólnego przewodnika po Ziemiach Polski.
- Opracowanie i starania o umieszczenie artykułów o Polsce Turystycznej w wydawnictwach zagranicznych.
- Wydawanie broszur i afiszy reklamowych o turystyce w Polsce w językach obcych.
- Gromadzenie w centralnym zbiorze fotografii z widokami miast, kościołów, cerkwi, synagog, zamków, pałaców, dworów, osobliwości przyrodniczych, typów i strojów ludowych.
- Urządzanie co 2 lata centralnych wystaw fotograficznych (nagrody, medale).
- Nadawanie form organizacyjnych biur i instytucjom uzyskującym dochody z turystyki, dla ożywiania ruchu turystycznego.
- Organizacja i udział w międzynarodowych konferencjach i spotkaniach, dotyczących rozwoju ruchu turystycznego, w tym międzynarodowego.

Ten, tak nakreślony przez niego i zaakceptowany przez Władze Ministerstwa, plan pracy referatu realizował Orłowicz przez całe dwudziestolecie. Po przerwie wojennej kontynuował tę pracę dalej, już w zmienionych warunkach. Do pracy w Ministerstwie Komunikacji, w Wydziale Turystyki powrócił w październiku 1945 r., po długim okresie leczenia choroby w Nałęczowie. Znowu stanął przed nim ogrom prac, związanych tym razem z organizacją gospodarki turystycznej na Ziemiach Zachodnich, udziałem w pracach Komisji Nazewniczkiej na terenach ziem odzyskanych i wieloma innymi działaniami dotyczącymi zagospodarowania tych ziem.

Pracę tę łączył z intensywnym zwiedzaniem tych terenów (począwszy od Sudetów), organizowaniem i prowadzeniem wypraw turystycznych na tych terenach, prowadził sprawy kontaktów z międzynarodowymi organizacjami turystycznymi oraz przygotowywał projekty i materiały do przystąpienia Polski do Międzynarodowej Konwencji Turystycznej.

Za długoletnią pracę na „niwie” turystyki i sportu w Polsce i na arenie międzynarodowej Orłowicz odznaczony został wieloma godnościami i medalami.

Wszystkie najważniejsze organizacje i związki turystyczne i sportowe nadały mu członkostwo honorowe: Akademicki Klub Turystyczny (1911), Polskie Towarzystwo Tatrzańskie (1930), Związek Polskich Związków Sportowych (1930),

Polskie Towarzystwo Krajoznawcze (1935), Polskie Towarzystwo Turystyczno-Krajoznawcze (1951).

Władze państwowe uhonorowały Go medalami i krzyżami: Orderem „Polonia Restituta” (w dwóch kategoriach), Krzyżem Zasługi, Tytułem Przewodownika Pracy, Medalem Dziesięciolecia, Złotą Odznaką PTTK, Odznaką Zasłużonego Działacza Kultury Fizycznej.

Najbardziej ze wszystkich odznaczeń i wyróżnień cenił – i to często akcentował – otrzymaną z rąk Prezydenta Bieruta (podobno) – odznakę Przewodownika Pracy, w poczuciu, że jego działalność turystyczna, zarówno ta „za biurkiem” w Referacie Turystyki, jak i szeroka działalność wycieczkowa i propagandowa zostały uznane jako „praca”, a nie wzgardzany przed laty, mało poważny sposób bycia.

Odznaka ta posiadała numer 6 (zawierzam pamięci), a więc była jedną z pierwszych. Pomimo, że odznaka ta szybko się zdeprecjonowała – „rozdawano” ją bowiem w wielu tysiącach egzemplarzy – Orłowicz nosił ją z dumą, wpiętą w klapę jego „nieśmiertelnej” marynarki, przez wiele lat. Widać ją wyraźnie na wielu jego zdjęciach.

Praca w Referacie Turystyki – zarówno przed II wojną, jak i po wyzwoleniu – stanowiła jego podstawowe źródło utrzymania, na tyle wystarczające, że mógł przeznaczyć niezbędne sumy na finansowanie jego „podstawowego nurtu działalności” jaką były organizowane i prowadzone przezeń wyprawy i wycieczki, od czasów szkolnych aż do ostatnich chwil jego życia, praktycznie bez większych przerw. Trudno dziś silić się na opracowanie pełnego zestawienia jego dokonań w tym zakresie, mimo, że Orłowicz prowadził szczegółowe spisy, sprawozdania. Część jego dokumentów spłonęła w Powstaniu, ale i te, które ocalały i dotrwały do naszych czasów, pozwalają na ocenę jego ogromnych dokonań. Pod koniec życia (maj 1959 r.) Orłowicz opracował – na życzenie organizatorów jubileuszu 40-lecia jego pracy w polskiej placówce urzędowej państwowej opieki nad turystyką – materiały w formie „resumé” swojej działalności. Obliczył wtedy, że w ciągu jego 60-letniego wędrowania „na czele wycieczek” przeszedł ponad 140 000 km, czyli obszedł, „opasał” równik kuli ziemskiej ponad $3\frac{1}{2}$ raza.

WYPRAWY SIERPNIOWE

Najbardziej jednak Orłowicz dał się poznać, zdobywając jednocześnie sławę „największego wyrypiarza” w Polsce, organizując corocznie na przestrzeni lat 1922–1959 (z przerwą w okresie wojny) słynne 3-tygodniowe wyprawy sierpniowe, o których dotrwała do naszych czasów nieomal legenda. Została też spuścizna w postaci „Sprawozdań z wypraw sierpniowych” z przebogatym materiałem krajoznawczym, ilustrowanym unikalnymi zdjęciami wybitnych ówczesnych fotografików – członków wypraw (Dohnalik, Jaroszyński, Bułhak, Hartwig, Hermanowicz, Poddębski i inni). Wyprawy te charakteryzowały się długimi trasami, spaniem gdzie popadnie, jedzeniem „z kotlików”, nieraz bardzo trudnymi warunkami pogodowymi, a mimo tego Orłowicz zawsze miał komplet uczestników



Bieszczady, na Żeleminie (1177 m), 12.08.1938 r. Siedzą od prawej: Z. Budzewiczówna, D. Kozakówna, dr M. Orłowicz, M. Roszkówna, T. Dohnalik, A. Majówna, J. Lindnerówna. Stoją: H. Millerowa i J. Jaroszyński. Fot. T. Dohnalik (ze zbiorów CFK w Łodzi)



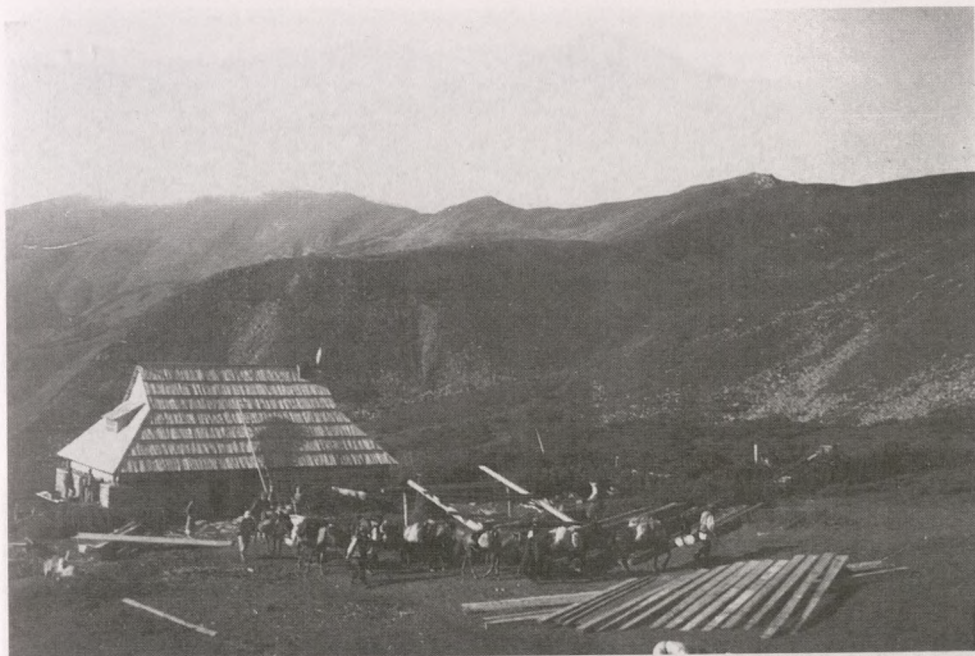
Gorgany, w Ludwikówce przy drezynie motorowej, 16.08.1938 r. Od lewej: mec. M. Szymański, mec. S. Bergthal, J. Lindorfówna, inż. M. Miller, M. Affanasowiczowa, płk. W. Sawczyński, Z. Affanasowicz, H. Millerowa, T. Godfrejów, Z. Budzewiczówna. Fot. T. Dohnalik (ze zbiorów CFK w Łodzi)



Bieszczady, na grani pod Mutnym (1264 m), 13.08.1938 r. Od prawej: dr M. Orłowicz, D. Kozakówna, H. i M. Millerowie, Z. Budzewiczówna, T. Godfrejów. Fot. T. Dohnalik (ze zbiorów CFK w Łodzi)



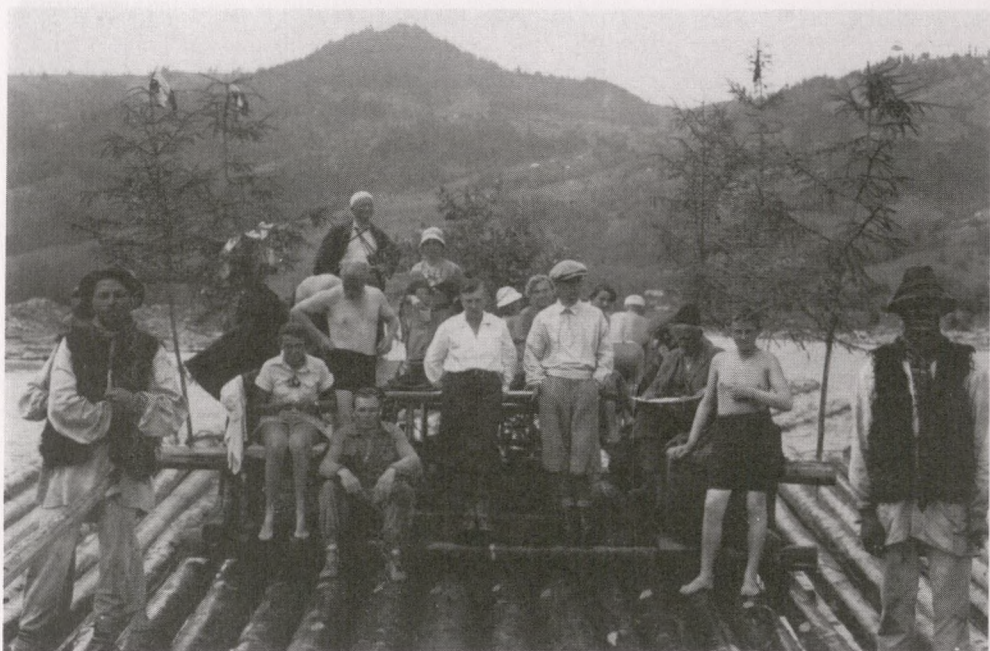
Bieszczady, wymarsz sprzed schroniska KTN w Sławsku, 7.08.1936 r. Od lewej: dr M. Orłowicz, M. Cybulska, J. Chróścicka, J. Pniewski, H. Lewkowiczówna, M. Miller, H. Rennerówna (Millerowa), D. Kozakówna, A. Książkówna, T. Godfrejów, Kierownik schroniska, J. Drawicz-Drażek, A. Majówna, T. Torżewska, M. Radwan, M. Szymański, T. Dohnalik. Siedzą: M. Jedlicka (Szczurkowa), L. Górski, S. Łubieński (ze zbiorów CFK w Łodzi)



Czarnohora, Schronisko AZS pod Popem Ivanem (2026 m) na tle Smotrycza (1896 m),
10.08.1935 r. Fot. T. Dohnalik (ze zbiorów CFK w Łodzi)



Gorgany, Doboszanka (1757 m) z Połomów (1306 m). Wycieczka dr M. Orłowicza
(pierwszy z prawej), 17.08.1935 r. Fot. T. Dohnalik (ze zbiorów CFK w Łodzi)



Beskid Huculski, na darabie na Czeremoszu. Wycieczka dr M. Orłowicza, 13.08.1935 r.
Fot. T. Dohnalik (ze zbiorów CFK w Łodzi)



Gorgany, w „ryzie” dla spuszczenia
klocków drewnianych w potoku
Głasczyniec. Wycieczka dr M. Orłowicza
(pierwszy w szeregu), 18.08.1935 r.
Fot. T. Dohnalik
(ze zbiorów CFK w Łodzi)



Ostatni dzień pobytu Orłowicza w Karpatach Wschodnich. Odpust Uspenia Bohorodyci w Żabiem. Mieczysław Orłowicz, Stanisław Vincenz, wójt Siekieryk (28.08.1939 r.).

Fot. T. Dohnalik

(nieraz kłopoty z nadkompletami), z których liczna grupa uczestniczyła w tych wyprawach dziesiątki razy.

Prawozorem dla późniejszych „wyrp” sierpniowych były zapewne wycieczki w latach jego działalności w AKT, szczególnie wyprawy w Karpaty Wschodnie.

Pierwsza wycieczka sierpniowa, w 1922 roku, trwała tylko 8 dni i prowadziła w Tatry Słowackie, ostatnia – w 1959 roku w Sudetach – trwała 21 dni.

Nie sposób wymienić w tym miejscu choćby większości tras wycieczek sierpniowych. Ostatnia wycieczka przed II wojną światową przebyła trasę: Skole – Sławsko – Ludwikówka – Gorgan Ilemski – Jajko Ilemskie – Ukiernia – Rezerwat Limbowy na Jajku Perehińskim – Grofa – Popadia – Sywula – Ruszczyzna – Rafajłowa – udział w Święcie Spasa (odpuść – dwa tysiące Hucułów w strojach ludowych) – Doboszanka – Jawornik – Jaremcze – Mikuliczyn – Worochta – Żabie. Do Żabiego wycieczka dotarła w dniu 27 sierpnia – na 4 dni przed wybuchem II wojny światowej. Od wielu dni radio podawało zatrważające informacje i wzywało do powrotu. Grupa Orłowicza wzięła jeszcze udział w wielkim odpuście (chram) w Żabiem, w dniu 28 sierpnia, na którym to odpuście doszło do spotkania (po raz ostatni) słynnych trzech „Asów”: Stanisława Vincenza, Mieczysława Orłowicza i znanego wójta Żabiego – Siekieryka. Zdjęcie z tego spotkania zachowało się do dziś.

O samym chramie Orłowicz zanotował: *Odpust Uszenia Bohorodycy w Żabiem, który jest największym pokazem folkloru huculskiego w ciągu roku. W tym roku odpust wypadł w dniu pięknej słonecznej pogody, zebrał kilka tysięcy Huculów w przepięknych strojach i dał barwne widowisko, będące wspaniałym zakończeniem wycieczki, jako jej najsilniejszy pod względem estetycznym akord.*

O zakończeniu tej wycieczki, która była rzeczywiście ostatnią w tamte strony, tak pisała jedna z jej uczestniczek, pani Halina Millerowa: *Rok 1939. Ostatnia przed wojną sierpniowa wyprawa na Huculszczyznę i Pokucie. Radio nawoływało urzędników państwowych do powrotu. Niepokój ogarniał cały świat, co słabsi duchem ubywali, a On siedł nieustraszony, wesoły i beztroski, siedł jeszcze tydzień cały, aby dalej, aby wyżej, aby napatrzeć się tym wolnym krainom górskim, których już nigdy nie mieliśmy oglądać...*

W 6 osób wraca Doktor do Warszawy 29 sierpnia 1939 roku.

W latach 1940–1945 oczywiście wypraw sierpniowych nie było. Za to – o chłdzie i głodzie, wśród niepewności życia codziennego, Orłowicz znajduje chętnych, znajomych i nieznajomych, organizując niedzielne wycieczki w okolice Warszawy – dla podtrzymania ducha i ciała. Udział w nich brało przeważnie od kilku do kilkunastu osób.

W zachowanych zapiskach z tego okresu czytamy: – *dnia ... Skolimów – Konstancin – falujące łany zbóż*; – *dnia ... Kabackie Lasy – Natolin – łąki pełne rumianków*; – *dnia ... Chojnowski Lasy – Jazgarzew – jaśminy, czereśnie itd.*

Ale wśród nich znajdowały się i takie zapiski: – *1942 – w Warszawie wielkie obławy i egzekucje*; – *1943 – makabryczny pożar Getta*; – *1944 – egzekucja kobiet na Pawiaku...*

Aż wreszcie: *Paniczny wyjazd Niemców...* Po gehennie Powstania i znacznym uszczerbku na zdrowiu Orłowicz długo leczył się w Nałęczowie.

Do pracy w Ministerstwie powrócił w październiku 1945 roku. Do „czynnej” turystyki powrócił w roku 1946, ogłaszając triumfalnie „powrót do tradycji” czyli nabór do kolejnej sierpniowej i pierwszej powojennej wyprawy (!) w Sudety.

Wycieczkę Orłowicz począł przygotowywać już 14 stycznia 1946, rozsyłając zawiadomienia i zaproszenia, w szczególności do wszystkich „dawnych”, których adresy udało mu się po zawierusze wojennej odszukać. Na wycieczce spotkało się wielu. Udział w wyprawie wzięły 23 osoby, które w dniach 4–26 sierpnia 1946 roku przeszły – jak obliczył Orłowicz – 640 km „wysiłku” (przebyte kilometry + punkty za podejścia).

O wyprawie tej pisał Orłowicz w 17 tomie „Wierchów” z 1947 roku.

Rok 1956 – jubileusz pięćdziesiątej rocznicy powstania Akademickiego Klubu Turystycznego we Lwowie. Rocznicę tę Orłowicz postanowił uczcić godnie, podejmując się zebrać wszystkich żyjących członków dawnego Klubu, zaprojektować dla tej rocznicy godną oprawę (jubileuszowe spotkanie w Krakowie + wycieczka). Jubileuszowe obchody odbyły się w dniach 31 maja – 3 czerwca; była trzydniowa wycieczka na Babią Górę, w Pieniny i Tatry (kolejką na Kasprowy Wierch), a główne uroczystości jubileuszowe miały miejsce w Krakowie, w sali senatu UJ, 3 czerwca 1956 roku. Obecne były 54 osoby. Zachowała się do

dzisiaj oryginalna kopia ze sprawozdania z tych uroczystości, opracowanego przez Orłowicza.

Ostatnia sierpniowa wycieczka prowadzona przez Orłowicza w dniach 2–24 sierpnia 1959, z Wrocławia wiodła przez Ślęzę, Świdnicę, Wałbrzych, Kłodzko, Bardo, Paczków, Wambierzyce, Bystrycę Kłodzką, Międzygórze, Śnieżnik, Jeleńską Górę, grzbiet Karkonoszy, Śnieżkę, Psie Pole. Trwała 22 dni i zakończyła się pożegnalną herbatką w kawiarni „Wrocławianka”.

Orłowicz był już wtedy chory, oszczędzał siły, skracał wycieczki, ale po powrocie z wycieczki zanotował w Warszawie: *Wszyscy szliśmy w jednej grupie i mamy wspólne wspomnienia. Miał już wtedy 78 lat.*

ODEJŚCIE

Pracowite życie Orłowicza dobiegało końca. Po powrocie z uciążliwej sierpniowej wycieczki w Sudety decyduje się jeszcze na wyjazd 7 września do Tarnowa na Jubileusz 35-lecia tamtejszego Oddziału PTTK. Wraca chory. Kilka dni później, zabrany do szpitala – umiera w dniu 4 października 1959 r.

Nad otwartą mogiłą żegnali Orłowicza jego najbliżsi przyjaciele wspólnych wędrówek, współpracownicy, oraz wielka rzesza turystów i krajoznawców.

Ostatnim słowem, w imieniu najbliższych przyjaciół, wycieczkowej rodziny, pożegnał Mieczysława Orłowicza jego najbliższy współpracownik, długoletni towarzysz wędrówek – Tadeusz Dohnalik:

Ukochany nasz, drogi Panie Doktorze!

Na tragiczną wieść o Twoim zgonie stawili się tutaj z całej Polski Twoi najbliżsi – Twoja wycieczkowa rodzina – Twój „Hnitatea Klub”, młodzi i starzy, których od dziesiątków lat prowadziłeś po szlakach całej Polski, ucząc poznawania i miłości tak ukochanego przez Ciebie kraju. Wędrowaliśmy pod Twoim nieocenionym przewodnictwem po dalekich szlakach gór, które specjalnie ukochałeś – od Gorganów, Czarnohory i odległej Hnitesi na wschodzie, aż po góry Izerskie na Zachodzie – poprzez całą Polskę, aż po uroczą Suwalszczyznę, Mazury i Warmię i całe Bałtyckie Wybrzeże...

...Przyroda, którą tak gorąco ukochałeś, żegna Cię dzisiaj najwspanialszym przepychem swoich barw. Niech te kolorowe liście, przepojone złotymi kolorami słońca ozłocą Twój wieczny sen w tak drogiej polskiej ziemi – w sercu tej polskiej ziemi – Warszawie.

Drogi Doktorze – żegnamy Ciebie dzisiaj Twoimi własnymi słowami, które napisałeś do nas w pożegnalnym liście w czasie okupacji hitlerowskiej, gdy stałeś wówczas w obliczu śmierci:

„A jeśli jeszcze kiedyś pójdziecie w Karpaty

Duch mój pójdzie z Wami – tak jak ja – przed laty”.

Doktorze Orłowiczu!

Duch Twój i pamięć o Tobie będą z nami zawsze – aż po naszą śmierć.

Spuścizna pisarska Orłowicza jest ogromna. Mimo, że znaczna część Jego prac, w tym wiele rękopisów, uległa zniszczeniu w czasie Powstania Warszawskiego, wiele dotrwało do naszych dni. Trudno byłoby dziś pokusić się o określenie i zestawienie przybliżonej liczby jego opracowań. Grubo przekracza ona 400 pozycji, w tym dotyczących bezpośrednio „spraw górskich” – ponad 120 pozycji. Na zakończenie niniejszego opracowania prezentujemy zestawienie jego prac „górskich”, zdając sobie sprawę, że nie wyczerpuje ono wszystkich pozycji w tym temacie. Jest to już chyba nie do odtworzenia. Godzi się również zaznaczyć, że w większości informacje do tych prac Orłowicz zbierał i gromadził głównie podczas wędrówek, uzupełniając je materiałami dostępnymi w źródłach archiwalnych. Wiele jego prac posiada charakter opracowań „pionierskich”. To on przecierał drogę opracowaniom przewodnikowym, czy studialnym. Wiele informacji z jego prac jest nadal aktualnych i nadal wydaje się reprinty prac „sprzed prawie wieku”.

Piśmiennictwo:

1. Paryscy Z. i H.: Wielka Encyklopedia Tatrzańska, Poronin 1995
2. Orłowicz M.: Moje wspomnienia turystyczne (ze wstępem Ryszarda Wrońskiego i notą edytorską Wandy Ferens), Wrocław (i in.) 1970
3. Dulębina M.: Na turystycznych ścieżkach, Warszawa 1975
4. Kowalik T.: Wycieczki sierpniowe Mieczysława Orłowicza, Warszawa 1989
5. Miller H.: 30 lat z Doktorem Mieczysławem Orłowiczem, Biuletyn Okręgu Łódzkiego PTTK, Nr 228/229, 230 z roku 1975, Łódź 1975
6. Orłowicz M.: 640 km pieszo przez Sudety, Wierchy rocznik 17 z 1947 r., Kraków 1947
7. Bibliografia prac Mieczysława Orłowicza (Janusz Lenartowicz – Konstanty Tynicki – Teresa Różycka) – dodatek do: Moje wspomnienia turystyczne Mieczysława Orłowicza, Wrocław (i in.) 1970
8. Jackowski A.: Bibliografia turystyki polskiej – 1900–1944, Wrocław 1968, jw. 1945–1960, Wrocław 1969, jw. 1961–1965, Wrocław 1970
9. Jackowski A.: Bibliografia turystyki polskiej. Biografie 1800–1970, Wrocław 1971
10. Jackowski A.: Bibliografia turystyki polskiej do roku 1972 (wybór), Warszawa 1973
11. Polak K.: Bibliografia Pamiętników Towarzystwa Tatrzańskiego za lata 1876–1920, Warszawa–Kraków 1981
12. Polak K.: Bibliografia Wierchów za lata 1923–1972, Warszawa–Kraków 1976
13. Polak K., Polakowa H., Wójcik W.A.: Ziemia 1910–1950. Bibliografia zawartości, Warszawa 1997
14. Prywatny zbiór archiwalnych dokumentów Mieczysława Orłowicza i Jerzego Konopackiego pani Ewy Skalnej z Jasła
15. Tadeusz (Kiełbasiński): O Mieczysławie Orłowiczu (1881–1959), w: A co u nas? Biuletyn Informacyjny Oddziału Karpackiego PTT w Łodzi, Nr 2/6, 2000
16. Tadeusz (Kiełbasiński): Śladami Mieczysława Orłowicza – Alpy Rodniańskie. Tak było?, w: A co u nas? Biuletyn Informacyjny Oddziału Łódzkiego PTT w Łodzi, Nr 3/7, 2000

Wyrażam serdeczne podziękowanie Pani Ewie Skalnej z Jasła, za udostępnienie fragmentów archiwalnych pism, opracowań i korespondencji Mieczysława Orłowicza z Jej prywatnego zbioru – pochodzącego od Pana Jerzego Konopackiego, przyjaciela i towarzysza ich wspólnych wędrówek.

Dziękuję również Kierownictwu Centrum Fotografii Krajoznawczej w Łodzi za udostępnienie zdjęć M. Orłowicza reprodukowanych w niniejszym artykule.

Tadeusz Kielbasiński

BIBLIOGRAFIA PRAC MIECZYŚŁAWA ORŁOWICZA (ograniczona do turystyki górskiej)

Oznaczenia skrótów: **P** – przewodniki, **O** – opracowania, **A** – artykuły, **inf** – informacje, **rec** – recenzje, **not** – notatki, **wsp** – współpraca z ..., **pośm** – wspomnienia pośmiertne.

Zestawienie sporządzone jest w porządku czasowym; wyjątkowo na pierwszym miejscu umieszczono artykuł z roku 1954.

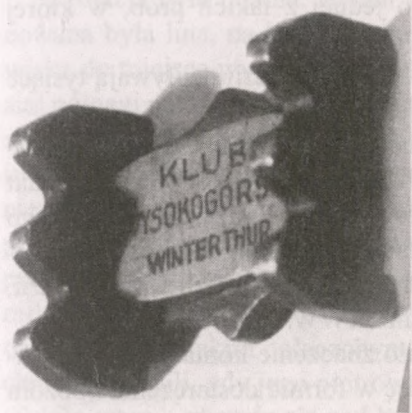
1. Jak zostałem turystą. Lata 1901–1902, (A), „Turysta”, 1954, Nr 8
2. Sprawozdanie z działalności AKT za rok 1906/07, (O), Lwów 1907
3. Sprawozdanie z działalności AKT za rok 1909, (O), Lwów 1909
4. Klimek Bachleda, (A), „Na ziemi naszej”, Lwów 1910
5. Sprawozdanie z działalności AKT za rok 1910, (O), Lwów 1910
6. Karpaty Marmaroskie, (P), AKT, Lwów 1911
7. Sprawozdanie z działalności AKT za rok 1911, (O), Lwów 1911
8. Plan rozwoju Zakopanego, (O), Lwów 1911
9. Przewodnik po Alpach Rodniańskich, (P), AKT, Lwów 1912
10. W sprawie wycieczek zbiorowych, (A), „Zakopane”, 1912
11. Przewodnik po zdrojowiskach i miejscowościach klimatycznych Galicji, (wsp. S. Lewicki, T. Prashil), Lwów 1912
12. Gorgany, (A), „Wędrownik”, 1912, Nr 18
13. W Bukowińskich Karpatach, (A), „Wędrownik”, 1912, Nr 21
14. Urycz i Bubniszcze, (A), „Wędrownik”, 1912, Nr 25
15. Sprawozdanie z działalności AKT za rok 1912, (O), Lwów 1912
16. Co zwiedzać w Galicji, (O), Lwów 1913, Lwów 1914
17. Gorgany Centralne (szkic przewodnika), (P), Kraków 1913
18. Literatura turystyczna Galicji, (O), „Nasza turystyka”, 1913
19. Plan rozwoju Zakopanego, (O), Lwów 1913
20. Nasze narciarstwo, (A), „Nasze zdroje”, 1913
21. Sprawozdanie z działalności AKT za rok 1913, (O), Lwów 1913
22. Bliźnica i Świdowiec (A), „Pamiętnik Towarzystwa Tatrzańskiego”, 1914, R.35
23. Illustrierter Führer durch Galizien (wsp. z Romanem Kordysem), (P), Wien 1914, Przemysł – Lwów 1917

24. Ilustrowany przewodnik po Galicji, Bukowinie, Spiszu, Orawie i Śląsku Cieszyńskim, (P), AKT – Lwów 1914, 1919
25. Ilustrowany przewodnik po Wschodnich Karpatach Galicyji, Bukowiny i Węgier, (P), Lwów 1914
26. Przewodnik po ziemiach dawnej Polski, Litwy i Rusi (m. in. Tatry, Pieniny, Podkarpacie, Huculszczyzna, Śląsk Cieszyński, Spisz, Orawa, Bukowina), (P), Warszawa 1914
27. Ilustrowany przewodnik po Przemysłu i okolicy, (P), Przemysł 1917
28. Illustrierter Führer durch Przemysl und Umgeburg. Mit besonderer Berücksichtigung der Schlachtfelder und Kriegsgraber 1914–1915, (P), Lemberg 1917
29. Znaczenie Spisza i Orawy dla zdrowia narodowego, (A), „Pamiętnik TT”, 1919/20, Nr 37 (właśc. 38)
30. Ilustrowany przewodnik po Lwowie (i okolicy), (P), Lwów 1920, Lwów 1925
31. Zabytki artystyczne Spisza i Orawy, (A), „Ziemia”, 1920, Nr 4
32. Organizacja turystyki w Polsce, (A), „Ziemia”, 1920, Nr 3
33. Ilustrowany przewodnik po Spiszu, Orawie, Liptowie i Czadeckiem, (P), Lwów 1921
34. Jaworzyna Spiska, (A), „Ziemia”, 1922, Nr 1
35. Wycieczka na czeską stronę Tatr i Beskidów, (A), „Sport”, 1922, Nr 21
36. Nowe połączenie kolejowe do Wschodnich Karpat, (inf), „Sport”, 1922, Nr 11
37. Poświęcenie schroniska turystycznego na Śląsku w Beskidach Śląskich, (A), „Sport”, 1922, Nr 19
38. Z Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego (roboty w Tatrach), (A), „Sport”, 1922, Nr 35
39. Zabytki artystyczne Górnego Śląska, (A), „Ziemia”, 1922, Nr 2
40. Reisgids voor Polen (w tym: Tatry, Karpaty Wschodnie), (P), Rotterdam 1923
41. Przedmowa do „Na bezdrożach tatrzańskich” M. Zaruskiego, (O), Warszawa 1923
42. Związek Polskich Związków Sportowych (odezwa dot. sporu o Jaworzynę), (O), „Przegląd Sportowy”, 1923, Nr 2
43. Ilustrowany przewodnik po województwie śląskim (w tym: Śląsk Cieszyński, Beskidy Śląskie), (P), Warszawa 1924
44. Ułatwienia dla turystów w Tatrach, (A), „Słowo Polskie”, 1924
45. Ilustrowany przewodnik po Polsce. Szlakiem wycieczki Sokołów Polskich z Ameryki (w tym: Tatry, Pieniny, z Zakopanego wzdłuż Karpat do Lwowa), (A), Warszawa 1925
46. Rajd narciarski (krytyka), (A), „Przegląd Sportowy”, 1925, Nr 3
47. Ilustrowany przewodnik kolejowy. cz. I Polska południowo-zachodnia (w tym: Koleje górnośląskie, Tarnów – Krynica, Cieszyn – Żywiec – Nowy Sącz, Kraków – Zakopane, Tatry i Pieniny), (P), Warszawa 1926
48. Konwencja turystyczna polsko-czechosłowacka, (O), „Wierchy”, R.4, 1926, Lwów 1926
49. Literatura turystyczna w ostatnim dziesięcioleciu, (O), „Przegląd turystyczny”, 1926
50. Guide illustré des chemins de fer Polonaise cz.1, (jak w poz. 47), (P), Varsovie 1927
51. Illustrated Guide cz.1, (jak w poz. 47), (P), Warszawa 1927
52. Illustrierter Eisenbahnführer cz.1, (jak w poz. 47), (P), Warschau 1927
53. Poland and its curiosities. A Tourists Guide (w tym: góry), (P), Warsaw 1927
54. O Tatrach, (P), Warszawa 1928
55. Babia Góra, Czarnohora, Jaremcze-Worochta, Magórka – Bielsko – Klimczok, Piłsko – Barania Góra, Szczawnica – Pieniny – Żegiestów. Mapa turystyczna Karpat Polskich. Wyd. GEA i PTT, (rec), „Ziemia”, 1928, Nr 13
56. Album Tatr, (rec), „Ziemia”, 1928, Nr 13
57. Ankieta w sprawie rozwoju Zakopanego, (not), „Ziemia”, 1928, Nr 21
58. Letniska w Karpatach Wschodnich, (A), „Turysta”, 1928, Nr 2/9
59. Die Erholungsorte der ostlichen Karpaten, (A), „Turysta”, 1928, Nr 2/9
60. Health resorts in the eastern Carpathians, (A), „Turysta”, 1928, Nr 2/9
61. Niemieckie projekty w Tatrach, (not), „Ziemia”, 1928, Nr 1

62. Nowe schronisko na Pilsku, (not), „Ziemia”, 1928, Nr 23
63. Porozumienie w dziedzinie turystyki górskiej (między PTT a PZN), (not), „Ziemia”, 1928, Nr 23
64. Turystyczne ułatwienia graniczne na granicy polsko-czechosłowackiej, (inf), „Ziemia”, 1928, Nr 7
65. Przewodnik narciarski po Beskidach Zachodnich, (rec), „Ziemia”, 1929, Nr 3
66. Śmierć zdobywcy Polskich Gór (M. Świerz), (pośm), „Przegląd Sportowy”, 1929
67. Dr Mieczysław Świerz, (pośm), „Ziemia”, 1929, Nr 15/16
68. Lengyelország, Irta (w tym: Zakopane, Tatr, Pieniny), (P), Budapest 1930
69. Przewodnik automobilowy po Polsce (wsp. R. Morsztyn), (w tym: Bielsko – Cieszyn, Kraków – Zakopane – Morskie Oko, Szosa Podkarpacka, Lwów – Stanisławów – Śniatyń), (P), Warszawa 1930
70. Sprawy Tatr, rozwój Podhala i Zakopanego, (wsp. S. Lenartowicz), (O), Warszawa 1930
71. Dokąd jechać na zimę?, (P), Warszawa 1931
72. Les attractions touristiques en Pologne (Tatr, Podhale, Pieniny, Karpaty Wschodnie), (P), Varsovie 1932
73. Mapa uzdrowisk i komunikacji autobusowej w Polsce, Polski Touring Klub, Warszawa 1932
74. Geillustreerde reisgids voor Polen, (w tym: Zakopane – Tatr, Pieniny, Beskidy – Rabka, Krynica, Lwów – Beskidy Wschodnie), (P), Rotterdam 1934
75. La Pologne – pays de tourisme, (w tym: Tatr, Pieniny, Krynica, Lwów, Borysław, Karpaty Wschodnie), (P), Warszawa 1934
76. Turystyka w Karpatach Polskich. Protokół z uchwały III Zjazdu, odbytego w Wiśle – maj 1935, w sprawie gospodarki turystycznej w Karpatach, (O), Warszawa 1935
77. Ziemia Sanocka, (P), Warszawa 1935
78. Przewodnik po Beskidach Wschodnich t.1 Bieszczady (H. Gąsiorowskiego), (rec), „Ziemia”, 1935
79. Literatura turystyczna i kartografia Karpat (III Zjazd w Wiśle – maj 1935), (O), Warszawa 1935
80. Rozwój turystyki uzdrowisk i lotnisk w Karpatach Polskich. Protokół ze Zjazdu w Jaremczu, czerwiec 1934, (O), Warszawa 1935
81. Co zwiedzać w Polsce? (Wskazówki dla turystów), (Tatr, Pieniny, Beskidy Zachodnie, Środkowe i Wschodnie), (P), Warszawa 1936
82. Biuro Obsługi Turystycznej w Zakopanem, (not), „Turysta w Polsce”, 1936, Nr 3
83. Budowa telefonów do schronisk turystycznych, (not), „Turysta w Polsce”, 1936, Nr 1 i 2
84. Frekwencja schronisk turystycznych w Beskidach Zachodnich, Tatrach, Karpatach Wschodnich w grudniu (1935), (not), „Turysta w Polsce”, 1936, Nr 1 i 2
85. Frekwencja schronisk turystycznych w Tatrach, Beskidach Zachodnich w marcu r.b. (1936), (not), „Turysta w Polsce”, 1936, Nr 5
86. Frekwencja schronisk turystycznych w Karpatach Wschodnich r.b. (styczeń – 23 kwiecień 1936), (not), „Turysta w Polsce”, 1936, Nr 5
87. Organizacja turystyki górskiej na Węgrzech, (not), „Turysta w Polsce”, 1936, Nr 8
88. Pod znakiem AKT (rys dziejów i opis Zjazdu w 1931r.), (O), „Turysta w Polsce”, 1936, Nr 8
89. Rezerwat turystyczny w paśmie Hnitiesy, (not), „Turysta w Polsce”, 1936, Nr 3
90. Wycieczka w Góry Świętokrzyskie, (A), „Turysta w Polsce”, 1936, Nr 3
91. IV Zjazd w sprawie gospodarki turystycznej w Karpatach, (not), „Turysta w Polsce”, 1936, Nr 5
92. Autem wzdłuż Karpat, (A), „Touring”, 1936
93. Co zwiedzać w Polsce? (jak w poz. 81) w: Przewodnik podróżniczo-turystyczny, R.IV, 1937/38, (P), Warszawa 1937

94. Literatura turystyczna Polski. Szkic bibliograficzny (bibl. ułożona wg regionów), (O), Warszawa 1937
95. Podział Karpat Polskich na grupy górskie z punktu widzenia turystycznego, (O), Kraków 1938
96. Wędrówki po Polsce limbowym szlakiem Gorgan, (A), „Ziemia”, 1938, Nr 1–2
97. Wędrówki po Polsce, Pogórze Rożnowskie, (A), „Ziemia”, 1938, Nr 3
98. Śląsk Zaolziański, (P), b.m., (ok. 1939)
99. Śląsk Zaolziański, (P), Poznań, (ok. 1939)
100. Zakopane. Broszura informacyjna, (O), Zakopane, (ok. 1939)
101. Wędrówki po Polsce i po sąsiednim pograniczu. Wycieczka na Zaolzie, (A), „Ziemia”, 1939, Nr 5–6
102. Paczków – polska Carcassonne, (A), „Ziemia”, 1946, Nr 7
103. Schroniska turystyczne w Sudetach, (A), „Ziemia”, 1946, Nr 1–2
104. Stan powojenny schronisk karpaccich, (A), „Ziemia”, 1946, Nr 3
105. Sudety, (A), „Ziemia”, 1946, Nr 1–2
106. Wambierzyce – Śląska Kalwaria, (A), „Ziemia”, 1946, Nr 9
107. 640 km pieszo przez Sudety, (A), „Wierchy”, R.17, 1947
108. Sprawozdanie ze zjazdu w sprawie turystyki górskiej w Karpatach i Sudetach, (O), Biuletyn Oddziału Warszawskiego PTT, 1947, Nr 3
109. Polskie Towarzystwo Tatrzańskie, (A), „Geografia w szkole”, 1948, Nr 4
110. Geografia turystyczna Ziem Zachodnich i Północnych (w tym: Dolny Śląsk), (O), „Turystyka Powszechna”, t.I, Warszawa 1949
111. Sudety, (P), Warszawa 1949
112. (Praca redakc.) Rozporządzenie Ministra Administracji Publicznej z dnia 11 lutego 1949 o przywróceniu i ustaleniu nazw miejscowości, (O), „Monitor Polski”, Warszawa 1949, Nr A–17
113. Polska nomenklatura Sudetów, (A), „Wierchy”, R.19, 1949
114. Otwarcie schroniska Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego w Zwardoniu, (inf), „Ziemia”, 1949, Nr 3
115. Jan Bułhak, (pośm), „Chrońmy Przyrodę Ojczystą”, 1950, Nr 5/6
116. Jan Bułhak, (pośm), „Taternik”, 1950, Nr 2
117. Jan Bułhak, (pośm), „Ziemia”, 1950, Nr 3
118. Broszury narciarskie Funduszu Wczasów Pracowniczych, (not), „Turystyka”, 1950, Nr 2
119. Broszury Tatrzańskie Popularnej Biblioteki Krajoznawczej, (not), „Turystyka”, 1950, Nr 1
120. Schroniska turystyczne w Tatrach, (A), „Turystyka”, 1951, Nr 2
121. (Praca redakcyjna) Zarządzenie Nr 115 Prezesa Rady Ministrów z dnia 1 czerwca 1951 r. W sprawie przywrócenia i ustalenia urzędowych nazw rzecznych śląskiej części dorzecza Odry i Łaby, (O), „Monitor Polski”, Warszawa 1951, Nr A–62
122. Polskie Sudety (wsp. B. Małachowski), (A), „Wierchy”, 1952, R.21
123. Bieszczady, (P), Warszawa 1954
124. Słownik Geografii turystycznej Polski (współred.), Tom I A–N, (O), Warszawa 1956, Tom II O–Ż, Warszawa 1959
125. Moje wspomnienia turystyczne. Wybór i opracowanie Wanda Ferens. Przedmowa Ryszard Wroczyński, (O), Wydanie pośmiertne, Wrocław – Warszawa – Kraków 1970, w tomie: Bibliografia prac Mieczysława Orłowicza – opr. Janusz Lenartowicz, Konstanty Tynicki, Teresa Różycka
126. Uzupełnienie „Moich wspomnień turystycznych fragmentem z lat 1908–1909, pt. „Pamiętniki”, (O), „Studia Historyczne”, 1979

Opracował: Tadeusz Kielbasiński



Z KART KRONIKI KLUBU WYSOKOGÓRSKIEGO WINTERTHUR

Część V, rok 1944 (lato)¹

Maciej Mischke

MARZENIA O HIMALAJACH, CZYLI SUSTENHORN WSCHODNIĄ GRANIĄ²

Mummery, Mallory, Norton, Smythe, Shipton... Niezlomni rycerze, oblegający twierdzę Everestu. Któż może mierzyć się z nimi znajomością urwisk ośmiotysięcznego „szczytu ziemi” i doświadczeniem himalajskim? Ileż razy byli oni, zdawałoby się, o krok od zwycięstwa. A może nawet bliżej? Zagadka roku 1924 nie przestanie chyba nigdy dręczyć świata alpinistycznego: czy Mallory i Irvine osiągnęli szczyt? Wiadomo, że osiągnąć go postanowili, wiadomo, że nie wrócili do obozu. Po raz ostatni widziano ich niedaleko szczytu, potem wierzchołek Everestu i obu Anglików przesłoniła gęsta mgła monsunowa.

Bauer, Schaller, Welzenbach, Merkl, Wieland... Hekatomba elity alpinistów niemieckich na grani niezdobytego Nanga Parbat i w ścianach Kanchenjunga. Cały świat śledził ich losy i ich imiona miał na ustach. Amerykanie, Anglicy, Francuzi, Japończycy, Rosjanie, Szwajcarzy, Włosi mierzyli się w szlachetnej rywalizacji w łańcuchach Himalajów i Pamiru. Czy w szeregu nacji ma zabraknąć Polaków?

Pyta ktoś, w imię czego? Niech odłoży tę kartę, bo nie da mu na to odpowiedzi, a choćby ją nawet zawierała, nigdy jej nie zrozumie. Niech czytają tylko ci, którzy wiedzą, że tak być musi; ci, którzy sami biorą udział w homeryckich bojach o szczyty, dla których są one symbolem szczęścia.

Od lat już wysokogórcy polscy budują w znoju drogę, która ma ich wieść na nie osiągnięte stopą człowieka wysokości. Różne były sposoby, które miały umo-

¹ I część wspomnień (rok 1942) ukazała się w Pam. PTT t. 6 (1997), s. 203–210; II część (zima 1943) w t. 7 (1998), s. 194–204; III część (lato 1943) w t. 8 (1999), s. 225–243; IV część (zima 1943 – wiosna 1944) w t. 9 (2000), s. 215–227.

² Sustenhorn (3512 m) wschodnią granią – horarium. 24.06.1944: – Göschenen (1100 m) 15¹⁵, schronisko Voralp (2170 m) 19⁰⁵. 25.06.1944: wymarsz 20⁰⁵, szczyt (3512 m) 8⁵⁰–11²⁰, Brunnenfirn 12²⁰, potok koło schroniska Voralp 15⁰⁰, Göschenen 18⁴⁰.

zliwić osiągnięcie celu. Opowiem parę słów o jednej z takich prób, w której miałem sposobność sam brać udział.

Jesień roku 1943. Front włoski załamuje się. Do Szwajcarii napływają tysiące uchodźców z południa, w ich liczbie angielscy jeńcy wojenni.

Natychmiast po przekroczeniu granicy, żołnierze Królewskiej Armii ujęci zostali w karby organizacji wojskowej. Zarząd Klubu postanowił nawiązać kontakt z kolegami brytyjskimi mając nadzieję, że pośród żołnierzy korpusu indyjskiego znajdą się ludzie, których przyjaźń okaże się cenna dla polskiej ekspansji himalajskiej. Wystosowaliśmy list do głównodowodzącego sił brytyjskich w Szwajcarii, ofiarowując Brytyjczykom pomoc i doświadczenie KWW.

Dowództwo naszej dywizji również doceniało znaczenie kontaktu z Anglikami i zaofiarowało im ze swojej strony współpracę w formie dostarczenia obozom brytyjskim referentów dla zapoznania ich ze sprawami polskimi. Przyznać trzeba, że dowództwo brytyjskie znalazło się bardzo nieładnie. Na propozycję naszego dowództwa ponoć w ogóle nie odpowiedziało. Do Klubu zgłosił się natomiast G.S.C. Trench, major Royal Army, uczestnik wyprawy amerykańskiej z roku 1939 na K2 w Himalajach. Major Trench podziękował Klubowi za zaproszenie i oświadczył, że chętnie weźmie udział we wspinaczkach skalnych, ponieważ brak mu doświadczenia w tym elemencie, jako że Himalaje dały mu przede wszystkim pole do zapoznania się z lodem i śniegiem.

W czasie klubowego kursu wspinaczkowego w maju 1944 pokazało się rzeczywiście, że major nie umie się wspinać. Wkrótce potem umówiliśmy się na wspólną międzynarodową wyprawę na wschodnią grań Sustenhornu (3512 m), w składzie: Anglik, Polak, Szwajcar i Węgier. Ponieważ dolna część drogi wiedzie lodowcem, dostarczyłem Trenchowi czekan, zwracając mu jednocześnie uwagę, żeby się sam postarał o raki. W dniu wyprawy okazało się, że majorowi nie udało się zdobyć raków, ale twierdził, że będąc jako himalaista obeznany z lodem, obejdzie się bez tego sprzętu. No i rzeczywiście potrafił się bez niego obejść... Szwajcar i Węgier wyprzedzili nas o półtorej godziny w drodze do szczytu. Ja rąbałem Trenchowi stopnie jednym uderzeniem, idąc zresztą, dla łatwiejszej pracy czekana, obok stopni. Wobec dużego opóźnienia zrezygnowaliśmy z projektowanego dalszego przejścia granią i rozpoczęliśmy we dwójkę zejście zwykłą drogą przez łatwe stoki śnieżne i lodowiec. Tu okazało się znowu, że Anglik nie umie także schodzić a zjazd na butach sprawia mu nieprzewyżnione trudności. Ale dramat zaczął się dopiero na lodowcu.

Było gorąco. Zaproponowałem zatem obnażenie się do pasa i sam dałem przykład, naśladowany skwapliwie przez Trench. Schodziliśmy w normalnej kolejności: Trench – idący „elastycznym wojskowym krokiem”, polegającym na mocnym tupaniu nogami – z przodu, ja z tyłu, asekurując. W pewnym miejscu zatrzymałem majora uwagą o prawdopodobieństwie ukrytych szczelin. Zaledwie skończyłem mówić, major tupnął swoim zwyczajem i... załamał się zapadając do piersi a zaraz potem zniknął z powierzchni ziemi. Zanim zdołałem zareagować, ubiegło już parę metrów liny, nastąpiło szarpnięcie i wreszcie uczułem, że go trzymam.

Sytuacja była fatalna. Byłem sam, czekam unieruchomiony, bo na nim zamocowana była lina, na której przypuszczalnie wisiał towarzysz. Od mojego stanowiska do miejsca wypadku ciągnął się podejrzany most śnieżny. W szczelinie wisiał półnagi człowiek, nie wiedzący jak się należy w tej sytuacji zachować. Na domiar złego majorowi pokiełbały się coś strony świata, sądząc z mętnych informacji udzielanych z głębi ziemi (okazało się to zresztą niesłusznym posądzeniem). Dodajmy do tego trudności językowe, które wyraziły się tym, że używany przez nas normalnie angielski zawiódł „in case of emergency”, proponowany przeze mnie niemiecki został przez dumnego syna Albionu zbyty pogardliwym milczeniem, aż wreszcie przeszliśmy według protokołu dyplomatycznego na francuski i dopiero takim połączonym wysiłkiem wydobyłem towarzysza na powierzchnię. W chwili, gdy jego piotrowinowata postać – 196 cm wysokości, a najwyżej 60 kilo wagi – ukazała się nad krawędzią dziury, myślałem, że go uściskam z radości. Po tej przygodzie wróciła biedakowi malaria: trzymałem go przecież blisko godzinę nago w lodzie, a ściślej w szczelinie lodowej.

Sądzę, że kochany major wybaczy mi niedyskrecję. Nie kierowała mną bynajmniej chęć ukazania jego słabych stron. Chciałem tylko pokazać na przykładzie, że może nie wszyscy himalaści osiągnęli wyżyny techniki wysokogórskiej. Świadomie pomijam przy tym fakt, że obmówiony przeze mnie major Trench jest himalaistą raczej z przypadku, a zatem nie może służyć jako miara dla wspomnianych na wstępie asów himalajskich.

Niewątpliwie przewyższają oni Polaków przede wszystkim znajomością terenu i klimatu himalajskiego, ale nie zapominajmy o tym, że nasi alpiniści mieli piękne wyniki w wyprawach egzotycznych. Aconcagua – najwyższy szczyt Andów, oraz Nanda Devi – 7430 metrów liczący szczyt Himalajów, zdobyty w roku 1939 przez Bujaka i Klarnera – to pomniki polskiej ekspansji alpinistycznej. Nie zapominajmy również i o tym, że nasi współzawodnicy wyprzedzają nas o pół wieku w atakach na olbrzymy górskie.

Na tle już osiągniętych wyników można polskiemu alpinizmowi rokować najpiękniejsze nadzieje. Ale sukcesy górskie nie przychodzą nigdy same z siebie. Ustawiczny trening i studia są warunkiem *sine qua non*. I, niestety, nasze kochane Tatry nie mogą nam dać dostatecznego dla wypraw zdobywczych doświadczenia. Mały obszar, wysokość i zupełny brak lodowców pozbawiają taternictwo trzech czynników, stanowiących istotę alpinizmu w górach naprawdę wielkich.

Droga do największych sukcesów górskich prowadzi Polaków przez Alpy i Kaukaz. A kiedyś, gdy już elita nasza nabierze pełnego rozmachu i gdy trudności drugiego rzędu znikną, może będzie dane Polakowi postawić stopę na „górze angielskiej” – Mount Everest. Dotychczas wprowadzie strzegli Anglicy zazdrośnie swojej wyłączności w zdobywaniu szczytu świata, ale zmienione warunki dziejowe mogą i tu przynieść odmianę, której pierwsze jaskółki już się ukazują. I kto wie, czy przy międzynarodowym współzawodnictwie Everest nie zostanie wcześniej zdobyty?

Powyższe słowa pisałem w roku 1950. A do roku 1978 Polacy znaleźli się w czołówce światowego alpinizmu, czego symbolem mogą być pionierskie wej-

ścia na osiem tysięcy. I jeszcze coś. Gdziekolwiek znajdą się „ostatni romantycy dwudziestego wieku”, w jakiegokolwiek występują formie organizacyjnej, czy to będzie Klub Wysokogórski Winterthur, czy KW w Polsce powojennej – cel nasz jest zawsze ten sam.

My w Szwajcarii projektowaliśmy pod tymi założeniami VI Polską Wyprawę w Alpy, co nam niestety uniemożliwiono. Pozostało tylko ratować resztki projektu. W roku 1944 szans wielkich nie mieliśmy, bo pechowy sezon nie dał nam dostatecznego treningu, pogoda była skandaliczna, a czas mieliśmy rozerwany: Józek i ja tygodniowy pobyt w Wallis, a potem 4 dni z Jurkiem i inż. Karolem Domadzierskim w Berner Oberlandzie.

Tym staranniejsze należało przygotować program:

20.08 – Gandeghütte (3031 m)

21.08 – Breithorn (4171 m) przez Triftjegrat

22.08 – Lyskamm (4538 m) północno-wschodnią ścianą

23.08 – Schönbielhütte (2710 m)

24.08 – Dent d'Hérens (4180 m) północno-zachodnią ścianą

25.08 – Odpoczynek

26.08 – Matterhorn (4505 m) przez Zmuttgrat

27.08 – Odjazd z Zermatt; Józek wraca do domu, ja jadę do Grindelwaldu

29.08 – Spotkanie z Jurkiem i Domadzierskim i domarsz do Guggihütte (2800 m)

30.08 – Mönch (4105 m) przez Nollen

31.08 – Gross Fiescherhorn (4049 m) północną ścianą, drogą Welzenbacha

01.09 – Powrót

Z pięknego programu ostał się tylko Breithorn, Matterhorn i Mönch, z Dent Blanche na dodatek, ale to już inna historia – jak mawiał podobno Kipling.

OSTATNIM WYSIŁKIEM. PÓŁNOCNA ŚCIANA BREITHORNU³

Bez przekonania zaatakowaliśmy ściankę lodową górnej wargi szczeliny brzeżnej ponad Triftjeplateau. Zaledwie kilka metrów pionu dzieliło nas od stromych pól śnieżnych, ciągnących się środkiem ściany, będącej niejako przedłużeniem Triftjegrat. Wysoko nad głową wbiłem jedyny posiadany hak Thomann'a.

— Józek, zug!

Pociągnięty przez towarzysza wyjechałem w górę – odpychając się stopami zbrojonymi w raki – na wysokość haka. Tutaj jednak skończyła się moja łacina; stałem, a raczej wisiałem w pozycji uniemożliwiającej dalszą pracę na chwytach, a brak drugiego haka nie pozwalał na stosowanie podciągu.

— Józek, luz!

³ Breithorn (4171 m) północna ściana – horarium. 20.08.1944: marsz z Zermatt do schroniska Gandegg (3031 m) – 4 godziny. 21.08.1944: wymarsz 3⁴⁵, Triftjesattel 7⁰⁰, Triftjeplateau (ca 3800 m) 10⁰⁰, odwrót powyżej szczeliny brzeżnej 12³⁰, Plateau do 13³⁰, szczyt Breithornu 21⁰⁰, Breithornplateau 24⁰⁰, biwak. 22.08.1944: wymarsz 3⁰⁰, schronisko Gandegg 7⁴⁵, zejście do Zermatt – 2,5 godziny.

Trzeba było zjechać. Próbowaliśmy jeszcze kilka razy w różnych miejscach, ale po dwóch godzinach bezowocnych wysiłków daliśmy za wygraną. Widzieliśmy tylko jedną możliwość: drogę bulastym kantem pomiędzy naszą ścianą a ścianą północno-zachodnią. Droga wyglądała jednak odstraszająco. Szczelina brzeżna na której połamaliśmy sobie zęby, odcinająca Triftjeplateau od partii szczytowych, ciągnęła się daleko w prawo zmuszając do trawersowania stromego stoku ku coraz większej ekspozycji ponad północno-zachodnią ścianą. Przekroczenie szczeliny brzeżnej w tym miejscu, odległym o jakieś sto metrów od linii pierwotnego ataku, nie nastroczało wprawdzie specjalnych trudności, ale ogromna stromizna ściany i stan śniegu zmuszały do dalszego trawersowania ku ekspozycji.

Asekurowany przez Józka Płotkowiaka rozpocząłem podejrzany trawers. Pierwsze metry prowadziły w wielkim nachyleniu, ale przynajmniej w śniegu, który – uniemożliwiając posuwanie się do góry – dawał jednak niezłe oparcie w trawersie. Potem jednak nastąpiło to, czego obawialiśmy się już z daleka: rozmiękła warstwa śniegu stawała się coraz cieńsza, raki zgrzytały o ukazujący się na powierzchni lód.

Trzeba było rąbać. Przeklinałem przy każdym uderzeniu mój konserwatyzm, dzięki któremu zostawiłem w domu lekki czekanik, zabierając staromodną maszynę, o której chyba tylko imć pan Longinus Podbipięta mógłby powiedzieć: „można do jednej ręki, można do dwu”. Ja musiałem używać zawsze obu. Przy tym za każdym ruchem odczuwałem brak treningu, spowodowany złymi alpinistycznymi warunkami lata 1944. Wczorajsze czterogodzinne podejście do stojącego na wysokości 3031 m n.p.m. Gandegghütte, najdroższego schroniska Alp Szwajcarskich, dawało się również we znaki.

Wyciągnąwszy trzydziestkę liny nie stwierdziłem żadnej poprawy w pokrywie śnieżnej. Spróbowałem iść jeszcze kilka metrów wprost w górę wykorzystując promień działania liny, ale warunki były wszędzie takie same. Sytuacja wymagała decyzji: iść czy wracać. Stok śnieżny miał około 200 metrów wysokości do skałek podszczytowych, nad którymi wznosiła się już kopuła firnowa, gdzie nie przewidywaliśmy trudności. Mieliśmy tylko jeden hak lodowy, zatem asekurację można było dawać tylko pierwszemu, drugi musiał iść nie zabezpieczony. Należało więc rąbać duże stopnie, zapewniając zupełną pewność wspinaczki. W tych warunkach dojście do skałek wymagało około 6 godzin roboty, co – zważywszy moją formę fizyczną – było zadaniem ponad siły. Przy tym było już późno: pół do pierwszej.

Zakomunikowałem Józkowi moje obliczenia i zadecydowaliśmy odwrót. Bił nas Breithorn paskudnie. Nasze całoroczne plany i nadzieje zdawały się rozwiewać w nicość. Zeszedłszy z powrotem na Plateau zasiedliśmy do odpoczynku. Byłem fizycznie i psychicznie załamany. Niewidzącym okiem patrzyłem na Gandegghütte, stojącą w lewobrzeżnych skałkach ponad Unter Theodulgletscher, na północny zachód od nas. Na skałki, w których odbywaliśmy zwykłą poranną drogę krzyżową alpinisty, nie mogąc w ciemności znaleźć wypatrzonej poprzedniego wieczora drogi zejścia. Na lodowiec, który kładł nam pod nogi coraz to nowe szczeliny, gdy trawersowaliśmy go w całej szerokości. Potem osiągnęliśmy

w pierwszych brzaskach dnia Triftjegrat, która wpędziła nas w przedziwnie splekane seraki, aby potem stawać się ku górze coraz mniej stroma i coraz szersza. Ale za to śnieg był coraz głębszy i gorszy, hamując nasze kroki.

Na Plateau wyszliśmy o godzinie dziesiątej, to znaczy po sześciu godzinach marszu. Przy sprzyjających okolicznościach można w tym czasie zrobić całe wejście. Teraz minęło południe. O osiągnięciu w tych warunkach szczytu nie ma co i marzyć.

— Maciek, a może byśmy tak jeszcze raz spróbowali? – z gorzkich rozmyślań wyrwał mnie głos Józka. Nie wziąłem w rachubę niezłamanej energii towarzysza, który w czasie moich refleksyj na temat drogi przebytej – studiował drogę, która nam jeszcze pozostała do szczytu.

— Daj mi spokój, Józek, ja idę w dół, spać.

— Kiedy spojrz, tam, jeszcze ze sto kroków w lewo od pierwszego ataku widać stożek lawinowy, który zasypał szczelinę brzezną. Tamtędy można by wejść w ścianę szczytową.

Rzeczywiście ogromna ściana Breithornu, ograniczona od zachodu granią Triftje, od wschodu zaś piękną skalną, stromą granią Young'a, pozwala na prowadzenie całego szeregu dróg. W miejscu wskazanym przez Józka stożek lawinowy prowadził w górę ku płytkiemu żlebowi śnieżnemu i grzędom skalnym i gubił się pod pasem seraków wiszącego lodowca, ciągnącego się poza całą lewą połąć ściany.

— Józku, a jak wyminiemy te seraki?

— Ach, powinno puścić w prawo.

— A jak nam coś przy tym na głowę poleci?

— A jeśli ci dachówka spadnie na głowę? – odpowiedział pytaniem Józek.

— No, ale czas. I ja nie podejmuję się dalszego prowadzenia.

W końcu stanęło na tym, że Józek prowadzi i, o ile nie natknie się na poważne trudności zaraz na początku, to idziemy dalej.

O dziwo, na lawinie śnieg był doskonały. Józek prowadził w ostrym tempie, a ja podążałem z trudem. Wspinaczka po skałach z rakami na nogach nie była wygodna, ale nie nastroczała większych trudności. Seraki były coraz bliżej i coraz częściej wymienialiśmy spojrzenia pełne wątpliwości. Teraz jednak nie było już mowy o odwrocie. Zdobyta wysokość i wyłaniające się trudności zdopingowały mnie działając jak trąbka bojowa na starego ułańskiego konia. Wreszcie doszliśmy do zerw. Na ostatnich metrach towarzyszyły nam denerwujące, głuche odgłosy tapania w obsuwającym się lodzie. Przysłowie o dachówce działało jednak w pewnym stopniu uspokajająco. Zmieniliśmy znowu prowadzenie. Józek asekurował niepewnie przez kamyk wielkości pięści; nie zazdrościłem mu stanowiska, ani akompaniamentu pękającego lodu.

Jedyną naszą możliwością był teraz sześćdziesięciometrowy, niesłychanie stromy trawers w prawo, do niewyraźnych skałek. O ekspozycji już się nie pamiętało. Mieliliśmy dwie myśli: owe skałki i bliskość szczytu. Ruszyłem. Lewa noga znajduje oparcie w zmrożonym śniegu. Gatunek śniegu zmieniał się w tym wejściu jak w kalejdoskopie. Próbuje wbić drzewce czekana, ale natrafiam na opór

plytko pod powierzchnią. Trzeba zatem pracować dziobem w czystym lodzie seraka powyżej. Prawą nogą wyrabiam stopień w puchu, ostrożnie przenoszę ciężar ciała i... już jadę. Błyskawiczny przerzut z powrotem na lewą nogę i nacisk dziobem czekana przywróciły mi równowagę. Wątpię, czy sławetna asekuracja Józek byłaby nam coś pomogła. A haka nie mogliśmy tu użyć, bo był koniecznie potrzebny na stanowisku w środku trawersu.

Teraz rozpoczął się alpinizm. Głowicą czekana zrzuciłem półmetrową warstwę puchu, odsłaniając lód, „Wassereis”. Każdy stopień wymagał kilkunastu uderzeń czekana, a musiałem przecież rąbać badewany, bo asekuracja nie była nic warta. Co kilka stopni odpoczywałem ciężko, opierając głowę na stylisku. Nie pamiętałem już o zmęczeniu, ale zmęczenie pamiętało o mnie. Kwadrans płynęły, a drogi ubywało opornie. Wreszcie po którymś tam stopniu meldował Józek koniec liny.

Wyrąbałem wygodną platformę na obie stopy, wbiłem młotkiem nasz jedyny, długi hak i zacząłem ściągać linę. Józek był w kilka minut przy mnie. Przepiąłem karabinek i zacząłem na nowo rąbać. Czekan wysuwał się z omdlewających rąk w rękawicach z foczej skóry, ale dzięki zabezpieczeniu ruchomą pętlą, mogłem rąbać póki całe stylisko nie wysunęło się z dłoni. Wtedy odpoczywałem chwilę, chwyciłem drzewce wyżej i rąbałem, kopałem, rąbałem kierując się ku owym skałkom. Im bliżej nich, tym lepszy stawał się śnieg. Mogłem już zaryzykować parę kroków bez stopni. Niestety tuż przed skałą skończyła się lina. Asekurowałem ladajako na czekanie, gdy Józek wybijał hak i przesunął się ku mnie. Gdy uzyskałem dość luzu, doszedłem do skałek i zacząłem ściągać linę. Również dwie godziny kosztował nas trawers. Teraz dopiero odczułem dokonany wysiłek. Józek objął znowu prowadzenie, deptając stopnie w dobrym firnie.

Powoli zapadała noc. Tempo nasze było – wskutek mojego wyczerpania – ślimacze. Wysokości nie ubywało. Z ponurym uporem, czy raczej obojętnością, plątałem nogami i nie zwróciłem nawet uwagi, kiedy osiągnęliśmy szczyt. Była dziewiąta wieczór.

Ciężko osunąłem się na zwoje liny. O odpoczynku nie było jednak co myśleć. Na szczycie uderzył nas zimny wiatr, mroząc do szpiku kości; należało także znaleźć drogę zejścia przed zapadnięciem zupełnych ciemności.

Ruszyłem pierwszy naprzód; Józek objął odpowiedzialne zadanie asekuracji osłabionego towarzysza. Niewiele pamiętam z tego zejścia. Były jakieś szczeliny, przez które prowadziły nas liczne ślady, a gdzie niedużo pomagała dogasająca latarka. Nie wiadomo po co odpięliśmy raki, aby je potem w najniewygodniejszym miejscu na nowo przypinać. Nogi miałem coraz cięższe, myśli żadnych.

Głęboko w nocy osiągnęliśmy Breithornplateau. Teraz Józek szedł w łatwym terenie naprzód, torując ślad. Nocny mróz ścinał powierzchnię śniegu w warstwę szreni, która załamywała się pod ciężarem mojego ciała, stając się powodem nieznośnej męczarni. Józek ciągnął mnie jak barana na napiętej linie. Chwilami waliłem się z nóg. Marzyłem tylko o tym, by sięść i spać. Jedno wiązanie raków rozluźniło mi się i szedłem niechłujnie z rakiem na jednej tylko nodze.

Gdy zwałem się raz i drugi w krótkim odstępie, zażądałem biwaku. Dokładnie o północy usiedliśmy na plecakach, wyjąwszy z nich resztki jedzenia; za oparcia służyły nam czekany white na sztorc. Na głowy naciągnęliśmy płachtę biwakową, której rozmiary pozwoliły nam skryć się w niej całkowicie. Butów nie zdejmowaliśmy, bo byliśmy zbyt zmęczeni, ale to był błąd.

Natychmiast zaczęłam drzemać. W północy majaczyły mi obrazki ostatnich dni. Rozmowa z przemyłym szwajcarskim komendantem obozu uniwersyteckiego internowanych w Winterthur, kapitanem Kropfem, następcą Siegrista. Kiedy, ze szczerym zamiarem wyjazdu w góry Wallijskie, wybraliśmy się do niego z chytrą prośbą o przepustkę nad jezioro zuryskie, ażeby tylko mieć dokument usprawiedliwiający naszą nieobecność w obozie, kapitan wybawił nas sam z kłopotu.

— Byliście pewnie w Wallis?

— Nie.

— Powinniście tam spędzić urlop. Dam wam przepustkę do Visp; do Zermatt i gór pasa granicznego nie mogę, ale wasza w tym rzecz, żeby was straż graniczna nie złapała.

W złą godzinę wypowiedział kapitan swoją przestrożę...

Z Józkiem mieliśmy się spotkać na dworcu w Bern. Zajeżdżając zobaczyłem go już z daleka. Za to z bliska, tuż przed oknem mojego przedziału, spostrzegłem „najponętniejszą kobietę Szwajcarii”, naszego Anioła Stróża i członka honorowego Klubu Wysokogórskiego Winterthur, panią Widmer. W takim towarzystwie wspólna podróż przez tunel Lötschberg minęła błyskawicą.

Zermatt. Serce Alp Wallijskich. Wioska napęczniała historią alpinizmu. Whymper, Croz, Coolidge, Knubel, bracia Schmidt, Welzenbach; stapaliśmy śladami wydeptanymi przez największych alpinistów świata. Uliczkami, do których nie dociera samochód ani rower, szliśmy w górę wsi wymijając czekających na turystów przewodników, którzy na każdego „Führerlose” patrzą jakby im ukradł pieniądze z kieszeni.

W miarę wznoszenia się, otwierała się coraz szersza panorama wspaniałych szczytów, znanych z historii, literatury, żywego opowiadania i tęsknot. W lewo, na wschodzie ogromne cielsko grupy Monte Rosa, której wschodnia ściana miała być moją ostatnią wielką drogą alpejską w roku pańskim 1959, a pięćdziesiątym roku życia. Zachodnie stoki Monte Rosa to przepiękny teren dla narciarza-alpinisty. Dalej na zachód Lyskamm, którego północna ściana miała mi dać w roku 1945 chwile wspaniałych przeżyć. Breithorn, Theodulpass, obelisk Matterhornu, który jakby na nasze powitanie przywdział rytualny pióropusz mgieł. Dalej biała postać Dent d'Hérens, niby panna młoda w śnieżnym welonie. Na zachodzie, na prawo od nas, odgałęzia się od grani granicznej łańcuch Dent Blanche, Obergabelhorn, Weisshorn. Nie patrzymy nawet na lewo, na grupę Mischabel, która nie może poszczycić się żadnym uczciwym lodowcem.

W drodze do Gandeggghütte napotkał nas patrol graniczny. Na szczęście nasz dobry górski rysz tunek i może... rozwieszony do suszenia na plecaku wieniec kiełbas – usposobiły ich przyjaźnie i rozmowa ograniczyła się do wymiany:

— Gruetzi!

— Wohi got's?...

Podczas biwaku, w naszej budzie nie czuliśmy zimna. Nie czuliśmy, że buty, których nie chciało nam się zdjąć, zamarły na kość, wraz z zawartymi w nich stopami. Zwłaszcza moja lewa noga, ta z niedopiętym rakiem, ucierpiała mocno odnosząc odmrożenia; druga stopa i obie Józkowe wyszły jakoś obronnie.

O trzeciej Józek wygnał mnie z powrotem na mróz. Świtało już i trzeba było iść w dalszą drogę. Poniżej, w zejściu na Theodulpass, spotkaliśmy pierwsze partie idące zwykłą drogą na Breithorn. Już niedaleko schroniska zgubiliśmy ślady i zmylili drogę. Kluczając wśród szczelin lodowca obserwowaliśmy jakąś partię schodzącą z nadzwyczajną szybkością ze schroniska na przełęcz i doganiającą nas prędko. Po chwili mogliśmy rozpoznać patrol straży granicznej. Nie było już wątpliwości, że zainteresowani są nami. Ułożyliśmy naprędce plan działania i użycia naszych niezbyt formalnych dokumentów. Po chwili żołnierze byli już przy nas.

— Skąd idziecie? — padło pytanie.

— Z Breithornu.

— Co? Już z Breithornu z powrotem? To niemożliwe.

— Nie, d o p i e r o z Breithornu.

— Jak to?

Opowiedzieliśmy naszą historię, której słuchali ze zrozumiałym niedowierzaniem. Wietrzyli w nas przemytników, choć wygląd nasz nie bardzo temu zawodowi odpowiadał. Poza tym odpowiadaliśmy po niemiecku — wiedząc, że w nieuniknionej dłuższej rozmowie wyjdą na jaw nasze braki we władaniu dialektem szwajcarskim. Toteż przyszło naturalne pytanie:

— Wie ist euere Muttersprache?

Na to pytanie byłem przygotowany, ale Józek z największym spokojem odpowiedział:

— Polnisch.

— Macie papiery?

Zgodnie z ustalonym planem pokazałem swoją dobrą legitymację Szwajcarskiego Klubu Alpejskiego licząc, że to żołnierzom za nas obu wystarczy. Omyliłem się jednak; uparli się wyjaśnić ten podejrzany przypadek gruntownie. Józek stanął jednak znowu na wysokości zadania, pokazując swoją legitymację służbową internowania. To zadowoliło w końcu strażników; chcieli wiedzieć jeszcze tylko jedno:

— A czegoż wy tutaj szukacie na lodowcu?

— Gandegghütte — odpowiedziałem z głupia frant.

— A toż całkiem źle idziecie.

W końcu wskazali nam drogę i wzruszając ramionami odeszli w szybkim tempie tam, skąd przyszli — ku granicy. Moje trzecie spotkanie ze szwajcarską strażą graniczną skończyło się również pomyślnie.

Powlekliśmy się dalej i dobiliśmy wreszcie, około ósmej rano, do przystani-schroniska. Obfite śniadanie i spanie wypełniły nam czas do południa. Po południu zeszliśmy do Zermatt, aby uzupełnić prowiant i ruszyć z powrotem w góry.

ŚLADAMI HISTORII NA MATTERHORN⁴

Celem naszym była Schönbielhütte (2710 m). Wyszedszy późno z Zermatt, już po dwudziestej osiągnęliśmy tego wieczora (22.08.1944) tylko przysiółek Z'Mutt, gdzie przespaliśmy się na cudzym sianie. Na drugi dzień dotarliśmy o dziesiątej trzydzieści do schroniska i po obiedzie ruszyliśmy na wywiad w kierunku grani Zmutt. O trudności znalezienia po ciemku wejścia w skałę słyszeliśmy całe historie. Nam droga wydała się jednak tak oczywista, że o zmyleniu jej nie mogło być nawet mowy. Niemniej, zamiast odpocząć uczciwie po Breithornie, straciliśmy na ten rekonesans 5 bitych godzin. A mogliśmy byli wykorzystać wywiad spotkanej po drodze partii Genewczyków, którzy mieli na dzień następny te same plany co my. Ale wiadomo, Polak mądry po szkodziu.

24 sierpnia, godzina druga trzydzieści. Przed świtem schodzimy skałkami ku lodowcowi Z'Mutt. Musimy przetraversować jego zachodnie ramię, potem główny korpus, kierując się ku turni Le Lion, widniejącej na tle nieba w zachodniej, włoskiej grani Matterhornu. Ogólny kierunek marszu mamy na południowy wschód. Celem naszym jest północno-zachodnia grań Matterhornu, tak zwana Zmuttgrat. Droga ta należy do najhonorniejszych klasycznych wejść alpejskich. Zwłaszcza trawers galerią Carrel'a – drogą słynnego współzawodnika Whymper'a w walce o zdobycie Matterhornu w roku 1865 – jest tematem wiecznie żywych opowiadań wśród cechu alpejskiego.

Pogodę mamy piękną. Zatoką lodowca wciskającą się między zachodni filar podstawy ściany a grzędę ograniczającą od północy basen Tiefenmatten, osiągnęliśmy siodło w tej grzędzie i dawne miejsce biwaków z czasów, gdy nie było w tych stronach żadnego schroniska. Dalej posuwamy się wzdłuż podnóża skał zachodniej ściany, koło dwustu metrów, aż do małej zatoki śnieżnej, leżącej wprost na zachód od koty 3903. Tempo mieliśmy dobre; poprawiliśmy o pół godziny czas wczorajszy i o piątej stanęliśmy pod ścianą.

Niestety, u wejścia w komin spotkaliśmy naszych wczorajszych znajomych Welszów. Prowadzący wspinał się właśnie w pięknym stylu, wyciągając całą czterdziestkę. Jego towarzysz był w gorszej formie, co okazał nam zrzucając całą lawinę kamieni. Mowy nie było o wspinaniu się zaraz za nimi. Musieliśmy schować się pod okap skalny i czekać przez blisko godzinę na koniec obstrzału. Przy-musowy odpoczynek wykorzystaliśmy na dobrowolne śniadanie.

⁴ Horaria wycieczek. Matterhorn (4505) grania Zmutt. 22.08.1944: wymarsz z Zermatt 20⁰⁰, Z'Mutt (1940 m) 21⁰⁰ nocleg. 23.08.1944: wymarsz 7³⁰, schronisko Schönbiel (2710 m) 10³⁰, po południu rekonesans w kierunku grani – 3 godziny, zejście – 2 godziny, nocleg. 24.08.1944: wymarsz 2³⁰, skały (3180 m) 5⁰⁰ – 5⁴⁵, grań śnieżna (3600 m) 8³⁰ – 9⁰⁰, Zęby (3900 m) 10⁰⁰, Zmuttnase (4150 m) 14³⁰, szczyt (4505 m) 18⁰⁰ – 18³⁰, biwak 100 metrów powyżej schroniska Solvay 21⁰⁰. 25.08.1944: wymarsz 5³⁰, schronisko Solvay (4000 m) 7⁰⁰ – 8⁰⁰, schronisko Hörnli (3298 m) 10³⁰, Płotkowiak do schroniska Schönbiel – 3 godz. Dent Blanche (4364) południową granią. 26.08.1944: wymarsz 5⁰⁰, pod Wand-fluh 6⁰⁰, na grani 8⁰⁰, szczyt (4364 m) 10³⁰ – 11⁰⁰, schronisko Schönbiel 14³⁰. 27.08.1944: zejście do Zermatt – 2 godz. 15 min. Wyjazd: Mischke do Grindelwald, Płotkowiak do Winterthur.

O piątej czterdzieści pięć położyłem rękę na skale. Pierwsza długość liny prowadzi w pięknym, mocnym kamieniu. Potem jednak droga ciągnie się ze 150 metrów kruchym, nudnym terenem, z którego następuje niesłychanie długi, nie interesujący trawers w lewo, skośnie w górę, ku charakterystycznej śnieżnej części grani. Osiągnęliśmy ją na wysokości 3600 m o godzinie ósmej trzydzieści i – szafując nieprzezornie czasem – pozwoliliśmy sobie znowu na pół godziny odpoczynku.

A miejsce warte było zaiste kontemplacji. Tysiąc metrów pod nami płynął lodowiec Z'Mutt. W lewo od nas opadał Matterhorn gletscher tworząc podstawę ponurego urwiska północnej ściany. Tuż poniżej naszego stanowiska grań obrywała się skalnym filarem. W górę ciągnęła się piękna grań śnieżna, po której obiecywaliśmy sobie miły, łatwy spacer.

Spacer trwał godzinę. O dziesiątej odpięliśmy raki u stóp Zębów Zmutt. Grań firnowa i Zęby – to jedyny łatwy odcinek tej przereklamowanej drogi. W mocnej skale, czasem po śniegu, śladami naszych poprzedników wspinaliśmy się w górę. Z mnóstwa mało charakterystycznych turni, przełączek i turniczek pamiętam dwa epizody.

Z turni skalnej schodziliśmy w dół ku przełączce. Owinałem linę około dobrego bloku, pozwalając Józkowi zjechać Dülferem. Potem kazałem mu napiąć linę i pomimo jego słabych protestów – siadłem w kluczu zjazdowym i już miałem zwolnić chwyt, gdy zorientowałem się, że zjazd na moim końcu liny wyrzuci mnie nieuchronnie wahałem poza ostrze grani i diabli wiedzą, jakim sposobem dostanę się z powrotem na kant. Józek spostrzegł to od razu, ale ufając moim kunstom taternickim sądził, że wiem co robię. W ostatniej chwili chwyciłem za wierzch bloku i wyciągnąłem się z powrotem na górę. Zmieniłem końce lin i zjechałem już spokojnie do Józka. Gdzieś dalej ślady prowadziły w lewo od grani, omijając stromy uskok. Józek poszedł pierwszy, a po chwili meldował:

— Ty, tutaj jest mętnie.

— A puści?

— Puścić puści, ale jest mętnie.

— A przejdiesz, czy ja mam iść?

— Może przejdę.

— Tylko uważaj, żebyś nie poleciał, bo szkoda liny.

Józek zaczął się męczyć. Kawałek liny ruszył, potem stop. Za chwilę:

— O, tutaj jest hak.

— No to asekuruj się i jazda.

Józek manewruje dłuższą chwilę z plecakiem, wreszcie słyszę szcęk karabinka:

— Idę.

Lina posuwa się kilkoma rzutami. Nagle okrzyk:

— Hak puścił!

Słyszę dziwny brzęk, chwytam mocniej linę, przygotowany na szarpnięcie, które nie przychodzi. Za to po linie, zza kantu grani, sływa spokojnie... karabinek. Okazało się, że Józek, stanąwszy na haku odpiął mimo woli nogą karabinek, pozbawiając się asekuracji w najtrudniejszym miejscu. A było ono rzeczywiście

„mętne”: kolosalna ekspozycja. Droga w górę prowadzi czterometrową, pionową ścianką. Hak tkwił w jej środku, dając jedyne przyzwoite oparcie. Józek miał trochę szczęścia – no i ładnie przeszedł tę ściankę.

Niedługo potem, o czternastej trzydzieści, staliśmy na siodle grani Zmuttnase (4150 m). Stąd wytrawersowaliśmy na prawo, w ścianę zachodnią. Zwykle leży tutaj lód stwarzając główną trudność drogi. My mieliśmy doskonałe warunki, suchą skałę; tylko jej niesłychana kruchość czyniła ten odcinek niezbyt miłym.

Za to zupełnie niejasny opis drogi postawił nas wobec szczególnych trudności. Według przewodnika należało z trawersu iść wprost w górę, do miejsca, gdzie ścianki zagrodzą dalszą drogę, po czym galerią Carrel’a trawersować z powrotem w lewo, by osiągnąć grani powyżej „Zmuttnase”. Tuż ponad Nosem widniało coś, co przypominało kopiec kamienny, jakim znaczy się drogę w ścianie. Jednakże duże rozmiary kopca i jego regularny kształt budziły nasze wątpliwości. Nie docenialiśmy skrupulatności przewodników wallijskich...

Szliśmy zatem, ~~puszczając sobie~~ **wzajemnie kamienie na głowy**, ku owym „zagradzającym drogę ściankom”. Nos i kopiec zostały już dawno w dole, a drogi nic nie chciało zagrozić. Uszedłszy wreszcie ze 200 metrów w tej paskudnej flance uznaliśmy, że dość tego i strawersowaliśmy łatwo na grani. A trzeba było to zrobić już dużo niżej, do owego, tak nieufnie przez nas potraktowanego kopca.

Stokiem śnieżnym po lewej stronie grani, ponad bezdenną czeluścią północnej ściany, zdobytej przez braci Schmidt¹⁰¹ w roku 1931, wznosiliśmy się ku szczytowi. Zadowolenie ze zbliżania się do wierzchołka tłumiła świadomość tego, że mamy zbyt powolne tempo i że dzień chyli się ku zachodowi. Dawała się ciągle odczuwać przedwczorajsze zmęczenie z Breithornu.

O godzinie osiemnastej stanęliśmy wreszcie na szczycie. 4505 metrów. Najwyższy punkt osiągnięty przez nas dotychczas. Na oglądanie widoków nie mieliśmy czasu ni ochoty. Między jednym kęsem a drugim rzucaliśmy spojrzenia ku Monte Rosa, Breithornowi i nieznanym górcom włoskim. Czułem się fatalnie. Zdawałem sobie sprawę, że 1200 metrów zejścia normalną drogą do Hörnlihütte (3298 m) będzie stanowiło dla mnie jeszcze twardy orzech do zgryzienia. Na dobitek zaczynała nadciągać rzadka mgła przesłaniająca widoczność. Trzeba było się spieszyć.

Po półgodzinnym odpoczynku zaczęliśmy zejście północno-wschodnią granią, tak zwaną Hörnli lub szwajcarską. Zejście to zostało mi w pamięci jako jedna wielka udręka. Zwłaszcza Dach, kopuła szczytowa pokryta cienką warstwą niezwiązane go śniegu na twardym podłożu dała mi się we znaki. Mój stan fizyczny wymagał zdwojonej czujności. Zejście nie przedstawia wprawdzie żadnych trudności technicznych, ale drobna nawet nieostrożność może spowodować tutaj katastrofę. Historia Matterhornu, od dnia jego zdobycia do ostatnich czasów, ma dość odstraszaających przykładów.

Przypięliśmy ponownie raki i schodziliśmy pomału; zbyt pomału. Przy zejściu po stałych linach, powyżej ramienia, zaczepiłem się po głupiemu kolcem raka w węzle liny konopnej i przez dłuższy czas podskakiwałem na jednej nodze, nie

mogąc stanąć, ani wyciągnąć się z powrotem w górę, ani wypłatać się z pułapki. A czas uciekał.

Poniżej Ramienia złapała nas mgła i noc. Na skałach odpieliśmy raki i, póki liny wskazywały kierunek, schodziliśmy w kompletnej ciemności. Wkrótce jednak skończył się ten drogowskaz, grań spiętrzyła się podejrzenie, ściana wschodnia również nie dawała możliwości zejścia, w północną nie zaglądaliśmy nawet.

Od zachodu szła burza. Wyglądało jednak na to, że nie zaczepi o nas. Zdecydowaliśmy się zatem na biwak. Liczne ślady wskazywały na to, że nie my pierwsi spędzaliśmy tutaj noc.

Zapewniliśmy sobie możliwie wygodny pobyt. Haki dały nam asekurację, buty – po smutnym doświadczeniu ostatniego biwaku na Breithornplateau – zostały zdjęte. Nogi powędrowały w suchych skarpetkach do plecaków, jadło się i piło. Pochmurne niebo dało ciepłą noc i tylko podmuchy wiatru zza kantu północnej ściany podwiewały niemile pod brzeg płachty biwakowej. Drzemaliśmy od dwudziestej pierwszej do piątej trzydzięci, póki nie rozjaśniło się dostatecznie do dalszej wspinaczki.

Jeszcze przy rozbijaniu biwaku widzieliśmy w dole coś, co wyglądało na dach budynku. Nie chcieliśmy jednak wierzyć oczom, przypuszczaliśmy nawet, że już minęliśmy schronisko Solvay, stojąc na wysokości 4000 metrów. Rano zobaczyliśmy jednak, że to coś, to było naprawdę schronisko. Och! Gdybyśmy byli zeszli jeszcze kawałek, mogliśmy spędzić noc pod ciepłym kocem, zamiast na zimnym kamieniu.

Przy Solvayhütte spotkaliśmy pierwszą partię idącą normalną drogą.

— Cóż wy tu robicie? – pytał z przerażeniem przewodnik.

— Głupstwa – moja lakoniczna odpowiedź wyjaśniła mu sytuację w zupełności.

Józek był nielitościwy. Chciałem się przespać choćby chwilę w Solvay. Nie dał mi, tylko pędził w dół. No, pędził to za dużo powiedziane. Normalny czas zejścia nie powinien przekraczać 3 godzin; my wlekliśmy się w sumie siedem. Im dalej w dół, tym gorzej mi się szło. Józek musiał prowadzić mnie jak chorego.

Dopiero po dziesiątej rano dobiliśmy do Hörnlihütte (3298 m). Zjadło się, co się dało i już zabierałem się do spania, kiedy Józek sprawił mi największą niespodziankę tygodnia oświadczając, że idzie jeszcze tego samego dnia z powrotem do Schönbiel, a jutro samotnie na Dent Blanche, aby wykorzystać wakacje. Byłem pełen podziwu dla jego energii. Dla mnie mogły dzisiaj góry nie istnieć. Miałem dość alpinizmu, własnego niedołęstwa, biwaków i w ogóle...

A po pięciu dniach rąbaliśmy się znowu przez Nollen na północnych stokach Mönch, dumnego czterotysięcznego szczytu Berner Oberlandu.

ZNOWU W BERNER OBERLANDZIE. MÖNCH PRZEZ NOLLEN⁵

Buda Guggihütte, przywiązana stalowymi linami do skały, trzęsa się pod uderzeniami wichru. Jurek spał na pryczy; Dziadzio przez grzeczność dotrzymywał mi towarzystwa i dawał się ogrywać w zechcyka.

Po południu 30 sierpnia 1944 roku obaj towarzysze zrobili wywiad w kierunku północno-zachodniej grzędy Mönch'a. Stwierdzili, że droga wiedzie początkowo po łatwych skałkach. W górnej partii grań staje się śnieżna, a lodowy uskok Nollen nie powinien być zbyt trudny. Oddzielony od Nollen połogim ramieniem spiętrza się firm kopytu szczytowej, gdzie już nie przewidują większych trudności. Żeby tylko ten wicher położył się choć na jeden dzień; w takich warunkach jak dzisiaj może nas zwiać z grani. Pomału zapadał zmierzch, przy akompaniamencie wycia lin i trzasku drewnianych wiązań schroniska. Do diabła ciężkiego, czy ten pech nie przestanie nas prześladować? Zima zmarnowana, całe lato zmarnowane, Wallis przez pół zmarnowane.

Na spotkanie z Jurkiem Hajdukiewiczem i Dziadziem Domadzierskim w Grindelwaldzie przyjechałem prosto z Wallis, po rozstaniu z Józkiem Płotkowiakiem, w nie najgorszym nastroju. Wiadomo. Wtajemniczeni mogą w Zermatt dostać absyntu, który piekielnym żarem zakazanej trucizny rozpala na krótki czas krew i duszę. Wczoraj, 29 sierpnia, spotkaliśmy się planowo na stacji, a od dwóch dni siedzimy zamknięci w tym pudle i czekamy. Na co? Chyba na koniec urlopu. Zagniewane myśli kołysały nas do snu. Przed zaśnięciem powzięliśmy jednak postanowienie: jutro o siódmej ruszamy nieodwołalnie, bez względu na pogodę. Puści albo nie puści, ale beczynnie siedzieć nie będziemy.

Rano, 31 sierpnia, wicher dał z bodaj jeszcze większą siłą niż poprzedniego dnia. Minęliśmy szybko skałki i o dziesiątej podeszliśmy pod kluczowe miejsce drogi: Nollen. Czapa wiszącego lodowca, siedząca na bakier na grzędzie, spiętrza się tu dwustumetrowym uskokiem. Nachylenie nie przekracza sześćdziesięciu stopni. Lodu nie widać na powierzchni. Pomimo wichru szanse wejścia rosną. W lewo od nas ciągnie się olbrzymia, tysiącmetrowa depresja, którą wiedzie droga dr Laupera przez północną ścianę.

Dziwne, jak wspomnienia tego wejścia zatarły mi się w pamięci. Na samym początku idiotyczną trudność sprawiła mi szczelina brzeżna, której górną wargę obaj towarzysze osiągnęli jednym krokiem. Potem, stromizna stoku wzrastała stopniowo pozwalając na równoczesne nabranie rozpędu. Dopiero w połowie Nollen kolce Eckensteinów zaczęły niemile zgrzytać na lodowym podłożu. Pełniący funkcję lidera Jurek rąbał tu i ówdzie płytkie stopnie bijąc co piętnaście metrów długie lodowe haki. Na tym odcinku poruszaliśmy się pojedynczo. Ja szedłem

⁵ Mönch (4105 m) przez Nollen – horarium. 29.08.1944: Grindelwald – Kleine Scheidegg (2064 m), następnie domarsz do Guggihütte (2800 m) – 2,5 godz. 30.08.1944: niepogoda. 31.08.1944: wymarsz 7⁰⁰, pod Nollen 10⁰⁰, nad Nollen 12⁰⁰ – 13⁰⁰, szczyt (4105 m) 14³⁰, u stóp południowej grani 16³⁰ – 17²⁰, schronisko Bergli (3299 m) 19⁰⁰. 01.09.1944: wymarsz 16³⁰, u stóp grani Bergli 17⁰⁰, Eismeer 19⁰⁰, ścieżka na Kahli 20⁰⁰, ścieżka pod Baregg 22³⁰, Grindelwald 23³⁰.

w środku asekurując Hajduka, podczas gdy pan Karol, zamykający kolumnę, wybijął haki i podchodził do mnie.

Dwadzieścia metrów poniżej ramienia grzędy, w którym spłaszcza się Nollen, przeżyłem moment trwogi. Żadna wyprawa w 1944 roku nie mogła obejść się bez nadzwyczajnych dodatków. Jurek, natrafiwszy na lepsze warunki śnieżne, polecił poruszanie się równoczesne. Szliśmy zatem na pełnej trzydziestce liny, z odstępami piętnastometrowymi. Jurkowi brakło może pięciu metrów do wierzchu, gdy nagle ześlizgnął się i pojechał... Gdzie wbić czekan? Twardy lód pod spodem. Dziadzio też ledwo stoi. W lewo ekspozycja północnej ściany. Będę skakał w prawo, bo tam jest szansa zatrzymania się 200 metrów niżej na bardziej poлогіej połaci, albo w szczelinie brzeżnej... Ściągam błyskawicznie linę i czekam ułamek sekundy, bo tyle, nie więcej, trwało zanim Hajduk złapał równowagę i znowu stanął pewnie.

Nie ma w alpinizmie nic piękniejszego chyba nad momenty alarmu zespołowego, chwile ucieleśnienia zasady: jeden za wszystkich, wszyscy za jednego. Ale, jak za wszystko na świecie, tak i za te chwile trzeba płacić... Nic się przecież właściwie nie stało, a serce wali jak szalone, zapomniane są uderzenia wichru i ziaęb, co przenika przez tkaninę ubrań. A osiągnięcie kopuły firmowej Nollen jest nie tylko zapowiedzią odpoczynku, lecz symbolem zespołu, symbolem zjednoczenia i przyjaźni.

Nollen pokonaliśmy w dwie godziny, zdobywszy po drodze jeden hak Welzenbachowski pozostawiony przez poprzedników. W zacisznym miejscu siedzieliśmy godzinę, do pierwszej po południu. Nie przewidywaliśmy już dzisiaj większych trudności. Kopuła szczytowa nie jest stroma, a zejście południową granią znaleźliśmy już z 1943 roku. Na szczycie (4105 m) byliśmy o godzinie czternastej trzydzieści w bardzo dobrym, jak na te warunki, czasie siedmiu i pół godziny.

Zejście – wbrew naszym oczekiwaniom – sprawiło nam jednak pewne trudności. Wicher wzmógł się do tego stopnia, że czekan trzeba było kłaść poziomo na stoku, aby mieć oparcie przeciwko bocznym uderzeniom nawałnicy. Dziadzio, który przy swoim piątym krzyżyku brał dzisiaj chrzest wysokogórski, spisując się doskonale w wejściu, miał przy zejściu zrozumiałe trudności. Z ulgą powitaliśmy Ober Mönchjoch o szesnastej trzydzieści.

Noc spędziliśmy w Berglihütte w atmosferze obecności naszych wielkich poprzedników, wyczarowanej z pożółkłych kart księgi schroniskowej. Po raz pierwszy otarliśmy się tam bezpośrednio o imię Welzenbacha. Nasze plany powtórzenia jego drogi na północnej ścianie Gross Fiescherhorn wpadły dosłownie w wodę, która przelewała się od kilku już godzin przez otwarte upusty niebieskie. Pioruny biły ogniem huraganowym, błyskawice rozświetlały upiorny krajobraz obrywów lodowca Bergli, kontury północnych zerw Fiescherhornów i piętrzące się na wschodzie, po drugiej stronie doliny, sylwety Schreckhornu i Lauteraarhornu.

Nieustanne burze trzymały nas uwięzionych w schronisku do wieczora 1 września. Siedzieliśmy od południa ubrani i związani czekając na chwilę przejaśnienia, ale dopiero o pół do piątej uspokoiło się na tyle, że mogliśmy rozpocząć zejście granią Bergli ku Eismeer i Grindelwaldowi. Jej, co to była za przeprawa!

Wydawało mi się do owego dnia, że wiem co to lodowiec i znam jego figle; zejście z Bergligrät miało mi dać teraz, a także i później, dobrą nauzkę. Takiego lodowca jak wówczas nie widziałem nigdy w życiu.

Glisada na spodniach, niczym kolejka amerykańska, po lodowym ostrzu mostu między zięjącymi szczelinami; seraki, ścianki, mostki trzymające się na słowo honoru i walące się natychmiast po naszym przejściu. Biedny Dziadzio, który tak prosił w Grindelwaldzie żeby zaniechać żołnierskiej „łacin”, musiał niejedno w tym i w innych wysłuchać językach pod adresem nieoczekiwanych przeszkód oraz swoim własnym.

Aż stanęliśmy na końcu świata. Jakieś mylne ślady zaprowadziły nas w uliczkę bez wyjścia. Ściany lodowe opadały trzydziestometrowym pionem. Obejście dałoby się może znaleźć, ale w znacznej odległości, a tu – jeśli chcemy spać tej nocy w łóżku – nie ma czasu do stracenia. Hajduk idący przodem zdecydował się błyskawicznie. Pięć metrów poniżej wypatrzył dość wygodną półkę i spuścił tam nas obu, nie pozwalając na dyskusje. Gdy zastanawialiśmy się z Dziadziem, jak Jurek dostanie się do nas, on kazał nam ściągnąć linę i wśród niesamowitego skrobania i sapania zjawił się nagle przy nas – jak diabeł z pudełka – od dołu, przelazłszy przez ukryty tunel lodowy.

Z półeczki zjechaliśmy dalej na linie, która oczywiście nie chciała potem dać się ściągnąć. Dopiero jak pociągnęliśmy wszyscy trzej razem, lina ruszyła, a my fiknęliśmy kozła w śnieg. Była jeszcze w zejściu, w kompletnej ciemności, tragicznie wspinał się eksponowaną ścianką, która okazała się w końcu, po mozolnych manewrach, po prostu błotnistą skarpą. Kilkadzieśnię metrów szliśmy potężnym tunelem lodowym oczekując, że sklepienie zwali nam się łada chwila na łeb. Rozkwaśiłem sobie na gładkiej drodze łapę, ale tymi wszystkimi przygodami okupiliśmy osiągnięcie zamierzonego celu.

Punkt o północy, nastawialiśmy maszynkę w hotelu Hirschen w Grindelwaldzie i zabieraliśmy się jak królowie do kolacji.

KRONIKA KLUBU: ZIMA 1943 – LATO 1944

Zima 1943/44

Ważniejsze wydarzenia z życia Klubu:

- 04.12.1943 – złożenie memoriału do dowódcy dywizji w sprawie VI polskiej wyprawy w Alpy.
- 12.12.1943 – Walne zebranie:
 - zatwierdzenie odznaki klubowej i mianowanie członków honorowych
 - stworzenie kwartalnika Klubu Wysokogórskiego Winterthur – „Taternik”
 - wybór Zarządu (prezes – Mischke, oficer łącznikowy – Nowak, zastępca oficera łącznikowego – Hirsch, kierownik techniczny – Hajdukiewicz)
- 15.12.1943 – publiczny wieczór odczytowy: Vogt – *Bergfahrten um Saas-Fee und Zermatt*
- 01.02.1944 – publiczny wieczór odczytowy: prof. Krupski – *Einfluss der Alping auf das Rind*

- 09.02.1944 – publiczny wieczór odczytowy: G. S. C. Trench – *L'expédition américaine à K2, 1939*
- 15.03.1944 – jubileusz 3 rocznicy założenia Klubu. Odczyt Vogt'a – *Skifahrten im Bündnerland*

WEJŚCIA SZCZYTOWE:

L.p. wejścia	Data	Grupa górską i szczyt	Wysokość m n.p.m.	Uczestnicy
Zima 1943 r.				
88	26.12	Gl Klein Käpf	2704	Mischke solo
89	27.12	T Käserugg	2266	Blachut, Golczewski, Hirsch, Jankowski
90	28.12	Gl Gandstock	2318	Mischke solo
91	30.12	Gr Weissmeilen	2485	Mischke solo
92	30.12	Gr Spitzmeilen	2505	Mischke solo
Zima 1944 r.				
93	09.01	Gl Schild	2303	Mischke, Lüscher
94	09.01	Gl Siwellen	2310	Mischke, Lüscher
95	23.01	T Speer, północna grań	Próba	Mischke, Lüscher
	06.02	Gl Käpf	Próba	Ci sami i bracia Schmidt
	28.02	Gr Weissmeilen	2485	Hirsch i A. Barchetti
	05.03	Gl Käpf	Próba	Hajdukiewicz, Mischke i E. Schmidt
96	19.03	Gr Piz Sol	2849	Mischke, Lüscher
97	07.04	Gl Bocktschangel	3049	Hajdukiewicz, Mischke, Płotkowiak
98	08.04	Gl Düssistock	3259	Ci sami
99	09.04	Us Titlis	3239	Lüscher i tow.

Lato 1944

Ważniejsze wydarzenia z życia Klubu:

- 10.05 – odczyt Hajdukiewicza w Skiclub Basel o narciarstwie i taternictwie w Polsce
- 08.10 – Walne zebranie:
 - wybór Zarządu (Prezes – Mischke, oficer łącznikowy – Nowak, zastępca oficera łącznikowego – Hirsch, kierownik techniczny – Hajdukiewicz)

WEJŚCIA SZCZYTOWE:

L.p. wejścia	Data	Grupa górską i szczyt	Wysokość m n.p.m.	Uczestnicy
100	14.05	A I Kreuzberg zachodnia grań	1884	Hajdukiewicz, Mischke
101	21.05	A IV Kreuzberg północna ściana	2059	Hajdukiewicz, Mischke, Płotkowiak, Raczyński, G.S.C. Trench
102	21.05	A V Kreuzberg wschodnia grań	2054	Hajdukiewicz, Płotkowiak
103	28.05	GI Tödi-Piz Rusein	3623	Bem, Blachut
104	28.05	GI Bifertenstock pn. zachodnia ściana	3426	Hajdukiewicz, Mischke, Płotkowiak
105	28.05 06.06	GI Bündner Tödi A Kreuzberge	3125 Próba	Ci sami Hajdukiewicz, Mischke
106	18.06	Us Krünste	3108	Mischke, E. Meier
107	25.06	Us Sustenhorn wschodnia grań	3512	Mischke, Sz?, Spöri (AACZ), G. S. C. Trench
108	25.06	Us Binter Sustenhorn południowa grań		Sz?, Spöri
109	25.06	A Altmann wschodnia grań	2438	Cotadze, Hirsch, Płotkowiak
110	25.06	A Altmann zachodnia grań	2438	Ci sami
111	30.06	A Hundstein południowa ściana		Hajdukiewicz, Hirsch
112	01.07	A I Kreuzberg zachodnia grań	1884	Ci sami
113	02.07 08.07	Us Gross Ruchen północna ściana GI Piz Rusein północno-zachodnia ściana	3136 Próba	Cotadze, Mischke, R. Meier Hajdukiewicz, Mischke, Płotkowiak
114	16.07	Us Sonneg Wichel trawersowanie grani wschód-zachód	2880	Blachut, Płotkowiak, W. Morf
115	16.07	A Östlicher Freiheitsturm trawersowanie wschód-zachód	2095	Hajdukiewicz, P. Hell, P. Schafflützel
116	16.07	A Westl. Freiheitsturm	2111	Ci sami

L.p. wejścia	Data	Grupa górską i szczyt	Wysokość m n.p.m.	Uczestnicy
117	16.07	A Freiheit południowa ściana	2142	Ci sami
118	16.07	A Freiheit zachodnia grań	2142	Hajdukiewicz, P. Schafflützel
119	27.07	A IV Kreuzberg Weckertriss	2059	Ci sami
120	27.07	A I Kreuzberg północno-zachodnia ściana	1884	Ci sami
121	27.07	A II Kreuzberg wschodnia grań	1970	Ci sami
122	06.08	Us Salbitschyn wschodnia grań	2989	Mischke, E. Meier
123	06.08	A Altmann zachodnia grań	2438	Hirsch solo
124	06.08	A Altmann wschodnia grań	2438	Hirsch solo
125	06.08	Gr Silvrettahorn	3248	Bem, C. Kowalski, W. Metelski, T. Sztachelski
126	06.08 13.08	Gr Signalhorn Us Dammastock	Próba	Ci sami Mischke i tow.
127	13.08	A I Kreuzberg wschodnia grań	1884	Hajdukiewicz, Hirsch
128	20.08	Gr Piz Vadret	3221	Bem, Wy?, E. Zietschmann
129	21.08	W Walliser Breithorn Triftjegrat	4171	Mischke, Płotkowiak
130	24.08	W Matterhorn Zmuttgrat	4505	Ci sami
131	26.08	W Dent Blanche południowa grań	4364	Płotkowiak solo
132	31.08	BO Mönch, Nollen	4105	Domadzierski, Hajdukiewicz, Mischke
133	04.09	BO Wetterhorn		Caputa i tow.
134	04.09	BO Weisse Frau	3660	Ci sami
135	09.09	BO Mutthorn	3041	Mischke i tow.
136	09.09	BO Petersgrat	3217	Ci sami

L.p. wejścia	Data	Grupa góriska i szczyt	Wysokość m n.p.m.	Uczestnicy
137	10.09	E Tinzenhorn	3179	Bem, Wy?, H. Punz
	10.09	* północno-wschodnia grań A Freiheit	próba	Cotadze, Hirsch
138	17.09	BO Engelhörner: Vorderspitze		Hirsch, A. Barchetti i tow.
139	17.09	BO Ulrichspitze		Ci sami
140	17.09	BO Vorder Simmelistock		Ci sami
141	17.09	BO Hinter Simmelistock		Ci sami
142	01.10	A Altmann wschodnia grań	2438	

Grupy górskie: A – Alpstein, Gl – Glarnerland, E – Engadin, W – Wallis, BO – Berner Oberland. Ogółem odbyło się w okresie 1943/44 wypraw zimowych 11, wypraw letnich 29 (razem 40), wejść zimowych 12, wejść letnich 43 (razem 55). Od założenia Klubu: wypraw zimowych 21, wypraw letnich 72 (razem 93), ~~wejść zimowych 31, wejść letnich 111 (razem 142).~~



Moją ambicją jest i będzie, aby nasz sprzęt krajowy nie był kopciuszkiem na arenie międzynarodowej i nie był lekceważony przez użytkowników w kraju.

Stanisław Zubek

STANISŁAW ZUBEK – MISTRZ NART I NARCIARSTWA

Józef Durden

Towarzystwo Tatrzańskie od zarania swego istnienia, gdy nie mogło jeszcze używać przymiotnika „polskie”, jednoczyło ludzi różnych zawodów i uzdolnień, o różnorodnych przekonaniach i poglądach. Łączyło ich umiłowanie gór, szczególnie Tatr. Gremium entuzjastów działało szczególnie aktywnie, ich społecznej pracy zazwyczaj towarzyszyło uznanie. Po latach bywa niekiedy tak, że osiągnięcia jednych cenimy wysoko, zaś niewdzięczna i ułomna pamięć sprawia, że dokonania innych giną w mroku przeszłości. Wypada cofnąć się do czasu świetności T.T. i przypomnieć ich zasługi, póki historia całkowicie nie zagubi o nich wieści. W historycznym pejzażu Zakopanego, Tatr i Towarzystwa Tatrzańskiego poszczególni ludzie gór mieli swe miejsce, czasem nawet na pierwszym planie, a mimo to ich nazwisk daremnie szukać w opasłych encyklopediach specjalistycznych. Skromnym wspomnieniem próbujemy spłacić im dług wdzięczności.

W niniejszym artykule pragniemy przybliżyć sylwetkę Stanisława Zubka – gazdy z Zakopanego, któremu nasze Towarzystwo, Sekcja Narciarska PTT i polskie narciarstwo tak wiele zawdzięczają. Był on utalentowanym rzeźbiarzem, snycerzem, w swoim czasie znakomitym narciarzem, a następnie wytwórcą świetnych nart, sędzią i działaczem na niwie białego sportu. Jego rzemieślnicza wytwórczość i społeczna działalność zawsze były silnie związane z górami, turystyką narciarską i narciarstwem sportowym.

Krótko mówiąc, robił doskonałe narty i mistrzowsko na nich jeździł. W jego karierze wszystko zaczęło się wcześniej. Pierwszy raz przypiął „deski” gdy miał zaledwie 10 lat. Rzeczywiście, były to prawdziwe deski z nieco wygiętymi czubkami, mocowane rzemieniami do butów. Przyszły mistrz nart, podpierając się jed-

nym kijem (jak wówczas wszyscy narciarze), stawiał pierwsze kroki na drodze do sukcesów. Jeździł zawzięcie. W tej emocji kiełkowało zamiłowanie do nart, które miało trwać całe życie.

Podówczas północne stoki Tatr, pokryte białą śniegów, znane były nielicznym odważnym, zaś ślady nart pozostawione w głębi gór budziły większe zaciekawienie niż ślady górskich zwierząt.

Młody Staszek wcześniej wykazywał zainteresowanie „latającymi deskami”, znanymi wtedy także pod nazwami: „łyże”, „ski” lub „skije”. Pochodził z zakopiańskiej rodziny Zubków o przydomku „Kocańda”, zamieszkujących przysiółek położony na zboczu Gubałówki. Urodził się 18 grudnia 1896 roku. Po ukończeniu szkoły ludowej uczył się zawodu w C.K. Szkole Przemysłu Drzewnego w Zakopanem. Dyrektorem szkoły był w tym czasie Sta-



Stanisław Zubek.
Fot. archiwum rodziny

niśław Barabasz – malarz, architekt, ale przede wszystkim pionier narciarstwa polskiego, człowiek o postępowych poglądach, który wbrew konserwatywnym zwyczajom przestrzeganych w galicyjskich szkołach, pozwalał uczniom uprawiać sport. Zachęcał ich zwłaszcza do narciarstwa. Młodzież góralska garnęła się do jazdy na nartach, jednak dla wielu zapaleńców barierą był niedostatek sprzętu. Świadomy tego, doradzał swym wychowankom, jak sami mogą wykonać prawdziwe narty.

Stanisławowi Zubkowi nie brakowało pomysłowości. Początkowo korzystał z rad, podpatrywał sposób wykonania nart przybyszów. Trzeba tu odnotować, że jakkolwiek czerpał z obcych wzorów, to jednak nigdy ich „żywcem” nie kopiował.

Z zapalem zabrał się do wykonania pierwszej pary nart. Efekt pracy był zadowalający, skoro usilnie wyrażano chęć ich nabycia. Targały nim wewnętrzne sprzeczności – zatrzymać dla siebie czy sprzedać? Uległ pokusie i sprzedał je, ale miał niepłonną nadzieję, że następne, które zrobi, będą jeszcze lepsze. W piętnastym roku życia zarobił pierwsze pieniądze. Druga para nart przewyższała jakością te debiutanckie.

Z początkiem XX wieku pod Tatrami powiększała się grupa entuzjastów „białego szaleństwa”. W 1907 r. utworzyli oni Zakopiański Oddział Narciarzy Towarzystwa Tatrzańskiego. W początkowym okresie, do 1911 roku, w którym nastąpiło przekształcenie w Sekcję Narciarską Towarzystwa Tatrzańskiego, w programie dominował nurt turystyczno-zdobywczy. Na nartach wspinano się na przełęcze i szczyty. Niebawem jednak Sekcja Narciarska TT zaczęła organizować zawody sportowe. Był to początek narciarstwa wyczynowego. Wtedy SN TT miała 120

członków zwyczajnych (ej, gdzie te czasy!) i niedużą grupę członków uczestników (nowicjuszy). Ten rok by również przełomowym w życiu 15-letniego Staszka Zubka. Został zawodnikiem sekcji, bo karierę rozpoczął startując w biegu zjazdowym. Tym pierwszym startem od razu zapewnił sobie dobrą pozycję wśród młodych narciarzy, bo zajął drugie miejsce zaraz za swoim kolegą szkolnym Franciszkiem Bujakiem. Potem w corocznie organizowanych zawodach zajmował dwukrotnie trzecie miejsce.

Warto podkreślić, że od pierwszych imprez do końca swej kariery sportowej, zawsze startował na nartach własnej roboty, a często były to narty nowe, bo dla niego coraz lepsze narty to była część sukcesu.

W roku 1913 ukończył szkołę snycerską zdobywając zawód – stolarz-rzeźbiarz. W środowisku narciarskim rokowano mu wcześniej karierę sportową. Ale wybuch I wojny światowej przekreślił plany i nadzieje. C.K. armia Franciszka Józefa I potrzebowała wszystkich zdolnych do noszenia broni. Stanisław Zubek został w 1915 r. wcielony do wojska i wysłany na front włoski. Tam stacjonował do końca wojny, po czym szybko powrócił w rodzinne strony. Założył rodzinę i własną pracownię rzeźbiarską. Nie było mu łatwo zajmować się wytwórczością o charakterze artystyczno-dekoracyjnym, tym bardziej, że rzeźbione wyroby drewniane miały wielu wykonawców, a dobre narty mało kto potrafił zrobić. Wtedy uświadomił sobie, że jego właściwym powołaniem jest „biały sport”. Pracownię przekształcił w warsztat stolarski dostosowany do produkcji nart. Z zamiłowaniem powrócił do uprawiania narciarstwa w barwach macierzystego klubu, który w niepodległej Polsce przyjął nazwę SN PTT.

Specjalnością Zubka były biegi płaskie i zjazdowe. Posiadał ku temu warunki fizyczne, co ważne „duszę”, narciarza wypełnioną dążeniem do czynu. Silna wola zwycięstwa w połączeniu z wysiłkiem na trasach była podstawą sukcesów.

W 1920 r. w Zakopanem, podczas I Mistrzostw Polski w Narciarstwie, stanął do biegu zjazdowego. Przebycie długiej trasy ze Świnicy do Zakopanego, przez Halę Gąsienicową, Kopę Magury, dalej żlebem Wściekłych Węży i Doliną Jaworzynki, wymagało sporych umiejętności i wysiłku. Metę minął wyprzedzony tylko przez klubowego rywala Franciszka Bujaka.

Pomyślnie zakończył również bieg na 18-kilometrowej trasie podczas następnych Mistrzostw Polski. Dzień przed zawodami obfite opady pokryły Tatry puszystym śniegiem. W tamtych latach nie było zwyczaju przecierania trasy, aby dać wszystkim zawodnikom jednakowe szanse. W najgorszej sytuacji byli ci, którzy startowali pierwsi. Stanisław Zubek otrzymał numer 11. Taka kolejność była pomyślna tylko na początkowym odcinku trasy. Brawurowo zjechał na Halę Gąsienicową, szybko wyprzedzał kolejnych poprzedników. Na Karczmisku minął całą dziesiątkę, odtąd prowadził i torował długą część trasy. W Dolinie Olczyskiej zyskał znaczną przewagę. Bieg po pulchnym śniegu wymagał hartu i siły, a tego mu nie brakowało. Zmęczony, lecz nie zagrożony przez rywali, minął pierwszy metę na Antałówce.

Zwycięstwo w tej konkurencji zapewniło mu dobrą pozycję w ścisłej czołówce polskich biegaczy oraz miejsce w ekipie kadry narodowej. Kilkakrotnie repre-

zentował Polskę podczas międzynarodowych zawodów narciarskich. W 1922 r., wspólnie z najlepszymi biegaczami: F. Bujakiem, H. Bednarskim, J. Hubertem, brał udział w mistrzostwach Czechosłowacji organizowanych w Westerowie. Do kraju powrócił z tytułem wicemistrza.

Niebawem, podczas organizowanych w Zakopanem mistrzostw Polski, startował w biegu sztafetowym. Zespół SN PTT, który oprócz niego tworzyli wyżej wymienieni biegacze, wywalczył drużynowe mistrzostwo Polski. Podczas następnych mistrzostw, zespół w tym samym składzie zajął II miejsce.

W latach dwudziestych sportowcy, w tym także narciarze, nie korzystali z opieki trenerów, działaczy, lekarzy sportowych. Nie było zgrupowań, obozów kondycyjnych, a nawet treningów w dzisiejszym tego słowa znaczeniu. Podczas różnych zawodów, tak w kraju jak i poza granicami, narciarze sami dbali o sprzęt, ubiór oraz aprowizację. Na zawody zabierano własny prowiant, co kto posiadał. W tamtych latach sport, zaiste, był uprawiany w czystej formie amatorskiej, z rzeczywistego zamiłowania, dla ewentualnej satysfakcji i tylko czasem drobnej nagrody, którą w porównaniu do dzisiejszych gratyfikacji, wręczanych w różnych formach, określić można jako skromną pamiątkę.

Podówczas dobra pozycja Stanisława Zubka w czołówce polskich narciarzy zdawała się być niezachwiana, a jednak fatum miało wpływ na jego dalszą karierę sportową. Ponowny udział w mistrzostwach w Westerowie zimą 1923 roku był niefortunny. Bieg rozpoczął zdecydowanie, chciał wygrać. Gdy radość sukcesu była blisko, zerwane ścięgno oddaliło zwycięstwo. Metę minął wprawdzie jako drugi, lecz niestety z kontuzją nogi. Mimo to nie rozstał się z narciarstwem. W sezonie 1924 r. stanął na starcie biegu podczas Międzynarodowych Zawodów Narciarskich w Krynicy, był pierwszy. W 1925 r. ponownie wystartował do biegu na 18-kilometrowej trasie mistrzostw Polski. Walczył wytrwale, ale odnowiła się stara kontuzja. Odtąd w jego karierze sportowej nastąpiła przerwa.

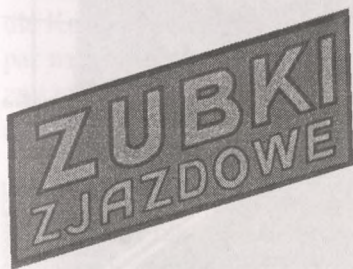
W tym czasie był już czynnym działaczem Sekcji Narciarskiej PTT oraz Okręgu Podhalańskiego PZN. Już w 1925 r. był sędzią zawodów narciarskich, potem członkiem Zarządu SN PTT, a pięć lat później wiceprezesem tego zarządu; tę ostatnią funkcję pełnił do wybuchu wojny.

Narty zawsze były jego życiową pasją. Własne doświadczenie narciarskie przenosił do warsztatu. Wytrwale rozwijał produkcję, już na skalę przemysłową. Powstała wytwórnia nart. Zwiększał zatrudnienie, tudzież sam więcej czasu spędzał we własnej wytwórni. Z zapałem zajmował się wytwarzaniem i udoskonalaniem osprzętu (kijki, wiązania) oraz produkcją smarów do nart. W 1931 r. otrzymał świadectwo przemysłowe.

Produkował kilka rodzajów nart: turystyczne i wyczynowe; w tej drugiej kategorii: biegowe, skokowe i zjazdowe. Narty różniły się także pod względem jakości, najlepsze były w klasie „0”, inne w klasie pierwszej i drugiej oraz t. zw. popularne, najtańsze, w cenie zaledwie 14 zł. Zależnie od potrzeb drukował cenniki wyrobów zawierające dodatkowe informacje np. o używaniu smarów. Sprzęt narciarski, ze względu na duże różnice cen, był dostępny niemal dla wszystkich amatorów, bez względu na grubość posiadanego portfela.

Każdego roku rozdawał dzieciom dziesiątki par nart i puszek smarów. Na jego twarzy często gościł uśmiech, dla niego zapłatą były ich uśmiech i radość. Wytwórnia nart „Zubek” mieściła się przy ul. Szkolnej, naprzeciw szkoły podstawowej. Tamże niejednokrotnie, w czasie przerw lekcyjnych, przed budynkiem sterowało w śniegu kilkanaście par nart. Wszyscy wiedzieli, że to Zubka dar dla uczniów. Brali, kto był pierwszy.

Silna więź łączyła go z klubami narciarskimi. Część produkcji, zależnie od możliwości i potrzeb, przekazywał gratisowo.



W tym czasie w Polsce było kilka prywatnych zakładów – wytwórni nart. W Zakopanem znane były także firmy: Aleksandra i Kazimierza Schiele, Franciszka Bujaka i Józefa Fadena. Produkowano tam przede wszystkim narty zwykłe, przeznaczone dla coraz liczniejszych amatorów narciarstwa. Wytwórnia Stanisława Zubka była jedną z większych. Jego wyroby, popularnie zwane „zubkami”, znane były także poza granicami kraju. Wcześniej wyrobił sobie pozycję

wiodącego producenta w tej branży. Miał duże aspiracje, jako jedyny w kraju wytwarzał narty wyczynowe, spełniające wysokie wymogi techniczne. A wymagania te szybko rosły w miarę rozwoju narciarstwa.

Zależnie od przeznaczenia, narty znacznie różniły się pod względem doboru surowca, jego przygotowania i obróbki. Wyborowe „zubki” produkowano z materiałów importowanych, w tym czasie uważanych na najlepsze, tj. hickory, czyli odmiany orzesznika rosnącego w Ameryce Płn., brzozy fińskiej, a także krajowego jesionu. Wiadomo, że dobry surowiec to podstawa sukcesu produkcyjnego. Stanisław Zubek, doświadczony zawodnik, doskonale znał wymogi techniczne, jakie winny spełniać dobre narty. Szybki rozwój zagranicznego „przemysłu narciarskiego” był wyzwaniem dla zakopiańskiego mistrza nart. Posiadał on zmysł racjonalizatora i wynalazcy, co w połączeniu z pracowitością i ambicją zawodową dawało doskonałe efekty. Jego narty przez lata miały renomę i europejski standard. Niejedno udoskonalenie jego pomysłu przewyższało osiągnięcia znanych firm. Stale pracował nad ulepszaniem ślizgu, elastyczności i wytrzymałości nart. W tym celu skonstruował specjalne urządzenie nazwane „narto-wagomierzem”. Narty poddawał próbie wytrzymałości na drgania i obciążenie. Kilka wynalazków jego autorstwa uzyskało patenty, także zagraniczne. Pierwszy w kraju, w 1930 roku, rozpoczął próby wykonania nart techniką klejenia warstw hickory, brzozy fińskiej i jesionu. Wiedziony dążeniem do nowoczesności, intuicyjnie zmierzał w dobrym kierunku. Opracował recepturę kleju. Nową metodę produkcji nart wprowadził na dużą skalę dopiero w 1936 r., gdy uzyskano lepszą jakość spoiwa. Inną innowacją jego pomysłu było zastosowanie metalowych krawędzi nart czyli kantów. Droga eksperymentów opracował własne receptury kilku gatunków smarów o różnym przeznaczeniu. „Ślalom” używali zjazdowcy, „Goniec” służył do podchodzenia, „Bajeczny” był uniwersalny, stosowano go do podchodzenia i zjaz-

du, „Kurier” poprawiał ślizg. „Dogona (Mix)” był dobry na świeży i suchy śnieg, na mokry używano „Zubek-Kli-ster”, zaś „Zubek-Skawe” na podkład i szreń. Sporządził doskonałą politurę zjazdową „FIS-1939” oraz „Butol” – smar do impregnacji butów narciarskich.

Na nartach firmy „Zubek” z pełnym osprzętem, ponieważ także dzięki nim, nasi czołowi reprezentanci kraju – Bronisław Czech, bracia Marusarzowie, Marian Woyna-Orlewicz, zdobywali poczesne miejsca na mistrzostwach kraju, świata (FIS) oraz na zimowych olimpiadach.

Sprzęt narciarski ze znakiem firmowym „Zubek” był kilkakrotnie eksponowany na specjalistycznych imprezach promocyjnych w kraju i w Europie. W 1934 r., na wystawie sportowej w Bukareszcie, jego narty wyróżniono dyplomem. Sporą kolekcję wyróżnień uzupełnił srebrny medal, przyznany w 1938 r. na Targach Sprzętu Narciarskiego w Londynie.

W trakcie Narciarskich Mistrzostw Świata w Zakopanem (1939 r.) Stanisław Zubek otrzymał dyplom uznania. Wypada odnotować, iż wcześniej, rozszerzył on posiadane uprawnienia sędziowskie do klasy międzynarodowej. W zawodach FIS 1939 pełnił funkcję arbitra.

Zachowała się księga pamiątkowa firmy, nadal prowadzona przez córkę właściciela, panią Ewelinę Pęksową. Zapisy uzupełniają wycinki prasowe, dyplomy, listy, pisma z wyrazami aprobaty, uznania i szacunku. Nie miejsce tu, by cytować wszystkie, ograniczmy się do dwóch:

Zaświadczenie z dnia 14 maja 1927 r. – Zarząd Główny Polskiego Związku Narciarskiego zaświadcza niniejszym, że wytwórnia narciarska Stanisława Zubka w Zakopanem, dobrze mu jest znana i jako taka może być bardzo polecana pod każdym względem...

Pismo Narciarskiego Ośrodka Szkoleniowego z dnia 25 listopada 1934 r. – Wszystkie wyroby Wielmożnego Pana cechuje nadzwyczajna solidność wyrobu, staranność w doborze materiałów, a poza tym podnieść musimy punktualność, z jaką zawsze wykonywał Pan nasze zamówienia. Na sprzęcie zakupionym u W. Pana odnosili nasi zawodnicy szereg pierwszorzędnych sukcesów – między innymi zawodnik nasz Izydor Łuszczek – tytuł Mistrza Polski na rok 1933, sztafeta zaś nasza Mistrzostwo Polski na rok 1934 zdobyła biegnąc wyłącznie na hickorowych biegówkach Zubka. Podobnie zadowoleni byliśmy z dostarczonych nam nart zjazdowych i skokowych. Wagner – pułkownik”.



Stanisław Zubek – wytwórca nart.
Fot. archiwum rodziny

Najlepszy okres wytwórni nart przypadł na drugą połowę lat trzydziestych. Wówczas Stanisław Zubek zatrudniał 23 pracowników, którzy rocznie wytwarzali ponad dwa tysiące par nart z osprzętem.

Narciarskie Mistrzostwa Świata FIS – 1939 wzmogły zainteresowanie „zubkami”. Zamówienia nadchodziły z zewsząd, także za Stanów Zjednoczonych. Wzmagająca się atmosfera napięcia, na kilka miesięcy przed nawałnicą II wojny światowej, nie sprzyjała utrzymywaniu szerokich kontaktów handlowych z zagranicą. Stanisław Zubek przyjął obstalunek od naszego wojska. W sierpniu 1939 r., w związku z przewidywanym konfliktem zbrojnym, otrzymał nakaz wysłania nart dla Korpusu Ochrony Pogranicza w Stryju. Nie licząc na zapłatę wysłał około 700 par nart wypełniając nimi cały wagon towarowy. Na szczęście, cały ładunek uległ zniszczeniu podczas bombardowania pociągu w okolicy Przemyśla. Dzięki temu sprzęt nie dostał się w ręce wrogów.

Z nastaniem okupacji Stanisław Zubek zamknął wytwórnię, zdemontował maszyny i ukrył także surowce. Znaczną część gotowych nart potajemnie zapakował w skrzynie i ukrył pod sianem w zabudowaniach należących do córki, pani Janiny Nawrockiej. Pewną ilość nart rozdał potajemnie kurierom i ochotnikom zmierzającym przez Budapeszt do Armii Polskiej na zachodzie. To co pozostało, musiał sprzedawać na specjalne talony wydawane przez władze okupacyjne.

Niemcy wprowadzili zakaz posiadania nart przez Polaków. Nieliczni, którym narty były potrzebne do pracy np. w leśnictwie, otrzymywali zezwolenia. Nielegalne posiadanie sprzętu zagrożone było surowymi karami. Stanisław Zubek nie tylko nie podporządkował się nakazowi władz niemieckich, ale odmówił wznowienia produkcji nart potrzebnych Wehrmachtowi na wschodzie. Miał świadomość, że brak subordynacji może spowodować represje okupanta.

W 1941 r. został aresztowany przez Gestapo i osadzony w „Palace” – katowni Podhala, miejscu, z którego tylko nielicznym los pozwalał wrócić do domu.

Zatrzymano go wskutek podejrzenia o kolportowanie gazetek wydawanych przez ruch oporu. Rzeczywiście współpracował z podziemiem. Wielokrotnie przechowywał m.in. tajne pisma i gazetki przywożone z Warszawy. Przesłuchiwany nie wyznał prawdy, ale brak niezbitych dowodów nie wykluczał wysyłki do obozu koncentracyjnego. Niechybnie trafiłby tam, gdyby nie łut szczęścia. Z opresji uratowało go wstawiennictwo Steppa Röhla, austriackiego trenera naszych zawodników w okresie międzywojennym. Przybył on do Zakopanego w 1937 r. i został zaangażowany przez PZN na stanowisku trenera narciarstwa. Do Polaków miał zawsze pogardliwy stosunek. Od początku okupacji pracował gorliwie jako tłumacz Gestapo. Znał miejscowych narciarzy, wielu wysłał do obozów zagłady. W sytuacji zda się beznadziejnej ujął się za Stanisławem Zubkiem, gdyż cenił sobie jego narty. Tu nasuwa się pytanie – przeznaczenie to, czy przypadek graniczący z cudem?

Do końca wojny mistrz nart gazdował na 8,5 hektarowym gospodarstwie. W 1944 r. wykonał w ukryciu kilkanaście par nart dla gorczańskich partyzantów z grupy J. Zapały. Z chwilą gdy Niemcy uciekli z Zakopanego zaczął odtwarzać wytwórnię nart. W niespełna miesiąc po wyzwoleniu Zakopanego, w dniu 26 lu-

tego 1945 r., wraz z córką Eweliną i zięciem Władysławem Pęksą brał udział w spotkaniu kilkunastu dawnych działaczy i zawodników Sekcji narciarskiej PTT i innych klubów. Wtedy postanowiono reaktywować działalność. W nowym zarządzie SN PTT Stanisław Zubek kolejny raz został wybrany wiceprezesem.

Wierząc, że jego narty będą nadal przydatne dla zawodników i amatorów, wznowił produkcję. Ówczesna władza ludowa podejrzliwie patrzyła na inicjatywy przedwojennych przedsiębiorców. Częste kontrole, rewizje, wezwania, przesłuchania i domiary podatkowe prowadziły do likwidacji firm. Udźczeń było tak wiele, że Stanisław Zubek założył specjalną teczkę szykan. Miał on jednak typową cechę górala – upór. Nie uległ zastraszeniu, wytrwale pracował, a nawet rozwijał produkcję. Pierwszy w kraju i państwach wschodnioeuropejskich zastosował innowację polegającą na pokryciu podłoża nart specjalną masą plastyczną.



Stanisław Zubek przy produkcji nart.
Fot. archiwum rodziny

W trudnym okresie powojennym narty „zubki” nadal dorównywały produktom renomowanych firm zachodnich i skandynawskich. Zamówienia na sprzęt nadchodziły zza oceanu, z drugiej strony Bałtyku i Tatr. W kraju także było duże zapotrzebowanie na nowy sprzęt. W klubach brakowało nart, nieliczne ocalałe były przestarzałe. Stanisław Zubek nadal szczerze obdarzał zrzeszonych i indywidualnych narciarzy oraz młodzież szkolną.

Po wojnie nasi czołowi narciarze nadal startowali na „zubkach”. W Chamonix, w 1947 r., zorganizowano Międzynarodowy Tydzień Narciarstwa – zawody, które były nieoficjalnymi mistrzostwami świata. Udział polskiej reprezentacji z powodu braku dewiz do końca nie był pewny. Bilety na przejazd II klasą i to tylko w jedną stronę dostarczono w ostatniej chwili, gdy zespół w składzie: Stanisław i Józef Marusarzowie, Stanisław Skupień, Andrzej Bachleda-

Curuś, Marian Woyna-Orlewicz, Jan Kula i inni oczekiwali w Katowicach. Pieńiądze na powrót obiecano dostarczyć przed zakończeniem zawodów. Nasi narciarze mieli szczerą wolę powrotu do kraju, więc na wszelki wypadek zabrali dodatkowo 20 par nart z firmy Stanisława Zubka. Duże zainteresowanie nartami sprawiło, że rezerwowe „zubki” pozostały we Francji, a uzyskana waluta znacznie wzmocniła dewizowy budżet drużyny.

W następnym roku polska ekipa uczestnicząca w Zimowej Olimpiadzie w St. Moritz – 1948 wyposażona została wyłącznie w narty Stanisława Zubka.

Był to, niestety, ostatni znaczący sukces jego wytwórni. W latach pięćdziesiątych, z przyczyn niezależnych od właściciela, powoli następował zmierzch „złotego” okresu wytwórni. Wprawdzie zamiarem Stanisława Zubka była rozbudowa firmy i zwiększenie produkcji, ale ówczesna władza miała zgoła inny cel. To czego nie udało się osiągnąć szykanami, załatwiono reglamentacją surowców. Największym problemem firmy było zaopatrzenie w surowce i dodatki. Pomagała w tym córka, pani Ewelina Pęksowa. Po latach wspomina niemałe trudności. Nabywanie odpowiedniej ilości pojemników lakierów, farb i rozpuszczalnika wymagało wielu zabiegów. Na wnioski poszczególnych klubów i zrzeszeń sportowych, dodatkowo opiniowanych przez Polski Związek Narciarski, Główny Urząd Kultury Fizycznej i Turystyki w Warszawie zwracał się do poszczególnych central handlu z prośbą o przydział materiałów chemicznych z hurtowni. Następnie należało wyjechać do Krakowa, by tam po kilkugodzinnym załatwianiu kwitów w biurach i magazynach hurtowni, nabyć niezbędny towar.

Stanisław Zubek w środowisku narciarskim cieszył się autorytetem najlepszego fachowca – rzeczoznawcy. Gdy w Szaflarach uruchamiano fabrykę nart, otrzymał propozycję objęcia stanowiska dyrektora. Oferty nie przyjął. Nadal chciał produkować swoje „zubki”, być niezależnym od władz. Miał powody, by zwątpić w dobrą współpracę z władzą. Borykając się z różnymi trudnościami wytrwale prowadził własną wytwórnię, zmuszony ograniczać produkcję. Ważnym tego powodem było wprowadzenie zakazu zakupu sprzętu sportowego przez kluby w prywatnych przedsiębiorstwach. Ponieważ narty oferowane przez Fabrykę Nart w Szaflarach pod względem jakości nie spełniały oczekiwań zawodników, sprzęt zaczęto sprowadzać z zagranicy za dewizy.

A swoją drogą warto dodać, że czas drewnianych nart z wolna dobiegał końca. Nic na świecie nie zatrzymuje się w rozwoju. Zachodnie firmy zaczynały produkować narty metalowe. Zapewne Stanisław Zubek nie byłby obojętny na nowe wyzwania postępu technicznego, gdyby wtedy „prywaciarz” miał dostęp do odpowiednich materiałów.

Z końcem lat sześćdziesiątych wytwórnia nart „Zubek” przestała istnieć. Podjęcie decyzji o likwidacji firmy, choć przykre, stało się konieczne. Stan zdrowia siedemdziesięciokilkuletniego mistrza nart i trudności produkcyjne kładły kres jego karierze zawodowej. W miejsce wytwórni utworzył pracownię rzeźby. Jego wyroby budziły zainteresowanie także u odbiorców zagranicznych. Jak przed laty rozpoczął pracę w drewnie od rzeźbienia, tak podobnie ją zakończył.

Cała jego działalność sportowa, społeczna i zawodowa była zaiste nader pożyteczna dla rozwoju polskiego narciarstwa. Stanisław Zubek miał predyspozycję do nart, gorąco miłował narciarstwo, znał i rozumiał potrzeby narciarzy. Oni darzyli go sympatią, uznaniem i wdzięcznością. Z ich inicjatywy otrzymał wiele wyróżnień i odznaczeń. Wymieńmy te, które sprawiły mu największą satysfakcję (dla ścisłości dodajmy, że otrzymał ich 13):

- Złoty Krzyż Zasługi, przyznany w 1957 r., na wniosek PZN,
- Złota odznaka Jubileuszowa – 50 lat PZN,
- Honorowa Odznaka Jubileuszowa 40 lat T.S. „Wisła”,

- Tytuł honorowego członka Węgierskiej Izby Rzemieślniczej w Budapeszcie (1956 r.).

Stanisław Zubek był człowiekiem łagodnego usposobienia, pełnym przyjaźni, życzliwości i altruizmu. Hojnie obdarzony przez naturę w dar talentu, był równie hojny w darach dla potrzebujących. Młodych pracowników obdarzał niemal ojcowską opieką.

Wrodzone przywiązanie do Zakopanego sprawiało, że rzadko opuszczał to miejsce. Zawsze bliskie były mu Tatry i wszystko co z nimi związane. Należał do Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego, Związku Podhalan, Polskiego Związku Narciarskiego. Najdłużej był członkiem Sekcji Narciarskiej TT – PTT.

W 1973 r., w stulecie powstania Towarzystwa Tatrzańskiego, nadano mu godność Honorowego Członka Sekcji Narciarskiej PTT. Działal także w innych organizacjach związanych z Tatrami i regionem podhalańskim. Zmarł w 1982 roku. Żegnany tonami góralskiej kapeli, spoczął na zakopiańskim Cmentarzu Zasłużonych na Pęksowym Brzyzku, pośród najlepszych synów Podhala, ludzi gór i góral-szczyzny.

20 lipca 1989 r. Rada Miasta Zakopane, w uznaniu zasług, nazwała jego imieniem drogę widokową, wiodącą grzbietem Gubałówki, od górnej stacji kolejki na Butorowy Wierch¹.

Dzisiaj prawdziwe deski „zubki” wraz z osprzętem zdają się być archaicznymi wyrobami. Wyśłużone, stały się eksponatami i jako takie znajdują się w muzeach sportu. Pamiętać należy, że zaledwie kilkadziesiąt lat temu był czas, gdy na takich nartach najlepsi polscy narciarze zdobywali najwyższe trofea podczas zawodów w kraju i na świecie.

Stanisław Zubek w latach swej kariery sportowej zyskiwał poklask, a także duże uznanie jako producent sprzętu. Pomimo, że narciarstwo skąpo rozdaje nieśmiertelność, obecnie należy on do wąskiego grona Zakopiańczyków – ludzi nart i narciarstwa – otoczonych legendą minionych lat. Nie zapomnijmy o Nim.

¹ Od roku 2000 drogą Stanisława Zubka na Gubałówce przebiega wyznakowany szlak pielgrzymkowy im. Papieża Jana Pawła II z Zakopanego do Ludźmierza.

JAWORNICA W BESKIDZIE MAŁYM

Zbigniew Kubień

Mało znanym i niedocenianym przez „góroznawców” pasmem górskim jest uroczy i nieprzeludniony o każdej porze roku – Beskid Mały. Wyjątek stanowią okolice szczytów Groń Jana Pawła II i Leskowiec, które skupiają turystów w pobliżu kaplicy „Ludziom Gór”, zasłużonego schroniska, oraz wyciągu narciarskiego – zimą.

Wytrawnym turystom plecakowym poszukującym ciszy, pięknych widoków i zainteresowanych historią turystyki górskiej, proponuję garść informacji o zapomnianym, a interesującym beskidzkim szczycie – Jawornicy (834 m n.p.m.).

W 1932 roku w Andrychowie powstało Koło Oddziału Babiogórskiego PTT, a jego prezesem został dr Stefan Breyer. Kolejnym wybrano Franciszka Frysia. Andrychowskie Koło PTT liczyło kilkudziesięciu członków i objęło swoją działalnością nieduży, ale bardzo atrakcyjny wycinek Beskidu Małego w rejonie Jawornicy, Potrójnej i Przełęczy Kocierskiej. Koło, choć małe liczebnie, zakupiło w 1937 roku parcelę pod schronisko na Kocierzcu oraz zgromadziło na ten cel 2400 zł. Niestety, macierzysty Oddział Babiogórski PTT nie zaakceptował przedstawionego planu schroniska jako *mało regionalnego w zewnętrznym wyglądzie*. Powstał więc nowy projekt, ale czas został bezpowrotnie stracony. Wreszcie w 1939 roku przystąpiono do budowy schroniska. Wykonano prace przygotowawcze, które przerwał wybuch wojny. Namiastką schroniska była nieistniejąca już stacja turystyczna na Przełęczy Kocierskiej, uruchomiona przez Koło PTT w Andrychowie z 10 miejscami noclegowymi.

Działacze Koła – Franciszek i Kazimierz Frysiowie wytyczyli i oznakowali dwa interesujące szlaki turystyczne. W 1933 roku powstał szlak zielony z Andrychowa na Leskowiec, a rok później drugi – żółty z Andrychowa przez Jawornicę na Potrójną. Do dzisiaj zachował się tylko jego fragment końcowy, Jawornica – Potrójna. Łącznie, andrychowianie wyznakowali 24 km szlaków.

Wielkim ciosem dla andrychowskiej turystyki była tragiczna, narciarska śmierć czworga narciarzy z andrychowskiego „Beskidu”, uczestniczących w Gwiaździstym Rajdzie Narciarskim na południowych zboczach Babiej Góry. 14 lutego

2000 roku minęło 65 lat od śmierci. W śnieżnej kurniawie na Babiej Górze, niedaleko schroniska podszczytowego zginęli Janina i Kazimierz Frysiowie, Władysław Olejczyk z Andrychowa oraz Helena Banachowska z Wadowic. O tragedii przypominają krzyże – jeden z nich stoi w gąszczu kosodrzewiny w pobliżu szlaku turystycznego z Lipnicy na szczyt Babiej Góry, gdzie znaleziono zwłoki trójki narciarzy; drugi zaś ufundowała rodzina Frysiów na swojej parceli pod samym szczytem Jawornicy. Przez wiele lat był on doskonale widoczny z Andrychowa i na podstawie jego widoczności trafnie przepowiadano pogodę, aż zasłonił go wyrastający na szczytowej polanie las.



Pamiętkowy przedwojenny krzyż na Jawornicy. Na podstawie przedwojennej fotografii dawny wygląd obiektu odtworzył A. Hyziński

Pamiętkowy, okazały, stalowy krzyż ma wymiary: 10,1 m wysokości, 4,34 m rozpiętości i podstawę 0,7/0,7 m. Ozdobna konstrukcja o zmiennym profilu wykonana jest z kątownika. Na krzyżu tym odnowionym w latach 1998–1999, umieszczono tablicę upamiętniającą śmierć Tomka Kierpca, młodego andrychowiaka, miłośnika przyrody, zmarłego 2 lutego 1998 roku w pobliżu pamiętkowej konstrukcji. Poprzednikiem kratownicowego krzyża na Jawornicy był inny – drewniany, który ufundowało w 1900 roku społeczeństwo pobliskich wiosek, inspirowane przez miejscowe duchowieństwo, by w ten sposób uczcić nowe stulecie i nieistniejącą wówczas na mapach Europy – naszą ojczyznę.

Dziełem Koła PTT w Andrychowie było wybudowanie na grzbiecie Jawornicy, kilkadziesiąt metrów od krzyża, małego lecz niezwykle pożytecznego schronu turystycznego. Stylowy budynek na podmurówce został wzniesiony zaledwie na rok przed wybuchem II wojny światowej. Ściany zbudowano z drewnianych bali, dach pokryto gontem, a solidne drzwi i okiennice zabezpieczały przed surowymi warunkami atmosferycznymi. W niewielkiej izbie znajdowały się najpotrzebniejsze sprzęty: stół, ławy, piec, szafka z naczyniami. Strych służył do spania. Obiekt funkcjonował w oparciu o ludzką uczciwość – klucze odbierało się i zdawało w biurze „Beskidu”. Z chwilą wybuchu wojny schronisko zaczęło służyć uciekinierom, później korzystali z niego najrozmaitsi ludzie, co nie wyszło budynkowi na dobre – wyłamano zamek, wybito szyby, rozgrabiono sprzęty. Istnieją dwie wersje zagłady schronu: jedna mówi, iż podczas okupacji spłonął, inna podaje, że obiekt został zdewastowany już po wojnie przez miejscową ludność, aż do całkowitego zniszczenia. W latach osiemdziesiątych działacze andrychowskie-

go Oddziału PTTK urządzili na Jawornicy punkt widokowy. Niestety, po roku nie było nawet śladu tej inwestycji.

Nie ma już wielohektarowych, podszczytowych halnych łąk – ukwieconych latem, a wrzosowych jesienią. Nie istnieją łąny borówczysk i nie możemy rozkoszować się dookolną panoramą. Z gospodarowania w górach wycofał się człowiek, a przyroda rządzi się własnymi, odwiecznymi prawami i na powrót objęła górskie enklawy w swoje władanie. Szczyt Jawornicy ponownie zarósł bujnym lasem i krzewami, nawet trudno odnaleźć zarysy fundamentów byłego schronu turystycznego, a warto je odwiedzić, bo fachowa literatura górską o obiekcie tym nie pisze, oprócz jednozdaniowej wzmianki w „Beskidach” Władysława Krygowskiego.

Cały Beskid Mały doskonale nadaje się do uprawiania turystyki pieszej, rowerowej i narciarskiej. Na speleologów czekają dosyć trudne jaskinie, a podszczytowe polany i długie zbocza kuszą paralotniarzy. Niespodzianką Beskidu Małego – i zaskoczeniem dla wspinaczy jest spora ilość ciekawych ścian z piaskowca doskonale nadających się do uprawiania wspinaczki. Są tam wytyczone drogi o różnej skali trudności, w tym sporo ospitowanych. Rajem dla wspinaczy jest rejon skalny w okolicy szczytu Ścieżków Groń.

Wyberzmy się zatem na zapomniany niesłusznie bastion beskidzkiej Jawornicy czy Potrójnej.



Schron na Jawornicy.

Na podstawie przedwojennej fotografii wygląd obiektu odtworzył A. Hyziński

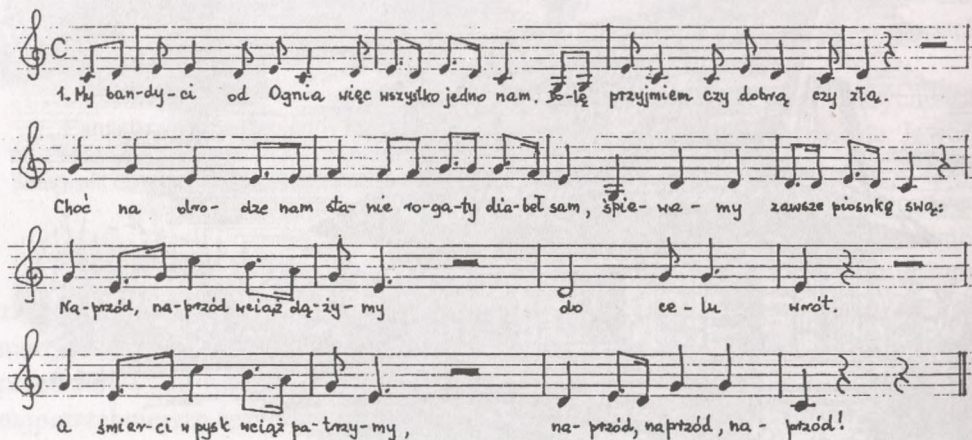
HYMN „OGNIA”

Dzięki działalności Instytutu Pamięci Narodowej, zmieniają się wreszcie poglądy i oceny na niektóre wydarzenia z przeszłości i postaci z nimi związane.

Przykładem tego jest fakt, że po 55 latach przestaje się wreszcie nazywać bandą Ognia partyzantów z Podhala działających w latach 1945–1947 pod wodzą Józefa Kurasia. Możemy dzisiaj jedynie stwierdzić, że porywając się w tych latach na zmianę porządku pojałańskiego ustanowionego wbrew naszej woli przez ówczesnych możnowładców i licząc na trzecią wojnę światową, której nikt już nie chciał, mając dość drugiej, byli z góry tragicznymi straceńcami bez żadnych szans wygrania sprawy, za którą byli gotowi oddać życie.

Zbigniew Jaworowski, który opisał w ósmym tomie Pamiętnika PTT (1999) spotkanie z partyzantami od Ognia na Polanie Waksmundzkiej i podał słowa ich hymnu, przysłał obecnie nuty do tego hymnu zapisane z pomocą mgr Mirosławy Jankowskiej z Akademii Muzycznej im. F. Chopina w Warszawie.

Możemy więc obecnie przypomnieć słowa hymnu i nuty. Może ktoś podejmie się zagrania go.



1. My ban-dy-ci od Ognia więc wszystko jedno nam. Jo-łę przyjmieć czy dobrą czy złą.
Choć na dro-dze nam sta-nie ro-ga-ty dia-bel sam, śpie-wa-my zawsze piosnkę swą:
Na-przód, na-przód wciąż dą-ży-my do ce-lu wrót.
A śmier-ci upiór wciąż pa-trzy-my, na-przód, naprzód, na - przód!

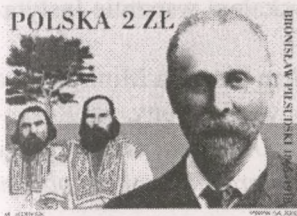
II. Niech brzuchacze się pasą, a skapcy biją trzos.

Dyplomata o sławie niech śni.

My brzuchaczom i skapcom śmiejemy się w nos,

A sława nam leży, jak pies u drzwi.

Refren: Naprzód, naprzód...



BRONISŁAW PIŁSUDSKI NA ZNACZKU POCZTOWYM

Antoni Kuczyński

Od lat zabiegałem o wydanie znaczka pocztowego z podobizną Bronisława Piłsudskiego. W kraju nad Wisłą panowała dziwna bierność wobec zasług tego człowieka¹. Rosjanie wystawili mu wielki pomnik odsłonięty w Južno-Sachalińsku podczas II Międzynarodowej Konferencji pt. „B.O. Piłsudskij. Issledowatel narodow Sachalina”, która odbywała się w dniach 30 października – 2 listopada 1991 r. na tej odległej wyspie. Została też wówczas wydana okolicznościowa koperta z wizerunkiem B. Piłsudskiego. Dodajmy, że na Sachalinie jest też „Góra Bronisława Piłsudskiego” nazwana przez kartografów radzieckich po przejęciu tej części wyspy od Japończyków po zakończeniu II wojny światowej.

Moja korespondencja z Ministerstwem Łączności na temat edycji znaczka zyskała poparcie prof. Koichi Inoue z Uniwersytetu Hokkaido w Sapporo, Ośrodka Badań Wschodnich Uniwersytetu Wrocławskiego i organizacji społecznych: Wspólnota Polska, Straż Mogił Polskich na Wschodzie, Związek Sybiraków.

Kolejną okazją do wydania znaczka była II Międzynarodowa Konferencja poświęcona Piłsudskiemu odbywająca się na przełomie sierpnia i września 1999 r. w Zakopanem i Krakowie. Skończyło się na trzech kartkach pocztowych wydanych nakładem własnym autora.

W rok po tej konferencji 21 października 2000 r., na Cmentarzu na Pęksowym Brzyzku w Zakopanem wzniesiona została symboliczna mogiła B. Piłsudskiego. Z tej okazji Poczta Polska wprowadziła do obiegu specjalny datownik z nazwą sympozjum naukowego towarzyszącego temu wydarzeniu i ostemplowano nim wydane rok wcześniej karty. Ponadto, ukazała się okolicznościowa koperta z nadrukiem: *Polska Akademia Umiejętności i Towarzystwo Muzeum Tatrzańskiego im dra Tytusa Chałubińskiego. Sympozjum „Bronisław Piłsudski (1866–1918). Człowiek – Uczony – Patriotą”, połączone z poświęceniem Jego symbolicznej mogiły na Cmentarzu Zasłużonych na Pęksowym Brzyzku, Zakopane 20–21 października 2000 roku.*

¹ O Bronisławie Piłsudskim pisaliśmy w Pamiętniku PTT, t. 8.

Nie ustawałem w staraniach o wydanie znaczka. Uzyskałem wsparcie Instytutu Józefa Piłsudskiego w Londynie.

Wreszcie, po 10 latach starań, zmieniło się. Oto bowiem pismem Ministerstwa Infrastruktury z dnia 19 listopada 2001 r. zostałem powiadomiony, iż *Rozporządzeniem Ministra Infrastruktury z dnia 11 listopada 2001 r. znaczek pocztowy upamiętniający postać Bronisława Piłsudskiego zostanie wprowadzony do obiegu w lutym 2002 r. w ramach serii „Polacy w świecie”*.

Stało się. Znaczek wszedł do obiegu 22 lutego tego roku wraz z kopertą pierwszego dnia obiegu FDC, opatrzoną okolicznościowym datownikiem stosowanym w Urzędzie Pocztowym Warszawa 1. Znaczek o nominale 2 zł. wydrukowany został techniką offsetową na tzw. papierze fluorescencyjnym, w nakładzie 500 tys. i formacie 43 × 31,25 mm. Jego autorem, podobnie jak koperty i datownika, jest artysta plastyk Maciej Jędrysiak, absolwent Wydziału Malarstwa ASP w Gdańsku. Na pierwszym planie znaczka, z prawej strony, jest wizerunek B. Piłsudskiego, natomiast po lewej sylwetki dwóch Ajnów, a w tle korona sosny amurskiej nad urwistym brzegiem morza. Kompozycja znaczka została zatem podporządkowana idei ukazania Piłsudskiego sprzęgniętego z jego dokonaniem dla kultury tubylczych ludów wyspy Sachalin.

Pragnę dodać, że równocześnie z tym znaczkiem ukazał się znaczek z wizerunkiem Jana Czerskiego, zesłańca po powstaniu styczniowym, badacza Syberii, geologa i geografę, na cześć którego olbrzymie pasmo górskie w Jakucji nosi nazwę Gór Czerskiego. W całokształcie polskiej emisji znaczków pocztowych dwa wymienione znaczki wyraźnie wpisują się w historię wkładu Polaków w dzieje i cywilizację świata.

POLACY NA ŚWIECIE

Zacznę od Ajnów, tego, plemienia zagadkowego, które na mocy ostatnich badań antropologów zostało zaliczone razem z Wredkami z wyspy Cejlon do grupy najstarszych poprzedników naszej białoskórej (zwanej też aryjską lub indogermanską) rasy. Szamanów swoich nazywają Ajnowie *tusu kuru* (szamanizujący ciurkiem). Te sąmą nazwę dają oni i kapłanom chrześcijańskim. Szamanizm u Ajnów jest rozwinięty dołcho słabiej niż u plemion mieszkających nad rzeką Amur i dalej na zachód na lądzie azjatyckim. W tym celu przodków stanowi zna... religijnych żm... i babie roz... kuńcze nad... ich jednak po... tym niezliczo...

Bronisław Piłsudski 1866-1918

PIERWSZY DZIEN OBIEGU POCZTA POLSKA

[illegible]

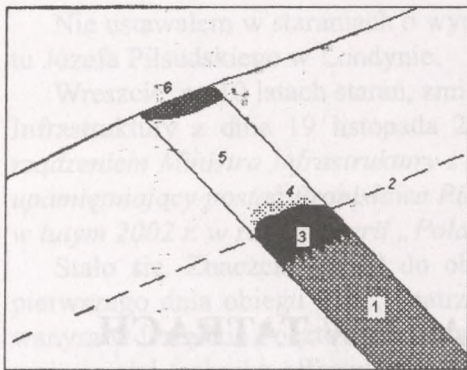
O GÓRNICTWIE ŻELAZA W TATRACH POLSKICH

Mikołaj K. Zapalski

W poprzednim swoim artykule (Pamiętnik PTT, tom 8) opisałem pokrótce historię rozwoju górnictwa kruszcowego w Tatrach Polskich. Przypomnijmy, że dzieje górnictwa w Tatrach można podzielić na cztery okresy, przy czym pierwsze trzy obejmują okres poszukiwczy, rozwój i zmierzch górnictwa kruszcowego, okres czwarty natomiast związany jest z wydobywaniem rud żelaza. Pierwszy z nich zaczyna się w XIII wieku i trwa około 100–150 lat. Prowadzono prace poszukiwawcze na terenie całego kraju, co odbiło się echem również w Tatrach. Najdawniejszym dokumentem sygnalizującym prowadzenie robót górniczych w Tatrach jest nadanie Henryka Brodatego dla Teodora Cedry (1234 r.). Drugi okres rozpoczyna się w połowie XV i trwa do połowy XVI wieku. Wtedy właśnie powstają liczne kopalnie kruszców miedzi i srebra w Tatrach Zachodnich, eksploatowane również w ostatnim okresie, obejmującym głównie czasy panowania Stanisława Augusta.

Czwarty okres obejmuje wydobywanie rud żelaza będzie tematem niniejszego artykułu. Żelazo w Tatrach odkryto jeszcze za Stanisława Augusta, w roku 1765. Rozpoznane zostały wtedy bogate złoża w Dolinie Jaworzynki, jednak wydobywanie na szerszą skalę rozpoczęło się pod koniec XVIII wieku. Można o tym wnioskować wiedząc, że Franciszek Rychter Pelikańczyk, starosta nowotarski, już w roku 1773 wnosił o uznanie go założycielem hut w Kuźnicach, co było zapewne związane z uruchomieniem wytopu rud. Wydarzenie to nie jest jednak związane z większym wydobywaniem.

Jaka jest geneza tatrzańskich rud żelaza? Najważniejsze ekonomicznie były tzw. „czapy limonitowe” (zwane też „żelaznymi”, rys. 1). Jak sama nazwa wskazuje, ich głównym składnikiem jest limonit, który nie jest minerałem, a mieszaniną minerałów. Głównym składnikiem tej mieszaniny jest goethyt. Limonit jest ostatecznym produktem rozkładu wszystkich minerałów żelaza. Jest substancją brązową lub brunatną. Wspomniana „czapa” powstaje w wyniku wietrzenia żyły kruszcowej, zawierającej minerały żelaza (jak np. piryt czy syderyt), lub też



Rys. 1. Objasnienia: 1 – żyła niezwiertnięta poniżej zwierciadła wody gruntowej, 2 – zwierciadło wody gruntowej, 3 – strefa cementacyjna, 4 – strefa oksydacyjna wzbogacona, 5 – strefa oksydacyjna, 6 – czapa żelazna. Wg Książkiewicza [W: 5]

w wyniku wietrzenia skał zawierających takie minerały. Część minerałów jest wmywana w głąb, inne natomiast pozostają na powierzchni (czyli skała powierzchniowa jest w nie wzbogacana) i te właśnie tworzą czapę. Całość wietrzenia odbywa się powyżej zwierciadła wód gruntowych. W Tatrach utwory te związane są ze skałami triasowymi, głównie doloomitami. Najważniejsze i najdłużej eksploatowane to wystąpienia rud pod Kopą Magury (tu założono jedną z pierwszych sztolni żelaznych, pole „Leopold”). Ponadto, ten typ wystąpień reprezentują złoża w Dolinie Miętusiej, pod Bobrowcem i pod Giewontem. Pozostałe dwa rodzaje złóż to: żyły hematytowe (Fe_2O_3)

z domieszką syderytu (FeCO_3), które eksploatowano w rejonie Stołów (Żleb Żeleźniak), nad Hałą Smytnią i w Zawracie Kasprowym ora soczewki i małe gniazda hematytowo-węglanowe, eksploatowane głównie w Dolinie Lejowej.

Jaka była zawartość żelaza w poszczególnych rudach? Jak podaje M.A. Liberek, hr. Władysław Zamoyski zlecił analizę rud, która wykonana została przez F. Bartoneca oraz W. Szczytnickiego. Według niej najbogatszym złożem było złożo w Magurze (50,56% żelaza), obfite były też złoża z Tomanowej i Kościeliskiej (po około 35%). Warto zaznaczyć, że rudy żelaza wydobywano również w Ornaku, w sąsiedztwie dawnych kopalń miedzi i srebra. Wspomniana analiza wykazała ponad 80% żelaza metalicznego w rudzie wydobywanej „nad gospodą w Kościeliskach”. Sądę jednak, że do takich danych należy podejść krytycznie.

Tak więc, z początkiem XIX wieku następuje szybki rozwój górnictwa i postępujący wraz z nim rozwój hutnictwa. Powstają zakłady hutnicze w Kuźnicach i Dolinie Kościeliskiej. Najważniejsze kopalnie położone były w dolinach: Lejowej, Kościeliskiej, Tomanowej, Miętusiej i Małej Łąki. Rudę wydobywano także w zboczach Bobrowca, Giewontu oraz Przysłopu Miętusiego. Złoża eksploatowane w Dolinie Jaworzynki były, jak wspomniano, najbogatsze. Warto odnotować fakt, że eksploatowano je nieprzerwanie do 1871 roku. Wraz z rozwojem kopalń rozwinęła się też infrastruktura; głównie drogi. Niektóre z nich wykorzystywane są do dziś, m.in. jako „Droga Pod Regłami”, czy ścieżka turystyczna na Małolęcniak. Starostwa nadające pola górnicze wydawały coraz więcej pozwoleń; od 1840 r. rudę eksploatował także baron Kajetan Borowski, któremu sąd górniczy w Wieliczce nadał pola w Dolinie Chochołowskiej i Dolinie Lejowej.

Urobek z kopalń początkowo wywożono, później przetapiano na miejscu. Huta w Dolinie Kościeliskiej nie pracowała „przemysłowo” i – jak podaje Zwoliński – nie wyszła poza stadium wytopów próbnych. Bardzo natomiast rozwinął się zakład kuźniczy, co było zasługą rodziny Homolaczów, spolonizowanych Wę-

grów. Kuźnice były w ich rękach od 1806 r., a największy rozkwit rozpoczął się po roku 1834, kiedy dyrektorem Zakładów był Rudolf Elsner. W szczytowym okresie Zakłady zatrudniały około 500 osób i rozbudowały się znacznie: istniała m.in. walcownia, młot, fryszerki, gwoździarnia oraz wiele innych urządzeń hutniczych. Warto zaznaczyć, że do napędu większości z tych urządzeń używano energii wodnej, pochodzącej ze spiętrzonej Bystrej. Z licznych wyrobów z Kuźnic

Kundmachung.

Die Form des Schurfzeichens, mit dem, nach den Bestimmungen des §. 24 und 25 des allgemeinen Berggesetzes, jeder Schürfer binnen drei Tagen, nach von der k. k. Bergbehörde erhaltenen Bestätigung über dessen Schurfbau-Anzeige, den Freischurf über Lage zu bezeichnen, und dessen Aufstellung der politischen Behörde anzuzeigen hat, wird für das k. k. Krakauer Regierungsgebiet, nachfolgend festgelegt.

Dieses Schurfzeichen besteht aus einer 11 Wiener Zoll breiten, 16 Zoll langen in 8 gleichen 4" 8" messenden Segmenten abgegrenzten, gut verzinnnten oder verzinkten Eisenblechplatte, welche mit weißer Delftgrünfarbe angestrichen, die in blauer Farbe aufgetragene Lapidar-Schrift



V O M

Jahre 185 Nr.

enthält, und auf einem hölzernen Pfahl 9 Schuh über der Erdoberfläche festgenagelt wird.

Um die Gleichförmigkeit dieser Schurfzeichen festzuhalten, wird deren Anfertigung einem bestimmten Gewerbmänn im Standorte und unter Kontrolle der Bergbehörde übertragen werden.

Was hienit zur allgemeinen Kenntniß gebracht wird.

Von der k. k. Landes-Regierung
Krakau am 13. November 1854.

Der Landespräsident
Franz Graf Mercandin m. p.

Obwieszczenie.

Forma znaku poszukiwania (Schurfzeichen) którym wedle przepisów §. 24 i 25 powszechnej ustawy kopalnianej, każdy upoważniony do poszukiwania, w przeciągu trzech dni po otrzymaniu przez C. K. Władzę kopalnianą potwierdzeniu o doniesieniu jego poszukiwania, dni do poszukiwania dozwolone oznaczyć i o ustawieniu jego, Władzy politycznej doniesienie uczynić ma, ustanawia się dla Obwodu rządowego Krakowskiego w sposób następujący:

Wspomniany znak poszukiwania składa się z tablicy blaszanej 11 cali wiedeńskich szerokości 16 cali długości mającej, w 8 równych 4" 8" odmierzonych kątów, dobrze pobielanej lub pocynkowanej, białą farbą pokostową pomalowanej, na której mieści się napis literami „lapidar“ zwanemi w kolorze niebieskim



Z

roku 185 Nr.

który na palu drzewianym 9 stóp nad powierzchnią ziemi wysokim, gwoźdźmi przymocowany być ma.

Dla osiągnięcia jednostajności powyższych znaków, poruczonemu zostanie sprawienie ich pewnemu rzemieślnikowi w stanowisku i pod kontrolą Władzy kopalnianej.

Co niniejszemu do powszechnej podaje się wiadomości.

Z C. K. Rządu krajowego
Kraków dnia 13 Listopada 1854 r.

Prezydent C. K. Rządu krajowego
Franciszek Hrabia Mercandin.

najciekawszym jest most żelazny, wykonany na zamówienie Rady Administracyjnej Wolnego Miasta Krakowa. Most ów zamówiono w 1843 roku i miał łączyć Kraków z dzielnicą Podgórze. Zlecenie wykonano w latach 1850–1851. Poza tym, Zakłady wyrabiały sztaby, gwoździe, kraty i krzyże. Poza hutą kuźniczą ważną była też huta w Jaworzynie. Przy intensywnej eksploatacji złoża uległy szybkiemu wyczerpaniu i kopalnie rud żelaza w zasadzie zakończyły pracę w 1876 r., aczkolwiek poszukiwania prowadzono jeszcze po 1880 r. Ważne również było to, że na potrzeby eksploatacji i przetopu (stemplowanie kopalń, węgiel drzewny) wycięto olbrzymie połacie lasów tatrzańskich. Upadek hut w Kuźnicach związany był z jednej strony z wyczerpywaniem się zasobów, z drugiej zaś z coraz większą konkurencją tańszego surowca z innych rejonów kraju oraz z zagranicy. W związku z wyczerpaniem rud właściciele huty kuźniczej – przynajmniej w pierwszej – sprowadzali do przetopu obcy surowiec, później jednak i to przestało się opłacać. Gdy Władysław hr. Zamoyski kupował dobra kuźnicze na licytacji w 1889 r., do dóbr należało już tylko pięć pól górniczych w rejonie Kopy Magury, po jednym na Ornaku i Tomanowej.

Jak podaje A. Paulo ogólne roczne wydobycie rud żelaza w Tatrach nie przekraczało dwóch tysięcy ton, przy czym w sumie wydobyto ich około 100 000 ton.

Na zakończenie warto wspomnieć o mało znanym fakcie istnienia również górnictwa manganowego. Metal ten występuje w Tatrach w postaci węglanów i tlenków. Jego wydobycie nie odegrało jednak żadnej roli gospodarczej; eksploatacja nie rozwinęła się ze względu na znikome zasoby. Pozostałości górnictwa manganowego to siedem sztolni nad Doliną Huciańską, w masywie Klinowej Czuby. Sztolnie te nietrudno odnaleźć i dzisiaj; są one żywym świadectwem bogatej historii tatrzańskiej.

Piśmiennictwo

1. Gawęł A.: Itinerarium po śladach robót górniczych w „Srebrnych Górach” w Tatrach Zachodnich, Prace Muzeum Ziemi, 1966, 8, 7–26.
2. Jach R.: Stare sztolnie górnicze na Huciańskich Klinach, Materiały 34 Sympozjum Speleologicznego, Kościelisko 2000, 9–11.
3. Jost H.: O górnictwie i hutnictwie w Tatrach Polskich, Wyd. Naukowo-Techniczne, Warszawa 1962.
4. Liberak M.A.: Górnictwo i hutnictwo w Tatrach Polskich, Wierchy 1927, 5.
5. Klimaszewski M.: Geologia dynamiczna, wyd. V, Wyd. Geolog., Warszawa 1979.
6. Paulo A.: Tatrzańskie złoża kopalin, Przegląd Geologiczny, 1971, 7, 396–399.
7. Zapalski M.K.: O wczesnej historii górnictwa kruszcowego w Tatrach Polskich, Pamiętnik PTT, 1999, 8, 11–16.
8. Zwoliński S.: „Materiały archiwalne dotyczące górnictwa i hutnictwa po polskiej stronie Tatr”, W: Studia z dziejów górnictwa i hutnictwa. Zakład Narodowy Im. Ossolińskich. PAN, Wrocław, 1970, 14, 17–24.

V

Tatrzańskie Ochotnicze Pogotowie Ratunkowe

Piotr Jasiński



CZARNY TYDZIEŃ W POLSKICH GÓRACH

Piotr Jasiński

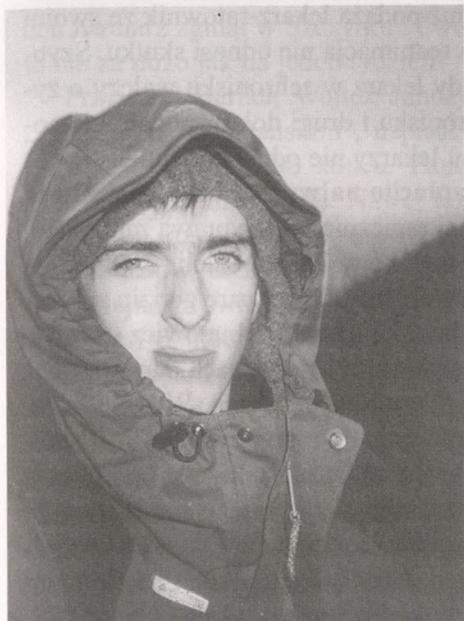
Ostatni tydzień 2001 roku spędziłem w schronisku na Polanie Chochołowskiej w Tatrach. Jak zwykle – na dyżurze. Pierwszego poranka, po przekazaniu komunikatu pogodowego wybrałem się na „fokach” do doliny Wyżniej Chochołowskiej. Poranny krótki rekonesans narciarski początkowo miałem zakończyć na granicy lasu. Przejasnienia na niebie zachęciły mnie do dalszej wycieczki, chciałem poznać warunki panujące w terenie i na otaczających schronisko graniach. Znajomość aktualnych warunków to podstawowy obowiązek dyżurnego ratownika. Pamiętam, jak śp. Romek Hoły (emerytowany ratownik zawodowy) mawiał: *Jak idziesz zimą na dyżur do schroniska to zaraz musisz rozeznaczyć się w warunkach jakie panują w twoim zasięgu*. Stwierdziłem więc miejscami nawiany puch, miejscami bardzo twardy gips a na zboczach nawietrznych zmrożone trawy. Taka sytuacja występuje wtedy, kiedy śnieg pada z wiatrem. W niektórych miejscach śniegu było przeszło dwa metry. Na grani właściwie nic nie było widać, w dalszym ciągu padał śnieg, silny wiatr i mglisto, czyli zamieć. Twarde nawisy tworzyły się w miejscach, gdzie wydawało się to niemożliwe. Zawróciłem, odkleiłem foki i zjechałem swoimi śladami w dół. Po kilkunastu minutach moje ślady były zupełnie zawiane. Już przekonałem się, że warunki do uprawiania zimowej turystyki są niedobre. Wysłałem komunikat o III stopniu zagrożenia lawinowego. W schronisku zjadłem spóźnione śniadanie w towarzystwie Józka Krzeptowskiego – kierownika schroniska. Ostatni raz spotkaliśmy się nocą w okolicach Trzydniowiańskiego Wierchu w czasie wyprawy po zagubioną turystkę. Józek przyszedł ze schroniska, a my dojechaliliśmy z Centrali w Zakopanem. Wymieniliśmy uwagi na temat panujących warunków w górach. *Niech jeszcze popada do, a będzie bardzo niebezpiecznie* – stwierdził Józek. On wiedział, co mówi: od dziecka wychowywał się w Pięciu Stawach, gdzie „gazdowali” jego rodzice, a potem sam prowadził przez kilkanaście lat to schronisko.

Telewizyjne wiadomości informują o tragicznym wypadku narciarskim, jaki **miał** miejsce w Szczyrku. Narciarz na trasie zjazdowej uderzył głową w drzewo, **uraz okazał się śmiertelny**.

Po południu słyszę w radiotelefonic głoś Naczelnika, który polecił jednemu z dyżurnych na Kasprowym Wierchu zjechać w rejon Zielonego Stawu. Zeszła **tam** ponoć lawina porywając ludzi. Obawy i przypuszczenia potwierdziły się. Sześcioosobowa grupa narciarzy powzięła zamiar zjechania z Beskidu na stronę kotła Gąsienicowego. Jak postanowili tak i zrobili. Przy okazji podcięli deskę śnieżną, która spowodowała sporych rozmiarów lawinę. W efekcie dwie osoby **znalazły się** w zakopiańskim szpitalu. Reszta może mówić o dużym szczęściu.

Wieczorem przez radio wołają z Centrali, że w rejonie Chochołowskiej poszukiwana jest dwójka turystów. Muszę sprawdzić czy takie osoby były zameldowane w schronisku, **może** wpisały się do książki wyjść. Niestety nie ma zapisu. Recepcjonistka powiedziała mi, że poszukiwani spali poprzedniej nocy, ale wczoraj rano opuścili schronisko. Spotkałem jedynie osoby, które z poszukiwanymi dzielili pokój. Turyści ci widzieli poprzedniego dnia przed południem poszukiwaną dwójkę między Grzesiem a Rakoniem, planowali oni przejście grani Tatr Zachodnich. Rodzina **zaniepokojona** brakiem wiadomości od nich od dwóch dni powiadomiła TOPR. Żadnych innych śladów. Zyskuję w miarę dokładny opis poszukiwanych, który przekazuję do Zakopanego. W książce wyjść nie znajduję ich wpisu. W nocy spadło kilkanaście centymetrów świeżego śniegu. Następnego ranka jak zwykle podaję komunikat i prognozę stopnia zagrożenia lawinowego. Przy okazji otrzymuję polecenie, aby szykować się na akcję poszukiwawczą. Z Zakopanego wyrusza kilkunastu kolegów, do których mam dołączyć. Niestety, nasz śmigłowiec Sokół jest zepsuty i nie można przeprowadzić obserwacji terenu z powietrza. Pogoda nie jest najlepsza. Pozostaje tradycyjny sposób poszukiwań – *per pedes*. W torowaniu zmieniamy się, od wczoraj przybyło sporo śniegu. W niektórych miejscach jest go naprawdę bardzo dużo. Naszą grupą kieruje Romek Szadkowski, instruktor ratownictwa o dużym doświadczeniu. Wychodzimy na ramię Rakonia skąd jest widok na całe Dziurawe i kocioł pod Wołowcem. Przepatrywanie lornetą nie wnosi nic nowego. Żleby omijamy z daleka ze względu na zbyt duże zagrożenie lawinami, czekają tylko na zachwianie i tak wątpliwej stabilności. Poszukiwania w kotle są zbyt ryzykowne.

Równocześnie z naszych radioodbiorników dowiadujemy się o zejściu lawiny w Pięciu Stawach. Na razie żadnych szczegółów. Po chwili poinformowano, że dwie osoby znalazły się pod lawiną. Na dole, w Centrali, w Zakopanem, organizuje się wyprawa. Dyżurny ratownik w Stawach podąża z kolegą ze schroniska w kierunku Szpiglasowej Przełęczy. Pogoda w Stawach nie jest dobra, ściągnięty ze Straży Granicznej śmigłowiec poleci w razie poprawy pogody. Po trzydziestu minutach wyrusza z Centrali wyprawa. To jest kolejna ekipa. Nasze poszukiwania w rejonie Chochołowskiej zostają przerwane, w tych warunkach trudno kogoś znaleźć. Z Zakopanego wyjeżdża samochód po ratowników. Wracam do schroniska. Pozostaje mi nasłuchiwać radiotelefonu, by śledzić bieg wydarzeń.



Bartek Olszański.
Fot. archiwum rodzinne



Marek Łabunowicz „Maja”.
Fot. archiwum rodzinne

Po godzinie i trzech kwadransach słyszę, że ratownik dyżurny ze Stawów trafia sondą na pierwszego poszukiwanego; odkopanie i natychmiastowa reanimacja. Niestety, nie przynosi ona skutku. Po czterdziestu minutach natrafiono na kolejną ofiarę, błyskawiczna reanimacja również nie przywraca oznak życia. Nie ma jeszcze lekarza, który mógłby autorytatywnie stwierdzić zgon, należy się spieszyć. W czasie szkoleń podawano nam wielokrotnie przykłady osób po dużych wychłodzeniach, które w wyniku ogrzania i zabiegów lekarskich odzyskiwały czynności i funkcje życiowe. W tym czasie docierają do schroniska w Pięciu Stawach ratownicy z Zakopanego. Około godziny siedemnastej pierwsza grupa ratowników znajduje się w rejonie lawiniska. Mają zająć się transportem ofiar. W pewnym momencie czują, że pęka pod nimi śnieg i zostają porwani przez lawinę. Jest ciemno, błyskają czołówki, utrudniona orientacja, jeszcze przed chwilą byli razem, teraz każdy sam na sam walczy ze śniegiem, który po chwili zastęga. Wszyscy zostali wciągnięci w zwały śniegu, na szczęście niektórzy zdołali utrzymać na powierzchni głowy i ręce. Ci pierwsi uwalniają się ze śniegu. Obok wystaje noga jednego z kolegów. Błyskawiczna akcja, odkopanie i reanimacja, która przywraca oddech i świadomość. Na wieść o tym wydarzeniu kolejna grupa ratowników, która doszła do schroniska natychmiast wychodzi w teren, a na dole organizowana jest następna. Kolejni zasypani ułatwiają sobie dopływ powietrza i czekają na pomoc kolegów. Nie ma Bartka i Maji. W ruch idą „Barryvoxy” i sondy. Trwa walka z czasem aby jak najszybciej dotrzeć do kolegów. Znalezieni Bartek i Marek byli około dwóch metrów pod śniegiem, to nie wróży niczego dobrego. Trwa ich reanimacja. Marek „Maja” odzyskuje słabo wyczuwalne tętno, pakiety grzewcze

i szybki transport do schroniska, do którego już podąża lekarz-ratownik ze swoim zapleczem. Inni walczą o życie Bartka, długa reanimacja nie odnosi skutku. Szybki transport na Wielki Staw. W tym czasie gdy lekarz w schronisku walczy o życie Marka, koledzy z Bartkiem są już w schronisku i drugi doktor podejmuje ponowną próbę reanimacji. Niestety wysiłki obu lekarzy nie odnoszą skutków.

Dwóch naszych Kolegów i Przyjaciół zapłaciło najwyższą cenę, jaką może zapłacić ratownik. Po północy kończy się najtragiczniejsza wyprawa minionego roku, w której brało udział czterdziestu ratowników. Tej niedzieli, 30 grudnia 2001 r. w Pięciu Stawach zginęło w lawinie dwoje turystów, a parę godzin później dwóch ratowników – Bartłomiej Olszański, lat 25 i Marek Łabunowicz „Maja”, lat 29. Każdy z nich uczestniczył w przeszło pięćdziesięciu wyprawach ratunkowych.

Również w tym czasie rozegrała się tragedia w Karkonoszach. W kotle Łomniczki, nastąpiło oberwanie się nawisu i zejście sporych rozmiarów lawiny. Ratownicy prowadzili wieloosobową akcję ratunkową, która poszukiwała pod lawiną ski-alpinisty. Siostra poszukiwanego sama wydostała się ze śniegu i zawiadomiła służby ratownicze. W zwałach śniegu zginął Jacek Mierzejewski – przewodniczący Sekcji Narciarstwa Wysokogórskiego PZA, który polski ski-alpinizm wprowadził do międzynarodowych struktur. W październiku był delegatem PZA na zebraniu plenarnym International Council for Ski Mountaineering Competition, na którym zostaliśmy przyjęci do grona członków ISMC. To piąta ofiara Gór w dzisiejszym dniu!!!

Sylwester – ostatni dzień roku – dla większości czas wyśmienitej zabawy i hucznego witania Nowego Roku minął nam w minorowych nastrojach. W schronisku na Chochołowskiej wieczór ten przerwaliśmy minutą ciszy.

Nowy Rok, godzina 10 rano. Wznawiamy poszukiwania wspomnianej dwójki turystów w rejonie Chochołowskiej, śnieg dalej pada. Kierownik poszukiwań Romek Kubin, uczestnik wielu setek wypraw ratunkowych, najlepszy grotolaz w Pogotowiu, sprawdza wszystkim uczestnikom poprawność działania „pipsów” i wyznacza marszruty. Tym razem z Tomkiem Wojciechowskim idziemy do Doliny Jarzabczej. Ostoja spokoju. Roman co jakiś czas wywołuje nas radiem. Dochodzimy do miejsca, z którego obserwujemy Niską Przełęcz – żadnych śladów nie widać, jedynie w żlebach widoczne są tory po większych lub mniejszych lawinach. Warunki panujące na grani spędziły do schroniska parę zespołów, niektórym wiatr porozrywał namioty. W czasie dzisiejszych poszukiwań koledzy zauważyli sporych rozmiarów obrywy nawisów między Grzesiem a Rakoniem. Teren niby łatwy, ale może być również zdradliwy, tym bardziej, że usypia czujność. Poprawa pogody w następnych dniach umożliwiła użycie śmigłowca, ale i to nie przyniosło oczekiwanych rezultatów¹.

Był to chyba najgorszy tydzień minionego roku w górach. W lawinach zginęło dwóch turystów i jeden ski-alpinista, dwóch ratowników spotkał ten sam los, je-

¹ 17 maja 2002 r. w czasie wielkiej polsko-słowackiej akcji poszukiwawczej ratownicy słowaccy natrafili w górnej części Doliny Łatanej na zwłoki dwójga młodych turystów z Warszawy, zaginionych 30 grudnia ub. roku. Spadli prawdopodobnie 250 metrów z lawiną.

den narciarz zginął w Szczyrku i dwie osoby zaginęły w Tatrach Zachodnich. Czy to nie za dużo jak na jeden tydzień?

Przyjaciel Bartka, Wojtek Jończyk zamieszczając nekrolog w zakopiańskim „Tygodniku Podhalańskim”, napisał: *Ratowanie ludzi w Tatrach było dla niego sposobem na życie do końca*. Pamiętam Dzień Ratownika, w którym Bartek składał swoje ślubowanie. Nawet tego dnia nie mógł spędzić w gronie kolegów, poszedł od razu na wyprawę w rejon Czerwonych Wierchów. Jest u nas taki zwyczaj, że jeśli w takim dniu coś w górach się wydarzy, to na wyprawę idą w pierwszej kolejności świeżo upieczeni ratownicy. Pamiętam początek grudnia, jak umawiali się i planowali wspólny dyżur, w czasie którego Bartek chciał zgłębić na skrzypcach tajniki czardaszy węgierskich, Maja miał podzielić się swoją bogatą wiedzą. Razem poszli na wieczny dyżur...

Różne myśli przychodzą do głowy. Najczęściej pytamy, dlaczego czyjaś niefrasobliwość czy nieroztropność ma takie tragiczne następstwa i konsekwencje? Czy tak musiało być? Czasem mówimy o głupocie tych, którzy w tak złych warunkach wybrali się w góry. Może przyczyną jest za mała wyobraźnia lub jej brak? Nie do nas jednak należy ocenianie ludzi, którym udzielamy pomocy. Wydaje się prawie pewnym, że każdy opuszczający rano schronisko liczy na szczęśliwy powrót do niego wieczorem. Może czasem zapomina o tym, że trzeba zawrócić, jeśli warunki okażą się zbyt trudne a pogoda nie sprzyjająca. To żadna ujmą na honorze, a wręcz przeciwnie jest to wyraz dojrzałości.

Jeśli ktoś przez prawie cały rok układa sobie w głowie program parodniowego wypoczynku w Tatrach, to tylko wyjątkowy kataklizm jest w stanie pokrzyżować takie plany. Młodość to okres, w którym lekceważy się wszelkie pouczenia, zakazy, nakazy. Szacunek i pokorę do gór można mierzyć ilością zdartych w nich butów. Zawodowi ratownicy, będący cały czas na miejscu, ostrzegają i pouczają, jak należy zachować się w terenie. My – ochotnicy – wspieramy ich działania z większym lub mniejszym skutkiem.

W razie złych warunków nie zabraniamy wyjścia w góry, tego robić nam nie wolno, jedynie odradzamy i przestrzegamy. Ale *bez względu na porę dnia i stan pogody* – jak mówią słowa przysięgi – musimy udać się w góry, jeśli ktoś oczekuje pomocy. Każdy z nas dobrowolnie ją składał i podpisywał. To jest dla nas oczywiste. Z organizowaniem wyprawy nie czeka się do rana, jak trzeba idzie się w nocy, nie czeka się kiedy przestanie padać. Inaczej wygląda sytuacja w przypadku zagrożenia lawinowego, to nie pora dnia i warunki pogodowe, to coś znacznie poważniejszego! Tu każda decyzja w zależności od sytuacji może zostać uznana za złą. Tym bardziej, kiedy sytuacja nie jest do końca przewidywalna, a granice między stopniami zagrożenia lawinowego nie są stałe. Myślę, że wprowadzenie stosownych przepisów określających, przy jakim stopniu zagrożenia można prowadzić działania ratownicze w górach, byłoby pewnym rozwiązaniem. Ale czy dzięki temu odpowiedzialni za wyprawy nie będą pozbawieni wewnętrznych dylematów? Tego nie wiem. Wiem natomiast, że wyprawy są prowadzone i kierowane przez najlepszych i najbardziej doświadczonych zawodowych ratowników – instruktorów ratownictwa, a decyzje podejmowane przez nich są wynikiem aktualnej

oceny sytuacji w danym miejscu, rozważenia za i przeciw, zawsze mają na celu dobro poszkodowanego, przy pełnej trosce o ratowników. Jednego jestem pewien, że góry, zima i ludzie to nie matematyka, gdzie $2 \times 2 = 4$. Po pamiętnym grudniowym dniu wiele osób publicznie wypowiadało swe sądy, opinie i poglądy. W większości dyskusje były oderwane od rzeczywistości i można było wyczuć brak znajomości tematu do końca. Nie należy ferować sądów, oceniać sytuacji i wypowiadać się z perspektywy domowych pieleszy. Dywagacje niczego nie zmieniają, a jedynie mogą prowadzić do niewłaściwych ocen.

Jesteśmy ochotnikami i w sposób świadomy podchodzimy do istniejącego ryzyka, często pokonując paraliżujący nas strach.

W tym roku ukazało się wznowienie książki Michała Jagiełły, ratownika TOPR i byłego Naczelnika Pogotowia pt. „Wołanie w górach”. To lektura dla każdego, a szczególnie wskazana dla naszych dorastających pociech. Niech nie pozostaje bez echa w świadomości czytającego, bo może przyczynić się do tego, że w porę zawrócimy, nie kusząc losu... jakże czasem bezwzględne.

VI Kronika PTT

ROK 2001 W PTT

DZIAŁALNOŚĆ ZARZĄDU GŁÓWNEGO



ROK 2001 W PTT

DZIAŁALNOŚĆ ZARZĄDU GŁÓWNEGO

Barbara Morawska-Nowak

Rok 2001 upłynął w PTT na przygotowaniu V Zjazdu Delegatów PTT, który odbył się 11 listopada 2001 roku w siedzibie TPN w Zakopanem.

Organizacja Zjazdu była głównym wątkiem odbytych trzech posiedzeń Zarządu Głównego (w Krynicy 13.01, na Młodej Horze 19.05 i w przeddzień Zjazdu w Zakopanem 10.11). Odbyto także trzy posiedzenia Prezydium (31.03, 26.08 i 28.10).

Trwały prace nad przygotowaniem zmian w Statucie pod kierunkiem wiceprezesa Jana Weigla. Aktywnie włączył się w nie Prezes Krzysztof Kabat proponując zmiany w kierunku usprawnienia zarządzania Towarzystwem poprzez zwiększenie uprawnień Prezydium i Prezesa.

W oddziałach Towarzystwa toczyła się kampania sprawozdawczo-wyborcza. W związku z porządkowaniem spraw członkowskich na posiedzeniu Zarządu Głównego PTT 19 maja 2001 r. podjęto uchwałę o skreśleniu z rejestru oddziałów w Brzegu, Gdańsku i Wieluniu zalegających ponad dwa lata z odpisami od składek, nie kontaktujących się z Zarządem Głównym i nie przejawiających działalności.

Na tym samym posiedzeniu podjęto także uchwałę akceptującą samorozwiązanie się Oddziału Sudeckiego PTT we Wrocławiu.

ODZNAKA ORGANIZACYJNA I NAZWA PTT

Otrzymano decyzję Naczelnego Sądu Administracyjnego z 3 kwietnia 2001 r. o umorzeniu postępowania sądowego w sprawie odznaki. Wynikało z tego, że nabyte prawo do używania odznaki zostało utrzymane.

W lipcu 2001 r. Zarząd Główny PTT skierował do Urzędu Patentowego RP pismo w sprawie unieważnienia prawa rejestracji znaku towarowego słowno-graficznego „POL. TOW. TATRZAŃSKIE 1873” zarejestrowanego pod numerem 101381 na rzecz ZG PTTK. Na dziś brak informacji o toku tej sprawy.

Dalszymi znaczącymi w roku 2001 wydarzeniami były konferencja „Turystyka a ochrona przyrody i krajobrazu Tatr”, oraz II Dni Gór PTT połączone ze spotkaniem ogólnopolskim zorganizowane przez Oddział PTT Bieszczadnik w Jarosławiu.

KONFERENCJA „TURYSTYKA A OCHRONA PRZYRODY I KRAJOBRAZU TATR”

została zorganizowana po raz trzeci 28 kwietnia 2001 r. w Collegium Novum UJ. W Konferencji wzięli udział i wypowiadali się na temat aktualnej sytuacji TPN dyr. Wojciech Gąsienica-Byrcyn, dyr. Stanisław Czubernat i dr Zbigniew Krzan. Wystąpiła także m.in. pani Bożena Kotońska, Wojewódzki Konserwator Przyrody.

II DNI GÓR PTT

zostały zorganizowane w Jarosławiu i Heluszu w dniach 13–16 września 2001 r. Ukierunkowane były na Bieszczady i Pogórze Przemyskie. Patronat nad Dniami Gór objął ks. prałat Andrzej Surowiec, proboszcz parafii pw. Chrystusa Króla w Jarosławiu oraz Starostwo Powiatowe. Do organizacji imprezy Oddział zaprosił Bieszczadzki Park Narodowy, Grupę Bieszczadzką GOPR i Koło Przewodników Turystycznych w Jarosławiu, którego przewodnicy prowadzili wycieczki.

13 września wieczorem odbyło się otwarcie wystawy ikon prezesa Krzysztofa Kabata połączone z recitalem śpiewanej poezji religijnej w jego wykonaniu.

14 września odbyły się dwie wycieczki: w Bieszczady na trasie Wołosate – Tarnica – Bukowe Berdo – Muczne i autokarowa, przyrodniczo-historyczna – do Bolestraszy i Kalwarii Paławskiej.

15 września odbyła się w Jarosławiu sesja popularno-naukowa poświęcona Bieszczadom; niektóre wystąpienia oraz artykuły związane tematycznie publikujemy w osobnym dziale bieżącego, X tomu Pamiętnika PTT. Prelekcjom towarzyszyły pokazy sprzętu ratowniczego Bieszczadzkiej Grupy GOPR i dwie wystawy fotograficzne: „Bieszczadzkie pejzaże” i „Cerkwie karpackie” zorganizowane przez Oddział Karpacki PTT z Łodzi. Młodzież z Oddziału PTT w Jarosławiu wystąpiła z programem tanecznym. Wieczorem w Heluszu, gdzie nocowaliśmy, odbyło się ognisko.

16 września, po Mszy św. w goszczącej nas parafii pw. Chrystusa Króla w Jarosławiu i zwiedzaniu miasta, odbyło się pożegnalne spotkanie połączone z rozdaniem pamiątek. Ugostzeni na koniec obiadem rozjechaliśmy się.

Podkreślić należy bardzo dobrą organizację imprezy i ogromne zaangażowanie młodzieży.

DZIAŁANIA NA RZECZ OCHRONY PRZYRODY

Występowaliśmy do Ministra, Premiera i Prezydenta przeciwko zamiarom ministra Antoniego Tokarczuka. prowadzącym do odwołania Dyrektora TPN dr Woj-

ciecha Gąsienicy-Byrcyna, będącego gwarantem ochrony Tatr. Wbrew opinii Państwowej Rady Ochrony Przyrody i mimo bardzo wielu wystąpień ze strony wielu instytucji, organizacji, mediów i osób prywatnych, Dyrektor został odwołany. Na koniec mogliśmy jedynie wyrazić Mu najwyższe uznanie występując do Zjazdu z wnioskiem o nadanie członkostwa honorowego PTT.

Podpisywaliśmy także rozmaite apele do władz inicjowane przez inne organizacje ekologiczne lub upowszechnialiśmy sprawy zagrożeń przyrody na łamach „Co słyszeć?” (np. projekty budowy autostrady przez Biebrzański Park Narodowy czy rurociągu jamalskiego przez tereny Bieszczad i Beskidu Niskiego, w sprawie zdymisjonowania ministra Tokarczuka, a nawet ostatnio przeciw budowie rurociągu w Ekwadorze przez Puszcę Amazońską i Andy).

Braliśmy aktywny udział w spotkaniach Koalicji „Ratujmy Karpaty”.

3 MAJA 2001 R. DR ZOFIA RADWAŃSKA-PARYSKA, CZŁONEK HONOROWY PTT, UKOŃCZYŁA 100 LAT

Wystosowano list gratulacyjny do Jubilatki, podpisany przez członków Oddziału PTT w Krakowie oraz obecnych na Konferencji „Turystyka a ochrona przyrody i krajobrazu Tatr”. Niestety, Zofia Radwańska-Paryska zmarła 24 października 2001 r. i została pochowana obok swego męża Witolda na Cmentarzu Zasłużonych na Pęksowym Brzyzku. W uroczystym pogrzebie wzięła udział delegacja PTT.

WYJAZD KOMISJI WYPRAW PTT – DOLOMITY 22.06–15.07.2001

Wyprawę zorganizował i poprowadził Czesław Klimczyk jako przewodniczący Komisji Wypraw Zarządu Głównego Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego. W wyjeździe uczestniczyły dwa zespoły z Oddziału PTT Bieszczadnik w Jarosławiu. Grupę pierwszą, przeszło trzytygodniową, sportowo-alpinistyczną tworzyli: Czesław Klimczyk, Norbert Korfanty, Dariusz Piątek, Rafał Dryś, Wojciech Mróz i Rafał Hudycz. W skład grupy drugiej, jednotygodniowej, krajoznawczo-turystycznej wchodził: ks. Adam Wąsik, ks. Piotr Lechowicz, Piotr Kinasz, Katarzyna Koral, Justyna Nowak, Edyta Rogula, Wiktoria Kamińska, Agata Boryło, Marta Jaroni.

Wcześniejszy powrót zespołu krajoznawczego okazał się tragiczny; samochód prowadzony przez ks. Piotra Lechowicza został staranowany na autostradzie przez pojazd ciężarowy. Śmierć poniósł ks. Piotr, a trzech uczestników zostało rannych. Po otrzymaniu tej przykrej wiadomości na obozowisku w Dolomitach, podjąłem decyzję o kontynuowaniu działalności sportowej. Program wyprawy został zrealizowany ku satysfakcji jej uczestników. Wyjazd był wymieniony dzięki doskonałemu zespołowi młodych adeptów wspinaczki górskiej. Oby kapitał ludzki zdobyty na szkoleniach skałkowych i sprawdzony w Dolomitach zaprocentował w wyjazdach w góry wyższe.

Bojowo nastawiona młoda ekipa odwiedziła następujące grupy Dolomitów: 1) Sassolungo, 2) Catinaccio, 3) Sella, 4) Marmolada, 5) Civetta, 6) Trecime. Pro-

wadząc w nich działalność górską przeszliśmy kilkanaście ferrat, a najwyższy szczyt Dolomitów został osiągnięty drogą alpinistyczną. Pewną komplikacją było wyjątkowo duże zaśnieżenie.

Dojechawszy szczęśliwie do kraju w godzinach wieczornych uczestnicy na wspólnym spotkaniu zakończyli wyprawę. Jako owoc wyjazdu posiadamy 200 barwnych przeźroczy i około 400 kolorowych zdjęć formatu 10 x 15 cm, których autorami są wszyscy uczestnicy grupy.

Przed wyprawą uczestnicy przeszli cykl szkoleń zimowych i letnich w Tatrach i w dol. Kobylańskiej pod kierunkiem kol. Klimczyka.



Czesław Klimczyk w przejściu nawisu śnieżnego na grani Marmolady (3342 m).
Fot. W. Mróz



W północnej ścianie Marmolady: Rafał Hudycz, Czesław Klimczyk, Rafał Dryś.
Fot. W. Mróz

WYDAWNICTWA PTT

Regularnie co miesiąc ukazywał się informator Zarządu Głównego PTT „Co słychać?”.

We wrześniu ukazał się Tom IX Pamiętnika PTT. W związku z wyjazdem na stypendium zagraniczne kol. Michała Ronikiera, do Redakcji Pamiętnika został dokooptowany kol. Stanisław Janocha z Warszawy.

W roku 2001 dokonano aktualizacji strony internetowej ZG PTT. Stronę prowadzili członkowie Koła PTT w Myślenicach pod kierunkiem kol. Michała Myśliwca.

MAŁOPOLSKA ORGANIZACJA TURYSTYKI

Polskie Towarzystwo Tatrzańskie zostało przyjęte do Małopolskiej Organizacji Turystyki i jest tam reprezentowane przez kolegów Antoniego Leona Dawidowicza z Krakowa i Macieja Zarembę z Nowego Sącza.

INNE WYDARZENIA O ZNACZENIU OGÓLNYM

- Po raz pierwszy Polskie Towarzystwo Tatrzańskie – Koło Przewodników przy Oddziale PTT Beskid w Nowym Sączu – było organizatorem XVII Ogólnopolskiej Pielgrzymki Przewodników Turystycznych na Jasną Górę, w dniach 9–11 marca 2001 r.
- 13 kwietnia 2001 r., już po raz drugi, Oddział PTT MKG „Carpatia” w Mielcu organizował Wielkopiątkową Drogę Krzyżową na Mogielicę.
- Polskie Towarzystwo Tatrzańskie wzięło udział w obchodach 60 rocznicy śmierci gen. Mariusza Zaruskiego – 7 kwietnia w Gdyni i 23 czerwca 2001 r. w Zakopanem, gdzie na ścianie kościoła pw. św. Krzyża została odsłonięta tablica pamiątkowa poświęcona pamięci Generała.
- 18 lipca 2001 r. PTT wzięło udział w otwarciu wystawy „Tkaniny Marii Bujakowej” w Galerii Sztuki im. Włodzimierza i Jerzego Kulczyckich na Kozłcu, w Zakopanem.
- 13 października 2001 r. Oddział Podhalański PTT był współorganizatorem I Rajdu Szlakami ks. prof. Józefa Tischnera na Turbacz. W schronisku na Turbaczcu została odsłonięta pamiątkowa tablica poświęcona pamięci Księdza Profesora.

STARA SZKOŁA NA CHEŁMIE

8 marca 2001 r. podpisano wreszcie protokół zdawczo-odbiorczy zwracający Starą Szkołę na Chełmie Urzędowi Miasta i Gminy w Myślenicach, który pieczętował naszą nieudaną próbę pozyskania własnej bazy terenowej.

PO V ZJEŹDZIE DELEGATÓW TOWARZYSTWA:

- Podjęto starania o uzyskanie lokalu dla Towarzystwa.
- Zbierano dane do rejestracji Towarzystwa w Krajowym Rejestrze Sądowym.
- Zatrudniono panią Marię Godyń, prowadząca sprawy finansowe dla Związku Harcerstwa Rzeczypospolitej do prowadzenia księgowości Towarzystwa
- Kol. Jerzy Leszek Zalasinski wziął udział w konferencji dotyczącej dostosowania prawa ekologicznego do wymogów Unii Europejskiej.
- Odbyło się jedno posiedzenie Prezydium (22.12).



V ZJAZD DELEGATÓW POLSKIEGO TOWARZYSTWA TATRZAŃSKIEGO ZAKOPANE, 10 LISTOPADA 2001

Barbara Morawska-Nowak

OTWARCIE ZJAZDU

Godzina 9.30. To już piąte spotkanie Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego na swym Zjeździe. Sala wypełnia się. Panuje gwar, który cichnie, gdy przebijają się wzmożony mikrofonem, donośny głos Prezesa ustępującego Zarządu Głównego – Krzysztofa Kabata:

Bardzo serdecznie witam Was wszystkich, delegaci, na naszym Zjeździe. Witam również bardzo serdecznie naszych członków, a nie delegatów, przybyłych z różnych stron, bo to jest przede wszystkim nasze święto, najważniejsze, raz na trzy lata. Najserdeczniej witam tych członków, których wybraliśmy jako najgodniej-

szych z naszego grona, a więc przybyłych członków honorowych Towarzystwa w osobie obecnego tutaj prof. Ryszarda Schramma (oklaski), oraz prezesa honorowego Macieja Mischke (oklaski). Pozwólcie, że w Waszym imieniu powitam wśród nas wszystkich przybyłych gości Zjazdu, naszych przyjaciół oraz przedstawicieli mediów.

I tak chciałbym bardzo serdecznie powitać, chociaż tylko formalnie, gospodarza tego obiektu, który użyczył nam tej sali z przyległościami, w osobie pana dyr. Pawła Skawińskiego. Nie ma go jeszcze z nami, ale witamy go już teraz, zaocznie. Witam również tych wszystkich wspierających nas bezpośrednio swoją pracą i działaniem w dniu dzisiejszym pracowników Parku pod wodzą niezastąpionego pana Stanisława Czubernata. Skoro jesteśmy wśród leśników, witam także bardzo serdecznie i bardzo osobiście sprawdzonego przyjaciela i sprzymierzeńca naszego Towarzystwa w osobie pana doktora Wojciecha Gąsienicy-Byrcyna (oklaski).

Następnie posługując się listą gości prezes Kabat powitał:

- Wincentego Cieślewicza, byłego kierownika schroniska na Polanie Chochołowskiej
 - Adama Liberaka, redaktora naczelnego Pamiętników PTT
 - Teresę Jabłońską, dyrektora Muzeum Tatrzańskiego
 - Jerzego Zembrzuskiego z Ligi Ochrony Przyrody
 - Walentego Obrochtę-Bartusia, prezesa Klubu Wspierania Tradycji i Rozwoju Regionu Skalnego Podhala im. S. Witkiewicza
 - Piotra Konopkę, prezesa Polskiego Stowarzyszenia Przewodników Górskich
 - Jerzego Lucjana Woźniaka, poetę
 - Józefa Michlika, kierownika schroniska PTT na Młodej Horze
- i innych członków PTT nie będący delegatami.

Pozwólcie, że zamykając kolejną kadencję wymienię tych kolegów, którzy w czasie trwania kadencji opuścili na zawsze nasze szeregi.

W tym miejscu zostali wymienieni:

- Witold H. Paryski i Zofia Radwańska-Paryska – członkowie honorowi PTT
- Leszek Karbowniczek – wiceprezes Oddziału PTT w Sosnowcu
- Mieczysław Stawiarski – skarbnik Oddziału w Bielsku-Białej i członek Głównej Komisji Rewizyjnej
- ks. Piotr Lechowicz z Jarosławia
- Jerzy Grabowski, Krystyna Heller, Danuta Mischke, Witold Udziela z Oddziału PTT w Krakowie
- Andrzej Wyszogrodzki z Oddziału PTT w Łodzi
- Ryszard Cybulski z Oddziału PTT w Nowym Sączu
- Alina Kaszyn z Oddziału Podhalańskiego PTT
- Witold Laurentowski, Janusz Rachlewicz i Zenon Szymankiewicz z Oddziału PTT w Poznaniu.

...oraz tego, którego niektórzy będą za chwilę żegnać, wspaniałą, wielką postać Zakopanego, pana Stefana Chałubińskiego. Bardzo proszę wszystkich o powstanie i uczczenie naszych zmarłych kolegów minutą ciszy...

W dalszym ciągu swego wystąpienia Prezes Kabat mówił:

Pozwólcie szanowni Państwo, że pozwolę sobie na samym wstępie na kilka osobistych refleksji, refleksji kończącego kadencję Prezesa Zarządu Głównego. Kończy się bowiem kolejna kadencja naszego Towarzystwa, a zarazem druga kadencja mojego zaszczytnego prezesowania... Oczywiście jest rzeczą, że oceny będą bardzo różne, mniej lub bardziej subiektywne. Z niektórych słabości tej kadencji sam zdaję sobie sprawę.

Szkoda jednak, że nie nauczyliśmy się jeszcze do końca rozwiązywać pojawiających problemów czy też słabości... Wówczas można by razem, po przyjacielsku, poprawiać, zmieniać i wychodzić z opresji. Właśnie razem, to znaczy towarzysząc sobie w dobrym i pięknym, jak również i w trudnościach, a nawet w błędach. A tak, niestety, przez przeróżne gierki, komentarze, krytyki z ukrycia, jak to mówimy popularnie, za plecami, w moim odczuciu utraciłem zaufanie i szacunek u niektórych z kolegów z PTT. Zupełnie nie wiem za co i dlaczego. Stało się rzeczą oczywistą, że wobec tak nieczystej sytuacji wokół mojej osoby nie mogę podjąć się ponownego kandydowania w wyborach na prezesa.

Droży Państwo, dlaczego o tym mówię na samym początku obrad naszego Zjazdu. Otóż z tego samego powodu, z jakiego mówiłem o tym samym w tym samym miejscu przed trzema laty. Również powtarzając te prawdy nie raz i nie dwa w czasie trwania moich obydwu kadencji. Uczmy się być razem, być obok siebie. Przypomnę tu założenia ideowe sformułowane przez naszego Prezesa Honorowego, kolegę Macieja Mischke, przed wielu laty: „Uczmy się towarzyszyć sobie”. To nie jest łatwe, ale jest możliwe, wręcz konieczne. Uczmy się chociażby od naszej wspaniałej młodzieży...

Koleżanki i koledzy delegaci! Rozpoczynamy trudny dzień, bez wątpienia mozołnych obrad naszego kolejnego Zjazdu. Jeszcze dzisiejszego wieczoru rozpocznie nową kadencję nasz nowy zarząd i jego prezes. Z tego miejsca proszę Was gorąco, dołożmy wszyscy wszelkich starań, aby był to dzień kolejnego święta PTT, a więc święta przyjaźni, zgody, wzajemnego szacunku, zrozumienia i wyrozumiałości, a wszelkie nasze głosy, wystąpienia, i dyskusje niech w swej merytorycznej poprawności, fachowości i głębi budują nowy obraz naszej organizacji. Jak dobrze wiemy, czasy dla jakiegokolwiek działalności społecznikowskiej są niezwykle trudne. Kiedy jednak słyszę z ust naszej PTT-owskiej młodzieży czy chociażby przewodzącego im kapłana, w osobie księdza Adama z Jarosławia, odpowiedzi na pytanie, dlaczego chcieli zostać członkami naszego Towarzystwa, słyszę prawie tylko jedną odpowiedź: bo czuję się zaszczycony mogąc realizować ideały dawnego Towarzystwa, jego niepisany kodeks honorowy, czerpać z autorytetów ludzi gór, ludzi z klasą i wysoko mierzonym honorem osobistym. A wszystko w szczerej przyjaźni, wspólnym wypoczynku i często zabawie. To również współzawodnictwo, ale i współodpowiedzialność za siebie nawzajem, co bez wątpienia wymaga podnoszenia swoich umiejętności, a co za tym idzie podnoszenia bezpieczeństwa w górach.

Koledzy, jeszcze wątek płynący z tych trudnych czasów: jako urzędujący prezes wielokrotnie i na różne sposoby nawoływałem do łączenia wysiłków wszyst-

kich ruchów i organizacji turystyczno-górskich wyciągając rękę do kolegów nimi zarządzających. Niestety byliśmy czasami oszukiwani, wciągani w jakieś kuriozalne i niepoważne spory czy wręcz pozywani przed sąd. Wspomnę chociażby tylko o niesłychanych zabiegach pewnej grupy działaczy zmierzających do odebrania nam prawa do używania naszej tradycyjnej, przedwojennej odznaki organizacyjnej. Kiedyś osobiście tłumaczyłem redaktorowi jednej z gazet codziennych, że jako PTT nie jestem w konflikcie z nikim i z niczym, jeśli ktoś mnie atakuje, to jeszcze nie oznacza, że jestem z nim w konflikcie, co najwyżej podejmuję obronę. Sam zresztą wywiad udzielony wspomnianej gazecie został poprzekręcany i w efekcie skierowany przeciw nam. Ja i tak nadal pozwolę sobie wierzyć, że nie tędy droga i na pewno do niczego dobrego nikogo z nas nie doprowadzi. Pomimo, iż mój czas dobiegł najwyraźniej końca, pragnę wierzyć, że w działaniach nowego prezesa i zarządu nadal pozostaniemy organizacją, która nigdy nie cofa rąk do zgody i porozumienia, ale też nie pozwoli na jej szkalowanie, obmowy i ataki.

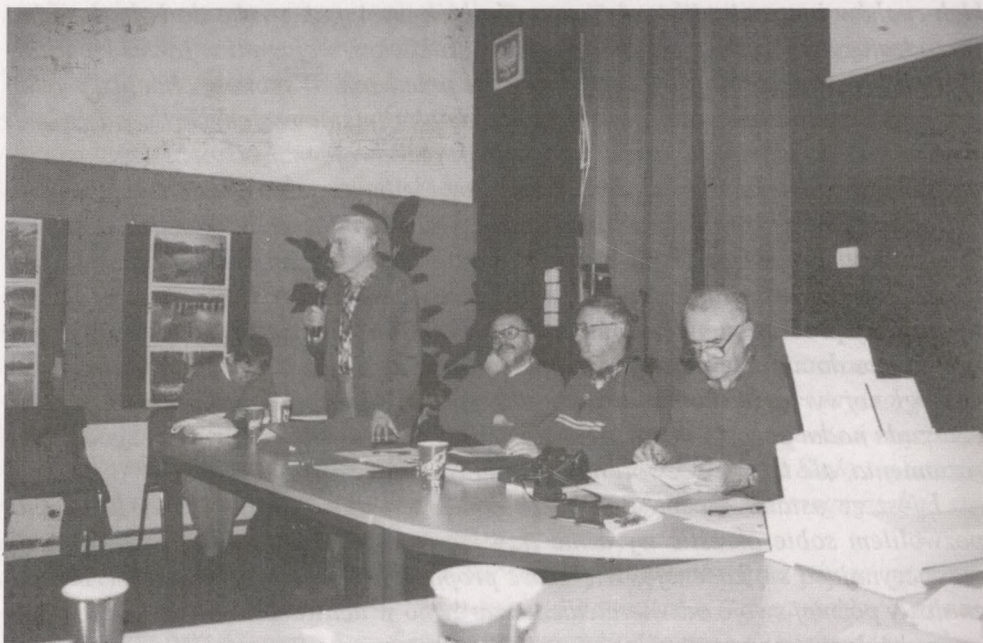
I jeszcze ostatni akcent. Rozpoczynając przed trzema laty obrady IV Zjazdu pozwoliłem sobie określić wyraźnie trzy kierunki działania, jakie widziałem na rozpoczynającą się kadencję. Większość propozycji w poszczególnych kierunkach znalazły później swoje odzwierciedlenie zarówno w uchwałach Zjazdu jak i w dalszym działaniu, a w szczególności zostały rozwinięte i skonkretyzowane we wnioskach na bielskiej konferencji programowej.

Doświadczenia minionego czasu dopisują do tej listy konieczność zmiany systemu zarządzania Towarzystwem. Obecne tempo życia wokół nas wymaga większej sprawności i mobilności w zarządzaniu i szybkich decyzji, co nie jest to zupełnie możliwe siłami 21 członków Zarządu Głównego, który spotyka się trzy razy do roku. Koniecznością wydaje się niezwłoczne dokonanie zmian statutowych zwiększających kompetencję Prezesa oraz Prezydium, a tym samym nieco inną rolę całości Zarządu Głównego. Widzę potrzebę usprawnienia możliwości kontaktów Prezesa z całym składem Zarządu i oddziałami poprzez uruchomienie chociażby w każdym oddziale dostępu członków Zarządu do „e-maili” na serwerze PTT.org.pl. Każdy z nich może też być wyposażony w specjalną aplikację pozwalającą nawet na dokonywanie w razie nagłej potrzeby głosowania w sieci.

Koleżanki i koledzy! Góry, ich przyroda i piękno wymagają od wielu czynników i stron prawdziwego porozumienia i współdziałania. Ochrona górskiego dziedzictwa wymaga jego bezkompromisowych obrońców wspieranych działaniami i sercami społeczników, tych spod znaku PTT-owskiej kozicy.

Życzę wszystkim naszym gościom, aby czuli się wśród nas jak najlepiej i przyjaźnie, dziennikarzom dobrego i wiernego dla nas pióra, a naszym delegatom owocnych i dobrych obrad. Niniejszym, V Zjazd Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego uważam za otwarty. Dziękuję.

O prowadzenie obrad Zjazdu został poproszony Romuald Zaręba z Kalisza, jego zastępcami zostali Tomasz Gawlik z Ostrowca Świętokrzyskiego i Jan Weigel z Bielska. Do Prezydium Zjazdu zostali zaproszeni Ryszard W. Schramm i Stanisław Janocha. Sekretarzami Zjazdu zostali Barbara Morawska-Nowak, Anna



Prezydium Zjazdu. Od lewej: B. Morawska-Nowak, R.W. Schramm (przemawia), T. Gawlik, R. Zaręba, J. Weigel. Fot. S. Janocha



Sala obrad. W pierwszym rzędzie od lewej: T. Kwiatkowski, J. Smolka, Sylwia Siłuszek, N. Mikołajczyk, A. Dawidowicz, S. Trębacz, M. Mischke, W. Cieślewicz. Fot. B. Morawska-Nowak

Machowska z Chrzanowa i Robert Kowalski z Nowego Targu (nagrania). Obsługę komputerową i prezentacją obrad na ekranie prowadził Michał Myśliwiec z Myślenic. Delegaci jednogłośnie zaakceptowali Prezydium Zjazdu.

Obejmując prowadzenie obrad Przewodniczący Zjazdu przypomniał:

Pozwólcie Państwo, że przed przystąpieniem do zadań jakie nam powierzono, podzielę się kilkoma słowami osobistej refleksji. Cytuję z „Co słyszeć?” nr 9–10, które wszyscy Państwo otrzymali: „Biorąc pod uwagę powyższe racje, świadomości moralnej odpowiedzialności za kształt, program oraz pracę dla gór i społeczeństwa polskiego, niniejszą uchwałą:

1. reaktywujemy z dniem 10 października 1981 r. Polskie Towarzystwo Tatrzańskie czując się kontynuatorami pierwszego w Polsce stowarzyszenia turystycznego – Towarzystwa Tatrzańskiego, z jego późniejszą nazwą – Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego, które działało w latach 1873–1950.

I chociaż formalne zatwierdzenie naszego Towarzystwa nastąpiło dopiero w roku 1988, jednak my zawsze będziemy uważać te dzień 10 października 1981 roku za datę zaistnienia na nowo naszego Towarzystwa.

Sądzę, że ten fakt powinien znaleźć odzwierciedlenie w jakiejś uchwale względnie rezolucji, którą na tym Zjeździe podejmiemy. Również dyskusja nie powinna się ograniczyć do trzech lat ostatniej kadencji Zarządu Głównego, ale objąć cały okres 20-letni i odpowiedzieć na pytanie, co zrobiliśmy, a czego żeśmy nie dokonali.

W związku z pogrzebem pana Stefana Chałubińskiego, wnuka Tytusa, na który udawali się niektórzy goście i delegacja PTT, Przewodniczący zaproponował zmianę kolejności porządku dziennego – na początek obrad przeniesiono nadanie godności członka honorowego i wystąpienia gości.

Porządek dzienny Zjazdu przyjęto jednogłośnie łącznie z zaproponowanymi zmianami.

NOWI CZŁONKOWIE HONOROWI PTT

Przewodniczący Zjazdu poinformował, że Kapituła Członkostw Honorowych PTT zaproponowała nadanie członkostw honorowych PTT na obecnym Zjeździe następującym osobom:

- **dr Wojciechowi Gąsienicy-Byrcynowi** – długoletniemu, zasłużonemu dyrektorowi Tatrzańskiego Parku Narodowego
- **Adamowi Liberakowi** – redaktorowi naczelnemu Pamiętników PTT
- **Barbarze Morawskiej-Nowak** – drugiemu redaktorowi Pamiętników i redaktorowi „Co słyszeć?”, wieloletniemu Sekretarzowi Towarzystwa
- **Wincentemu Cieślewiczowi** – długoletniemu kierownikowi schroniska na Polanie Chochołowskiej
- **Tadeuszowi Kielbasińskiemu** – za zasługi w zachowaniu kultury łemkowskiej.

Laudacje¹ dr Wojciecha Gąsienicy-Byrcyna i Barbary Morawskiej-Nowak odczytał Krzysztof Kabat, Adama Liberaka – Maciej Zaremba, Wincentego Cieślewicza – Antoni Dawidowicz, Tadeusza Kiełbasińskiego – Stanisław Flakiewicz z Łodzi. Przewodniczący Kapituły, prof. Ryszard W. Schramm został poproszony o wręczenie dyplomów członkom honorowym. Z powodu choroby na Zjazd nie przybył Tadeusz Kiełbasiński, dla którego odebrał dyplom Stanisław Flakiewicz.

W imieniu nowych członków honorowych zabrał głos Wojciech Gąsienica-Byrcyn. Bardzo wzruszony, piękną góralską gwara, jak powiedział w języku swojej mamy, którą dzień wcześniej pożegnał na wieczność, podziękował za otrzymaną godność i dodał od siebie:

Niege mi wolno bedzie pedzieć jesce pore słów od sie. Do Was zebranyk, do Pana Prezesa, do Zarządu mojego PTT, które ostatnio tak całym sercem wspierało dokonania TPN. Kie było nie lekko, kiedy ciek nie dawoł som rady, wyście pomogli. Z takom okwiarnościm. Ukochuje Was za to. Pojeden, jeden som, słaby jest. Nie wydole stawić sie biedzie, myślę o biedzie nasej przyrody, ftorom tak radzi momy. Casem mało pomoc, zratowanie, słowo rozumne noprowdziwsym wsparciem byłō. Wspomniol Pon Prezes Krzysztof Kabat o współpracy pomiędzy TPN, a PTT. Przyznam ize ze syćkiemi cas nom wspomogać sie, jednać w dobrym ku ratowaniu Tatr. Cas budować jedność, choć casem my nie jednacy.

Fce sie w naszym Towarzystwie cosi dobrego dokonać dlo Ziemi Podhalańskiej, dlo inksyk gór. To dobre, jakie tworzyli nasi downi, ftorzy tys radzi widzieli gorskom urode i telo zrobili dlo niej, niege bedzie nom przykładem.

Fcem jesce zbocyć cas sprzed dwok rokov. Park wtej przechodziel trudy. Bocycie biedno było. Sło coby to dziedzictwo pokoleń ozdropać, rozebrać. Całe PTT wyciągneno pomocnom rękę od Zarządu po oddziały. Wtej w tyk malućkik działaniak, zjednanyk do jedna widno było pewne bogactwo, siele. Wroz nie dawali my ukrzywdzić tej pięknej nasej ziemi. Pomogliście Parkowi nasemu Narodowemu. Dziękuję Wom za to.

WYSTĄPIENIA GOŚCI ZJAZDU

Jako pierwszy zabrał głos **Jerzy Zembrzuski** (Liga Ochrony Przyrody). Na wstępie odczytał list prezesa Zarządu Głównego LOP, Władysława Skalnego:

Szanowni Delegaci!

W imieniu Ligi Ochrony Przyrody w dniu V Zjazdu Delegatów Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego składam życzenia wszelkiej pomyślności, rozkwitu i rozwoju Towarzystwa. Życzę też delegatom Zjazdu zdrowia i osobistych sukcesów w pracy na rzecz PTT.

Towarzystwo powstało ponad wiek temu i rozwinęło się na miarę wielkiego osiągnięcia i chluby Kultury Polskiej, co znalazło swój szczególny wyraz w głoszonej i realizowanej idei ochrony przyrody Tatr. Towarzystwu Tatrzańskiemu,

¹ Laudacje członków honorowych wraz z ich zdjęciami publikujemy po relacjach ze Zjazdu.

a później Polskiemu Towarzystwu Tatrzańskiemu, Tatry i Tatrzański Park Narodowy zawdzięczają bardzo wiele.

Liga Ochrony Przyrody licząca dziś 73 lata, utworzona w 1928 roku przez tych samych ludzi o wielkich nazwiskach, którzy byli kontynuatorami PTT, poczuwa się do wzajemnego powinowactwa z PTT. Stąd wywodzi się nasze zapewnienie, że Polskie Towarzystwo Tatrzańskie zawsze może liczyć na przyjaźń i współdziałanie z Ligą Ochrony Przyrody.

Następnie powiedział od siebie:

W Pamiętnikach Towarzystwa Tatrzańskiego i Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego jest historia Towarzystwa, początki i rozkwit. Są to wspaniałe materiały z przeszłości, testament tych, którzy tworzyli i doprowadzili je do rozkwitu. Pragnę zwrócić uwagę na jeden materiał: W 1905 roku, kiedy wiele osób było zafascynowanych projektem budowy kolejki na Świnicę, Towarzystwo potrafiło przełamać w sobie tę chęć i wyraziło to najpełniej, najlepiej w 1913 roku, kiedy założona Sekcja Ochrony Tatr przedstawiła swój program, który Towarzystwo przyjęło jako priorytetowy dla całego Towarzystwa. Potem nastąpił cały szereg zdarzeń z tym związanych, ale właśnie od tamtego momentu szczególnie Towarzystwo Tatrzańskie a potem Polskie Towarzystwo Tatrzańskie przestało działać do wewnątrz i działało także na zewnątrz z wielkimi nazwiskami, które tworzyły kulturę Polski. Tym samym całe Towarzystwo ma swój udział w kulturze Polski. Początek tej sprawie dała Sekcja Ochrony Tatr Towarzystwa Tatrzańskiego.

Dziś Towarzystwo jest już tak liczne, że trudno żeby wszystkie sprawy załatwiał jeden Zarząd, jedno niewielkie grono osób. Dlatego proszę o rozważenie czy nie należałoby reaktywować Sekcji Ochrony Tatr Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego, Sekcję, która jest tak zasłużona i tak pięknie utrwalona w historii Towarzystwa Tatrzańskiego. Mało tego, tak bardzo dzisiaj potrzebna. Potrzebny jest pewien sojusz różnych organizacji w sprawie ochrony Tatr i innych parków narodowych.

Dziś prawo pozwala parki likwidować. Znaczną część władzy nam tymi częściami przyrodniczego dziedzictwa narodowego oddano samorządom, których idea jest bardzo dobra, bardzo potrzebna, ale są to młode samorządy. Często kręcą się wokół własnych interesów, a nie zajmują się sprawami ochrony przyrody. Dlatego nie ma dzisiaj mechanizmów, które pozwalały z pewnym optymizmem myśleć o sprawie ochrony Tatr i innych najcenniejszych zakątków przyrody w Polsce. Potrzebny jest program, pewien sojusz różnych organizacji, które się tym zajmują, mogą i powinny się tym zajmować. Mam wrażenie, że dobrze by było, żeby Sekcja Ochrony Tatr PTT powstała od nowa i podjęła swoją działalność. Żeby rewindykowała swoje prawa, a nawet majątności, które powierzone zostały Towarzystwu za pieniądze ogólnonarodowe na rzecz parku narodowego... Potrzebne jest, żeby również ta Sekcja Ochrony Tatr, jeśli Państwo uznacie za właściwe ją utworzyć, weszła w sojusze z innymi organizacjami w tej ważnej narodowej sprawie. Życzę w tej sprawie dobrych decyzji temu Zjazdowi. Dziękuję Państwu.

Następnie zabrała głos pani **Teresa Jabłońska**, dyrektor Muzeum Tatrzańskiego: *Proszę Pań, proszę Panów, chciałabym serdecznie podziękować za zaproszenie na ten Zjazd, jest to dla mnie i dla Muzeum Tatrzańskiego ogromnym zaszczytem.*

...Wczoraj właśnie spotkałam się z wydawcami na rozmowach w sprawie wydania albumu dawnej fotografii tatrzańskiej. Przy okazji projektu wydania albumu dawnej fotografii tatrzańskiej mówiliśmy bardzo, bardzo wiele o Towarzystwie Tatrzańskim i o tradycji, o ogromnym dorobku Towarzystwa Tatrzańskiego. Było to związane z faktem, że gros fotografii, która mam nadzieję będą wydane w tym albumie to są fotografie autorstwa Awita Schuberta, to są fotografie Stanisława Bizańskiego, Walerego Eljasza Radzikowskiego i Stanisława Eliasza Radzikowskiego, na pewno Państwu doskonale znane. Ogromny dorobek fotograficzny tych autorów, ok. 400 fotografii tatrzańskich, wspaniałych pod względem artystycznym i niezrównanych zupełnie jako dokument, jest wynikiem działalności na forum propagowania piękna Tatr i propagowania turystyki tatrzańskiej na początku istnienia Towarzystwa i na początku turystyki tatrzańskiej.

Sądzę, że w tej sprawie będziemy mieli okazję – Towarzystwo Tatrzańskie i Muzeum Tatrzańskie – ze sobą współpracować.

Chciałam także przypomnieć, że od początku istnienia Towarzystwa Tatrzańskiego jednym z pierwszych projektów było założenie Muzeum Tatrzańskiego i takie małe muzeum w latach siedemdziesiątych, ok. 1876, istniało w Kuźnicach i było prowadzone przez pracowników Towarzystwa Tatrzańskiego. Na łamach znakomitego pisma, Pamiętnika TT, temat muzeum był wielokrotnie poruszany, Pierwszym celem Towarzystwa było udostępnianie Tatr, budowa schronisk i ścieżek i wszystko to absorbowało i czas i energię i pieniądze TT. Tak się złożyło, że Muzeum założyli ludzie co prawda związani z Towarzystwem Tatrzańskim, ale stworzyli organizację niezależną. Towarzystwo Muzeum Tatrzańskiego zostało założone w 1888 roku, a w rok później zostało otwarte Muzeum im. Tytusa Chałubińskiego. Jak to napisał Juliusz Zborowski, nastąpiły siłą faktu kontakty obu Towarzystw i Towarzystwo Tatrzańskie stało się członkiem honorowym Towarzystwa Muzeum Tatrzańskiego, które skutecznie liczyło na wsparcie finansowe TT, wielokrotnie Muzeum udzielane. Datą przełomową we wzajemnych stosunkach był rok 1900, kiedy spłonął drewniany Dworzec Tatrzański i wówczas w bardzo poważnych rozmowach mówiono o projekcie budowy wspólnego murowanego budynku w sąsiedztwie Dworca Tatrzańskiego. Chodziło o to, że coraz bogatsze zbiory Muzeum mieściły się w drewnianym, małym budynku w okolicy dzisiejszego pomnika Tytusa Chałubińskiego. Niestety w tym czasie nie doszło do porozumienia, stanął Dworzec Tatrzański, ale wkrótce potem, w ramach Towarzystwa Tatrzańskiego powstało kilka sekcji, w tym sekcja Ludoznawcza i Sekcja Przyrodnicza, które weszły w bardzo ścisłą współpracę z Towarzystwem Muzeum Tatrzańskiego. Rezultatem tej bardzo aktywnej działalności Sekcji Ludoznawczej i Przyrodniczej TT było wybudowanie murowanego gmachu Muzeum Tatrzańskiego w sąsiedztwie Dworca Tatrzańskiego.

Nie chcę przedłużać tej wypowiedzi, bo może nie jestem ostatnia, a kilka osób będzie chciało być na pogrzebie śp. Stefana Chałubińskiego, chciałabym tylko powiedzieć, że współpracy między tymi dwoma towarzystwami Muzeum zawdzięcza

bardzo wiele. Wreszcie doszło do połączenia obu towarzystw, wówczas już Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego i Towarzystwa Muzeum Tatrzańskiego w 1948 roku na Zjeździe, skutkiem czego majątek Towarzystwa Muzeum Tatrzańskiego został połączony z majątkiem PTT. Obydwie organizacje miały na celu wspólne dobro, Towarzystwo Muzeum Tatrzańskiego miało na celu dobro Muzeum. Jak się dalej wypadki potoczyły, to Państwo też wiezą – powstało PTTK, które przejęło siłą faktu majątek Muzeum Tatrzańskiego i jego Towarzystwa. Na zakończenie chciałam powiedzieć, że główny gmach Muzeum Tatrzańskiego jest w bezpośrednim sąsiedztwie Dworca Tatrzańskiego, z którego niegdyś, przez wiele lat promieniowało to, co najlepsze.

Jak w tej chwili zagospodarowany jest Dworzec Tatrzański, myślę, że też nie muszę o tym mówić. Na początku tego roku, w pierwszych miesiącach, był projekt, zresztą cały czas jest w planach Muzeum Tatrzańskiego taki projekt, aby w Dworcu Tatrzańskim powstała ekspozycja poświęcona historii Towarzystwa Tatrzańskiego, całej jego działalności zaczynając od początku a kończąc na ogromnej pracy rozwijających się wielu sekcji TT.

Niestety na skutek bardzo wysokiego czynszu, jaki gospodarz Dworca Tatrzańskiego, czyli PTTK, zażądał od Muzeum Tatrzańskiego jest to na razie niemożliwe. Dążymy w dalszym ciągu, żeby taka ekspozycja w Zakopanem powstała, bo inaczej będzie to luką niewyobrażalną, ze względu na ważność Towarzystwa Tatrzańskiego dla wszystkiego, co się działo w Zakopanem zaczynając od powołania Towarzystwa w roku 1873.

Życzę Państwu owocnych obrad i pozostaję z nadzieją na ścisłą i owocną współpracę w przyszłości. Dziękuję Państwu.

Po wystąpieniu Pani Dyrektor **Krzysztof Kabat** powiedział: Możemy tylko postawić konkretny wniosek, że wchodzimy w ten interes z Muzeum Tatrzańskim.

Przewodniczący Zjazdu poinformował w tym momencie, iż na pogrzebie Stefana Chałubińskiego PTT reprezentować będą Małgorzata Kieres i Józef Michlik.

Po opuszczeniu sali przez osoby udające się na pogrzeb obrady kontynuowano zgodnie z ustalonym porządkiem. Przyjęto jednogłośnie zaproponowany regulamin obrad.

Na wniosek Antoniego L. Dawidowicza powołano połączoną Komisję Mandatowo-Skrutacyjno-Wyborczą w składzie: Joanna Karmowska (Kraków), Agata Podgórska (Łódź), Jan Oczkowski (Chrzanów), Krystyna Wolak (Nowy Sącz) i Maria Żurowska (Jarosław).

Wybrano Komisję Statutową w składzie: Jan Weigel (Bielsko-Biała), Antoni Leon Dawidowicz (Kraków), Tomasz Kwiatkowski (Radom), Roman Bułka (Bielsko-Biała) i Komisję Wnioskową, do której weszli: Piotr Nurczyński (Łódź), Janusz Badura i Kazimierz Opyrchal (Bielsko-Biała), Janina Golus (Radom), Jerzy Zalasinski (Kraków).

Przyjęto protokół z IV Zjazdu Delegatów w 1998 roku.

WRĘCZENIE ODZNACZEŃ ZASŁUŻONYM CZŁONKOM PTT

Realizując pozostałą część punktu 7 programu wręczono zasłużonym członkom PTT resortowe odznaki dla zasłużonych dla turystyki oraz przyznawane przez ZG PTT odznaki PTT ze złotą kosówką.

Odznaki za zasługi dla turystyki otrzymali koledzy: Czesław Klimczyk (Oświęcim), Wojciech Piprek (Nowy Sącz), Jan Poręba (Chrzanów), Anna Totoń (Nowy Sącz) i Tomasz Weber (O/Opole).

17 osób zostało wyróżnionych złotą odznaką PTT z kosówką za działalność w PTT. Są to: Roman Bułka (Bielsko-Biała), Adam Hołuj (Kraków), Włodzimierz Janusik (Łódź), Zbigniew Jaskiernia (Sosnowiec), Tadeusz Kielbasiński (Łódź), Czesław Klimczyk (Oświęcim), Władysław Kowalczyk (Nowy Sącz), Czesław Kurkowski (Radom), Józef Kwiatkowski (Radom), Anna Machowska (Chrzanów), Krzysztof Malak (Kraków), Tomasz Mazur (Radom), Kazimierz Opyrchal (Bielsko-Biała), Jan Poręba (Chrzanów), Andrzej Słota (Kraków), Mieczysław Stawiarski (Bielsko-Biała – pośmiertnie), Krzysztof Żuczkowski (Nowy Sącz).

Odznaki wręczył prof. Ryszard W. Schramm.

SPRAWOZDANIA

Prezes Krzysztof Kabat omówił skrótowo najistotniejsze punkty sprawozdania merytorycznego Zarządu Głównego, które zostało opublikowane w formie książeczki i rozdane delegatom.

Skarbnik Ludwik Rogowski przedstawił sprawozdanie finansowe.

W zastępstwie nieobecnej na Zjeździe przewodniczącej Komisji, Alicji Nabzyk-Kaczmarek, sprawozdanie odczytał sekretarz Komisji, Stanisław Misztal. W sprawozdaniu stwierdzono, iż działalność finansowa PTT nie budzi zastrzeżeń. Komisja zaleciła sprawniejsze zbieranie składek członkowskich i większe uczestnictwo oddziałów w dystrybucji Pamiętnika PTT; wysoko oceniła dotychczasowe władze PTT, szczególnie wkład pracy sekretarza, Barbary Morawskiej-Nowak. Komisja wniosła o udzielenie absolutorium ustępującemu Zarządowi Głównemu.

Sprawozdanie Głównego Sądu Koleżeńskiego PTT przedstawił zastępca przewodniczącego GSK Józef Kwiatkowski. W kończącej się kadencji nie było żadnej sprawy toczzonej przed Głównym Sądem Koleżeńskim, a jedno pismo, które wpłynęło, przekazano do zainteresowanego Oddziału. Członkowie GSK brali udział w posiedzeniach Zarządu Głównego i byli cały czas zorientowani w bieżącej działalności Towarzystwa.

DALSZE WYSTĄPIENIA GOŚCI ZJAZDU

Poeta Jerzy Lucjan Woźniak rodem z Sosnowca pozdrawiając Zjazd zachęcał do zapoznania się z jego poezją tatrzańską. Tomik wierszy „W Tatrach” można było nabyć w kuluarach Zjazdu.

Przytoczę tu jeden z jego ostatnich wierszy, zgodny z ideą uprawiania indywidualnej turystyki, propagowanej przez PTT:

*po tych górach lubię chodzić samotnie
na rozmyślaniach szybciej się ubogacam
odnajduję siebie i głęboko się zatracam
napinam wewnętrzne cięciwy
ziarno sieje
rozluźnia się napięty mięsień
i jak ptak się wznoszę
poza Tatrami – spadam*

(2001)

Zabierając głos prof. **Ryszard W. Schramm** powiedział:

Proszę Państwa, chciałbym tu nawiązać do wystąpienia Wojtka Gąsienicy-Byrcyna.

Otóż jestem członkiem Związku Podhalań, przez długie lata byłem w Radzie Naukowej tego Związku, obecnie nie jestem, dlatego, że wystąpienia Rady Naukowej Związku wobec Parku Narodowego mnie, a sądzę że i Państwu nie podobają się. Zastanawiałem się nad tym czy w ogóle z tego Związku Podhalań nie wystąpić, po naradzie z kolegami nie wystąpiłem, ale chciałem teraz Państwu przedstawić swoje stanowisko.

Otóż jest rzeczą bardzo przykrą dla mnie, jako członka Związku Podhalań, że pewne osobistości, konkretnie górale i nie górale, występują atakując Tatrzański Park Narodowy. To jest bardzo smutne zjawisko, bo wydawałoby się, że kto jak kto, ale ludzie tutaj mieszkający pod Tatrami potrafią uszanować to, co jest ogólnonarodowym dobrem. Przykro jest, niezmiernie przykro, jeżeli nie umieją tego szanować. Jeszcze gorzej jest jeżeli rozrabiają, krótko mówiąc, przeciwko Parkowi Tatrzańskiemu i kopią dołki pod Parkiem, pod jego kierownictwem, co, jak wiecie Państwo skończyło się dymisją poprzedniego dyrektora Wojtka Gąsienicy-Byrcyna. Obecny Minister Ochrony Środowiska zapowiada, że chce przywrócić dyrektora Gąsienicę-Byrcyna na poprzednie stanowisko. Jak się sprawy potoczą, trudno przewidzieć. W każdym razie ta robota podkopująca Park Narodowy i dążąca do jego uszczuplenia w taki czy inny sposób, czy to poprzez pretensje indywidualne czy zbiorowe gminy Zakopane, jest z naszego punktu widzenia czymś niesłychanie przykrym, powodującym dysonans w środowisku ludzi, którzy moim zdaniem powinni cenić sobie ten Park, powinni go ochraniać, powinni głosować za tym, żeby jego działalność była utrzymana, powinni protestować przeciwko ograniczeniom i uszczuplaniu tego dobra narodowego. Myślę, że byłoby rzeczą niezwykle wskazaną, gdybyśmy jako Zjazd Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego wystąpili w tej sprawie. Oczywiście, tak jak tu mówił Wojtek, nasze stanowisko jest znane, ale nigdy nie dosyć takich głosów w obronie Tatr, ponieważ głosy atakujące Park ciągle się rozlegają i ciągle się nagłaśniają, mają duże poparcie. My jesteśmy bardzo starym Towarzystwem, ale w chwili obecnej jesteśmy Towarzy-

stwem nielicznym, trzeba to sobie powiedzieć szczerze. I nasz głos nie jest tak słyszalny, jak powinien być.

Apeluję, żeby z tego walnego Zjazdu rozległ się jeszcze raz głos w obronie Tatrzańskiego Parku Narodowego przeciwko jakimkolwiek uszczuplaniu tego Parku, za zachowaniem jego obecnego stanu. Bardzo by mi było miło, żeby taki mój wniosek został uchwalony. (oklaski)

Jest już wniosek z Ostrzeszowa w tej sprawie – odpowiedział Przewodniczący Zjazdu – a aplauz sali świadczy o naszym poparciu.

Dalszych wystąpień gości nie było, wobec czego Przewodniczący Zjazdu odczytał listy nadesłane do uczestników Zjazdu Delegatów PTT z wyrazami uznania i poparcia, z życzeniami owocnych i skutecznej realizacji celów statutowych:

- od Sekcji Parków Narodowych Polskiego Klubu Ekologicznego,
- od pośła Janusza Lisaka (UP),
- od redaktora „Orla Tatrzańskiego” Tadeusza Pudzisa,
- od redaktora pisma „Poznaj swój kraj” Janusza Sapy,
- od Głównego Konserwatora Przyrody w Krakowie, pani Bożeny Kotońskiej.

Po Zjeździe nadeszły jeszcze podobne w treści listy:

- od Marszałka Województwa Małopolskiego, pana Marka Nawary,
- od Marszałka Województwa Śląskiego, pana Jana Olbrychta,
- z Kancelarii Prezydenta Miasta Krakowa,
- z Departamentu Turystyki Ministerstwa Gospodarki,
- od Dyrektora Pienińskiego Parku Narodowego, Michała Sokołowskiego,
- od członka honorowego PTT Józefa Nyki,
- i nie mogącego wziąć udziału w Zjeździe z powodu ciężkiej choroby Waldemara Betlejewskiego (O/Bielsko-Biała).

Przewodniczący Komisji Mandatowo-Wyborczo-Skrutacyjnej, Jan Oczkowski poinformował, że po sprawdzeniu podpisów na liście obecności stwierdzono obecność 135 delegatów, na 157 wybranych na Zjazd. Komisja stwierdziła, że obrady Zjazdu są prawomocne.

Przewodniczący Zjazdu zarządził przerwę w obradach do godz. 14.00.

DYSKUSJA NAD SPRAWOZDANIAMI

W dyskusji nad sprawozdaniami delegacji poruszyli następujące sprawy:

Witold Kwiatkowski (Mielec) mówił o potrzebie pracy z młodzieżą. Zaapelował o większe propagowanie Towarzystwa w prasie regionalnej.

Stanisław Misztal (Bielsko-Biała) przypomniał o potrzebie uchwalenia przez Zjazd regulaminów Głównej Komisji Rewizyjnej i Głównego Sądu Koleżeńskie-go, które zostały opracowane przez Antoniego L. Dawidowicza. A. Dawidowicz – *ad vocem* – przypomniał, że Zarząd Główny miał delegację do uchwalenia tymczasowych regulaminów.

Maciej Zaremba (Nowy Sącz) stwierdził, że w nowej kadencji należy powtórzyć Konferencję Programową PTT, gdyż poprzednia okazała się potrzebna.

Wnioskował wydanie pełnej monografii Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego. Podkreślił wagę współpracy nowego Zarządu z władzami wyższych szczebli. Apelował o opracowanie instrukcji finansowej dla oddziałów. PTT winno rozwijać działalność przewodnicką poprzez nowe kursy i organizację kół przewodniczkich. Postulował reaktywowanie Sekcji Narciarskiej PTT

Barbara Morawska-Nowak (Kraków) stwierdziła potrzebę przyjęcia przez Zjazd w formie uchwały dokumentu z Konferencji Programowej w Bielsku-Białej. Powinniśmy nadal rozwijać współpracę z Tatrzańskim Parkiem Narodowym i nawiązać współpracę z Muzeum Tatrzańskim dążąc do stworzenia Muzeum Towarzystwa Tatrzańskiego (postulowanego na Sejmiku w roku 1981 – Muzeum Kolumbów). Ubolewała nad brakiem Oddziału PTT w Zakopanem. Prosiła Oddziały o pisanie swojej historii, która weszłaby do monografii PTT.

Włodzimierz Janusik (Łódź) zwrócił uwagę na potrzebę posiadania przez Zarząd Główny PTT siedziby w Krakowie, z adresem i szyldem. Nie może to być stale mieszkanie prywatne. Wskazywał na potrzebę polepszenia kontaktów pomiędzy Zarządem Głównym a oddziałami; przynajmniej raz na trzy lata przedstawiciel Zarządu Głównego winien być na zebraniu sprawozdawczo-wyborczym Oddziału.

Antonina Sebesta (Myślenice) postulowała umieszczenie w Muzeum Tatrzańskim gabloty informacyjnej PTT. Wyjaśniała, że profesjonalna monografia PTT winna być opracowana przez zespół naukowców i jest to praca na kilka lat. Zarząd Główny winien rozesłać ofertę opracowania monografii do różnych uczelni (np. Instytut Geografii UJ lub AP, Katedra Turystyki AWF i in.).

Ryszard W. Schramm (Poznań) poparł stanowisko A. Sebesty, stwierdzając, że monografii nie może opracowywać amator, musi być fachowo opracowana, a to musi kosztować. Proponował, aby A. Sebesta włączyła się w poszukiwanie autora takiej monografii.

Stwierdził, że zbieranie składek jest bolączką każdego Towarzystwa, ale jest to obowiązek członków. *Pląćcie Państwo, bo Was wyrzucą* – apelował.

Jerzy Krakowski (Mielec) postulował zamieszczenie historii PTT i programu imprez na naszej stronie internetowej. Proponował zorganizowanie spotkania młodzieży zrzeszonej w PTT i rozwijanie różnych rodzajów turystyki (np. stworzenie sekcji rowerowej i narciarskiej). Widzi potrzebę większej reklamy działalności PTT w prasie i radiu oraz o wymiany informacji między oddziałami. Chciałby być informowany nie tylko o wycieczkach, ale i o ciekawych prelekcjach i spotkaniach organizowanych przez Oddziały.

Stanisław Trębacz (Chrzanów) proponował, aby każdy Oddział do końca czerwca wpłacał do ZG przynajmniej 50% składek członkowskich za rok bieżący. Poruszył problem konieczności posiadania przez Oddziały NIP i REGON. Stwierdził, że w sprawozdaniu GKR PTT nie ma odzwierciedlenia sprawozdań nadesłanych przez oddziałowe komisje rewizyjne, nie widzi więc uzasadnienia dla ich wysyłania. Apelował, aby wszystkie Oddziały zakładały szkolne koła PTT. Przypomniął, że oddziałowy kwartalnik „Orzeł Skalny” jako pierwszy ukazał się w edycji kolorowej.

W związku z powrotem na salę niektórych gości, odczytany został komunikat Koła PTT w Szczecinie dotyczący rozstrzygnięcia konkursu fotograficznego. Nagrodzone zdjęcia zostały wywieszone na sali obrad. Zwycięzca konkursu, Jacek Tronina z Tarnowskich Gór odebrał nagrodę – plecak firmy Natalex – z rąk dr Wojciecha Gąsienicy-Byrcyna.

Jerzy Zembrzusi poinformował, że wolą zmarłego kilka dni temu Stefana Chałubińskiego powstał pomnik przyrody „Las Chałubińskich”. Po raz pierwszy własność prywatna została przekazana na pomnik przyrody, aby las ochronić. Teraz winni się znaleźć opiekunowie i sponsorowie, aby teren ogrodzić i chronić.

Wojciech Gąsienica-Byrcyn poinformował, że Park wzbogacił się o 70 ha, a Adam Liberak dodał, że to Urząd Miasta sprzedał Parkowi zdewastowane kąpielisko w Jaszczurówce do zagospodarowania.

Na Zjazd przybył w tym momencie Kapelan PTT **ks. Józef Drabik** i został powitany przez Przewodniczącego Zjazdu. Przy okazji przypomniano obecnym o Mszy św. w niedzielę 11 listopada o godz. 8.30 w kościele OO. Bernardynów na Bystrem.

Stanisław Czubernat (członek PTT O/Poznań) zwrócił uwagę, że informacja zewnętrzna o PTT jest za mała, a PTT nie istnieje na terenie Zakopanego. Proponował większą popularyzację PTT – poprzez wystawy w Muzeum TPN i pisanie artykułów do wkładki TPN w Tygodniku Podhalańskim. Zaoferował prowadzenie szkoleń dla członków PTT przez pracowników Parku. Zachęcał do organizacji kursu przewodnickiego PTT. Park jest otwarty na wszystkie kluby przewodnickie. *Uzewewnętrzniczcie się – apelował.*

Jerzy Zalasieński (Kraków) poinformował o opracowanej przez siebie ustawie o rolnictwie ekologicznym na terenach górskich. Taka gospodarka rolna w otulinie ma doniosłe znaczenie dla Parku. Opracował także raport o stanie lasów górskich, który powinien się znaleźć w internecie. Jest za powrotem owczarstwa na Podtatrze. Dodał, że prace nad monografią PTT winny podjąć wydziały humanistyczne.

Adam Liberak apelował do członków PTT, aby pisali do X tomu Pamiętnika PTT.

Jan Weigel (Bielsko-Biała) zaproponował oddzielenie redakcji Pamiętnika PTT od jego dystrybucji i reklamy. Wskazał na Janusza Badurę, który mógłby zająć się pozyskiwaniem reklam. *Nie mówimy o pieniądzach, a ich pozyskiwanie winno być zadaniem numer jeden przyszłego Zarządu Głównego – powiedział.* Drugim zadaniem winny być starania o uzyskanie lokalu.

Poinformował, że członkowie PTT sprzed 1950 roku wystąpili o anulowanie uchwały o rozwiązaniu PTT w 1950 r. Całe PTT powinno poprzeć tę inicjatywę. Poinformował też o staraniach o odzyskanie naszej odznaki, bo w tej chwili nosimy na piersi znak towarowo-słowny PTTK.

Uzasadnił powody, dla których PTT powinno wystąpić przeciw budowie linii kolejowej z Piwnicznej do Szczawnicy przez Obidzę i przeciw wprowadzeniu podatku granicznego.

Jerzy Zalasinski i Antoni L. Dawidowicz (Kraków) wnioskowali o wystąpienie PTT w sprawie otwarcia przejścia granicznego w Jurgowie, które by odciążało TPN.

Antoni L. Dawidowicz (Kraków) ubolewał nad zanikiem naszej obecności na Dolnym Śląsku. Dla PTT ważne są Sudety, jako alternatywa dla Tatr. Tymczasem rozwiązały się Oddziały w Zielonej Górze i Wrocławiu, rozwiązaliśmy Oddział w Brzegu, brak jest na Zjeździe delegatów z Opola. Przypomniał, że Oddziały związane z Sudetami podejmowały akcję ratowania Kalwarii sudeckich. Obecnie chcemy usunąć ze Statutu zapis o opiece nad wieżami widokowymi, charakterystycznymi dla Sudetów. Zaproponował podjęcie uchwały o przywróceniu działalności PTT na Dolnym Śląsku.

Przewodniczący Zjazdu, **Romuald Zaręba** (Kalisz), zaproponował uchwalenie rezolucji z okazji dwudziestolecia reaktywowania PTT i prosił o uwagi do tekstu rezolucji przygotowanego przez Barbarę Morawską-Nowak, która swą propozycję odczytała. **Jan Weigel** prosił o zastąpienie słowa „ochroniarska” na „ekologiczna”. Zwrócił uwagę, że jesteśmy przede wszystkim organizacją turystyczną, co nie zostało w rezolucji podkreślone. **Anna Machowska** (Chrzanów) widziała potrzebę wymienienia w rezolucji nazwisk kolegów zasłużonych w reaktywowaniu PTT.

Po zamknięciu dyskusji Przewodniczący Zjazdu postawił wniosek o podjęcie uchwały w sprawie udzielenie absolutorium ustępującemu Zarządowi Głównemu. Uchwałę podjęto zdecydowaną większością głosów, przy 1 głosie przeciwnym i 3 wstrzymujących się.

UCHWAŁA W SPRAWIE ZMIAN STATUTU PTT

Przewodniczący Komisji Statutowej **Jan Weigel** przedstawił proponowane zmiany w Statucie, które zaaprobował ustępujący Zarząd na swym ostatnim posiedzeniu. Były one kolejno prezentowane na ekranie za pomocą rzutnika sterowanego komputerem (medialną stroną Zjazdu zajął w sposób profesjonalny i bardzo sprawny **Michał Myśliwiec**, z zawodu inżynier informatyk) wraz z odpowiednimi obowiązującymi obecnie paragrafami Statutu.

W dyskusji nad proponowanymi zmianami **Janusz Smolka** (O/im. T. Chałubińskiego, Radom) zapytał o Sekcję Narciarską PTT. **Jan Weigel** przybliżył zebranym pomysł zapisu o KW PTT i SN PTT.

Maciej Pająkowski (Żywiec) zapytał, czy po odwołaniu z Zarządu nieaktywnych członków będzie możliwe dokooptowanie nowych.

Witold Kwiatkowski (Mielec) zabrał głos w sprawie jednoosobowych decyzji Prezesa. Proponował dopisać, że będą one akceptowane na najbliższym Prezydium ZG PTT.

Nie było dalszych pytań, wobec czego Przewodniczący Zjazdu zarządził głosowanie nad uchwałą w sprawie zmian Statutu PTT o treści:

Zjazd Delegatów PTT postanawia dokonać następujących zmian w Statucie PTT:

Nowe brzmienie § 2

Reaktywowane w roku 1981 PTT jest **następcą prawnym**, sukcesorem i kontynuatorem tradycji Towarzystwa Tatrzańskiego powołanego w r. 1873 i przemianowanego w r. 1922 na Polskie Towarzystwo Tatrzańskie istniejące do r. 1950.

Nowe brzmienie § 4

PTT działa na terenie Rzeczypospolitej Polskiej. Siedziba władz naczelnych jest Kraków. PTT ma prawo powoływać Oddziały, **Klub Wysokogórski PTT oraz Sekcję Narciarską PTT** na zasadach określonych w dalszych postanowieniach statutu.

Nowe brzmienie § 6

PTT używa tradycyjnych odznak i pieczęci **stosowanych do roku 1950** z napisem Polskie Towarzystwo Tatrzańskie i wyobrażeniem kozicy oraz posiada sztandar.

Nowe brzmienie punktów 8, 10, 11 w § 8

8. nabywa, buduje i prowadzi schroniska, schrony, bacówki, stacje turystyczne i górskie i dba o właściwe użytkowanie górskich szlaków turystycznych, (*usunięto z tekstu słowa: wieżę wido-kowe*)
10. współdziała z organami państwowymi, **samorządowymi** i innymi organizacjami w sprawie realizacji celów PTT,
11. wspiera działania na rzecz ochrony środowiska naturalnego gór, górskiego krajobrazu przyrodniczego i kulturowego w jego nawarstwieniach historycznych, (*usunięto z tekstu słowo: wszelkie*).

Nowe brzmienie fragmentu § 10

Członkostwo powstaje przez złożenie pisemnej deklaracji o przystąpieniu do Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego i przyjęcie w poczet członków zwyczajnych PTT **decyzją Zarządu Oddziału** (*zrezygnowano z zapisu o deklaracji podpisanej przez dwóch wprowadzających członków zwyczajnych lub honorowych jako wymogu w praktyce fikcyjnego*).

Poprawka ortograficzna punktu 3 w § 15

3. regularnie opłacać składki członkowskie, a **nowo wstępujący** ponadto wpisowe w wysokości połowy składki rocznej.

Poprawka kosmetyczna w punkcie 2, w § 16

2. skreślenia z listy członków przez Zarząd Oddziału z powodu nie **zapłacenia** (a nie opłacenia) składki członkowskiej za okres przekraczający jeden rok.

Dodany nowy punkt 2 w § 17

1. Podstawową strukturę PTT tworzą Oddziały i Koła.
2. **W skład Towarzystwa wchodzi również:**
 - a) **Klub Wysokogórski PTT (KW PTT)**
 - b) **Sekcja Narciarska PTT (SN PTT).**

Zmiana w punkcie 3 w § 24

W II terminie (po upływie **15 minut**) Zjazd Delegatów jest prawomocny bez względu na ilość delegatów biorących udział w Zjeździe (*zamiast – 30 minut*).

Dodanie nowego § 28 i renumeracja dalszych paragrafów

1. Do kompetencji Prezesa PTT należy:
 - 1.1. kierowanie działalnością PTT,
 - 1.2. reprezentowanie PTT na zewnątrz.
2. W sytuacjach nagłych i koniecznych Prezes PTT podejmuje decyzje jednoosobowo.
3. Prezesa PTT zastępują wiceprezesi.

Nowe brzmienie § 29

1. Prezydium Zarządu Głównego wykonuje uchwały Zarządu Głównego, przedstawia problemy i wnioski na jego posiedzeniach oraz załatwia sprawy nagłe.
2. Do kompetencji Prezydium należy:
 - 2.1. zarządzanie finansami i majątkiem PTT w ramach zatwierdzonego budżetu,
 - 2.2. powoływanie i rozwiązywanie Oddziałów PTT oraz koordynowanie i kontrolowanie ich działalności,
 - 2.3. powoływanie i odwoływanie komisji i sekcji wykonujących określone zadania statutowe,
 - 2.4. realizowanie uchwał Zjazdu Delegatów,
 - 2.5. prowadzenie działalności wydawniczej,
 - 2.6. utrzymywanie i rozwijanie Centralnej Biblioteki PTT,
 - 2.7. ustalanie rocznych planów działania i budżetów, zatwierdzanie sprawozdań z ich wykonania,
 - 2.8. prowadzenie i nadzorowanie szkoleń.
3. Organizację i tryb działania Prezydium określa regulamin uchwalony przez Zarząd Główny.
4. Posiedzenia Prezydium odbywają się w miarę potrzeby, nie rzadziej niż raz na dwa miesiące.

Nowe brzmienie § 30 (dotychczas 27)

Do zakresu działania Zarządu Głównego należy:

1. ustalanie wysokości odpisów od składek członkowskich na rzecz Zarządu Głównego,
2. zwoływanie Zjazdu Delegatów,
3. ustalanie klucza wyborczego na Zjazd Delegatów,
4. rozpatrywanie i przyjmowanie sprawozdań z działalności Prezydium Zarządu Głównego,
5. zawieszanie uchwał Walnych Zgromadzeń i Zarządów Oddziałów, jeżeli są sprzeczne ze statutem lub uchwałami władz naczelných PTT,
6. podejmowanie uchwał w sprawach nie należących do właściwości innych władz PTT,
7. opracowywanie i zatwierdzanie regulaminów i innych przepisów dotyczących PTT,
8. ocena działalności komisji i sekcji,
9. przyznawanie Złotej Odznaki PTT z Kosówką.

Dodanie w § 31 punktu 2 o treści:

2. Główna Komisja Rewizyjna co najmniej raz w roku przeprowadza kontrolę całokształtu działalności Zarządu Głównego, ze szczególnym uwzględnieniem działalności finansowo-gospodarczej pod względem celowości, rzetelności i gospodarności,
- i renumeracja dalszych punktów
7. Postanowienia § 28 pkt. 3 oraz pkt. 5 stosuje się odpowiednio.

Nowe brzmienie punktów 2, 3 i 8 § 32 (dotychczas 31)

2. Główny Sąd Koleżeński działa jako Sąd odwoławczy w stosunku do orzeczeń sądów koleżeńskich oddziałów oraz jako Sąd pierwszej instancji dla członków władz naczelných. W tym ostatnim przypadku drugą instancją stanowi Główny Sąd Koleżeński w innym składzie.

3. Główny Sąd Koleżeński składa się z **dziwięciu** członków, którzy wybierają spośród siebie sekretarza, przewodniczącego i jego zastępcę. (*zamiast siedmiu*)
8. Postanowienia § 28 pkt. 3 oraz pkt. 5 stosuje się odpowiednio.

Przesunięcie ust. g) (dotyczy ustalania wysokości składek członkowskich obowiązujących w Oddziale) w punkcie 2 § 37 (dotychczas 36) do § 42 jako punkt 8.

Nowe brzmienie § 41 (dotychczas 40)

1. Zarząd Oddziału składa się z prezesa i 4–10 członków wybieranych przez Walne Zgromadzenie. Zarząd wybiera ze swego grona **1–3 wiceprezesów**, sekretarza i skarbnika.
2. Do ważności uchwał Zarządu Oddziału jest niezbędna obecność co najmniej 1/2 **liczby członków Zarządu** wraz z prezesem lub jego zastępcą.

pkt. 3 bez zmian

4. Zarząd Oddziału może **odwołać ze swego składu członków nie wykazujących aktywności** Może także dokooptować do swego składu nowych członków na miejsce członków odwołanych lub ustępujących, w liczbie nie przekraczającej 1/3 liczby członków pochodzących z wyboru.

pkt. 5 i pkt. 6 bez zmian.

Dodanie na końcu § 42 (dotychczas 41) nowych punktów o treści:

8. ustalanie wysokości składek członkowskich obowiązujących w Oddziale,
9. prowadzenie działalności wydawniczej,
10. utrzymywanie i rozwijanie bibliotek w Oddziale i Kołach,
11. prowadzenie szkoleń.

Nowe brzmienie punktów 4 i 6 § 43 (dotychczas 42):

4. Komisja Rewizyjna ma prawo występowania do Zarządu Oddziału z wnioskami wynikającymi z ustaleń kontroli i żądania wyjaśnień,
6. **Postanowienia § 41 pkt. 2 oraz pkt. 4** stosuje się odpowiednio.

Nowe brzmienie punktu 4 w § 44 (dotychczas 43)

4. **Postanowienia § 41 pkt. 2 oraz pkt. 4** stosuje się odpowiednio.

Nowe brzmienie punktu 6 w § 46 (dotychczas 45)

6. Zarząd Koła składa się z 3–5 członków wybranych przez Walne Zebranie Koła. Zarząd wybiera ze swego grona prezesa, **sekretarza** i skarbnika (*poprzednio: wiceprezesa*).

Dodany nowy rozdział VII z dwoma nowymi paragrafami:

Klub Wysokogórski PTT
Sekcja Narciarska PTT

§ 47

1. Celem Klubu Wysokogórskiego PTT jest uprawianie oraz popieranie taternictwa i alpinizmu.
2. Klub Wysokogórski PTT jest członkiem Towarzystwa na prawach Oddziału.
3. Klub Wysokogórski PTT posiada osobowość prawną oraz statut uchwalony przez Walne Zebranie członków Klubu i zatwierdzony przez Zarząd Główny PTT.

4. Członkiem Klubu Wysokogórskiego PTT może być wyłącznie członek PTT, przyjęty przez Zarząd Klubu Wysokogórskiego na zasadach wyszczególnionych w statucie Klubu.

§ 48

1. Celem Sekcji Narciarskiej PTT jest uprawianie oraz popieranie narciarstwa.
2. Sekcja Narciarska PTT jest członkiem Towarzystwa na prawach Oddziału.
3. Sekcja Narciarska PTT posiada osobowość prawną oraz statut uchwalony przez Walne Zebranie członków Sekcji i zatwierdzony przez Zarząd Główny PTT.
4. Członkiem Sekcji Narciarskiej PTT może być wyłącznie członek PTT, przyjęty przez Zarząd Sekcji na zasadach wyszczególnionych w statucie Sekcji.

Renumeracja dalszych rozdziałów i paragrafów.

Skreślić 1 w § 49 (dotychczas 46), gdyż jest tylko jeden punkt.

W głosowaniu nad przyjęciem uchwały wzięło udział 112 delegatów; 111 głosowało za zmianami, 1 delegat wstrzymał się od głosu².

Uchwalono także przedstawione przez Antoniego L. Dawidowicza regulaminy komisji rewizyjnych i sądów koleżeńskich.

WYBORY WŁADZ TOWARZYSTWA

Na stanowisko Prezesa PTT zostali zgłoszeni z sali następujący kandydaci: Antoni L. Dawidowicz (Kraków), Krzysztof Kabat (Nowy Targ), Barbara Morawska-Nowak (Kraków), Jan Weigel (Bielsko-Biała) i Maciej Zaremba (Nowy Sącz). Jedynie Antoni L. Dawidowicz zgodził się kandydować i został jedynym kandydatem. W takiej sytuacji Przewodniczący Zjazdu zaproponował jawne głosowanie, ale wobec sprzeciwów Komisja przeprowadziła głosowanie tajne.

Na 137 podpisanych na liście delegatów w wyborach wzięły udział 134 osoby. Stwierdzono 126 ważnych głosów i 8 nieważnych. 91 delegatów głosowało za przedstawionym kandydatem, a 35 przeciw.

Prezesem PTT został Antoni Leon Dawidowicz z Krakowa. Nowo wybrany prezes w swoim wystąpieniu powiedział:

Muszę powiedzieć, że podejmując się funkcji prezesa Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego zdaję sobie sprawę, że podejmuję się misji bardzo, bardzo, bardzo trudnej.

Co najważniejsze, przede wszystkim, chciałbym podziękować Krzyśkowi za sześć lat prezesowania Towarzystwem i za to, że był Prezesem dobrym, a działalność Towarzystwa szła naprzód. Zasadniczo jeżeli będę chciał jakoś inaczej na pewne rzeczy popatrzeć, to nie dlatego, żeby to było negatywne ustosunkowanie

² Sąd Rejonowy dla Krakowa Śródmieścia w Krakowie, XI Wydział Gospodarczy Krajowego Rejestru Sądowego po rozpoznaniu w dniu 28.05.2002 w Krakowie ... postanawia wpisać do Krajowego Rejestru Sądowego ... pod numerem KRS: 0000115547 stowarzyszenie Polskie Towarzystwo Tatrzańskie. Zatwierdza równocześnie zmiany Statutu podczas V Zjazdu, 10 listopada 2001 r.



Antoni Dawidowicz, nowowybrany
prezes. Fot. J. Weigel

się do dotychczasowej pracy Zarządu Głównego, tylko dlatego, że po prostu po pierwsze – życie idzie naprzód, że jak sześć lat temu, kiedy Krzysiek obejmował Prezesurę była inna rzeczywistość, w tej chwili jest inna, i po drugie – każdy człowiek jest inny i to jest właśnie najpiękniejsze na tym świecie, bo świat byłby nudny, gdyby wszyscy byli tacy sami.

Dlatego chciałem powiedzieć, co będzie jakąś główną ideą PTT dla przyszłości. Przede wszystkim to co jest zadaniem dla Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego od jego zarania – walka o to żeby Tatry, żeby nasze wszystkie góry były piękne. Ja często mówię jako swoje motto: Moim marzeniem jest, żebyśmy za sto lat nie popadli w dwa zagrożenia: jedno zagrożenie, że w Tatry nie będą nas puszcząć, bo będzie to już tak

ścisły rezerwat, a drugie zagrożenie, że w Tatry będziemy mogli iść i mówić: tu kiedyś były kozice, tu kiedyś były świstaki, tu kiedyś rosły limby. I te sprawy i te rzeczy trzeba wypośrodkować. Nie można zapomnieć oczywiście o ochronie przyrody, jako tym, co było u zarania dziejów Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego. Wtedy była to ochrona Tatr, dzisiaj musimy chronić przyrodę wszystkich gór, ale podkreślam przyrodę, ekosystem, którego częścią jest człowiek, którego częścią jest turysta, natomiast nie jest częścią tego ekosystemu pieniądz i nie jest częścią tego ekosystemu żadne urządzenie techniczne. W ten sposób rozumiem turystykę. Turystyka, która ma być turystyką ekologiczną. Oczywiście nie można zapomnieć o pewnym problemie, który z tym się wiąże. Podstawową metodą ochrony gór w Polskim Towarzystwie Tatrzańskim ma być edukacja, to jest podstawowe narzędzie. Oczywiście musimy wykorzystać nowe wyzwania, które stwarza ustawa o rolnictwie ekologicznym jeśli idzie o ochronę otuliny, co, trzeba uświadomić głównie ludziom gospodarującym na terenie Parku Narodowego i w jego otulinie. Nie jest prawdą, że ochrona przyrody musi stać w sprzeczności wobec warunków życia ludności okolicznej. Na ochronie przyrody, na ochronie gór można całkiem nieźle zarobić, jeżeli tylko góry się traktuje poważnie. I to jest pierwszy kierunek – ochroniarski, że się tak wyrażę.

Drugi kierunek to sprostanie innym wyzwaniom. Takie wyzwania mamy co najmniej dwa. Pierwszym jest nowa ustawa o usługach turystycznych. Nowa ustawa, która się nam może niezbyt podoba, ale zrobiła jedną rzecz. Złamała monopol jednej tylko organizacji na szkolenie przewodników. W tej chwili odbywają się kursy przewodnickie i tak należy trzymać.

Kolejnym problemem jest nasza baza turystyczna. Z jednej strony baza ta tak naprawdę ogranicza się do Chyży u Bacy i to jest i dobrze i niedobrze. Niedobrze,

że ogranicza się tylko do Chyza, a dobrze, dlatego że jest on prowadzony przez człowieka, który jest z nami od początku, od dwudziestu lat, był uczestnikiem Ogólnopolskiego Sejmiku Reaktywowania PTT i dlatego pewna koncepcja prowadzenia obiektu turystycznego, jaką stworzył przez lata Józek może być szansą dla podejmowania dalszych działań w tym celu. Muszę powiedzieć, że naszą wielką porażką było to, że musieliśmy z różnych powodów zrezygnować z dwóch obiektów, które mogliśmy dostać.

No, ale życie idzie naprzód, fakt pozostaje faktem, samorządy są coraz życzliwsze, w związku z tym jest szansa, że będziemy mieli więcej obiektów turystycznych i wtedy już nie możemy sobie pozwolić na to, żeby musieć oddać te obiekty, ale do tego wiadomo, nie może być obiektu turystycznego, jeżeli nie prowadzi go człowiek, pokroju naszego Bacy, a krótko mówiąc fachowiec.

Parę słów na temat spraw wewnątrz organizacyjnych.

Po pierwsze należy dalej rozwijać działalność wydawniczą. Ale ta działalność wydawnicza, której wizytówką jest Pamiętnik Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego powinna wreszcie zacząć być dochodowa. Te tomy Pamiętnika, które zalegają pod fortepianem u Basi to jest potencjalny nasz dochód, potencjalne pieniądze, które można przeznaczyć na inną działalność. Pamiętamy, ile nawalczyliśmy się o to, żeby można było umieszczać w Pamiętniku reklamy. Należy się zastanowić już nawet w trakcie redagowania Pamiętnika, nad jego, co się dzisiaj nazywa promocją i marketingiem. I dlatego trzeba w tym kierunku patrzeć prowadząc działalność wydawniczą, zwłaszcza że, jak słusznie powiedział Janek, że od prowadzenia jakiegś tam działalności, która ma na celu zdobywanie pieniędzy, to my nie uciekniemy. Ciągłe to odkładamy niejako w czasie, ale nie uciekniemy, chociaż byśmy bardzo, bardzo chcieli. I dlatego ta sprawa jest dość ważna.

Kolejny problem, na który chciałem zwrócić uwagę, to jest problem dalszej decentralizacji działalności Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego. Właściwa działalność Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego powinna się odbywać w oddziałach, tak jak było zawsze, oddziały powinny w miarę możliwości starać się uzyskać osobowość prawną, być może starać się uzyskać jakieś środki na działalność od instytucji lokalnych. Być może współpraca z samorządami lokalnymi będzie wtedy o wiele intensywniejsza.

Kolejny problem to dość drażliwy problem, który jest dość przykry, to to, że nie tak jakbyśmy chcieli wyglądają nasze stosunki z PTTK. Wiadomo, mamy inną optykę tego, co się wydarzyło w 1950 roku. Ale przecież mimo wszystko mamy więcej wspólnego. Skończmy z kulturą turańską, bo jest ona obca naszej strefie geograficznej. W prawosławiu rosyjskim mamy tylko zakon bazylianów, bo nie może być różnych zakonów, bo w tamtej kulturze tak jest, natomiast nasza kultura europejska jest różnobarwna, to jest jej piękno i dlatego też właśnie to, że działa PTTK, że działa PTT, że na Dolnym Śląsku działa DTTK – jeżeli ktoś nie wie, to jest Dolnośląskie Towarzystwo Turystyki Kwalifikowanej – że działają inne organizacje turystyczne, to jest właśnie piękne, że mają różną optykę i co ważne, kreują różny model turystyki.

Parę słów na temat problemu, który ostatnio dość głośno się pojawia w naszych środowiskach, problem obyczajowości. My musimy wykształtować własną obyczajowość turystyczną. To, że my czasami kopiujemy niektóre obyczaje panujące gdzie indziej, to nie wynika z tego, żebyśmy mieli złą wolę lub żeby nam się tamto podobało, po prostu myśmy nie wypracowali, jakiejś innej obyczajowości i takie zadanie też stoi przed nami.

Koleżanki i koledzy delegaci. Przejdę teraz chyba do tego, na co wielu czeka, a mianowicie do zgłoszenia swoich kandydatów do Zarządu...

Spośród 26 kandydatów zgłoszonych do **Zarządu Głównego** w tajnym głosowaniu weszli i po ukonstytuowaniu się objęli odpowiednie funkcje:

<i>Wiceprezesa:</i>	Włodzimierz Janusik (Łódź), Jan Weigel (Bielsko-Biała), Maciej Zaremba (Nowy Sącz)
<i>Sekretarz:</i>	Barbara Morawska-Nowak (Kraków)
<i>Skarbnik:</i>	Mieczysław Maciej Pająkowski (Żywiec),
<i>Członkowie Prezydium:</i>	Michał Myśliwiec (Myślenice) i Stanisław Trębacz (Chrzanów),
<i>Pozostali członkowie:</i>	Janusz Badura (Bielsko-Biała), Krzysztof Czesak (Sosnowiec), Stanisław Czubernat (O/Poznań, TPN), Jerzy Gałda (Nowy Sącz), Jacek Gospodarczyk (Tarnobrzeg), Stanisław Janocha (Warszawa), Krzysztof Kabat (Nowy Targ), Jerzy Krakowski (Mielec), Witold Kwiatkowski (Mielec), Tomasz Mazur (Radom, O/Akademicki), Waldemar Skórnicki (Radom, O/T. Chałubińskiego), Lech Woźny (Poznań), Jerzy Leszek Zalasinski (Kraków).

W skład Zarządu wchodzi ponadto prezes honorowy PTT, Maciej Mischke (Kraków).

Do Głównej Komisji Rewizyjnej zostali wybrani i objęli odpowiednie funkcje:

<i>Przewodniczący:</i>	Kazimierz Opyrchal (Bielsko-Biała),
<i>Z-ca Przewodniczącego:</i>	Barbara Rapalska (Jaworzno),
<i>Sekretarz:</i>	Anna Żołądzka-Zawiła (Sosnowiec),
<i>Członkowie Komisji:</i>	Marian Golus (Radom, O/Chałubińskiego), Jan Poręba (Chrzanów), Janina Mikołajczyk (Łódź), Marek Wojsław (Nowy Sącz),

Do Głównego Sądu Koleżeńskiego zostali wybrani i objęli odpowiednie funkcje:

<i>Przewodniczący:</i>	Tomasz Gawlik (Ostrowiec Świętokrzyski),
<i>Z-ca Przewodniczącego:</i>	Romuald Zaręba (Kalisz),
<i>Sekretarz:</i>	Mirosława Rzepecka (Ostrzeszów),
<i>Członkowie:</i>	Czesław Kurkowski (Radom, O/Akademicki), Antonina Sebesta (Myślenice), Józef Kwiatkowski (Radom, O/Chałubińskiego), Krzysztof Żuczkowski (Nowy Sącz).



Nowy Zarząd Główny PTT.

Od lewej: J. Gałda, S. Trębacz, K. Kabat, J. Gospodarczyk, L. Woźny, T. Mazur, W. Kwiatkowski, B. Morawska-Nowak, J. Badura (z tyłu), K. Czesak, A. Dawidowicz, W. Janusik, M. Myśliwiec, J. Krakowski, M. Pająkowski (z tyłu), S. Czubernat, M. Zaremba, J. Weigel. Niewidoczni z tyłu: S. Janocha i W. Skórnicki.

Fot. Z. Jaskiernia

PODJĘCIE UCHWAŁ

Przewodniczący Komisji Wnioskowej Janusz Badura odczytał wnioski zgłoszone do Komisji, które po uporządkowaniu według zagadnień przedstawiały się następująco:

Działania na rzecz umocnienia pozycji i rozwoju Towarzystwa

1. Poprzeć wniosek grupy członków PTT, będących w naszym Towarzystwie przed 1950 r., o unieważnienie uchwały ostatniego Zjazdu PTT z grudnia 1950 r. o rozwiązaniu Towarzystwa i kontynuować te działania aż do osiągnięcia pozytywnego rezultatu (J. Weigel).
2. Kontynuować starania o unieważnienie w Urzędzie Patentowym RP rejestracji znaku towarowego udzielonego na rzecz PTTK, a będącego odznaką organizacyjną PTT, oraz sfinalizowanie działań prawnych, mających na celu unieważnienie prawa rejestracji znaku „POL. TOW. TATRZAŃSKIE 1873” na rzecz ZG PTTK (J. Weigel)
3. Dążyć do jak najszerzego propagowania PTT w kraju. Podjąć starania, aby w środkach masowego przekazu bardziej niż dotychczas zaakcentowany był potencjał działalności PTT (S. Czubernat, M. Zaremba, J. Krakowski).
4. Dążyć do rozszerzenia struktur PTT na terenie kraju, a szczególnie udzielić pomocy organizacyjnej w powstaniu Oddziału Zakopiańskiego PTT oraz w re-

aktywowaniu oddziałów PTT na Dolnym Śląsku. Oddziały te powinny przyczynić się do promocji Sudetów jako alternatywnych terenów narciarskich i turystycznych oraz do ochrony krajobrazu kulturowego Sudetów, a w szczególności zabytkowych schronisk i wież widokowych (M. Zaremba, B. Morawska-Nowak, A. Dawidowicz).

5. Znaleźć stałą, własną siedzibę dla Zarządu Głównego PTT w Krakowie i oznaczyć ją stosowną tablicą informacyjną oraz zalecić wszystkim Oddziałom PTT posiadanie własnej, stosownie oznaczonej siedziby (W. Janusik, J. Weigel).
6. Zwiększyć łączność Zarządu Głównego z Oddziałami poprzez udział przedstawicieli Zarządu Głównego w oddziałowych walnych zebraniach sprawozdawczo-wyborczych co najmniej raz w kadencji (W. Janusik, J. Weigel).
7. Zobowiązać Oddziały do tworzenia kół młodzieżowych (S. Trębacz), poszerzyć działalność PTT na rzecz młodzieży (J. Krakowski).
8. Zalecić Zarządowi Głównemu ogłaszanie z końcem roku terminów posiedzeń na następny rok oraz kalendarza imprez i przekazywanie informacji Oddziałom (J. Krakowski).

Monografia Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego

9. Opracować pełną monografię Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego (było to już postulowane na IV Zjeździe w 1998 r.). Zarząd Główny winien znaleźć odpowiedni, fachowy zespół ludzi, któremu to zadanie powierzy, aby rzetelnie opracować ten ważki temat i ustrzec się krytyki (M. Zaremba, A. Sebesta, R.W. Schramm).

Poprawa kondycji finansowej Towarzystwa

10. Opracować i uchwalić instrukcję finansową dla Oddziałów (M. Zaremba).
11. Zdyscyplinować ściągalność należności od Oddziałów na rzecz Zarządu Głównego poprzez zobowiązanie do bezwzględnego uiszczenia odpisu od składki rocznej do dnia 30 czerwca każdego roku w wysokości nie mniejszej niż 50% należności (S. Trębacz).
12. Zobowiązać nowy Zarząd Główny do zwrócenia szczególnej uwagi na poszukiwanie pieniędzy na bieżącą działalność Towarzystwa, między innymi poprzez zamieszczanie płatnych reklam w Pamiętniku PTT, z pozostawieniem na zachętę 20% kwoty uzyskanej z reklamy w Oddziale, który ją załatwił (J. Weigel, K. Opychał).

Współpraca z władzami, instytucjami i organizacjami

13. Nawiązać kontakty z władzami państwowymi na szczeblu Ministerstwa i ustalić zasady współpracy. (M. Zaremba, J. Weigel).
14. Nawiązać współpracę z Muzeum Tatrzańskim. Umieścić w Muzeum, w widocznym miejscu gablotę informacyjną PTT (T. Jabłońska – dyrektor Muzeum, A. Sebesta).

Rozwój działalności Sekcji Ochrony Gór PTT

15. Rozwijać działalność Sekcji Ochrony Gór, a w szczególności otoczyć opieką pomnik przyrody „Las Chałubińskich”. Poinformować szeroką opinię publiczną, że jest to pierwszy przypadek oddania swojej własności pod ochronę, co było ostatnią wolą śp. Stefana Chałubińskiego. (J. Zembrzuski, Liga Ochrony Przyrody).

Program Towarzystwa

16. Podjąć uchwałę o przyjęciu przez Zjazd programu PTT wypracowanego na Konferencji Programowej w Bielsku-Białej 8.04.2000 r. (B. Morawska-Nowak).
17. Zorganizować II Konferencję Programową PTT (M. Zaremba).
18. Utworzyć Klub Wysokogórski PTT (J. Weigel, M. Zaremba).
19. Propagować narciarstwo śladowe jako alternatywę dla narciarstwa przywiązanego (M. Zaremba).
20. Rozwijać nadal przewodnictwo w PTT, poprzez organizowanie kursów przewodnickich i tworzenie Kół Przewodnickich PTT (J. Weigel, M. Zaremba).

Wystąpienia do władz

21. Wystąpić do władz państwowych i samorządowych o uruchomienie przejścia turystycznego w Jurgowie (J. Zalasinski).
22. Skierować do Premiera Rządu i Marszałka Sejmu oficjalny sprzeciw wobec ustawy o podatku granicznym (J. Weigel).
23. Skierować do Premiera Rządu i Wojewody Małopolskiego oficjalny sprzeciw w sprawie budowy linii kolejowej ze Szczawnicy przez Przełęcz Obidza do Doliny Popradu (J. Weigel).

Następnie, po wprowadzeniu poprawek, przyjęto przez aklamację rezolucję w związku z 20. rocznicą reaktywowania PTT:

REZOLUCJA W ZWIĄZKU Z 20 ROCZNICĄ REAKTYWOWANIA PTT

10 października 1981 roku delegaci Krajowego Sejmiku Obywatelskiego Komitetu Reaktywowania PTT powołali na nowo do życia POLSKIE TOWARZYSTWO TATRZAŃSKIE.

Niestety, Towarzystwo to mogło zacząć legalnie działać dopiero od 9 grudnia 1988 roku, a na I Zjeździe Delegatów w 1989 roku podjąć uchwałę o powrocie do nazwy POLSKIE TOWARZYSTWO TATRZAŃSKIE.

W dniu dzisiejszym zbieramy się już na V Zjeździe Delegatów PTT by z perspektywy minionego czasu zrobić bilans naszego istnienia.

Nawet w okresie, kiedy zlikwidowano je ogólnymi decyzjami, PTT istniało zawsze w świadomości środowiska turystów górskich. Dziś Polskie Towarzystwo Tatrzańskie znów działa jak dawniej, w całej Polsce ma 24 oddziały i blisko 2000 czynnych turystów. W tym aspekcie uwypuklić należy następujące fakty:

1. Od 10 lat ukazuje się „Pamiętnik PTT”. Jest on wydawnictwem wrosniętym już na trwałe do „rodziny” wydawnictw o tematyce górskiej i tym samym PTT wśród szerokiej rzeszy turystów prezentuje się samo. Uzupełniają go wydawnictwa oddziałowe, nieraz profesjonalne również pod względem poligraficznym, jak np. „Beskid”, czy „Orzeł Skalny”.

2. PTT ma swoją „twarz”. Jako organizacja turystyczna jest także postrzegane jako organizacja proekologiczna. Świadczą o tym liczne wystąpienia w obronie wartości przyrodniczych, a także udział w imprezach ekologicznych (EKO-MEDIA FORUM), Koalicji „Ratujmy Karpaty” oraz stałe kontakty z parkami narodowymi. Symbolem naszej ochroniarskiej postawy jest zielony pasek na naszych swetrach.
3. PTT jest coraz bardziej widoczne w środowiskach, w których ma oddziały. Imprezy adresowane do społeczności lokalnych, niekoniecznie związanych z PTT, jak np. „Dni Gór”, stwarzają atmosferę życzliwości i zrozumienia dla naszych działań.
4. PTT coraz odważniej wychodzi do młodzieży. Szkolne Koła PTT to miejsce, gdzie wyrastają przyszli działacze, ale przede wszystkim turyści, dla których wycieczka w góry nie jest okazją do głośnych śpiewów i wyrzucania butelek na teren parku narodowego. Nie wszystko nam się jednak udało.

Przed wszystkim nie udało się znaleźć *modus vivendi* z PTTK. Szkoda, gdyż przez moment wydawało się nam, że obie nasze organizacje zachowując swoją odrębność i odmienną ocenę tego, co stało się w grudniu 1950 r. będą w stanie podejmować wspólne działania dla dobra turystyki i dla dobra gór.

Nie udało się nam wrócić do naszych dawnych schronisk. Na dziś nie mamy do tego prawa. Próby tworzenia własnej bazy turystycznej są jeszcze niedostateczne.

Z postulowanych przez Krajowy Sejmik OKR PTT celów nie podjęliśmy dotychczas próby stworzenia „Muzeum Kolumbów Tatr”. Tymczasem czas nagli, a Kolumbowie odchodzą... Odeszli Paryscy, a dziś żegnamy Stefana Chałubińskiego, wnuka odkrywcy Zakopanego.

Zachowajmy i chrońmy tradycję, przekazmy ją naszym następcom.

W ramach wolnych wniosków prof. Ryszard W. Schramm zaapelował, aby Zjazd zdecydowanie poparł przywrócenie dr Wojciecha Gąsienicę-Byrcyna na stanowisko dyrektora TPN. Marian Maj (Mielec) i Maciej Zaremba (Nowy Sącz) proponowali, aby poczekać z poparciem na rozwój sytuacji.

Prof. Jerzy Lefeld (Warszawa) postulował wykonanie znaczka pocztowego z okazji 130-lecia PTT.

Wnioskowano także, aby Zarząd Główny wysłał w imieniu Zjazdu list do Ojca Świętego.

Wnioski przyjęto większością głosów.

Przewodniczący Zjazdu podziękował wszystkim za udział w Zjeździe i zamknął obrady V Zjazdu Delegatów PTT w Zakopanem.

* * *

Nazajutrz, w dniu Święta Niepodległości, o godz. 8.30 w kościele OO. Bernardynów na Bystrem kapelan PTT ks. Józef Drabik odprawił Mszę św. w intencji Towarzystwa. Następnie delegaci spotkali się o godz. 10.30 na Cmentarzu Zasłużonych na Pęksowym Brzyzku i złożyli kwiaty na mogiłach osób zasłużonych dla PTT i dla Tatr.

NOWI CZŁONKOWIE HONOROWI

WINCENTY CIEŚLEWICZ

Wincenty Cieślewicz urodził się 10 kwietnia 1934 roku w Krakowie. Ukończył Szkołę Ćwiczeń i I Liceum im. Bartłomieja Nowodworskiego w Krakowie. Następnie studiował geografię na Uniwersytecie Jagiellońskim. Potem pracował jako zbrojarz w Nowej Hucie, instruktor w Komendzie Chorągwi ZHP, w Wawel-Tourist. Był również przewodniczącym Komitetu Kultury Fizycznej i Turystyki w Krakowie, magazynierem w schronisku na Turbaczu, kierownikiem schroniska na Polanie Chochołowskiej, na koniec dzierżawcą; w międzyczasie był kierownikiem ośrodków wypoczynkowych w Kościelisku i Orawce. Od 1996 roku jest rencistą.

Z górami zetknął się w wieku 8 lat, kiedy to odbył swą pierwszą wycieczkę na Stare Wierchy. Atmosfera Szkoły Ćwiczeń i działalność w harcerstwie wyrobiły w nim zamiłowania turystyczne. Jest harcerzem orlim i harcmistrzem. W latach pięćdziesiątych był uczestnikiem pionierskich wypraw letnich i zimowych w Bieszczady, opustoszałe po akcji Wisła. Jest przewodnikiem beskidzkim II klasy, ratownikiem TOPR i instruktorem szkolenia psów ratowniczych.

Był jednym z inicjatorów reaktywowania PTT w roku 1981, organizował spotkania i współpracę grup inicjatywnych Edwarda Moskały i Stefana Maciejewskiego. Brał udział w Sejmiku Komitetu Obywatelskiego Reaktywowania PTT i był w tym czasie delegatem do Zarządu Głównego. Organizował zakopiański Oddział PTT jako jego wiceprezes. To u niego odbywało się spotkanie programowe PTT 12 grudnia 1981 r. przerwane stanem wojennym. W latach 1986, 1987 i 1988 organizowaliśmy u niego, w schronisku na Chochołowskiej, Ogólnopolskie Spotka-



nia b. ośrodków PTT omawiając szansę rejestracji Towarzystwa. W 1995 roku w Schronisku na Chochołowskiej odbył się III Zjazd Delegatów PTT. Obecnie Wincenty Cieślewicz jest członkiem Oddziału Krakowskiego PTT.

Dał się nam przede wszystkim poznać jako wzorowy kierownik schroniska górskiego, przyjaznego turystom i przyrodzie. Turyści chętnie Chochołowską odwiedzali, a nawet założyli Towarzystwo Przyjaciół Schroniska, wspomagając w rozmaity sposób jego utrzymanie i modernizację. Honorując go dzisiaj wyrażamy Mu powszechne uznanie – takich jak on chcielibyśmy widzieć gospodarzy schronisk.

Wcześniejsze uznanie dla jego postawy i działalności to posiadane przez niego: Złota Honorowa Odznaka PTT z Kosówką, Złota Honorowa Odznaka PTTK, Złota Honorowa Odznaka LZS, honorowe odznaki za działalność na niwie turystyki województwa krakowskiego i miasta Krakowa, województwa nowosądeckiego oraz powiatu myślenickiego.

Antoni Leon Dawidowicz

WOJCIECH GĄSIENICA-BYRCYN

Wojciech Gąsienica-Byrcyn urodził się 16 października 1948 roku w Zakopanem. Pochodzi ze starodawnego góralskiego rodu Gąsieniców. Dziadek Stanisław Gąsienica-Byrcyn był znanym przewodnikiem, a ojciec – też Stanisław – był bacą, ale i poetą piszącym gwara. On sam, jako młody chłopak był „honielnikiem” u bacy w dol. Jaworzynki. Szkołę powszechną skończył w Zakopanem, na dalszą naukę zabrała go do Warszawy starsza siostra. Tam skończył liceum, a następnie Wydział Leśny SGGW.

Wojciech Gąsienica Byrcyn z Tatrzańskim Parkiem Narodowym zawodowo związany jest od 1972 r. Na terenie Parku prowadził badania naukowe nad zwierzyną, uzyskując tytuł doktora nauk przyrodniczych. Jest autorem wielu publikacji naukowych i popularnonaukowych. W roku 1990 został dyrektorem Parku popieranym przez miejscową społeczność.

Dogłębnie i wszechstronnie poznał Tatry, ich przyrodę, zagadnienia ochrony przyrody i środowiska, specyfikę pracy w parku narodowym, przechodząc przez różnorodne stanowiska. Pochodząc ze starego rodu góralskiego o wielowiekowej



tradycji bytowania i gospodarowania w Tatrach, doskonale poznał zwyczaje i uwarunkowania życia góralskiego. Wszystkie te różnorodne doświadczenia wykorzystywał w czasie pełnienia funkcji Dyrektora TPN sprawiając, że Park dobrze został przygotowany do czasów gospodarki rynkowej, ale zarazem nie dopuszczał możliwości sprzeniewierzenia się i utraty misji, jaką Parkowi powierzyli jego twórcy i społeczeństwo polskie. Zdecydowanie stawał w obronie tego dziedzictwa, które człowiekowi w opiekę powierzył jego Stwórca, a którego zupełna niezwykłość, delikatność i piękno stało się naczelnym priorytetem przez 130 lat działania Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego.

Na budowanie obrazu TPN bez wątpienia wpłynęły indywidualne osiągnięcia dr Wojciecha Gąsienicy-Byrcyna oraz jego cechy osobiste. Swoją postawą bezkompromisowo przeciwstawiającą się zakusom komercjalizacji Parku, zjednał sobie całe rzesze zwolenników rekrutujących się zarówno z kręgów ekologów, naukowców i miłośników przyrody, jak też zwykłych turystów. A wśród nich nie zabrakło działaczy PTT, którzy przed wielu laty byli głównymi inicjatorami powstania Parku. Kiedy jednak ten już zaistniał, Towarzystwo nasze wymazano z mapy górskich organizacji turystycznych. Od pierwszych dni po reaktywowaniu PTT włączyło się w ruch społecznego wspierania gospodarzy TPN, w tym osobiście Dyrektora Wojciecha Gąsienicy-Byrcyna. Jego działalność w roli Dyrektora Parku w dużym stopniu była realizacją ideałów i niemal testamentu działaczy naszego Towarzystwa sprzed rozwiązania w 1950 roku, pielęgnowanych również po reaktywowaniu. Jego otwarta na wszelką współpracę z PTT postawa zjednała mu w naszych szeregach autentycznych sprzymierzeńców i przyjaciół. Jednocześnie cały czas wspiera nas swoim autorytetem, życzliwością i działaniem, dopomagając w powolnej drodze powrotu Towarzystwa na przynależną mu właściwą pozycję społeczną.

Zaszczytem dla nas jest, wśród wielu tytułów i nagród, jakimi obdarowano już Wojciecha Gąsienicę-Byrcyna (że wspomnimy chociaż tytuł „Człowiek Roku 2000” przyznany przez polskie organizacje ekologiczne, czy też nominowanie przez Uniwersytet Warszawski do międzynarodowego wyróżnienia przyznawanego przez Akademię w Oslo, zwanego „ekologiczną nagrodą Nobla”) uhonorowanie Go Członkostwem Honorowym Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego, a tym samym powitanie wśród naszych najznakomitszych członków.

Krzysztof Kabat

TADEUSZ KIELBASIŃSKI

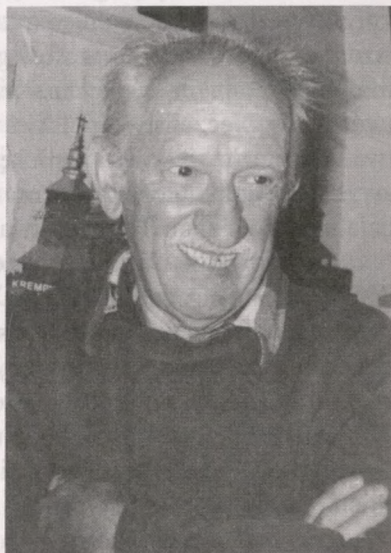
Tadeusz Kielbasiński urodził się 20 września 1930 roku w Głownie koło Łodzi. W roku 1954 ukończył studia na Wydziale Elektrycznym Politechniki Łódzkiej i jako inżynier elektryk przepracował 40 lat w przemyśle papierniczym, na koniec na stanowisku głównego energetyka przemysłu.

Umiłowanie turystyki wyniósł z rodzinnego domu. Po uzyskaniu dyplomu w czerwcu 1954 roku wyruszył na swą pierwszą poważną wyprawę. W czteroosobowej grupie zapaleńców przeszedł część Beskidu Niskiego i Bieszczady, tereny wyludnione po akcji „Wisła”. Ta pierwsza wyprawa wywarła na nim niezatarte wrażenie i zainteresowanie tymi ziemiami i losami ich mieszkańców – Łemków, Bojków, a z czasem też Hucułów.

Od 1953 roku działał aktywnie w PTTK organizując rajdy i zloty oraz szkolenia narciarskie i przodowników turystyki górskiej. Preferował długie wędrówki piesze jak i zimowe narciarskie przez całe pasma Sudetów, Tatr, Beskidów i Bieszczadów; wzorcem osobowym był dla niego Mieczysław Orłowicz. Za działalność w PTTK otrzymał Złotą Odznakę Honorową PTTK i Złotą Odznakę „Zasłużony dla kultury”.

Znaczącym był dla niego rok 1980. Nabył wówczas od dawnych właścicieli zabytkową łemkowską chyzę we wsi Olchowiec koło Dukli w Beskidzie Niskim. Zaangażował się całym sercem i posiadanymi środkami w jej remont i utrzymanie. Łemkowszczyzna stała się dla niego drugą ziemią rodzinną, w mieście spędzał tylko zimy i to nie zawsze. W swej chyży urządził muzeum kultury łemkowskiej. Zappełnił ją sprzętami i wytworami kultury materialnej Łemków, oraz pozostałościami z walk o Przełęcz Dukielską w czasie ostatniej wojny. Zbiory te liczą obecnie ponad 700 eksponatów. Skompletował również bibliotekę – ponad 2000 pozycji na temat Łemkowszczyzny i ponad 350 – związanych z Huculszczyzną i Karpatami Wschodnimi. W roku 1984 opracował Bibliografię Łemkowszczyzny, a w roku 1995 – Bibliografię Nikofora, obie pozycje wydane przez Towarzystwo Karpackie.

W 1980 roku brał czynny udział w reaktywowaniu PTT w okręgu łódzkim, a w roku 1990 uczestniczył w tworzeniu Towarzystwa Karpackiego, został przewodniczącym Sekcji Łemkowskiej. W ramach programu „Powroty do tradycji” był jednym z tych, którzy przywrócili zapomniany obyczaj Kermeszu (odpustu) w łemkowskiej wsi Olchowiec. Pierwszy odbył się w 1991 roku i zgromadził dawnych mieszkańców wsi rozproszonych po całym świecie. Był współredaktorem okolicznościowej gazetki łemkowskiej „Hołos spid Horba”. W latach 1993–1994



był organizatorem „Sobótek łemkowskich”, integrował społeczność łemkowską przekonując do powrotu do tradycyjnych strojów i obrzędów. Prowadzi działalność publicystyczną, współredaguje „Płaj” – półrocznik Towarzystwa Karpackiego, a w „Pamiętniku PTT” opublikował słownik gwary huculskiej oraz mapy obrazujące rozmieszczenie schronisk w Bieszczadach, Gorganach i Czarnohorze przed 1939 rokiem.

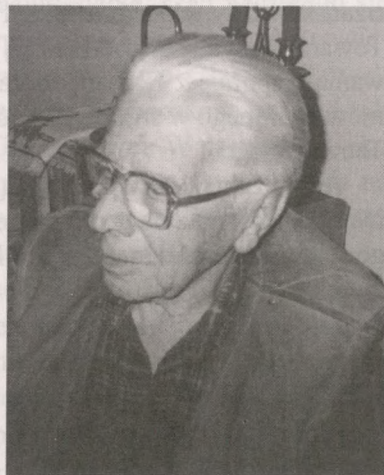
W roku 1994 roku wstąpił do Oddziału Łódzkiego PTT i brał udział w organizowanych przez Oddział wyprawach w Karpaty Wschodnie. Był następnie inicjatorem utworzenia w Łodzi drugiego Oddziału – Oddziału Karpackiego, którego jest wiceprezesem i głównym motorem wszelkich inicjatyw. Organizuje odczyty i prelekcje oraz występy zespołów folklorystycznych. Zorganizowane przez niego wystawy: „Sztuka ludowa Hucułów znad Prutu i Czeremoszu” (1999) i „Nikifor – bajeczny świat Beskidów” (2000) cieszyły się ogromnym zainteresowaniem.

Tadeusz Kiełbasiński przez swoją wieloletnią, żarliwą i pełną zaangażowania działalność poświęconą Karpatom Wschodnim, w tym w ramach PTT, w pełni zasłużył na godność Członka Honorowego naszego Towarzystwa.

Janusz Pilc

ADAM LIBERAK

Urodził się 6 września 1921 roku w Toruniu. Jego rodzina od lat była związana z Podhalem i Tatrami. Babka, Izabela Liberakowa, działaczka Towarzystwa Szkół Ludowych, była założycielką i dyrektorką pierwszej żeńskiej szkoły ludowej w Nowym Targu. Urodzony w Nowym Targu ojciec Adama – Marian Adam Liberak, inżynier leśnictwa – był w latach 1921–1931 nadleśniczym w lasach tatrzańskich Władysława Zamoyskiego, a potem Fundacji Kórnickiej. To Jemu lasy te zawdzięczają swą odbudowę, to Jemu udało się rekultywować morenę Morskiego Oka. Niestety osierocił 10-letniego syna.



Adam Liberak dorastał pod Tatrami, chodził do szkoły w Zakopanem i Nowym Targu, uganiał z góralczykami, jeździł na nartach, odbywał pierwsze wycieczki tatrzańskie i wspinaczki, uczestniczył w wyprawach ratunkowych. Stąd od dzieciństwa było mu bliskie wszystko, co związane z Tatrami i Podhalem. W Poznaniu, gdzie zetknął się z wielkim entuzjastą Tatr Jerzym Młodziejowskim. W tym czasie należał już do PTT i Sekcji Narciarskiej PTT.

Gdy wybuchła II wojna światowa 18-letni Adam uczestniczył w kampanii wrześniowej 1939 roku. Aresztowany przez bolszewików uciekł. Udało mu się przedostać na zachód i walczył w Wojsku Polskim we Francji, dostał się do niemieckiej niewoli. Uciekał trzy razy. Dostał się do Wojska Polskiego we Francji. Tam po zakończeniu wojny zdawał maturę.

W roku 1946 wrócił do Polski. Ukończył ekonomię na Akademii Handlowej w Krakowie (1949), a następnie studia magisterskie na Akademii Ekonomicznej w Katowicach (1968). Pracował jako dziennikarz i redaktor wydawnictw reklamowych. Jest autorem licznych artykułów i reportaży na aktualne tematy tatrzańskie i zakopiańskie, m.in. z dziedziny turystyki, narciarstwa, ratownictwa, ochrony przyrody, speleologii, w aspekcie historycznym (np. 80 lat SN PTT, Podtatrze 1987, nr 1–2) i współczesnym. Jest też autorem kilku opowiadań, z którym jedno – Błękitny krzyż – dało początek scenariuszowi filmu Andrzeja Munka pod tym samym tytułem.

W 1971 roku zamieszkał na stałe w Zakopanem. Jest członkiem-seniorem TOPR i członkiem Towarzystwa Muzeum Tatrzańskiego.

Całe życie zainteresowany szczególnie ochroną Tatr i pamiętający wiele spraw, jeszcze z działalności swego Ojca, stał się doradcą Dyrekcji Parku, a w latach 1991–2000 był Przewodniczącym Społecznej Rady Parku, zrzeszającej przedstawicieli samorządów i miejscowych organizacji. Kierując Radą potrafił wiele spraw członkom tej Rady uświadomić i przeprowadzić na korzyść ochrony Tatr.

Był od początku zainteresowany reaktywowanym PTT. Brał udział w I Zjeździe, na którym uchwalono powrót do pełnej nazwy – Polskie Towarzystwo Tatrzańskie. Gdy w październiku 1991 roku narodziła się myśl wydawania rocznika Towarzystwa stał się od razu jej gorącym zwolennikiem i podjął się jego redagowania wspólnie z Barbarą Morawską-Nowak. Dzięki temu ukazało się już 9 tomów cenionego w środowisku turystycznym „Pamiętnika Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego”.

Adam Liberak swoją szeroką i wieloletnią działalnością na rzecz Tatr, ochrony ich przyrody oraz na rzecz naszego Towarzystwa w pełni zasłużył na nadanie mu godności Członka Honorowego PTT.

Maciej Zaremba

BARBARA MORAWSKA-NOWAK

Barbara Morawska-Nowak urodziła się 3 stycznia 1936 roku w Krakowie. Rodzice byli lekarzami. II wojnę światową razem z powstaniem warszawskim przeżyła wraz z rodziną w Warszawie. Po powrocie rodziny do Krakowa ukończyła w 1952 roku XI Liceum Ogólnokształcące im. Józefy Joteyko, a następnie studiowała biologię na Uniwersytecie Jagiellońskim uzyskując w marcu 1957 roku dyplom magistra biologii. Przez trzy lata była nauczycielką, przez rok asystentką na Wyższej Szkole Rolniczej, a od marca 1962 roku związała się z Zakładem, a następnie Instytutem Farmakologii Polskiej Akademii Nauk. Była tam na studiach doktoranckich, których nie ukończyła, a następnie pracowała w Bibliotece Instytutu, kierując nią od 1985 roku. Po przejściu na emeryturę nadal pracuje w Instytucie w niepełnym wymiarze godzin jako kierownik Działu Wydawnictw.



Wzrastała w tradycji patriotycznej i harcerskiej. W Tatry wprowadziła ją matka, wielka ich miłośniczka. Po raz pierwszy wiosną 1946 roku. Rodzinne wakacje w podtarzańskich wioskach – Poronin, Cyrhla, Murzasichle, skąd wyruszało się na wycieczki, sprzyjały poznaniu gór. Szybko sama stała się organizatorką wycieczek rodzinnych i koleżeńskich. Gdy już wszystkie możliwe szlaki w Tatrach i Beskidach zostały poznane, w 1955 roku odbyła kurs wspinaczkowy w skałkach podkrakowskich, a następnie tatrzański na Hali Gąsienicowej. W następnym roku była na kursie dla zaawansowanych w Morskim Oku i zimowym – znowu na Hali. Przez osiem lat uprawiała czynnie taternictwo. W tym czasie była też przez cztery lata sekretarką Koła Krakowskiego Klubu Wysokogórskiego. Wyszła za mąż, urodziła czworo dzieci. Życie rodzinne odsunęło ją trochę od gór, ale przyszedł czas w latach siedemdziesiątych na wakacje z własną rodziną, znowu u podnóża Tatr – w Murzasichlu. Nie straciła kontaktu ze środowiskiem taternickim, a nawet go z czasem pogłębiła. Była jedną z założycieli Koła Taterników-Seniorów Klubu Wysokogórskiego w 1988 r., a następnie stała się organizatorką corocznych zlotów taternickich w dolinie Będkowskiej i w Morskim Oku.

Jeszcze w 1949 roku wraz z rodzicami wstąpiła do Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego. Potem od 1952 roku należała do PTTK. Na zebraniu w Klubie pod Gruszką 26 listopada 1981 r. złożyła wraz z mężem deklarację do PTT. Na zebraniu tym spotkała m.in. kolegę klubowego Macieja Mischke. Wraz z nim i Marianem Zurzyckim zorganizowała zebranie założycielskie Oddziału Krakowskiego PTT 23 lutego 1983 roku. Została wybrana sekretarzem Oddziału i od tego czasu pełni tę funkcję, od I Zjazdu Towarzystwa w 1989 roku – jako sekretarz Zarządu

Głównego. Brała udział we wszystkich spotkaniach byłych ośrodków PTT dążących do rejestracji Towarzystwa. W 1991 r. zainicjowała wydawanie biuletynu informacyjnego PTT „Co słyszać?”, które stale redaguje, a rok potem – Pamiętnika Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego, który redaguje m.in. wraz z Adamem Liberakiem.

Jako Sekretarz cały czas prowadzi codzienną niemal pracę administracyjną. Cały czas też angażuje się we wszelkie działania ochroniarskie, w tym na forum daleko wykraczających poza PTT. Zaslugi wymieniać można jeszcze długo. Jest dla Towarzystwa bez wątpienia tą osobą, którą często nazywa się „niezastąpioną”. Jej życie osobiste, zawodowe, jej pasje i dążenia całkowicie są związane z funkcjonowaniem, formowaniem i rozwojem Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego. Przy całej swojej wewnętrznej skromności, nigdy niczego nie czyniła dla „nagrody i zapłaty”. Tym większym też honorem dla członków PTT jest uhonorowanie Jej najbardziej zaszczytnym tytułem Członka Honorowego.

Krzysztof Kabat

ODDZIAŁY I KOŁA PTT

W roku 2001 PTT miało 24 oddziały terenowe. W zestawieniu uwzględniono także koła terenowe, których działalność lub/i skład osobowy zostały wyodrębnione w sprawozdaniach. Poniżej podajemy informacje adresowe, poszerzone o adresy e-mail (coraz popularniejsze i znakomicie ułatwiające kontakty) oraz dane o wydawanych przez oddziały biuletynach.

	Prezes	Adres i telefon kontaktowy	kontakt e-mail	Biuletyn , redaktorzy, strona www
Bielsko-Biała	Jan Weigel	Karłowicza 4/32 43-300 Bielsko-Biała tel. (033) 822-80-91	ptt_bielsko@poczta.pl	„Biuletyn Informacyjny” J. Weigel www.bielsko.ptt.org.pl
Chrzanów	Stanisław Trębacz	Trzebińska 1/14 32-500 Chrzanów tel. (032) 623-68-01		„Orzeł Skalny” S. Trębacz A. Machowska http://free.ngo.pl/ptt lub www.chrzanow.ptt.org.pl
Dęblin	Krzysztof Karbowski	Warszawska 60b 08-530 Dęblin tel. (081) 883-06-51		
Gliwice	p.o. Krzysztof Ziolo	Zbigniew Prusowski Sudecka 11 44-200 Rybnik tel. (032) 237-16-32 pr.	wacz@boss.iele.polsl.gliwice.pl	„Hyr” K. Drabczyk K. Waczyński
Jarosław	Dorota Milianowicz	3 Maja 48/16 37-500 Jarosław tel. (016) 621-14-65	milianowicz@poczta.onet.pl	
Jaworzno	Roman Abgan	Piłsudskiego 54/37 43-609 Jaworzno tel. (035) 616-59-38		
Kalisz	Małgorzata Dutkiewicz	Górnośląska 35/10 62-800 Kalisz tel. (062) 502-51-84		
Kielce	Henryk Rączka	Alabastrowa 98 25-753 Kielce tel. (041) 345-62-19	filar@alpinizm.pl	
Kraków	Antoni L. Dawidowicz	Litewska 22/9 30-014 Kraków tel. (012) 634-25-69	dawidowi@im.uj.edu.pl slota@tf.com.pl (A. Słota)	„Wołanie” A. Słota www.krakow.ptt.org.pl

Koło Myślenice	Szymon Kowalczyk	os. Tysiąclecia 22/63 32-400 Myślenice tel. (012) 272-10-16	skowalczyk@almalo.edu.pl	
Koło Nowa Sarzyna	Lesław Marciniak	Kopernika 1 37-310 Nowa Sarzyna tel. (017) 241-12-93	lechu@sarzyna.pl	
Koło Ostrowiec Świętokrzyski	Tomasz Gawlik	Sienkiewicza 32 27-400 Ostrowiec Świętokrzyski tel. (041) 265-38-22		
Łódź	Włodzimierz Janusik	Agnieszka Lesz Potulna 10/3 93-319 Łódź tel. (042) 646-81-06	zakos@polbox.com	„Zakos” A. Lesz http://republika.pl/zakos
Łódź Oddz. Karpacki	Janusz Pilc	Ewa Kuziemska Rembielińskiego 25/4 93-575 Łódź tel. (042) 636-39-74		„A co u nas?” E. Kuziemska www.lodz-k.ptt.org.pl
Mielec	Jerzy Krakowski	Hynka 8 39 300 Mielec tel. (017) 586-43-59 0505-729-181	jpkra@wp.pl	
Nowy Sącz Oddz. Beskid	Maciej Zaremba	Narutowicza 3 p.101 33-303 Nowy Sącz tel. (018) 443-59-25	beskidy1@wp.pl pttbeskid@poczta.onet.pl	„Beskid” M. Zaremba http://www.ns.of.pl/ptt lub www.nowysacz.ptt.org.pl
Koło Krynica	Marian Ryba	Czarny Potok 11/6 33-380 Krynica tel. (018) 471-30-55		
Koło Tarnobrzeg	Bogdan Maślanka	Borek 1 39-400 Tarnobrzeg	tarnobrzeg@ptt.org.pl tarnobrzeg@poczta.onet.pl	„Nasze wędrowanie” www.ptt.prv.pl lub www.tarnobrzeg.ptt.org.pl
Nowy Targ Oddz. Podhalański	vacat	Krzysztof Kabat Gen. Maczka 5/13 34-400 Nowy Targ tel. (018) 266-83-11	kabat@tf.com.pl	www.nowytarg.ptt.org.pl
Koło Biała Podlaska	Marek Kuraś	Górna 22 21-500 Biała Podlaska	marekkuras@poczta.onet.pl kurasm@polbox.com	
Opole	p.o. Alicja Nabzdyk-Kaczmarek	Grota Roweckiego 6d/8 45-256 Opole tel. (077)		

Ostrzeszów	Mirosława Rzepecka	Małkowskich 5 63-500 Ostrzeszów tel. (063) 730-38-51 0608-652-459		
Oświęcim	Czesław Klimczyk	Anna Strama Dąbrowskiego 75/5 32-602 Oświęcim tel. (033) 844-00-53 0501-828-183 (C. Klimczyk)		
Poznań	Leszek Lesiczka	ul. Bułgarska 150b/13 60-84 Poznań tel. (061) 868-67-60	gnera@main. amu.edu.pl (G. Rychlewicz)	„Świstak” L. Lesiczka, S. Kraina, G. Rachlewicz
Radom Oddz. Akademicki	Tomasz Mazur	Wyścigowa 10/7 26-600 Radom tel. (048) 36-53-19 0608-480-042	mazurt@kiux. man.radom.pl	„Radom” S. Krok
Radom Oddz. T. Chałubińskiego	Waldemar Skórnicki	Wośnicka 32A/13 26-600 Radom tel. (048) 334-36-54		www.radom-ch. ptt.org.pl
Szkolny Klub „Nogarytm” Sandomierz	Janusz Wieczorek	I Liceum Ogólnokształcące Cieśli 2 27-600 Sandomierz		
Klub Wędrowców SKKT-PTT- -PTTK „Pelzaki”	Barbara Pożoga	Świętobonyców 22/4 71-665 Szczecin tel. (091) 442-09-06		
Sosnowiec	Krzysztof Czesak	41-200 Sosnowiec tel. (032) 266-38-15	zodiak@triada.pl	Klimek Z. Jaskiernia, K. Czesak http://www.free. polbox/p/pttosos
Szczecin	Piotr Dykowski	Anna Uszyńska ks. Bogusława X 25/6 70-242 Szczecin tel. (091) 433-48-71	ptt.szczecin@ interia.pl	
Warszawa	Jerzy Lefeld	Cieszkowskiego 1/3 m 103 01-636 Warszawa tel. (022) 839-86-81	jlefeld@twarda. pan.pl	www.warszawa. ptt.org.pl
Żywiec	Mieczysław Maciej Pająkowski	Kopernika 69 34-300 Żywiec tel. 0602-177-857	mpajakowski@ interia.pl	

Oddział PTT w Bielsku-Białej

Rok 2001 był dwunastym rokiem działalności Oddziału od jego reaktywowania w roku 1990. Kontynuowano realizację zadań statutowych i założonego programu działania, mającego na celu przede wszystkim zainteresowanie mieszkańców Bielska-Białej górami i ludźmi gór.

Oddział posiada osobowość prawną i został przerejestrowany do Krajowego Rejestru Sądowego.

Był to ostatni rok kadencji 1999–2001. Jedyną zmianą w składzie władz Oddziału było objęcie funkcji skarbnika przez Irenę Jędrysik-Misztal, po śmierci Mieczysława Stawiarskiego.

Po wielu latach starań udało się uzyskać pomieszczenie dla Oddziału. Lokal o powierzchni ponad 32 m² znajduje się w zabytkowej kamienicy przy ul. 3 Maja 1, w samym centrum miasta. Dyżury Zarządu i spotkania członków Oddziału odbywały się tradycyjnie we czwartki.

Ważnym elementem pracy Zarządu Oddziału było składanie wniosków o dotacje celowe lub granty do władz miasta Bielsko-Biała, Śląskiego Urzędu Marszałkowskiego oraz Ministerstwa Gospodarki. Łącznie złożono 7 wniosków. Przyznany został tylko jeden grant w wysokości 2000 zł z Urzędu Miasta Bielsko-Biała, w ramach tzw. lokalnego partnerstwa.

Oddział obchodził 75-lecie PTT w Bielsku-Białej – jubileusz utworzenia w marcu 1926 roku Koła PTT w Białej Krakowskiej, należącego do Oddziału Babiogórskiego w Żywcu. Odbyło się uroczyste spotkanie członków Oddziału, wydana została odznaka „75 lat PTT w Bielsku-Białej”, ukazała się okolicznościowa kartka pocztowa oraz koperta, a Urząd Poczty w Bielsku-Białej stosował okolicznościowy datownik.

Nadal wydawany jest BIULETYN INFORMACYJNY ODDZIAŁU. W roku 2001 ukazały się 3 numery. Rozsyłany jest do członków Oddziału wraz z egzemplarzami Informatora PTT „Co Słyszać?”.

Współpraca Oddziału z Zarządem Głównym PTT była bardzo dobra. Przedstawiciel Oddziału, pełniący równocześnie funkcję wiceprezesa ZG, uczestniczył niemal we wszystkich posiedzeniach Zarządu Głównego oraz Prezydium, sprawnie funkcjonowała wymiana korespondencji, głównie za pośrednictwem poczty elektronicznej.

Zarząd Oddziału prowadził promocję i sprzedaż „Pamiętnika PTT” oraz kontynuował działania na rzecz sponsorów zlecających płatne reklamy w naszym wydawnictwie (wszystkie zapłacone reklamy w tomach od piątego do dziewiątego zostały uzyskane staraniem Oddziału)

Dobrze układała się również współpraca z Bielskim Klubem Alpinistycznym, z którym Oddział posiada wspólny lokal. Współpracowano przy zorganizowaniu uroczystości 75-lecia PTT oraz 50-lecia utworzenia organizacji taternickiej w Bielsku-Białej. Kontynuowana była współpraca w zakresie organizacji szkolenia skałkowego.

Kontynuowana była także współpraca z organizacjami ekologicznymi na rzecz ochrony środowiska naturalnego gór, zbierane były podpisy pod apelami dotyczącymi zagrożeń przyrody i krajobrazu Tatrzańskiego Parku Narodowego, a także innych obszarów cennych przyrodniczo.

Oddział nadal jest członkiem stowarzyszonym Beskidzkiej Izby Turystyki i wykorzystuje ten fakt do promocji naszego Towarzystwa.

W V Zejeździe Delegatów PTT uczestniczyło dziewięciu delegatów Oddziału w Bielsku-Białej. W uroczystej części Zjazdu trzech członków Oddziału odznaczonych zostało złotą odznaką PTT z kosówką: Roman Bułka, Kazimierz Opyrchał oraz Mieczysław Stawiarski (pośmiertnie). Do Zarządu Głównego wybrani zostali Janusz Badura i Jan Weigel (pełni funkcję wiceprezesa), a Kazimierz Opyrchał został przewodniczącym Głównej Komisji Rewizyjnej.

Członkowie Oddziału preferują turystykę indywidualną, bez cech masowości, zgodną z podstawowymi ideami naszego Towarzystwa i zapisami w statucie. Stąd małe zainteresowanie ogólnopolskimi imprezami organizowanymi przez inne Oddziały. Turystów naszego Oddziału można było spotkać w wielu grupach górskich Polski, w górach Słowacji, włoskich Dolomitach, a także w Andach Argentyńskich (Aconcagua) i Górach Changajskich w Mongolii.

Oddział posiada trzy Stacje Turystyczne PTT: „Chatę pod Kwiatkiem” w Zawoi, Pensjonat „Katarzyna” w Zakopanem i Pensjonat „Pod Kiczorą” w Jeleśni, dysponujące ponad 50 miejscami noclegowymi. Stacje promowane są bezpłatnymi reklamami w kolejnych tomach „Pamiętnika PTT”, a także poprzez organizowanie – przede wszystkim w „Chacie pod Kwiatkiem” – okolicznościowych imprez i spotkań.

Jan Weigl

Zarząd Oddziału:

1. Prezes:	Weigel Jan	inż. chemik	Bielsko-Biała
2. Wiceprezes:	Opyrchał Kazimierz	inż. rolnik	Bielsko-Biała
3. Sekretarz:	Bułka Roman	inż. mechanik	Bielsko-Biała
4. Skarbnik:	Jędysik-Miształ Irena	filolog	Bielsko-Biała
5. Członek Zarządu:	Baron Szymon	student	Bielsko-Biała
6. Członek Zarządu:	Gawłowski Piotr	mgr ekonomii	Jaworze Górne
7. Członek Zarządu:	Wieczorkowski Zenon	tech. mechanik	Bielsko-Biała
8. Członek Zarządu:	Żydek Zygmunt	tech. poligrafii	Bielsko-Biała

Komisja Rewizyjna:

9. Przewodniczący:	Badura Janusz	mgr ekonomii	Skoczów
10. Zastępca:	Sieńczyk Jan	tech. mechanik	Czechowice-Dziedzice
11. Sekretarz:	Kittner Józef	tech. włókiennik	Cięcina

Sąd Koleżeński:

12. Przewodniczący:	Kwiatkowski Janusz	tech. elektryk	Bielsko-Biała
13. Zastępca:	Stroński Marek	mech. maszyn	Bielsko-Biała
14. Sekretarz:	Borzemski Jan	inż. budowl.	Bielsko-Biała

Członkowie Oddziału:

15. Banasiak Alicja	tech. chemik	Bielsko-Biała	57. Michalak Teresa	technik	Bielsko-Biała
16. Bara Andrzej	emeryt	Katowice	58. Mierzwa Wiesław	konstruktor	Sosnowiec
17. Bielecki Marian Tadeusz	ekonomista	Bielsko-Biała	59. Misztal Stanisław	inż. mechanik	Bielsko-Biała
18. Biesik Tomasz	tech. mechanik	Bielsko-Biała	60. Misztal Stanisław, jr	uczeń	Bielsko-Biała
19. Botwina Krystyna	labor. medyczna	Czechowice-Dziedzice	61. Niemczyk Józef	tech. mechanik	Bestwina
20. Botwina Stanisław	inż. architekt	Czechowice-Dziedzice	62. Nowak Zygmunt	mechanik	Cieszyn
21. Czechowicz Zbigniew	inż. elektryk	Bielsko-Biała	63. Nycz Czesław	inż. mechanik	Bielsko-Biała
22. Drag Adam	inż. mechanik	Bielsko-Biała	64. Opyrchal Aleksandra	emerytka	Bielsko-Biała
23. Dziuban-Dechnin Joanna		Gdańsk	65. Pańków Aleksander	inż. elektryk	Katowice
24. Frączek Bogdan	emeryt	Katowice	66. Paszkiewicz-Pączkiewicz Irma	farmaceutka	Bielsko-Biała
25. Georg Andrzej	adwokat	Ustroń	67. Paszkiewicz-Pączkiewicz Małgorzata	nauczycielka	Bielsko-Biała
26. Godziszka Marek	ekonomista	Bielsko-Biała	68. Paszkiewicz-Pączkiewicz Bogdan Krzysztof	nauczyciel	Bielsko-Biała
27. Grzybowska Sonia	uczenica	Bielsko-Biała	69. Pawelek Anna	uczenica	Bielsko-Biała
28. Holerek Grzegorz	inż. włókiennik	Lipowa	70. Pawelek Ewa	ekonomistka	Bielsko-Biała
29. Jakubiec Roman	tech. mechanik	Bielsko-Biała	71. Pawelek Marzena	uczenica	Bielsko-Biała
30. Jankowska Barbara	emerytka	Bielsko-Biała	72. Pawelek Jerzy	rzemieślnik	Bielsko-Biała
31. Kaps Stanisław	tech. mechanik	Cięcina	73. Pelc Piotr	prawnik	Łańcut
32. Kociolek Franciszek	ślusarz maszynowy	Bydgoszcz	74. Podolski Leszek	inż. budowl.	Bielsko-Biała
33. Komosińska Barbara	farmaceutka	Bydgoszcz	75. Popowicz Andrzej	inż. mechanik	Katowice
34. Komosiński Mieczysław	prawnik	Tyczyn	76. Pukowski Jerzy	tech. mechanik	Bielsko-Biała
35. Konkol Mariusz	student	Bielsko-Biała	77. Rybak Wojciech	nauczyciel	Łańcut
36. Korbel Andrzej Janusz	inż. architekt	Bielsko-Biała	78. Sarecki Zenon	inż. mechanik	Bielsko-Biała
37. Kozłowski Józef	emeryt	Gliwice	79. Sieńczak Paweł	student	Czechowice-Dziedzice
38. Kozubek Tadeusz	emeryt	Bažanowice	80. Sieńczak Piotr	student	Czechowice-Dziedzice
39. Kożusznik Józef	metalurg	Bielsko-Biała	81. Skoczek Barbara	tech. normowania	Bielsko-Biała
40. Kubik Witold	nauczyciel	Bielsko-Biała	82. Stachowicz Jan	profesor	Piekary Śląskie
41. Kukuczka Barbara	inż. chemik	Bielsko-Biała	83. Stawiarska Bogna	uczenica	Bielsko-Biała
42. Kulak Aleksandra	inż. chemik	Bielsko-Biała	84. Szczotka Mieczysław	tech. mechanik	Bielsko-Biała
43. Kulak Mirosław	inż. chemik	Katowice	85. Szczurek Bolesław	elektryk	Kęty
44. Lampe Anna	artysta plastyk	Skoczów	86. Szupina Alojzy	prac. umysł.	Cieszyn
45. Lampe Paweł	prof. dr hab. n. med.	Bielsko-Biała	87. Śpiewak Witold	inż. chemik	Bieruń Stary
46. Lasota Leszek	metalurg	Kędzierzyn	88. Temlak Eugeniusz	lekarz	Leśna
47. Lenert-Szulc Janina	filolog	Ruda Śląska	89. Weigel Ewa	fizyk	Bielsko-Biała
48. Lizurej Martyna	uczenica	Bielsko-Biała	90. Weigel Jacek	spec. ds. marketingu	Bielsko-Biała
49. Machulik Janusz	inż. górnik	Bielsko-Biała	91. Wójcicki Roman	tech. mechanik	Kęty
50. Maj Karol	księgowy	Bielsko-Biała	92. Wronowska Irena	prac. umysł.	Bielsko-Biała
51. Malinowski Szymon Piotr	inż. geodeta	Bielsko-Biała	93. Wronowski Tadeusz	inż. architekt	Bielsko-Biała
52. Maniecki Waldemar	tech. mechanik	Katowice			
53. Marek Janina	historyk	Poronin			
54. Marek Stanisław	inż. mechanik				
55. Marek Tadeusz	mgr ekonomii				
56. Martynowicz Miłosz					

zmarli:	Betlejewski Waldemar	ekonomista	Warszawa
	Stawiarski Mieczysław	tech. mechanik	Bielsko-Biała
			skarbnik Oddziału

Oddział PTT Chrzanów

W roku 2001 Oddział zorganizował 26 jedno- lub kilkudniowych wycieczek, których zestawienie podajemy poniżej:

- Beskid Śląski: Poniwiec – Czantoria – Stożek – Łabajów (4.03. – 13 osób)
- Beskid Śląski: Fojtula – Barania Góra – Wisła Czarne (18.03. – 17 osób)
- Krokusy w Dolinie Chocholowskiej – wejście na Grzesia (1.04. – 27 osób)
- Niedziela Palmowa w Lipnicy Murowanej – zamek w Wiśniczu – Skalne Miasto. Po konkursie palm wycieczka górską na trasie: Rajbrot – Łopusze – Żegocina. (8.04. – 27 osób)
- Pieniny Polskie i Słowackie: wycieczka kilkudniowa (30.04.–3.05. – 10 osób)
 - 1.05. Biała Woda – Litmanowa – Wysoka – Durbaszka – Jaworki. Zwiedzanie miejsc objawień NMP
 - 2.05. Szczawnica – Leśnica – Haligowskie Skąły – Czerwony Klasztor – Spływ Dunajcem
 - 3.05. Czorsztyn – Trzy Korony – Sokolica – Szczawnica
- Beskid Śląsko-Morawski: Ostrawica – Łysa Góra – Szańce (13.05. – 24 osoby)
- Beskid Niski – okolice Biecza: dwudniowa wycieczka turystyczno-krajoznawcza (26–27.05. – 26 osób)
 - Chrzanów – Ciężkowice – Rzepienniki – Binarowa – Biecz
 - Biecz – Diabelskie Skąły – Kornuty – Wapienne
- Babia Góra: Markowa – Akademicka Perć – Diabłak – Brona – Markowa (3.06. – 12 osób)
- Mała Fatra: Biały Potok – Diery Dolne – Mały Rozsudziec – Przełęcz Międzyhole – Stefanowa (10.06. – 25 osób)
- Mała Fatra: Vratna – Mały Krywań – Ściany – Południowy Groń – Vratna (15.07. – 49 osób)
- Beskid Śląski: wycieczka krajoznawcza do Wisły. 10 osób weszło na Baranią Górę (21.07. – 42 osoby)
- Niżnie Tatry: Szwermowo – Królewska Hala – Szwermowo (29.07. – 13 osób)
- Beskid Średni: Kudłacze – Kamiennik – Poręba – Działek – Kudłacze (5.08. – 12 osób)
- Gorce: Kowaniec – Turbacz – Łopuszna. Udział w Mszy św. w Kaplicy Papieskiej, odwiedzenie grobu ks. J. Tischnera (12.08. – 16 osób)
- II obóz wysokogórski w Tatrach Słowackich, kwatera w Nowej Leśnej (15–19.08 – 12 osób)
 - 15.08. Wodospady Zimnej Wody
 - 16.08. Tatrzańska Łomnica – Jagnięcy Szczyt – Biała Woda
 - 17.08. Siodelko – Czerwona Ławka – Siodelko
 - 18.08. Szczyrbskie Jezioro – Koprowy Wierch – Popradzki Staw
- Sulowskie Skąły (Słowacja): Cieśniawa – Gotycka Brama – Zamek Sulow – Brody – Rogacz – Cieśniawa (26.08. – 38 osób)



Sulowskie Skąły (26.08.2001 r.).

Fot. S. Trębacz

- Tatry Zachodnie Słowackie: Przełęcz Huciańska – Siwy Wierch – Zuberec. (9.09. – 44 osoby)
- Babia Góra: Krowiarki – Diablak – Brona – Markowa (23.09. – 25 osób)
- Tatry Zachodnie Słowackie: Orawice – Przełęcz Bobrowiecka – Bobrowiec – Dolina Juraniowa – Cieśniawy – Orawice. Zapoznano się ze skałą wylewną Limburgid. (30.09. – 18 osób)
- Tatry: wycieczka dwudniowa (12–14.10. – 9 osób)
 - Kuźnice – Zawrat – Świnica – Kuźnice
 - Kuźnice – Kopa Kondracka – Giewont – Dolina Strążyska
- Góry Choczańskie (Słowacja): V. Borove – Dolina Prosiecka – Prosiek – Czarna Góra – Wodospad Roztoka – V. Borove (21.10. – 31 osób)
- Beskid Wyspowy: Jurków – Mogielica – Przełęcz Rydza Śmigłego – Jurków (28.10. – 11 osób)
- Tatry: Toporowa Cyrchla – Kopieniec – Dolina Olczyńska – Jaszczurówka (11.11 – po zakończeniu V Zjazdu Delegatów PTT – 7 osób)
- Beskid Żywiecki: Świnna – Komarnik – Kiczora – Jastrzębica – Przyłęków (25.11. – 11 osób)
- IX Zimowe Wejście na Babią Górę: Krowiarki – Diablak – Brona – Markowa (9.12. – 16 osób)
- Tatry Zachodnie: Dolina Kościeliska. Zwiedzenie kościoła Matki Boskiej Fatimskiej na Krzeptówkach (16.12. – 14 osób)

Wszystkie wycieczki prowadził Stanisław Trębacz poza lipcową wycieczką do Wisły, którą prowadził Jan Oczkowski.



Na Zawracie (13.10.2001 r.). Fot. S. Trębacz

Jeszcze większym powodzeniem jak wycieczki cieszyły się prelekcje organizowane w Domu Kultury, głównie zimą i późną jesienią. Prezes jak zwykle zapraszał ciekawych prelegentów, w tym czołowych himalaistów i podróżników, toteż gromadziły one od 79 do 141 członków i sympatyków PTT.

W roku 2001 prelegentami byli:

- Zygmunt Jeleń: „Italia i Watykan” (103 osoby) i „Południowa Skandynawia” (83 osoby)
- Ryszard Pawłowski: „Andy z Patagonią Południową” (136 osób)
- Ignacy Nendza: „Dolina Hunzy w Karakorum” (106 osób) i „Altaj Mongolski” (120 osób)
- Monika Tatar, Krzysztof Gałka: „Przez Maroko na Tubkal (Atlas Wysoki) (74 osoby)
- Wiesław Ziaja: „Badania lodowców na Spitzbergenie” (102 osoby)
- Bogusław Nowak: „Synaj” (115 osób) i „Olimp – góra bogów” (98 osób)
- Tomasz Skrzydłowski: „Kazachstan i Kirgizja” (115 osób) i „Iran” (119 osób)
- Czesław Klimczyk: „Wyprawa PTT w Pireneje” (131 osób)
- Wojciech Maciejowski: „Wulkany Wysp Kanaryjskich” (79 osób) i „Cejlon” (110 osób)
- Krzysztof Wielicki: „Eksploracja zimowa Himalajów” (94 osoby)
- ks. Adam Ogieć: „Od Aleksandrii do Abu Simbel (Egipt)” (141 osób)
- Piotr Kowenicki: „Doliny i Góry Austrii i Włoch” (116 osób)
- Adam Potoczek: „Skalne Raje Alp Wschodnich” (121 osób)
- ks. Krzysztof Gardyna: „Trzy największe góry Ameryki Południowej” (98 osób)
- Piotr Pustelnik: „Kangchenjunga 8598 m” (136 osób)

Tradycyjnie w styczniu zorganizowano „Oplątek”, w którym wzięło udział 33 osoby, w tym jako zaproszeni goście: przewodniczący Rady Powiatu mgr Stanisław Dusza, ks. dziekan Wojciech Bryja i prezes Oddziału Krakowskiego PTT Antoni L. Dawidowicz. Oprócz życzeń i kolęd odbył się pokaz przeżyci z imprez 2000 r.

5 grudnia odbyły się II Posiady Góralskie z udziałem doskonałego gawędziarza dr inż. Wojciecha Gąsienicy-Byrcyna, który opowiadał o Klimku Bachledzie. Na posiadę przyszło 135 osób.

Reasumując, w 2001 r zorganizowano 49 imprez, w tym:

1 oplątek	33 uczestników
21 prelekcji	2332 słuchaczy
26 wycieczek	549 turystów

We wszystkich imprezach Oddziału w roku 2001 uczestniczyło 2937 osób.

Działalność statutowa Oddziału przejawiała się również w innych formach.

„Orzeł Skalny”

Jest to kwartalnik Oddziału, którego wydawanie rozpoczęto w styczniu 1996 r. Ukazuje się w miarę systematycznie, w 2001 r. wyszły zeszyty nr 17–20, w edycji czarno-białej. Nr 17–19 wydano z własnych funduszy, natomiast nr 20 sponsorowany był przez „BUMAR FABLOK” w Chrzanowie. Zamieszczane teksty pochodzą od autorów świata: nauki, kultury, alpinizmu, pozostałe są wspólnym dziełem członków Oddziału. Kwartalnik redagowany jest przez Stanisława Trębacz, a kol. Anna Machowska przepisuje teksty na komputerze. Skład komputerowy wykonuje firma „Studio 2000”, a druk – firma „Solidex”. Kwartalnik „Orzeł Skalny” rozprowadzany jest bezpłatnie do wszystkich Oddziałów, autorów tekstów, członków Oddziału, bibliotek, w tym do Centralnej Biblioteki Górskiej w Krakowie.

Kronika

Od chwili powołania Oddziału w Chrzanowie przez Tymczasowy ZG PTT w Katowicach dnia 11 marca 1989 r., prowadzone są chronologicznie tomy „Kronik”, które rejestrują na swoich kartach działalność statutową Oddziału. Dotychczas ukazało się 12 tomów (plus tom „0” rejestrujący lata 1989–1991). Od kilku lat „Kronika” prowadzona jest przez kol. Lidię Witkowską, która wkłada w nią całe swoje serce. Kroniki są niezwykle estetyczne, ciekawe w formie i bogate w treści. Posiadają wpisy znakomitych gości Oddziału jak również zdjęcia często przez nich wykonywane. W Kronikach są też wklejane artykuły prasowe, nt. działalności PTT. Kroniki cieszą się zawsze dużym zainteresowaniem i uznaniem na wystawach z okazji: Zjazdów, Dni Gór, wystaw i innych okolicznościowych spotkań.

Praca z młodzieżą

W 1996 r. założone zostały szkolne koła młodzieżowe: w I Liceum Ogólnokształcącym im. St. Staszica w Chrzanowie i w Publicznym Gimnazjum Nr 3 w Chrzanowie. Założycielem i opiekunem tych kół jest kol. Anna Machowska. Praca z młodzieżą ma charakter ustawiczny przy zmiennym składzie osobowym kół (uczniowie opuszczają szkoły, przychodzą nowe roczniki). Podkreślić należy, że głównymi uczestnikami wycieczek jest młodzież szkolna (ponad 50%), a w prelekcjach jej uczestnictwo przekracza 80%.

GOT PTT

Zdobywanie odznak turystycznych nie cieszy się w Oddziale dużym zainteresowaniem. To jest najślabsza działka działalności Oddziału. Główna przyczyna tkwi w tym, że za mało są rozpropagowane wśród młodzieży. W 2001 r. zdobyto tylko 3 odznaki, w tym: 2 małe srebrne i 1 małą brązową. Ogółem w Oddziale zarejestrowano 21 odznak.

Współpraca z Zarządem Głównym i Oddziałami

Siedmiu delegatów Oddziału wzięło udział w V Zjeździe Delegatów PTT w Zakopanem, a prezes Oddziału został ponownie wybrany do Zarządu Głównego, wszedł obecnie w skład Prezydium. W związku z tym Oddział ma stałą łączność z Zarządem Głównym, wszelkie sprawy przekazywane są na bieżąco i omawiane na posiedzeniach Zarządu Oddziału.

W ubiegłym roku nawiązano współpracę z Kołem Młodzieżowym w Myślenicach, którego członkowie kilkakrotnie uczestniczyli w wycieczkach Oddziału. To samo odnosi się do bratniego Oddziału w Jaworznie, którego członkowie bardzo często uczestniczą w organizowanych przez Oddział prelekcjach i wycieczkach.

Kontakty z prasą

Prasa lokalna – „Gazeta Małopolska” i tygodnik „Przełom” – jest na bieżąco informowana o działalności Oddziału i przekazuje te informacje społeczeństwu

Chrzanowa. Bardzo często zamieszczane są ciekawe artykuły z imprez Oddziału, na które są zapraszani dziennikarze. Ponadto informacja o działalności Oddziału dociera do społeczeństwa miasta Chrzanowa poprzez komunikaty umieszczane w 5 punktach miasta i w szkołach.

Inne formy działalności

- Gmina Chrzanów zorganizowała w Wojewódzkiej Bibliotece Publicznej w Krakowie wystawę pt. „Chrzanów 2001”. Oddział PTT był jednym stowarzyszeniem turystycznym, które na tej wystawie miało swoją ekspozycję.
- Chrzanowskie I Liceum Ogólnokształcące im. Stanisława Staszica, obchodzące 90 rocznicę powstania, wydało z tej okazji monografię pt. „Nasz Staszic”. W opracowaniu tym znalazł się artykuł kol. Anny Machowskiej na temat historii powstania Oddziału PTT w Chrzanowie i szkolnych kół. W ogłoszonym otwartym konkursie fotograficznym na najpiękniejsze zdjęcie o tematyce górskiej zwyciężył Michał Stec, uczeń Publicznego Gimnazjum Nr 3 w Chrzanowie, prezentując zdjęcie pt. „Świnica”.
- Co roku jesteśmy uczestnikami Ogólnopolskiej Pielgrzymki do Częstochowy. W XVII Pielgrzymce organizowanej przez Oddział PTT w Nowym Sączu uczestniczyli: Stanisław Trębacz, Anna Machowska i Jan Poręba.
- W II Dniach Gór PTT w Heluszu i Jarosławiu reprezentowali nas kol. Józef Woźniak i Stanisław Trębacz.

We wrześniu zakończyła się IV kadencja pracy Zarządu Oddziału PTT w Chrzanowie. Działalność czterech kadencji przedstawiona została w tabeli poniżej:

Kadencja	Liczba wycieczek	Liczba dni	Liczba uczest.	Liczba prelekcji	Liczba uczest.	Oplatek	Liczba uczest.	Razem uczest.
14.09.1989 17.09.1992	16	34	318	22	780	1	17	1115
18.09.1992 13.09.1995	46	125	1411	34	1460	3	87	2958
14.09.1995 16.09.1998	93	152	2459	57	6299	3	139	8897
17.09.1998 19.09.2001	88	133	1767	62	7008	3	123	8898
RAZEM	243	444	5955	175	15747	10	366	21868

W dniu 19 września 2001 r. V Zgromadzenie Sprawozdawczo-Wyborcze wybrało nowy Zarząd. Prezesem pozostał nadal Stanisław Trębacz.

Zarząd Oddziału:

1. Prezes:	Trębacz Stanisław	inżynier	Chrzanów
2. Sekretarz:	Machowska Anna	geograf	Chrzanów
Skarbnik:	vacat		
3. Członek Zarządu:	Jochymczak Teresa	księgowa	Chrzanów
4. Członek Zarządu:	Zajac Łukasz	uczeń	Chrzanów
5. Członek Zarządu:	Deczkowski Damian	uczeń	Chrzanów

Komisja Rewizyjna:

6. Przewodniczący:	Poręba Jan	inżynier	Chrzanów
7. Sekretarz:	Oczkowski Jan	górnik	Chrzanów

Sąd Koleżeński:

8. Przewodniczący:	Boratyński Jerzy	inżynier	Libiąż
9. Sekretarz:	Biel Adam	kupiec	Chrzanów
10. Członek:	Zajac Stanisław	inżynier	Chrzanów

Członkowie Oddziału:

11. Biel Sylwester	student	Chrzanów	41. Matysiak Anna	uczenica	Chrzanów
12. Boratyński Dariusz	informatyk	Libiąż	42. Matysiak Natalia	uczenica	Chrzanów
13. Chmielewski Marek	stomatolog	Libiąż	43. Mzyk Marceli	inżynier	Chrzanów
15. Dereszowski Tadeusz	inżynier	Chrzanów	44. Noworyta Józef	ogrodnik	Zagórze
16. Drażkiewicz Dariusz	uczeń	Chrzanów	45. Potejko Andrzej	student	Chrzanów
17. Duda Michał	student	Jaworzno	46. Rapacz Józef	inżynier	Chrzanów
18. Gawron Henryk	mechanik	Pogorzyce	47. Skóra Mirosław	student	Chrzanów
19. Głowacz Elżbieta	studentka	Chrzanów	48. Sómka Maciej	technik	Filipowice
20. Górecki Andrzej	inżynier	Chrzanów	49. Soból Wacław	mechanik	Trzebinia
21. Górecki Marek	mechanik	Chrzanów	50. Stachura Monika	uczenica	Kraków
22. Haduch Józef	inżynier	Jaworzno	51. Stec Michał	uczeń	Chrzanów
23. Jagoda Marcin	student	Jaworzno	52. Strzelichowski Andrzej	technik	Młoszowa
24. Janic Stefan	monter	Chrzanów	53. Szatkowski Leszek	uczeń	Chrzanów
25. Janik Mirosław	ekonomista	Chrzanów	54. Tomasziewicz Barbara	studentka	Chrzanów
26. Jeleń Zygmunt	nauczyciel	Chrzanów	55. Tomasziewicz Tadeusz	lekarz	Chrzanów
27. Kaczmarska Agnieszka	ekonomistka	Chrzanów	56. Trębacz Cecylia	inżynier	Trzebinia
28. Kieca Łukasz	uczeń	Chrzanów	57. Węgrzynowski Arkadiusz	inżynier	Chrzanów
29. Knapczyk Piotr	student	Chrzanów	58. Witkowska Lidia	nauczycielka	Chrzanów
30. Kosowska Anna	studentka	Chrzanów	59. Witkowska Małgorzata	studentka	Chrzanów
31. Kucia Jacek	technik	Jaworzno	60. Wołos Zdzisław	ekonomista	Chrzanów
32. Kurowski Wiesław	ekonomista	Chrzanów	61. Woźniak Józef	księgowy	Sosnowiec
33. Kutyla Bogdan	technik	Trzebinia	62. Woźniak Władysława	nauczycielka	Sosnowiec
34. Łatka Michał	księgarz	Chrzanów	63. Wrzeszcz Marta	uczenica	Chrzanów
35. Machowski Andrzej	student	Chrzanów	64. Wrzeszcz Michał	uczeń	Chrzanów
36. Macugowski Adam	student	Chrzanów	65. Zajac Marian	technik	Piła
37. Majcherczyk Marian	inżynier	Trzebinia	66. Zychowicz Józef	górnik	Kościelecko
38. Majcherczyk Piotr	inżynier	Trzebinia	67. Zygadlo Jerzy	rencista	Chrzanów
39. Małocha Mieczysław	prac. umysł.	Trzebinia			
40. Marcinkowski Leopold	inżynier	Jaworzno			

Oddział PTT im. Augusta Sochackiego w Dęblinie

Nie nadesłano informacji o działalności Oddziału.

Oddział PTT w Gliwicach

Nie nadesłano informacji o działalności Oddziału.

Oddział PTT „Bieszczadnik” w Jarosławiu

Oddział „Bieszczadnik” w Jarosławiu prowadził w roku 2001 działalność turystyczną, ekologiczną, wystawienniczą, popularyzatorską i integrującą ze środowiskiem.

Rok sprawozdawczy obrodził w Oddziale ważnymi wydarzeniami. Zaczęło się od decyzji zorganizowania Dni Gór, poświęconych Bieszczadom, właśnie w Jarosławiu. Choć czasu do wyznaczonego terminu było sporo, plany organizacji zdominowały nasze wszystkie działania. Chcieliśmy stworzyć imprezę na miarę dotychczasowej opinii o Oddziale, z wszystkimi punktami programu, atrakcyjnymi w czasie poprzednich Dni, zorganizowanymi według naszej własnej wizji. Nie mieliśmy skali porównawczej, ale – jak się później okazało – wyszło to nam tylko na dobre.



Polonez członków Oddziału w czasie „II Dni Gór PTT” w Jarosławiu.

Fot. B. Morawska-Nowak

Dni Gór, w dniach 13–16 września 2001 r., zorganizowaliśmy we współpracy z Dyrekcją Bieszczadzkiego Parku Narodowego, Bieszczadzką Grupą GOPR, Kołem Pilotów i Przewodników z Jarosławia; pod patronatem honorowym Ks. Prałata Andrzeja Surowca i Starosty Mieczysława Kasprzaka.

Potrzeba zapewnienia funduszy na organizację imprez zaowocowała pomysłem Prezesa, realizowanym przez młodzież pod wodzą ks. Adama: akcją zbierania surowców wtórnych. Choć u wielu osób budzi to zdziwienie, jednak my uważamy że idziemy dobrą drogą, realizując dwa cele:

- mamy zapewnione środki na działalność,
- czyste środowisko i pewnie już parę hektarów lasów ocalonych przed siekierą.

Za pieniądze uzyskane ze zbiórki złomu, szkła, makulatury i puszek aluminiowych mogliśmy sfinansować wyjazd w Dolomity dla dwóch osób, które teraz pracują, aby ktoś znowu mógł skorzystać ze wspólnego funduszu. Mogliśmy też za pieniądze ze „śmieci” dofinansować w znacznym stopniu Dni Gór, bez wyciągania ręki do sponsorów, którzy w obecnej sytuacji gospodarczej i społecznej i tak pewno mają ważniejsze cele, w których mogą wyrazić swoją dobroczynność.

W organizację imprezy włożyliśmy niemało trudu, ale czas pokazał, że warto było poświęcić czas i zaangażowanie. Pokazaliśmy że mając niewielkie – w porównaniu z innymi oddziałami – doświadczenie, potrafimy zrobić imprezę z klasą. Cieszymy się że nie zawiedliśmy zaufania.

Wielkim ciosem dla Oddziału była śmierć ks. Piotra Lechowicza, który zginął w wypadku samochodowym w Czechach, w czasie powrotu z wyprawy w Dolomity. Wracał z tą częścią wyprawy, która przebywała tam tylko tydzień, dokonując przejść turystycznych. Grupa zasadnicza, która zaplanowała pobyt w Dolomitach na trzy tygodnie, pozostała i realizowała nadal program wyprawy. Z pewnością podjęcie takiej decyzji było bardzo trudne, wierzymy jednak, że ksiądz Piotr chciałby na pewno, aby wyprawa zrealizowała wszystkie cele.

W związku z Dniami Gór Oddział nawiązał bliższą współpracę z Bieszczadzkim Parkiem Narodowym, co wyraziło się m.in. „stałym kontraktem” pomocy przy różnych pracach w górach. Jesienią znieśliśmy z – posprzątanej już? – Połoniny Caryńskiej 6 worów śmieci. Na prośbę Dyrekcji szliśmy do 20 metrów od szlaku, co uznaliśmy za wyróżnienie i dowód zaufania, bo przecież normalnie zejście ze szlaku podlega karze. Wprost trudno uwierzyć, co „turyści” potrafią zostawić... Na wiosnę czeka nas sadzenie drzewek, co przyniesie na pewno wiele wrażeń estetycznych i pozwoli z bliska przyjrzeć się jak wygląda praca w Parku, a także poznać wiele roślin, na które często w czasie marszu nie zwraca się uwagi.

Mamy też stały kontakt z Bieszczadzką Grupą GOPR.

Po Dniach Gór zacieśniły się nasze kontakty z księdzem Gracjanem Stoicą, proboszczem parafii greckokatolickiej p.w. Przemienienia Pańskiego w Jarosławiu i z mniejszością, jaką w Jarosławiu stanowią unicy.

Mimo że większość spotkań roboczych Oddziału dotyczyła realizacji programu Dni Gór, nie zapomnieliśmy o działalności górskiej, której zestawienie przedstawiamy poniżej.

Działalność górską Oddziału:

- 14.01. – Jaworzyna Krynicka (5 osób)
- 17.03. – udział w rajdzie Świebodna – Pruchnik organizowanym przez Koło Przewodników w Jarosławiu (3 osoby)
- 13.04. – Droga Krzyżowa na Tarnicę (20 osób)
- 19.05. – Młoda Hora (5 osób)
- 20.05. – Babia Góra przez Markowe Szczawiny (5 osób)
- Czerwiec – szkolenie wspinaczkowe w Dolinie Kobylańskiej, pod kierunkiem kol. Czesława Klimczyka (9 osób)
- 22.06. – 15.07. – wyjazd w Dolomity (kierownik kol. C. Klimczyk, Komisja Wypraw ZG PTT) (6 osób)
- 22.06. – 29.06. – wyjazd w Dolomity, j.w. (9 osób)
- Wyjazd w Tatry:
 - 3.08. – Roztoka – Morskie Oko – Czarny Staw (4 osoby); Roztoka – Dolina Pięciu Stawów – Szpiglasowa Przełęcz – Szpiglasowy Wierch – Morskie Oko (2 osoby)
 - 4.08. – Roztoka – Polana pod Wołoszynem – Krzyżne – Dolina Pięciu Stawów
 - 6.08. – Dolina Chocholowska – Grześ, Dolina Jarzabcza (6 osób)
 - 7.08. – Kalatówki – Hala Kondratowa – Przełęcz pod Kopą Kondracką – Dolina Małej Łąki (6 osób)
 - 5.10. – Dolina Pięciu Stawów – Świstówka – Morskie Oko (2 osoby)
 - 6.10. – Dolina Chocholowska – Grześ (5 osób)
- 21.10. – Pożegnanie Gór – Droga Krzyżowa na Tarnicę (20 osób)
- 3–4.11. – Połonina Caryńska – sprzątanie (20 osób)
- 10.11. – Dolina Kościeliska (4 osoby)

Imprezy i ciekawsze prelekcje realizowane w czasie spotkań Oddziału:

- 17.01. – Beata Kołodziej: Bieszczadnicy
- ferie szkolne – konkurs wiedzy o górach i konkurs rysunkowy "Góry w oczach dzieci" (ok. 100 uczniów)
- 14.02. – Beata Kołodziej: Maciej Mischke – przedstawiciel „Kolumbów” taternictwa
- 10.03. – Miejski Ośrodek Kultury w Jarosławiu – udział w wystawie fotografii Leszka Mnicha (wywiad z Prezesem dla *Gazety Jarosławskiej* (7 osób))
- 20.10. – cerkiew greckokatolicka p.w. Przemienienia Pańskiego w Jarosławiu – wystawa ikon, recital ewangelizacyjny Krzysztofa Kabata, koncert bandurzystek z Liceum Ukraińskiego im. Szaszkiewicza z Przemyśla, koncert „Pieśni Karpat” Julii Doszny (ok. 100 osób)
- 29–30.10. – Czesław Klimczyk: pokaz slajdów z wyprawy w Dolomity (25 osób)
- powtórka pokazu w Centrum Kształcenia Praktycznego (30 osób)
- 19.12. – wigilia Oddziału wspólnie z greckokatolickim świętem św. Mikołaja (60 osób)
- 23.12. – wizyta w Oddziale: koncert chóru z cerkwi archikatedralnej p.w. św. Jura ze Lwowa, msza św. ekumeniczna (ok. 300 osób)

Wkładem Oddziału w Ogólnopolską Pielgrzymkę Przewodników Turystycznych na Jasną Górę (9–11.03.) było wykonanie oprawy muzycznej.

Przedstawiciel Oddziału wziął udział w konferencji „Turystyka a ochrona przyrody” w Krakowie (28.04.).

Uczestniczyliśmy w obchodach Światowego Dnia Turystyki, o zasięgu wojewódzkim, organizowanych przez Centrum Informacji Turystycznej w Przemyśle. Prezes Oddziału jednoosobowo reprezentowała PTT z Podkarpacia.

Pod koniec roku wzięliśmy udział w pracach przygotowawczo-wspierających utworzenie pierwszego przy Oddziale Koła „Watra” przy Państwowej Wyższej Szkole Zawodowej w Jarosławiu.

Oddział korzysta z miejsca na łamach gazетки parafialnej przy parafii Chrystusa Króla. O Oddziale pisali: *Gazeta Jarosławska*, *Echo Połonin*, *Poznaj swój kraj*, (notatka o Dniach Gór i udziale w nich GOPR), *Nasze Słowo* (tygodnik ukraiński).

Działalność Oddziału jest ustabilizowana pod względem finansowym i organizacyjnym. Grudzień zakończyliśmy wsparciem finansowym po 150,00 zł dla TOPR i GOPR.

6 czerwca 2001 r. odbyło się Walne Zebranie Oddziału, wybory Zarządu i Delegatów na Zjazd PTT.

Dorota Milanowicz

Zarząd Oddziału:

1. Prezes:	Milianowicz Dorota	sam. refer. admin.	Jarosław
2. Wiceprezes:	Kołodziej Beata	sekretarka	Jarosław
3. Sekretarz:	Drewniak Aneta	studentka	Jarosław
4. Skarbnik:	Rogula Edyta	uczenica	Jarosław
5. Członek Zarządu:	Machnik Marek	nauczyciel	Jarosław

Członkowie Oddziału:

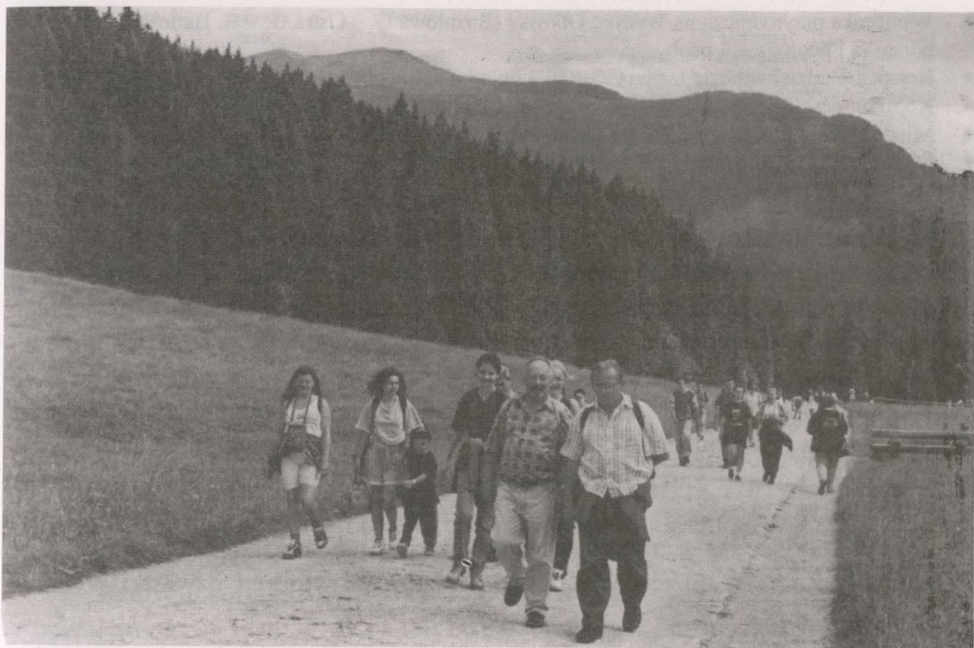
6. Bąk Małgorzata	uczenica	Jarosław	22. Łabuś Adam	tokarz	Jarosław
7. Boryło Agata	uczenica	Jarosław	23. Milianowicz Agnieszka	uczenica	Jarosław
8. Boryło Piotr	uczeń	Jarosław	24. Mrozowicz Agnieszka	uczenica	Jarosław
9. Boryło Przemysław	uczeń	Jarosław	25. Mróz Wojciech	uczeń	Jarosław
10. Boryło Wojciech	uczeń	Jarosław	26. Nowak Justyna	uczenica	Jarosław
11. Chyćńska Aneta	studentka	Jarosław	27. Piątek Dariusz	uczeń	Jarosław
12. Duda Joanna	uczenica	Jarosław	28. Piróg Katarzyna	studentka	Jarosław
13. Dryś Damian	uczeń	Jarosław	29. Piróg Łukasz	uczeń	Jarosław
14. Dryś Krystian	uczeń	Jarosław	30. Piróg Michał	uczeń	Jarosław
15. Dryś Rafał	uczeń	Jarosław	31. Solek Katarzyna	uczenica	Jarosław
16. Hudycz Piotr	uczeń	Jarosław	32. Stysiał Dariusz	student	Rokietnica
17. Hudycz Rafał	nauczyciel	Jarosław	33. Szewczyk Sławomir	nauczyciel	Jarosław
18. Jaroni Marta	studentka	Jarosław	34. Wąsik Adam	ksiądz	Jarosław
19. Kamińska Wiktoria	uczenica	Jarosław	35. Wiecheć Maria	prac. administr.	Jarosław
20. Kinasz Piotr	student	Jarosław	36. Żurawska Maria	inż. chemik	Jarosław
21. Kowal Katarzyna	uczeń	Jarosław			

Oddział PTT w Jaworznie

Rok 2001 był pierwszym, pełnym rokiem działalności Oddziału. W okresie zimowym organizowano spotkania w świetlicy Szkoły Podstawowej nr 15, w czasie których odbywały się prelekcje z przeżościami prowadzone przez przewodników górskich. W spotkaniach tych uczestniczyło przeciętnie 30–50 osób – członkowie i sympatycy PTT oraz młodzież szkół średnich. Tematami prelekcji były: Tatrzański Park Narodowy, Wędrówki bieszczadzkie i Zielony świat Tatr.

Zorganizowano następujące wycieczki górskie:

- w kwietniu – do dol. Chochołowskiej, na kwitnące krokusy; wejście na Grzesia – 25 osób,
- w czerwcu – w Tatrach Bielskie, na trasie: Zdziar – Szeroka Przełęcz – Przełęcz pod Kopą – Zadnie Koperszady – Jaworzyna Spiska – 22 osoby,



W Dolinie Kościeliskiej. Fot. archiwum Oddziału.

- w lipcu – w Tatrach Polskich, w dwóch grupach: 1) Hala Gąsienicowa – dol. Pańszczyca – Krzyżne – dol. Pięciu Stawów – dol. Rostoki – Palenica Białczańska; 2) Hala Gąsienicowa – dol. Pańszczyca – Gęsia Szyja – Rusinowa Polana – Palenica Białczańska
- w listopadzie – z Zakopanego na Halę Gąsienicową: Zakopane – dol. Małej Łąki – Giewont – Hala Kondratowa – Kuźnice (warunki zimowe),
- w grudniu – wycieczka krajoznawcza w Pieniny: Dębno – Niedzica (zamek) – zaporą – Krościenko – Jaworki – Wąwóz Homole – Szczawnica – 35 osób;
wycieczka krajoznawcza: Chochółów – Zakopane (zwiedzanie) – Morskie Oko – 35 osób.

W sezonie wiosenno-letnim, w małych rodzinno-koleżeńskich grupach (3–5 osób) członkowie PTT wędrowali po:

- Beskidzie Żywieckim (Worek Raczański),
- Polskich Tatrach Zachodnich ze zdobyciem Błyszczaka, Bystrej, Starorobociańskiego Wierchu, Trzydniowiańskiego Wierchu i Wołowca,
- Pasmie Policy: Hala Krupowa – Polica – Hala Śmietanowa – Krowiarki,
- Beskidzie Wyspowym: Lubomir, Szczebel, Luboń Wielki.

Ponadto członkowie PTT brali udział w imprezach innych organizatorów:

- Obchody 130. rocznicy powstania styczniowego w Ojcowie (msza św. w kościółku „Na wozie”, występy uczniów LO w Skale w Muzeum Ojcowskiego Parku Narodowego) – 6 osób,
- Szkolenie przewodnickie na licencję Babiogórskiego Parku Narodowego w Bielsku-Białej,
- Szkolenie przewodnickie na licencję Pienińskiego Parku Narodowego – Krościenko – Sokolica – 2 osoby,
- XVI Ogólnopolska Pielgrzymka Przewodników do Częstochowy, organizowana przez Oddział PTT Beskid w Nowym Sączu – 5 osób,
- Wycieczka szkoleniowa Ojcowskiego Parku Narodowego: Ojców – Pieskowa Skała,

- Wycieczka przyrodnicza na Wyżynę Olkuską (Bożniowa G. – Ostra G. – G. Bartoska) z udziałem botanika i geologa – 4 osoby,
- Krynica – udział w posiedzeniu ZG PTT i opłatku – 4 osoby,
- Konferencja „Turystyka a ochrona przyrody i krajobrazu Tatr” w Krakowie – 1 osoba,
- Młoda Hora – posiedzenie ZG PTT – 1 osoba,
- Dni Gór PTT w Jarosławiu i Heluszu – 2 osoby,
- V Zjazd Delegatów PTT – 6 osób.

Mając na uwadze popularyzację działalności Towarzystwa Zarząd Oddziału czynił starania o uzyskanie nowej siedziby w centrum miasta. Pod koniec roku udało się przenieść siedzibę do dawnego biurowca kopalni „Jaworzno” przy Placu Górników 5. Wykonano i ustawiono w śródmieściu gabloty, w których umieszczane są informacje o planowanych imprezach i fotografie z już odbytych.

Kilka miesięcy trwały starania o ponowną rejestrację sądową Oddziału w Sądzie Rejonowym w Katowicach. Oddział uzyskał osobowość prawną postanowieniem z 30.11.2001 i został zarejestrowany w Krajowym Rejestrze Sądowym pod nr KRS 000068103.

Zarząd spotyka się w miarę potrzeby, czasami nawet kilka razy w miesiącu. Członkowie Zarządu dyżurują w nowym lokalu we wtorki i czwartki w godz. 16.00–18.00.

Zarząd Oddziału:

1. Prezes:	Agdan Roman	emeryt	Jaworzno
2. Wiceprezes:	Rapalska Barbara	nauczycielka	Jaworzno
3. Sekretarz:	Błaszczuk Wojciech	inż. elektronik	Jaworzno
4. Skarbnik:	Wasiel Krystyna	położna	Jaworzno
5. Członek Zarządu:	Bartyzel Klemens	przedsiębiorca	Jaworzno
6. Członek Zarządu:	Kijowski Mieczysław	em. inż. górnik	Jaworzno
7. Członek Zarządu:	Ogrodnik Jolanta	prac. umysł.	Jaworzno
8. Członek Zarządu:	Sędor Tomasz	student	Jaworzno

Komisja Rewizyjna:

9. Przewodnicząca:	Siedlińska Halina		Jaworzno
10. Członek:	Kural Artur	elektromechanik	Jaworzno
11. Członek:	Woszczek Piotr	mechanik	Jaworzno

Sąd Koleżeński:

12. Przewodniczący:	Woch Emil	emeryt	Jaworzno
13. Członek:	Palonek Ewa		Jaworzno
14. Członek:	Ślusarczyk Renata	ekspedientka	Jaworzno

Członkowie Oddziału:

15. Bator Anna	uczenica	Jaworzno	19. Ignierowicz Franciszek	mechanik	Chrzanów
16. Błaszczuk Beata	ekonomista	Jaworzno	20. Jankowska Natalia	studentka	Jaworzno
17. Cieślowski Jerzy	em. inż. elektryk	Jaworzno	21. Kardasiński Michał	student	Jaworzno
18. Helbin Kazimierz	emeryt	Jaworzno	22. Kieres Alicja	lekarz	Chrzanów

23. Kijowski Krzysztof	prawnik	Jaworzno	33. Pięta Karolina	uczenica	Jaworzno
24. Kopeć Paweł	górnik	Jaworzno	34. Proksa Dorota	uczenica	Jaworzno
25. Markwart Monika		Jaworzno	35. Rożnowska Agnieszka	nauczycielka	Jaworzno
26. Marzec Tomasz	student	Jaworzno	36. Rożnowska Anna	ekonomista	Jaworzno
27. Nowak Krzysztof	uczeń	Jaworzno	37. Salwińska Barbara	technik	Jaworzno
28. Ogrodnik Katarzyna	uczenica	Jaworzno	38. Salwińska Urszula	uczenica	Jaworzno
29. Ogrodnik Wojciech	uczeń	Jaworzno	39. Sędor Krystyna	politolog	Jaworzno
30. Patucha Danuta	pielęgniarka	Jaworzno	40. Sokołowski Adam	fotograf	Jaworzno
31. Pawełko Małgorzata	księgowa	Jaworzno	41. Ślusarczyk Ryszard	górnik	Jaworzno
32. Pawełko Michał	uczeń	Jaworzno	42. Wieczorek Paweł	uczeń	Jaworzno

Oddział PTT w Kaliszu

Regularne spotkania członków i sympatyków PTT odbywały się w każdy trzeci wtorek miesiąca w siedzibie Towarzystwa, w kaliskim klubie „Jantar” przy ul. Śródmiejskiej 23. Omawiano sprawy bieżące, plany, tematy poruszane przez Zarząd Główny PTT, dzielono się wrażeniami z wycieczek i przypomniano zasady bezpieczeństwa w górach (prelekcja M. Dutkiewicz). Odbywały się także projekcje filmów video.

W styczniu zorganizowano w Gołuchowie tradycyjne spotkanie opłatkowe z udziałem ok. 50 osób. Przy okazji zwiedzono Muzeum Leśnictwa i odbyto spacer w zimowej scenerii. Biesiada obfitowała w tradycyjne góralskie potrawy. Dodatkową atrakcją spotkania był konkurs z nagrodami ze znajomości tematyki tatrzańskiej i podhalańskiej.

W lutym trzy osoby z Oddziału uczestniczyły w XVI Zimowym Wejściu na Babią Górę, organizowanym przez Oddział PTT w Sosnowcu.

W maju odbyła się wycieczka krajoznawcza na Podkarpacie i w Bieszczady, w której wzięło udział 50 osób. Zdobyto Połoninę Wetlińską i Tarnicę, zapoznano się z zabytkami, historią i przyrodą regionu. Wycieczkę prowadziła kol. I. Grabowska.

We wrześniu 21 członków i sympatyków PTT odbyło wycieczkę w czeskie Jesionniki, uwieńczoną wejściem na Pradziada. Wycieczkę prowadziła kol. D. Smuś.

W październiku, na zakończenie sezonu turystycznego, zorganizowano jesienny rajd na pobliską Orlą Górę pod Cekowem. W imprezie wzięło udział 19 osób; prowadzący kol. I. Hertz.

W ciągu całego roku, a szczególnie latem i w dłuższe weekendy organizowano indywidualne i rodzinne wypady w góry polskie i zagraniczne.

Wszystkie wyprawy uwieczniono na pamiątkowych zdjęciach do Kroniki Oddziału, którą prowadzi koleżanki H. Jończak i M. Gierz.

19 czerwca 2001 odbyło się Walne Zgromadzenie Sprawozdawczo-Wyborcze, które wyłoniło nowy Zarząd Oddziału.

Zarząd Oddziału:

1. Prezes:	Dutkiewicz Małgorzata	prawnik	Kalisz
2. Wiceprezes:	Grabowska Irena	emerytka	Gołuchów
3. Sekretarz:	Wojtyś Elżbieta	emerytka	Kalisz
4. Skarbnik:	Żuprańska Halina	emerytka	Kalisz

5. Członek Zarządu:	Stanecka Ewa	prac. umysł.	Kalisz
6. Członek Zarządu:	Nowak Andrzej	inż. melior. wodn.	Konin
7. Członek Zarządu:	Zaręba Romuald	inż. budowl.	Kalisz

Komisja Rewizyjna:

8. Przewodniczący:	Pyrek Halina	tech. budowl.	Kalisz
9. Członek:	Galant Mirosława	emerytka	Opatówek
10. Członek:	Suwała Hanna	emerytka	Kalisz

Sąd Koleżeński:

11. Prezes:	Gierz Maria	prawnik	Nowe Skalmierzyce
12. Członek:	Nowak Maria	biolog	Kalisz

Członkowie Oddziału:

13. Bruś Maria	prac. umysł.	Kalisz	23. Kraszewski Stanisław	emeryt	Kalisz
14. Cieślak Piotr	tech. budowl.	Kalisz	24. Król Maria	chemik	Odolanów
15. Durden Józef	plastyk	Kalisz	25. Michalak Ewa	chemik	Ostrów Wlkp.
16. Grabowski Andrzej	em. dr inż. leśnik	Goluchów	26. Przysłupska Maria	biolog	Kalisz
17. Hazubski Maciej	chemik	Ostrów Wlkp.	27. Smuś Daniela	prac. umysł.	Kalisz
18. Hertz Urszula	prac. umysł.	Kalisz	28. Szydło Barbara	emerytka	Kalisz
19. Jończak Henryka	pedagog	Ostrów Wlkp.	29. Wyczółkowska Barbara	ekonokista	Dębe
20. Kaczmarek Lucyna	emerytka	Kalisz	30. Wyczółkowska Małgorzata	biolog	Dębe
21. Kowalczyk Grażyna	geograf	Kalisz	31. Zaręba Halina	ekonomista	Kalisz
22. Kraszewska Barbara	prac. umysł.	Kalisz	32. Zaręba Paweł	uczeń	Kalisz

Oddział PTT w Kielcach

Nie nadesłano informacji o działalności Oddziału.

Oddział PTT w Krakowie

Działania o charakterze ogólnopolskim

W dniu 28 kwietnia 2001 r. w sali 26 Collegium Novum Oddział zorganizował III Konferencję pt. „Turystyka a Ochrona Przyrody i Krajobrazu Tatrzańskiego Parku Narodowego”. W Konferencji tej wzięli udział m.in.: Dyrektor TPN Wojciech Gąsienica-Byrcyn, Wojewódzki Konserwator Przyrody Bożena Kotońska, Prezes Polskiego Klubu Ekologicznego prof. dr Stanisław Juchnowicz, Przewodniczący Rady Głównej Szkół Wyższych prof. dr Andrzej Pelczar. Wygłoszono referaty, po których odbyła się dyskusja.

Działalność odczytowa

Spotkania odbywały się tradycyjnie w Domu Kultury Kraków – Podgórze. W roku 2001 odbyły się następujące spotkania:

- 9.01 – Projekcja filmu: „Parki Narodowe Australii i Azji”
- 20.01 – Krzysztof Chojko: Wulkan Pico del Teide (3718 m n.p.m.)
- 6.03 – Andrzej Adamczak: Bieszczady Wschodnie
- 20.03 – Jerzy Leszek Zalasieński: Rolnictwo ekologiczne a ochrona przyrody
- 3.04 – Projekcja filmu „Andrzej Zawada – ostatnia rozmowa”
- 24.04 – Andrzej Adamczak: Tatry zimą
- 22.05 – Andrzej Słota: Bereśnikowe Pieniny
- 5.06 – Andrzej Słota: Mała Fatra
- 9.10 – Spotkanie Oddziału w 20 rocznicę Krajowego Sejmiku OKR PTT
- 23.10 – Projekcja filmu: „Parki Narodowe Australii i Azji”
- 6.11 – Projekcja filmu: „Parki Narodowe Europy i Afryki”
- 20.11 – Projekcja filmu: „Parki Narodowe obu Ameryk”
- 4.12 – Bartłomiej Oleś: Rumunia 2001
- 19.12 – Józef Wójcikiewicz: Irlandia – Szmaragdowa Wyspa

Spotkania tradycyjne

W dniu 6 stycznia 2001 r. odbyło się spotkanie opłatkowe.

W dniach 5–7 października 2001 r. odbyło się już siódme spotkanie Oddziału w Morskim Oku.

Sprawy organizacyjne

W dniu 26 kwietnia 2001 roku odbyło się walne zgromadzenie sprawozdawczo-wyborcze, na którym wybrano nowy Zarząd i 16 delegatów na V Zjazd PTT.

W skład Oddziału wchodzi trzy koła terenowe: w Myślenicach, Nowej Sarzynie i Ostrowcu Świętokrzyskim.

Na V Zeździe Delegatów PTT w Zakopanem, 10.11.2001 r., prezes Oddziału Antoni Leon Dawidowicz został wybrany prezesem Zarządu Głównego, a prezes Koła w Ostrowcu Świętokrzyskim Tomasz Gawlik – prezesem Głównego Sądu Koleżeńskiego. Sekretarzem Towarzystwa została nadal Barbara Morawska-Nowak, w skład Zarządu Głównego weszli ponadto Michał Myśliwiec i Jerzy Leszek Zalasieński.

Zarząd Oddziału:

1. Prezes:	Dawidowicz Antoni L.	matematyk, naucz. akad.	Kraków
2. Wiceprezes:	Hołuj Adam	elektryk	Kraków
3. Sekretarz:	Frodyma Nikodem	student	Kraków
4. Sekretarz:	Wohlfeld Krzysztof	student	Kraków

5. Skarbnik:	Malak Krzysztof	menadżer	Kraków
6. Członek Zarządu:	Andrecka Joanna	studentka	Kraków
7. Członek Zarządu:	Słota Andrzej	tech. mechanik	Kraków
8. Członek Zarządu:	Zalasiński Jerzy Leszek	dr leśnik	Kraków

Komisja Rewizyjna:

9. Przewodniczący:	Andrzej Budzanowski	prof. fizyk	Kraków
10. Członek:	Lenczowski Adam	em. geodeta	Zakopane

Członkowie Oddziału:

11. Adamczak Andrzej	student	Kraków	62. Mąsior Maria	urzędnik	Bobrek
12. Aszkowski Czesław	emeryt	Bydgoszcz	63. Mąsior Zbigniew	kierowca	Bobrek
13. Bała Marian	chemik	Kraków	64. Mischke Maciej	inż. budowl.	Kraków
14. Baryła Janusz	biolog	Kraków	65. Morawska-Nowak Barbara	biolog	Kraków
15. Biernacki Zbigniew	antykwarisz	Częstochowa	66. Motyka Jan	tech. elektronik	Kraków
16. Blachowska-Kuśmider Irena	ekonomista	Włocławek	67. Motyka Michał	uczeń	Kraków
17. Boczkowska Ewa	nauczycielka	Żyrardów	68. Motyka Teresa	fizjoterapeuta	Kraków
18. Borkowska Anna	uczennica	Żyrardów	69. Nalepa Andrzej	inż. górnik	Kraków
19. Brongel Kinga	studentka	Kraków	70. Negrey Maciej	kompozytor	Kraków
20. Bujak-Lenczowska Magdalena	em. inżynier	Zakopane	71. Niewodniczański Jerzy	fizyk, prof.	Kraków
21. Bulat Adam	em. inżynier	Kraków	72. Niweliński Józef	biolog, prof.	Kraków
22. Butkiewicz-Mazurkiewicz Irmína	stomatolog	Kraków	73. Nosek Anna	kierowca	Kraków
23. Chojko Krzysztof	technik	Kraków	74. Nowak Janusz	em. prof. botanik	Kraków
24. Chwalba Andrzej	historyk, prof.	Kraków	75. Nycz-Czuj Lidia	farmaceutka	Katowice
25. Cieśliewicz Alicja	emeryt	Kościelisko	76. Oleksyn Barbara	chemik, prof.	Kraków
26. Cieśliewicz Wincenty	emeryt	Kościelisko	77. Onderka Bogusław	fizyk	Kraków
27. Cieśliewicz-Godziec Ewa	teatrológ	Kraków	78. Podgajny Danuta	studentka	Kraków
28. Czerwińska Maria	lekarz	Kraków	79. Podosek Jerzy	inż. metalurg	Kraków
29. Czogała Wojciech	student	Kraków	80. Piękos-Mirkowa Halina	botanik, prof.	Kraków
30. Czuj Józef	inż. mechanik	Katowice	81. Pilc Andrzej	farmakolog, prof.	Kraków
31. Dajda Krystyna	kosztorysant	Kraków	82. Polański Jerzy	prac. naukowy	Kraków
32. Domańska Marta	studentka	Kraków	83. Rogowska Danuta	ekonomista	Kraków
33. Dymel Jacek	nauczyciel	Kraków	84. Rogowski Ludwik	elektroenergetyk	Kraków
34. Fischer Anna	bibliotekarka	Kraków	85. Rorbach Joanna	studentka	Kraków
35. Fischer Teresa	emeryt	Kraków	86. Ronkier Michał	botanik	Kraków
36. Gacek Szczepan	ksiądz	Gliczów	87. Rudziński Ryszard	lekarz	Kraków
37. Gajek Maria	historyk sztuki	Kraków	88. Rusin Piotr	prawnik	Kraków
38. Główna Czesław	urzędnik państw.	Kraków	89. Rydel Leon	emeryt	Kraków
39. Godziec Wiesław	filolog	Kraków	90. Rzekiecka Bogdana	tech. budowl.	Duszniki Zdrój
40. Gońka Waldemar	historyk	Kraków	91. Szczepańska Małgorzata	romanistka	Duszniki Zdrój
41. Górka Małgorzata	studentka	Kraków	92. Rzekiecki Marian	tech. elektryk	Duszniki Zdrój
42. Hałat Paweł	student	Kraków	93. Siermontowski Aleksander	inż. konstruktor	Kraków
43. Hołuj Marek	geodeta	Kraków	94. Skrzyński Andrzej	ekonomista	Kraków
44. Jankiewicz Leszek	lekarz	Lublin	95. Skulimowska Kinga	lekarz	Kraków
45. Jaworczakowa Mira	literat	Kraków	96. Słota Barbara	ekonomista	Kraków
46. Kalkowski Zbysław	inż. konstruktor	Kraków	97. Socjusz-Podosek Maria	dr inż. metalurg	Kraków
47. Kamińska Dorota	biolog	Kraków	98. Sokorska Violetta	tech. analityk med.	USA
48. Karmowska Joanna	ekonomista	Kraków	99. Staszal Jan	emeryt	Warszawa
49. Kowalski Jerzy	nauzc. akad.	Kraków	100. Stefański Marek	dr inż. górnik	Genewa
50. Kowalski Maciej	student	Kraków	101. Szczepańska Małgorzata	matematyk	Kraków
51. Kozłowski Stefan	geolog, prof.	Warszawa	102. Tomaszewski Jerzy	chemik, prof.	Toruń
52. Kuczyński Andrzej	nauzc. akad.	Lublin	103. Trafas Kazimierz	geograf, nauzc. akad.	Kraków
53. Kuśmider Andrzej	ekonomista	Włocławek	104. Trzebunia Tomasz	ksiądz	Nowe Miasto (Ukraina)
54. Kuźniarski Arnold	urzędnik	Kraków	105. Wasilewski Stanisław	em. bibliotekarz	Toruń
55. Lechwar Marian	inż. mechanik	Kraków	106. Winiarska Maria	urzędnik	Kraków
56. Liberak Adam	dziennikarz	Zakopane	107. Witkowska Zofia	emerytka	Kraków
57. Łukasiewicz Marcin	chemik	Kraków	108. Wnętrzycki Kazimierz	emeryt	Kraków
58. Malak Elżbieta	ogrodnik	Kraków	109. Woyciechowski Antoni	inż. miern.	Kraków
59. van Marcke de Lumen Marian	elektronik	Toruń	110. Wójcikiewicz Józef	prawnik, prof.	Kraków
60. Mazurkiewicz Owidiusz	inż. chemik	Kraków	111. Zachariasiewicz Tadeusz	poligraf	Kraków
61. Mąsior Agata	rolnik	Bobrek	112. Zacharska Helena	nauczyciel	Kraków
			113. Żywiecki Andrzej	zaopatrzeniowiec	Kraków

Koło PTT w Myślenicach

Koło specjalizowało się w penetracji gór naszych sąsiadów (Słowacji i Ukrainy) pod fachową opieką przewodnika tatrzańskiego, nauczyciela liceum Dariusza Dylaga. Bywali zarówno w Bieszczadach Wschodnich jak i w Tatrach Bielskich. Te ostatnie odwiedzano kilkakrotnie i one stały się tematem bardzo trudnego powiatowego turnieju wiedzy o górach, który odbył się tradycyjnie 6 grudnia w auli LO im. Tadeusza Kościuszki w Myślenicach. Połączony był z prezentacją przeźroczy członków Koła.

Członkowie Koła uczestniczyli w Dniach Gór PTT w Jarosławiu i Heluszu, bywali na Młodej Horze, z Oddziałem w Chrzanowie byli w Małej Fatrze. Z bliższych wycieczek bywano na Luboniu Wielkim.

114. Prezes:	Kowalczyk Szymon	uczeń	Myślenice
115. Sekretarz:	Rykała Alina	uczennica	Myślenice
116. Skarbnik:	Daca Monika	uczennica	Myślenice

Członkowie:

117. Bajgrowicz Maciej	uczeń	Poręba	131. Mikula Maciej	uczeń	Myślenice
118. Bodzioch Monika	uczennica	Myślenice	132. Mnikowska Agata	uczennica	Myślenice
119. Czaplicki Jakub	uczeń	Sułkowice	133. Myśliwiec Michał	informatyk	Myślenice
120. Dziadkowiec Monika	uczennica	Pcim	134. Obajtek Bartłomiej	uczeń	Myślenice
121. Fafara Danuta	uczennica	Myślenice	135. Papierz Aleksandra	uczennica	Myślenice
122. Gatlik Izabella	uczennica	Myślenice	136. Rachtan Anna	uczennica	Myślenice
123. Kolad Justyna	uczennica	Myślenice	137. Rusnak Katarzyna	uczennica	Krzczonów
124. Kosiba Joanna	uczennica	Myślenice	138. Sebesta Alina	uczennica	Myślenice
125. Kuczeńka Kamila	uczennica	Myślenice	139. Sebesta Antonina	nauucz. akademicki	Myślenice
126. Kutrzeba Katarzyna	uczennica	Myślenice	140. Strączek Anna	uczennica	Pcim
127. Łętocha Michał	uczeń	Myślenice	141. Sukta Dominika	uczennica	Poręba
128. Maniecka Agata	uczennica	Brzączowice	142. Szybowski Mateusz	uczeń	Myślenice
129. Mazur Karolina	uczennica	Myślenice	143. Wyrobek Jakub	uczeń	Myślenice
130. Mendel Jakub	uczeń	Myślenice			

Koło PTT w Nowej Sarzynie

Koło organizowało głównie wyjazdy w Tatry Polskie: w marcu (5 dni), kwietniu (4 dni), na przełomie kwietnia i maja, listopadzie – przy okazji V Zjazdu Delegatów PTT i grudniu – Sylwester.

Na przełomie czerwca i lipca zorganizowano trzytygodniowy wyjazd w Karpaty Marmaroskie.

Tradycyjną imprezą Oddziału był sierpniowy „nocleg pod gwiazdami” na Przedgórzu Bieszczadzkim.

We wrześniu odbył się wyjazd w Tatry Słowackie.

Oddział zorganizował dwie imprezy dla młodzieży gimnazjalnej:

- rajd rowerowy na powitanie wiosny (w marcu),
- pieszą wycieczkę do rezerwatu azalii pontyjskiej (w maju).

144. Prezes:

Marciniak Lesław

nauczyciel

Nowa Sarzyna

Członkowie Koła:

145. Babula Anna	studentka	Chelm	152. Osipa Adam	student	Nowa Sarzyna
146. Bujak Jacek	student	Nowa Sarzyna	153. Szydłowska Agnieszka	piekarz	Nowa Sarzyna
147. Cegiel Tadeusza	uczeń	Nowa Sarzyna	154. Szymańska Anna M.	studentka	Białystok
148. Dąbrowski Wojciech	nauczyciel	Radom	155. Tobiasz Joanna	pedagog	Garwolin
149. Gienza Marta	studentka	Warszawa	156. Waśko Mariusz	piekarz	Nowa Sarzyna
150. Kulec Janusz	inż. elektryk	Nowa Sarzyna	157. Wawer Anna	lekarz	Piława
151. Orzechowski Paweł	student	Radom	158. Wojnar Paweł	piekarz	Nowa Sarzyna

Koło PTT w Ostrowcu Świętokrzyskim

W roku 2001 członkowie Koła spotykali się przeciętnie raz w miesiącu (z wyjątkiem wakacji) w Miejskim Centrum Kultury w Ostrowcu Świętokrzyskim (od jesieni w Klubie Galeria). Podczas tych spotkań relacje ze swoich wypraw, ilustrowane przeżyciami i zdjęciami przedstawili:

- Tadeusz Krawętkowski: Szwecja i Norwegia,
- Ewa Gawlik: Bieszczady i Beskid Żywiecki,
- Jarosław Rusiecki: Egipt.

W 2001 r. kontynuowano zdobywanie Korony Gór Świętokrzyskich. Zdobyte zostały: Klonówka (473 m n.p.m.) w Paśmie Masłowskim, Łysica (612 m n.p.m.) i Łysa Góra (595 m n.p.m.) w Łysogórach, Bukowa Góra (482 m n.p.m.) w Paśmie Klonowskim i Szczytniak (554 m n.p.m.) w Paśmie Jeleniowskim.



Członkowie Koła PTT w Ostrowcu Św. w rezerwacie Skalne Grzyby –
Ziemia Kłodzka (8.08.2000 r.). Fot. K. Kasprzyk

W sierpniu i wrześniu członkowie Koła uczestniczyli w wyprawie w góry Ałtaj (Rosja).

W październiku grupa członków Koła wędrowała po Beskidzie Żywieckim nocując w Chyży u Bacy na Mładej Horze.

W związku z zamierzonym konkursem wiedzy o górach Polski dla młodzieży szkolnej w grudniu 2001 roku zorganizowano pierwsze spotkanie szkoleniowe.

21 grudnia 2001 r. z inicjatywy Koła, w ostrowieckim Biurze Wystaw Artystycznych odbyło się otwarcie wystawy malarstwa Krzysztofa Kabata „Otwarcie ikony” z oprawą słowno-muzyczną artysty. Po wernisażu odbyło się tradycyjne spotkanie opłatkowe. W uroczystościach wzięli licznie udział mieszkańcy Ostrowca i okolic, w tym przedstawiciele władz samorządowych i kościelnych w osobach Prezydenta Miasta Jana Szostaka i Ks. Dziekana Krzysztofa Rusieckiego.

5 członków Koła uzyskało państwowe uprawnienia przewodnika świątokrzyskiego, a jedna – pilota wycieczek. Jedna osoba rozszerzyła uprawnienia przewodnika beskidzkiego.

Zarząd Koła:

159. Prezes:	Gawlik Tomasz	sędzia	Ostrowiec Św.
160. Wiceprezes:	Skrok Waldemar	elektromechanik	Ostrowiec Św.
161. Skarbnik:	Sało Jolanta	ekonomista	Ostrowiec Św.
162. Członek Zarządu:	Florys Krzysztof	student	Ostrowiec Św.
163. Członek Zarządu:	Kasprzyk Krzysztof	emeryt	Ostrowiec Św.

Członkowie:

164. Bochenek-Bielecka Renata	sędzia	Kielce	175. Międzyblocki Olgierd	adwokat	Ostrowiec Św.
165. Boniecki Marek	prawnik	Kielce	176. Moskalik Andrzej	tech. mechanik	Ostrowiec Św.
166. Florys Maciej	student	Ostrowiec Św.	177. Pajek Andrzej	mgr inż. budown.	Kielce
167. Gawlik Ewa	ekonomista	Ostrowiec Św.	178. Rachtan Irena	emerytka	Ostrowiec Św.
168. Gawlik Mateusz	uczeń	Ostrowiec Św.	179. Romanowski Piotr	tech. mechanik	Ostrowiec Św.
169. Gawron Ryszard	elektryk	Ostrowiec Św.	180. Rusiecki Jarosław	socjolog	Ostrowiec Św.
170. Ginter Juliusz	radca prawny	Ostrowiec Św.	181. Salwa Mariola	sędzia	Ostrowiec Św.
171. Jankowska Jadwiga	tech. drogowy	Ostrowiec Św.	182. Stefańska Magdalena	nauczycielka	Ostrowiec Św.
172. Kimbar Marian	inż. mechanik	Ostrowiec Św.	183. Szymczyk Henryk	adwokat	Ostrowiec Św.
173. Łąd Bogdan	lekarz	Ostrowiec Św.	184. Uchański Wojciech	emeryt	Ostrowiec Św.
174. Matuszewski Grzegorz	sędzia	Bodechów	185. Wiśniewska Jolanta	oceanograf	Ostrowiec Św.

Oddział PTT w Łodzi

Rok 2001 był kolejnym udanym rokiem w 20-letniej historii Oddziału Łódzkiego reaktywowanego PTT. Nasze spotkania odbywały się w każdą środę o godz. 18.00 w Łódzkim Domu Kultury. Odbyły się wszystkie zaplanowane przez Zarząd imprezy, m.in. Dni Gór, wyprawy górskie, wyjazd wspinaczkowy w skałki Jury Krakowsko-Częstochowskiej, 7 pokazów filmów na telebimie, 2 wystawy fotograficzne, 8 wycieczek w okolice Łodzi, 5 prelekcji i odczytów.

Przedstawiciele Oddziału uczestniczyli w Ogólnopolskich Dniach Gór w Jarosławiu i Heluszu oraz, w charakterze obserwatorów, we wszystkich posiedzeniach ZG PTT.

Członkowie Oddziału brali też udział w licznych wyjazdach indywidualnych w różne góry Polski i Europy oraz w imprezach organizowanych przez inne zaopiecznione łódzkie stowarzyszenia, takie jak m.in. Związek Podhalań Ognisko Łódź czy Łódzki Klub Trekingowy.

Ukazało się kolejnych 10 numerów biuletynu oddziałowego „Zakos”. Oddział posiada swoją stronę internetową (<http://republika.pl/zakos>) oraz zmieniony adres internetowy (zakos@polbox.com)

Dziesięć osób, wybranych na wrześniowym Walnym Zgromadzeniu Oddziału, uczestniczyło w V Zejeździe Delegatów PTT w Zakopanem. Nasz prezes W. Janusik został wybrany wiceprezesem Zarządu Głównego, a nasza wiceprezes J. Mikołajczyk weszła w skład Głównej Komisji Rewizyjnej. Ponadto Włodek Janusik został odznaczony Złotą Odznaką PTT z Kosówką za działalność na rzecz naszego Towarzystwa.

Zarząd Oddziału Łódzkiego zbierał się w ciągu roku czterokrotnie w celu omówienia spraw dotyczących bieżącej i przyszłej działalności Oddziału i podejmowania odpowiednich decyzji.

Poniżej podajemy chronologiczny wykaz imprez, zorganizowanych z nie-małym trudem przez Zarząd i wiele osób zaangażowanych w ich realizację.

STYCZEŃ

- Telebim – Filmowe spotkania z górami (dwukrotnie)
- Wycieczka piesza Lućmierz – Swędów (15 osób)
- Prelekcja i slajdy z wyprawy „Tombouctou” P. Lipińskiego
- Udział przedstawicieli Oddziału w zebraniu ZG PTT w Krynicy-Słotwinach (8 osób)

LUTY

- Telebim – Filmowe spotkania z górami
- Spotkanie „walentynkowe”
- Wycieczka piesza Swędów – Łagiewniki
- O wyprawie na Kilimandżaro opowiadała i slajdy pokazywała jego zdobywczyni M. Małek
- Bał Karnawałowy (23 osoby)

MARZEC

- Wyjazd w rejon Morskiego Oka (13 osób), zimowe wejście na Niżne Rysy (5 osób)
- Prelekcja i slajdy „Łodowce Spitsbergenu”, S. Nowak
- Topienie Marzanny w Podklasztorzu nad Zalewem Sulejowskim (14 osób)

KWIECIEŃ

- DNI GÓR 4–6.04.2001 r. – Wystawa malarstwa na szkle oraz rzeźby ludowej z Podhala, wido-wisko o pasterstwie podkarpackim, koncert zespołu góralskiego „Podhale”, pokaz mody tury-stycznej, kiermasz wydawnictw turystycznych i góralskich wyrobów ludowych
- Spotkanie „Na jajeczku”
- Wyprawa pięciodniowa w Góry Stołowe (21 osób)

MAJ

- Telebim – Filmowe spotkania z górami
- Porządkowanie terenu wokół „naszego” obelisku M. Zaruskiego na Stokach
- Udział przedstawicieli Oddziału w posiedzeniu ZG PTT na Młodej Horze (2 osoby)
- Prelekcja i slajdy „Himalaje” K. Liszewskiego
- Wycieczka do Arboretum w Rogowie (28 osób)

CZERWIEC

- Telebim – Filmowe spotkania z górami
- Wyjazd w Skałki Podlesickie (28 osób)

LIPIEC – SIERPIEŃ

- Wyjazdy indywidualne i grupowe, m.in. w Tatry, Beskidy, Karkonosze, Dolomity, Alpy Francuskie, Apeniny, Karpaty Rumuńskie

WRZESIEŃ

- Wyjazd w Tatry Słowackie – wejście na Jagnięcy Szczyt
- Udział w Ogólnopolskich Dniach Gór w Heluszu
- Walne Zgromadzenie Oddziału – wybór delegatów na Zjazd

PAŹDZIERNIK

- Bankiet z okazji XX rocznicy reaktywowania PTT (ok. 100 osób)
- Wycieczka Lutomiersk – Kolumna (20 osób).

LISTOPAD

- Udział 10 delegatów z Oddziału w V Zjeździe Delegatów PTT w Zakopanem
- Telebim – Filmowe spotkania z górami
- Prelekcja i slajdy „Piryn” R. Prószyńskiego
- Wycieczka piesza Bedoń – Wiskitno

GRUDZIEŃ

- Mikołajki w Walewicach
- Wystawa fotograficzna „Tu byliśmy” (50 osób)
- Telebim – Filmowe spotkania z górami
- Spotkanie Oplatkowe, wręczenie nagrody Buciora

Agnieszka Lesz

Zarządu Oddziału:

1. Prezes:	Janusik Włodzimierz	lekarz med.	Zgierz
2. Wiceprezes:	Mikołajczyk Janina	urzędnik państw.	Łódź
3. Wiceprezes:	Kotala Jacek	tech. budowl.	Łódź
4. Sekretarz:	Nurczyński Piotr	geograf	Łódź
5. Skarbnik:	Cichor Krystyna	tech. arch.	Łódź

6. Członek Zarządu:	Lesz Aleksandra	statystyk	Łódź
7. Członek Zarządu:	Lipiński Przemysław	lekarz med.	Łódź

Komisja Rewizyjna:

8. Przewodnicząca:	Podgórska Agata	ekonomista	Zgierz
9. Zastępca:	Rembowski Zbigniew	inż. konstruktor	Łódź
10. Sekretarz:	Przychodni Mirosław	inż. energetyk	Łódź
11. Członek:	Gwis Jan	inż. mechanik	Łódź

Sąd Koleżeński:

12. Przewodniczący:	Karczewski Jacek	inż. automatyk	Łódź
13. Zastępca:	Baszczyński Kazimierz	elektryk	Zgierz
14. Członek:	Gołota Izabela	farmaceuta	Łódź
15. Członek:	Wdowiak Tadeusz	inż. włókiennik	Łódź
16. Członek:	Wolff Elżbieta	inż. budowl.	Łódź

Członkowie Oddziału:

17. Adamska Marita	psycholog	Łódź	56. Małek Magdalena	Warszawa
18. Borowska-Lorenc Anna	nauczyciel akad.	Łódź	57. Marczevska Jolanta	Zduńska Wola
19. Brzyszczy Henryk	inż. energetyk	Konstantynów	58. Mularska Lucja	Bełchatów
		Łódzki	59. Nawrocki Zygmunt	Łódź
20. Cholewa Jan	ksiądz	Łódź	60. Nurczyńska Magdalena	inż. budowl.
21. Dąbrowska Wiesława	emerytka	Łódź	61. Owczarek Andrzej	lekarz
22. Dudek Tomasz		Łódź		Konstantynów
23. Dyl Halina	ekonomista	Łódź		Łódzki
24. Fibakiewicz Łukasz	student	Łódź	62. Ozimiński Andrzej	Łódź
25. Gowin Agata	uczenica	Łódź	63. Papszun Teresa	Łódź
26. Góral Tadeusz	ekonomista	Łódź	64. Piekarski Marek	elektronik
27. Grabowski Leszek	student	Łódź		Konstantynów
28. Gujszczyk Teresa		Łódź	65. Piekarski Stefan	elektronik
29. Guz Maria	muzyk	Łódź	66. Pietruszewski Krzysztof	tech. włókiennik
30. Gwis Marta	studentka	Łódź	67. Pietrzykowska Lidia	Łódź
31. Hemka Krystyna	księgowa	Łódź	68. Plucińska Izabela	studentka
32. Howański Jerzy	inż. budowl.	Łódź	69. Poleć Włodzimierz	uczeń
33. Janusik Jadwiga	lekarz med.	Zgierz	70. Popińska Mariola	inż. budowl.
34. Karwowska Jadwiga	pielęgniarka	Łódź	71. Przemirska Lucyna	inż. budowl.
35. Karwowski Marek	elektroenergetyk	Łódź	72. Przybył Ewa	informatyk
36. Kisiel Adam	emeryt	Łódź	73. Rybicki Krzysztof	tech. poligrafii
37. Klimczewski Andrzej	monter instalacji	Łódź	74. Siedlecki Marek	pedagog
38. Klimkiewicz Jan	inż. chemik	Łódź	75. Skowrońska Anna	uczenica
39. Kłab Marcin		Łódź		Konstantynów
40. Kłosowicz Marek	student	Koszalin	76. Skowroński Zbigniew	Konstantynów
41. Korzeniowska-Ragan Mirosława		Łódź		Łódzki
42. Kostkowski Daniel		Łódź	77. Soszyńska Janina	Łódź
43. Kosut Tomasz	elektronik	Łódź	78. Strzelczyk Barbara	Łódź
44. Kowalczyk Bohdan	rzemieślnik	Ozorków	79. Sujka Krystyna	Bełchatów
45. Kowalska Wanda	lekarz med.	Łódź	80. Sujka Mirosław	inż. chemik
46. Kowalski Stefan	inżynier	Łódź	81. Sulikowski Adam	inż. mechanik
47. Kozłowska Magdalena	biolog	Łódź	82. Szadkowski Czesław	tech. budowl.
48. Kozłowski Jarosław	urzędnik państw.	Łódź	83. Szczęski Jan	inż. zootechnik
49. Kraska Bogusław	agent ubez.	Łódź	84. Tałady Ilona	pedagog
50. Krawczyk Zofia		Łódź	85. Tałady Stanisław	mechanik
51. Kurowski Mariusz	muzealniki	Łódź	86. Telega Stanisława	nauczyciel
52. Leitloff Beata		Łódź	87. Temech Alina	ekolog
53. Lisiak Paweł		Łódź	88. Wdowiak Stanisława	ekonomista
54. Lorenc-Karczevska Agnieszka	historyk sztuki	Łódź	89. Wiśniewski Rafał	Łódź
55. Łakomiak Grażyna	inż. włókiennik	Łódź	90. Woźniakowska Agata	studentka
			91. Wyszogrodzka Małgorzata	informatyk
			92. Zawadzki Marek	inż. elektryk
				Łódź

Oddział Karpacki PTT w Łodzi

Trzeci rok działalności Oddziału Karpackiego był bogaty w wydarzenia. Prowadziliśmy regularną działalność klubową, organizując wystawy, odczyty, pokazy filmów i przeżycy. Spotykaliśmy się dwa razy w miesiącu – w pierwszy i trzeci czwartek w Centrum Kultury Młodych w Łodzi przy ul. Lokatorskiej 13. Większość imprez organizowaliśmy przy wydatnej pomocy Dyrekcji i pracowników CKM. Ponadto współpracowaliśmy z Towarzystwem Karpackim i Oddziałem Łódzkim PTT.

W roku 2001 nie zabrakło nas w górach. Z najważniejszych osiągnięć wymienić należy zdobycie przez Zbyszka Grzegorzewskiego najwyższej góry Afryki – Kilimandżaro, oraz wędrowkę pięcioosobowej grupy po Górach Fogaraskich. Poza tym byliśmy w Alpach, Tatrach (Polskich i Słowackich), Słowackim Raju i Małej Fatrze, Pieninach, Gorcach, Bieszczadach, Sudetach, Beskidzie Niskim, Wyspowym, Żywieckim, Sądeckim i Śląsko-Morawskim. Duża grupa naszych członków wspólnie z Oddziałem Radomskim im T. Chałubińskiego sięgała po Koronę Gór Polskich.

Regularnie, co kwartał ukazywał się biuletyn informacyjny oddziału „A co u nas?”. Drugi i trzeci kwartał zdominowały przygotowania do balu, którym wspólnie z Oddziałem Łódzkim uczciliśmy XX rocznicę reaktywowania PTT. Bal odbył się w gościnnych salach Centrum Kultury Młodych i uświetniony został występem lubelskiej kapeli „Drewutnia”. Czynnici uczestniczyliśmy w Dniach Gór w Jarosławiu prezentując dwie wystawy fotograficzne. Na V Zjeździe PTT w Zakopanem członek naszego oddziału Tadeusz Kiełbasiński otrzymał godność Honorowego Członka PTT oraz został odznaczony Złotą Odznaką PTT z Kosówką.

Przy Oddziale działa Komisja GOT PTT, która w roku 2001 przyznała dwie złote odznaki II stopnia oraz jedną złotą i jedną srebrną I stopnia.

A oto co działo się w Oddziale Karpackim PTT na przestrzeni całego roku:



Uroczyste wystąpienie prezesów Karpackiego i Łódzkiego Oddziału PTT, Janusza Pilca i Włodka Janusika, z okazji jubileuszu 20-lecia reaktywowania Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego.
Fot. G. Imianowski

STYCZEŃ

- Pokaz filmów o Nikiforze: „Juridiwyj” i „Według Nikifora”.
- Udział w posiedzeniu ZG PTT w Krynicy, połączony z wędrowką po paśmie Radziejowej i Jaworzyny Krynickiej, oraz wejściem na najwyższy szczyt Beskidu Niskiego – Lackową (3 osoby).



Artystyczną oprawę spotkania z okazji jubileuszu 20-lecia reaktywowania Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego zapewniła kapela „Drewutnia”.

Fot. G. Imianowski

LUTY

- Na nartach w Alpach Włoskich (1 osoba)
- Prelekcja pt. „Wróćmy jeszcze raz do Płajskiej” ilustrowana filmem
- Udział w XXXII Wędrówkach Północy (trasa rosyjska) (1 osoba)

MARZEC

- Prelekcja Andrzeja Wielochy pt. „Łuk Karpat za nami”
- Projekcja filmu „Na ścianie Trolli”
- Wyjazd do Zawoi. Wejście na Babią Górę (3 osoby)
- Wyjazd w Pieniny z bazą w Krościenku – z kołem PTTK przy ZEC Łódź (5 osób)

KWIECIEŃ

- Projekcja filmu pt. „Tajemnice Morskiego Oka”
- Prelekcja J. Karczewskiego ilustrowana filmem „Czarnohora zimą na nartach”
- Pobyt w okresie Wielkanocy w schronisku na Maciejowej w Gorcach, wycieczki na Turbacz i Luboń Wlk. (3 osoby)

MAJ

- Pobyt w Olchowcu, wycieczki na Słowację do Bardejowa i Bardejowskich Kupeli, oraz do stadniny koni huculskich w Gładyszowie
- Wędrówki po Słowackim Raju (1 osoba)
- Sięganie po Koronę Gór Polskich – Gorce, Beskid Wyspowy, Pieniny (3 osoby)
- Majówka w lasach gostynińskich (10 osób)

CZERWIEC

- Spotkanie z Jerzym Michalskim, alpinistą i globtroterem
- Film pt. „Tatrzański bedeker”
- Pobyt w Beskidzie Niskim (Olchowiec) (1 osoba)

LIPIEC

- Słowacja – Tatry Zachodnie, okolice Zuberca (3 osoby)
- Słowacja – Mała Fatra (1 osoba)

SIERPIEŃ

- Wyprawa w Fogarasze (Rumunia – Karpaty Płd.)
- Wędrówka po Słowackich Tatrach Zach. – Rohaczach (2 osoby)
- Wyjazd do Słowackiego Raju (4 osoby)

WRZESIEŃ

- Pokaz slajdów z wyprawy w Góry Fogarskie
- Wejście na Kilimandżaro (1 osoba)
- Uczestnictwo w Dniach Gór w Jarosławiu (3 osoby). Przedstawiliśmy tam dwie wystawy fotograficzne – „Zabytkowe cerkwie karpackie Łemków, Bojków i Huculów” oraz „Bieszczadzkie pejzaże”
- Sięganie po Koronę Gór Polskich

PAŹDZIERNIK

- Pobyt w Beskidzie Niskim (Olchowiec) i Bieszczadach (Średnie Małe) – 1 osoba
- Wystawa pt. „Bieszczadzkie pejzaże”
- Wędrówka po Beskidzie Śląsko-Morawskim (1 osoba)
- Uroczyste spotkanie zorganizowane dla uczczenia XX rocznicy reaktywowania PTT

LISTOPAD

- Udział w V Zjeździe Delegatów PTT w Zakopanem (5 osób)

GRUDZIEŃ

- Multimedialny pokaz zdjęć Grzegorza Imianowskiego – Rohacze, Bieszczady, Beskid Niski
- Uroczyste spotkanie opłatkowe
- Sylwester na Hali Łabowskiej. Wędrówki na nartach po Beskidzie Sądeckim. (8 osób).

W dniu 2 lutego 2002 r. odbyło się Walne Zgromadzenie Sprawozdawczo-Wyborcze, na którym wybrano nowe władze Oddziału.

Ewa Kuźmiska

Zarządu Oddziału:

1. Prezes:	Pilc Janusz	energetyk	Łódź
2. Wiceprezes:	Flakiewicz Stanisław	emeryt	Łódź
3. Wiceprezes:	Kiełbasiński Tadeusz	emeryt	Łódź
4. Sekretarz:	Wagner Irena	nauczyciel akad.	Łódź

5. Skarbnik:	Kuziemska Ewa	farmaceuta	Łódź
6. Członek Zarządu:	Imianowski Grzegorz	energetyk	Łódź
7. Członek Zarządu:	Pilc Justyna	studentka	Łódź
8. Członek Zarządu:	Sut Jacek	inż. mechanik	Łódź

Komisja Rewizyjna:

9. Przewodniczący:	Wachowski Adam	ekonomista	Łódź
10. Członek:	Lewicki Bogdan	ogrodnik	Łódź
11. Członek:	Woźnicka Elżbieta	pedagog	Łódź

Sąd Koleżeński:

12. Przewodniczący:	Grzegorzewski Zbigniew	dziennikarz	Warszawa
13. Członek:	Bartyś Barbara	lekarz	Łódź
14. Członek:	Michalski Włodzimierz	lekarz	Sieradz

Członkowie Oddziału:

15. Bereś Marek	malarz remowator	Łódź	31. Popielski Zenon	inż. mechanik	Łódź
16. Bereźnicki Tadeusz	inż. mechanik	Łódź	32. Pyrkosz Natalia	studentka	Radzionków
17. Bień Zbigniew	inż. geolog	Tarnów	33. Rabeiga Grażyna	ekonomista	Łódź
18. Bieńkowska Magdalena	pedagog	Radom	34. Rudnicki Włodzimierz	plastyk	Łódź
19. Byczko Czesław	mech. samochod.	Łódź	35. Sieradzan Łukasz	student	Rzgów
20. Garda Konrad	prawnik	Łódź	36. Starczewski Rafał	tech. budowl.	Łódź
21. Grzegorzewski Piotr	student	Warszawa	37. Sygitowicz-Michalska		
22. Hoffman Katarzyna	historyk	Łódź	Elżbieta	pielęgniarka	Sieradz
23. Kaczmarska-Więckowska Ewa	kierow. administr.	Kraków	38. Szczurowski Krzysztof	tech. elektryk	Łódź
24. Kozłowska Wiesława	ekonomista	Łódź	39. Ścibior Grzegorz	inż. mechanik	Łódź
25. Kunach Małgorzata	nauczyciel	Łódź	40. Więckowski Janusz	nauczyciel	Berlin
26. Mikołajczyk Janusz	tech. elektryk	Łódź	41. Załoba Miłosz	prac. muzeum	Łódź
27. Niemczyk Andrzej	energetyk	Łódź	42. Ziolkowska Anna	nauczyciel	Piotrków Tryb.
28. Pluta Tomasz	energetyk	Pabianice	43. Ziolkowski Piotr	lekarz	Piotrków Tryb.
29. Popielski Radosław	student	Łódź	44. Zymon Maciej	elektryk	Łódź
30. Popielski Zdzisław	tech. mechanik	Łódź	45. Zak Irena	emeryt	Łódź
			46. Zak Stanisław	emeryt	Łódź

Oddział PTT „MKG CARPATIA” w Mielcu

Rok 2001 był siódmym rokiem działalności Mieleckiego Klubu Górskiego „Carpatia”, a czwartym od chwili powołania na bazie klubu Oddziału PTT. Spotkania członków odbywały się co tydzień w czwartki w schronie obrony cywilnej przy ul. Bogusławskiego 1 w Mielcu, natomiast zebrania zarządu zwoływano w każdy czwarty czwartek miesiąca. Zebranie sprawozdawczo – wyborcze Oddziału na którym dokonano wyboru nowych władz i delegatów na walny Zjazd Delegatów ZG PTT w Zakopanem odbyło się 30 marca 2001 roku. Ostatnie dwa miesiące to znaczny, wynoszący prawie czterdzieści procent wzrost liczby członków.

Do końca roku deklaracje członkowskie złożyło około 180, a składki opłaciło 105 osób.

W 2001 roku zorganizowano cały szereg akcji turystycznych pieszych, rowerowych i autokarowych, w których brało udział od kilku do kilkudziesięciu członków naszego oddziału, jak również turyści z innych oddziałów i niezrzeszeni w PTT. Mieleccy turyści z PTT wędrowali najczęściej w małych grupach lub indywidualnie o górach Polski, Słowacji, Czech, Ukrainy, Węgier, Słowenii, Chorwacji, Austrii i USA.

Najważniejsze imprezy zorganizowane przez Oddział „MKG Carpatia” to:

- 12–14.01: „Beskidzka zima” – Krynica
- 20–21.01: Pieniny – Spisz – Orawa
- 1.02: Stara Lubowla – udział w 35 Zimowym Zlocie Słowackich Turystów
- 1–7.02: Zimowisko na Murzasichlu
- 24–25.02: „Beskid Sądecki zimą” – Hala Łabowska
- 17–18.03: III „Wyspy marcowe” – Beskid Wyspowy
- 21.03: „Powitanie wiosny” – okolice Mielca
- 31.03–1.04: „Beskid Sądecki wiosną” – Prehyba
- 7–8.04: Palmowa Niedziela w Lipnicy Murowanej
- 13.04: II Wielkopiątkowa Droga do Krzyża, Beskid Wyspowy – Mogielica
- 21–22.04: „Wiosna w Gorcach” – Turbacz
- 20–26.05: 35 Rajd górski „Carpatia” – Słowacki Kras
- 8–10.06: I Polsko-słowackie spotkanie turystów Pieniny – Leśnica
- 16/17.06: VI Nocna górską wyrypa – Pogórze Strzyżowskie
- 5–11.08: 48 Rajd Przyjaźni Bieszczadzkiej – Berehy Górne
- 4–18.08: Obóz wędrowny – Gorce, Pieniny, Beskid Sądecki



Wielka Fatra, wieś Vlkolinec – Członkowie Oddziału w Mielcu i Koła w Ostrowcu Św.
Zakończenie XXXIV Rajdu „Carpatia” (20.05.2000 r.).
Fot. archiwum Oddziału

- 5–7.10: III Jesień dla wytrwałych – Tatry
- 19–21.10: Wycieczka do Lwowa i jego okolic
- 24–25.11: VII „Rocznicówka Carpatii”
- 15–16.12: II „Zimówka-grudniówka” Jamna – Pogórze Rożnowskie

Do czterech wzrosła liczba szkolnych kół turystycznych działających w naszym Oddziale. W styczniu z inicjatywy wiceprezesa naszego oddziału Ireneusza Wołoszyna powołano do życia szkolne koło w Gimnazjum w Radomyślu Wielkim. Natomiast w październiku i listopadzie, dzięki staraniom naszego członka Pawła Michno kolejne dwa szkolne koła powstały w Gimnazjum nr 2 i Liceum Ogólnokształcącym w Kolbuszowej, w których jest on nauczycielem. Warto dodać, że powstanie szkolnych kół turystycznych spotkało się ze zrozumieniem i życzliwością dyrekcji szkół, co dobrze rokuje na przyszłość.

Informacje o naszej działalności ukazywały się na łamach prasy lokalnej i regionalnej (Nowiny, Super Nowości, Korso, Wizjer Regionalny, Fara), a także słychać było o nas na falach stacji radiowych Puls FM z Mielca i Radia Plus. Otrzymaliśmy również w tym roku skromną pomoc finansową z Urzędu Miejskiego w Mielcu.

Zacieśnia się współpraca z Klubem Słowackich Turystów ze Starej Lubowli. Wspólnie braliśmy udział w czterech imprezach turystycznych na terenie Polski i Słowacji.

Sporym wyróżnieniem dla Oddziału było wybranie do Zarządu Głównego PTT dwóch naszych członków, Witolda Kwiatkowskiego i Jerzego Krakowskiego. Nasi przedstawiciele są pierwszymi turystami z naszego województwa, którzy dostąpili tego honoru i poszli w ślady pierwszego Prezesa Towarzystwa Tatrzańskiego hr. Mieczysława Reja, który mieszkał w Przecławiu koło Mielca.

W ostatnim roku powiększyło się grono przewodników działających w Oddziale. Pomyślnie egzaminy zdała koleżanka Patrycja Pluta i dołączyła do grona kolegów Zbigniewa Dulniawki, Witolda Haspla, Jerzego Krakowskiego, Witolda Kwiatkowskiego i Pawła Michno. Natomiast kolejni dwaj koledzy (M. Dziedzicki, I. Wołoszyn) będą zdawać egzamin na przewodnika beskidzkiego w maju 2002 roku.

W roku 2001 w „Carpatii” powołano do życia turystyczną sekcję narciarską. Inicjatorem i szefem sekcji został Witold Kwiatkowski, nieustrudzony propagator i instruktor narciarstwa.

Jerzy Krakowski

Zarząd Oddziału:

1. Prezes:	Krakowski Jerzy Piotr	prac. umysł.	Mielec
2. Wiceprezes:	Wołoszyn Ireneusz	nauczyciel	Mielec
3. Sekretarz:	Pluta Patrycja	studentka	Mielec
4. Skarbnik:	Dub Tadeusz	tech. elektronik	Mielec
5. Członek Zarządu:	Dziedzicki Marek	nauczyciel	Mielec
6. Członek Zarządu:	Kwiatkowski Witold	em. inżynier	Mielec
7. Członek Zarządu:	Łata Łukasz	student	Mielec

Komisja Rewizyjna:

8. Przewodnicząca:	Samborska Marta	studentka	Mielec
9. Członek:	Jędrychowska Bożena	księgowa	Mielec
10. Członek:	Maj Marian	em. inż. geolog	Mielec
11. Członek:	Małek Teresa	emerytka	Mielec

Sąd Koleżeński:

12. Przewodniczący:	Dulniawka Zbigniew	emeryt	Mielec
13. Członek:	Karkut Leszek	prac. umysł.	Tarnobrzeg
14. Członek:	Nakoneczna Iwona	studentka	Mielec

Członkowie Oddziału:

15. Andrzejczak Ryszard	emeryt	Łódź	32. Polański Andrzej Maciej	prac. umysł.	Mielec
16. Bara Magdalena	nauczycielka	Mielec	33. Ptak Izabela	studentka	Mielec
17. Bednarczyk Tomasz	uczeń	Mielec	34. Romanik Franciszek	lekarz weterynarii	Olsztyn
18. Chomenko Andrzej	emeryt	Mielec	35. Romańska Ewa	uczenica	Mielec
19. Dub Zbigniew	uczeń	Mielec	36. Romańska Urszula	uczenica	Mielec
20. Dub Zenon	technik	Mielec	37. Skawiński Mariusz	elektromechanik	Mielec
21. Haspel Witold	em. oficer WP	Rzeszów	38. Skrzypek Władysław	tech. mechanik	Mielec
22. Haspel Małgorzata	technolog żywności	Rzeszów	39. Soja Ewa	studentka	Mielec
23. Jędrychowski Mateusz	uczeń	Mielec	40. Soltys Monika	studentka	Mielec
24. Juszczak Barbara	pielęgniarka	Mielec	41. Strugała Henryk	prac. umysł.	Mielec
25. Krakowska Elżbieta	lekarz	Mielec	42. Świątek Marcin	student	Mielec
26. Lichtenberg Łukasz	student	Przemyśl	43. Święty Manfred	tech. chemik	Gliwice
27. Łata Paweł	uczeń	Mielec	44. Talarek Natalia	studentka	Mielec
28. Małek Edward	inżynier	Mielec	45. Warszawska Magdalena	pielęgniarka	Łódź
29. Małek Edward	tech. mechanik	Mielec	46. Warszawski Marek	elektryk	Łódź
30. Mokrzycka Elżbieta	pielęgniarka	Rzeszów	47. Wiśniewska Dorota	tech. architekt	Warszawa
31. Piwanowski Artur	student	Mielec	48. Wit Zbigniew	student	Mielec

Koło PTT przy Gimnazjum Publicznym w Radomyślu Wielkim

49. Babiarczy Grzegorz	uczeń	Dulcza Mała	56. Rożnowska Aneta	uczenica	Dulcza Wielka
50. Bielatowicz Katarzyna	uczenica	Radomyśl Wlk.	57. Skrzyniarz Bartłomiej	uczeń	Radomyśl Wlk.
51. Gera Marcin	uczeń	Dulcza Wielka	58. Skrzyniarz Paweł	uczeń	Radomyśl Wlk.
52. Giża Angelina	uczenica	Dulcza Wielka	59. Skrzyniarz Rafał	uczeń	Radomyśl Wlk.
53. Giża Marta	uczenica	Dulcza Wielka	60. Stopa Szczepan	uczeń	Dulcza Wielka
54. Kokoszka Monika	uczenica	Zdziarzec	61. Szumny Bartłomiej	uczeń	Dulcza Wielka
55. Kuzdał Barbara	uczenica	Radomyśl Wlk.	62. Wąchała Wiktor	uczeń	Dulcza Wielka

Koło PTT „Vagabond” przy Gimnazjum nr 1 w Mielcu

63. Bialic Katarzyna	uczenica	Mielec	69. Krużel Marta	uczenica	Mielec
64. Gancarczyk Magdalena	Mielec	Mielec	70. Kubik Justyna	uczenica	Mielec
65. Józefczyk Ewa	uczenica	Mielec	71. Pazdro Iwona	uczenica	Mielec
66. Kołacz Sabina	uczenica	Mielec	72. Świtkowska Anna	uczenica	Mielec
67. Krawiec Aldona	uczenica	Mielec	73. Wolińska Małgorzata	nauczycielka	Mielec
68. Krużel Łukasz	uczeń	Mielec			

Koło PTT „Salamandra” przy Gimnazjum nr 2 im. Jana Pawła II w Kolbuszowej

74. Byczek Paulina	uczenica	Zarębki	84. Przybyło Natalia	uczenica	Kolbuszowa
75. Ciuba Katarzyna	uczenica	Kolbuszowa	85. Serafin Magdalena	uczenica	Zarębki
76. Fryzel Ilona	uczenica	Zarębki	86. Słowik Weronika	uczenica	Kolbuszowa
77. Gul Tomasz	uczeń	Zarębki	87. Wiącek Wojciech	uczeń	Przedbórz
78. Kaczanowska Magdalena	uczenica	Zarębki	88. Wit Dionizy	uczeń	Kolbuszowa
79. Kwiatkowska Hiacynta	uczenica	Kolbuszowa	89. Zarębski Paweł	uczeń	Kolbuszowa
80. Lubera Adrian	uczeń	Zarębki	90. Żądło Hubert	uczeń	Kolbuszowa
81. Michno Paweł	nauczyciel	Kolbuszowa	91. Żołdak Damian	uczeń	Kolbuszowa
82. Oczkowski Dariusz	uczeń	Zarębki			
83. Pawelek Magdalena	uczenica	Kolbuszowa			

Koło PTT „Karak-a-karak” przy Liceum Ogólnokształcącym im. Janka Bytnara w Kolbuszowej

92. Babiuch Monika	uczenica	Wola	99. Lenart Sławomir	uczeń	Kolbuszowa
93. Hałas Mateusz	uczeń	Raniżowska	100. Maziarz Marcin	uczeń	Kolbuszowa
94. Janczyk Bartłomiej	uczeń	Nowa Wieś	101. Olesiak Szymon	uczeń	Cmolos
95. Kasica Agnieszka	uczenica	Kolbuszowa	102. Opaliński Sławomir	uczeń	Werynia
		Wola	103. Sowa Janusz	uczeń	Kolbuszowa
96. Kopeć Marek	uczeń	Raniżowska	104. Stepien Szczepan	uczeń	Majdan
		Majdan			Królewski
97. Kupczyk Mateusz	uczeń	Królewski	105. Wilk Paweł	uczeń	Cmolos
98. Kutyla Bartłomiej	uczeń	Kolbuszowa			
		Kolbuszowa			

Oddział PTT „Beskid” w Nowym Sączu im. prof. Feliksa Rapfa

Był to 12 rok działalności Oddziału od jego reaktywowania w 1990 r. Początkowo Zarząd Oddziału pracował w składzie wybranym podczas IV Walnego Zgromadzenia Członków Oddziału, odbytego w dniu 12.09.1998 r.

22.09.2001 r. odbyło się V Walne Zgromadzenie Członków Oddziału, na którym wybrano nowe władze.

Zarząd odbył 12 protokołowanych posiedzeń. Ponadto w razie potrzeby spotykano się także w mniejszym gronie. Na zebrania zapraszani byli członkowie Komisji Rewizyjnej.

Siedziba Oddziału mieściła się w lokalu Biura Podróży „Pieniny” w Nowym Sączu przy ul. Narutowicza 3.

Sprawy członkowskie

W trakcie 2001 r. do Oddziału wstąpiły 82 osoby, w tym do Koła w Tarnobrzegu 54 osoby. Łącznie od 1990 r. do Oddziału zapisało się 640 osób, w tym do Koła w Krynicy 25 osób, a do Koła w Tarnobrzegu 121 osób. W 2001 r. składki opłaciły 271 osoby, jednak zgodnie ze statutem dopuszczającym roczne opóźnienie w ich płaceniu, na dzień 31.12.2001 r. Oddział liczył 407 członków, w tym 12 w Kole w Krynicy i 121 w Kole w Tarnobrzegu.

Działalność wycieczkowa

Jest to podstawowa działalność Oddziału. Ogółem w 2001 r. zorganizowano 107 imprez, w których wzięło udział 4.215 osób.

W Nowym Sączu zorganizowano ich 83 dla 3.332 osób. W większości były to imprezy jednodniowe, cieszące się największym zainteresowaniem ze strony uczestników. Było ich 69. Ponadto zorganizowano 7 imprez dwudniowych, 3 trzydniowe oraz wyprawy – 1 dziewięciodniowa, 1 dziesięciodniowa, 1 jedenastodniowa i 1 szesnastodniowa. Wycieczki odbywały się w Beskidzie Sądeckim (14 razy), Niskim (8), Wyspowym, Gorcach, Tatrach (po 6), Pieninach i Pogórzu (po 5), Bieszczadach (3), Beskidzie Żywieckim (2) i Śląskim (1). Ponadto zorganizowano 13 wyjazdów w słowackie Tatry i 9 w inne słowackie góry. Odbyły się też 4 wyprawy – w ukraińskie Karpaty Wschodnie, rumuńskie Karpaty Południowe, austriackie i francuskie Alpy oraz góry czesko-niemieckiego pogranicza. Dojazd do gór odbywał się 37 razy autokarami turystycznymi, a 46 razy publicznymi środkami lokomocji (PKP, PKS, MPK). Dla uatrakcyjnienia imprez odbywały się ogniska z pieczeniem kiełbasy i smażeniem jajecznic.

Część imprez to wycieczki, które weszły już na stałe do kalendarza Oddziału. Tradycyjnie, już po raz dwunasty odbyło się przejście historycznej trasy z Piwnicznej przez Radziejową do Rytra, a więc szlakiem pierwszej wycieczki nowosądeckiego „Beskidu” z 1 lipca 1906 r. Po raz kolejny powitaliśmy też Nowy Rok w górach, uczestnicząc w XIII Sylwestrowej Mszy Św. Ludzi Gór zorganizowanej na Jaworzynie Krynickiej przez kapelana naszego Towarzystwa ks. Józefa Drabika z Krynicy. Jak co roku z okazji Dnia Dziecka zorganizowaliśmy dla naj-



Członkowie Oddziału w Nowym Sączu na Tarnicy (15.09.2001 r.).

Fot. archiwum Oddziału

młodszych imprezę, tym razem połączoną z konkursami sprawnościowymi i jazdą konną w stadninie koni huculskich w Regietowie.

Afisze informujące o imprezach rozwieszane były w naszych gablotach umieszczonych w centralnych punktach miasta. Odpowiednie informacje ukazywały się regularnie w lokalnej prasie, radiu oraz telewizji kablowej. Dzięki dotacji z Urzędu Miasta uczestnicy imprez opłacali tylko część kosztów organizacyjnych, czyli kosztów wynajmu autokarów. Dzięki temu wycieczki były dostępnejsze finansowo, co miało szczególnie duże znaczenie dla kliuosobowych rodzin, młodzieży czy emerytów.

Imprezy były prowadzone społecznie przez 21 przewodników. Najwięcej wycieczek prowadził Krzysztof Żuczkowski (23), a następnie Jerzy Gałda (10), Maciej Zaremba (9), Władysław Kowalczyk (8), Marek Wojsław (6), Maciej Pietrzkiewicz (5), Wojciech Szarota i Leszek Małota (po 4), Aleksander Jarek (3), Tadeusz Pogwizd, Robert Cempa, Anna Totoń, Ryszard Patyk i Andrzej Zbozień (po 2), Piotr Skrzypiec, Łukasz Musiał, Wojciech Lipa, Maciej Michalik, Peter Tomko, Oleg Duris i Paweł Kiełbasa (po 1).

Górska Odznaka Turystyczna

Kontynuowana była akcja zdobywania GOT PTT. Zgodnie z założeniami cieszy się ona największą popularnością wśród młodzieży. W 2001 r. przyznano łącznie 65 odznak, w tym „małych” brązowych 42, srebrnych 19 i złotych 7 oraz „dużych” srebrnych 2. Ogółem, od reaktywowania odznaki w 1994 r. w naszym Oddziale zdobyto ich 208.

Koło Przewodników

Zarząd Koła:	Prezes:	Jerzy Gałda
	Wiceprezes:	Wiesław Wcześny
	Sekretarz:	Marta Treit
	Skarbnik:	Marek Wojsław
	Członkowie:	Marek Buda, Ryszard Patyk, Wojciech Szarota
Komisja Rewizyjna:	Przewodniczący:	Adam Bossy
	Zastępca:	Danuta Ryba
	Sekretarz:	Marzena Hodun

Koło liczy 73 przewodników, w tym 53 absolwentów kursu zorganizowanego w 1998 r. przez nasz Oddział. Niestety nie wszyscy członkowie Koła opłacają na bieżąco składki. Wiąże się to głównie z faktem, iż część przewodników mieszka poza Nowym Sączem. Trudno jest im regularnie uczestniczyć w spotkaniach i szkoleniach Koła. Składki za rok 2000 zapłaciło 45 przewodników, a za 2001 r. – 26 przewodników. A oto najważniejsze działania Koła w 2001 r.

- Najbardziej spektakularną imprezą była organizacja XVII Ogólnopolskiej Pielgrzymki Przewodników Turystycznych na Jasną Górę w dniach 9–11 marca,

z udziałem ponad półtoratysięcznej rzeszy przewodników z całego kraju. Pielgrzymka była dużym sukcesem organizacyjnym, a w jej trakcie poświęcony został sztandar Koła.

- Regularnie w drugą i czwartą środę każdego miesiąca w lokalu Sądeckiej Biblioteki Publicznej przy ul. Lwowskiej 21 odbywały się zebrania Koła. Miały one charakter otwarty dla gości i sympatyków. W trakcie zebrań omawiano sprawy organizacyjne, przeprowadzano szkolenia oraz wygłaszano prelekcje.
- Brano udział w szkoleniach przeprowadzanych przez pracowników Babiogórskiego Parku Narodowego i Pienińskiego Parku Narodowego. Uczestnikom szkoleń przedłużono licencje na prowadzenie wycieczek w obydwu parkach na kolejny rok.
- Zorganizowano trzy imprezy przewodnickie – 4 lutego na Radziejowej w drugą rocznicę złożenia ślubowania, 27 czerwca spływ tratwami Popradem z Piwnicznej do Rytra sponsorowany przez firmę „Centrum” oraz 24/25 listopada pod Pisaną Halą na zakończenie sezonu. Zorganizowano również opłatek przewodnicki.
- Przewodnicy prowadzili społecznie wycieczki organizowane przez Oddział, w ramach Akcji „Lato z PTT 2001” oraz dla Środowiskowego Hufca Pracy.

Szlaki turystyczne

Po zatwierdzeniu lokalizacji przez architekta miejskiego, przy dworcach PKS i PKP zostały umieszczone na stojakach tablice z mapami Nowosądeckich Szlaków Spacerowych PTT, wyznakowanych przez nasz Oddział w 1999 r.

Działalność dla młodzieży

Działalność prowadzoną przez Macieja Pietrzkiewicza Młodzieżowy Klub Turystyki Górskiej. Dla młodzieży pozostającej w czasie wakacji w mieście zorganizowano akcję „Lato z PTT 2001” proponując we wszystkie niedziele lipca i sierpnia atrakcyjne wycieczki górskie. W ramach współpracy ze Środowiskowym Hufcem Pracy zorganizowano w okresie wakacji kurs młodzieżowego organizatora turystyki oraz cykl 6 imprez pod nazwą „Wędrówki po górach i górkach”. Ponadto przewodnicy PTT społecznie prowadzili kilka innych imprez organizowanych przez Hufiec.

Obiekt w Obidzy

Podpisano umowę z Urzędem Gminy w Łącku, który przekazał naszemu Oddziałowi budynek byłej szkoły w Obidzy z przeznaczeniem na schronisko młodzieżowe. Obiekt został wyposażony w sprzęt uzyskany od kilku sponsorów i uzupełniony przez nas. W wyniku olbrzymiej pracy społecznej członków naszego Oddziału, a przede wszystkim Koła Przewodników, obiekt został przygotowany do eksploatacji. Niestety w wyniku zmiany przepisów określających nowe wymagania stawiane schroniskom młodzieżowym, a które weszły w życie w lipcu, obiekt przestał te wymagania spełniać.

Działalność wydawnicza

W 2001 r. ukazały się cztery kolejne numery (43–46) kwartalnika „Beskid”, liczące po 24–32 strony każdy, w nakładach 600–1500 egzemplarzy. Pismo poświęcone jest turystyce górskiej, górcom, ekologii i działalności naszego Towarzystwa, a przede wszystkim naszego Oddziału. Redagowane jest przez Macieja Zarembę, teksty na komputerze przepisuje Jacek Zaremba, a skład i druk wykonuje Centrum Poligraficzne „Małopolska” Łukasza Gocka. Dzięki dotacji Urzędu Miasta, pismo rozprowadzane jest bezpłatnie wśród uczestników imprez oraz wszystkich zainteresowanych przez nasze punkty informacyjne oraz Centrum Informacji Turystycznej. Ponadto otrzymuje je Sąddecka Biblioteka Publiczna, gdzie udostępniane jest w czytelni, Centralna Biblioteka Górską w Krakowie, Muzeum Tatrzańskie w Zakopanem, redakcje lokalnych gazet i rozgłośni radiowych, a w związku z posiadaniem numeru ISSN, „Beskid” przekazywany jest do ponad dwudziestu najważniejszych bibliotek w kraju.

W sierpniu Oddział wydał ponad dwustustronicową pracę Waldemara Nadolskiego: „Towarzystwo Turystyczne «Beskid», Oddział Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego w Nowym Sączu w latach 1906–1950”. Jest to pierwsze w historii tak obszerne wydawnictwo poświęcone dziejom naszego Oddziału.

Inne działania

- Działały punkty informacyjne PTT w biurach turystycznych „Pieniny” i „Turysta”, przyjmujące zapisy do Towarzystwa, obsługujące akcję zdobywania GOT PTT, prowadzące sprzedaż wydawnictw i dystrybucję kwartalnika „Beskid” oraz zapisy na imprezy.
- Prowadziła działalność Sekcja Narciarska propagująca wędrowki na nartach jako alternatywę dla narciarstwa „wyciągowego”. Niestety działalność ta była prowadzona w ograniczonym zakresie z uwagi na słabe warunki śniegowe.
- Nasz Oddział jest od 1999 r. członkiem Nowosądeckiej Izby Turystycznej, a od lipca 2001 r. także Sąddeckiej Organizacji Turystycznej. Uczestniczy też w pracach organizacji „Razem Raźniej”, biorąc m.in. udział w I Festiwalu Organizacji Pozarządowych, który odbył się w reprezentacyjnej sali nowosądeckiego ratusza w lutym 2001 r.
- Prowadzona przez nasz Oddział biblioteka górską pozyskała w 2001 r. drogą zakupów i darowizn 328 pozycji i liczy ich obecnie 2.598. Dary przekazało 15 osób i organizacji, z których najwięcej Maciej Zaremba – 148 pozycji i Tatrzański Park Narodowy – 30 pozycji. Biblioteka mieszcząca się w siedzibie Oddziału cieszy się dużym powodzeniem, szczególnie wśród przewodników oraz młodzieży uczącej się w nowosądeckich policealnych szkołach obsługi ruchu turystycznego.
- Za okres 2001 r. ukazały się tomy XVII i XVIII kroniki Oddziału, dokumentujące wszystkie nasze działania, a przede wszystkim organizowane przez nas imprezy górskie. Są bogato ilustrowane zdjęciami. Kroniki opracowywał Wojciech Szarota przy współpracy Anny Totoń.

- Z udziałem ponad 70 osób odbyło się tradycyjne oddziałowe spotkanie opłatkowe, urozmaicone występem kolędników z Piwnicznej, kierowanych przez Jacka Durlaka. Kilkunastu najbardziej aktywnych działaczy naszego oddziału zostało wyróżnionych wydawnictwami ufundowanymi przez Urząd Miasta i Starostwo Powiatowe. Na zakończenie odbył się pokaz slajdów z wypraw w Karpaty Wschodnie i Południowe, przedstawiony przez Piotra Skrzypca.
- Zgłoszone przez nasz Oddział osoby działały w powołanych przez Wojewodę Małopolskiego wojewódzkich komisjach egzaminacyjnych przewodników i pilotów – Wiesław Piprek, Bożena Srebro, Lech Traciłowski i Maciej Zaremba. Ponadto Maciej Zaremba był członkiem „Zespołu do oceny wniosków o udzielenie dotacji na zadania z dziedziny turystyki kwalifikowanej” powołanego przez Marszałka województwa małopolskiego.
- W trakcie powiatowych obchodów Światowego Dnia Turystyki, które odbyły się w październiku w Rytrze, nasz Oddział został wyróżniony plakietką przez Prezydenta Miasta Nowego Sącza za „Dużą wartość materiałów i redakcję biuletynu „Beskid”. Wiesławowi Piprkowi i Annie Totoń wręczono honorowe odznaki „Za zasługi dla turystyki” przyznane na wniosek naszego Oddziału przez Urząd Kultury Fizycznej i Turystyki. Natomiast podczas listopadowego V Zjazdu Delegatów PTT, „Złotymi Odznakami PTT z Kosówką” wyróżnieni zostali Władysław Kowalczyk i Krzysztof Żuczkowski.
- Tradycyjnie nasz Oddział był jednym ze sponsorów VIII Festynu Parafialnego, który odbył się w lipcu w Gorlicach. Na cele loterii przekazaliśmy bezpłatnie miejsca na naszą wycieczkę w słowackie Tatry.
- Posiadamy własne strony w internecie: na witrynie Urzędu Miasta w Nowym Sączu (adres: www.nowysacz.pl) są umieszczone informacje o naszym Oddziale, które na bieżąco staramy się uaktualniać. Ten sam obszerny materiał przygotowywany jest do umieszczenia na stronie Zarządu Głównego PTT. Ponadto od niedawna posiadamy własną stronę zaprojektowaną przez naszego członka Wojciech Berezowskiego (adres: www.pttns.of.pl). Opracowaniem materiałów do internetu zajmują się Marek Wojsław i Jerzy Gałda.

Współpraca

- Współpraca z Zarządem Głównym PTT układa się bardzo dobrze. Otrzymujemy na bieżąco wszystkie materiały a przedstawiciele naszego Oddziału biorą udział w posiedzeniach Zarządu Głównego: w styczniu w Krynicy, w maju w Młodej Horze i w listopadzie w Zakopanem. Organizatorem styczniowego posiedzenia był nasz Oddział. Odbyło się ono w gościnnym Katolickim Schronisku Młodzieżowym im. Piotra Frassati prowadzonym przez naszego kapelana ks. Józefa Drabika. Na zakończenie spotkania odbyło się tradycyjne spotkanie opłatkowe.
- Nasi członkowie działają we władzach Towarzystwa. W poprzedniej kadencji Maciej Zaremba był wiceprezesem, a Małgorzata Kieres i Wojciech Lippa członkami Zarządu Głównego. Obecnie Maciej Zaremba dalej pełni nadal funkcję wiceprezesa, a członkami Zarządu Głównego zostali wybrani Jerzy

Gałda i Jacek Gospodarczyk z Koła w Tarnobrzegu. Marek Wojsław został członkiem Głównej Komisji Rewizyjnej, natomiast Krzysztof Żuczkowski członkiem Głównego Sądu Koleżeńskiego. Członek naszego Oddziału ks. Józef Drabik dalej pełni funkcję kapelana Towarzystwa.

- Nasz Oddział zajmuje się także produkcją legitymacji i odznak organizacyjnych i GOT PTT.
- Do wszystkich Oddziałów przekazujemy kwartalnik „Beskid”. Niestety do nas docierają tylko niektóre pisma oddziałowe.
- O naszej działalności i organizowanych imprezach regularnie informowała lokalna prasa: „Gazeta Krakowska”, „Dziennik Polski”, „Ziemia Sądecka”, „Sądecka Gazeta Domowa” oraz ogólnopolskie pisma: „Gazeta Wyborcza”, „Poznaj swój kraj” i „Niedziela”. Łącznie w 2001 r. ukazało się w prasie przynajmniej 76 notatek na temat naszego Oddziału. O naszych imprezach regularnie informowało także nowosądeckie Radio Echo oraz obydwie telewizje kablowe.
- Naszą działalność wspierał finansowo Urząd Miasta w Nowym Sączu. Środki przekazało nam także kilku innych sponsorów. Dotacje z kilku źródeł otrzymało też Koło w Tarnobrzegu. Bez tego wsparcia nie byłaby możliwa tak szeroka działalność naszego Oddziału.

Maciej Zaremba

Zarząd Oddziału:

1. Prezes:	Zaremba Maciej	właśc. biura turyst.	Nowy Sącz
2. Wiceprezes:	Gałda Jerzy	tech. chemik	Nowy Sącz
3. Sekretarz:	Wolak Krystyna	prawnik	Nowy Sącz
4. Skarbnik:	Świerczek Grażyna	pracownik umysł.	Nowy Sącz
5. Członek Zarządu:	Kowalczyk Władysław	inżynier	Nowy Sącz
6. Członek Zarządu:	Krajewski Jan	geograf	Nowy Sącz
7. Członek Zarządu:	Małota Leszek	nauczyciel	Nowy Sącz
8. Członek Zarządu:	Szarota Wojciech	tech. samochod.	Nowy Sącz
9. Członek Zarządu:	Świgut Wojciech	elektromonter	Jamnica
10. Członek Zarządu:	Wojsław Marek	pracownik umysł.	Nowy Sącz
11. Członek Zarządu:	Żuczkowski Krzysztof	rencista	Grybów

Komisja Rewizyjna:

12. Przewodniczący:	Orlita Józef	kolejarz	Nowy Sącz
13. Zastępca:	Bilińska Zyta	nauczycielka	Nowy Sącz
14. Sekretarz:	Hodun Marzena	technik ORT	Piwniczna

Sąd Koleżeński:

15. Przewodniczący:	Pogwizd Tadeusz	rencista	Nowy Sącz
16. Sekretarz:	Macheta Władysław	emeryt	Nowy Sącz
17. Członek:	Wojnarowski Kazimierz	pożłotnik	Nowy Sącz

Członkowie Oddziału:

18. Baran Barbara	tech. rolnik	Nawojowa	89. Jarek Aleksander	inż. geodeta	Nowy Sącz
19. Baran Karolina	studentka	Barcice	90. Jaworek Krzysztof	kierowca	Nowy Sącz
20. Baran Kazimierz	rehabilitant	Barcice	91. Jaworek Anna	księgowa	Nowy Sącz
21. Baranowski Jerzy	nauczyciel	Nowy Sącz	92. Jaworski Marek	tech. budowl.	Łazy
22. Bednarek Jadwiga	handlowiec	Nowy Sącz			Biegonickie
23. Berezowski Andrzej	rencista	Nowy Sącz	93. Jaworski Krzysztof	uczeń	Nowy Sącz
24. Berezowski Wojciech	student	Nowy Sącz	94. Jeżowski Maciej	nauczyciel	Piwniczna
25. Berowski Aleksander	monter	Świnarsko	95. Jordan Marek	pracownik ochrony	Krosno
26. Bialek Anna	uczenica	Szczawnica	96. Karpiński Andrzej	inkasent	Gorlice
27. Bialek Iwona	instruktor turyst.	Szczawnica	97. Kasiński Tomasz	technik	Limanowa
28. Bialek Katarzyna	studentka	Szczawnica	98. Kelm Michał	student	Brzeg
29. Bieniewska Maria	nauczycielka	Nowy Sącz	99. Kęska Joanna	studentka	Przyszowa
30. Bieniewska Zofia	studentka	Nowy Sącz	100. Kęska Paweł	student	Przyszowa
31. Biernacka Paulina	dziecko	Nowy Sącz	101. Kielbasa Paweł	mechanik	Mystków
32. Biskup Tomasz	uczeń	Łabowiec	102. Kielbasa Renata	dziewiarz	Mystków
33. Blicharz Alicja	nauczycielka	Grybów	103. Kieres Małgorzata	lekarz	Nowy Sącz
34. Blicharz Grażyna	nauczycielka	Grybów	104. Kolat Hanna Grażyna	inż. geodeta	Nowy Sącz
35. Blicharz Marta	drzewiarz	Grybów	105. Kołsut Sławomir	dentysta	Nowy Sącz
36. Bochenek Ryszard	elektryk	Nowy Sącz	106. Komar Halina	ekonomista	Nowy Sącz
37. Boczoń Krzysztof	student	Nowy Sącz	107. Kowalczyk Iwona	studentka	Nowy Sącz
38. Boloz Bernadetta	technik ort.	Łazy	108. Kowalczyk Rafał	uczeń	Nowy Sącz
39. Borek Edward	nauczyciel	Nowy Sącz	109. Kowalczyk Teresa	dietetyczka	Nowy Sącz
40. Bossy Adam	mechanik	Piwniczna	110. Krawczyk Stanisława	pracownik umysł.	Tęgoborze
41. Buczek Stanisław	nauczyciel	Krosno	111. Kręcihwoś Antoni	lekarz	Piwniczna
42. Buda Marek	nauczyciel	Maciejowa	112. Krokowska Jadwiga	ekonomistka	Grybów
43. Cempa Robert	nauczyciel	Nowy Sącz	113. Krokowski Karol	handlowiec	Grybów
44. Chlebek Józef	tech. budowl.	Maciejowa	114. Kryń Jolanta	pedagog	Nowy Sącz
45. Chlebek Piotr	pracownik umysł.	Maciejowa	115. Krzykalska Maria	nauczyciel	Nowy Sącz
46. Chwastowicz Stanisław	nauczyciel	Nowy Sącz	116. Krzyżanowski Zdzisław	lekarz	Nowy Sącz
47. Ciosek Waldemar	ksiądz	Krynica	117. Kubik Mariusz	uczeń	Krościenko
48. Cisoń Maria	bibliotekarz	Nowy Sącz	118. Kubik Elżbieta	pracownik umysł.	Krościenko
49. Cisoń Paweł	technik	Nowy Sącz	119. Kucharz Zbigniew	emeryt	Nowy Sącz
50. Czech Barbara	tech. transportu	Nowy Sącz	120. Kula Anna	uczenica	Podegrodzie
51. Dąbrowski Łukasz	uczeń	Stary Sącz	121. Kulig Ryszard	inż. mechanik	Nowy Sącz
52. Dragan Piotr	nauczyciel	Nowy Sącz	122. Kulig Leokadia	nauczycielka	Nowy Sącz
53. Durlak Jacek	pracownik umysł.	Piwniczna	123. Kulig Monika	tech. ekonomista	Nowy Sącz
54. Fecko Teresa	pedagog	Nowy Sącz	124. Kunik Janina	chemik	Nowy Sącz
55. Fidowicz Stanisław	rencista	Piwniczna	125. Kunik Roman	emeryt	Nowy Sącz
56. Fiedor Celina	ekonomista	Łomnica Zdrój	126. Kurzeja Dariusz	kasjer	Nowy Sącz
57. Frączek Teresa	ekonomista	Nowy Sącz	127. Lachowski Tomasz	informatyk	Nowy Sącz
58. Frey Bogumił	rehabilitant	Nowy Sącz	128. Lasiewicz Ewa	rencista	Nowy Sącz
59. Galda Grażyna	tech. dietetyk	Nowy Sącz	129. Legutko Barbara	nauczycielka	Łącko
60. Gądek Józef	student	Łącko	130. Legutko Grzegorz	nauczyciel	Łącko
61. Gluc Władysława	em. nauczycielka	Nowy Sącz	131. Legutko Henryka	ekonomista	Nowy Sącz
62. Gluc-Brylka Anna	pedagog	Nowy Sącz	132. Leśniak Ewa	pracownik umysł.	Nowy Sącz
63. Gocek Łukasz	informatyk	Nowy Sącz	133. Lipka Wojciech	pracownik umysł.	Nowy Sącz
64. Goldyn Zenon	lekarz	Nowy Sącz	134. Lorek Elżbieta	chemik	Nowy Sącz
65. Gomółka Ignacy	nauczyciel	Nowy Sącz	135. Lorek Magdalena	uczenica	Nowy Sącz
66. Gonciarz Krystyna	bankowiec	Nowy Sącz	136. Łyszczak-Wolak Jolanta		Nowy Sącz
67. Gondek Iwona	tech. farmaceuta	Łącko	137. Majewski Maciej	uczeń	Nowy Sącz
68. Gorczowski Antoni	tech. budowl.	Stary Sącz	138. Malcewski Mieczysław		
69. Gorczyca-Luchowska			Andrzej	oficer	Nowy Sącz
Elżbieta	lekarz	Nowy Sącz	139. Marciniec Grzegorz	student	Muszyna
70. Gościński Jan	dziennikarz	Muszyna	140. Markowiak Dominika	studentka	Marcinkowice
71. Górka Mariusz	uczeń	Rożnów	141. Maślanka Małgorzata	studentka	Piwniczna
72. Górka Ryszard	rencista	Rożnów	142. Matras Danuta	bibliotekarz	Nowy Sącz
73. Grabiec Jerzy	lekarz weterynarii	Stary Sącz	143. Matras Mieczysław	sprzedawca	Nowy Sącz
74. Grońska Urszula	uczenica	Nowy Sącz	144. Matusik Jolanta	uczenica	Nowy Sącz
75. Groński Paweł	uczeń	Nowy Sącz	145. Matuszyk Józefa	radca prawny	Nowy Sącz
76. Groński Aleksander	tech. elektryk	Nowy Sącz	146. Matuszyk Paweł Jerzy	student	Nowy Sącz
77. Gródek Leszek	student	Nowy Sącz	147. Mazur Adam	em. nauczyciel	Muszyna
78. Guskiewicz Maria	nauczycielka	Krościenko	148. Michalik Barbara	pracownik umysł.	Żeleźnikowa
79. Hanchbach Krzysztof	handlowiec	Nowy Sącz	149. Mikusińska Jolanta	diagnostka	Nowy Sącz
80. Harcula Andrzej	inżynier	Nowy Sącz	150. Mikusińska Renata	analityk med.	Nowy Sącz
81. Hasiór Anna Maria	pielęgniarka	Kłodne	151. Mikusiński Robert	inżynier	Nowy Sącz
82. Horowska Joanna	studentka	Nowy Sącz	152. Mikusiński Witold	inżynier	Nowy Sącz
83. Horowski Dariusz	student	Nowy Sącz	153. Minicka Irena	ekonomista	Nowy Sącz
84. Huba Andrzej	ekonomista	Wywloczka	154. Minicki Edward	ekonomista	Nowy Sącz
85. Hudimac Victoria	nauczycielka	Nowy Sącz	155. Motyka Małgorzata	studentka	Nowy Sącz
86. Iwańska Wanda	tech. żywienia	Brzeźna	156. Motyka Mirosław	sprzedawca	Nowy Sącz
87. Jakóbczak Piotr	matematyk	Nowy Sącz	157. Motyka Władysława	nauczycielka	Grybów
88. Janik Czesława	em. nauczycielka	Nowy Sącz	158. Murawska Katarzyna	farmaceuta	Krościenko

159. Musiał Łukasz	technik ort.	Nowy Sącz	215. Skoczeń Paweł	leśnik	Nowy Sącz
160. Musiał Stanisław	handlowiec	Nowy Sącz	216. Smajdor Zbigniew	mechanik	Nowy Sącz
161. Muszyński Zbyszko	emeryt	Nowy Sącz	217. Sobczak Zofia	technik	Nowy Sącz
162. Nadolski Waldemar	pracownik umysł.	Nowy Sącz	218. Sobieraj Patrycja	studentka	Nowy Sącz
163. Nieć Stanisław	inż. rolnik	Nowy Sącz	219. Spiradek Jakub	student	Nowy Sącz
164. Nowak Krzysztof	student	Nowy Sącz	220. Staszewska Anna	uczenica	Nowy Sącz
165. Nowak Leszek	rehabilitant	Nowy Sącz	221. Szafranski Stanisław	pracownik umysł.	Ożarów Maz.
166. Obrzut Agnieszka	uczenica	Nowy Sącz	222. Szarota Waclaw	tech. elektromech.	Nowy Sącz
167. Obrzut Wiesław	tech. mechanik	Nowy Sącz	223. Średniawa Anna	uczenica	Gostwica
168. Ogórek Stanisław	murarz	Bartkowa	224. Tischner Wojciech	nauczyciel	Nowy Targ
169. Olesiak Anna	handlowiec	Mordarka	225. Tokarczyk Dariusz	tech. budowl.	Nowy Sącz
170. Olesiak Arkadiusz	student	Królowa Górna	226. Tomasiak Danuta	tech. ekonomista	Oblazy
171. Olesiak Marek	tech. ekonomista	Nowy Sącz	227. Totoń Anna	bibliotekarz	Nowy Sącz
172. Opoka Maria	pracownik umysł.	Nowy Sącz	228. Traciłowska Iwona	leśnik	Nowy Sącz
173. Orlita Wojciech	inżynier	Nowy Sącz	229. Traciłowska Lidia	nauczycielka	Nowy Sącz
174. Owsiana Jakub	wychowawca	Nowy Sącz	230. Traciłowski Lech	inżynier	Nowy Sącz
175. Pach Marta	księgowa	Nowy Sącz	231. Traciłowski Tomasz	strażak	Nowy Sącz
176. Pach Paweł	tech. samochodowy	Nowy Sącz	232. Treit Marta	bibliotekarz	Nowy Sącz
177. Paciga Bogusław	pracownik umysł.	Rabka	233. Truchan Józef	tech. budowl.	Nowy Sącz
178. Palij Aleksandra	nauczyciel	Nowy Sącz	234. Truchan Maria	inżynier	Nowy Sącz
179. Paprocka Ryszarda	lekarz	Nowy Sącz	235. Truchan Paweł	student	Nowy Sącz
180. Paprocki Aleksander	inżynier	Nowy Sącz	236. Truchan Piotr	student	Nowy Sącz
181. Patyk Katarzyna	uczenica	Nowy Sącz	237. Tylek Katarzyna	uczenica	Nowy Sącz
182. Patyk Ryszard	bibliotekarz	Nowy Sącz	238. Waksmundzka Anna	tech. samochodowy	Nowy Sącz
183. Pawlik Janusz	prawnik	Nowy Sącz	239. Waksmundzka Elżbieta	pracownik umysł.	Nowy Sącz
184. Pawlik Michał	uczeń	Nowy Sącz	240. Waksmundzka Maria	pracownik umysł.	Stary Sącz
185. Pawlikowski Bogdan	pakowacz	Nowy Sącz	241. Waligóra Antoni	pracownik umysł.	Nowy Sącz
186. Pawlikowski Piotr	przewodnik	Mała Wies	242. Wańczyk Janusz	inż. elektryk	Nowy Sącz
187. Pawluk Rafał	uczeń	Nowy Sącz	243. Wasłoń Joanna	uczenica	Nowy Sącz
188. Pierzchała Paweł	sprzedawca	Nowy Sącz	244. Wąsek Alicja	pracownik umysł.	Nowy Sącz
189. Pietras Mieczysław	inżynier	Nowy Sącz	245. Wąsowicz Jerzy	nauczyciel	Nowy Sącz
190. Pietrzak Janusz	inż. mechanik	Nowy Sącz	246. Wcześny Sławomir	uczeń	Nowy Sącz
191. Pietrzkiewicz Maciej	złotnik	Nowy Sącz	247. Wcześny Wiesław	bibliotekarz	Nowy Sącz
192. Piotrowski Antoni	nauczyciel	Nowy Sącz	248. Winiarska Bożena	nauczycielka	Limanowa
193. Pogwizd Jakub	uczeń	Nowy Sącz	249. Witkowska Wiktoria	nauczycielka	Nowy Sącz
194. Pogwizd Stanisława	technolog żywienia	Nowy Sącz	250. Witowski Edward	pracownik umysł.	Nowy Sącz
195. Polakiewicz Łukasz	pracownik umysł.	Piwniczna	251. Woda Bartosz	uczeń	Nowy Sącz
196. Polakiewicz Rafał	tech. budowl.	Piwniczna	252. Wolak Ryszard		Nowy Sącz
197. Popiół Jan	tech. budowl.	Nowy Sącz	253. Wolak Bernadeta	bankowiec	Nowy Sącz
198. Poray-Zbrożek Kazimierz	inżynier	Nowy Sącz	254. Wojs Józef	pracownik umysł.	Nowy Sącz
199. Ptasznik Ewelina	studentka	Nowy Sącz	255. Wróbel Małgorzata	pedagog	Stary Sącz
200. Raczkowski Waclaw	prawnik	Nowy Sącz	256. Wygoda Zbigniew	lekarz	Gliwice
201. Radziechowski Dariusz	uczeń	Limanowa	257. Zaczek Roman	tech. rolnik	Nawojowa
202. Rams Janina	rencistka	Nowy Sącz	258. Zahuta Michał	uczeń	Nowy Sącz
203. Rams Renata	chemik	Nowy Sącz	259. Zahuta Tadeusz	tech. mechanik	Nowy Sącz
204. Rogóż Andrzej	lekarz	Nowy Sącz	260. Załęski Andrzej	bezrobotny	Gorlice
205. Ryba Tadeusz	handlowiec	Nowy Sącz	261. Zapala Edward	właśc. biura turyst.	Nowy Sącz
206. Rzepka Janina Barbara	ekonomistka	Nowy Sącz	262. Zapala Jacek	pracownik umysł.	Niedźwiedź
207. Sadlak Józef	inż. mechanik	Nowy Sącz	263. Zapiór Andrzej	tech. budowl.	Nowy Sącz
208. Sadlak Łukasz	uczeń	Nowy Sącz	264. Zarzyka Łukasz	uczeń	Nowy Sącz
209. Salamon Bohdan	inżynier	Nowy Sącz	265. Zawalska Jadwiga	pielęgniarka	Krośnice
210. Sekula Jacek	technik ort.	Piwniczna	266. Zbozień Andrzej	elektryk	Łącko
211. Serafin Jan Konrad	student	Nowy Sącz	267. Zielińska Zofia	rencistka	Nowy Sącz
212. Serafin Małgorzata	uczenica	Nowy Sącz	268. Zygmunt Krzysztof	inżynier	Nowy Sącz
213. Serek Jerzy	tech. elektryk	Nowy Sącz	269. Żuczkowski Maciej	uczeń	Warszawa
214. Skoczeń Halina	nauczycielka	Nowy Sącz	270. Żuczkowski Michał	uczeń	Warszawa

Koło PTT w Krynicy

W roku 2001 Koło nie wyróżniało się większą działalnością własną.

Zarząd Koła:

271. Prezes:	Ryba Marian	przedsiębiorca	Krynica
272. Wiceprezes:	Homa Franciszek	pracownik umysł.	Muszyna
273. Sekretarz i Skarbnik:	Rzeszut Barbara	hotelarz	Krynica
274. Członek:	Augustyński Władysław	pracownik umysł.	Tylicz

Członkowie Koła:

275. Drabik Józef	ksiądz	Krynica	279. Koszucka Bogumiła	emeryt	Krynica
276. Garwol Paweł	malarz-tapeciarz	Krynica	280. Kukla Paweł	inż. mechanik	Krynica
277. Gruca Tomasz	uczeń	Krynica	281. Ryba Paweł	sprzedawca	Krynica
278. Homa Ewa	ekonomistka	Muszyna	282. Wiśniewska Alicja	inżynier	Krynica

Koło PTT w Tarnobrzegu

W roku 2001 nastąpił znaczny wzrost liczby członków Koła, przybyło 54 nowych członków. Na koniec 2001 roku koło liczyło 121 członków.

Rozwojowi Koła towarzyszyła aktywna działalność górską. Koło w Tarnobrzegu zorganizowało 24 imprezy; wzięły w nich udział 883 osoby. Wycieczki prowadziło społecznie 16 przewodników, z których najwięcej Mieczysław Winiarski (17 razy), a następnie Barbara Reczek (5), Zbigniew Karbowski i Jarosław Kosowski (po 3), Jacek Gospodarczyk, Dariusz Jara i Leszek Karkut (po 2), Bogdan Maślanka, Marian Juszczak, Szczepan Zaliński, Adam Wąsik, Jarosław Dąbrowski, Serhyi Pidmogylnyj, Dariusz Orczykowski, Maria Tercha i Ludwik Szymański (po 1). Ze szczególnie ciekawych imprez należy wymienić wyprawę we włoskie i francuskie Alpy, w ukraińskie Karpaty Wschodnie oraz katamarnem Południowym Bugiem w Ukrainie.

Ponadto Koło w Tarnobrzegu zorganizowało w lutym cieszącą się dużym powodzeniem Wystawę Fotograficzną „300 wiorst Dniestrowym kanyonem” autorstwa Jacka Gospodarczyka, Bogdana Myśliwca i Mariana Nietrzeby.

Koło rozpoczęło wydawanie swojego kwartalnika „Nasze wędrowanie”. W 2001 r. ukazały się 4 numery tego pisma. Posiada także własną stronę internetową: www.ptt.prv.pl.

O działalności Koła w Tarnobrzegu pisały tamtejsze „Nowiny”, „Super Nowości”, „Siarka” i „Echo Dnia”.

Zarząd Koła:

283. Prezes:	Maślanka Bogdan	nauczyciel	Tarnobrzeg
284. Wiceprezes:	Tryczyński Witold	inżynier	Tarnobrzeg
285. Sekretarz i Skarbnik:	Reczek Barbara	nauczycielka	Tarnobrzeg
286. Członek:	Winiarski Mieczysław	pracownik umysł.	Tarnobrzeg

Członkowie Koła:

287. Bednarczyk Piotr	nauczyciel	Stalowa Wola	297. Chodzyński Paweł	lekarz	Szydłowiec
288. Bień Grzegorz	hydrolog	Tarnobrzeg	298. Ciba Teresa	nauczycielka	Grębów
289. Bieńkowska Malwina	uczenica	Tarnobrzeg	299. Dąbek Anna	nauczyciel	Tarnobrzeg
290. Bieńkowski Adam	rencista	Tarnobrzeg	300. Dołęga Zdzisław		Stalowa Wola
291. Blicharz-Maguder Elżbieta	inżynier	Nowa Dęba	301. Drzazga Czesław	nauczyciel	Tarnobrzeg
292. Bochniewicz Cezary	uczeń	Tarnobrzeg	302. Dul Józef	nauczyciel	Stalowa Wola
293. Bochniewicz Sławomira	tech. dentysta	Tarnobrzeg	303. Fatyga Zbigniew	tech. mechanik	Tarnobrzeg
294. Bochniewicz Stanisław	tech. elektryk	Tarnobrzeg	304. Furman Gabriel	uczeń	Gorzyce
295. Buwała Halina	informatyk	Tarnobrzeg	305. Furtak Robert	instruktor jazdy	Chmielów
296. Chmielowiec Elżbieta		Nowa Dęba	306. Gardynik Zbigniew	nauczyciel	Tarnobrzeg

307. Gerba Grzegorz	nauczyciel	Tarnowska Wola	354. Maślanka Magdalena	uczennica	Tarnobrzeg
308. Gospodarczyk Jacek	inżynier	Sandomierz	355. Mazurczyk Roman	nauczyciel	Stalowa Wola
309. Grela Ryszard	zootechnik	Baranów Sand.	356. Młynarska Janina	pracownik umysł.	Górzycze
310. Grębiewicz Dorota	geodeta	Sandomierz	357. Molenda Robert	elektryk	Tarnobrzeg
311. Gurdak Marek	monter	Nowa Dęba	358. Morawski Jacek	tech. budowl.	Tarnobrzeg
312. Gurtat Wiesław	lekarz	Radom	359. Myśliwiec Bogdan	fotoreporter	Tarnobrzeg
313. Horoszek Leszek	wolny zawód	Tarnobrzeg	360. Niezabitowska Katarzyna	bankier	Warszawa
314. Huk Jerzy	farmaceuta	Tarnobrzeg	361. Nowak Kinga	studentka	Tarnobrzeg
315. Huńka Agnieszka	uczennica	Tarnobrzeg	362. Nowak Lucjan	emeryt	Tarnobrzeg
316. Jara Dariusz	inż. geodeta	Sanok	363. Nowak Elżbieta	lekarz	Radom
317. Jędrusik Małgorzata	tech. budowl.	Stalowa Wola	364. Olejnik Igor	uczeń	Nowa Dęba
318. Kaczyński Paweł	geodeta	Kotowa Wola	365. Orczykowski Dariusz	lekarz	Radom
319. Karbowska Danuta	pracownik umysł.	Nowa Dęba	366. Paprot Kazimierz	ekonomista	Nowa Dęba
320. Karbowski Zbigniew	mechanik	Nowa Dęba	367. Pidmohlynij Serhij	historyk	Tarnopol
321. Kawka Stanisław	emeryt	Tarnobrzeg	368. Piejko Wiesław	tech. budowl.	Tarnobrzeg
322. Kiełt-Bień Katarzyna	lekarz	Tarnobrzeg	369. Pikuła Jan	nauczyciel	Stalowa Wola
323. Kolasa Lidia	pracownik umysł.	Tarnobrzeg	370. Piwowarczyk Andrzej	nauczyciel	Tarnobrzeg
324. Komperda Tomasz	uczeń	Tarnobrzeg	371. Porada Bożena	lekarz	Radom
325. Konefal Mirosław	informatyk	Nowa Dęba	372. Poznański Michał	tech. elektryk	Tarnobrzeg
326. Konefal Krystyna	pracownik umysł.	Tarnowska Wola	373. Proszowski Jan Wojciech	inspektor skarbowy	Tarnobrzeg
327. Kopeć Elżbieta	lekarz	Szczecin	374. Przewlekiy Jan	sprzedawca	Tarnobrzeg
328. Koper Ewa	nauczyciel	Nowa Dęba	375. Psujek Waldemar	tech. mechanik	Sanok
329. Kosowska Katarzyna	filolog polski	Radom	376. Reczek Rafał	tech. mechanik	Tarnobrzeg
330. Kosowski Jarosław	lekarz	Radom	377. Rzekęć Jan	kierownik zakładu	Stalowa Wola
331. Kowalik Grzegorz	inż. mechanik	Tarnobrzeg	378. Rzeźek Szczepan	uczeń	Stalowa Wola
332. Kowalik Iwona	lekarz	Tarnobrzeg	379. Salamucha Paweł	uczeń	Tarnobrzeg
333. Kruk Zofia	pracownik umysł.	Bojanów	380. Salek Teresa	nauczycielka	Tarnobrzeg
334. Kubasiewicz Józef		Stalowa Wola	381. Sławiński Konrad	elektryk	Chmielów
335. Kubasiewicz Zuzanna	bibliotekarz	Tarnobrzeg	382. Solanin Stefan	archiwista	Sandomierz
336. Kubik Jolanta Maria	nauczycielka	Szydłowiec	383. Stępień Małgorzata	bibliotekarz	Tarnobrzeg
337. Kucharska Danuta	lekarz	Radom	384. Stockiewicz Roman	inżynier	Tarnobrzeg
338. Kuczera Elżbieta			385. Strojwas Marek	kaletnik	Tarnobrzeg
Małgorzata	nauczyciel	Stalowa Wola	386. Szymański Ludwik	chemik	Tarnobrzeg
339. Kunicka Edyta	pedagog-logopeda	Nowa Dęba	387. Tercha Maria	kasjer	Sanok
340. Kuranty Halina	inżynier	Tarnobrzeg	388. Tryczyńska Agnieszka	nauczycielka	Tarnobrzeg
341. Kuś Janusz	inżynier	Tarnobrzeg	389. Turbak Zofia	pracownik umysł.	Tarnobrzeg
342. Kutkowski Arkadiusz	dziennikarz	Radom	390. Wianicka Irmira	chemik-ceramik	Sandomierz
343. Kwiecień Piotr	prawnik	Tarnobrzeg	391. Wilk Tadeusz	ekonomista	Nowa Dęba
344. Luśnia Robert	tech. mechanik	Tarnobrzeg	392. Wilk Paweł	uczeń	Nowa Dęba
345. Łygas Marek	geodeta	Tarnobrzeg	393. Wilk Piotr	uczeń	Nowa Dęba
346. Madejski Jerzy	dziennikarz	Radom	394. Wilk Jadwiga	księgowa	Nowa Dęba
347. Maguder Konrad	nauczyciel	Nowa Dęba	395. Winiański Henryk	elektryk	Tarnobrzeg
348. Majda Zygmunt	ślusarz-spawacz	Tarnobrzeg	396. Wójcik Franciszek	rencista	Tarnobrzeg
349. Makarewicz Henryk	nauczyciel	Nowa Dęba	397. Wyrzysk Katarzyna	uczennica	Tarnobrzeg
350. Malec Robert	tech. mechanik	Nowa Dęba	398. Zaliński Szczepan	tech. mechanik	Tarnobrzeg
351. Malec Anna	inżynier	Majdan Sopocki	399. Zbyrad Stanisław	mechanik	Tarnobrzeg
		Tarnobrzeg	400. Zgórski Ludwik	inżynier	Tarnobrzeg
352. Maślana Przemysław	uczeń	Tarnobrzeg	401. Zielińska Urszula	uczennica	Tarnobrzeg
353. Maślanka Jacek	ekonomista	Tarnobrzeg	402. Żarnowski Mieczysław	nauczyciel	Tarnobrzeg
			403. Żołądź Zygmunt	pracownik umysł.	Nowa Dęba

Oddział Podhalański PTT w Nowym Targu

Działalność swoją skupia Oddział na działalności górskiej – wycieczkach turystycznych i wspinaczkach.

W 2001 roku realizowano przyjęty plan roczny penetrując wszystkie najbliższe grupy górskie. W rozmaitych grupach wiekowych odbywano wycieczki w Pieni-ny i Gorce, na Babią Górę, w Tatrach.

W karnawale młodzież z oddziału zorganizowała szkolną dyskotekę, z której dochód przeznaczono na 3-dniowy wyjazd na Mładą Horę. Niestety na rok 2001 Zarząd Miasta Nowego Targu nie przyznał Oddziałowi, w przeciwieństwie do po-

przednich lat, ani złotówki na dofinansowanie wyjazdów młodzieży w góry. Tym samym zmniejszyła się ilość uczestników organizowanych wycieczek.

We wrześniu przedstawiciele Oddziału brali udział w „Dniach Gór” w Jaro-
sławiu, a sekretarz Oddziału wniósł swój skromny wkład w uatrakcyjnienie im-
prezy, poprzez swoją wystawę malarstwa i recital poezji śpiewanej.

W październiku Oddział został zaproszony do współorganizowania I Rajdu
śladami Ks. Prof. Józefa Tischnera na Turbacz. Będzie to impreza cykliczna orga-
nizowana dla uczniów szkół noszących imię Ks. Profesora z całego kraju. W tej
edycji Rajdu wzięło udział ponad 130 uczestników i zaproszonych gości z zawie-
szonymi dyrektorami Tatrzańskiego i Gorczańskiego Parku Narodowego, Nowo-
tarskiego Nadleśnictwa i nowotarskiej Wyższej Szkoły Zawodowej. W roku 2002
organizowany będzie kolejny Rajd.

W listopadzie grupa młodzieży była współorganizatorem V Zjazdu Delegatów
PTT w Zakopanem, obsługując recepcję Zjazdu i sprzedaż literatury, oraz służąc
wszelką pomocą administracyjno-porządkową.

Krzysztof Kabat

Zarząd Oddziału:

1. Prezes:	vacat		
2. Sekretarz:	Kabat Krzysztof	artysta plastyk	Nowy Targ
3. Skarbnik:	Bocheński Marek	nauczyciel	Nowy Targ
4. Członek Zarządu:	Gacek Marysia	uczeń	Nowy Targ
5. Członek Zarządu:	Kabat Kinga	uczeń	Nowy Targ
6. Członek Zarządu:	Puda Mateusz	uczeń	Nowy Targ
7. Członek Zarządu:	Tischner Wojciech	nauczyciel	Nowy Targ

Członkowie Oddziału:

8. Adamczuk Natalia	uczeń	Nowy Targ	30. Pydych Berenika	uczeń	Nowy Targ
9. Babik Weronika	uczeń	Nowy Targ	31. Raczynski Leszek	psychiatra	Czarny Dunajec
10. Batkiewicz Piotr	uczeń	Nowy Targ	32. Rączka Marta	uczeń	Nowy Targ
11. Czarnik Kamila	uczeń	Nowy Targ	33. Quirini Aleksandra	uczeń	Nowy Targ
12. Daniel Lukasz	uczeń	Nowy Targ	34. Quirini Barbara	uczeń	Nowy Targ
13. Dąbrowski Jarek	student	Nowy Targ	35. Quirini Ewa	uczeń	Nowy Targ
14. Długa Edyta	uczeń	Nowy Targ	36. Sarna Agata	uczeń	Nowy Targ
15. Dyba Anna	uczeń	Nowy Targ	37. Sasiadek Rafał	uczeń	Nowy Targ
16. Głąb Anna	uczeń	Nowy Targ	38. Sołtys Sabina	uczeń	Nowy Targ
17. Gruchacz Małgorzata	uczeń	Nowy Targ	39. Staszal Leszek	fotograf	Nowy Targ
18. Kozik Krystian	żołnierz	Nowy Targ	40. Staszal Marcelina	uczeń	Nowy Targ
19. Kopycki Piotr	uczeń	Nowy Targ	41. Sterkowicz Dominika	uczeń	Nowy Targ
20. Kowalski Robert	księgarz	Nowy Targ	42. Stoch Anna	uczeń	Nowy Targ
21. Kupczyk Małgorzata	nauczycielka	Nowy Targ	43. Szymeczko Krzysztof	uczeń	Nowy Targ
22. Lubertowicz Paweł	fotograf	Nowy Targ	44. Śmiałkowski Tadeusz	fotograf	Nowy Targ
23. Mrózek Agnieszka	uczeń	Nowy Targ	45. Świętek Patrycja	uczeń	Nowy Targ
24. Niewiadomska Izabela	psychiatra	Czarny Dunajec	46. Tokarczyk Karolina	uczeń	Nowy Targ
25. Nęcza Łukasz	uczeń	Nowy Targ	47. Udziela Adam	uczeń	Nowy Targ
26. Nowotarska Justyna	uczeń	Nowy Targ	48. Wąsowicz Urszula	nauczycielka	Łopuszna
27. Piazdecka Beata	uczeń	Nowy Targ	49. Wąsowicz Wiktor	org. turystyki	Łopuszna
28. Polaczek Zofia	studentka	Nowy Targ	50. Wojtaszek Katarzyna	uczeń	Nowy Targ
29. Ptaś Sabina	uczeń	Nowy Targ	51. Wrońska Anna	uczeń	Nowy Targ

Koło Biała Podlaska

52. Hołubczuk Rafał	uczeń	Biała Podlaska	58. Łaski Radosław	uczeń	Biała Podlaska
53. Kielmas-Laska Mirósława	nauczycielka	Biała Podlaska	59. Łuć Piotr		Perkowice
54. Kuraś Marek		Biała Podlaska	60. Siek Dariusz	bibliotekarz	Lublin
55. Laudy Szymon	przedsiębiorca	Biała Podlaska	61. Strych Marek	intrologator	Biała Podlaska
56. Łaska Elżbieta	księgowa	Perkowice	62. Świeboda Jarosław	nauczyciel	Biała Podlaska
57. Łaski Jacek	przedsiębiorca	Biała Podlaska			

Oddział PTT w Opolu

Oddział przeżywa kryzys organizacyjny, a nieliczni z jego członków podejmują heroiczne wysiłki dla ożywienia działalności. Podejmowane były także próby utworzenia jednego Oddziału – Sudeckiego na Dolnym Śląsku.

Oto treść apelu skierowanego do tamtejszego społeczeństwa:

PTT ma na Dolnym Śląsku i Ziemi Opolskiej tradycję sięgającą pierwszych lat po wyzwoleniu, upamiętnioną m.in. tablicą na górze Chełmiec koło Wałbrzycha. W okresie reaktywowania PTT to ludzie z Wrocławia, Brzegu i Opola wnieśli bezcenny wkład w dzieło funkcjonowania na nowo naszego Towarzystwa.

Jest to już jednak przeszłość, której tradycji na ma komu kontynuować!

Jeśli jesteś mieszkańcem Dolnego Śląska lub Ziemi Opolskiej, chodzisz po górach i interesują Cię działania PTT, jeśli chcesz być „tatrzańskim towarzyszem” – przyłącz się do reaktywowania Oddziału Sudeckiego PTT.

Alicja Nabzdyk-Kaczmarek

Oddział PTT w Ostrzeszowie

W działalności ostrzeszowskiego Oddziału PTT od początku bardzo ważnym miejscem jest CHYZ U BACY, w którym najczęściej spotykają się rozrzućeni po całym kraju (i nie tylko) członkowie Oddziału. Właśnie tam w lutym 2001 r. odbyło się spotkanie „starych górali” z Ostrzeszowa, przy ognisku i góralskiej herbacie. Pod rozgwieżdżonym, mroźnym niebem płynęły wspomnienia o początkach wspólnego wędrowania, imprezach „za grosik”, przemoczonych butach, „kartkowym” jedzeniu... i o tych, których z nami już nigdy nie powędrują. W maju w Chyzie toczyły się obrady Zarządu Głównego, w czerwcu Baca świętował dziesięciolecie na swoich włościach, w sierpniu tradycyjnie wielką chudą uczczono świętego Wawrzyńca, w listopadzie ostrzeszowscy delegaci w drodze na Zjazd PTT odwiedzili Mładą Horę i przez Słowację udali się do Zakopanego. Rok zakończono osiemnastą już turystyczną imprezą sylwestrową. Bywalcy bacowych włości traktują to miejsce jak dom i w nim przeżywają ważne chwile swojego życia organizując uroczystości weselne lub ich poprawiny dla przyjaciół. Kiedyś większość przekraczających progi Chyza stanowili turyści piesi, dzisiaj często

goszczą tam górcy kolarze, koniarze, narciarze i turyści niepełnosprawni. Staraniem Bacy i bacowych gości cały rok trwały prace modernizacyjne.

W czerwcu powołany został Młodzieżowy Klub PTT przy Zespole Szkół Rolniczych w Ostrzeszowie, jego członkowie uczestniczyli w beskidzkiej wycieczce prowadzonej przez Bacę, kibicowali także Adamowi Małyszowi w Zakopanem.

Czworo ostrzeszowian – Anna Bacik, Michał Maliński, Józef Michlik oraz Katarzyna Rzepecka – ukończyło kurs wspinaczkowy w Podlesicach, i zostało członkami Bielskiego Klubu Alpinistycznego.

W ciągu roku odbywały się spotkania towarzyskie połączone z wędrownkami po Wzgórzach Ostrzeszowskich, kończące się w zaprzyjaźnionych gospodarstwach agroturystycznych. Większość uczestników tych spotkań stanowili młodzi członkowie naszego Oddziału, mamy nadzieję, że nasz „narybek” (z inicjatywy Jana Tomczaka planowane jest powołanie następnego klubu młodzieżowego przy Szkole Podstawowej w Niedźwiedziu) po odkryciu uroków własnych okolic, wyruszy podziwiać polskie i zagraniczne pasma górskie.

Mirosława Rzepecka

Zarząd Oddziału:

1. Prezes:	Rzepecka Mirosława	mgr turystyki	Ostrzeszów
2. Wiceprezes:	Majchrzak Andrzej	inżynier	Ostrzeszów
3. Sekretarz:	Golus Jan	mechanik	Ostrzeszów
4. Skarbnik:	Kałwiński Zenon	mechanik	Ostrzeszów
5. Członek Zarządu:	Bednarek Gabriela	nauczycielka	Ostrzeszów
6. Członek Zarządu:	Jędrzejak Krzysztof	nauczyciel	Ostrzeszów
7. Członek Zarządu:	Leonard Bargenda	inżynier	Ostrzeszów

Komisja Rewizyjna:

8. Przewodniczący:	Libudziec Adam	mechanik	Mąkoszyce
9. Zastępca:	Tomczak Jan	strażnik SW	Niedźwiedź
10. Członek:	Płotkowiak Katarzyna	pielęgniarka	Poznań

Członkowie Oddziału:

11. Anioł Łukasz	uczeń	Potaśnia	23. Gebel Małgorzata	pielęgniarka	Grabów
12. Bacik Irena	inżynier	Ostrzeszów			n/Prosną
13. Bacik Mariusz	mechanik	Ostrzeszów	24. Góralczyk Justyna	uczenica	Ostrzeszów
14. Banasiak Marek	ekonomista	Ostrzeszów	25. Herman Rafał	uczeń	Myje
15. Bargenda Leonard	inżynier	Ostrzeszów	26. Idczak Tomasz	ksiądz	Chełmno
16. Bor Katarzyna	pielęgniarka	Wodzisław Śl.	27. Jeziorna Bożena	uczenica	Potaśnia
17. Borowska Agnieszka	pielęgniarka	Poznań	28. Jędrzejak Krzysztof	nauczyciel	Ostrzeszów
18. Borowski Tomasz	inżynier	Poznań	29. Jurkiewicz Paulina	uczenica	Rejmanka
19. Cal Anna	uczenica	Grabów	30. Jurkiewicz Przemysław	uczeń	Rejmanka
		Pustkowie	31. Kaczor Katarzyna	uczenica	Ostrzeszów
20. Dhubak Jarosław	lekarz	Ostrzeszów	32. Kapelańczyk Maria	nauczycielka	Ostrzeszów
21. Galemba Robert	uczeń	Ostrzeszów	33. Kasperczyk Marcin	uczeń	Ostrzeszów
22. Gawrych Jan	ksiądz	Odessa	34. Kempa Andrzej	mechanik	Rojów
		(Ukraina)	35. Kliks Marcin	uczeń	Ostrzeszów
			36. Kocerka Dorota	uczenica	Rejmanka

37. Kosmański Waldemar	uczeń	Myje	66. Rybczyńska Magdalena	uczenica	Zajęzki
38. Kowalczykiewicz Leon	ekonomista	Pleszew	67. Rybczyńska Sabina	uczenica	Zajęzki
39. Kucharski Adrian	uczeń	Ostrzeszów	68. Rzepecka Jagoda	uczenica	Ostrzeszów
40. Kucharski Mateusz	uczeń	Ostrzeszów	69. Rzepecka Kalina	uczenica	Ostrzeszów
41. Kuźaj Stanisław	technik	Ostrzeszów	70. Rzepecka Katarzyna	pielęgniarka	Ostrzeszów
42. Legieć Aleksandra	nauczyciel akad.	Mikołów	71. Rzepecki Igor	uczeń	Ostrzeszów
43. Lewek Zenon	inżynier	Ostrzeszów	72. Sajdak Beata	nauczycielka	Tychy
44. Litwinowicz Mirosław	ksiądz	Parzynów	73. Sauer Małgorzata	nauczycielka	Ostrzeszów
45. Łagodzińska Małgorzata	elektryk	Poznań	74. Sauer Rafał	technik	Ostrzeszów
46. Łakoma Karolina	uczenica	Potańnia	75. Skrzypek Katarzyna	uczenica	Myje
47. Majchrzak Grażyna	technik	Ostrzeszów	76. Spychalska Jolanta	sprzedawca	Antonin
48. Małolepsza Monika	uczenica	Kuźnica Stara	77. Stankiewicz Wojciech	inżynier	Poznań
49. Matuszczak Andrzej	meliorant	Ostrów Wlkp.	78. Suchowiecka Agata	uczenica	Zajęzki
50. Matuszewski Sławomir	uczeń	Chlewo	79. Szlachta Beatrycza	nauczycielka	Wrocław
51. Mazurkiewicz Paweł	uczeń	Chlewo	80. Szymczak Arkadiusz	uczeń	Zamość
52. Michlik Anna	nauczycielka	Ostrzeszów	81. Świdorski Daniel	uczeń	Parzynów
53. Michlik Józef	nauczyciel	Młoda Hora	82. Świdowicz Mirosława	ekonomistka	Pleszew
54. Michlik Roman	inżynier	Ostrów Wlkp.	83. Tomczak Piotr	mechanik	Niedźwiedź
55. Niedzielski Janusz	informatyk	Śrem	84. Tomczak Urszula	krawcowa	Niedźwiedź
56. Niełacna Karolina	uczenica	Zajęzki	85. Trzeciak Marta	uczenica	Ostrzeszów
57. Olejniczak Wojciech	mechanik	Ostrzeszów	86. Walter Agata	uczenica	Olszyna
58. Oleś Aleksandra	uczenica	Ostrzeszów	87. Wieczorek Arkadiusz	ksiądz	Giżyce
59. Owoc Ireneusz	mechanik	Ostrzeszów	88. Wielicka Jolanta	nauczycielka	Tychy
60. Pajak Dariusz	elektromonter	Katowice	89. Wielicki Krzysztof	inż. elektronik	Tychy
61. Pawełka Adrian	uczeń	Ostrzeszów	90. Włodarczyk Marta	psycholog	Warszawa
62. Piotrowski Stanisław	nauczyciel	Poznań	91. Wolny Krzysztof	uczeń	Ostrzeszów
63. Psikus Maciej	uczeń	Mikstat	92. Wolny Rafał	uczeń	Ostrzeszów
64. Rogala Izabela	uczenica	Ostrzeszów	93. Wróblewska Marlena	uczenica	Doruchów
65. Rośniński Szymon	uczeń	Potańnia	94. Zarzecki Atrur	uczeń	Ostrzeszów

Oddział PTT w Oświęcimiu

Odkryliśmy dawnych członków PTT. Witold Kwiatkowski z Mielca poinformował, że wraz z Wiesławem Kordosem w kwietniu 1950 roku wstąpił do Koła w Oświęcimiu, Oddziału PTT w Białej. Do PTT wprowadził ich znany miejscowy turysta, inż. Jerzy Hryniewicz.

Członkowie Oddziału tradycyjnie w sezonie zimowym 2001 r. wykorzystywali narciarsko pobliski Beskid Śląski.

4 kwietnia 2001 r. odbyło się zebranie informacyjne dla zainteresowanych turystyką i wspinaczką wysokogórską. W wyniku tego spotkania Czesław Klimczyk przeprowadził dla członków PTT szkolenie teoretyczne w dniach 18 i 25 kwietnia, a następnie szkolenie praktyczne w Dolinie Kobylańskiej w dniach 12–13 maja.

Czesław Klimczyk prowadził w imieniu ZG PTT trzytygodniową wyprawę w Dolomity.

Z końcem lata i jesienią zorganizowano trzy wyjazdy w Tatry Polskie i Słowackie.

Po wakacjach zorganizowano dwa spotkania połączone z projekcją przeżyczeń z Pirenejów i Dolomitów. Prowadzono także zajęcia sportowe na sali gimnastycznej.

Czesław Klimczyk

Zarząd Oddziału:

1. Prezes:	Klimczyk Czesław	plastyk	Oświęcim
2. Sekretarz:	Skowron Jarosław	ekonomista	Oświęcim
2. Skarbnik:	Strama Anna	ekonomista	Oświęcim

Członkowie Oddziału:

3. Brania Bogdan	mechanik	Oświęcim	9. Pawłowski Marek	rencista	Kalwaria
4. Chowaniec Andrzej	tech. mechanik	Oświęcim			Zebrzydowska
5. Klimczyk Iwona	architekt	Kraków	10. Smrek Arkadiusz	student	Oświęcim
6. Kozieł Michał	uczeń	Oświęcim	11. Śliwa Tomasz	uczeń	Oświęcim
7. Leśniak Paweł	tech. elektryk	Oświęcim	12. Wawro Łukasz	uczeń	Jawiszowice
8. Mycek Zofia	chemik	Oświęcim	13. Zak Bartłomiej	uczeń	Jawiszowice

Oddział PTT w Poznaniu

Upłynęła kolejna kadencja Zarządu Oddziału. Na Walnym Zebraniu Sprawozdawczo-Wyborczym Oddziału wybrano nowe władze. Prezesem ponownie został wybrany Leszek Lesiczka.

W listopadzie 2001 roku z okazji 80-lecia Oddziału odbyły się uroczystości rocznicowe. W kościele na wzgórzu św. Wojciecha odprawiona została Msza święta, w której uczestniczyli członkowie, zaproszeni goście i sympatycy PTT. Następnie pod Głazem Tatarników na Cmentarzu Zasłużonych złożono kwiaty i zapalono znicze. Był to moment refleksji i zadumy nad tymi, którzy odeszli.

Jednym z nich był zmarły w 2001 roku Zenon Szymankiewicz. Wspaniały człowiek, działacz PTT, historyk, badacz dziejów Polski, miłośnik i przyjaciel Ziemi Kłódzkiej. Zenon był inicjatorem akcji „Ostrowicz”.

W ramach obchodów w sali Białej Urzędu Miejskiego wystąpili przedstawiciele władz Poznania, województwa, urzędu marszałkowskiego, a także uczony, menedżer nauki, pedagog i człowiek miłujący góry – prof. Andrzej Kostrzewski. W części artystycznej mogliśmy podziwiać poetycką twórczość Marii Magdaleny Pogań, wysłuchać góralskiej nuty w wykonaniu zespołu „Zbyrcok” oraz obejrzeć finały, górskie fotogramy Antoniego Ruta.

W ciągu roku Oddział prowadził ożywioną działalność. Studenci Turystyki UAM mogli uczestniczyć w prelekcjach, których tematem były góry i turystyka górską. Odbyły się robocze spotkania z prof. A. Kostrzewskim i dr hab. Z. Zwolińskim dotyczące działalności PTT na UAM. Kol. Lech Antoni Woźny (członek ZG, szef zespołu d/s młodzieży) nawiązał współpracę z Kuratorium Oświaty UW i otrzymał zgodę na prowadzenie zajęć propagujących PTT w szkołach.

W Bibliotece Ekologicznej odbyło się spotkanie z Podróżnikiem Roku, członkiem PTT – Jerzym Kostrzewą. Jerzy jest barwną postacią. To alpinista, przewodnik górski, a także bard wędrowniej piosenki. Przebywał w kilkudziesięciu krajach

świata na sześciu kontynentach. Uczestniczył w wyprawach wysokogórskich w Andach, Tybecie i Himalajach. Jest pierwszym Polakiem, który wszedł na Carstensz Pyramid.

Rajdy po Wielkopolsce upamiętniające A. Cieszkowskiego, W. Zamojskiego i J. Preislera, to już tradycja naszego Oddziału. Wielu chętnych wzięło też udział w zawodach wspinaczkowych zorganizowanych przez PTT i Klub Wysokogórski. Zawody odbyły się w Liceum Ogólnokształcącym „Marcinek”.

Organizowaliśmy również wiele obozów naukowych i wędrownych, których uczestnikami byli studenci i młodzież szkolna.

Podczas minionego roku odbywały się spotkania członków i sympatyków PTT, połączone z prelekcjami. Poniżej podajemy nazwiska prelegentów i tytuły ich wystąpień:

- W. Jeżak – „Wspinanie w Tatrach”
- A. Kozłowski – „Moje podróże po świecie”
- J. Kostrzewa – „Pasja”
- P. Bittner – „Wspinanie na sztucznych ścianach”
- M. Zierhoffer – „Techniki wspinaczkowe”
- Z. Zwoliński – „Góry świata”
- J. Żurawski – „Kolejny ośmiotysięcznik”
- J. Wichłacz – „Alpy”
- M. Sokołowski – „Himalaje”
- D. Kicińska – „Jaskinie”
- A. Kaleniewicz – „Nepal”
- J. Wyczyński – „Wielkopolski Park Narodowy”
- M. Wieszczezyński, M. Żebrowski – „Skandynawia”
- K. Lesiczka – „Piękno natury, niektóre zjawiska optyczne i meteorologiczne w przyrodzie”
- J. Lulek – „Wybrane drogi alpejskie”.

Mogliśmy także obejrzeć wiele wystaw fotograficznych, m.in.:

- J. Nowacki – „Góry polskie i słowackie”
- J. Kubis – „Cudowna przyroda”
- Z. Czajka – „Rezerваты przyrody”
- J. Korpál – „Dęby”
- L. Lesiczka, J. Nowacki, A. Rut – „Górskie fascynacje”
- A. Rut – „Alpy”
- A. Kaleniewicz – „Piękno świata”.

Z okazji „Roku Gór” członkowie Oddziału i zaproszeni goście wysłuchali koncertu i wykładu Z. Zwolińskiego. Z odczytem wystąpił też prezes Leszek Lesiczka.

Leszek Lesiczka

Zarząd Oddziału:

1. Prezes:	Lesiczka Leszek	geograf	Poznań
2. Wiceprezes:	Rachlewicz Grzegorz	geograf	Poznań
3. Sekretarz:	Piosik-Gołębiewska Leokadia	ekonomista	Poznań
4. Skarbnik:	Skoczyk Kazimierz	inż. zootechnik	Poznań
5. Członek Zarządu:	Bogdanowski Jerzy	dziennikarz	Poznań
6. Członek Zarządu:	Krajna-Siwiek Stanisław	tech. mechanik	Poznań
7. Członek Zarządu:	Mikołajczak Jarogniew	muzyk	Poznań
8. Członek Zarządu:	Woźny Lech Antoni	muzyk	Poznań

Komisja Rewizyjna:

9. Przewodniczący:	Dębska Elżbieta	lekarz	Poznań
10. Członek:	Jelińska-Kowalska Janina	ekonomista	Luboń
11. Członek:	Knopczyk Ewa	urzędnik państw.	Poznań

Sąd Koleżeński:

12. Przewodniczący:	Cudera Leszek	inż. elektryk	Poznań
13. Członek:	Naskręt Jerzy	inż. budowlany	Śrem
14. Członek:	Przybył Grażyna	nauczycielka	Luboń
15. Członek:	Snuska Halina	ekonomista	Poznań

Członkowie Oddziału:

16. Andrzejewski Roman	psycholog	Poznań	45. Fitas Renata		
17. Arning-Preisler Anna	prawnik	Poznań	46. Folwarski Daniel		Poznań
18. Bartoszewski Witold	inż. mech.	Poznań	47. Freudreich Dariusz	mgr WF	Poznań
19. Biela Dominika	uczeń	Poznań	48. Gniot Magdalena	uczeń	Poznań
20. Bielska Cecylia	uczeń	Poznań	49. Godyński Julian	inż. elektr.	Mosina
21. Blicharska Małgorzata	studentka	Poznań	50. Gołębiewski Ryszard	inż. mechanik	Poznań
22. Borkowska Małgorzata	inż. technolog	Poznań	51. Grabiak Romuald	inż. ochr. środow.	Poznań
23. Borkowski Marek	inż. technolog	Poznań	52. Grenda Elżbieta	nauczyciel	Poznań
24. Brzeziński Jerzy	psycholog	Poznań	53. Grzybowska Grażyna	urzędnik państw.	Poznań
25. Chudy Jarosław	tech. elektroniki	Poznań	54. Halka Teresa	katécheta	Poznań
26. Chudy Joanna	uczeń	Poznań	55. Heydel Andrzej		Poznań
27. Czajka Paweł	uczeń	Poznań	56. Horowski Szymon	uczeń	Poznań
28. Czarniecka Leopolda	śpiewaczka	Poznań	57. Jałowska Anna	uczeń	Poznań
29. Czarnyszewicz Izabela	nauczycielka	Poznań	58. Jankowska Małgorzata	ekonomista	Luboń
30. Czarnyszewicz Leszek	urzędnik państw.	Poznań	59. Jankowski Andrzej	student	Buk
31. Czerwińska-Obrębska Monika	psycholog	Poznań	60. Jankowski Ryszard	mgr WF	Poznań
32. Czubernat Stanisław	inż. leśnik	Zakopane	61. Jankowski Zbigniew	nauczyciel	Luboń
33. Dmochowski Bartosz	uczeń	Poznań	62. Jaroszewski Michał	uczeń	Poznań
34. Dolata Wanda	tech. budowl.	Poznań	63. Jaster Marek	psycholog	Poznań
35. Domino Ewa	tech. ekonom.	Poznań	64. Jeż Jan	nauczyciel akad.	Poznań
36. Drożdżyński Lech	mgr WF	Poznań	65. Józwiak-Bartoszewska Jolanta	etnograf	Poznań
37. Dubiński Marcin	uczeń	Poznań	66. Jurasz Bożena	nauczyciel	Poznań
38. Fechner Barbara	inż. chemik	Poznań	67. Jurzykowski Tomasz	elektr. automat.	Poznań
39. Fechner Ireneusz	inż. mech.	Poznań	68. Kaczmarek Janina	ogrodnik	Luboń
40. Fieske Beata	uczeń	Poznań	69. Kiciński Piotr	inż. leśn.	Rogoziniec
41. Fieske Włodzimierz	tech. mech.	Poznań	70. Kilarski Stanisław Piotr	kelner	Poznań
42. Filarowska Halina	ekonomista	Poznań	71. Kistowska Renata	uczeń	Poznań
43. Filarowski Stanisław	uczeń	Poznań	72. Klimecka Jolanta	rencistka	Poznań
44. Filary-Gruszecka Halina	ekonomista	Poznań	73. Knoll Katarzyna	studentka	Poznań

74. Kolenda Izabela	polonistka	Poznań	131. Potempa Małgorzata	pedagog	Poznań
75. Kopański Włodzimierz	inż. rolnik	Poznań	132. Praczyk Jan Mateusz	uczeń	Wiry
76. Kopeczyński Zdzisław	ekonomista	Poznań	133. Preisler Michał	geograf	Poznań
77. Koralewski Bogdan	tech. drogowy	Poznań	134. Pszymuszala Tadeusz	łącznościowiec	Poznań
78. Kortus Agnieszka	tech. ekonom.	Wielka Wiera	135. Pytel Małgorzata	nauczycielka	Poznań
79. Kosowski Tomasz	student	Poznań	136. Rachlewicz Katarzyna	rehabilitant	Poznań
80. Kostrzewa Andrzej	lekarz	Poznań	137. Raczynski Michał	emeryt	Poznań
81. Kostrzewa Jerzy	podróżnik	Poznań	138. Radomski Marcin	uczeń	Poznań
82. Kostrzewski Andrzej	geograf	Poznań	139. Ratajczak Stefan	ekonomista	Poznań
83. Kostrzewski Włodzimierz	nauczyciel akad.	Poznań	140. Rugała Lech	teletechnik	Poznań
84. Kowalik Stanisław	psycholog	Poznań	141. Rydzewski Marcin	uczeń	Poznań
85. Kowalski Eugeniusz	inż. budowl.	Luboń	142. Rynarzewski Witold	hydrogeolog	Poznań
86. Kowalski Paweł	garmazer	Luboń	143. Sadiowska Barbara	dziennikarka	Poznań
87. Kozik Tomasz	chemik	Poznań	144. Schramm Ryszard W.	biochemik, prof.	Poznań
88. Kozłowska Elżbieta	urzędnik państw.	Poznań	145. Sęk Tadeusz	uczeń	Poznań
89. Kozłowski Andrzej	mgr inż. arch. wnętrz	Poznań	146. Skiba Barbara	pielęgniarka	Poznań
90. Kozłowski Jerzy	historyk	Poznań	147. Skierska Paula	uczeń	Poznań
91. Królewicz Sławomir	geograf	Poznań	148. Ślaba Eugenia	ekonomista	Poznań
92. Królikowski Feliks	nauczyciel	Śrem	149. Sobański Wojciech	mechanik	Poznań
93. Krutel Krzysztof	student	Pila	150. Sperzyńska Agnieszka	uczeń	Poznań
94. Krysińska Karolina	psycholog	Poznań	151. Sprada Zenon	mgr inż. komunik.	Poznań
95. Krzyśko Marcin	uczeń	Poznań	152. Stachowski Ryszard	psycholog	Poznań
96. Kubisz Wacław	urzędnik państw.	Poznań	153. Staniszevska Joanna	lekarz	Baranowo
97. Kuliniowski Henryk	mgr WF	Poznań	154. Staniszevska Justyna	uczeń	Baranowo
98. Kurek Krzysztof	frezer	Buk	155. Staniszevski Adam	uczeń	Baranowo
99. Loks-Matyja Stanisława	filolog	Poznań	156. Stasiakiewicz Michał	psycholog	Poznań
100. Maciak Janusz	psycholog	Poznań	157. Sterzyńska Joanna	socjolog	Poznań
101. Magdziarek Marcin	uczeń	Poznań	158. Szmidt Zbigniew	nauczyciel	Poznań
102. Malczewska Małgorzata	uczeń	Poznań	159. Szmidt-Możdżeń Hanna	psycholog	Poznań
103. Marcinkowski Bogdan	inżynier	Poznań	160. Szubert Karol	student	Poznań
104. Maruszevski Tomasz	psycholog	Poznań	161. Szwaba Lidia	menedżer kultury	Poznań
105. Masternak Anna	student	Swarzędz	162. Szymański Ryszard	agent ubezp.	Poznań
106. Matyja Aleksander	księgarz	Poznań	163. Tomaszevska Grażyna	psycholog	Poznań
107. Mazurczak Witold	historyk	Poznań	164. Tonder Katarzyna	uczeń	Buk
108. Michalska Iwona	fizyk	Poznań	165. Trębacz Katarzyna	uczeń	Poznań
109. Michałowska Iwona	chemik	Poznań	166. Turek Teodora	nauczycielka	Poznań
110. Mnieszak Zenon	informatyk	Poznań	167. Turek Władysław	inż. rolnik	Poznań
111. Nabzdyk Agnieszka	uczeń	Poznań	168. Unolt Jerzy	ekonomista	Poznań
112. Nabzdyk Jacek	inż. budowl.	Poznań	169. Walczak Mirosława M.	nauczyciel	Poznań
113. Nabzdyk Piotr	uczeń	Poznań	170. Wałęsa Radosław	student	Poznań
114. Nagórska Maria	urzędnik państw.	Poznań	171. Wałkowska-Drewek Renata	ekonomista	Poznań
115. Naskręt Jerzy	inż. budowl.	Śrem	172. Waraczynski Wojciech	psycholog	Poznań
116. Naskręt Piotr	uczeń	Śrem	173. Weber Łukasz	uczeń	Poznań
117. Nowak Witold	chórysta	Poznań	174. Wendowska Barbara	psycholog	Poznań
118. Nowicki Jerzy	inż. elektr.	Jarocin	175. Wichlacz Andrzej	chemik	Poznań
119. Oborska Magda	pielęgniarka	Poznań	176. Wika Helena	prawnik	Poznań
120. Ogrodowczyk Jan	informatyk	Poznań	177. Wojciechowska Agata	studentka	Poznań
121. Olejnik Zdzisław	hydrogeolog	Poznań	178. Wojtkowiak Małgorzata	ekonomista	Poznań
122. Orlik Ewa	psycholog	Poznań	179. Wojtkowiak Przemysław	inż. elektr.	Poznań
123. Osiecka Mirosława	ogrodnik	Luboń	180. Woroch Małgorzata	prawnik	Poznań
124. Pawlak Zdzisław	inż. elektr.	Poznań	181. Wóć Wioletta	psycholog	Poznań
125. Pisarska Barbara	prawnik	Poznań	182. Wypijewski Tomasz	ekonomista	Poznań
126. Pisarski Wojciech	mechanik	Poznań	183. Zawada Barbara	urzędnik państw.	Poznań
127. Piwczyński Piotr	historyk	Swarzędz	184. Zielińska Danuta	urzędnik państw.	Poznań
128. Plewczyńska Ewa	pedagog	Poznań	185. Zwoliński Zbigniew	geograf	Poznań
129. Pociąg Magdalena	artysta plastyk	Poznań			
130. Połomska Danuta	urzędnik państw.	Poznań			

Oddział Akademicki PTT przy Politechnice Radomskiej im. Kazimierza Pułaskiego

Zarząd Oddziału zorganizował w roku 2001 szkolenie narciarskie oraz letnie obozy turystyki górskiej w Beskidach, w Tatrach, na Słowacji i w Dolomitach. Finansowanie tej działalności odbywało się na koszt własny uczestników, przy niewielkiej dotacji Rektora Politechniki Radomskiej, przeznaczonej na opłacenie dojazdu do gór i na zakup niezbędnego sprzętu turystycznego. Na zakończenie sezonu letniego zorganizowane było spotkanie uczestników i zainteresowanych osób w celu podsumowania i propagowania turystyki górskiej i narciarstwa.

Stanisław Krok redaguje i wydaje okresowo oddziałowy biuletyn informacyjny *Radom*, poświęcony sprawom organizacyjnym PTT, szkoleniowym i ocenie działalności Towarzystwa. Propagowana jest działalność krajoznawcza, piętnowane jest nadużywanie alkoholu na wycieczkach i spotkaniach członków PTT, propagowana jest idea szkolenia kierowników wycieczek górskich PTT i właściwego funkcjonowania Górskiej Odznaki Turystycznej PTT.

Oto bardziej szczegółowy wykaz działalności górskiej członków Oddziału:

- W lutym zorganizowano siedmiodniowy szkoleniowy obóz narciarski dla młodzieży w Zwardoniu (10 osób)
- Kilka osób wzięło udział w XVI Zimowym Wejściu na Babią Górę organizowanym przez Oddział w Sosnowcu (2–4 marca 2001 r.)
- Tomasz Mazur i Łukasz Miedziak wzięli udział w zimowej wycieczce Oddziału Łódzkiego na Rysy (16–18 marca 2001 r.)
- Wiosenny wyjazd w Gorce i Pieniny, z bazą w Ochotnicy Górnej, organizator Tomasz Mazur (7 dni, 25 osób)
- Tomasz Mazur w czasie wyjazdu służbowego wszedł na Olimp
- Trzy osoby wzięły udział w wycieczce Oddziału Łódzkiego na Rohacze (21–24 lipca 2001 r.)
- W dniach 5–18 sierpnia 2001 r. zorganizowano pod kierownictwem Tomasza Mazura wyprawę Oddziału w Dolomity, w której wzięło udział 6 osób.
- W dniach 21–27 sierpnia 2001 r. Łukasz Miedziak zorganizował wycieczkę w Tatry Polskie.
- 5 osób wzięło udział w II Dniach Gór PTT w Jarosławiu i Heluszu (13–16 września 2001 r.).
- Jesienią odbyła się jednodniowa wycieczka do Iłży.

Na V Zejeździe Delegatów PTT Tomasz Mazur został ponownie wybrany do Zarządu Głównego, a Czesław Kurkowski do Głównego Sądu Koleżeńskiego.

Zarząd Oddziału:

1. Prezes:	Mazur Tomasz	nauczyciel akad.	Radom
2. Sekretarz i Skarbnik:	Krok Stanisław	emeryt	Radom
3. Członek Zarządu:	Kurkowski Czesław	emeryt	Radom

Członkowie Oddziału:

4. Drożdżał Krzysztof	rencista	Radom	14. Miedziak Łukasz	mechanik	Radom
5. Erd Andrzej	nauczyciel	Radom	15. Myszewski Jan	matematyk	Warszawa
6. Erd Maria	nauczyciel	Radom	16. Orzel Agnieszka	sprzedawca	Radom
7. Gawroński Michał	nauczyciel	Radom	17. Posacka Katarzyna	nauczyciel	Radom
8. Górka Bogumił	nauczyciel	Radom	18. Rejman Paweł	nauczyciel	Strazów
9. Jakubczyk Kazimierz	nauczyciel	Radom	19. Rogowska Renata	chemik	Radom
10. Jakubczyk Krzysztof	uczeń	Radom	20. Rybicki Robert	student	Radom
11. Kępa Maria	studentka	Sadek	21. Sitarski Mariusz	ekonomista	Warszawa
12. Krok Anna	nauczyciel	k/Szydłowca	22. Turecka Wiesława	emerytka	Radom
13. Miedzak Dariusz	student	Radom	23. Zadora Stanisław	poseł RP	Zwardon

Oddział PTT im. dr Tytusa Chałubińskiego w Radomiu

W roku 2001 kontynuowano imprezy pod nazwą „Sięganie po Koronę Gór Polski”. W dniach 28.04–3.05.2001 r. odbył się VI etap rajdu z bazą w stacji turystycznej Oddziału w Ochotnicy Górnej. Uczestnicy (280 osób) zdobyli 3 kolejne szczyty do „Korony”: Mogielicę (Beskid Wyspowy), Turbacz (Gorce), Wysoką (Pieniny) oraz dodatkowo Trzy Korony, bez których nie wyobrażamy sobie „Korony”. Kształt tego masywu jest głównym motywem dla kompozycji 15 okolicznościowych znaczków projektu Janusza Smolki, upamiętniających „Sięganie po Koronę Gór Polski”.

Druga impreza – jesienna – odbyła się w Dusznikach Zdroju w dniach 26–30.09.2001 r. W imprezie wzięło udział 195 uczestników, zakwaterowanych w domach wczasowych „Lena”, „Szarotka”, „Polonez” i „Mazurek”. Uczestnicy zdobyli: Szczeliniec Wielki (Góry Stołowe), Kłodzką Górę (Góry Bardzkie) oraz Orlicę (Góry Orlickie).

W okresie wakacyjnym członkowie naszego Oddziału wraz z rodzinami mieli możliwość obcowania z pięknem przyrody i krajobrazu najbliższych nam gór pod hasłem: „Od wschodu do zachodu słońca w Górach Świętokrzyskich.” W pięciu jednodniowych etapach Główny Szlak Świętokrzyski: Gołoszyce – Kuźniki przemierzyło 46 osób.

- I etap: 1.07. Gołoszyce – Wesołówka – Szczytniak – Kobyla Góra – Łysiec (św. Krzyż)
- II etap: 15.07. Św. Krzyż – Przełęcz Hucka – Łysica – Św. Katarzyna
- III etap: 29.07. Św. Katarzyna – Radostowa – Klonówka – Masłów
- IV etap: 12.08. Masłów – Wiśniówka – Sosnowica – Tumlin
- V etap: 26.08. Tumlin – Kamień – Barania – Siniewska – Perzowa – Kuźniki

Po dwuletniej przerwie Oddział zorganizował pobyt, w schronisku na Przehybie w dniach 27.12.2001 – 2.01.2002, pod hasłem „Sylwester w Górach z PTT”. Wzięło w nim udział 18 osób.

Kol. Henryk Pokrowski był Przewodniczącym Komisji GOT PTT Zarządu Głównego i prowadził Centralny Rejestr Górskiej Odznaki Turystycznej. Od-

działowa Komisja GOT PTT przyznała do 31.12.2001 r. 42 odznaki II kat. Komisja GOT PTT przyznała do 31.12.2001 r. 18 odznak I kat.

Oddział był organizatorem noclegów dla delegatów na V Zjazd PTT w Zakopanem (10–11.11.2001). Delegaci zostali zakwaterowani w 3 stacjach turystycznych Oddziału na Pardałowce i Olczy.

Pod koniec roku członkowie Koła PTT w Szczecinie przy Oddziale utworzyli samodzielny Oddział PTT – Zachodniopomorski. To już trzeci przypadek utworzenia przez członków Oddziału samodzielnych oddziałów (poprzednio – w Mielcu i Karpacku w Łodzi).

Od września 2001 r. Oddział posiada własną stronę internetową: www.radom-ch.ptt.org.pl.

23 czerwca 2001 r. odbyło się IV Walne Zgromadzenie Sprawozdawczo-Wyborcze Oddziału, po którym władze Oddziału i jego skład przedstawiają się następująco:

Waldemar Skórnicki

Zarząd Oddziału:

1. Prezes:	Skórnicki Waldemar	inżynier	Radom
2. Wiceprezes:	Błaszczak Grzegorz	elektromechanik	Radom
3. Sekretarz:	Golus Janina	technik	Radom
4. Skarbnik:	Goździewski Henryk	tech. mechanik	Radom
5. Członek Zarządu:	Kwiatkowski Tomasz	handlowiec	Warszawa
6. Członek Zarządu:	Kwil Stefan	lekarz wet.	Białobrzegi
7. Członek Zarządu:	Pokrowski Henryk	fotograf	Radom
8. Członek Zarządu:	Smolka Janusz	nauczyciel	Radom

Komisja Rewizyjna:

9. Przewodniczący:	Golus Marian	technik	Radom
10. Zastępca:	Dąbrowski Jarosław	nauczyciel	Radom
11. Sekretarz:	Wójcik Piotr	student	Radom

Sąd Koleżeński:

12. Przewodniczący:	Kwiatkowski Józef	ekonomista	Radom
13. Sekretarz:	Górski Zbigniew	tech. mechanik	Radom
14. Członek:	Gębski Marian	kierowca	Radom

Członkowie Oddziału:

15. Bałenkowski Jan	technik	Radom	21. Błażejowski Kamil	uczeń	Kobyłka
16. Baranowski Michał	nauczyciel	Bydgoszcz	22. Czernichowska Magdalena	studentka	Szklarska
17. Barański Bogusław	nauczyciel	Trzebiatów			Poręba
18. Barszcz Janusz	ekonomista	Radom	23. Dąbrowska Magdalena	nauczycielka	Radom
19. Biełkowski Lech	technik	Radom	24. Dobrzański Rafał	technik	Ząbki
20. Błażejewska Agnieszka	uczenica	Kobyłka	25. Dudzik Maria	tech. budowl.	Brzeg

26. Dudzik Ryszard	inż. budowl.	Brzeg	79. Paćko Marta	studentka	Radom
27. Eksner Janina	nauczycielka	Warszawa	80. Pawelczyk Włodzimierz	nauczyciel	Radom
28. Eksner Janusz	prawnik	Warszawa	81. Rabeja Stanisław	malarz	Łódź
29. Falkiewicz Krzysztof	elektronik	Kobyłka	82. Radecka Irena	nauczycielka	Szczecin
30. Falkiewicz Maria	elektronik	Kobyłka	83. Radecki Roman	technik	Chorzów
31. Figura Marian	emeryt	Radom	84. Rojek Anna	ekonomistka	Radom
32. Frączek Artur	uczeń	Trzebiatów	85. Rosińska Alicja	pielęgniarka	Brzeg
33. Frączek Paweł	hydraulik	Trzebiatów	86. Rosiński Józef	tech. urządzeń sanit.	Brzeg
34. Frączek Tomasz	ekonomista	Trzebiatów	87. Rozdobutka Marzena	tech. transportu	Police
35. Gąska Ryszard	emeryt	Skarżysko-Kamienna	88. Rudnicki Paweł	tech. transportu	Police
36. Gietko-Flak Elżbieta	emerytka	Police	89. Ruszala Irena	kurator sądowy	Brzeg
37. Golus Bogusław	tech. chemik	Radom	90. Rywacka-Kupis Halina	dentystka	Radom
38. Goździewska Anna	technolog	Radom	91. Sabat Zygmunt	emeryt	Skarżysko-Kamienna
39. Górka Danuta	pielęgniarka	Radom	92. Siekierski Andrzej	inżynier	Łódź
40. Gwarda Alicja	pielęgniarka	Radom	93. Sikorski Andrzej		Warszawa
41. Hajmowicz Halina	chemik	Radom	94. Skalska Katarzyna	ekonomistka	Radom
42. Hermanowicz Grażyna	nauczycielka	Radom	95. Skórnicki Grzegorz	uczeń	Radom
43. Izydorska Iwona	prac. umysł.	Radom	96. Skórnicki Paweł	uczeń	Radom
44. Jabłońska Monika	nauczycielka	Radom	97. Smarżewska Anna	farmaceutka	Biała Podlaska
45. Jagielska Hanna	ekonomistka	Szczecin	98. Smolińska Zofia	ekonomistka	Trzebiatów
46. Jałowski Daniel	emeryt	Radom	99. Smolka Beata	nauczycielka	Radom
47. Józwiak Zbigniew	inżynier	Radom	100. Starzyńska Zofia	ekonomista	Radom
48. Kantor Daniel	ekonomista	Żywiec	101. Stępnicki Elżbieta	tech. mechanik	Radom
49. Karpińska Maria	ekonomistka	Szczecin	102. Suchodolski Krzysztof	energetyk	Radom
50. Komorowska Danuta	nauczycielka	Mogielnica	103. Sykała Andrzej	dnikarz	Szczecin
51. Kopeć Dariusz	nauczyciel	Trzebiatów	104. Szutenberg Zenon	tech. bud. okrętów	Szczecin
52. Korczak Tomasz	nauczyciel	Radom	105. Świerczkowska Ewa	ekonomistka	Radom
53. Kowalczewski Michał	uczeń	Radom	106. Świerk Krystyna	plastyk	Brzeg
54. Kowalczewski Zbigniew	inżynier	Radom	107. Świętojański Czesław	inż. elektryk	Radom
55. Kowalik Marek	historyk	Radom	108. Świętojański Przemysław	uczeń	Radom
56. Kulińska Jadwiga	emeryt	Radom	109. Talma Leopold	poligraf	Radom
57. Kupidura Hanna	ekonomista	Radom	110. Taraś Zygmunt	tech. elektryk	Radom
58. Kurowski Janusz	mechanik	Knurow	111. Tumidajewicz Stanisław	górnik	Głiwice
59. Kwil Urszula	nauczycielka	Białobrzegi	112. Urban Wiesława	ekonomistka	Radom
60. Lasocka-Tatar Barbara	chemik	Warszawa	113. Węglińska Ewa	ekonomistka	Bydgoszcz
61. Lipiński Gerard	rencista	Czersk	114. Wielicka Barbara	ekonomistka	Szczecin
62. Łukasiewicz Jadwiga	tech. analityk	Radom	115. Wiernicka Irena	technolog	Radom
63. Łukasik Aleksandra	ekonomistka	Szczecin	116. Więch Aneta	nauczycielka	Dubawka
64. Łukomski Grzegorz	elektromechanik	Radom	117. Wiśniewski Krzysztof	technik	Trzebiatów
65. Marchewka Henryk	emeryt	Radom	118. Wojciechowska Bronisława	emerytka	Szczecin
66. Marcinkowska Janina	emerytka	Police	119. Wojciechowska Lidia	nauczycielka	Pionki
67. Marcinkowski Andrzej	telemonter	Police	120. Wojsa Danuta	prac. umysł.	Szczecin
68. Markiewicz Karol	uczeń	Radom	121. Wojtasik Michał	uczeń	Zabrze
69. Markiewicz Maciej	uczeń	Radom	122. Woźniak Halina	pielęgniarka	Radom
70. Markiewicz Stanisław	nawigator	Szczecin	123. Wójtowicz Stanisław	emeryt	Radom
71. Maszczyk Helena	ekonomistka	Zawiercie	124. Zając Dariusz	student	Radom
72. Matysiak Regina	emerytka	Szczecin	125. Zarzycki Henryk	inżynier	Radom
73. Mączyńska Alina	chemik	Radom	126. Zawisliński Marek	farmaceuta	Warszawa
74. Możdżonek Anna	prac. umysł.	Warszawa	127. Ziętek Jadwiga	emerytka	Radom
75. Mroczek Ryszard	inż. budowl.	Radom	128. Zwierzńska Bożena	pielęgniarka	Radom
76. Mróz Dorota	księgowa	Radom	129. Żurawski Andrzej	inżynier	Warszawa
77. Murawska Maria	ekonomistka	Szczecin			
78. Nakoneczny Jan	inż. elektryk	Radom			

Szczeciński Klub Wędrowców PTT-PTTK „Pelzaki”

Klub działał nadal przy Gimnazjum nr 12 w Szczecinie pod opieką Barbary Pożogi i Zdzisława Stecia. Członkowie Klubu brali udział w wielu rajdach, imprezach turystycznych i szkoleniach. Uczestniczyli w eliminacjach Ogólnopolskiego Turnieju Turystyczno-Krajoznawczego. W roku 2001 zdobyli łącznie 44 rozmaite odznaki turystyczne. W tym roku członkowie Klubu zwyciężyli w eliminacjach wojewódzkich oraz zdobyli wicemistrzostwo Polski wicemistrzostwo Polski w finałach centralnych XXIX Ogólnopolskiego Młodzieżowego Turnieju

Turystyczno-Krajoznawczego w Gdańsku, w dniach 7–10 czerwca 2001 r. Kol. Zdzisław Steć zdobył najwyższy szczyt hiszpański Pico del Teide (3717 m n.p.m.) na Teneryfe, Wyspy Kanaryjskie (9 maja 2001 r.).

Skład Zarządu:

130. Prezes:	Požoga Barbara	nauczycielka	Szczecin
131. Wiceprezes:	Steć Zdzisław	marynarz	Szczecin

Członkowie Klubu:

132. Dębek Radosław	uczeń	Szczecin	139. Kowalczyk Piotr	uczeń	Szczecin
133. Józwiak Adam	uczeń	Szczecin	140. Kowalewska Sandra	uczenica	Szczecin
134. Kmiecik Ewa	uczenica	Szczecin	141. Mikołajczyk Magda	uczenica	Szczecin
135. Korenkiewicz Olga	uczenica	Szczecin	142. Wiliusz Karolina	uczenica	Szczecin
136. Kosiorek Anna	uczenica	Szczecin	143. Wiliusz Magdalena	uczenica	Szczecin
137. Kosiorek Katarzyna	uczenica	Szczecin	144. Wysoczański Mikołaj	uczeń	Szczecin
138. Kostecki Wojciech	uczeń	Szczecin			



Szczecińskie „Pełzaki” na Trzech Koronach (maj 2000 r.).

Fot. archiwum Klubu

Szkolny Klub PTT „Nogarytm” w Sandomierzu

Klub został powołany 6 stycznia 2000 r. uchwałą nr 1/2000 Zarządu Oddziału im dr T. Chałubińskiego w Radomiu jako działający przy I Liceum Ogólnokształcącym im. Aleksandra Patkowskiego w Sandomierzu. W roku 2001 Klub otrzymał dyplom Centrum Młodzieży im. dr Henryka Jordana za udział w Międzynarodowym Rajdzie Turystycznym Pieniny – Tatry w dniach 31.05–3.06.2001 r.

Skład Zarządu:

145. Prezes:	Wieczorek Janusz	nauczyciel	Sandomierz
146. Wiceprezes:	Topolski Daniel	uczeń	Gorzyce
147. Sekretarz:	Kaczmarska Izabela	uczenica	Sandomierz
148. Skarbnik:	Krzewowski Łukasz	uczeń	Sandomierz

Członkowie Klubu:

149. Chałupczak Katarzyna	uczenica	Sandomierz	156. Pałuba Ada	uczenica	Sandomierz
150. Chara Tomasz	uczeń	Sandomierz	157. Rozmuszcz Katarzyna	uczenica	Sandomierz
151. Cichoń Maciej	uczeń	Sandomierz	158. Socha Tomasz	uczeń	Sandomierz
152. Floraz Iga	uczenica	Sandomierz	159. Stelmaszczuk Anna	uczenica	Sandomierz
153. Kapusta Magdalena	uczenica	Sandomierz	160. Śleboda Tomasz	uczeń	Sandomierz
154. Kochański Jarosław	uczeń	Sandomierz	161. Warzecha Katarzyna	uczenica	Sandomierz
155. Niezgoda Monika	uczenica	Sandomierz	162. Wołak Paweł	uczenica	Sandomierz

Oddział PTT im. gen. Mariusza Zaruskiego w Sosnowcu

W roku 2001 zorganizowano 8 zebrań Oddziału, w tym spotkanie opłatkowe i walne zebranie sprawozdawczo-wyborcze. Odbyło się kilka prelekcji, w tym o Alpach i Pirenejach.

W dniach 2–4 marca 2001 r. Oddział zorganizował swą tradycyjną imprezę – XVI Zimowe Wejście na Babią Górę. Wzięło w nim udział 125 osób.

Trzyosobowa delegacja wzięła udział w obchodach 60 rocznicy śmierci patrona Oddziału, gen. Mariusza Zaruskiego w Zakopanem, 23 czerwca 2001 r.

6 września 2001 r. odbyło się walne zebranie sprawozdawczo-wyborcze. Nastąpiła zmiana na stanowisku prezesa Oddziału, nowym prezesem został Krzysztof Czesak. Wybrano także czterech delegatów na V Zjazd PTT. Ustępujący Prezes wręczył nagrody i dyplomy dla najbardziej wyróżniających się członków Oddziału; otrzymali je: Urszula Mużykowska, Dorota Topolska, Jolanta Tomaszewska, Krzysztof Czesak, Sylwester Dąbrowski, Janusz Marzecki i Zbigniew Zawila.

Na V Zjeździe Delegatów PTT został wybrany do Zarządu Głównego Krzysztof Czesak, do Głównej Komisji Rewizyjnej – Anna Żołędzka-Zawila, a Zbigniew Jaskiernia został wyróżniony Złotą Odznaką PTT z Kosówką.



Obchody 60 rocznicy śmierci patrona Oddziału, gen. Mariusza Zaruskiego w Zakopanem, 23 czerwca 2001 r. Na pierwszym planie prezes ZG PTT (drugi od lewej) A.L. Dawidowicz i delegacja Oddziału Sosnowiec z prezesem Z. Jaskiernią (trzeci od lewej).
Fot. B. Morawska-Nowak

14 grudnia 2001 r. przedstawiciele Oddziału wzięli udział w wieczorze autor-skim Jacka i Marka Cielniaszków, autorów książki „Trekowisko”. Gościem wie-czoru był także Ryszard Pawłowski.

Oddział wydaje swoje pismo „Klimek”, coraz więcej osób pisze artykuły do biuletynu.

Zarząd Oddziału:

1. Prezes:	Czesak Krzysztof	inż. leśnik	Sosnowiec
2. Wiceprezes:	Jaskiernia Zbigniew	inż. metalurg	Sosnowiec
3. Wiceprezes:	Dąbrowski Sylwester	górnik	Sosnowiec
4. Wiceprezes:	Przemysław Wróbel	student	Sosnowiec
5. Sekretarz:	Bomba Renata	instr. higieny	Sosnowiec
6. Skarbnik:	Topolska Dorota	prac. umysł.	Sosnowiec
7. Członek Zarządu:	Kempny Zdzisław	tech. mechanik	Sosnowiec
8. Członek Zarządu:	Storożak Ryszard	poligraf	Sosnowiec
9. Członek Zarządu:	Czajka Robert	student	Sosnowiec

Komisja Rewizyjna:

10. Przewodniczący:	Zawiła Zbigniew	prac. umysł.	Sosnowiec
11. Członek:	Piekara Jarosław	prawnik	Sosnowiec
12. Członek:	Nalepa Irena	księgowa	Sosnowiec

Sąd Koleżeński:

13. Przewodnicząca:	Żołędzka-Zawiła Anna	prac. umysł.	Sosnowiec
14. Członek:	Dratwa Barbara	ekonomista	Sosnowiec
15. Członek:	Kwaśniak Piotr	kierowca	Sosnowiec

Członkowie Oddziału:

16. Brzeszcz Ireneusz	górnik	Sosnowiec	35. Nędza Michał	uczeń	Sosnowiec
17. Czechowska Jolanta	uczenica	Sosnowiec	36. Niedzwiedzka Urszula	studentka	Sosnowiec
18. Dachowski Grzegorz	elektromonter	Sosnowiec	37. Ptaszkiewicz Magdalena	studentka	Sosnowiec
19. Doros Anna	uczenica	Sosnowiec	38. Rynczuk Wojciech	student	Sosnowiec
20. Doros Dominika	uczenica	Gliwice	39. Sieklińska Krystyna	tech. ekonomista	Olkusz
21. Doros Tadeusz	lekarz	Sosnowiec	40. Storożak Łukasz	uczeń	Sosnowiec
22. Gawron Jolanta	technolog	Strzemieszyce	41. Swat Ewa	prac. umysł.	Sosnowiec
23. Grudnik Marek	uczeń	Sosnowiec	42. Szewczyk Jacek	ekonomista	Sosnowiec
24. Idziak Lidia	prac. umysł.	Sosnowiec	43. Szukalski Tomasz	uczeń	Sosnowiec
25. Jezierski Rafał	uczeń	Sosnowiec	44. Świderski Maciej	rencista	Zawiercie
26. Jurchyńska Justyna	prac. umysł.	Sosnowiec	45. Tomaszewska Jolanta	prac. umysł.	Sosnowiec
27. Kadela Aleksandra	studentka	Sosnowiec	46. Topolska Aleksandra	uczenica	Sosnowiec
28. Kempny Alicja	studentka	Sosnowiec	47. Waluga Marek	lekarz	Sosnowiec
29. Kosmala Paweł	nauczyciel	Sosnowiec	48. Witelusz Robert	tech. elektryk	Sosnowiec
30. Kojder Ireneusz	spec. d/s turystyki	Tychy	49. Zimoląg Rafał	tech. elektronik	Sosnowiec
31. Marzecka Magdalena	studentka	Sosnowiec	50. Ziolo Anna	ekonomista	Sosnowiec
32. Marzecki Janusz	tech. komunikacji	Sosnowiec	51. Żabka Aleksandra	uczenica	Sosnowiec
33. Mokrzycka Beata	uczenica	Sosnowiec	52. Żołędzki Bartłomiej	uczeń	Sosnowiec
34. Mużykowska Urszula	nauczyciel	Sosnowiec			

Zachodniopomorski Oddział PTT w Szczecinie

Początkowo działano nadal jako Koło. Już na początku 2001 roku zorganizowano wyjazd w Tatry Słowackie. Dla lepszego poznania gór od lutego organizowano prelekcje, zaczynając od referatu nt. roślinności tatrzańskiej. Tematem kolejnej prelekcji była historia turystyki górskiej.

W marcu Koło uzyskało nową siedzibę, przy której prowadzono gruntowne prace porządkowe. W kwietniu został ogłoszony ogólnopolski konkurs fotograficzny pt. „Tatrzańskie lato”. Pierwsze miejsce zajął Jacek Tronina z Tarnowskich Gór, który odebrał nagrodę – plecak firmy Natalex – z rąk dr Wojciecha Gąsienicy-Byrcyna w czasie V Zjazdu Delegatów PTT w Zakopanem.

W czasie spotkań odbyły się prelekcje z przeżyciami z wyjazdu pani Ewy Rębacz do Kenii, a także z wyjazdów członków Koła do Pragi i na Bliższy Wschód (Turcja, Syria, Jordania).

W maju zorganizowano czterodniowy wyjazd w Tatry. Odbywano wycieczki piesze w okolicie Szczecina, m.in. do Puszczy Wkrzańskiej.

W maju odbyło się zebranie sprawozdawczo-wyborcze, nowym prezesem Koła został Piotr Dykowski. Nowy Zarząd rozpoczął przygotowania do przekształcenia Koła w samodzielny Oddział.

6 listopada 2001 r. odbyło się zebranie założycielskie Oddziału, na którym wybrano jego władze. Wniosek o utworzenie Oddziału Zachodniopomorskiego został przedstawiony na ostatnim przed Zjazdem posiedzeniu Zarządu Głównego, w dniu 10 listopada 2001 r. i został jednomyślnie przyjęty.

W prasie lokalnej ukazały się artykuły na temat istnienia i działalności Oddziału PTT w Szczecinie.

Zarząd Oddziału:

1. Prezes:	Dykowski Piotr	ratownik	Szczecin
2. Wiceprezes:	Uszyńska Anna	studentka	Szczecin
3. Sekretarz:	Klessa Magdalena	studentka	Szczecin
4. Skarbnik:	Tur Tomasz	architekt	Szczecin
5. Gospodarz lokalu:	Dziubanowska Teresa	urzędniczka	Szczecin
6. Członek Zarządu:	Cymbor Damian	lekarz	Jelenia Góra

Komisja Rewizyjna:

7. Przewodniczący:	Baciocha Marek	ekonomista	Szczecin
8. Zastępca:	Zawistowski Paweł	student	Szczecin
9. Członek:	Rycielski Radosław	student	Goleniów

Sąd Koleżeński:

10. Przewodnicząca:	Kuś Anna	studentka	Szczecin
11. Członek:	Trubicki Przemysław	student	Szczecin
12. Członek:	Jurkowski Krzysztof	żołnierz zawod.	Szczecin

Członek honorowy Oddziału:

13. Durka Andrzej	wicewojewoda zachodniopomorski	Szczecin
-------------------	--------------------------------	----------

Członkowie Oddziału:

14. Adamski Marcin	student	Piła	27. Piechowiak Grzegorz	żołnierz	Trzebiatów
15. Bakalasz Dawid	student	Szczecin	28. Piotrowska Barbara	rencistka	Police
16. Bochińska Aneta	studentka	Szczecin	29. Pożoga Barbara	nauczycielka	Szczecin
17. Drożdża Anna	studentka	Szczecin	30. Reszta Justyna	studentka	Polczyn Zdrój
18. Drożdża Jarosław	student	Szczecin	31. Skirgajło-Jaciewicz Monika	studentka	Szczecin
19. Dykowska Katarzyna	magazynierka	Szczecin	32. Sochacki Tomasz	student	Szczecin
20. Hryniewicz Piotr	student	Szczecin	33. Steć Zdzisław	marynarz	Szczecin
21. Jessa Jacek	elektryk	Szczecin	34. Tur Grzegorz	radca prawny	Szczecin
22. Kanar Emil	student	Szczecin	35. Wachnik Barbara	inż. budowl.	Szczecin
23. Kaska Teresa	prawnik	Szczecin	36. Walczak Michał	student	Szczecin
24. Kolanko Joanna	ekonomista	Szczecin	37. Wójcik Joanna	studentka	Szczecin
25. Kowalczyk Krzyszto	student	Szczecin	38. Wysocki Dariusz	nauczyciel	Szczecin
26. Laskowska Sabina	studentka	Koszalin			

Oddział PTT im. Mieczysława Karłowicza w Warszawie

Spotykano się jak dotychczas, poza miesiącami wakacyjnymi, w pierwszy i trzeci czwartek miesiąca w Warszawskim Ośrodku Kultury przy ul. Elektoralnej 12. Na spotkaniach oprócz prelekcji i prezentacji przeźroczy omawiano aktualne sprawy PTT. Z ciekawszych prelekcji warto wymienić pokaz przeźroczy z Rumunii Tomasza Smolińskiego oraz przeźroczy z Andów Piotra Mielusa. Ponadto za-

proszeni goście prezentowali przeźrocza z Alaski i Gór Skalistych. Liczba uczestników spotkań utrzymywała się na poziomie kilkunastu osób, na ciekawsze prelekcje przychodziły osoby spoza Oddziału.

W rocznicę śmierci patrona Oddziału, Mieczysława Karłowicza, miejsce jego tragicznej śmierci pod Małym Kościelcem odwiedził Marek Kobiątko.

Komisja GOT zweryfikowała 8 odznak. Członkowie tej Komisji, Tomasz Smoliński i Tomasz Komisarczyk zorganizowali siedem wycieczek w polskie góry, a także w Karpaty Rumuńskie. Wzięło w nich udział ogółem 70 osób (w tym osoby spoza Oddziału).

Poniżej szczegółowe zestawienie wycieczek:

Data	Region	Liczba uczestników	Prowadzący
24–25.02	Góry Sowie	11	T. Komisarczyk
11–18.03	Beskid Wyspowy	6	T. Smoliński
7–8.04	Góry Opawskie	13	T. Komisarczyk
29.04–5.05	Beskid Niski	3	T. Smoliński
14–17.06	Karkonosze	7	T. Smoliński
18.08–2.09	Karpaty Rumuńskie: Góry Paring, Lotru, Cindrel i Sureanu	2	T. Smoliński
1–2.12	Beskid Wyspowy. Spotkanie wigilijne na Luboniu Wielkim	28	T. Smoliński

Działalność 2001 roku zakończyła się spotkaniem opłatkowym, którego miłą atmosfera jak co roku skłaniała do wspomnień i snucia planów na następny rok.

15 listopada 2001 roku odbyło się Walne Zgromadzenie Sprawozdawczo-Wyborcze, na którym dokonano wyboru władz Oddziału. Prezesem pozostał nadal prof. Jerzy Lefeld, nowym wiceprezesem został Marek Kobiątko.

Mikołaj Zapalski

Zarząd Oddziału:

1. Prezes:	Lefeld Jerzy	geolog, prof.	Warszawa
2. Wiceprezes:	Kobiątko Marek	inżynier	Warszawa
3. Sekretarz:	Zapalski Mikołaj K.	student	Warszawa
4. Skarbnik:	Kamiński Robert	zaopatrzeniowiec	Warszawa
5. Członek Zarządu:	Brennek Michał	student	Warszawa
6. Członek Zarządu:	Janocha Stanisław	inżynier	Warszawa
7. Członek Zarządu:	Smoliński Tomasz	tech. telekomunik.	Warszawa

Komisja Rewizyjna:

8. Przewodniczący:	Sochaczewski Adam	geolog	Warszawa
9. Członek:	Liwińska Ewa	tech. geolog	Warszawa
10. Członek:	Janyszek Aleksander	inżynier	Warszawa

Sąd Koleżeński:

11. Przewodniczący:	Rzepakowski Witold	elektryk	Warszawa
12. Członek:	Kiełkiewicz Magdalena	tłumaczka	Warszawa
13. Członek:	Ślósarski Piotr	student	Warszawa

Członkowie Oddziału:

14. Barszcz Agnieszka	tech. obsługi, turyst.	Warszawa	39. Łojek Wiesława	filolog	Warszawa
15. Bojanowski Jerzy	inżynier	Warszawa	40. Malec Julita	uczenica	Warszawa
16. Borzemska Wanda	weterynarz, prof.	Warszawa	41. Miecznik Jerzy	geolog	Warszawa
17. Charazińska Hanna	pracow. umysł.	Warszawa	42. Mielus Piotr G.	ekonomista	Warszawa
18. Charazińska Sylwia	pracow. socjalny	Warszawa	43. Mitura Anna	studentka	Warszawa
19. Chlewicka Inga	lekarz	Warszawa	44. Nawalany Piotr	technik	Warszawa
20. Chruszczewski Ryszard	pielęgniarz	Starachowice	45. Nehring-Lefeld Maria	paleontolog, dr	Warszawa
21. Dobrogojska Małgorzata	zootechnik	Warszawa	46. Pijarska Iwona	studentka	Warszawa
22. Dziel Danuta	inżynier	Warszawa	47. Radomski Artur	tech. geolog	Warszawa
23. Furmaniuk Wiesław	technik	Warszawa	48. Rudzisz Jan Janusz	inżynier	Warszawa
24. Garbowski Jerzy	informatyk	Warszawa	49. Racyński Paweł	tech. obsługi turyst.	Starachowice
25. Giel Danuta	geolog	Warszawa	50. Ruszczak Andrzej	plastyk	Warszawa
26. Grygiel Jacek	ekonomista	Warszawa	51. Ruszczyński Marek	student	Warszawa
27. Gutry Tomasz	fotograf	Warszawa	52. Sawicki Gerard	dziennikarz	Warszawa
28. Janowski Andrzej	student	Warszawa	53. Sikorska Elżbieta	filmoznawca	Warszawa
29. Janyszek Barbara	inżynier	Warszawa	54. Sikorski Adam	geotechnik	Warszawa
30. Jastrzębowski Andrzej	architekt	Warszawa	55. Smolińska Irena	elektromechanik	Warszawa
31. Kamińska Wanda	mikrobiolog, dr	Warszawa	56. Szmidel Tomasz	referent	Warszawa
32. Kobialko Maciej	informatyk	Warszawa	57. Tawczyński Jerzy	tech. elektroniki	Warszawa
33. Komisarczyk Tomasz	ekonomista	Żarów	58. Toruń Jędrzej	fizyk	Warszawa
34. Komorowska Danuta	nauczycielka	Warszawa	59. Woźniak Roman	inżynier	Warszawa
35. Kończycska Małgorzata	elektronik	Warszawa	60. Wyszogrodzki Marcin	uczeń	Warszawa
36. Kończycki Janusz	inżynier	Warszawa	61. Zaborski Andrzej	prawnik	Warszawa
37. Korzeń Agata	tech. geolog	Warszawa	62. Załęski Aleksander	fotograf	Warszawa
38. Kucharek Katarzyna	ekonomistka	Świdnica	63. Zięba Krzysztof	leśnik	Katowice

Oddział PTT w Żywcu

W roku 2001 Oddział nasz mocno zaznaczył swą obecność na terenie Żywiecczyny, rozwijając działalność wśród młodzieży, organizując dużą ilość wycieczek oraz propagując turystykę górską.

Rozwijając współpracę z młodzieżą szkolną i gimnazjalną, założyliśmy w Koszarawie-Cichej Koło Szkolne PTT, nawiązując przy okazji współpracę z tamtejszym gronem pedagogicznym. Zorganizowaliśmy wspólnie kilka wycieczek po górach Beskidu Żywieckiego i Śląskiego. Miały one na celu nie tylko rekreację, ale również zaznajomienie młodzieży z przyrodą oraz zapoznanie z zasadami bezpiecznego chodzenia po górach. Ponadto wraz ze stałymi członkami naszego koła, pod przewodnictwem prezesa, Mieczysława Pająkowskiego, odbyliśmy spływ kajakowy rzeką Zejmeną na Litwie. Trwał on dwa tygodnie, w czasie których zobaczyliśmy nie tylko nieskażone ręką ludzką tereny Litwy Środkowej, ale również zawarliśmy kontakty z miejscową mniejszością polską, w tym z samorządem polskim w Wilnie. Kontynuując tradycje PTT, zorganizowaliśmy znaczną ilość pieszych wycieczek górskich, głównie w Tatrach Słowackie.

Niestety, plan zakupu chaty wiejskiej w Sopotni Wielkiej i przerobienia jej na małe schronisko, nie powiódł się. Z powodu braku funduszy, nie byliśmy w stanie

wykupić odpowiedniej działki, jak również złożyć w całość budynku. Sprawa pozostaje, niestety, do tej pory nierozwiązana. W tym roku mamy nadzieję na znalezienie kupca na chatę, oraz na rozbudowę sieci szkolnych kół naszego Oddziału. Zamierzamy zorganizować także wycieczki w Bieszczady i Sudety.

Oto krótkie zestawienie naszych ważniejszych wycieczek:

- Luty – Martinskie Hole – tygodniowy pobyt na Słowacji połączony z jazdą na nartach i pieszą turystyką,
- Maj – wyprawa w Małą Fatrę (Terchowa, Vratna, Chleb, Diery),
- Lipiec – wyprawa w Słowackie Tatry Zachodnie i w Niżnie Tatry (Bystra, Niżna Bystra, Jeżowa, Jamnicka Dolina, Chopok, Polana, Jamnickie Sedlo, Dereše); spływ kajakowy na Litwie (Zejmena),
- Wrzesień – wyprawa w Tatry Słowackie (Tatraska Kotlina, Dolina Kieżmarska, Zdziar, Szeroka Przełęcz, Zerovca),
- Październik – Żabi Szczyt Niżny, Żabia Czuba, Mały Młynarz, Młynarz

Mieczysław Maciej Pająkowski

Zarząd Oddziału:

1. Prezes:	Pająkowski Mieczysław Maciej	lekarz	Żywiec
2. Wiceprezes:	Augustynowicz Adam	ogrodnik	Żywiec
3. Sekretarz:	Pająkowski Ziemowit	uczeń	Żywiec
4. Skarbnik:	Winiarska Anna	nauczycielka	Żywiec

Komisja Rewizyjna:

5. Przewodniczący:	Kozubowski Jacek	mech. samochod.	Żywiec
6. Członek:	Lucyna Augustynowicz	pielęgniarka	Żywiec
7. Członek:	Siarkiewicz-Solicka Anna	nauczycielka	Pewel Mała

Sąd Koleżeński:

8. Przewodniczący:	Zieliński Andrzej	nauczyciel	Żywiec
9. Zastępca:	Krynicky Janusz	handlowiec	Żywiec
10. Sekretarz:	Kaszkur Marian	nauczyciel	Żywiec

Członkowie Oddziału:

8. Faber Katarzyna	uczenica	Żywiec	20. Moc Małgorzata	uczenica	Żywiec
9. Kalika Dominik	uczeń	Żywiec	21. Moc Patrycja	uczenica	Żywiec
10. Kalika Sebastian	uczeń	Żywiec	22. Rusin Mariusz	uczeń	Żywiec
11. Kępka Angelina	uczenica	Żywiec	23. Sawicka Maria	uczenica	Żywiec
12. Kępka Paweł	uczeń	Żywiec	24. Sawicki Jan	uczeń	Żywiec
13. Kowal Paweł	uczeń	Żywiec	25. Śliz Jędrzej	uczeń	Żywiec
14. Kozubowska Stanisława		Żywiec	26. Śliz Magdalena	uczenica	Żywiec
15. Kozubowski Jan	uczeń	Żywiec	27. Śliz Violetta	księgowa	Żywiec
16. Lach Joanna	uczenica	Żywiec	28. Tlalka Damian	uczeń	Żywiec
17. Lach Krzysztof	uczeń	Żywiec	29. Zielińska Karolina	uczenica	Żywiec
18. Moc Agata	uczenica	Żywiec			
19. Moc Magdalena	uczenica	Żywiec			



NASZE WĘDROWANIE

Informator Koła Polskiego Towarzystwa
Tatrzańskiego w Tarnobrzegu.

NR 3, Kwiecień 2001

NASZE CZASOPISMA

NASZE WĘDROWANIE – to nowy tytuł, który pojawił się wraz z prężnie rozwijającym się Kołem PTT w Tarnobrzegu. W podtytule – informator, zatem na pierwszym miejscu jest szczegółowy kalendarz wycieczek, które Koło, wzorem macierzystego Oddziału Beskid w Nowym Sączu, organizuje co tydzień. W nr 2 – chwila refleksji nad drugą rocznicą powstania Koła. Grupa pasjonatów i entuzjastów chodzenia po górach dobrze trafiła, znalazła w Nowym Sączu dobre wzorce organizacyjne. Potrafili też stworzyć w Kole dobrą atmosferę, która przyciąga coraz większą liczbę członków i sympatyków. Oprócz informacji o przyszłych wycieczkach, są w piśmie relacje z już odbytych, a także bliższe informacje krajoznawcze o grupach górskich, penetrowanych aktualnie przez Koło.

BESKID, pismo nowosądeckiego Oddziału, nadal pięknie się rozwija w kolorowych okładkach, jest kwartalnikiem z własnym numerem ISSN. Stałą i pierwszą rubryką są „Nasze wycieczki”, ale redaktor chętnie sięga po tematy historyczne, szczególnie związane z PTT. Zarazem prezentuje bardzo bogaty serwis aktualności z informacjami na temat tego, co się dzieje w górach i miejscowościach u ich podnóża i o wszystkich sprawach związanych z nimi. Propaguje Górską Odznakę Turystyczną PTT. Znajdziemy w piśmie bezpośrednie informacje z życia Oddziału, ale i Zarządu Głównego – redaktor pisma jest bowiem od lat wiceprezsem Zarządu Głównego. Prześledzić możemy rozwój liczebny Oddziału, bo w każdym numerze podawane są nazwiska nowo przyjętych członków.

A CO U NAS? Taki tytuł z pytańnikiem ma zaciekać tym, co dzieje się w Oddziale Karpackim PTT w Łodzi. Pismo daje wyraz zainteresowaniom karpackim – głównie wschodnim, przypominając mało dziś dostępne i przez to mniej znane tereny, tuż za wschodnią granicą. Tucholszczyzna czyli Beskidy Skolskie zostały przypomniane w specjalnym dodatku opracowanym przez Tadeusza Kiełbasińskiego. Ale żeby nie było tylko o Bieszczadach i bardziej wschodnich Karpatach, Zbigniew Grzegorzewski dzieli się swymi wrażeniami z wyprawy na Kilimandżaro, a pewna Irena (ze skromności nie podpisana nazwiskiem) ze zdobycia najwyższego szczytu Korsyki, Monte Cinto (2708 m n.p.m., jednak wyżej jak Gierlach!). W 2001 roku poświęcono wiele miejsca XX rocznicy reaktywowania PTT, także na terenie Łodzi. Możemy przeczytać o uczczeniu tej rocznicy balem i wystawą, zorganizowanymi wspólnie przez oba łódzkie Oddziały.

ZAKOS to znane już pismo drugiego, a właściwie pierwszego, Oddziału PTT w Łodzi. Ukazuje się systematycznie. Wzbogaciło się o kolorowe ilustracje. Ilustrują one teksty opisujące wszechstronną działalność górską i nie tylko górską Oddziału. Jest sporo informacji praktycznych dla turystów, dotyczących Tatr, narciarstwa itp. (np. ile kosztują wejścia na słowackie szczyty Tatr). Oddział organizuje bowiem wyjazdy z wejściami na szczyty z przewodnikiem, gdy innego sposobu nie ma, by legalnie wejść na przykład na Gierlach czy Lodowy. Członkowie Oddziału chętnie opisują swoje wyjazdy w różne góry bliższe i dalsze, co wzbogaca magazyn i czyni bardziej interesującym. Koniec roku 2001 – XX rocznica reaktywowania PTT, a następnie V Zjazd Delegatów Towarzystwa znalazły pozytywny wyraz na łamach ZAKOSU, tym bardziej, że Prezes Oddziału został wiceprezesem całego Towarzystwa. Wspólny bal obu Oddziałów stał się platformą zbliżenia ... *ponownie można było spotkać się „w innej atmosferze” z przyjaciółmi* – napisał Krzysztof Pietruszewski. Jest to dobra prognoza na przyszłość...

KLIMEK – biuletyn informacyjny Zarządu Oddziału Sosnowiec, ukazał w roku 2001 czterokrotnie, zgodnie z planowaną częstotliwością. Być może, Sosnowiaczy nie są tak wszechstronnie „rozjeżdżeni” jak Łodzianie, ale starają się spopularyzować rowerowe wycieczki po Jurze Krakowsko-Częstochowskiej lub w okolicach Sandomierza. W roku 2001 byli na Ukrainie i dzielą się wrażeniami. Publikują nieznane czasem przyczynki historyczne, przypominając na przykład postać legionisty płk Józefa Kokoszki. Zbigniew Jaskiernia pokusił się o zestawienie kalendarium przypadających na rok 2001 rocznic, niektórych mało znanych – jak 130 rocznica urodzin Michała Kirkora (od niego żleb w Giewoncie), 100 rocznica urodzin Józefa Berestki, dzierżawcy schroniska na Hali Pisanej (któż o nim dzisiaj pamięta?), 50 rocznica śmierci Stefana Jasińskiego, dyrektora sanatorium akademickiego. Wybrałam te najmniej, przynajmniej dla mnie, znane postacie. Czwarty numer KLIMKA zawiera sprawozdanie z Walnego Zgromadzenia Sprawozdawczo-Wyborczego Oddziału. Z ubolewaniem przyjęłam informację o wycofaniu się Zbyszka Jaskierni z działalności organizacyjnej w PTT i przejście na pozycję kibica.

ORZEŁ SKALNY wydawany przez Oddział PTT w Chrzanowie jest także kwartalnikiem, o coraz większej objętości, wypełnionej bogatą treścią. Są relacje z cotygodniowych wycieczek Oddziału, ciekawe artykuły opisujące różne strony świata, przypomnienia zasłużonych postaci (np. przedruk artykułu Jolanty Flach z Tygodnika Podhalańskiego o Witoldzie H. Paryskim), obszerny i wszechstronny serwis informacyjny „Czy wiecie, że...”, a także bezpośrednie sprawozdania z posiedzeń Zarządu Głównego i ze Zjazdu Delegatów całego Towarzystwa, pióra Stanisława Trębacza, wieloletniego członka władz PTT. Sporo miejsca poświęcono tradycyjnej pielgrzymce przewodnickiej na Jasną Górę, którą po raz pierwszy organizowało PTT – Koło Przewodników Oddziału Beskid w Nowym Sączu. Natomiast Anna Machowska przypominała wszystkim, że Prezes Oddziału, Stanisław Trębacz już 30 lat wiedzie ludzi ku górą, a PTT oddał 20 lat życia.

RADOM jest wydawanym często, choć aperiodycznie, informatorem Oddziału Akademickiego w Radomiu, redagowanym przez Stanisława Kroka. Poszczególne zeszyty są przeważnie poświęcone jednemu tematowi i mają charakter szkoleniowy. Już podtytuł zeszytu mówi, czemu będzie on poświęcony (krajoznawstwo, metodyka, Górską Odznaką Turystyczną, kronika). Przy okazji oddziałowej wyprawy w Dolomity została przypomniana geneza powstania „żelaznych dróg” – *via ferrata* – związana z I Wojną Światową.

Trafił w moje ręce tylko jeden **ŚWISTAK**, poświęcony uroczystym obchodom 80-lecia Oddziału PTT w Poznaniu. Pismo zostało wydane w nowym formacie i w nowej, kolorowej szacie graficznej. Została w nim opublikowana historia Oddziału. Jest wspomnienie o zmarłym w 2001 roku zasłużonym członku Oddziału, Zenonie Marianie Szymankiewiczu. Przedstawiono sylwetkę wieloletniego wiceprezesa Oddziału, profesora Andrzeja Kostrzewskiego. Szkoda, że nie poświęcono osobnego artykułu twórcy obecnego Oddziału, Juliuszowi Jerzemu Preislerowi.

INFORMATOR BIELSKIEGO ODDZIAŁU PTT bez wyróżniającego go tytułu, ukazujący się zależnie od potrzeb kilka razy w roku, jest nadal formą szerszego komunikatu dla członków, informującego o tym co dzieje w Oddziale i całym Towarzystwie. Mam nadzieję, że jest za to rozpowszechniany wśród członków informator Zarządu Głównego „Co słyszać?”, podobnie jak w oddziałach, które nie dorobiły się własnych pism (a swoją drogą ciekawa jestem, co robią prezesi Oddziałów z otrzymywanymi numerami „Co słyszać?” – czy rozpowszechniają je, chowają *ad acta* czy też wyrzucają po przeczytaniu do kosza).

Trudności przeżywa krakowskie **WOŁANIE**, od dwóch lat ukazuje się tylko w formie elektronicznej, na stronach www.ptt.org.pl, skąd można je odczytać lub oddrukować, o ile nic się ze stronami nie dzieje. Pismo cierpi na brak autorów, toteż redaktor umieszcza w nim ciekawe przedruki. W roku 2001 publikował na łamach WOŁANIA dzieje alpinizmu Jerzego Hajdukiewicza (szkoda, że nie przypomniał kto, gdzie i kiedy to wydał).

Z przykrością odnotowuję, że nie trafił do mnie ani jeden numer dobrze zapowiadającej się, warszawskiej **GRANI** (czyżby zaszkodziło jej zwerbowanie Staszka Janochy do redakcji Pamiętnika?), ani też sympatycznego, gliwickiego **HYRA**.

Pozostaje na koniec ogólnopolski informator Zarządu Głównego **CO SŁYCHAĆ?**, który trudno mi oceniać, gdyż sama go tworzę. Wbrew wszystkiemu, staram się wydawać go regularnie i staram się, aby pismo było atrakcyjne. Przyznaję, że podawane w nim „Aktualności” nie są tak wyczerpujące jak serwisy BESKIDU czy ORŁA SKALNEGO i że przeważnie wypełniam takimi kolumnami wakujące szpalty. Gdy materiałów mam nadmiar, nie tworzę ich. Natomiast zachęcam wszystkich członków i sympatyków PTT do przysyłania artykułów, notatek i informacji z życia Oddziałów, bo to zapewni biuletynowi wszechstronność informacji o naszym towarzystwie, a także o górach i naszej w nich i dla nich działalności.

Barbara Morawska-Nowak

BESKID



Nr 1 (43)

ISSN 1426-6776

Styczeń 2001

**Pismo POLSKIEGO TOWARZYSTWA TATRZAŃSKIEGO Oddziału BESKID
im. prof. Feliksa Rapfa w Nowym Sączu**



XXXIV Rajd Karpatia Mała Fatra, pod Małym Razsutem (14.05.2000 r.)
Koledzy z Mielca i Ostrowca Świętokrzyskiego. Fot. J. Krakowski



XXXIV Rajd Karpatia Wielka Fatra, okolice wsi Vlkolinec (20.05.2000 r.)
Koledzy z Mielca i Ostrowca Świętokrzyskiego i Łodzi. Fot. J. Krakowski



Koledzy z Jaworzna w drodze na Ciemniak. Fot. Archiwum Oddziału



Członkowie Koła PTT w Ostrowcu Świętokrzyskim na szczycie Małej Wysokiej.
Widok na górna piętro Doliny Staroleśnej. W dole Zmarzły Staw, nad nim Jaworowe Szczyty.
Fot. K. Kasprzyk



Organizatorzy XVII Ogólnopolskiej Pielgrzymki Przewodników Turystycznych na Jasnej Górze
(11.03.2001 r.) Fot. Archiwum Oddziału PTT Beskid w Nowym Sączu



V Zjazd Delegatów PTT (10.11.2001 r.) R. W. Schramm wręcza dyplom i złotą odznakę PTT z kosówką Annie Machowskiej z Chrzanowa. Pierwszy od lewej: M. Mischke, w tyłu: K. Kabat.
Fot. B. Morawska-Nowak



II Dni Gór PTT. W gościnnym Heluszu (15.09.2001 r.) Od lewej: K. Kabat, koleżanki z Oddziału PTT Bieszczadnik, ks. A. Wąsik, J. Nowak, J. Kwiatkowski. Fot. B. Morawska-Nowak



Delegaci V Zjazdu PTT przed cmentarzem na Pękowym Brzyzku (11.11.2001 r.) Fot. S. Janocha

POLECAMY DO CZYTANIA

Eugenia R. Dabertowa: BYRCYN – STRAŻNIK TATR. Multico, Warszawa 2002, ss. 176. Liczne fotografie z archiwum rodzinnego Wojciecha Gąsienicy-Byrcyna.

Książka napisana „ku pokrzepieniu serc”, jest w pewnym sensie trylogią rodu Gąsieniców-Byrcynów (Stanisława – przewodnika i ratownika, jego syna – poety, góralskiego „odmieńca” oraz leśnika i idealisty Wojciecha). Pełna franciszkańskiej miłości, radości i przebaczenia wynikającego z afirmacji życia. Pokazuje, jak kochać ojcowiznę i małą ojczyznę, na czym budować małżeństwo, aby było nie tylko trwałe, ale i szczęśliwe. Umożliwia czytelnikowi zarówno poznanie natury i kultury górali ze Skalnego Podhala („Gąsienica z Gąsieniców”), jak i założeń etyki środowiska („Świat według Byrcyna”).

Dowiemy się z niej, iż górale – Halerczycy, okaleczeni podczas wojny, nie chcieli rent wojskowych od będącego na dorobku młodego Państwa Polskiego; przyjęli dopiero w latach trzydziestych renty inwalidzkie. Byli honorowi, patriotyczni, ofiarni, przedkładali dobro kraju nad swoje. Nie przypadkowo tu powstała Rzeczpospolita Zakopiańska (X–XI.1918), na której czele stanął Stefan Żeromski. Poznamy gazdę z Hali Kasprowej, który w czasie szalejącej wojny czytał w szałasie Słowackiego. Przede wszystkim jednak będziemy mogli zaznajomić się ze sposobem myślenia i wybitną wrażliwością tischnerowskiego Anaksagorasa – Byrcyna: *Uważam, że trzeba od zarania uczyć się dostrzegania piękna w rzeczach małych. Jeśli się chce osiągnąć granic, trzeba najpierw wyjść na małe skałki.*

Gdy wybieram się w góry, zawsze jestem jakoś podniecony, zaciekawiony. Jest we mnie nadzieja na zupełnie nowe przeżycie estetyczne. Wciąż oczekuję czegoś nadzwyczajnego, że może dobrze znane miejsce ujawni mi dzisiaj zupełnie nieznanego uroku? Raduję się niespodzianką sprawianą nieustannie przez przyrodę, nowym z nią spotkaniem. Myślę sobie, a może chmury popłyną wyżej i promienie słoneczne pod innym kątem padać będą na szczyty? I cienie inaczej będą się kłaść? A może barwy wzbogacą się o nieznane odcienie nasycające zielen lasu?



Poznamy też poglądy jego żony, Pani Bożeny ze znanego rodu Bukowskich, artystki (tka gobeliny i maluje) na temat świata: *Uważam, że mężczyźni (bo oni rządzą) fatalnie-ten świat urządzają, bawią się życiem, zabijaniem; uprawiają wielką politykę, która nie ma bezpośredniego wpływu na dobre zarządzanie światem. Kobietom zostają łzy, cierpienia, opieka nad chorymi i rannymi, dziećmi. Kobiety jakby zwalniają mężczyzn z obowiązku ochrony życia.*

...i szczęścia: Gdy mieszkaliśmy na Gąsienicowej, czasem o drugiej w nocy, przy panujących ciemnościach, zapraszał na obserwacje świstaków. Z perspektywy czasu wiem, że były to najpiękniejsze chwile. Kto zrozumie, jaka to radość iść u boku kochanego człowieka górską ścieżką, gdy jest ciemno lub świeci księżyc, a potem chowa się za chmury, świetliki błyskają, zwierzęta umykają – cały ten nocny świat mieć bliźniutko? To trzeba przeżyć samemu.

Antonina Sebesta

Waldemar Nadolski: TOWARZYSTWO TURYSTYCZNE – „BESKID”, ODDZIAŁ POLSKIEGO TOWARZYSTWA TATRZAŃSKIEGO W NOWYM SĄCZU W LATACH 1906–1950. Wydawca: Polskie Towarzystwo Tatrzańskie O/Beskid w Nowym Sączu im. prof. Feliksa Rapfa, Nowy Sącz 2001, ss. 207.

Od lat, zwłaszcza przy okazji Zjazdów Towarzystwa, zgłaszane są apele o opracowanie pełnej historii Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego. Równocześnie coraz częściej studenci turystyki Akademii Wychowania Fizycznego robią

prace magisterskie z historii turystyki czy nawet biografii wybitnych działaczy turystycznych lub taterników. Szczęśliwie się złożyło, że Waldemar Nadolski postanowił napisać pracę magisterską o historii „Beskidu” i zaczął poszukiwać materiałów do pracy w Nowym Sączu. Nie pomógł mu w tym tamtejszy Oddział PTTK, natomiast znalazł pełną pomoc ze strony Macieja Zaremby, prezesa Oddziału PTT Beskid w Nowym Sączu i bogate archiwum przez niego zgromadzone. Po obronieniu pracy z bardzo dobrym wynikiem, została ona następnie wydana staraniem Oddziału. W ten sposób zrobiony został pierwszy krok do monografii PTT, a Oddział może pochwalić się opracowaniem swej historii do 1950 roku. W starannym i dokładnym opracowaniu znalazły się reprodukcje



wielu oryginalnych fotografii i dokumentów, w tym nawet sprawozdań kasowych. Jest ono przez to cennym źródłem historycznym i może być wzorcem dla dalszych tego typu opracowań, mogących wejść potem do monografii historii całego naszego Towarzystwa, aż do jego rozwiązania w roku 1950. Zachęcamy pozostałe Oddziały do zajęcia się swą historią.

Barbara Morawska-Nowak

ALMANACH KARPACKI „PŁAJ”, nr 22/wiosna 2001 i nr 23/jesień 2001.
Wydawnictwo Rewasz, Warszawa.

„PŁAJ” jest półrocznikiem wydawanym obecnie przez Towarzystwo Karpackie oraz Oficynę Wydawniczą „Rewasz”. Również dystrybucją aktualnych i archiwalnych numerów zajmuje się firma „Rewasz”. Tematyka tego periodyku wynika z profilu działania wydawcy. Profil TK jest jasny bo wynikający z jego nazwy, natomiast „Rewasz” to firma również zaangażowana karpacko i powiązana personalnie z Towarzystwem. Wiodącymi tematami obydwóch tomów są artykuły o ukraińskich Karpatach, powstałe jako pokłosie wycieczek zorganizowanych i odbytych przez członków Towarzystwa i nie tylko w te właśnie rejony. W jednym przypadku jest to Marmarosz ukraiński, a w drugim ukraińska część Bukowiny. Oczywiście oprócz tego znajdziemy w obydwóch numerach wiele innych ciekawych artykułów mających charakter nie tylko turystyczny ale i ambicje naukowe.

W numerze 22 blisko jedną trzecią objętości zajmuje tekst T.M. Trajdosa i A. Wielochy dotyczący krajoznawstwa Marmaroszu w granicach Ukrainy. Oprócz tego znalazły się w tym tomie teksty związane z I wojną światową i śladami jakie pozostawiła ona w Karpatach, a także w pamięci ludzi. Miłośnicy bieszczadzkiej Łopienki dowiedzą się o wysiłkach i trudnościach towarzyszących odbudowie



dwóch kapliczek przydrożnych, jednej w pobliżu już wcześniej odbudowanej cerkwi i drugiej na przeł. Hyrcza. Relacja jest z pierwszej ręki, bo pod inicjałami Z.K. kryje się nie kto inny jak inicjator tej odbudowy czyli Zbigniew Kaszuba. Zagórski Karmel dostarczył tematów na nie jeden artykuł. Czy u progu XXI wieku zostanie uratowany od zupełnej ruiny? Artykuł nie daje jednoznacznej odpowiedzi na to pytanie, ale przypomina o bolesnym problemie popadania w ruinę wielu zabytków. Zainteresowani malarstwem batalistycznym dowiedzą się z artykułu kustosa Muzeum Okręgowego w Tarnowie o losach panoramy „Bem w Siedmiogrodzie”. Poezja karpacka reprezentowana jest przez wiersze krakowskiego poety i fotografa Zygmunta Ficka.

Numer 23 z widniejącym na pierwszej stronie okładki fragmentem kirkutu w Czarnohuzach koło Wyżnicy oprócz tematów bukowskińskich, takich jak choćby tak często przytaczana jako przykład pozytywnego współżycia różnych narodowości czarniowiecka tolerancja przedstawiona w tekście Ihora Czechowskiego, Osyp Fedkowycz — poeta huculski, którego imię nosi uniwersytet w Czerniowcach, w artykule A. Wielochy, czy też epizody związane z migracjami Górali Czadeckich, zawiera również tematy związane z Łemkowszczyzną, Orawą, cerkwiąmi bieszczadzkimi oraz prace młodych ludzi z Ustrzyk Dolnych, którzy w ramach konkursu Ośrodka „Karta” dokonują oceny najnowszej historii regionu na podstawie własnych poszukiwań. Wiele ciekawostek z całych Karpat znajduje się, jak zwykle zresztą, w stałym dziale Miscellanea. Na uwagę zasługują również liczne fotografie oraz mapa i dwie panoramy na jej odwrocie.

Stanisław Janocha

ALMANACH NOWOTARSKI – Rocznik Społeczno-Kulturalny. Suplement do wydanej w 1991 roku monografii „Dzieje Miasta Nowy Targ”.

Król Kazimierz Wielki w 1346 roku w Krakowie wydał przywilej lokacyjny nadający Nowemu Targowi prawa miejskie. Jak widać z powyższego, rok 1996 był rokiem jubileuszu 650-lecia nadania tych praw. Zmiany w sytuacji politycznej i ekonomicznej jakie dokonały się w ostatnich latach stały się również początkiem przemian w społecznej świadomości. Miasto mogło świętować ten jubileusz w III Rzeczypospolitej, w wolnej i niepodległej Polsce.

Podhale zawsze żywo kultywowało swoje tradycje i posiadało świadomość własnej kulturowej odrębności. Nowy Targ od początku swojego istnienia jako miasta był znaczącym ośrodkiem regionu, a na przełomie XIX i XX wieku stał się centrum politycznym, gospodarczym, oświatowym i kulturalnym dla Podhala, Spisza i Orawy.

Historia Towarzystwa Tatrzańskiego, a później Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego też jest związana z tym miastem, co powinno być w większym stopniu, niż to ma miejsce obecnie, podkreślane w działaniach PTT. Nie brakuje tutaj frapujących tematów i ludzi ciekawych, którzy powinni częściej gościć na łamach wydawnictw PTT i brać udział w działalności tego stowarzyszenia. Ta historycz-

na stolica Podhala zasługuje na własny pamiętnik (pomimo słabnącej pozycji miasta w ostatnich dziesięcioleciach). Taki właśnie periodyk, pomyślany jako rocznik uzupełniający na bieżąco dzieje miasta, ale również wracający do tematów z przeszłości, w 1996 roku ujrzał światło dzienne.

Wydany został przez Podhalańskie Towarzystwo Przyjaciół Nauk w Nowym Targu przy wsparciu finansowym Zarządu Miasta Nowy Targ oraz Wydziału Turystyki i Kultury Urzędu Wojewódzkiego w Nowym Sączu (Nowy Sącz był jeszcze wtedy stolicą województwa).

Nie dysponuję wystarczającą ilością miejsca, aby omówić treść pięciu dotychczas wydanych numerów, a i chyba nie ma takiej potrzeby, bo zainteresowani jeżeli tego nie zrobili do tej pory, to sięgną teraz po interesujące ich numery, a warto to zrobić. Uważnie śledzę poczynania redakcji począwszy od pierwszego numeru i w szczególności polecić chciałbym kilka artykułów z numerów 1–5:

- Nr 1 ma charakter wspomnieniowo-historyczny, a na szczególną uwagę zasługują artykuły dr Marka Wilczyńskiego na temat badań nad osadnictwem na Podhalu w czasach prehistorycznych oraz prof. Feliksa Kiryka o problemach lokacji miast w dawnej ziemi krakowskiej w XIII i XIV wieku. Dobrze też się stało, że znalazło się miejsce na omówienie działalności na terenie Nowego Targu, Towarzystwa Gimnastycznego „SOKÓŁ”, Oddziału Nowotarskiego Związku Podhalań oraz wielce zasłużonego dla miasta i regionu dr Jana Bednarskiego.
- Nr 2 to kontynuacja przyjętych w poprzednim numerze bloków tematycznych. Zwrócić chciałbym uwagę na wydarzenie roku 1997, jakim była wizyta Jana Pawła II na Podhalu; piszą o niej ks. Tadeusz Juchas oraz Krystyna Goźdz. Znalazło się również miejsce na poruszenie tematu przenikania kultur na Spiszu – słowackiej, węgierskiej, polskiej i niemieckiej.
- Nr 3 został zredagowany przez nowy skład redakcyjny (wydaje się, że zdominowany przez historyków) z zachowaniem charakteru i formy dwóch poprzednich. Pojawiło się jakby nowe spojrzenie na przeszłość i terażniejszość.
- Podobnie rzecz się ma w Nr 4. W tym właśnie numerze określony został jakby nowy charakter pisma. Dwa pierwsze były rocznikami społeczno-kulturalnymi, następny redakcja określiła następująco: *...jest zarówno antologią artykułów historycznych poświęconych przeszłości, jak i kroniką spraw, którymi żyliśmy ostatnio. Łączy więc przeszłość z terażniejszością.*
- Nr 5 za lata 2000/2001 spina niejako dwa tysiąclecia, nakłada historię na terażniejszość w pogoni za przyszłością. Rocznik wchodząc w XXI wiek nabiera innego tempa. Przybywa autorów, zwiększa się objętość – jest to zapewne wyrazem dostępności łamów tego periodyku. Barwna, nietuzinkowa i bardzo mocno związana z Nowym Targiem, Gorcami i Podhalem postać ks. Józefa Tischnera znalazła swoje miejsce na kartach tomu – szkoda tylko, że stało się to dopiero po Jego odejściu. Przygotowania do wizyty Jana Pawła II w Nowym Targu w czerwcu 1979 roku, sama wizyta, a właściwie trudności jakie stawiały władze przed jej organizatorami, to temat ciekawego artykułu Barbary Jędrysko. Zaczęty w Nr 4 ciąg „Wspomnień słowackich” Mariana Gotkiewicza dopełnia zasób ciekawych wiadomości o Spiszu, Orawie i Ziemi Czadeckiej.

Kiedy ten tekst ukaże się drukiem, w księgarni będzie już zapewne Nr 6 Almanachu Nowotarskiego, do czytania którego zachęcam amatorów góralszczyzny, a również wszystkich zainteresowanych historią, etnografią, turystyką.

Być może, że mój „głód” tego typu literatury, jest głodem *Warszawiaka z wyboru*, jest ucieczką w strony bliskie, w obszary tęsknoty. Tak się złożyło, że w tym tomie Pamiętnika PTT jest to już trzeci po „PŁAJU” i „BIESZCZADZIE” periodyk, do czytania którego zachęcam. Jest to podyktowane również pustką, jaka powstała po upadku w latach dziewięćdziesiątych minionego już stulecia, tak cennych pozycji jak: „PODHAŁANKA”, „HALE i DZIEDZINY” i „NA SPISZU”.

Stanisław Janocha

Maciej Pinkwart: TATRY W ŚWIADOMOŚCI MIESZKAŃCÓW ZAKOPANEGO I ICH GOŚCI. Prasa zakopiańska 1891–1939. Wydawnictwo TPN, Zakopane 2002, ss. 286.

Prawie w ostatniej chwili, przed oddaniem tego tomu do druku, wpadła mi w ręce świeżo wydana książka Maciej Pinkwarta, stanowiąca pełne omówienie prasy zakopiańskiej poczynawszy od publikowanych z końcem XIX wieku list gości odwiedzających Zakopane aż do pism, ukazujących się do wybuchu II wojny światowej. Pozycja ta jest kopalnią wiedzy, szczegółowo omawiającą wszystkie tytuły prasowe oraz poruszane w nich aktualne w danym czasie sprawy, którymi żyli mieszkańcy i goście. Jedną z pierwszych takich spraw był spór graniczny o Morskie Oko. Książka jest ilustrowana winetami pism i zdjęciami ich redaktorów oraz zasłużonych dla miasta osób. Autor oparł się na archiwalnych rocznikach ze zbiorów Muzeum Tatrzańskiego i na archiwum prasowym W. H. Paryskiego. Polecamy wszystkim zainteresowanym historią regionu.

Barbara Morawska-Nowak

Jarosław Balon, Maria Baścik (redaktor), Krystyna Garman, Wojciech Maciejowski, Joanna Pociask-Karteczka: DOLINA KOŚCIELISKA. Śladami badaczy artystów i wędrowców. Wydawnictwo TPN, Zakopane 2001, ss. 120.

Wzorowo napisana monografia najsłynniejszej z polskich dolin tatrzańskich. Może służyć zarówno turystyce, stanowiąc dokładny przewodnik (dołączona kolorowa mapa), jak i osobom profesjonalnie zajmującym się górami.

Autorzy zaprezentowali nie tylko walory przyrodnicze doliny, historię jej poznawania i eksploatacji, ale także wyniki badań naukowych. Omówili rolę, jaką odegrała w sztuce. Praca ilustrowana jest licznymi archiwalnymi i współczesnymi fotografiami. Reprodukowane są w niej akwaforty, akwarele, rysunki, drzeworyty i litografie. Cytowane opisy i wiersze. Prezentowane są fragmenty mapy z 1796 roku i współczesnych map geologicznych. Szczególnie cenna jest bibliografia obejmująca 200 pozycji poczynając od Goszczyńskiego.

Jerzy Lucjan Woźniak: W TATRACH. Wydawnictwo „Respekt”, Sosnowiec 2001, ss. 40.

Wiersze poświęcone Tatrom stanowią piąty tomik poety z Zagłębia. Odznaczają się bardzo osobistym stosunkiem do gór. Cecha ta wyróżnia je z poezji tatrzańskiej ostatniego ćwierćwiecza. Utwory zawierają ładne, proste, czytelne dla każdego taternika i turysty myśli: *poza Tatrami spadam; każde przeżycie ma tutaj stukrotną wartość, stoję na Krzyżnym – to wszystko jest moje, ta góra w końcu dołiny na tle nieba już mnie dopadła.*

Ks. Marcin Godawa: COŚ WIDZIAŁ POTOK... Pcim 2001, ss. 40.

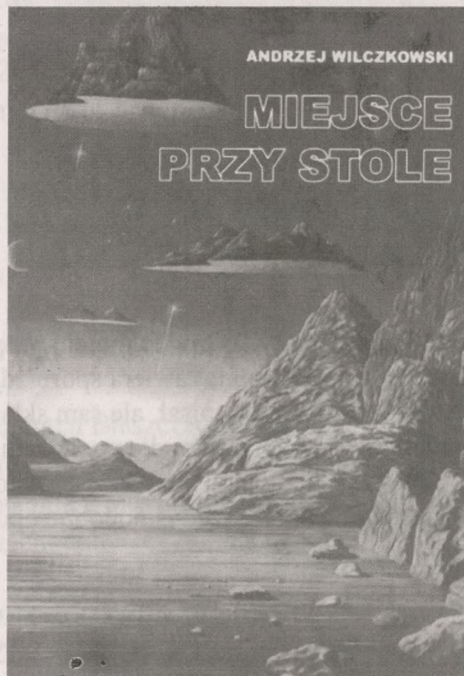
Tomik laureata I nagrody w kategorii gwarowej Ogólnopolskiego Konkursu Poetyckiego im. T. Staicha w Zakopanem (1999). Autor urodzony w 1973 r. pochodzi z Pcimia, starej wsi zamieszkałej przez Kliszczaków. Pracował w Białce Tatrzańskiej i Rabce. Jego wiersze cechuje góralski humor i doskonała obserwacja życia. Lekturę ułatwia dołączony słownik gwary.

Antonina Sebesta

Prawie na setną rocznicę powstania Sekcji Turystycznej Towarzystwa Tatrzańskiego, będącej prekursorem Klubu Wysokogórskiego, przypadającą w roku 2003; ukazały się dwa wznowienia bestsellerów poświęconych taternictwu polskiemu.

Andrzej Wilczkowski: MIEJSCE PRZY STOLE. Wydanie III zmienione i uzupełnione. Wydawnictwo Papier – Service, Łódź 2002, ss. 352.

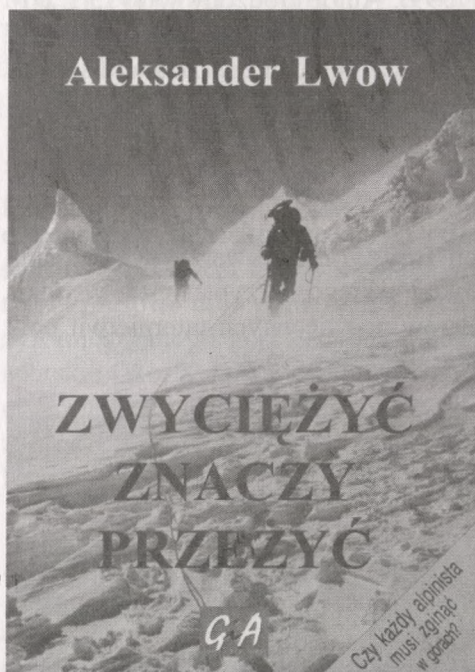
Ta opowieść-rzeka autora o ukochanych Tatrach i taternictwie, o ludziach, z którymi wiązał się liną i zawiązywał z nimi górskie przyjaźnie na całe życie rozrosła się znacznie na przestrzeni 20 lat od pierwszego wydania. Rozrosła się o dodatkowe wątki wspomnieniowe, zebrane od kolegów i o dygresje bardziej współczesne, chociaż datą graniczną zasadniczej opowieści pozostał nadal rok 1955. Dzięki temu wzrosła wartość książki, jako dokumentu historycznego. Zwiększył się format książki, natomiast grubość i okładka pozostały takie same. Powiększył się znacznie aneks fotograficz-



ny, a zdjęcia z poprzednich wydań, są obecnie znacznie lepszej jakości; widać ogromny postęp, jaki dokonał się w poligrafii. Lepsza jest jakość druku i papier. Korekta natomiast, niestety, nie jest zbyt staranna.

Kiedy życie położy się cieniem pomiędzy wami i waszymi górami, kiedy lata napęcznieją natłokiem kolejnych zdarzeń, wspomnieniami dróg przebytych, ludzi napotkanych, przyjaciół straconych... myślę, że te słowa autora, od których zaczyna swą opowieść, nabierają coraz większej wagi, gdy oddalamy się od naszych gór i zbliżamy do kresu. Z tym większym wzruszeniem sięgam po kolejne wydanie tej mojej ulubionej książki, by czytać ją od nowa, na nowo.

Aleksander Lwow: ZWYCIEŻYĆ ZNACZY PRZEŻYĆ. Wydanie II, poprawione i uzupełnione. Wydawnictwo GiA, Wrocław 2002, ss. 392.



Autor opowiada o swojej 32 lata trwającej przygodzie z górami, ale kładzie nacisk na ludzi, z którymi ją przeżywał. Widzę duże podobieństwo obu tych książek, różni je tylko czas akcji. Lwow wszedł w taternictwo 20 lat po Wilczkowskim, jego skałkami nie była Jura Krakowsko-Częstochowska, lecz sudeckie Sokoliki i karkonoskie Śnieżne Kotły. Był bowiem i jest związany ze środowiskiem wrocławskim. Nie skupił się wyłącznie na Tatrach, w których Morskie Oko jest mu, podobnie jak Wilczkowskiemu bardzo bliskie, i nie postawił cezury czasowej. Opowiada także o swych wyjazdach alpejskich i himalajskich wyprawach, w których brał udział; szczególnie wiele o tych górach najwyższych. Najbardziej jednak utkwiły mu w pamięci twarze górskich przyjaciół, znajomych i partnerów, szczególnie tych, którzy

mieli w górach tylko trochę mniej szczęścia, niż on... Drugie wydanie poszerzone zostało o nowe wątki; zawiera sporo zdjęć, wplecionych w tekst. Podkreślić należy, że autor nie tylko pisał, ale sam składał swoją książkę i wydał ją w swoim wydawnictwie, stworzonym dla wydawania własnego pisma „GÓRY I ALPINIZM”.

Nasuwa się pytanie, czy ktoś z wchodzących w taternictwo w latach dziewięćdziesiątych napisze kiedyś podobne opowieści.

Barbara Morawska-Nowak

SPIS TREŚCI

<i>Maria Gąsienica-Chmiel</i> Tradycje pasterskie w Tatrach i na Podhalu	5
<i>Zbigniew Jaworowski</i> W poszukiwaniu wiedzy o przeszłości. Dziewięć wypraw i Everest. Część I	29

I. Bukowina i górale czadeccy 65

<i>Stanisław Janocha</i> Bukowina – bogaty kraj biednych ludzi. Polacy na Bukowinie	67
<i>Stanisław Janocha</i> Ziemia Czadecka – ziemią przodków	79
<i>Wspomnienia Leopolda Kałakajło</i> spisane przez <i>Jadwigę Kuczabińską</i> z Czerniowiec, a zredagowane przez <i>Stanisława Janochę</i> Wigilie Pana Leopolda	87
<i>Na podstawie materiału dostarczonego przez Jadwigę Kuczabińską</i> przygotował <i>Stanisław Janocha</i> Dwie drobne Polki czyli życie Olgi i Elżbiety Fiffar z Czerniowiec	94
<i>Michał Jaros</i> Wioska Celinovac w Bośni (1945–1960)	98
<i>Na podstawie materiału dostarczonego przez Jadwigę Kuczabińską</i> przygotował <i>Stanisław Janocha</i> Z Ziemi Bukowińskiej do Polski.	102
<i>Stanisław Janocha</i> Polacy z Bukowiny. Ich losy i kultura – źródłem tożsamości narodowej	106

II. Bieszczady – II Dni Gór PTT 111

<i>Krzysztof Kabat</i> Dni Gór za nami...	113
<i>Wojomir Wojciechowski</i> Bieszczadzki Park Narodowy u progu trzeciego tysiąclecia	115
<i>Antonina Sebesta</i> Góry wolności – fenomen Bieszczadów	121
<i>Antoni Leon Dawidowicz</i> Relata refero	126
<i>Barbara Morawska-Nowak</i> Moje spotkania z bieszczadami	132
<i>Andrzej Burghardt</i> W Bieszczadach zachodnich, czyli... na dzikim zachodzie	139
<i>Jacek Hołub</i> Bieszczadzka grupa GOPR	156
<i>Stanisław Janocha</i> Czytajcie „BIESZCZADA”!!!	162

III. Człowiek i góry 165

- Waldemar Bettejewski* Droga ku Hindukuskim szczytom. Migawki
ze Śląskiej Wyprawy „HINDUKUSZ 1973” – cz. I. 167
- Jerzy Niewodniczański* Nevado de Copa Grande – Wspomnienie
o Adamie Lewandowskim 201
- Stanisław Worwa* Przygody z Zamarłą (wspomnienie sprzed lat) 209
- Stanisław Worwa* Noc ze skorpionem 215

IV. Ocalić od zapomnienia 223

- Józef Durden* W Tatrach walczyliśmy o to, co nam obca przemoc zabrać
chciała. Część I: Początek sporu z Węgry o granicę
koło Morskiego Oka 225
- Tadeusz Kielbasiński* Mieczysław Orłowicz 240
- Maciej Mischke* Z kart Kroniki Klubu Wysokogórskiego Winterthur.
Część V. Rok 1944 (lato). 265
- Józef Durden* Stanisław Zubek – mistrz nart i narciarstwa 286
- Zbigniew Kubień* Jawornica w Beskidzie Małym 296
- Hymn „Ognia” 299
- Antoni Kuczyński* Bronisław Piłsudski na znaczku pocztowym 300
- Mikołaj K. Zapalski* O górnictwie żelaza w Tatrach Polskich 302

V. Tatrzańskie Ochotnicze Pogotowie Ratunkowe 305

- Piotr Jasieński* Czarny tydzień w polskich górach 307

VI. Kronika PTT 313

- Barbara Morawska-Nowak* Rok 2001 w PTT. Działalność Zarządu
Głównego 315
- Barbara Morawska-Nowak* V Zjazd Delegatów Polskiego Towarzystwa
Tatrzańskiego. Zakopane, 10 listopada 2001 320
- Nowi Członkowie Honorowi 347
- Oddziały i Koła PTT 355

Nasze czasopisma 421

Polecamy do czytania 425

CHYZ to CHATA-DOM
tu będziesz czuł się jak w domu,
w którym zawsze czekają na Ciebie
otwarte drzwi i gościnny Baca
z Podręcznym



CHYZ U BACY

Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego

Józef Michlik

MŁADA HORA 291

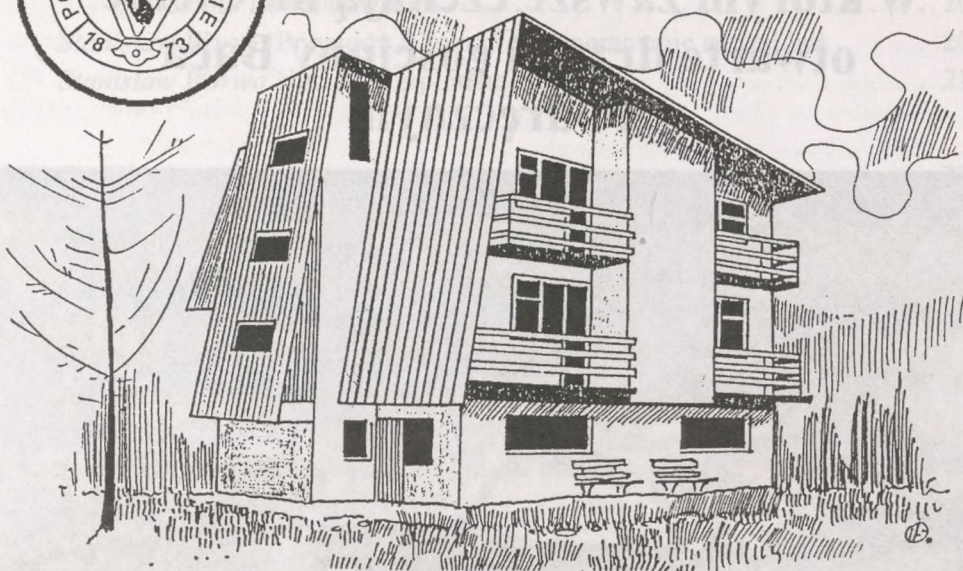
34-371 UJSOŁY - Beskid Żywiecki

tel. kom. 602 248 071



PENSJONAT „POD KICZORĄ”

Krystyna Walas, ul. Orawska 940
34-340 JELEŚNIA, tel. (0-33) 636-568



Usytuowany w Jeleśni, w Beskidzie Żywieckim, w pobliżu przejścia granicznego na Słowację (Korbielów- Oravska Polhora). Dysponuje 19 miejscami noclegowymi w pokojach 2, 3, 4-osobowych. Pensjonat posiada piękny ogród z brodzikiem, bibliotekę i salonik, na miejscu pełne wyżywienie. Obiekt jest dobrym miejscem wypadowym w rejon Pilska, Lipowskiej, Lasku, Mędralowej, a także na słowacką Orawę. Zimą w pobliskim Korbielowie czynnych jest szereg wyciągów narciarskich.

Polskie Towarzystwo Tatrzańskie
Oddział w Bielsku-Białej
STACJA TURYSTYCZNA





„CHATA POD KWIATKIEM”

Halina i Edward Trzebuniakowie
Paluchówka 231, 34-223 ZAWOJA
tel. (0-33) 775-166



Posiada 27 miejsc noclegowych w pokojach 2, 3 i 4-osobowych. Do dyspozycji kuchnia turystyczna i świetlica. Stacja położona jest w Zawoi-Paluchówce przy zielonym szlaku z Widel na Markowe Szczawiny, nieco powyżej D.W. HANKA. Bardzo dobry punkt wyjściowy na Babią Górę, w Pasma Polic i Pasma Jałowieckie. W pobliżu: Muzeum Babiogórskiego Parku Narodowego i Skansen na Markowej. Zimą możliwość uprawiania narciarstwa śladowego oraz zjazdowego-Zawoja-Widły, Zawoja Lajkonik.

Polskie Towarzystwo Tatrzańskie
Oddział w Bielsku-Białej
STACJA TURYSTYCZNA





PENSJONAT „KATARZYNA”

Janusz Lubowiecki, Karpielówka 141
34-500 ZAKOPANE, tel. (0-165) 70-651



Oferuje noclegi w komfortowych pokojach 2 i 3-osobowych, WC, łazienki. Na miejscu pełne wyżywienie. Stacja Turystyczna znajduje się na Karpielówce, na granicy Zakopanego i Kościeliska, dzięki czemu stanowi świetny punkt wypadowy w Tatry Zachodnie, szczególnie w rejon Czerwonych Wierchów, Giewontu i Dolin: Kościeliskiej, Małej Łąki, Za Bramką, Strążyskiej. W pobliżu dolna stacja wyciągu krzesełkowego na Butorowy Wierch.

Polskie Towarzystwo Tatrzańskie
Oddział w Bielsku-Białej
STACJA TURYSTYCZNA





„CHATY POD SUCHONIEM”
Stanisława i Daria Mikołajczak
57-512 IDZIKÓW nr 5,
tel. (0-74) 813-00-43



Usytuowane na początku wsi od strony Przełęczy Puchaczówka w Masywie Śnieżnika. Posiadają 20 miejsc noclegowych w pokojach 2, 4 i 5-osobowych. W obiekcie WC i łazienki. Dostępne dwie kuchnie do przyrządzania posiłków. Obiady (doskonale i obfite) przygotowywane na zamówienie, na dowolną godzinę popołudnia i wczesnej nocy. W odległości ok. 5 km dolna stacja wyciągu narciarskiego z Siennej na Czarną Górę. Dogodne dojście do szlaku im. M. Orłowicza, skąd podejście do słynnego sanktuarium M. B. Śnieżnej na górze Iglicznej. Dla członków PTT 15% zniżki za noclegi

Polskie Towarzystwo Tatrzańskie
Oddział w Brzegu
STACJA TURYSTYCZNA





STACJA TURYSTYCZNA PTT W HELUSZU

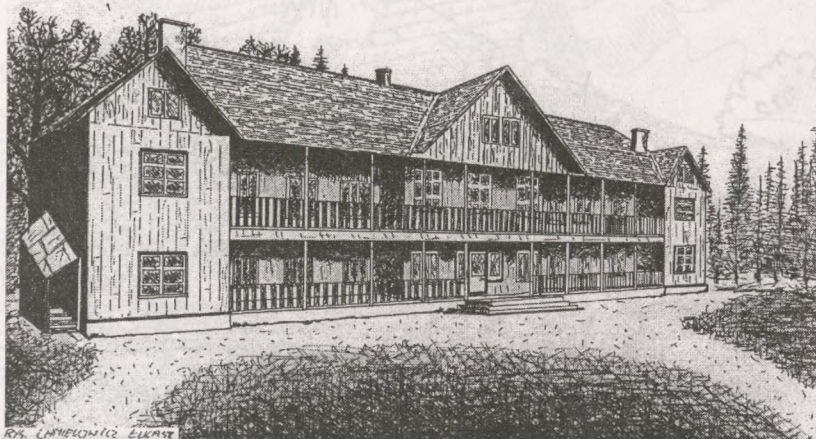
Dorota Milianowicz – prezes

ul. 3 Maja 48/16

37-500 Jarosław

tel. dom. (016) 621-14-65

e-mail: milanowicz@poczta.onet.pl



Oddany do dyspozycji młodzieży Ośrodek Rekreacyjny Rodziny Kolpinga w Heluszu ma wydzielone pomieszczenia na Stację Turystyczną. Helusz leży 25 km na południowy-zachód od Jarosławia, przy drodze wiodącej z Jarosławia przez Pruchnik do Babic, na obszarze Pogórza, należącego do działu Karpackiego Beskidów Wschodnich, kręgu Karpat Lesistych, podokręgu Pogórze Przemyskie. Helusz ma dogodne położenie jako baza noclegowa, ponieważ niedaleko jest stąd do atrakcji turystycznych regionu. Ośrodek leży na skraju jodłowo-bukowego lasu. Jest własnością parafii p.w. Chrystusa Króla w Jarosławiu. Wyposażony w zimną i ciepłą wodę i kilkusobowe pokoje. Obok Ośrodka są domki kempingowe, boisko, obudowane palenisko z wieloma ławkami wokół, zadaszona podłoga do organizacji imprez w czasie niepogody. Zarządcą Ośrodka jest ks. Adam Wąsik i do niego należy zgłaszać chęć przyjazdu; można również na adres Oddziału PTT Bieszczadnik w Jarosławiu.

Polskie Towarzystwo Tatrzańskie
Oddział „Bieszczadnik” w Jarosławiu
STACJA TURYSTYCZNA





OŚRODEK WZASOWO-KOLONIJNY

Zofia Szlaga

34-453 Ochotnica Górna 300

tel. 0-18 262-42-37



rys. Włodzimierz Rudnicki

Usytuowany w „sercu” Gorców, w górnej części wsi, w pobliżu Przełęczy Knurowskiej, znakomicie nadający się na kolonie dziecięce, „zielone” i „białe” szkoły, obozy, zimowiska a także wczasy rodzinne, pobyty świąteczne, sylwestrowe itp. Obiekt posiada kartę kwalifikacyjną. Dysponuje 70 miejscami w dwóch budynkach, w pokojach 2, 3, 4 i 5-osobowych. Na każdej kondygnacji łazienki, kabiny natryskowe, WC. Stołówka zapewnia możliwość całodziennego wyżywienia. Do dyspozycji gości sala kominkowa, video, TV-sat. Na zamówienie: kuligi i ogniska z pieczeniem kiełbasek i barana, występy kapeli góralskiej. Świetny punkt wypadowy w rejon Turbacza i Lubania a także w Pieniny (Krościenko, Szczawnica).

Ceny do uzgodnienia; kadra kolonijna lub obozowa – gratis!

Polskie Towarzystwo Tatrzańskie
Oddział im. dr T. Chałubińskiego
w Radomiu
STACJA TURYSTYCZNA





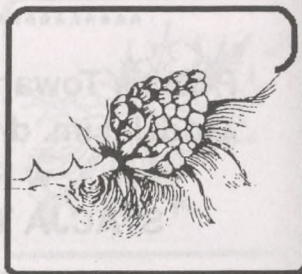
Krystyna Kulig
34-453 Ochotnica Górna – Jamne 155
tel. 0-18 262-43-26



rys. Włodzimierz Rudnicki

Dom usytuowany w dolinie potoku Jamne, przy żółtym szlaku z Ochotnicy Górnej na polanę Bieniowe na przełęczy pod Przysłopem (na trasie między Gorcem i Turbaczem). Znakomity punkt wypadowy dla wycieczek w rejon Gorca, Turbacz i Kudłonia. Dysponuje 20 miejscami w pokojach 3 i 4-osobowych i tzw. „dostawkami”. Możliwość korzystania na miejscu z całodziennych posiłków. Ceny do uzgodnienia – bardzo przystępne.

Polskie Towarzystwo Tatrzańskie
Oddział im. dr T. Chałubińskiego
w Radomiu
STACJA TURYSTYCZNA





PENSJONAT „ANNA”

Władysław Dziedzic

34-424 Szaflary, Bańska Wyżna 278 a

tel. (018) 27-550-33



rys. Włodzimierz Rudnicki

Pensjonat położony w najwyższej części wsi. Z okien wspaniałe panoramy (z jednej strony cały łańcuch Tatr, z drugiej Beskidy Babia Góra, Pilsko). Dysponuje 42 miejscami w pokojach 1, 2, 3, 4 i 6-osobowych. WC, łazienki, kabiny natryskowe na każdej kondygnacji. Na miejscu całodzienne wyżywienie. Znakomita baza dla wycieczek autokarowych, a także obozów, zimowisk, „zielonych” i „białych” szkół i wczasów rodzinnych. Dojazd wspaniałą widokowo szosą zarówno z Szaflar jak i Zakopanego. Ceny do uzgodnienia, bardzo przystępne.

Polskie Towarzystwo Tatrzańskie
Oddział im. dr T. Chałubińskiego
w Radomiu
STACJA TURYSTYCZNA





OŚRODEK KOLONIJNO-WCZASOWY

Maria Dziubas

34-500 Poronin – Suche 19

tel. (0-18) 20-723-09



rys. Włodzimierz Rudnicki

Dysponuje 73 miejscami w pokojach 2, 3, 4, 5 i wieloosobowych. Znakomicie nadaje się na kolonie dziecięce, „zielone” i „białe” szkoły, obozy, zimowiska, a także wczasy rodzinne, pobyty świąteczne, sylwestrowe itp. Bardzo dobra baza noclegowa dla wycieczek autokarowych. Całodzienne wyżywienie. Obszerna jadalnia może spełniać funkcje sali telewizyjnej i świetlicy. Ceny do uzgodnienia bardzo przystępne.

Polskie Towarzystwo Tatrzańskie
Oddział im. dr T. Chałubińskiego
w Radomiu
STACJA TURYSTYCZNA





PENSJONAT U PEKSÓW

Maria i Czesław Pęksowie

34-502 Zakopane, Oberconiówka 13b

tel. (018) 20-119-02



rys. Józefa Rodzicki

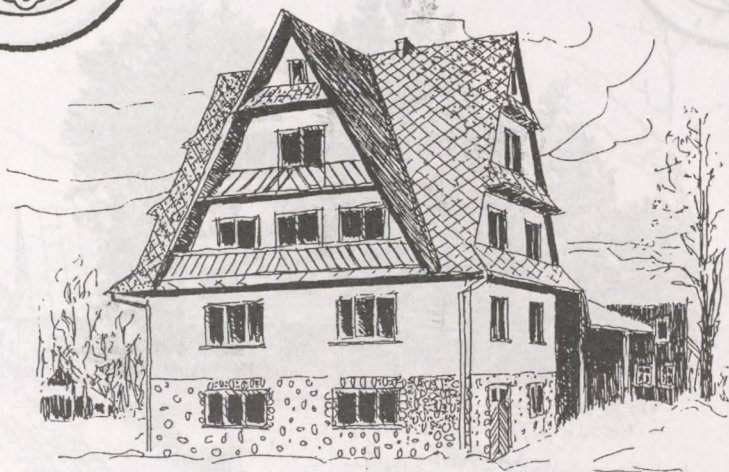
Usytuowany w górnej części Olczy. Dojazd z dworca PKS z Zakopanem autobusem do Olczy – przystanek Pardałówka III. Dysponuje 40 miejscami w pokojach 2, 3, 4, 5-osobowych; WC, łazienki, kabiny natryskowe, stylowa jadalnia z całodziennym domowym wyżywieniem. Możliwość wykorzystania dodatkowych 15 miejsc – identyczny standard – w drugim domu w tej samej posesji. Parking dla autokaru i samochodów osobowych. Obiekt znakomicie nadający się na kolonie, „zielone” i „białe” szkoły, obozy i zimowiska, dla wycieczek, a także na wczasy rodzinne, pobyty świąteczne, sylwestrowe i dla turystów indywidualnych. Na zamówienie: ogniska z pieczeniem kielbasy i barana, „posiadły” przy góralskiej muzyce, kuligi. Ceny do uzgodnienia – bardzo przystępne. Właściciele obiektu mogą zapewnić transport, przewodników oraz rezerwację biletów na kolejki na Kasprowy Wierch i Gubałówkę.

Polskie Towarzystwo Tatrzańskie
Oddział im. dr T. Chałubińskiego
w Radomiu
STACJA TURYSTYCZNA





Wojciech Migiel
34-502 Zakopane, Pardałówka 27
tel. 06011496506
(0-18) 20-119-44



nrys. Włodzimierz Rudnicki

Dojazd z dworca PKS w Zakopanem autobusem do Olczy – przystanek Pardałówka II. Dysponuje 50 miejscami w pokojach 2, 3, 4 i 5-osobowych w domu murowanym i dodatkowymi 16 w starym, drewnianym domu góralskim. Doskonale nadaje się na kolonie dziecięce, obozy, zimowiska, „zielone” i „białe” szkoły. WC, łazienki, kabiny natryskowe na każdej kondygnacji. W sąsiedztwie możliwość korzystania z całodziennego wyżywienia. Ceny bardzo przystępne – do uzgodnienia w zależności od dni spędzonych w obiekcie. Do dyspozycji gości mikrobus, a także dorożka konna („fiakier”) w lecie i sanie na kuligi zimą.

Polskie Towarzystwo Tatrzańskie
Oddział im. dr T. Chałubińskiego
w Radomiu
STACJA TURYSTYCZNA





Zofia Migiel
34-502 Zakopane, Mrowce 15a
(0-18) 20-115-52



rys. Włodzimierz Rudnicki

Dom usytuowany w górnej części Olczy. Dojazd z dworca PKS w Zakopanem autobusem do Olczy – przystanek Pardałówka III. Dysponuje 20 miejscami w pokojach 2, 4 i 5-osobowych w domu murowanym i dodatkowymi 15 w starym, drewnianym domu góralskim, WC, łazienki, kabiny natryskowe. Z okien piękna panorama Tatr. Możliwość korzystania na miejscu z doskonałego, domowego wyżywienia. Ceny bardzo przystępne do uzgodnienia. Do dyspozycji gości mikrobus, a także dorożka konna („fiakier”) w lecie i sanie na kuligi zimą.

Polskie Towarzystwo Tatrzańskie
Oddział im. dr T. Chałubińskiego
w Radomiu
STACJA TURYSTYCZNA





OŚRODEK WZASOWY „KONTAKT”

Piotr Nocek

45-460 Wisła, ul. Kopydło 28

tel. (055) 855-16-08 (lub -58), kom. 0606950050

e-mail: ow.kontakt@poczta.onet.pl, www.kontakt_dw.pl



Ośrodek dysponuje 100 miejscami w pokojach z pełnym węzłem sanitarnym: 2, 3 i 4-osobowych. Oferuje doskonale całodienne lub częściowe wyżywienie. Przy budynku parking, boisko do siatkówki. W odległości 200 m od ośrodka duża sala gimnastyczna, chata góralska i wyciąg narciarski z wypożyczalnią sprzętu oraz szkółka narciarska i snowbordowa. Właściciel obiektu na zamówienie organizuje wycieczki piesze i autokarowe z przewodnikiem (w tym do Czech i Słowacji), kuligi, konferencje itp. Dodatkowe atrakcje: ogniska z udziałem gawędziarza, z pieczeniem barana i prosiaka, pośrednictwo przy organizacji szkółek wspinaczkowych, pływackich, paralotniarstwa, jazdy konnej i przy korzystaniu z parku wodnego w Skoczowie i wyciągu krzesełkowego oraz toru saneczkowego na Czantorii. Możliwość negocjacji cen!

Polskie Towarzystwo Tatrzańskie
Oddział im. dr T. Chałubińskiego
w Radomiu
STACJA TURYSTYCZNA





DOM WZASOWY „ZIELONA GOSPODA”

Alicja i Janusz Jabłońscy

58-563 Przesieka, ul. Dolina Czerwienka 11

tel./fax (075) 75-533-94

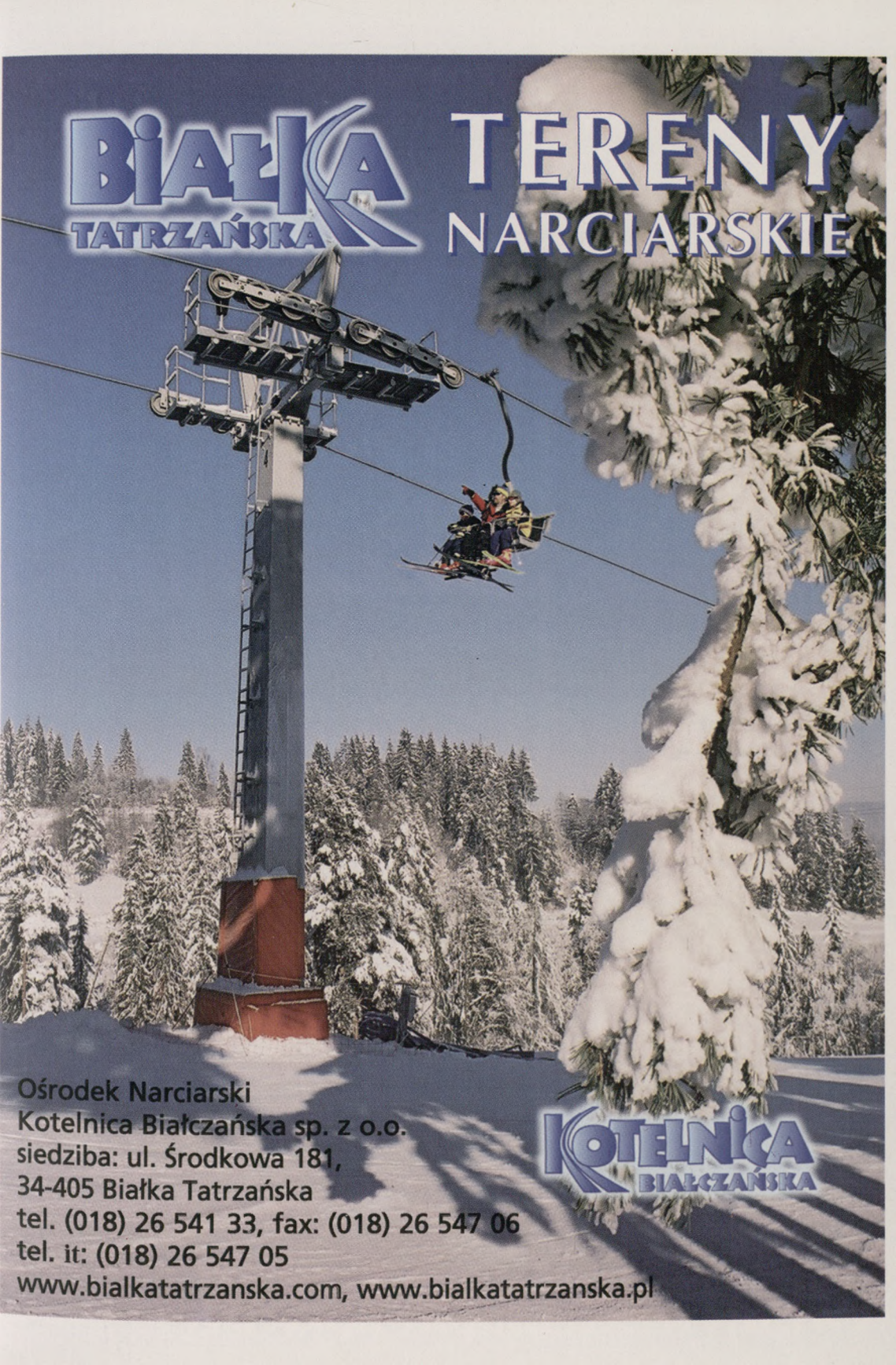


rys. Iwona Rudnicka

Obiekt dysponuje 115 miejscami w pokojach 1, 2, 3, 4, 5-osobowych (część pokoi z łazienkami lub umywalkami), obszerną jadalnią, odrębną kawiarnią – bufet serwuje wszelkiego rodzaju napoje. Ośrodek oferuje doskonałe całodzienne wyżywienie. Obok budynku ogrodzony, olbrzymi teren rekreacyjny z boiskami do gry w piłkę ręczną i siatkówkę. W budynku dobrze wyposażona siłownia dla gości. Właściciele obiektu organizują na zamówienie własnym autokarem wycieczki po okolicy, a także do Czech. Obiekt doskonale spełnia wymagania organizatorów kolonii, obozów, wycieczek, „zielonych” i „białych” szkół, a także turystów indywidualnych. Znakomity na pobyty świąteczne i sylwestrowe! Możliwość negocjacji cen!

Polskie Towarzystwo Tatrzańskie
Oddział im. dr T. Chałubińskiego
w Radomiu
STACJA TURYSTYCZNA





BIAŁKA
TATRZAŃSKA

**TERENY
NARCIARSKIE**

Ośrodek Narciarski
Kotelnica Białczańska sp. z o.o.
siedziba: ul. Środkowa 181,
34-405 Białka Tatrzańska
tel. (018) 26 541 33, fax: (018) 26 547 06
tel. it: (018) 26 547 05
www.bialkatatrzenska.com, www.bialkatatrzenska.pl

KOTELNICA
BIAŁCZAŃSKA



BIURO TURYSTYCZNE „SPORT – CENTRUM”

43-300 BIELSKO-BIAŁA, UL. PIASTOWSKA 10

tel./fax (033) 819 31 31; 811 97 77

www.sportcentrum.in.com.pl e-mail: s-c@in.com.pl

Nasza specjalność

Wezasy, obozy i zimowiska narciarskie

od listopada do maja

❄ Austria
❄ Francja
❄ Włochy
❄ Szwajcaria
❄ Polska

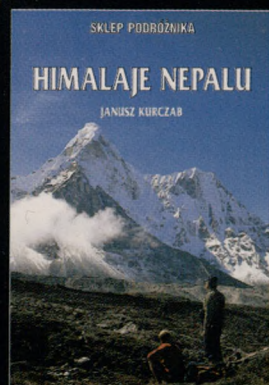
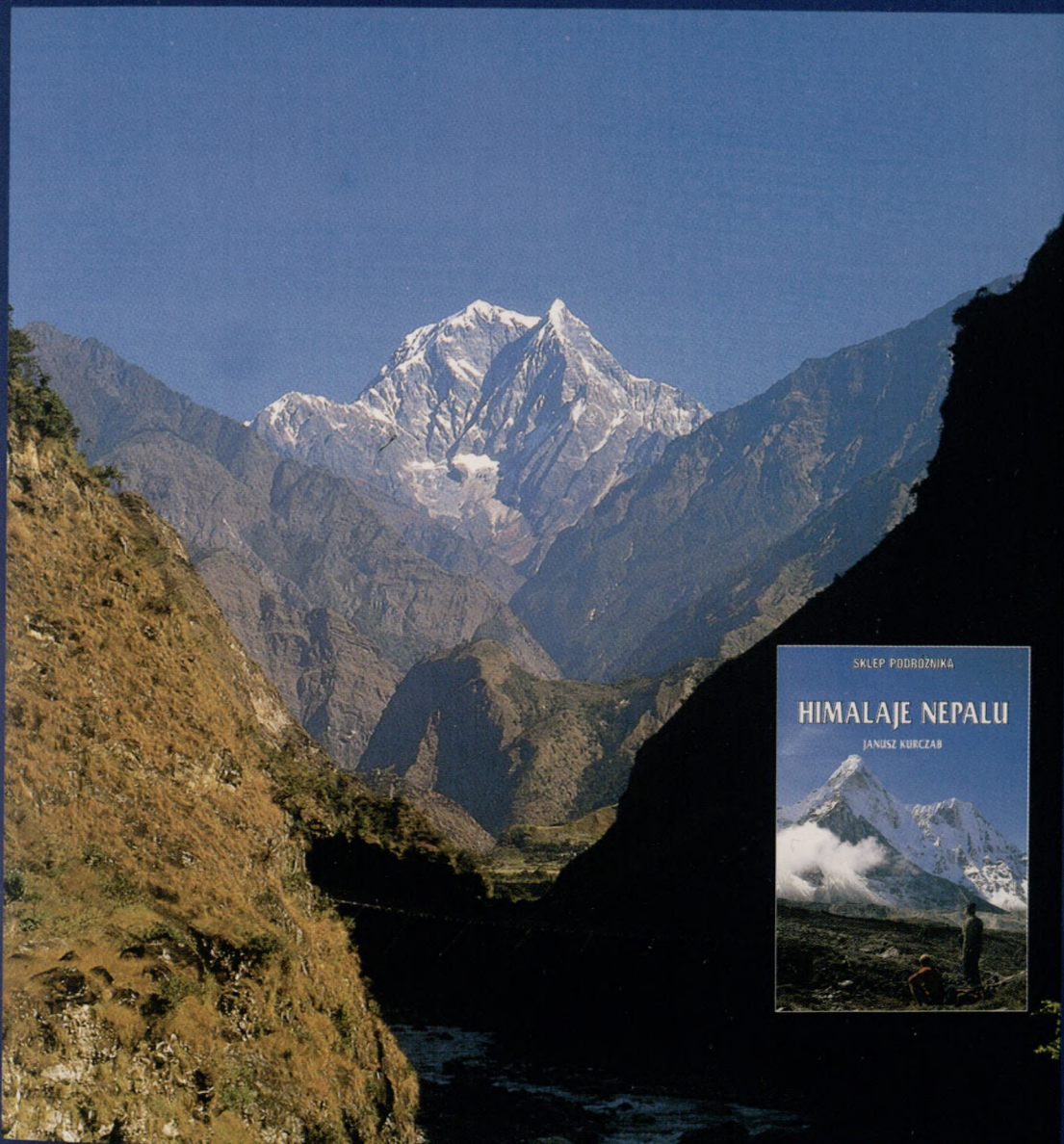
*Apartamenty
Hotele i pensjonaty*

*Autokar lub dojazd własny
Instruktorzy PZN*

*Gwarancja śniegu na 100%
Dobre prowizje dla agentów*

ZAPRASZAMY

NOWY PRZEWODNIK TREKKINGOWY HIMALAJE NEPALU



SKLEP PODRÓŻNIKA

WARSZAWA

tel. (22) 658 46 26, tel./fax (22) 822 44 56
Grójecka 46/50, tel. (22) 668 66 08
Kaliska 8/10, K1, tel. (22) 822 64 81
Kaliska 8/10, K2, tel. (22) 822 54 87

KRAKÓW

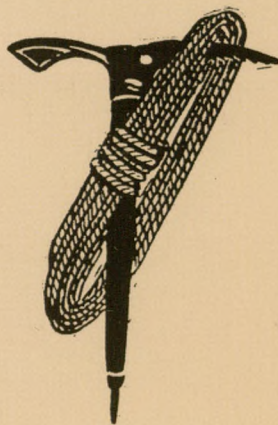
Szujskiego 2, tel./fax (12) 421 89 22
Jagiellońska 6, tel. (12) 429 14 85

BIELSKO BIAŁA

Wzgórze 9, tel./fax (33) 812 36 48

www.traveler.com.pl

Stąd wyruszają najdalsze wyprawy



Powietrze wokół Ziemi krąży głównie z zachodu na wschód, a wraz z nim wszystko to co przemysł Ameryki, Azji i Europy, a także wybuchy jądrowe, wulkany i naturalne pylenie lądów i oceanów wyrzucają do atmosfery. Gdy przyjechaliśmy w Himalaje myślałem tylko o skażeniach przemysłowych i wybuchach jądrowych. Zastanawiałem się: Z Europy na wschód lecą zanieczyszczenia, lecz jak daleko? Czy w śniegach Azji, tysiące kilometrów od ich źródła można je jeszcze wykryć? Jak ten transport ponad kontynentem Eurazji zmieniał się w ciągu ubiegłego wieku? Wyruszyliśmy zbadać to tam gdzie są najwyższe góry i lodowce nie tknięte stopą człowieka. Gdzież indziej można było znaleźć bardziej dziewicze i czyste tereny jak nie w śniegach tych gór, na granicy Nepalu i Tybetu, gdzie niemal wczoraj jeszcze nie wolno było pokazać się Europejczykowi? Ale gdy znaleźliśmy się w u stóp lodowców ogarnęła mnie wątpliwość co do ich dziewiczości i czystości. Strome zbocza pokrojone były gęsto poziomymi ścieżkami jaków, wypasanych do wysokości ponad 5000 m, a z dna dolin, z piargów i polodowcowych sandrów wiatr podnosił wirujące kłęby pyłu i porywał je ponad ośnieżone siedmiotysięczniki. Mój zastępca do spraw naukowych Dr. Donald T. Oakley, dyrektor Departamentu ds. Współpracy z Zagranicą U.S. EPA, patrząc na te pyły krzyknął:

Look at those dust devils, they look like in your Silesia!

THERMOACTIVE®

ZINTEGROWANY SYSTEM



PRACOWNIA SPRZĘTU ALPINISTYCZNEGO MAŁACHOWSKI
PL 43-426 DĘBOWIEC, UL. SKOCZOWSKA 49
TEL. +48 033 8562261, FAX +48 033 8562470

WWW.MALACHOWSKI.COM.PL